

CIEKAWOŚĆ TO PIERWSZY STOPIEŃ **DO PIEKŁA.**
ZROZUMIESZ TO ZBYT PÓŹNO...



NIE TWÓJ INTERES

MARZENA HRYNISZAK

ZYSK I S-KA
WYDAWNICTWO

MARZENA HRYNISZAK

**NIE
TWÓJ
INTERES**

ZYSK I S-KA
WYDAWNICTWO

PROLOG

W spowitych ciemnością budynkach panował bezruch. Za dnia aktywne, pulsujące życiem miasto teraz pogrążone było w głębokim, bezszelestnym śnie. Jedynie z brzegu czarnej połaci otaczającego przedmieścia lasu do okolicznych domostw dochodziło stłumione, regularne pohukiwanie sowy i zuchwałe okrzyki drozda wyczekującego świtu.

— Co?! — wychrypiał jeszcze zaspanym, a już wzburzonym głosem do telefonu.

— No mówię ci, spierdolił! Redyński spierdolił! Zamknął mnie tu! — Wykrzyczane słowa spotęgowało echo pustego pomieszczenia. — Zejdź, wypuść mnie, bo zdechnę od tego smrodu! Halo? Seba? Halo!

— Kurwa! — Sebastian rzucił komórką, przeklinając brata, po czym zerwał się, by ją podnieść i zadzwonić po wsparcie. Musi natychmiast ściągnąć chłopaków. Redyński nie mógł daleko uciec. Jeśli go szybko nie znajdzie, będzie miał kłopoty.

Gliwice, 2013, Karolina

Niewiele tego mam. Cztery pudła, dwa worki i plecak — cały mój dobytek. Patrę na nowe miejsce do życia: bladeżółte ściany — fatalny kolor, ale są czyste, niedawno pomalowane, dwudrzwiowa niska szafa, stół, krzesło i wąskie łóżko. Skromnie, chociaż w zasadzie nic więcej by się tu nie zmieściło. Kilka kroków i jestem przy oknie. Naprzeciwko zakryta ściana remontowanego budynku, rusztowania, w dole dwa sznurki zaparkowanych po obu stronach ulicy samochodów.

— Na fotkach mieszkanie wyglądało na większe, co? — Marta dyszy, pchając jedno z wielu swoich pudeł nogą i ciągnąc za sobą drugie. Zagląda mi przez ramię. — Nawet w akademiku miałyśmy większy pokój — prychna.

— Większy, ale wspólny.

— Niemniej na zdjęciach wyglądało to znacznie lepiej. — Wzdycha. — Dobra. Chodź i mi pomóż. Mam jeszcze kilka rzeczy.

— Kilka. — Przewracam oczami, bo Marta zgromadziła tych rzeczy tyle, że wydaje się niemożliwe, by wszystkie należały do jednej osoby.

Wynajęliśmy przewóz po najniższej możliwej cenie i kierowca nie poczuwa się do obowiązku, by ruszyć dupsko ze swojego fotela. Siedzi i grzebie w telefonie. „Z wniesieniem tego wszystkiego będzie stówkę więcej”. Za stówkę to ja muszę przeżyć tydzień, łapię więc za pudło, na którym stoi mniejsze. Ciężkie, cholerstwo.

— Szkoda, że Wojtek wyjechał. Jak potrzeba, to nigdy ich nie ma!

— I kto to mówi? — Śmieję się. — Najbardziej zawzięta feministka, jaką znam.

Cieszyn, sierpień 2019

Noc była wyjątkowo ciemna, bez poświaty księżyca, bez gwiazd, a jednocześnie ciepła i parna po letnim deszczu. Lidia myślała tylko o tym, by wreszcie położyć się spać po morderczym dniu. Pobudka o czwartej nad ranem, dopinanie kluczowego projektu, wizyta w macierzystym biurze w Niemczech i tłok na lotnisku wyczerpały jej zasoby energii. Jechała na autopilocie. Na szczęście ulice były już zupełnie puste. Nawet taksówki rzadko jeździły. Jedyne, na czym skupiała uwagę, to własne powieki, które uporczywie próbowały opaść. Im bardziej z nimi walczyła, tym mocniej piekły ją oczy.

Światła samochodu wreszcie omiotły dobrze znajomą uliczkę i poutykane wszędzie auta, gdy podjechała pod swój szeroki, niski blok i zaczęła rozglądać się za miejscem do zaparkowania. Jest, jedno samotne i nieoczekiwane, jak dziura po wyrwanym zębie, i to tak blisko drzwi. Gdyby nie słaba lampa nad domofonem, nie byłoby go widać. Ot, drobny pozytywny koniec dnia, nie trzeba dalej szukać i potem wędrować do domu przez całe osiedle.

Uśmiech zadowolenia zamarł na ustach Lidii, gdy dokładnie naprzeciw swojego auta zobaczyła ruch — płataninę ciał, nagły zryw, zaskoczone twarze mężczyzn, którzy oślepieni światłem reflektorów rozbiegli się jak spłoszone zwierzęta. Jeden jeszcze coś krzyczał, lecz nie zdołała rozróżnić jego słów. Zaskoczenie i strach podniosły jej poziom adrenaliny i senność natychmiast zniknęła. Lidia szybko zgasiła światła, zablokowała drzwi i czekała, aż oczy przyzwyczają się do ciemności. Silnik pracował miarowo. Rozejrzała się dookoła. Nikogo nie było. Cisza. „Okej, nic się nie stało, po prostu nie spodziewałam się o tej porze ludzi, w dodatku pewnie pijanych” — pomyślała. Lato, czwartkowa noc, osiedle, pusto. Rozejrzała się i powoli wysiadła. Tuż obok wejścia do klatki przy żywopłocie ktoś leżał. Zwinęte ciało prawie się nie poruszało. Słychać było jedynie szybki chrapliwy oddech.

— Czy wszystko w porządku? — zapytała, podchodząc powoli do mężczyzny, i od razu zdała sobie sprawę z tego, że pytanie było idiotyczne. — Yhm, co się stało? Czy wezwać pogotowie?

Człowiek poruszył się i wyraźnie zaprotestował, choć zabrzmiało to raczej jak charczenie.

— Trzeba wezwać pomoc. Przecież... pan został pobity? — bardziej stwierdziła, niż zapytała. Zaczęła kojarzyć fakty. To nie była pijacka kłótnia, tylko bójka. Pospieszenie obrzuciła wzrokiem okolice w obawie przed powrotem napastników. Nikt nie wyłonił się z sennej ulicy.

— Nieee... Nie! — Mężczyzna próbował się podnieść, ale za chwilę z powrotem osunął się na ziemię.

— Trzeba wezwać pomoc, pan jest ranny. — Pochyliła się nad nim, by obejrzeć obrażenia, i przeraziła się jeszcze bardziej. — Kurwa, jesteś zmasakrowany! Dzwonię po pogotowie i policję!

Nerwowo zaczęła szarpać zamek torebki, by wyjąć telefon. Listonoszka spadła na chodnik, więc Lidia schyliła się i w tym momencie ranny złapał ją za ramię dłonią, która z braku sił zsunęła się tylko po rękawie, mężczyzna zaś upadł na bok. Syknął z bólu.

— Nie, proszę... Zabijają mnie.

— Kto?! — Odskoczyła nerwowo. — Przecież muszę coś zrobić! Nie mogę cię tu zostawić!

Stała przez chwilę nad nieznanym i próbowała opanować emocje. Wyglądał fatalnie. Znowu spróbował wstać, drżąc z wysiłku i bólu. Nie był jednak w stanie się wyprostować i wyglądało na to, że jeśli zrobi krok, znowu upadnie.

— Muszę stąd iść, zanim wrócą — wyszeptał z trudem. Ale samodzielne poruszanie się było wyraźnie ponad jego siły.

— Wróć? — zaniepokoiła się. — Chodź, pójdziemy do mnie, odpoczniesz chwilę i zobaczę, w jakim jesteś stanie, ale jeśli będzie trzeba, zawiozę cię do szpitala. — Spontanicznie podjęła decyzję. Niewiele myśląc, wzięła go pod ramię i poprowadziła, a właściwie zawlokła do bramy. Na klatce schodowej zalało ich światło.

— Nie dam rady... — jęknął mężczyzna.

— Dasz — odparła stanowczo. — I lepiej się postaraj, bo czeka cię droga na trzecie piętro.

Kiedy dotarli do mieszkania, Lidia była złana potem, drżały jej nogi i szumiało w głowie. Gdy popatrzyła na człowieka, którego przyprowadziła do domu, i poczuła jego odór — wyzwalała siebie w myślach od ostatnich kretynek. Nikt o zdrowych zmysłach nie przyprowadziłby do swojego mieszkania pobitego menela. W dodatku nocą. „No to mam przerabane” — doszła do wniosku.

Przez głowę przemknęła jej myśl, żeby go jednak wyprosić. Tylko najpewniej spadłby ze schodów i zabiłby się, a wtedy to ona byłaby bardziej winna niż ci, którzy go tak urządzili.

— Siadaj tu — powiedziała.

Mężczyzna opadł ciężko na krzesło i tylko dzięki temu, że stało przy ścianie, o którą się oparł, nie stoczył się na podłogę. Wyglądał, jakby miał stracić przytomność. Dopiero teraz zauważyła, jak bardzo jest brudny i poraniony. Mieszanina zapachu krwi i brudu była tak intensywna i nieprzyjemna, że Lidia — mimo że do pewnego stopnia była uodporniona dzięki swoim doświadczeniom, gdyż brała swego czasu udział w akcjach pomocy bezdomnym — miała problem ze swobodnym oddychaniem. Spojrzała w kierunku szeroko otwartego okna.

— Tylko nie mdlej! — rzuciła odruchowo i znów pomyślała, że musi być bardzo zmęczona, skoro wygaduje takie bzdury. — Zaraz przyjdę.

Uzbrojona w środek dezynfekujący, rękawiczki chirurgiczne, waciki, gazy i wszystko, co tylko mogłoby się nadać do opatrzenia ran, zabrała się do pracy. Próbowała nawiązać rozmowę, lecz mężczyzna zdawał się zupełnie nic nie słyszeć. Spod warstwy krwi i brudu nie było widać jego twarzy. Kiedy próbowała oczyścić skórę, wszystko mazało się i lepiło. W zasadzie najpierw powinien wziąć porządny prysznic.

Po dobrej godzinie Lidia się poddała. Nie miała już siły. Gdy tak siedziała naprzeciw mężczyzny, zastanawiając się, co dalej, podniósł głowę i zaczął się jej przyglądać przez szparki zapuchniętych oczu.

— Jesteś głodny? — Poderwała się. Czuła się przy nim nieswojo. Po części była z siebie dumna, że komuś pomaga, a po części żałowała tego, co zrobiła. Obawiała się, że wpakowała się w kłopoty.

Zrobiła kanapki z resztek, jakie znalazła w lodówce, i herbatę. Całe szczęście Mateusz wszystkiego nie wyczyścił. Ledwo postawiła talerz na stole, mężczyzna rzucił się na jedzenie, chociaż widać było, że sprawia mu to ból. Z kącików jego oczu popłynęły łzy. Dyskretnie mu się przyjrzała. Nie wszystkie rany wyglądały na świeże, z pewnością już wcześniej oberwał. Może brał udział w bójkach? Może jest jakimś zbirzem, chuliganem? Ciarki niepokoju przeszły jej po plecach. Jedno jest pewne: był w tragicznym stanie.

— Słuchaj. Jesteś strasznie obity. Twoje rany raczej nie wymagają szycia, ale nie wiem, czy nie

masz obrażeń wewnętrznych. Możesz zostać tu na noc, ale rano zawiozę cię do szpitala. Rozumiesz?

— Dziękuję — wychrypiął z pełnymi ustami.

„Tylko żebyś nie dostał krwotoku wewnętrznego i mi tu nie umarł!” — pomyślała, zaciskając szczęki i odganiając myśli, w których nadal wyzywała się od nieasertywnych kretynek.

Rozłożyła niewielką sofę, przykryła ją grubym kocem i dołożyła drugi.

Posiłek najwyraźniej bardzo pomógł. Mężczyzna jakby nieco się wyprostował i siedział trochę pewniej.

— Dasz radę pójść pod prysznic? — zapytała.

— Nie chcę robić więcej kłopotu... — Jego głos był ledwo słyszalny.

— Ciuchy wrzuc od razu do pralki — powiedziała tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Trochę nerwowo pobiegła do pokoju, by wziąć świeży ręcznik i jakieś ubrania. Wprawdzie Mateusz, jej brat, był niższy i tęższy, ale może znajdzie się coś pasującego. Przecież nie włoży tych brudnych ciuchów z powrotem na siebie ani nie będzie tu siedział goły. T-shirt i spodnie od dresu powinny być w sam raz.

Gdy ciszę nocy wypełnił delikatny szum lejącej się wody, niemal zasnęła na sofie i przygotowanych kocach. Ocknęła się nagle. Jej długie włosy kleiły się do spoconej twarzy, a bluzka do pleców. Lidia skrzywiła się mimowolnie. Z tylnej kieszeni dżinsów wyjęła gumkę i zebrała włosy na karku, by przestały się plątać, przypominając o tym, że wymagają mycia. Minęło ponad pół godziny, woda leciała, on nadal był w łazience. Zaczęła się zastanawiać, czy mężczyzna nie zasnął, i zaniepokoiła się. Co robić? Wejść? Zapukać? Na co jej to było? Tak bardzo chciała położyć się wreszcie spać. Wstała ciężko i poszła do swojej sypialni. Zaczęła się krzątać, ze zmęczenia szumiało jej w uszach, ale na chodzie wciąż trzymały ją resztki adrenaliny.

Drzwi łazienki otworzyły się i zamknęły, po chwili sofa zatrzeszczała. Lidia odetchnęła. Zdjęła spodnie, wyjęty spod bluzki stanik rzuciła na krzesło, by jak najszybciej wskoczyć do łóżka. Była pewna, że nie zaśnie taka brudna, spocona, z nieumytymi zębami, ale niemal natychmiast straciła świadomość.

Siedzę w samolocie i jednocześnie słyszę szum fal. Pewnie obniżyliśmy lot i jesteśmy tuż nad oceanem. Chcę wystawić rękę przez okno, by dotknąć fal, ale przecież w samolocie... Otwieram oczy, nie, to nie samolot, tylko kajak. Płynę kajakiem, a szum fal to rwący potok. Splywam w dół coraz szybciej, szum jest coraz głośniejszy, dudniący... Huk!

Hałas wyrwał Lidie ze snu. W pierwszej chwili nie wiedziała, gdzie jest, lecz szybko otworzyła szeroko oczy, przypomniawszy sobie wydarzenia minionej nocy. Zegar wskazywał jedenastą osiemnaście. Huk dochodził z mieszkania piętro niżej. Oczywiście. Tradycyjnie każdego lata gdzieś musi być remont. Na szczęście wielkodusznie zaczęli dopiero po jedenastej. Lidia zerwała się, naciągnęła legginsy i wybiegła z pokoju prosto do salonu. Stała jak wryta, widząc tył jego głowy. Niby wiedziała, kogo zobaczy, a jednak była zaskoczona. Jakby liczyła na to, że jakimś cudem należał do tamtego absurdałnego snu, więc zniknie wraz z nim. Potrząsnęła głową i okrążyła powoli sofę.

— Cześć. Widzę, że już wstałeś.

Jego twarz wyglądała okropnie. Zapuchnięta, w ciemne, sine i zielonkawe plamy. Lewego oka prawie nie było widać, a połowa wargi jakby należała do innej osoby. Niemniej wydawało się, że jest stanowczo lepiej niż wczoraj. Czyste włosy, czyste ciuchy i brak tamtego zapachu sprawiły, że nie wyglądał już na menela. Wysoki, bardzo szczupły, z przydługimi ciemnymi włosami i co najmniej kilkudniowym, a może i kilkutygodniowym zarostem byłby całkiem interesujący, gdyby nie te rany i opuchlizna. Wstał z trudem, niepewnie i patrzył na Lidie zmieszany, jakby nie wiedział, skąd się tu wziął. Gdyby opuchlizna nie zniekształcała mu twarzy, malowałyby się na niej niepewność i obawa. Pamiętał bowiem doskonale, jakie plany na rano ma ta dziewczyna.

— Yyy... słuchaj, może zrobię jakieś śniadanie, a potem pojedziemy, okej? — zaproponowała i dodała, gdyby nie załapał: — Do lekarza...

W tym momencie ktoś zadzwonił do drzwi, więc pobiegła otworzyć.

— Dzień dobry, aspirant Kowalski.

— Tak? — Lidia patrzyła na mężczyznę ubranego w cywilne ubranie, a zwłaszcza na jego twarz, którą z pewnością już kiedyś widziała.

— Czy rozpoznaje pani może tego mężczyznę? — Podetknął jej pod nos kiepskiej jakości zdjęcie. I zobaczyła twarz, która również kogoś jej przypominała. W jej głowie zapaliła się ostrzegawcza lampka.

— Nie, raczej nie...

— Niech się pani przyjrzy! Mogę wejść? — Policjant zaglądał nad jej głową do środka, ale niewiele mógł dostrzec, bo przedpokój miał kształt litery L i od drzwi było widać jedynie ścianę ozdobioną grafikami.

— A... czy mógłby pan pokazać legitymację?

Funkcjonariusz wyglądał na zmieszanego, zaczął grzebać w kieszeniach.

— Cholera, chyba zostawiłem w radiowozie. No, mniejsza o to. Niech pani jeszcze raz spojrzysz — nalegał.

— Nie, na pewno nikogo takiego nie widziałam. — Zmarszczyła brwi, wpatrując się w zdjęcie, i pokręciła głową, chociaż docierało do niej powoli, skąd zna tę twarz. — A kto to jest?

— Przestępca, proszę pani.

— A co zrobił? — Pomyślała, że policjant chyba nie powinien odpowiedzieć na to pytanie.

— Zgwałcił i zamordował dwie kobiety. Jest poszukiwany listem gończym.

— Tak? Tu, u nas? — Strach Lidii nie był wcale udawany. Trybiki w jej głowie pracowały na najwyższych obrotach, jednak coś tu nie pasowało...

— Tak, jedną w zeszłym roku, drugą w kwietniu. To bardzo groźny przestępca.

— Cóż, jeśli zobaczę kogoś podobnego, na pewno to zgłoszę pod sto dwanaście.

— Tak... to bardzo dobrze. Albo żeby było szybciej, bo wie pani, przepływ informacji... różnie bywa. Ja pani zostawię mój numer i niech pani nie dzwoni na sto dwanaście, tylko bezpośrednio do mnie — powiedział z naciskiem, wskazując palcem papier.

Po chwili blada jak ściana Lidia zamknęła drzwi na zamek i ściskając w spoczonej dłoni karteczkę, powoli weszła do salonu. Mężczyzny tam nie było. Stał w kuchni, trzymał nóż do chleba. „Kim on, do cholery, jest?”

Lidia patrzyła na niego, on na nią. Bez słowa. Bez ruchu. Jakby ktoś wcisnął pauzę. W końcu on ocknął się pierwszy i odłożył nóż na blat delikatnie, jakby był szklany, nie spuszczać oka z dziewczyny.

— To nie był policjant — wyszeptwała, a jej szept zlał się z odgłosami remontu. — Chyba że pobili cię wczoraj policjanci.

Pokręcił przecząco głową, wciąż wpatrując się w nią intensywnie.

— Nie jestem pewna, czy chcę wiedzieć... Miał twoje zdjęcie.

— Zabiją mnie, jak teraz wyjdę — powiedział. Patrzył na nią błagalnie.

Nagle nastała cisza. Pewnie „policjant” przerwał robotę sąsiadowi i teraz wypytywał go o mężczyznę ze zdjęcia.

— Kim jesteś? — Pytanie, choć wypowiedziane niemal szeptem, zabrzmiało jak krzyk.

— Słuchaj, daj mi przeczekać dzień, wieczorem wyjdę i nigdy więcej mnie nie zobaczysz — odpowiedział. — Jestem ci bardzo wdzięczny za pomoc. Nie chcę cię w nic wplątać.

Lidia zamiast na treść wypowiedzianych przez mężczyznę słów zwróciła uwagę na to, jak miękki i głęboki ma głos, i zaraz się za to skarciła. Przecież nic o nim nie wie. Może rzeczywiście jest niebezpieczny. Bez powodu nikt nikogo nie bije na ulicy.

— Mu... muszę iść do sklepu. Nie ma nic do jedzenia.

— Zaczekaj! — Teraz wydawał się jeszcze bardziej przerażony. „Pewnie pójdzie na policję. Będę musiał uciekać od razu, w dzień, gdy oni się tu kręcą” — pomyślał. Lidia była skołowana. Nie wiedziała, co o tym wszystkim sądzić. Wybiegła do sypialni i zamknęła się od środka. Rzuciła się do komputera, który nigdy nie uruchamiał się tak powoli jak teraz. W przeglądarce wpisała „Cieszyn morderstwo 2018”. Nic. Zmieniła więc wpis i uściśliła datę na kwiecień tego roku. Znalazła linki do przeróżnych wiadomości, ale żadna nie dotyczyła morderstwa młodej kobiety. Niemożliwe, by w lokalnych serwisach nie było o tym wzmianki. Zaczęła przeglądać ogólnodostępną bazę listów gończych, co uznała po chwili za bezcelowe. Ewidentnie facet nie był żadnym aspirantem, po prostu ściemniał. Nie miał przy sobie niczego, co mogłoby świadczyć o zbieraniu informacji, żadnego notesu, dokumentów, listu gończego. Nic prócz zdjęcia.

Stała przy oknie i spoglądała na ulicę. W jej głowie kłębiły się myśli i pytania. Minuty mijały. Już miała odejść od okna, gdy zobaczyła „policjanta”, który przeszedł na drugą stronę ulicy, rozejrzał się i podążył w kierunku zarośli oddzielających osiedle od lasu oraz dalszej części miasta. „A gdzie twój radiowóz?” — podsumowała sarkastycznie.

* * *

— Weź sobie lód z zamrażarki i przyłóż do oka. Idę do sklepu. Jak wrócę, wszystko mi opowiesz.
— Nie czekając na odpowiedź, wyszła i zamknęła za sobą drzwi na klucz.

Była zła. Na siebie. Na niego. I na nich. „Była noc, padałam na nos, mogłam choć raz wykazać się znieczulicą, choć raz olać innych. To dorośli ludzie, ich problemy. Po cholere się wmieszałam?” — myślała z wściekłością, wrzucając artykuły do koszyka.

— Ostrożnie! — krzyknęła jakaś staruszka, widząc, jak Lidia sięga po jajka.

— A tak, przepraszam. — Skrzywiła się i ostrożniej włożyła pudełko.

— Młodzi. — Kobieta przewróciła oczami.

W kieszeni zawibrował telefon.

Wiem, że miałaś mieć dziś wolne, ale zerknij, proszę, na te nowe poprawki, żebyśmy mogli ruszyć w poniedziałek, okej?

— Jasne, i tak przecież nie mam nic do roboty — powiedziała ze złością i po minie kasjerki zorientowała się, że zrobiła to na głos. Schowała telefon, ignorując SMS.

* * *

Gdy wróciła, leżał zwinięty na sofie. Bez słowa poszła do kuchni i zajęła się jajecznicą. Była potwornie głodna. Pół godziny później siedzieli przy stole w kuchni i jedli w ciszy. Właściwie to ona jadła, a on gapił się w pełny talerz.

— Nie lubisz jajecznicy?

— Nie mogę... — odezwał się.

Lidia nie wiedziała, że nie jadł od kilku albo i więcej dni. Nocny posiłek uratował mu życie, lecz po takiej głodowce organizm miał niemały problem z przyswojeniem czegokolwiek. Gdy Lidia spała, skręcał się z bólu i walczył z żołądkiem, który usilnie i jakby złośliwie chciał się pozbyć zawartości. Bolały go plecy, twarz pulsowała mimo tabletek przeciwbólowych, jakie dostał od swojej wybawicielki. Swędziała go skóra. Większość twarzy posmarował żelem z heparyną — podobno szybciej rozpuszczał zakrzepy, zapobiegał stanom zapalnym i przyspieszał gojenie — i dodatkowo przykładał okład z lodu.

Dziewczyna przyglądała mu się bez skrępowania. Na zdjęciu od rzekomego policjanta wyglądał całkiem nieźle, czego nie można było powiedzieć przy obecnym stanie twarzy. W ciuchach Mateusza, czysty przynajmniej nie przypominał już bezdomnego. Pomyślała, jak łatwo kogoś ocenić po wyglądzie. Chociaż nadal nie wiedziała, kim jest.

— Lidia — przedstawiła się, gdy przełknęła ostatni kęs chleba, i wyczekująco spoglądała na swojego gościa.

Spojrzał na nią, ale wciąż milczał. Jakby rozważał, co powiedzieć, jaką wersję wybrać: kłamstwo czy prawdę.

— Nie chcę cię w nic mieszać. Przeczekam tylko i...

— Nie — ucięła. — Jesteś tu, bo gdybym wróciła do domu wcześniej albo później, pewnie byłbyś już martwy. To nie jest zwyczajna sytuacja. I możesz nie chcieć mnie mieszać. Powtarzam: jesteś tu, a to mój dom i muszę wiedzieć, kogo w nim przyjmuję.

Sąsiad najwyraźniej miał dar robienia sobie przerw w hałasowaniu w dość osobliwych momentach, co tylko spotęgowało ciężar ciszy, jaka zaległa między nimi. Napięcie rosło. Nie miał innego wyjścia, musiał coś powiedzieć, coś wymyślić. Nie był przygotowany na taką sytuację, nie układał scenariuszy. Tymczasem jej oczy zdawały się wypalać mu twarz.

— Dobrze. Dopadli mnie, bo wiszę im forszę. Dużo kasy — powiedział, nie patrząc na nią. Czuł, jak nieszczerze i infantylnie to zabrzmiało.

— Lidia — powtórzyła swoje imię i wyciągnęła do niego rękę.

— Wiktor — wydusił z wahaniem, podając jej dłoń. Syknął z bólu.

— Jesteś w kiepskim stanie, wiesz o tym i ja to wiem — powiedziała. — Jeśli dostaniesz gorączki, będzie problem. Nie mam w domu antybiotyków. Mogłabym poprosić koleżankę farmaceutkę, aby rzuciła na ciebie okiem.

— Nic mi nie jest. Wyliżę się. Bardzo mi pomogłaś, dziękuję.

— Tak... ona z pewnością zaczęłaby zadawać pytania — ciągnęła dalej. — Ale zastanów się, może jeśli poszedłbyś na policję, zrobiłbyś obdukcję...

— Nie! Nie, naprawdę nie mogę. Nie rozumiesz... Jak trafię na posterunek, wyjadę nogami do przodu. Oni... — Im więcej jej powie, tym gorzej będzie dla niej.

— Cokolwiek zrobiłeś, to musi dać się jakoś rozwiązać. Dziś jesteś tutaj i okej. Pomogę ci, ale muszę mieć przynajmniej blade pojęcie, kim jesteś i co mi za to grozi.

— Wieczorem pójdę, nikt się nie dowie, że tu byłem. — Pokręcił głową.

— Niech ci będzie. — Poddała się. — Rozgość się, odpocznij. Mam coś jeszcze do zrobienia, do pracy. I muszę się ogarnąć. — Uśmiechnęła się.

Gliwice, 2013, Karolina

Ostatni wolny weekend. Bolą mnie plecy od siedzenia i przeglądania tych wszystkich rzeczy. Tak jak myślałam, moje ubrania, buty, książki i cała reszta zmieściły się w szafie, i to na dwóch najmniejszych półkach komandora, którego odkryliśmy w przedpokoju, a Marta wciąż walczy.

— Nie po to targałam to wszystko ze sobą, żeby teraz powyrzucać — jęczy ze łzami w oczach. — Popatrz na te spodnie. Piękne są!

— Aha, tylko o dwa numery za małe.

— Schudnę!

— Jasne. — Nie mam siły się z nią kłócić, ale spodnie rzucam na górę rzeczy do wywalenia. Marta zabija mnie wzrokiem. Na szczęście odpuszcza.

— To chyba twoje?

Rzeczywiście, to mój mały plecak, który nadal czeka na swoje miejsce w nowym domu. A w nim całe moje życie. Mogłabym stracić wszystko, ale utrata tego, co się w nim znajduje, byłaby jak utrata tożsamości. Otwieram klamrę i rozwiązuję sznurek. Wyjmuję szarą, pozaginaną na rogach teczkę i woreczek. Marta patrzy na mnie jeszcze chwilę, po czym wzdycha. Zabiera się do dalszego przeglądania swoich rzeczy, tym razem butów. Otwieram teczkę, choć nie mam teraz czasu na sentymenty, i mimowolnie przenoszę się do świata wspomnień.

„Wojtek i Karolina, Rabka-Zdrój 1997” — wystarczy zobaczyć ten napis, by poczuć się jak wtedy. Odwracam fotografię i widzę nas. Miałam osiem lat, Wojtek jedenaście. Mimo upływu lat kolory nadal są intensywne, może dlatego, że od początku były nienaturalnie mocne. Moje niesforne, niemal białe na tym zdjęciu włosy kontrastują z ciemną plamą włosów Wojtka. My. Głowa przy głowie. Roześmiani. To była jedna z nielicznych chwil, gdy byliśmy naprawdę szczęśliwi, i w dodatku uwieczniona na jedynym zdjęciu, jakie mam z tamtego okresu. Pani Maria nigdy nie robiła nam zdjęć, nie zasługiwaliśmy na to. A tam, w Rabce, niczego nieświadoma wychowawczyni po prostu biegała z polaroidem, by każdemu zrobić fotkę na pamiątkę. Ja i Wojtek koniecznie chcieliśmy mieć wspólną. Pstryknęła więc dwie takie same i powiedziała z powagą: „Gdy będziecie już dorośli, to zdjęcie będzie przywoływać wspomnienia dzieciństwa tak jak te zdjęcia, które robią wam rodzice, jak wasze pamiątki — całe mnóstwo przedmiotów i miejsc z przeszłości!”. Była tak przekonująca i optymistyczna, że poczułam się wspaniale, mimo że nie posiadaliśmy żadnych takich rzeczy. Wtedy po prostu cieszyliśmy się chwilą. Mieliśmy siebie.

W drodze powrotnej, do rzeczywistości, Wojtek w autokarze spojrzął mi w oczy i mocno ścisnął za rękę. Za mocno, ale powaga, z jaką patrzył, nie pozwoliła mi na najmniejszy grymas. Powiedział, żebym nigdy nikomu nie pokazywała zdjęcia, absolutnie nikomu, i żebym strzegła go przed panią Marią. Przysięgłam mu to, a potem schowałam fotografię w foliowy woreczek, który ukryłam w szczelinie za psią budą. Bardzo chciałam mieć je blisko, w ramce na biurku, tak jak Bożenka, koleżanka z klasy, którą

raz odwiedziłam. Pani Maria nigdy by jednak na to nie pozwoliła. Nie wolno było mieć niczego swojego. Pamiętam, jak Ulka znalazła gdzieś kolorową spinkę ozdobioną błyszczącymi kamyczkami. Bała się ją nosić, więc schowała pod poduszkę. Kiedy to się wydało, przez tydzień nie dostawała kolacji i musiała wmyć wszystkie okna w domu, chociaż był siarczysty mróz. Nawet nie płakała, ale odtąd niczego już nie włożyła pod poduszkę i twierdziła, że nie cierpi biżuterii.

— Chyba jednak je wywalę, popatrz na te obcasy, co myślisz?

— Tak, zdecydowanie, zuch dziewczyna — mówię to szybciej, niż rejestruję, o jakie buty chodzi, ale Marta tego na szczęście nie zauważa. Wyjmuję z plecaczka moją szczęśliwą żyrafę i zanoszę do swojego pokoju, by znaleźć dla niej godne miejsce.

Gliwice, sierpień 2019

Na pogrzeb przyszło niewiele osób. Właściwie tylko koleżanki, koledzy, jacyś znajomi i jej chłopak. Edyta, najlepsza przyjaciółka Karoliny od czasów liceum, dziwnie się czuła, pytając Dawida, czy mogłaby pomóc w zorganizowaniu pożegnania. Jeszcze bardziej zaskoczyła ją jego odpowiedź: „Karolina nie życzyła sobie stypy”. Podobno powiedziała mu, że nie chce, by ludzie po niej płakali. To było do niej niepodobne, zawsze szanowała wszelkie tradycje. Sama była nawet na pogrzebie pani Marii i spotkaniu po nim. Mówiła, że co było, to już nieważne, człowiek umarł i trzeba go należycie pożegnać. Może choroba ją tak zmieniła? Czasem tak bywa. A jednak Edyta nie potrafiła odgonić od siebie myśli, że coś jest nie tak. Wszystko właściwie było nie tak. Gdzie jest Wojtek? Przecież był jej bratnią duszą, kimś dużo ważniejszym niż nawet najlepsza przyjaciółka. Wyjechał do Czech i coraz rzadziej się kontaktował, coraz rzadziej przyjeżdżał. Napisała do niego mail, SMS, przesłała wiadomość przez Facebook i WhatsApp, ale nie odpowiedział. Nie przyjechał. Nic.

Edyta dyskretnie się rozejrzała. Popatrzyła na Dawida, on też zdawał się rozglądać, nawet raz się odwrócił. Czarujący. Karolina oszalała na jego punkcie, traktował ją jak księżniczkę, czyli chyba tak jak żaden mężczyzna dotąd. Szybko zostali parą, chociaż Karolina zawsze mawiała, że „w barze czy na ulicy nie poznaje się faceta, którego należy traktować serio”. Tymczasem to właśnie w pubie Dawid podszedł do niej, by oddać apaszkę, którą zgubiła nie wiadomo gdzie i kiedy. A potem się zaczęło. Była tak nim zauroczona, że coraz mniej czasu spędzały razem, coraz płytsze były ich rozmowy, jakby Karolina była stale myślami gdzie indziej. Miała przeprowadzić się do niego do Warszawy, ale wciąż to on mieszkał u niej. Podobno miał jakiś kontrakt na Śląsku. Żyła z nim i nim. Całkowicie straciła głowę. Beztraska i szczęście nie mogą jednak trwać wiecznie. Zaczęła chorować. A teraz nie żyje.

Po pogrzebie ludzie zaczęli się rozchodzić. Dawid był cichy, poważny, jakby przybrał kamienną maskę, by jakoś się trzymać. Brakowało w jego oczach tego blasku, który nie zniknął przy Karolinie. Edyta pomyślała ze współczuciem, że dla niego to zapewne najtrudniejszy dzień.

— Ciągle trudno mi w to uwierzyć. — Zapłakana Marta podeszła do niej. — Nigdy nie chorowała. No może jakiś katar, grypa, ale to?

— Chodź, pójdziemy do mnie i popłaczymy sobie. Nie będziemy udawać, że wszystko jest okej. — Objęła koleżankę ramieniem.

* * *

— Uwielbiam twoje mieszkanie. — Marta z zachwytem rozejrzała się po przestronnym wnętrzu. Edyta odziedziczyła mieszkanie w starej kamienicy po babci i wyremontowała je własnymi rękami, dzięki czemu miało niepowtarzalny styl i urok. — Ileż wieczorów tu razem przesiedziałyśmy. Tylko tu jest ta magia. Pamiętasz, jak Karolina mówiła, że jeśli upijać się do nieprzytomności, to wyłącznie u ciebie? Bo tylko tu jest to bezkarne i nigdy nie ma się kaca. — Rozpłakała się na dobre.

Edyta, nic nie mówiąc, przyniosła z kuchni butelkę porto.

— Trochę wcześniej jest — zaprotestowała słabo Marta.

— Za wcześniej było jej umierać...

Długo milczały, potem rozmawiały i znów milczały. Wspominały. Zastanawiały się, co by było, gdyby...

Karolina nie była zbyt wylewna. Na studiach długo trzymała się z boku, była cicha, ciągle w książkach. Od początku mieszkała w akademiku w jednym pokoju z Martą. Gdy się wprowadzała, nie miała prawie nic. Marta nie pochodziła z majątnej rodziny, ale w porównaniu z nią wręcz opływała w materialne dobra. Czasem proponowała jej pożyczanie żakietu czy sukienki, ale Karolina długo odmawiała. Miała trampki, kozaki na zimę, szpilki na egzaminy, jeden jesienny płaszcz, który wkładała także zimą, wpychając pod spód znoszony gruby sweter. Nawet bieliznę prawie codziennie prała, bo miała jej mniej niż dni w tygodniu.

— Pamiętasz, jak kupiliśmy jej pod choinkę mascarę i szminkę? — mówiła Edyta przez łzy. — Była zdziwiona, jakby widziała to pierwszy raz w życiu. Znałam ją dłużej, więc wiedziałam dlaczego, ale ty byłeś w szoku. Jak dorosła kobieta może nie mieć czegoś tak podstawowego?

— Tak ją wychowali.

— Raczej próbowali zniszczyć. W liceum zawsze była tą najcichszą i najskromniejszą, ale dobrze się uczyła, nie sprawiała problemów, więc nikt się nią nie interesował. Czułam, że coś jest nie tak. Nikogo do siebie nie zapraszała. Mówiła, że ciasno mają.

Karolina nigdy się nie skarżyła, nie narzekała jak inni, na pogodę, wczesne wstawanie czy zmęczenie. Długo nie opowiadała o swojej rodzinie, lecz w końcu wyznała, że miała trudne dzieciństwo, bez rodziców, w rodzinie zastępczej, gdzie kobieta, która miała być jej matką, kazała do siebie mówić „pani Mario”, a tylko w obecności kuratorki, nauczycieli lub innych osób z zewnątrz — „mamusiu”.

Podczas długich wspólnych wieczorów, przy czerwonym winie opowiadała przyjaciółkom o rygorze, dotkliwych karach i upokorzeniach, ale nie oskarżała, nie żaliła się, tylko zdawała relację z tego, jak było, jakby nie mogło być inaczej. I zawsze czepiała się tych momentów, krótkich chwil, gdy było dobrze. Kilka razy dostała pozwolenie, by wyjść do koleżanek na urodziny, no i w czwartej klasie pani Maria ubrała ją w śliczną, błyszczącą sukienkę księżniczki, gdy w szkole organizowano bal przebierańców. Akty dobroci i przejawy serdeczności pojawiały się tylko wówczas, gdy ich świadkiem była kuratorka lub miała się o nich dowiedzieć. Przecież zawsze należało jej się pochwalić, powiedzieć prawdę, ale tę dozwoloną.

Pani Maria nigdy nie uderzyła żadnego z dzieci, nawet nie krzyczała. Była oazą spokoju i równowagi. Trzymała jedynie bezwzględną dyscyplinę i wszelkie występki karała brakiem jedzenia, zimnym prysznicem, odizolowaniem bez światła w pustym pokoju na weekend lub upokorzeniami. Każdy szybko się uczył, gdzie jego miejsce, i żaden bunt nie trwał dłużej niż dwa, góra trzy przewinienia. Karolina uniknęła wielu kar dzięki Wojtkowi. Był starszy, rozważniejszy i od początku objął ją dyskretną opieką. Razem trafili do pani Marii. I razem przetrwali.

Opiekunka szczyliła się tym, że od niej prawie nikt nie odchodzi, że „jej dzieci” są dobrze wychowane, pilne i pokorne. Zawsze była ich szóstką. Gdy Karolina i Wojtek zostali skierowani z pogotowia opiekuńczego do jej domu, mieszkały w nim dwie dużo starsze dziewczyny, które wkrótce opuściły dom, i dwoje dzieci tylko trochę starszych od nich. Byli we czwórkę jedynie kilka dni, gdy wprowadził się Jarek ze złamaną nogą, która źle się zrosła, potem już zawsze kulał, a następnie mała Jadzia. I ona szybko się nauczyła, że płakać nie wolno.

— Nie rozumiem Wojtka. Jak mógł nie przyjechać! — oburzyła się Marta. — Jest ostatnią osobą, po której bym się tego spodziewała.

— Pisałam do niego. Na WhatsAppie widać, że odczytał wiadomość.

— A odpisał ci cokolwiek?

— Nie. Mogę sprawdzić jeszcze raz, ale wczoraj wieczorem patrzyłam... O, chwila... coś jest — Edyta zmarszczyła brwi, przesuwając palcem po ekranie smartfona. — *Jestem zalamany. Nie mogę przyjechać na pogrzeb, nie puszczą mnie tak z dnia na dzień. Trzymaj się. Smutna buźka i tyle.*

Dziewczyny spojrzwały na siebie z niedowierzaniem.

— Nie poznaję go, serio...

— Ja też.

Milczały chwilę, próbując przetrwać wiadomość od Wojtka. Obie pomyślały o tym samym. Blisko dwa lata temu, tuż po wyprowadzce i ślubie cywilnym Marty, sąsiad z góry zalał Karolinie mieszkanie. Właścicielka stwierdziła, że mało bierze za wynajem i zrezygnuje wspaniałomyślnie

z planowanej podwyżki, jeśli Karolina sama upora się ze uszkodzonymi. Przy okazji wyszło na jaw, że ani sąsiad, ani ona nie mają odpowiedniego ubezpieczenia i nikt nie ma zamiaru w niczym pomóc. Wojtek na drugi dzień był na miejscu. I oczywiście było dla niego to, że musi pomóc „siostrze”. Nie czekał, aż poprosi kogoś innego. Po prostu był. Jak zawsze. Aż do dziś.

— Może jakiś awans mu obiecali i rzeczywiście nie mógł...

— To nie w jego stylu. — Edyta pokręciła głową.

— Masz rację. Zupełnie nie w jego stylu — przyznała Marta po chwili zamyślenia.

Cieszyn, sierpień 2019

Myśli Lidii cały czas krążyły wokół Wiktora — nie potrafiła skupić się na pracy. W końcu dała za wygraną i zaczęła rozmyślać. Miała ogromną ochotę zadzwonić do Olgi i wszystko jej opowiedzieć. Ciekawe, co by na to powiedziała. Czy nazwałaby ją kretynką i kazała wyrzucić typa z domu, czy może przyleciałaby szybko, aby ocenić obiekt i przypomnieć jej tradycyjnie, że staropanieństwo nie służy nikomu? Uśmiechnęła się na tę myśl. Nie, nie może nic powiedzieć Oldze, mimo że to jej najbliższa koleżanka i w zasadzie mówią sobie wszystko. Chociaż to zwykle Olga mówi. Opowiada, jakim fajtłapą jest jej mąż Rafał, co zaważył, czego nie zrozumiał między wierszami i tak dalej. Choć życie Lidii było przy tym blade i zupełnie nijakie, nie spieszyło jej się wcale do tego, czym w domu żyła Olga, jednocześnie zachwalająca instytucję małżeństwa i krytykująca ją jako najgorszą rzecz, która może się przytrafić kobiecie. Oczywiście nie zauważała, że — w dość komiczny sposób — przeczy samej sobie.

Lidia miała coraz większe wątpliwości. Wiktor nie powinien w tym stanie chodzić po mieście. Nie powinno też go tu w ogóle być. Jak za dawnych czasów, gdy nie mogła się zdecydować, wzięła kartkę, ołówek i zaczęła wypisywać za i przeciw temu, by zaproponować mu pozostanie na weekend. Siedziała nad tym blisko godzinę. Zdecydowanie więcej punktów było pod wyrazem „przeciw”. Wpatrywała się w nie, a potem spojrzała na ten po drugiej stronie: „dorwaj go i będzie to moja wina”. Zmiała kartkę i wyszła z pokoju.

Wiktor siedział na sofie i czytał Harariego.

— Kawy? — rzuciła, idąc do kuchni.

Zerwał się i jęknął. Najwyraźniej zapomniał, jaki jest poobijany. Poszedł za nią, kulejąc.

— Nie chcę sprawiać kłopotu, naprawdę, udawaj po prostu, że mnie tu nie ma.

— Czytasz moją książkę, to i mojej kawy możesz się napić.

— Przepraszam. Już odkładam. Ja... musiałem zająć czymś myśli i...

Zaczęła się śmiać. Czowała się coraz swobodniej, nie bała się go, miała wrażenie, że to on obawia się jej. Miał w sobie dziwne napięcie. Jakby ciągle czuł się zagrożony i ta chwila luzu z książką wpędziła go w poczucie winy. Było jej go po ludzku żal. Zrobiła dwie kawy i postawiła na stoliku w salonie. Zauważyła, że koce, które dała mu na noc, są starannie złożone w kostkę. Usiadła więc i wskazała mu miejsce obok.

— Słuchaj, nie będę ukrywać — zaczęła. — Zastanawiałam się, co zrobić. Jeśli faktycznie jest tak, jak mówisz, i jesteś winien komuś kasę, to powiedz mi, co planujesz?

— No... zdobędę ją i oddam.

— Aha, wybacz, że to powiem, ale nie wyglądasz na kogoś, kto ot tak — pstryknęła palcami — zorganizuje ciężarówkę gotówki i odda złym ludziom, którzy, naturalnie, grzecznie podziękują, życząc ci miłego dnia. Zakładam, że dla drobnych nie bije się ludzi po nocach.

Milczał, patrząc na nią szeroko otwartymi oczami, i próbował coś wymyślić.

— Wiem, że to nie moja sprawa — dodała po chwili, a na usta cisnęło jej się „ale”. Zamiast tego zwyczajnie zapytała: — Masz jakiś plan?

— To skomplikowane.

— Ha, ha, ha, gdzieś już słyszałam ten tekst. A! Mój były chłopak mi tak powiedział zaraz po tym, jak skończył całować swoją nową dziewczynę. Wiesz, puste słowa nie są teraz w cenie. To nie *small talk*. — Spoważniała i wpatrywała się wyczekująco w jego twarz. — Dobrze, nie wiem nic i nie chcę wiedzieć, ale jeśli twój pobyt tu ma mieć jakiś sens, to dam ci szansę, jeżeli oczywiście gdzieś ci się nie

spiesz. Możesz zostać tu na weekend, siniaki tak szybko nie zejną, ale na pewno będziesz odrobinę lepiej wyglądał.

— Dlaczego? — zapytał ostrożnie, chociaż widać było, że wyraźnie mu ulżyło.

— Bo nie chcę cię mieć na sumieniu.

Wiktor otworzył usta, by coś powiedzieć, gdy rozległ się dzwonek leżącego w sypialni telefonu. Lidia poszła odebrać.

— Hej, Olgo!... Tak... Tak?... Aha... Yhm... No dobrze, nie ma sprawy. Nie, nie, nie! Wpadnę do was i sama go odbiorę. Tak, nie ma problemu, właśnie mnie złapałaś, jak wychodzę. Muszę wstąpić po yyy... nowy mikser, tak, a obok ciebie jest sklep z AGD, tak że... Aha, całkowicie się rozleciał. No, to kupię i wstąpię przy okazji po Hektora. Nie ma problemu. Będę za góra pół godziny, możecie się szykować. No, pa. — Włożyła komórkę do kieszeni. — Będziemy mieć gościa — poinformowała, wkładając baleriny. Niepokój na twarzy Wiktora kazał jej dodać: — To pies.

* * *

Olga jak zwykle miała tysiąc pomysłów na minutę, a w dodatku niektóre z nich wcielała w życie. Tym razem znalazła niebywałą ofertę *last minute* „Rodzinny weekend z atrakcjami. Agroturystyka górska”. Cokolwiek to miało znaczyć, Olga chciała to przeżyć. Rafał nie miał wyjścia, musiał odżalować sobotnie długie spanie i wylegiwanie się przed telewizorem przez resztę dnia. Dużo bardziej zależało mu na świętym spokoju i uniknięciu wyrzutów żony, więc chcąc nie chcąc, zgodził się na weekendową eskapadę. Gdyby tylko spróbował się wykręcić, Olga wypominałaby mu lenistwo, egoizm, brak zainteresowania rodziną, dziećmi i nią samą przez co najmniej pół roku. Hektor niestety nie mógł jechać, więc nie pierwszy już raz lądował u Lidii, która go wprost uwielbiała.

— Co wybrałaś? — Przyjaciółka przywitała Lidię pytaniem.

— A takiego philipsa. — Lidia pokazała z dumą pudełko.

— Takiego zwykłego? Trzeba było już wziąć jakiś bardziej wypasiony sprzęt. Szkoda, że nie poszłam z tobą wybrać. — Pokręciła głową z dezaprobatą. — A właściwie jak zepsułaś tamten? Przecież ty nigdy nic nie pieczesz. Używasz w ogóle takich rzeczy jak mikser?

— Właśnie miałam zamiar użyć i okazało się, że nie działa. Może się zepsuł dlatego, że nie był używany? — Lidia wzruszyła ramionami.

— Wszystko jest możliwe. A co będziesz robiła?

— Co? — Lidia czuła, że zaczyna się pocić. Okłamywanie przyjaciółki ją przerastało.

— No, do czego ci mikser? Włosów chyba nie będziesz nim kręcić. — Oldze dopisywał świetny humor. — Kawki? Serniczka? — zaproponowała, nim Lidia zdążyła wymyślić odpowiedź.

— Nie, dzięki. No... właśnie chciałam upiec jakiś sernik. Na zimno. Bo upał jest.

— Upiec na zimno? Lepiej idź i oddaj ten mikser, a sernik ci zapakuję. I już może nie piecz nic na zimno.

— No tak — wydusiła zawstydzona Olga.

Tymczasem Hektor, piękny i wielki, jak na swoją rasę, wyżeł niemiecki, wbiegł przez patio do salonu i rzucił się na Lidię, by godnie ją przywitać, liżąc, gdzie tylko to możliwe. Gdy Lidia zajęta była zabawą z psem, Olga spakowała do worka jego rzeczy, zwinęła w rulon posłanie i zabezpieczyła folią solidny kawał sernika. Wszystko to oraz smycz z Hektorem na jej końcu po chwili wylądowało w rękach Lidii.

— Przepraszam cię, kochana, że sprawiam ci kłopot i w dodatku cię wyrzucam, ale muszę się spakować. Przecież Rafał nie ma pojęcia, co wziąć, nawet jego muszę ogarnąć. Nie wierzę prognozom, nie wiem, czy pogoda się utrzyma. I cholera wie, czego się tam spodziewać — jak agroturystyka, to może będzie błoto, więc kalosze wskazane, no ale wieczorem pewnie jakaś kolacja, więc zastanawiam się, czy nie wziąć tych nowych...

— Olga!

— Co?

— Lecę już, a ty nie gadaj, tylko się pakuj, bo nie zdążysz do jutra. Hektora odwiozę ci rano w poniedziałek przed pracą, okej?

— Dzięki, kochana. Dzięki stokrotne. I...

Lidia niemal wybiegła, w czym pomógł jej Hektor, ciągnąc ją w kierunku samochodu. Z radością wskoczył na tylne siedzenie, jakby to on jechał na ekscytującą wycieczkę. Wrzuciła do bagażnika rzeczy psa i zajęła miejsce kierowcy.

— Podobno psy znają się na ludziach. Zobaczymy — powiedziała do siebie i uruchomiła silnik.

Gliwice, 2015, Karolina

Za klientem zamknęły się drzwi i już dzwoni telefon. To Wojtek. Uśmiecham się — ma wycucie czasu. Jestem w biurze sama i aktualnie niewiele mam do zrobienia.

— Cześć, jak tam? Udało się?

— Hej, tak, wszystko zgodnie z planem. Podpisałem umowę na okres próbny, na dwa miesiące.

— Świetnie! — mówię, bo wiem, że tego właśnie pragnął, chociaż nie cieszy mnie to, że wybrał ofertę pracy w Czechach, skoro bez trudu znalazłby podobne, jeśli nie takie same, w Polsce. — To co, chłodzić szampana? Wpadniesz na kolację?

— Oj, siostra, i po co ten sarkazm. — Tak mówi, ale słyszę śmiech w jego głosie. — Wypij za mnie. Szampan jest cały twój! A ja niedługo zacznę ci przysyłać paczki z zagranicy, jak już będę obrzydliwie bogaty. Na próbnym mam dwadzieścia sześć tysięcy!

— Szkoda, że nie złotych — stwierdziła rozbawiona i dodała: — Jesteś porąbany.

— Wiem. — Roześmiał się. — Muszę lecieć, odezwę się jeszcze wieczorem.

Zawsze był blisko. Wkrótce minie dwadzieścia lat. Gdy się poznaliśmy, posikiwałam jeszcze w majtki, a on wydawał mi się taki mądry i dorosły, chociaż był w drugiej klasie podstawówki. Wciąż to pamiętam: krzyki, zamieszanie, ktoś mnie obudził, kazał się ubierać, a potem byłam w tym pustym pokoju z samymi łózkami. Ja i inna starsza ode mnie dziewczynka. Opowiadała mi jakieś potworne historie, więc cały czas płakałam i oczywiście się zlałam. Wtedy przyszła Kobieta Anioł, jak ją nazwałam. Uspokajała mnie łagodnym głosem, głaskała po głowie i dała kawałek czekolady. Mówiła, że czeka na mnie nowy dom, gdzie troskliwie się mną zaopiekują i będzie lepiej. Tłumaczyła, przemawiała. Chciałam do domu, do mamy, nie rozumiałam, co się dzieje. Ona wciąż powtarzała, że tak będzie lepiej, że kiedyś zrozumie. Wojtkę poznałam chwilę potem. Też czekał na transport i też był przerażony, chociaż z pewnością nie było tego po nim widać tak bardzo jak po mnie. Siedzieliśmy w trójkę na ławeczce w korytarzu, po lewej stronie siedział Wojtek, a po prawej Kobieta Anioł obok mnie. Czekaliśmy sparaliżowani strachem. Jedną ręką trzymałam jej dłoń, drugą jego, jakbym chciała stworzyć sobie z tych dwojga ludzi tarczę. Ona ciągle coś mówiła, pocieszała nas i próbowała dodać nam otuchy.

Później pojechaliśmy razem do domu pani Marii i pana Jędrzeja. Kobieta Anioł zniknęła, lecz Wojtek pozostał do końca. Miał się wynieść w wieku osiemnastu lat, ale wciąż uczył się w technikum i miał bardzo dobre stopnie niemal z każdego przedmiotu, co pani Maria, naturalnie, przypisywała sobie, jak wszystkie nasze mniejsze lub większe sukcesy. Potem poszedł na studia i odwleknął przeprowadzkę jeszcze o rok, by mnie nie zostawić. W zamian za zgodę pani domu regulował sporą część domowych opłat, serwisował za darmo jej dwa samochody, z których jeden co chwila się psuł. Dorabiał w warsztacie. Wiem, jak wiele go to kosztowało.

Każdy marzył, by wyrwać się z tego domu, przecież widzieliśmy, jak żyją inne dzieci — u nas nie było miłości i troski. Ciągle nam przypominano, jakim jesteśmy ciężarem, „niewdzięcznym pomiotem” — słowami cedzonymi przez zęby, szorstkim traktowaniem i poniżaniem. Wojtek powtarzał: „Jestem twoim bratem, razem tu trafiliśmy i razem opuścimy to miejsce, rozumiesz?”. To on, nie pani Maria, dawał mi siłę do życia, nauki w szkole, znoszenia tego wszystkiego. Tylko on mówił mi, że jestem śliczna, dobra, mądra i kochana. Długie lata wierzyłam, że naprawdę jest moim bratem. Inne dzieci też tak myślały, pani Maria zaś zdawała się tego nieświadoma, aż pewnego dnia dostałam karę, nie pamiętam za co tym razem. Musiałam stać w spiżarni od powrotu ze szkoły do dwudziestej drugiej. To było dziewięć godzin bez obiadu, kolacji i możliwości siedzenia, bo miejsca było tyle, że gruby Karol nigdy nie dostał tej kary, gdyż zwyczajnie nie mieścił się w pomieszczeniu. Pani Maria pewnie nad tym

ubolewała, ponieważ był strasznym łasuchem i z pewnością cierpiałby tam bardziej niż inni. W spiżarni zawsze było otwarte okienko, umieszczone wysoko nad głową nawet wyższego dziecka. Dwie ściany zajmowały wysokie regały z półkami wypełnionymi konfiturami i pasteryzowanymi zupami w słojach, a z sufitu zwisały suszone kiełbasy, które pani Maria dostawała po świniobiciu od wójta. Po latach dowiedzieliśmy się przypadkiem z mediów, że wójt przed kolejnymi wyborami chwalił się, iż za darmo ofiarowuje swoje wyroby rodzinie zastępczej. Nie wiedział pewnie, że owe dobra mogliśmy oglądać jedynie przy okazji odbywania kary.

Tamtego dnia było strasznie zimno. Wojtek zakradł się po kolacji, przyniósł mi swoją bułkę i kurtkę. Bardzo ryzykował. Przed dwudziestą drugą miałam zdjąć okrycie i wepchnąć gdzieś za słoiki przy podłodze. Niestety, przysnęłam na stojąco ze zmęczenia. Ocknęłam się, gdy ona otworzyła drzwi. Nie było awantury. „Mamusia” zmierzyła mnie stalowym wzrokiem, po czym zaprowadziła do jadalni i ruchem dłoni nakazała stanąć przy ścianie.

— Rozbierz się do naga — powiedziała cicho, niemal życzliwie, co zwiastowało srogą zemstę.

Potem przyprowadziła pozostałe dzieci i kazała im na mnie patrzeć. Miałam dwanaście lat, zaczynały mi rosnać piersi i okropnie się wstydziłam. Byłam upokorzona. Mnie kazała patrzeć na nich. Karol miał wtedy już siedemnaście lat, więc nie mógł się opanować, poczerwieniał i ślizgał się wzrokiem po moim ciele. Wojtek patrzył mi w oczy przez cały czas, walczył ze łzami i rodzącym się buntem. Dyskretnie, niemal niezauważalnie pokiwałam głową, by nic nie robił. Wiedział, że jeśli da się sprowokować, pożałujemy jeszcze bardziej.

— I jak, kochany, podoba ci się siostra? — Słowa pani Marii ociekały słodkim jadem. — Ja wiem, co knujecie. Urodziła cię, chłopcze, dziwka z Rud, a ją inna dziwka z Piekar. To, że obie wasze mamusie były szmatami, nie oznacza, że jesteście rodzeństwem. Jesteście odpadkami, które przygarnęłam pod swój dach, żeby zrobić z was ludzi. Większość z was tego nie docenia. I tak pewnie skończycie w rynsztoku, skąd pochodzicie. Nie macie pojęcia, jak ciężko jest zmienić żwir w złoto.

Jej tyrada trwała długo, rozkręcała się z każdym zdaniem i dopiero trzaśnięcie drzwiami wyrwało ją z transu. Jej mąż wrócił z pracy, z popołudniowej zmiany. Ponieważ sama była już zmęczona, dała sobie spokój i kazała nam iść do łóżek. Na zakończenie oznajmiła tylko, że to nie koniec, świdrując Wojtka wzrokiem. Na drugi dzień nie poszedł do szkoły, stał cały dzień w spiżarni, a ja po lekcjach czyściłam w kuchni przez resztę dnia przypalone garnki i patelnie. Przeholowała i Wojtek zachorował na obustronne zapalenie płuc. Spędził trzy tygodnie w szpitalu, a pani Maria ciągle szeptała mi do ucha, że najpewniej jutro umrze z mojej winy. Nie wolno mi było puścić pary z ust, bo wtedy — jak twierdziła — przyjedzie policja i zabierze mnie do więzienia dla dzieci, gdzie śpi się na podłodze i jada obierki, a w dodatku już nigdy nie zobaczyłabym Wojtka.

Te wspomnienia często do mnie wracają. Analizuję, zastanawiam się, co mogliśmy zrobić, jak się wyrwać, jak zdobyć dowody. Pani Maria była niezwykle cwana. Udowadniała wszystkim wokół, jak nas kocha i o nas dba, odejmując sobie od ust. Dawała maskotki, kazała się uśmiechać, robiła zdjęcia dla kuratorium, a potem wyrывała zabawki z rąk i chowała na inną okazję. Biegała z nami do lekarza przy byle infekcji, by pokazać swoją troskę. To była niewielka wieś. Lekarz był szwagrem wójta.

Planowałam, że gdy skończę osiemnaście lat, odejdę i pójdę prosto na policję. Wówczas nie wiedziałam, że i przed tym potrafiła się zabezpieczyć. Gdy wyprowadziliśmy się z Wojtkiem, dostaliśmy pisemną opinię, dobrą, ale ze wskazaniem na różne niepokojące objawy z przeszłości, nad którymi pani Maria oczywiście pracowała i zniwelowała je dzięki swej przepełnionej ciepłem i dobrem sumiennej oraz cierpliwej postawie każdego dnia. Kopia dokumentu, rzecz jasna, musiała również znaleźć się w kuratorium. Wytłumaczyła nam, że chociaż zapewne nie lubiliśmy jej metod, były właściwe, i jeśli podważymy w jakikolwiek sposób jej autorytet, zniszczy nas. Bez trudu udowodni, że konfabulujemy, nie mamy żadnych dowodów i jesteśmy niezrównoważeni psychicznie, bo dzieciaki takie jak my są z gruntu złe i niestabilne.

Przez lata pozwalała nam oglądać reportaże o koszmarnych szpitalach psychiatrycznych, kazała czytać książki o podobnej tematyce i wmawiała nam, że właśnie tam trafimy, jeśli spróbujemy skalać jej imię. Byliśmy zmanipulowani, zastraszeni, chcieliśmy tylko uciec i uwolnić się na zawsze od tego świata. Potem pojawiły się wyrzuty sumienia, ale było już za późno.

Wkrótce po naszym odejściu do domu pani Marii trafił szesnastolatek, Michał, którego rodzice zginęli w wypadku samochodowym. Nikt z rodziny go nie przyjął na stałe, bo był tak zwanym trudnym dzieckiem. Pani Maria z radością powitała go w swoich progach, pewnie wężąc dla siebie wyzwanie. Znał inne życie — był jedynakiem rozpieszczonym przez rodziców, więc długo nie wytrzymał. Skończył dokładnie tam, gdzie obiecywała nam zawsze pani Maria. Okazało się jednak, że to miejsce nie do końca odpowiadało jej opisowi — i po pewnym czasie zaczęto uważniej przyglądać się jej domowi i metodom. Nim zebrano wystarczającą liczbę dowodów, pani Maria zmarła, w dodatku uznano, że jej mąż, osoba o bardzo niskim ilorazie inteligencji, nie zdawał sobie sprawy z tego, co się działo w domu. Po zastanowieniu doszłam do wniosku, że gnębiła nas zazwyczaj, gdy go nie było, a kary zawsze były poza zasięgiem jego wzroku, gdyż albo był w pracy, albo spał, albo oglądał telewizję. W ogóle nie wchodził do naszych pokoi czy kuchni. Nie interesował się poczynaniami żony i naszym losem. Po jej śmierci był zupełnie bezradny.

Oglądaliśmy z Wojtkiem reportaży i oboje płakaliśmy, słuchając słów Michała. Jest dla nas bohaterem. Od tamtej pory inaczej patrzymy na świat, zmieniła się perspektywa i chociaż wiem, że byliśmy wtedy zniewoleni psychicznie i zbyt zastraszeni, by cokolwiek zrobić, jest mi wstyd.

Kenirovice, 2016

Minął rok, odkąd Wojtek objął stanowisko elektromechanika. Szybko zadomowił się w Kenirovicach, chociaż gdy przyjechał, nikogo nie znał i w zasadzie pierwszy raz zetknął się z językiem czeskim na żywo. Teraz mówił czymś na kształt polsko-czeskiej hybrydy, co niezmiernie bawiło kolegów i jego samego też. Najważniejsze, że coraz lepiej się rozumieli i rzadziej dochodziło do nieporozumień, które zwykle były dość zabawne i urozmaicały im pracę, ale też nieco ją dezorganizowały, choć to ostatnie zauważał tylko szef, który skrupulatnie pilnował terminów. Wojtek był jednak specjalistą w swoim fachu i ze wszystkim potrafił się uporać na czas.

Początkowo zamieszkał w najtańszym w okolicy hostelu. Musiał jednak dojeżdżać blisko dwadzieścia kilometrów do warsztatu, więc nie było to najlepsze rozwiązanie. Po niecałym miesiącu wiedział, że chce tę pracę na dłużej i z pewnością dostanie umowę, więc zaczął rozglądać się za czymś wygodniejszym i nie tak oddalonym. Z pomocą przyszli mu oczywiście nowi koledzy, którzy świetnie orientowali się, gdzie i u kogo najlepiej wynająć pokój lub kawalerkę, w miasteczku bowiem niemal wszyscy się znali. Wkrótce zadomowił się w małym mieszkanku, które właściciel dumnie nazywał studiem. Dopiero potem Wojtek dowiedział się, że to nie żadna nowomowa, ale właściwa nazwa. Miał do dyspozycji pokój, do którego wchodziło się wprost z klatki schodowej, małej aneks kuchenny i łazienkę z prysznicem. Całe dwadzieścia trzy metry kwadratowe. I zaledwie dwadzieścia minut piechotą lub pięć samochodem do pracy. Idealnie.

Nie miał zamiaru się tu osiedlić, ale też nie planował dalej niż dwa, trzy lata do przodu. Nic go nie ograniczało i sam decydował o swoim losie. Jedyne miejsce, z jakim czuł się związany, było tam, gdzie Karolina — cała jego rodzina. Jeśli wracał, to właśnie do niej.

Bardzo szybko polubił Czechy, kraj otwartych, szczerych i niezwykle przyjaznych ludzi. Nawiązał wiele znajomości, a koledzy z warsztatu i fabryki przyjęli go do swego grona. Spontaniczne spotkania z przeróżnych okazji i bez, szybkie piwka po pracy, wspólne wyjazdy na ryby z Igorem, Pavlem i Kubo sprawiały, że nie czuł się obco ani samotnie.

W Polsce jedyną prawdziwą przyjaciółką była dla niego Karolina. Reszta ludzi wokół — mieszanina przeróżnych bliższych i dalszych znajomych — zmieniała się w zależności od tego, gdzie był i co robił. Karolina — jego cała rodzina w jednej osobie — była niczym ukochany dom, do którego się wraca. Często o niej myślał. Przez lata przywykł do tego, że troszczył się o siebie nawzajem. Bez względu na czas czy odległość byli sobie najbliżsi. Kochał ją, jak kocha się własne dziecko, matkę lub siostrę. Bezinteresownie, bez zazdrości, pożądania, zaborczości, a jednocześnie z troską i gotowością do pomocy w każdej chwili. Drobną, sprawiającą wrażenie niepewnej i delikatnej dziewczyną, której włosy latem układały się w długie rozjaśniane słońcem fale, a zimą przybierały złocisto-miodowy odcień, zawsze budziła w nim poczucie odpowiedzialności, jakby rzeczywiście była jego podopieczną. Zbyt

krucha wobec świata, potrzebowała kogoś, kto ją ochroni. To podejście nie zmieniło się nawet wtedy, gdy oboje dorośli, chociaż doskonale wiedział, że w tej niepozornej postaci kryje się silna, mądra i rozważna kobieta.

W Kenirovicach panowała jako taka stabilizacja. Ci sami ludzie, którzy tu byli, są i nigdzie się nie wybierają, spokojny, stały rytm życia, przewidywalność przyszłych godzin, dni, miesięcy. To wszystko dawało poczucie spokoju i bezpieczeństwa. Było mu to potrzebne, przynajmniej na jakiś czas. Ot, proste życie.

Tego dnia trochę zmarzł, a w zasadzie okropnie przemarzł, i w dodatku nie miał możliwości rozgrzać się alkoholem jak koledzy. Tym razem to on wyciągnął złamaną zapałkę ze smukłej dłoni Eliški, która pracowała w HR i z którą zetknął się na początku swojej kariery w Kenirovicach. Jej urok niewątpliwie miał wpływ na entuzjastyczne podejście do nowego miejsca i pracy. Zrobiła współczującą minę, gdy wyjął ten nieszczęsny kawałek drewnianka. Cóż, trudno. Ktoś przecież musi usiąść za kółkiem. Dzień był pochmurny, dość wietrzny, chociaż wcześniej zapowiadano słońce i kilka stopni więcej. Nikt jednak nie miał zamiaru zmieniać ustalonych wcześniej planów z tak trywialnego powodu jak pogoda. Ostatecznie nie było burzy z gradobiciem. Zapakowali wędkę, cały osprzęt, skrzynkę piwa, obowiązkową śliwovicę i trochę jedzenia.

Wyruszyli we czterech: Wojtek, Igor, Pavel i Kubo. Ten ostatni bez przerwy mówił o tym, że bez porządnego szczupaka lub dwóch nie ma zamiaru wracać do domu. Ryby muszą mieć minimum po siedemdziesiąt centymetrów długości. Kubo chciał udowodnić swojej żonie, że nie bez powodu tyle wydał na nowy, porządny sprzęt, chociaż ma już kilka bardzo dobrych zestawów.

— A Ty, Wojtek, kiedy zaprosisz Eliškę na drinka? — zainteresował się Igor.

— Albo na tańce. Wiecie, że on jeszcze ani razu nie był w naszej dyskotekce? — wtrącił Pavel.

— No, to idziemy w sobotę! — ucieszył się ten pierwszy.

— Hola, hola! Nie lubię dyskotek.

— Ale może Eliška lubi. — Kubo puścił oko.

— A skąd wam w ogóle przyszło do tych pustych łbów, że ona chciałaby...

— Stary, czy ty jesteś ślepy? — przerwał mu Pavel. — Robi do ciebie maślane oczy, odkąd się tu pojawiłeś.

— Nie sądzę, po prostu jest miła. To część jej pracy. — Wojtek wzruszył ramionami, choć wiedział, że koledzy tak łatwo nie odpuszczają, a w dodatku mogą mieć odrobinę racji. Eliška była uroczą filigranową blondynką z niebotycznie długimi włosami i rzęsami. Miała piękny uśmiech i kilka innych detali, na które zwrócił uwagę, chociaż zwykle zapamiętywał niewiele szczegółów, rozmawiając z kobietami.

Przyjaciele wybuchnęli śmiechem, co z pewnością nie zachęciło szczupaków, ale kto by tam myślał o rybach... na rybach.

Gdy męski wypad miał się ku końcowi, wszyscy prócz Wojtka mieli już ostro w czubie. Oczywiście nie złowili niczego godnego uwagi i wszystkie drobne rybki, które złapały się na haczyki, wylądowały z powrotem w wodzie. Rozmowa zeszła znowu na lokalną politykę i burmistrza, który według Kubo dawno powinien ustąpić, bo nakradł już tyle, że więcej się nie da. Igor również narzekał, że to kombinator i niedawno dostał w prezencie od dyrektora fabryki nowiutki samochód w wersji superkomfortowej.

— Ja się wcale nie dziwię. Jak się kręci lewy biznes, to trzeba mieć władzę po swojej stronie — stwierdził Pavel.

Koledzy pokiwali głowami.

— Myślałem, że pracuję w uczciwej firmie — rzucił Wojtek.

— No, my to tak. Część serwisowa jest czysta jak łza, ale fabryka... uuu... to już inna bajka. — Pavel wyraźnie miał ochotę o tym porozmawiać.

— Daj spokój, Pavel, ty już masz dość i pleciesz. Po co młodemu kładziesz te bzdury do głowy — spróbował go zastopować najbardziej trzeźwy poza Wojtkiem Kubo.

— Niech wie! Mówię ci, oni robią, co chcą, i posłuchaj, Wojtek, bo ja widziałem i...

— Dobra, chłopaki, czas się zwijać. Już nic nie złowimy, piwo się skończyło, a to znak! — Kubo

wstał i zaczął się zbierać, nie dając Pavlowi dojść już do głosu. — Pavel, bierz no się za te sácky1.

— Ale ty nic nie złowiłeś! — zauważył Pavel. — Będziesz musiał nową wędkę oddać, he, he.

* * *

„Trzeźwość ma swoją cenę” — pomyślał Wojtek kilka dni później. Nie potrafił wyrzucić z głowy słów Pavla o fabryce. Coraz bardziej ciekawiło go, o co też mogło chodzić. A może to tylko pijacki bełkot. Zwykle rozmowy i dyskusje z takich spotkań nie pozostają długo w pamięci, co ma taką zaletę, że na kolejnym spotkaniu można znów obgadywać to samo i znów jest fajnie. Jednak Pavel poruszył nowy dla Wojtka temat i zastanawiające było to, że koledzy dość szybko i skutecznie go ucięli. Zwłaszcza że Pavlowi niełatwo przerwać, gdy jest pijany, i zwykle uparcie nadal opowiada swoje, nawet jeśli już nikt nie ma ochoty słuchać. Tym razem było inaczej i Wojtek postanowił do tego wrócić, gdy będą tylko we dwóch. To wprawdzie nie jego sprawa, ale ciekawość nie da mu spokoju.

Miał zamiar zagadać kolegę po pracy i pójść z nim na piwo do baru Pod Dubem2. Akurat była sobota, zostało ich kilku w warsztacie i wszystko wskazywało na to, że to właśnie oni dwaj wyjdą ostatni. Niestety okazało się, że jest jeszcze do zrobienia diagnostyka i naprawa usterek w dwóch samochodach, a grypa położyła do łóżka kolegę, który miał się tym zająć. Ponieważ Wojtek miał zaplanowaną pracę na poniedziałek i swoje zobowiązania co do terminów, a nikogo odpowiedniego już nie było, zgodził się zostać dłużej. Miał nadzieję, że upora się z tym w godzinę, góra dwie. Minęło jednak dużo więcej czasu, a on nadal siedział w warsztacie — teraz już sam — i usiłował usunąć z systemu komputerowego sterowania klimatyzacją błąd, który blokował pracę całego układu, chociaż nic nie wskazywało na to, by powodem była jakaś mechaniczna usterka.

Było ciemno, gdy opuścił budynek jako ostatni. Uporządkował narzędzia, zabrał tomik *Hovory věcí*3, który zostawił dla niego Pavel, pozamykał wszystko i pojechał do domu. To jednak nie był koniec pechowego dnia. Czuł potworny głód, lecz nie miał już ochoty na włóczenie się po mieście w poszukiwaniu wolnego miejsca. W sobotni wieczór, taki ciepły i przyjemny jak ten, trudno było o stolik w pękających w szwach restauracjach i kawiarniach, a w barach szybkiej obsługi trzeba by stać w kolejce. Z pewnością spotkałby kogoś, dałby się namówić na kilka głębszych i do domu wróciłby nad ranem. Nie tym razem. Postanowił zjeść w domu kanapki i od razu położyć się do łóżka.

Siedząc przy na wpół opróżnionym talerzu, zdecydował się zadzwonić jeszcze do Karoliny. Może też nigdzie nie wyszła? Zwykle rozmawiali w piątki po pracy, czasem w soboty. Wczoraj nie zadzwoniła, on też to odłożył, a teraz mimo zmęczenia miał ochotę otworzyć do kogoś gębę i ponarzekać na to, jakie ciężkie jest życie człowieka pracującego.

Zaczął szukać telefonu. Przetrzęsnał kieszenie, sprawdził w kuchni i toalecie, poszedł do samochodu pewien, że tam z pewnością go znajdzie. Niestety. Zamknął auto i oparł się o drzwi. Spojrzał w niebo usiane tysiącem gwiazd, przesunął wzrokiem po czarnej plamie drzew i spróbował przypomnieć sobie, gdzie ostatnio go widział. Warsztat. Musiał go tam zostawić. Był wściekły. Nie miał najmniejszej ochoty wracać o tej porze do zakładu. Wkurzony wsiadł jednak do auta i pojechał w kierunku miejsca pracy.

Nie chciał zawracać głowy stróżowi, który o tej porze już na pewno drzemał nietrzeźwy w dyżurce, zostawił więc samochód przed bramą. Kiedy mijał stróżówkę, zauważył, że pan Jan istotnie smacznie śpi na siedząco, z głową opuszczoną bezwładnie na klatkę piersiową.

Nie potrzebował dużo czasu, by znaleźć telefon — leżał tam, gdzie zwykle go kładł. Wcisnął komórkę głęboko do kieszeni i wyszedł z zamiarem szybkiego powrotu do domu, lecz jakiś ruch przyciągnął jego uwagę. Najwyraźniej jakiś samochód z wyłączonymi światłami zajechał za fabrykę. Gdyby nie to, że była jasna gwieździsta noc, zapewne nie zauważyłby niczego. Nie zastanawiając się zbyt długo, poszedł w tamtym kierunku. Zatrzymał się, gdy usłyszał przytłumione głosy. Nie rozumiał wypowiedzianych zbyt cicho i z oddali słów, lecz był prawie pewien, że ktoś rozmawia po polsku. Po chwili lekko trzasnęły metalowe drzwi i zaległa cisza. Ostrożnie podszedł bliżej brzegu ściany i zajrzał za róg. Na placu parkowały dwa ciemne samochody. O jeden z nich opierał się barczysty mężczyzna. Na szczęście stał tyłem, w innym razie z pewnością zobaczyłby Wojtka, oświetlonego przez umieszczoną na bocznej ścianie lampę.

Wojtek przypomniał sobie fragmenty bełkotu Pavla z pobytu nad jeziorem i bezszelestnie się wycofał. Wrócił do swojego wozu i powoli, również bez włączonych świateł, objechał budynki i zatrzymał się za drzewami na skraju lasu, który częściowo roztaczał się za parkingami i magazynami. Był daleko, spowity przez ciemność, ale widział stamtąd plac i bramę. Nie wiedział, ile minęło czasu, stracił zupełnie rachubę. W końcu brama z metalicznym szmerem niesłyszalnym za dnia ruszyła w górę i wyjechał załadowany po brzegi autotransporter, zasłaniając dwa samochody i mężczyznę. Nic się nie działo, a potem lora powoli wyjechała poza teren fabryki i jak każdy zwyczajny transport odjechała. Po chwili oba SUV-y również zniknęły Wojtkowi z oczu. Czekał jeszcze parę minut, lecz nic więcej się nie wydarzyło.

Gliwice, sierpień 2019

Marta starannie malowała paznokcie wściekle różowym lakierem i głośno myślała, co mogłoby być irytujące dla kogoś, kto musi się skupić, ale Ludwik — oaza spokoju i cierpliwości — jak zawsze słuchał, poprawiając jednocześnie kartkówki swoich uczniów.

— Ten Nosiński mi się nie podoba. Jest jakiś taki... Sama nie wiem...

— Od początku go nie lubisz.

— No właśnie! A wiesz, że mam nosa do ludzi. Pamiętasz tamtą jedną z parteru, jak...

— Tak, pamiętam, skarbie — przerwał jej.

— Mówię ci, znam się na ludziach. — Zamilkła tylko na kilka sekund. — A Dawid jest bardzo podejrzany.

— Tak?

— Sam się zastanów: przystojny, megaszarmancki, zawsze pojawiał się wtedy, kiedy trzeba, podbijał do Karoliny dość intensywnie, ale nie natarczywie, jakby był do tego szkolony! — wyliczała. — A wiesz, że Karolinie nie było łatwo zaufać komuś nowemu, zawsze z dużym dystansem podchodziła do facetów. — Podmuchała na pomalowane paznokcie lewej dłoni.

— Masz rację.

— No właśnie, a tu co? Przyniósł tę durną apaszkę, a ona jakby się jakiegoś feromonu nawciągała!

— Nie przesadzaj.

— Pamiętasz, jak mówiła: W barze czy na ulicy...

— Nie poznaje się faceta, którego należy traktować serio — dokończył.

— A on się wkręcił w barze i na ulicy jednocześnie!

— Co masz na myśli?

— Pamiętasz przecież. Wszedł do baru z apaszką i powiedział, że widział, jak jej spadła na ulicy.

— Trafna uwaga.

— Napiszę do Edyty, muszę to z nią obgadać, bo mnie dręczy. Albo ty napisz, mam jeszcze mokry lakier. Komórka leży gdzieś na biurku.

— Skończę tylko to i zaraz napiszę.

— Zaraz to mi wyschną i napiszę sama.

— No to kto pierwszy. — Uśmiechnął się do żony.

* * *

Dwie godziny później Edyta i Marta siedziały w Kolorowej i popijały latte.

— Karolina kochała to miejsce — stwierdziła smutno Marta.

— Zastanówmy się nad tym Dawidem — powiedziała Edyta rzeczowo, wczuwając się w rolę detektywa. — Co o nim wiemy?

— Pracuje w agencji nieruchomości Parker & Matela w Warszawie. Jest tam jakąś szychą, ale nigdy się nie dowiedziałam, jakie właściwie zajmuje stanowisko. Sprawdziłam ich stronę i wygląda normalnie. Jest portfolio, imponujący kapitał zakładowy i są w rejestrze. *Full legal*.

— Czemu miałyby być inaczej? To, że coś z nim nie tak, nie oznacza, że pracuje w nielegalnej

firmie.

— Racja.

— Musimy się do niego jakoś zbliżyć. Zauważ, że odkąd wprowadził się „tymczasowo” do naszej Karoliny — Edyta w powietrzu nakreśliła palcami cudzysłów — jakoś ciągle spotykałyśmy się poza jej mieszkaniem. A jak już byłam u niej, to nie odstępował nas na krok. Stale tam siedział.

— Pracował w tych samych mniej więcej godzinach co ona. — Marta wzruszyła ramionami i dodała: — Bardziej mnie zastanawia, że zawsze chował telefon do kieszeni, nigdy nie kładł go na stole i miał tę swoją... teczkę, aktówkę? Jak to się nazywa?

— Według mnie to torba, tylko wygląda bardziej elegancko, jak neseser, i chyba ma zamek na kod.

— Tak, ma, widziałam. Tylko po co?

— Musimy go odwiedzić.

* * *

Było po dziewiętnastej, gdy zadzwoniły do drzwi mieszkania Karoliny.

— Witaj, Dawidzie. — Edyta przestąpiła z nogi na nogę. — Możemy wejść?

— Tak, to znaczy... pakuję się i bardzo spieszę — odpowiedział, wahając się. — Dostałem pilne wezwanie do Warszawy, muszę jak najszybciej przywieźć ważne dokumenty. Przepraszam was, dziewczyny. — Zrobił zboląłą, ale jednocześnie przyjazną minę.

— Jak się trzymasz? — rzuciła szybko Marta, by nie zamknął im drzwi przed nosem.

Dawid spuścił głowę, a jego oczy wydawały się przekrwione, jak u kogoś, kto jest bardzo zmęczony lub płakał.

— Nie wiem, nie umiem tego ogarnąć, dopiero tu była, wszędzie czuję jej obecność... Naprawdę wierzyłem, że wyzdrowieje. Byłem niemal pewien... — Zamilkł z bezbrzeżnym smutkiem na twarzy. Trochę odsunął się od drzwi, ale nadal nie otwierał ich szerzej. — Gdyby nie praca, chyba zapiłbym się na śmierć, nie wiem, jak będę bez niej żyć. Mieliśmy... mieliśmy się zaręczyć, tylko Karolina nalegała, żebym zaczekał, aż upora się z chorobą. Tak mocno walczyła... — Łzy dwiema strużkami popłynęły mu po policzkach. Starał się ukradkiem je otrzeć, jakby wstydył się, że płacze.

— Może masz ochotę pogadać? Pomyślałyśmy z Edytą, że pewnie potrzebujesz wsparcia. — Marty głos nieco się załamywał.

— Dziękuję, naprawdę. Muszę sam się z tym uporać. Tak będzie lepiej. Wyjadę, skupię się na pracy... I tak muszę. Moi szefowie są wymagający, naciskają, bo gonią mnie terminy, nie mam wyjścia.

— Gdybyś jednak czegoś potrzebował, czegokolwiek...

— Dziękuję. — Nieoczekiwanie przytulił Martę, a potem Edytę i powoli wycofał się do mieszkania.

* * *

Szły ulicą w całkowitej ciszy, którą w końcu przerwała Marta.

— Jesteśmy świnie. On naprawdę cierpi, a my podejrzewamy go cholera wie o co. Chyba jednak myślałam się co do niego.

— Szybko zmieniłaś zdanie. Mnie zastanawia, dlaczego tak bardzo nie chciał, abyśmy weszły do środka, i mówił, co czuje, praktycznie na klatce schodowej. Na pewno wie o tej wścibskiej plotkarze, która mieszka obok. Jeżeli tylko była w domu, podsłuchiwała. Na bank.

— No wiesz? On cierpi, nie obchodzi go, co jakaś obca baba myśli — oburzyła się Marta.

— A jednak... Skoro cierpi, to czemu tak łatwo poddaje się naciskom z pracy? Sporo zarabia, jest na konkretnym stanowisku i z pewnością ma w tej firmie coś do powiedzenia. To nie szeregowy pracownik, który ulega presji. Na pewno mógłby wziąć wolne, skoro jest tak zrozpaczony. W żalobie każdy by tak zrobił, a nie... — dodała Edyta i machnęła ręką w geście niezrozumienia.

Marta zmarszczyła brwi i trawiła w głowie słowa koleżanki. Może coś rzeczywiście jest nie tak?

— Czekaj. — Złapała Edytę za rękaw i stanęła. — Mamy przecież klucze. Może zaczekamy, aż odjedzie, i zajrzemy do środka?

— Teraz trzeźwo myślisz. Nie zaszkoździ.

Cieszyn, sierpień 2019

Cały dzień poszukiwań i nic. Zdenerwowanie mieszało się ze strachem, gdy zaczął dopuszczać do siebie myśl, że szanse na znalezienie zbiega są znikome. Facet zapadł się pod ziemię. Wątpił, by wyjechał z miasta w tym stanie i bez grosza, więc raczej się gdzieś zadekował. Niewykluczone, że zna kogoś z miasta i ten mu pomaga, ale ktoś przecież musiał go widzieć, coś wiedzieć. Sebastian ścisnął głowę obiema rękami po to, by się skupić i coś wymyślić, ale też żeby nie wybuchnąć kolejny raz.

— Ciągłe śmierdzisz — wycedził z obrzydzeniem.

— No sorry, stary. Mogłeś mnie wcześniej stamtąd wypuścić. Wiesz, kurwa, co ja tam przeżyłem? — wyjęczał chłopak. Mimowolnie wzdrygnął się na samo wspomnienie.

— Zamknij się! Miałeś mu, kurwa, tylko żarcie wsunąć przez jebaną szparę w drzwiach. Nawet tego nie umiesz zrobić?! — Sebastian zerwał się na równe nogi.

— Sorry, ale... Bolo mówił, że go złapaliście...

— A widzisz go tu gdzieś?! — Sebastian wymachiwał rękami wokół. — Tak samo durny jesteś jak Bolo, imbecyl pieprzony! Miałeś jedno proste zadanie: zanieść typowi chleb po południu, wsunąć przez szparę i zamknąć jebane drzwi! Po co ten łańcuch tam instalowałem, co? No po co? Żebyś go, kurwa, nie ruszał!

— No... chciałem tylko sprawdzić, czy...

— No to, kurwa, sprawdź! Teraz wypierdalaj i sam go szukaj, a jak nie znajdziesz, to zamieszkas w tej jebanej piwnicy na stałe!

— No weź, Sebuś, gdzie ja go znajdę? — wyskamlał młodszy z braci ze łzami w oczach. — Jak tobie uciekł, to jak ja...

— Zamknij się, gnoju, i daj pomyśleć. Beczysz jak baba. — Spojrzał na młodego z odrazą. Z chłopakiem ciągle były problemy, do niczego się nie nadawał. Sebastian uważał, że siedemnaście lat to dość, by wykonać proste zadanie, zwłaszcza że Alan ciągle dopytywał, kiedy brat dopuści go do „interesów”, pozwoli być współnikiem, zabierze na jeden ze swoich wypadów, ale był słaby, za miękki. Do tego gapowaty. W teorii palił się do wszystkiego, a jak przyszło co do czego, zwyczajnie się bał i szukał wymówek.

Trzymanie więźnia w piwnicy to odpowiedzialne zadanie, jednak Sebastian nie mógł cały czas zajmować się niančeniem ojca, brata i jeszcze tego typu pilnować. Nie mógł nie pojawiać się regularnie w klubie i zaniebować swoich spraw. Za chwilę okazałoby się, że lokal nie jest już jego. Nauczył się, że na kumpli nie można liczyć — zaklinają się, że wskocząliby za tobą w ogień, lecz bez zastanowienia odejdą, gdy ktoś machnie im przed oczami większą kasą. A konkurencja nie śpi. Musiał też odebrać towar, pokazać Rudiemu, że panuje nad sytuacją, pracuje płynnie jak zawsze i generuje odpowiednie zyski.

Potrzebował tylko dwóch dni. Alan już wcześniej zanosił tamtemu żarcie, więc Seba uznał, że to bezpieczne wyjście. On pojedzie do Czech, a młody raz dziennie podrzuci porcję i będzie pilnował starego na piętrze. Proste. Sebastian wszystko pięknie pozalatwiał, wrócił do miasta, by dopilnować biznesu w klubie, a potem wstąpił na noc do swojej dziewczyny, by zrelaksować się po robocie, zanim wróci do domu i tego całego syfu, zwłaszcza że wszystko szło jak z płatka — Alan pierwszego dnia świetnie ogarnął sytuację, nawet zmienił staremu zaszczańą pościel i jakoś przeżył jeden z jego ataków, do których obu braciom wciąż trudno było się przyzwyczaić. Dopilnował, by ojciec wziął leki, i Sebastian zaczął mieć nadzieję, że jednak będą z niego ludzie. Nawet do głowy mu nie przyszło, że ten tępy szczył zapomni o swoich obowiązkach, jak tylko uruchomi konsolę, i dopiero gdy sam poczuje głód, którego nie da się zignorować, oderwie się od wirtuala i przypomni sobie o realnym świecie. Głupek zrobił kolację i dla siebie, i dla więźnia, o ojcu natomiast tym razem zapomniął, po czym otworzył normalnie drzwi i wszedł do środka. Redyński musiał jakimś cudem się podkurować i wykorzystał sytuację. Sebastian był tak wściekły na brata, że w tej chwili szczerze go nienawidził. Nawet to, że Alan oberwał wiadrem, upadł na pokrytą ekskrementami podłogę, został zamknięty na resztę nocy i cały kolejny dzień, nie wzbudzało w nim żadnej litości.

Miał dosyć łażenia po ludziach i wypytywania, uśmiechania się do staruszek i powtarzania setki razy tego samego, gdy wszyscy jak zakłęci tylko kiwali przecząco głowami. W dodatku kilka osób zdawało się go kojarzyć. Bolo i inni ogarniali pozostałe dzielnice, lecz nikt niczego się nie dowiedział. Zrobili wielki błąd, uciekając. Trzeba było wziąć typa za fraki i spierdalać razem z nim — po raz nie wiadomo który wypominał sobie niewłaściwą decyzję. Wszystko przez Bola, tego kretyna. Musiał wrzasnąć to swoje tchórzliwe „Gliny!”. Oczywiście mógł to być radiowóz, światła ich oślepiły i nie byli w stanie tego ocenić. Każdy dał drapaka w inną stronę. Seba też wiał, ile sił w nogach. Gdy ochłonął, uświadomił sobie, że nie słyszy syreny, osiedle nadal śpi, jak spało, więc wrócił, lecz nadaremno.

Zostawił trzęsącego się brata i wyszedł do ogrodu. Zapalił papierosa. Jak on to teraz powie Rudiemu?

* * *

— Znowu widziałam tego faceta! — Lidia wpadła z Hektorem do mieszkania i szybko zatrzaskała drzwi. Nerwowo i pospiesznie przekreśliła zamek.

Była niedziela. Wiktor za kilka godzin miał opuścić jej mieszkanie i nigdy więcej się w nim nie pojawić. Przygotowała dla niego szarą czapkę z daszkiem i ciuchy tak różniące się od tych, w których go znalazła, jak tylko się dało. Nawet podcięła mu przydługie włosy i kupiła jednorazową maszynkę. Wciąż nosił konkretne ślady pobicia, ale wyglądał inaczej.

— Biegł sobie, jakby uprawiał jogging. W dresie, na luzie. Mam wrażenie, że już go gdzieś w tym wydaniu widziałam. Może mieszka w okolicy? — Opadła na sofę wciąż wzburzona.

„I wcale się nie mylisz” — pomyślał Wiktor, a głośno powiedział:

— Cholera. Będę ostrożny. — Wzruszył ramionami.

— Może odprowadzę cię z Hektorem? Albo nie! Zawiozę cię gdzieś. Moje auto stoi tuż pod klatką — zaproponowała.

— Wykluczone. Nikt nie może cię ze mną zobaczyć.

— Daj spokój — prychnęła.

— A co, jeśli jakiś sąsiad podkabluje? Jest lato, starsze panie siedzą w oknach i monitorują okolicę.

— Żadnej nie widziałam.

— Tu jest dużo mieszkań. Spore szanse, że jednak któraś lubi gapić się na ulicę i ludzi.

— To poczekamy, aż wszystkie pójną spać.

Hektor, nie dzielając zupełnie niepokoju ludzi, skakał radośnie wokół Wiktora i witał się, jakby zwykły jednogodzinny spacer był potwornie długim rozstaniem, a dopiero co poznany mężczyzna najlepszym kumplem. W zasadzie już piątkowego popołudnia powitał go tak gorąco, jakby znali się od lat. Wówczas Lidia, wierząca psiej intuicji, doszła do wniosku, że jednak postępuje właściwie. Zjedli potem sernik Olgi i nawet trochę pośmiali się z kilku opowiedzianych przez Lidię anegdot dotyczących psa.

* * *

W zamku zachrobotał klucz i w jednej chwili do mieszkania ktoś wszedł. Lidia rzuciła się do przedpokoju.

— Mati?!

— No, Mati, a ty co taka spanikowana? Zapomniałaś, że masz brata?

— Nieee, tylko nie spodziewałam się ciebie.

— Powinienem był się zapowiedzieć? — Zdziwił się i badawczo przyjrzał się siostrze. — Coś się stało? A! Nie jesteś sama. — Zrobił wymowny ruch brwiami i wszedł dalej. Ujrzał Wiktora w salonie, więc odwrócił się do Lidii, zaczął robić dziwne miny i szczerzyć się, jakby przyłapał ją na czymś niezwykle zabawnym i nie do końca przyzwoitym.

„Jakż on jest głupi, dziecinny i niemożliwy” — pomyślała.

— Nie wiedziałem, że masz gościa. Może faktycznie zacznę dzwonić przed przyjazdem. — Puścił oko do Wiktora, który szybko przywołał na twarz wyluzowany uśmiech. — Jestem Mateusz, brat

Lidii. — Wyciągnął rękę na przywitanie. — Dla przyjaciół Mati, a ty pewnie jesteś jej nowym chłopakiem.

— To Wiktor, kolega... z pracy — szybko interweniowała.

— Wiktor.

Mateusz spojrział na koszulkę Wiktora i rozpoznał w niej swoją. Uśmiechnął się znacząco.

— Spokojnie, możecie wyluzować. Zostają tylko kilka dni i nie będę przeszkadzał. Mam huk roboty! — Wyszczерzył się.

— Właściwie miałem zaraz iść. Omówiliśmy jeden problem z pracy i w zasadzie to będę leciał.

— Wiktor również starał się uśmiechać. Tylko neutralnie.

— O, a jaki problem? — zapytał Mati. — Lidia zawsze mi opowiada o swojej robocie, czasem nawet udaje mi się coś sensownego doradzić. Przywiozłem, moim zdaniem, najlepsze piwo na świecie, to unikat, bardzo trudno je dostać, a ja mam całą skrzynkę w samochodzie. Nie dajcie się prosić! No, chyba że ci dzieci w domu płaczą — zwrócił się do Wiktora i przez chwilę badawczo przyglądał się jego twarzy.

— Właśnie, zostań jeszcze chwilę. A ty idź po to piwo. — Całkiem naturalnie udało jej się uzyskać lekki ton.

* * *

— No to zajebicie. Teraz nigdzie nie pójdziesz, i w dodatku musimy coś wymyślić. Co ty z tą pracą? Nawet nie wiesz, co robię! — Wzburzenie wróciło, jak tylko za Matim zamknęły się drzwi, a kroki na korytarzu ucichły.

— To mi powiedz. — Wiktor wolałby wiedzieć o niej jak najmniej, na wszelki wypadek, a teraz sytuacja się zmieniła.

— Pracuję w biurze projektowym. Projektuję i ty teraz też to robisz. — Dźgnęła go palcem w klatkę piersiową, starając się szybko coś wymyślić. — Ostatnio robimy nowe osiedle domków wielorodzinnych, które staną za miastem, niedaleko Kostkowic. Powiedzmy, że jest jakiś kłopot z terenem, że ciasna działka. Wymyślam, bo nie ma problemu, nadażasz? Ale musimy go przez ciebie stworzyć. A ty jesteś nowy. Albo nie, jesteś od klienta. Okej? Dogadujemy szczegóły.

— Rozumiem. — Wiktor był już zupełnie opanowany, czego nie można było powiedzieć o Lidii.

— W razie czego jutro wyjeżdżasz i dlatego musimy to obgadać akurat w niedzielę... Tylko czekaj, masz jego ciuchy i on to zauważył. Myśli, że my, no wiesz. — Popatrzyła na niego znacząco.

— Oblałem się kawą.

— Banał, ale nieważne. W zasadzie co za różnica, niech sobie myśli, co chce. — Machnęła ręką. — Jeszcze musimy coś wykombinować, jakby ten kretyn, niby-policjant, się przypętał i wypytywał Matiego. No i co z... tym. — Wskazała na jego twarz, jednak nie zdążyła powiedzieć nic więcej, bo brat wrócił, targając skrzynkę.

— Pakujemy kilka do lodówki. Chyba się ugotowały w bagażniku — wysapał.

Gdy piwo się chłodziło, Wiktor skierował rozmowę na Mateusza, a że ten uwielbiał dużo mówić, zwłaszcza o sobie, przegadali ponad godzinę o pracy zawodowej, byłej żonie, obecnej i o tym, komu brat Lidii kibicuje. Szło gładko do czasu, gdy poderwał się, pobiegł do kuchni po napoje i po powrocie zadał pytanie:

— Długo pracujesz dla Mancomu?

— Wiktor jest architektem klienta — wtrąciła szybko Lidia.

— Aha, to chyba rzadkie.

— Duża inwestycja — dodał Wiktor.

— No, ale nie będziemy rozmawiać o pracy. Pół dnia nad tym siedzieliśmy z Wiktorem, a jakby nie było, jest niedziela. Jeszcze po piwku? — Poderwała się.

— No to powiedz coś o sobie. Jesteś z Cieszyna? — zapytał Mateusz.

— Niezupełnie — zaczął Wiktor powoli. — Ale wiesz, praca mnie tu ściągnęła na jakiś czas. Tak że...

— A masz tu rodzinę? Gdzie się zatrzymałeś?

— Tak, mieszkuję u ciotki w śródmieściu.

— O, a jak się nazywa? Znam mnóstwo ludzi w centrum — ucieszył się Mati. Na szczęście jego telefon rozdzwonił się w tej chwili, wybawiając Wiktora z opresji. — Zaczekajcie, to żona.

* * *

Poszedł do łazienki, by nieco ochłonać. Co się dzieje? Nie potrafi kontrolować sytuacji. Jest w obcym mieszkaniu, naraża niewinnych ludzi, traci czas i wikła się w jakieś bezsensowne kłamstwa. Zdecydował, że musi jak najszybciej opuścić to miejsce, teraz. Przemył twarz wodą. W lustrze zauważył swoje stare ubrania. Wyprane, złożone w kostkę leżały na pralce. Wzdłuż kręgosłupa przebiegł mu nieprzyjemny dreszcz.

Gdy wyszedł, Mateusz wciąż rozmawiał przez telefon. Lidia robiła coś w sypialni, ale zostawiła otwarte drzwi. Wiktor zawahał się chwilę. Poszedł do przedpokoju, a potem wszedł do sypialni Lidii i przymknął cicho drzwi.

— Lidio, chciałbym ci podziękować — powiedział ściszym głosem. — Uratowałaś mi życie i zawsze będę ci za to wdzięczny. Czas na mnie.

Dziewczyna podeszła do biurka, a potem do niego i bez słowa zapisała mu na przedramieniu numer składający się z dziewięciu czarnych cyfr.

— Jeśli będziesz potrzebował, zadzwoń — powiedziała szeptem.

Stała przez chwilę blisko i patrzył w jej smutne niebieskie oczy. Mógłby policzyć ciemniejsze szarawe punkciki na jej tęczówkach.

— Co tam, gołąbeczki, znowu omawiacie problemy z pracy? — Nieoczekiwany głos Mateusza sprawił, że oboje podskoczyli. — No, no, jeśli tak bardzo chcecie popracować... — Szczerzył się wyraźnie rozbawiony.

— Nie, muszę już lecieć — wydusił nieswoim głosem Wiktor i odchrząknął.

— Do zobaczenia.

— No, trzymaj się, chłopie, i wpadnij jutro po robocie! — zawołał za nim Mati, pewien, że wkrótce się zobaczą. — Mecz będzie o osiemnastej, wbijaj!

Gdy za Wiktorem zamknęły się drzwi, Mati odwrócił się w stronę Lidii:

— Wiesz, siostrzyczko, że masz już dwadzieścia dziewięć lat? — zapytał, wciąż utrzymując beztroski ton.

— I?

— I? Nie musisz się tak rumienić i ukrywać z facetem. Ja mam już drugą żonę, jak chyba pamiętasz, i znam się co nieco na tych sprawach. — Puścił do niej oko i wyraźnie czekał na informacje z pierwszej ręki.

— Między nami nic nie zaszło. — Wzruszyła ramionami, wstawiając szklanki do zmywarki.

— Oj, Lidka, nie poznaję cię, musi być grubo, skoro tak ściemniasz. Niby skąd to napięcie, to patrzenie w oczy, te ukradkowe zerknięcia i moje ciuchy na nim? — Roześmiał się.

„Zdziwiłbyś się” — pomyślała.

— A... co mu się stało? Wypadek jakiś miał? — Pytanie było zadane bardziej poważnym tonem.

— Niestety — potwierdziła i widząc podniesione brwi brata, dodała: — Impreza w mieście, sporo alko, a potem schody w tej kamienicy, gdzie mieszka u ciotki, resztę sobie sam dopowiedz. — Przewróciła oczami, po czym wyszła do kuchni.

Kenirovice, 2016

Wcale nie miał zamiaru się z nią umawiać. Samo wyszło. Zupełnie przypadkiem spotkali się w firmowej kuchni, w której Wojtek rzadko bywał i właściwie zawsze w tym samym celu. Mieli u siebie w warsztacie kanciapę z podstawowym wyposażeniem i najważniejszym sprzętem, czyli ekspresem przelewowym. Stała się jednak rzecz katastrofalna, mianowicie skończyła się kawa i Wojtek został oddelegowany do dziewczyn z biura po nową paczkę. Oczywiście przepisowo należałoby się udać do zaopatrzenia, ale mieściło się ono na drugim końcu budynku i w dodatku trzeba było mieć szczęście, by

zastać tam osobę wydającą produkty, magazyn bowiem zazwyczaj był zamknięty. Dużo szybciej i przyjemniej było odwiedzić biuro, które w efekcie stało się głównym punktem pośrednictwa wewnętrznego. Najbardziej pożądanym i deficytowym towarem była zawsze kawa, toteż szansę na jej zdobycie mieli ci najprzystojniejsi i najbardziej zabawni. Tak się złożyło, że Wojtek szedł po nią już czwarty raz z rzędu.

Na miejscu spotkał Eliškę i jeszcze dwie koleżanki, które akurat zrobiły sobie przerwę. Chwilę pożartowali, podroczyli się, a potem nagle dziewczyny spojrzały na siebie porozumiewawczo i powiedziały, żeby Eliška zdecydowała, czy Wojtek jest wart całej paczki kawy, po czym się ulotniły.

— Przez was ciągle musimy latać do magazynu i wszyscy myślą, że handlujemy tą kawą po pracy — zażartowała. — Tymczasem to wy nam ją notorycznie podbieracie, leniuchy.

— Wiesz, jak skończy się tutaj, proponuję, byście wpadły do nas, mamy najlepszy ekspres w mieście!

— Tak, widziałam. — Roześmiała się. — *Nejnovější super kávovar!*⁴

Wojtek trzymał paczkę już od dłuższej chwili, lecz nadal stał oparty o blat i flirtował w najlepsze. Dowiedział się, że nigdy jeszcze nie pił prawdziwie po mistrzowsku przyrządzonej kawy, jaką można dostać jedynie w niepozornej, maleńkiej, lecz najlepszej kawiarni w okolicy, która mieści się w sąsiednim miasteczku.

— Masz rację. Nie wyściubiam nosa poza Kenirovice, a jedyna kawa, jaką tu znam, to nasza firmowa i zwykła rozpuszczalna, którą piję co rano w domu.

— Och, tyle tracisz! Dam ci adres. — Wyjęła serwetkę i niespiesznie rozejrzała się za czymś do pisania.

— A może po prostu pojedziemy tam razem? — zaproponował.

* * *

Podczas kolejnych tygodni Wojtek nie tylko poznał smak profesjonalnie przyrządzonej kawy w kilku rodzajach, ale też przypomniał sobie, jak to jest pójść z dziewczyną do kina, na lody i spacer. Zaczęli spędzać ze sobą więcej czasu, a Wojtek coraz częściej myślał o Elišce. Wszystko inne zeszło na drugi plan. Zapomniał już, jakie to uczucie patrzeć z taką przyjemnością w czyjeś oczy, słuchać głosu tej wyjątkowej osoby i niemal unosić się nad ziemią, gdy jest się w jej obecności. Bariera językowa już niemal zniknęła, a wszelkie nieporozumienia wynikające z nie dość dobrej znajomości czeskiego były niezwykle zabawne i zdarzało się, że Wojtek specjalnie udawał, że coś źle zrozumiał, by podroczyć się troszkę i zobaczyć prześliczny uśmiech Eliški. Wspólny czas bardzo szybko płynął i rozstania pozostawiały za każdym razem niedosyt.

Eliška również od niedawna pracowała w firmie, choć trochę dłużej niż on. Była o prawie pięć lat młodsza i podjęła tu swoją pierwszą pracę po studiach. O sprawach zawodowych rozmawiali najmniej. Okazało się, że wiele ich łączy. Oboje uwielbiali literaturę współczesną, a ona świetnie знаła i lubiła książki Pilcha i Gretkowskiej. Niestety Wojtek nie mógł się pochwalić znajomością współczesnych czeskich autorów, czytał i pamiętał w zasadzie tylko *Nie jest źle* Nováka, którą poznał, naturalnie, w polskim tłumaczeniu.

Wielką namiętnością Eliški były również koty. Opiekowała się trzema przygarniętymi dachowcami, a każdy miał za sobą dramatyczną historię z happy endem. Wojtek przypomniał sobie o tym, jak dokarmiali z Karoliną i innymi dziećmiakami koty, które wciąż, jak to na wsi, przychodziły w poszukiwaniu czegoś do zjedzenia lub zimą, by znaleźć cieplejszy kątek. Pani Maria przeganiała je, lecz i tak wracały, wiedząc, że dzieci zawsze coś dla nich zostawią. Opowiedział Elišce kilka ciekawszych epizodów ze zwierzakami, lecz z rozmysłem pominął to, co bolesne. Nie chciał wzbudzać litości i wplatać smutku do ich małego, dopiero co stworzonego świata, pełnego optymizmu i odczuwalnej wyraźnie, choć niewidzialnej dla innych magii.

Siłą rzeczy Wojtek trochę mniej czasu spędzał z kolegami i na męskich wypadach na ryby, czego nie pozostawiono bez komentarza, a Kubo z chęcią zaprosił ich oboje na barbecue.

— Niech zobaczy z bliska, co znaczy związek z Czeszką, zanim się wpakuje w kłopoty — zażartował.

Zakochiwali się w sobie coraz bardziej. Pojechali na niepowtarzalny długi weekend do romantycznej Pragi, lecz niewiele zwiedzili, gdyż większość czasu spędzili w hotelowym łóżku zupełnie oderwani od rzeczywistości. Żyli chwilą, namiętnością. Oddychali sobą, dążąc do tego, by stale być razem. W oczach Eliški widział ufność, miłość i pożądanie, które sprawiały, że mogłyby oddać jej cały świat.

Wojtek niewiele wiedział o rodzinie Eliški, ona nie opowiadała, a on nie pytał. Nie było to istotne. W zasadzie nic nie było istotne oprócz ich uczucia, dzięki któremu jakby unosili się ponad powierzchnią niby na puszystym obłoku. Sam wolałby na razie nie wracać myślami do rzeczywistości, wspomnień, swojej historii i minionych lat.

Eliška, podobnie jak on, nie była miejscowa. Wspomniała pewnego dnia, że ma rodzinę pod Pragę, jednak nie jeździła tam, nie proponowała też, by pojechali razem. Przed wyjazdem na weekend do Pragi Wojtek myślał, że może zechce przy okazji odwiedzić rodziców, lecz potem zapomniał o tym, gdy zatracili się w swoich uczuciach. Czasem tylko nawiedzała go myśl, by zabrać ją do Polski, przedstawić Karoli ukochaną i pokazać, jaki jest szczęśliwy. Rozmowy na odległość nie były w stanie oddać tego, co czuł.

Mieszkali osobno, ale razem. Albo spędzali noce i wolne dni u niego, albo u niej. Wojtek w końcu zaproponował, by zamieszkali wspólnie, jednak Eliška zareagowała na to dość nerwowo, więc nie wracał już do tego tematu.

* * *

Tymczasem Igor ogłosił, że będzie się żenił. Wszyscy czekali na to od dawna, bo narzeczeństwo kolegi trwało kilka lat i żartowano, że dopiero jak spłodzą potomka, wreszcie wylądują w obrączkach, lecz — o dziwo — i bez tego się zdecydowali. Koledzy najbardziej cieszyli się oczywiście na wieczór kawalerski.

— Wreszcie cię widzę samego! — ucieszył się Igor. — Widzisz, chłopie, muszę poświęcić wolność, żeby ci Eliška dała przepustkę choć na jeden wieczór — zażartował.

Rzeczywiście, od pewnego czasu wszędzie chodzili razem, a na rybach czy w pubie z samymi kolegami dawno już nie był, chociaż zupełnie mu tego nie brakowało.

— Wpadłeś po uszy. Będziesz następny! — orzekł przyszły pan młody.

— A co się dzieje z Pavlem? — Wojtek zerknął na Pavła, który był już dobrze wstawiony, choć impreza dopiero się rozkręcała. — Nie wygląda najlepiej.

— Ma jakieś problemy rodzinne. Tak mi się wydaje. Nie wiem, nie chce mówić. — Igor spoważniał.

— Słyszałem, że ma iść od przyszłego tygodnia na urlop.

— Teraz? Nikt nie bierze urlopu o tej porze roku. Mówię ci, coś go gryzie.

— Pogadam z nim — zaproponował Wojtek.

— Jak chcesz, ze mną nie chciał gadać. — Igor wzruszył ramionami i poklepał go po ramieniu.

Pavel rzeczywiście zrobił się małomówny, poważny i coraz gorzej wyglądał. Do niedawna co trzy tygodnie biegał do fryzjera, zawsze miał idealnie odprasowane i dobrane ciuchy, a teraz siedział przy barze z kilkudniowym zarostem, w wymiętej koszuli i wpatrywał się w przestrzeń, wychylając co chwila kolejny kieliszek. Wojtek dosiadł się i zamówił to samo.

— Co słyhać, stary? — zagadał. — Coś taki markotny?

— Ja? Nie. Wszystko po staremu.

Wojtek niczego się nie dowiedział. Gdy próbował naciskać, Pavel po prostu przestał się odzywać. Za to pił nadal, jakby tylko po to tu przyszedł.

Podczas gdy impreza się rozkręcała, podnosząc temperaturę w lokalu, na zewnątrz deszcz smagał ulice, a przenikliwy chłód przeganiał pieszych do domów. Wkrótce całe miasteczko spało, a wesołe śpiewy i okrzyki — w jedynej tak długo otwartej tej nocy gospodzie o nazwie Zelený Proud₅ — tłumił porywisty wiatr.

Późną nocą, a właściwie wczesnym rankiem goście zaczęli rozchodzić się do domów. Wojtek z Igorem, choć sami niezbyt trzeźwi, wzięli Pavła pod ramiona i tanecznym krokiem zaprowadzili go do

taksówki, ślizgając się na mokrych płytkach chodnika.

— Przypilnuj go, ja muszę jeszcze pożegnać resztę i dopiero pojedę. Trzymaj się — powiedział Igor na odchodne.

Wojtek podał taksówkarzowi adres Pavła, który był prawie nieprzytomny. Rozwalił się obok kolegi na tylnej kanapie i starł dłonią deszcz z twarzy. W ciepłym wnętrzu samochodu parowała wniesiona na ubraniach wilgoć. Pavel chrapał bezceremonialnie.

— Dasz pan sobie z nim radę czy pomóc? — zapytał po dotarciu na miejsce kierowca.

— Dam radę, dzięki.

Wojtek zapłacił i zawlókł bełkoczącego coś kolegę do domu. Był to mały jednorodzinny domek z równie niewielkim ogródkiem. Pavel mieszkał w nim wcześniej z chorą matką, którą opiekował się aż do jej śmierci w zeszłym roku. Teraz żył tam zupełnie sam i w środku widać było brak kobiecej ręki. Na podłodze leżały kłęby kurzu i warstewka piachu, wnoszonego zwykle na podszewkach butów. W kuchni piętrzyły się zaschnięte brudne naczynia, a w pokoju, gdzie zazwyczaj przebywał Pavel, panował bałagan. Powietrze wypełniał zapach niewietrzonego mieszkania zmieszany z kwaśną wonią od dawna niewynoszonych śmieci.

Wojtek zaprowadził kolegę do sypialni, a ten od razu zwałił się na łóżko. Zdjął mu buty i wyszedł do sąsiedniego pokoju. Po krótkim wahaniu postanowił zostać i poczekać, aż Pavel wytrzeźwieje. W zasadzie było mu wszystko jedno, gdzie się położy, ale najpierw musiał zebrać i wystawić przynajmniej za drzwi śmieci będące źródłem smrodu. Kiedy to zrobił, otworzył okno, a po chwili sam już chrapał.

* * *

Nad ranem młot pneumatyczny w roli budzika przywrócił Wojtkowi świadomość. Pavel się jeszcze nie ocknął, jakby nic nie było w stanie zakłócić jego snu. W świetle dnia dom wyglądał jeszcze gorzej. Zupełnie nie przejmując się tym, że nie jest u siebie, Wojtek zaczął szukać czegośkolwiek, co mogłoby uśmierzyć choć trochę ból głowy. Ani w kuchni, ani w łazience niczego nie znalazł, zaczął więc zaglądać do szafek i szuflad w pokoju. Przecież nie ma takiego domu, gdzie nie znalazłaby się choć jedna tabletką przeciwbólowa.

— Co robisz?! Zostaw! — Pavel zmaterializował się tuż przy nim i prawie przytrzasnął mu palce szufladą.

— Szukam czegoś na ból baniaka. Spokojnie.

— Nie znajdziesz. Nie otwieraj tych szuflad.

— A ty jak? Kaca nie masz?

— Mam, przyzwyczailem się — burknął. — Jeśli to ty mnie tu przyprowadziłeś, to dzięki. Powinieneś już iść. — Pavel nie patrzył koledze w oczy, usiadł ciężko na kanapie i przymknął przekrwione oczy.

— Martwisz mnie, stary. Co się z tobą dzieje?

— Nic.

— Ludzie cię nie poznają. Ja cię nie poznaję. Co się stało? — Mimo fatalnego samopoczucia Wojtek nie miał najmniejszego zamiaru po prostu sobie pójść. Nie mógł zostawić tak przyjaciela, który swego czasu bardzo mu pomógł. — Nie ruszę się stąd, dopóki mi nie powiesz, co się dzieje.

Cisza się przedłużała. Pavel siedział ze spuszczoną głową i Wojtek miał wrażenie, że po prostu zasnął, gdy ten wreszcie się odezwał:

— Nie mogę nic mówić, bo skończysz tak jak ja.

Wojtek nadal siedział. Czekał.

— Głupiś. — Pavel westchnął, spojrzawszy na kolegę. — Mają mnie, rozumiesz? Wiedzą, że ja wiem. Byli tu. Rozpieprzyli mi mieszkanie, wszystko znaleźli i zabrali.

— Kto zabrał i co?

— Kto... kto... Gromadziłem na nich dowody, że wywożą te cholerne samochody, że kradną. Jakoś się dowiedzieli. Przyszli, gdy spałem. Jeden mnie pilnował, przystawił mi gnata do głowy, rozumiesz? Myślałem, że mnie zastrzeli. Wypytywali, wszystko zabrali. Zajebali mi psa. Zakopałem...

zakopałem go w ogródku. Zabiją mnie. I ciebie teraz też. — Ukrył twarz w dłoniach i zaczął płakać.

Gliwice, sierpień 2019

Dawid wyszedł z klatki schodowej i schował do bagażnika swojego lśniącego bmw elegancką walizkę, neseser i mniej wyjściowy plecak — plecak Karoliny — po czym odjechał. Gdyby się tak nie spieszył, być może dostrzegłby dwie czające się nieopodal znajome. Gdy tylko skręcił w prawo i zniknął dziewczynom z oczu, pobiegły do wejścia. Zanim otworzyły główne drzwi, Marta odczytała SMS.

— Jasna cholera! — krzyknęła. — Zapomniałam na śmierć!

— Co jest? — Edyta podskoczyła zdenerwowana.

— Miałam odebrać Ludkowi marynarki z pralni. Zabije mnie, jak nie zdążę! — Złapała koleżankę za ramię i zaczęła ciągnąć w kierunku ulicy.

— Zwariowałaś? Nie możesz ich odebrać jutro?

— Nie! Musi je mieć rano — powiedziała. — Obiecałam mu. Chodź.

— Zostawże mnie, rękę mi urwiesz! — wrzasnęła Edyta. — To ty leć, a ja wejdę...

— O nie, nie! Nie ma mowy. Razem tam wchodzimy — zaprotestowała stanowczo Marta. — Za chwilę zamkną mi pralnię. No chodź, przecież zaraz tu wrócimy!

„Zaraz” trwało grubo ponad dwie godziny, ponieważ uznały, że nie będą biegać z marynarkami po mieście, i zawiozły je najpierw Ludwikowi do domu, gdzie przy okazji usiadły na chwilę przy kawie, by ochłonać i przemyśleć kilka kwestii. W końcu lokum Karoliny jest nieruchomością, więc nigdzie się nie ruszy, a Dawid z pewnością nie wróci w najbliższym czasie.

Karolina mieszkała wciąż w tym samym mieszkanku, które wynajmowały wcześniej z Martą. Przyjaciółka po dwóch latach wyprowadziła się do swojego przyszłego męża, a ona została ze względu na lokalizację i niską cenę najmu. Zanim poznała Dawida, planowała wziąć kredyt i kupić coś swojego. Namawiał ją, by się wstrzymała i wyjechała z nim do Warszawy, ale ostatecznie decyzji nie zdążyła podjąć.

Mieszkanko było małe, lecz miało mnóstwo zalet. Usytuowane na przedostatnim piętrze dziesięciopiętrowca, zapewniało zachwycający, otwarty widok na miasto. Z czasem dziewczyny oddały właścicielce nieliczne meble i wyposażyły wnętrze w bardziej gustowne i wygodne sprzęty, dzięki czemu mieszkanie stało się zdecydowanie przytulniejsze i bardziej kolorowe. Nabrało też niepowtarzalnego charakteru. Teraz Edyta i Marta zobaczyły całkiem inne miejsce, pozbawione tego czegoś. W dodatku wszędzie panował bałagan, który ktoś naprędce i niechlujnie próbował uprzątnąć.

— Nie rozumiem, dlaczego jej rzeczy leżą wymieszane na dnie zamiast na wieszakach? — zdziwiła się Edyta, zaglądając do otwartej szafy w przedpokoju.

— Ten dywan też dziwnie leży, na odwrót, zobacz — zauważyła Marta.

— Może Dawid czegoś szukał albo pakując się, w pośpiechu wszystko postrzącał i porozrzucał — próbowała znaleźć wyjaśnienie Edyta.

— I odwrócił dywan o dziewięćdziesiąt stopni, bo to absolutnie niezbędna rzecz dla kogoś, kto się spieszy — rzuciła ironicznie Marta.

— Faktycznie. Dywan leży inaczej. Może jednak czegoś szukał?

— Tylko czego?

Obie rozejrzały się dookoła.

— Komputer. Gdzie jest komputer i komórka Karoliny?

Zaczęły przeszukiwać mieszkanie. Znalazły mnóstwo śmieci w kuchni, brudne ubrania w łazience, porozrzucane kosmetyki, włącznie z wydłubaną z zawartości szminką i rozsypanym, częściowo splukanym proszkiem do prania w wannie. Komputera i telefonu nigdzie nie było.

— Wszystkie rzeczy Karoliny chyba są, oprócz sprzętu. Zobacz, nawet nie ma zapasowych dysków, a zawsze tu leżały — zawołała Edyta do Marty, która była w drugim pokoju. — I płyty są źle powkładane w pudełka, jakby ktoś je przeglądał i byle jak upchnął...

— Nigdzie nie ma jego rzeczy! Jakby go tu nigdy nie było.

— Wyprowadził się, przypominam. Sherlockiem to ty nie jesteś.

— Bardzo śmieszne — odwarknęła. — Pomyśl. Był jej facetem, mieli się zaręczyć, opiekował się nią do ostatnich dni. Kto, jak nie on, powinien zadbać o mieszkanie? O rzeczy po ukochanej? Spakować je, schować gdzieś, ale na pewno nie zostawiać ich w takim stanie. — Marta rozłożyła ręce i się rozejrzała. — O, patrz! Jej albumy ze zdjęciami i figurka żyrafa. Nie wziął sobie na pamiątkę?

Usiadły w kuchni przy niewielkim stoliku.

— Zaparzę herbaty — zaproponowała Marta, po czym przejrzała wszystkie szafki i szufladki. — Nic tu nie ma. — Otworzyła sterylnie czystą wewnątrz lodówkę. — Zobacz!

Nigdzie nie było śladu artykułów spożywczych. Zauważyły też brak brudnych naczyń.

— Wszędzie bajzel i śmieci, a tu czyściutko i pusto!

— Dziwak. — Edyta wzruszyła ramionami. Nic z tego nie rozumiała, ale najbardziej nie dawała jej spokoju ta żyrafa. Karolina przy niej opowiadała ukochanemu historię pamiątki. Doskonale wiedział, ile dla niej znaczyła.

Edyta zamyśliła się i wróciła wspomnieniami do czasów, gdy chodziły do liceum. Karolina mieszkała wtedy w domu, o którym mało i zdawkowo tylko napomykała. Edyta wiedziała, że to rodzina zastępcza i nie przelewa im się. Poza tym przypuszczała, że panuje tam po prostu większa dyscyplina, co rozumiała w domu z szóstką dzieci. Tamtego lata Edyta z rodzicami odpoczywała w RPA i podczas jednego ze spacerów po kapsztadzkiem targu koniecznie chciała kupić na pamiątkę poważnej i zdystansowanej Karolinie figurkę słonia przynoszącego szczęście. Wśród wielu pięknych, ręcznie wykonanych drobiazgów, figurek i bibelotów dostrzegła małą, zaledwie dziesięciocentymetrową żyrafę z hebanu, która może nie była bogato zdobiona czy okazała, ale wydawała się właśnie taka jak Karolina — smukła, łagodna, a zarazem twarda i dumna. Po wakacjach, we wrześniu, Karolina rozplakała się na widok prezentu, co wprawiło Edytę w zakłopotanie i zdziwienie, ponieważ nie była świadoma tego, że przyjaciółka nie przywykła do prezentów, zwłaszcza takich. Jeszcze bardziej zdumiało ją, gdy Karolina — po otarciu łez szczęścia, wyściskaniu Edyty i wielokrotnym podziękowaniu — poprosiła, by żyrafa zamieszkała tymczasowo u niej, bo tam będzie bezpieczniejsza. Edyta doszła do wniosku, że Karolina obawiała się, iż młodsze dzieci w domu mogłyby ją zabrać lub zniszczyć.

Po maturze Karolina wyprowadziła się do akademika i zabrała ze sobą żyrafę, która — jak twierdziła — przynosi dużo więcej szczęścia niż całe stado słoni. Dopiero później, po aferze, jaka rozpętała się w mediach w związku z domem pani Marii, Edyta dowiedziała się, jaka była prawdziwa przyczyna. Zrozumiała, dlaczego Karolina tak lubiła przychodzić do niej nawet na chwilę i wpatrywać się z nieczęstym na co dzień uśmiechem w żyrafę, dumnie stojącą na półce regału przed zbiorem książek. Odzyskawszy wolność, Karolina już zawsze miała tę pamiątkę blisko siebie, zabierała ją nawet na urlop, mówiąc, że to jej amulet i powinien być zawsze tam, gdzie ona, bo przecież zapewnia jej szczęście. Czasem żartowała, że zabierze żyrafę do grobu.

„Dawida bardzo poruszyła ta opowieść. Patrzył Karolinie w oczy z taką miłością i oddaniem” — wspominała teraz w myślach Edyta.

— Hej, zawiesiłaś się? — Marta machała jej przed oczami albumem ze zdjęciami. — Zobaczmy tu.

Odkryły, że chociaż zdjęcia, które Karolina zawsze starannie umieszczała w tradycyjnym albumie, w większości były na miejscu, brakowało tych z Dawidem, a po chwili zauważyły brak dużego portretowego zdjęcia Wojtka. Została po nim pusta strona i podpis „Wojtek, 2014”.

— Pamiętam tę fotkę, chyba jego najlepsza portretowa. Od samego patrzenia można się było zakochać — powiedziała wciąż zamyślona Edyta. — Jeśli to Dawid ją zabrał, to ja już kompletnie nic z tego nie rozumiem. Oprócz tego zdjęcia nie ma nie tylko tych, gdzie są razem, ale także zdjęcia samego Dawida. Marta, sprawdź ten drugi album, może tam są — poprosiła. — Tutaj ani śladu, jakby nie istniał.

— Nie, tam są tylko starsze. Właściwie w całym mieszkaniu nie ma nic związanego z Dawidem prócz bajzlu.

Z głowami pełnymi pytań siedziały i zastanawiały się, jak to wszystko rozumieć. Próbowwały usprawiedliwiać Dawida, przecież był zdruzgotany i miał prawo postępować dziwnie, niestereotypowo, po czym znów snuły domysły na temat tego, jak to możliwe, że nie okazał szacunku temu, co było Karolinie drogie za życia.

— Może zadzwońmy do niego i zapytajmy wprost — wpadła na pomysł Marta.

— Zwariowałaś? I co mu powiemy? Dawidku, jak tylko wyszedłeś, wparowałyśmy tu, żeby znaleźć na ciebie haka, bo naszym zdaniem nie zachowujesz się jak wzorowy narzeczony cierpiący po stracie?

— Daj spokój, Edzia. — Marta przewróciła oczami. — Można chyba bardziej inteligentnie: że też jest nam ciężko i bardzo chcielibyśmy sobie wziąć coś po niej z domu albo odebrać, bo miała coś naszego...

— Nie jestem pewna, czy to bardziej inteligentne. — Edyta pokręciła głową z dezaprobatą.

Marta zniecierpliwiła się i mimo protestów przyjaciółki wyjęła iPhone'a z torebki, wybrała numer Dawida, by po chwili stwierdzić, że z komunikatu operatora wynika, że abonent jest niedostępny.

— Wyłączył telefon. Jak miło.

— Może i lepiej. Wymyślimy jakiś sensowny pretekst i zadzwonimy później. Chodź, nic tu po nas.

— Zostawimy tu taki bajzel? — zaprotestowała Marta.

— Na razie lepiej nic nie ruszać — powiedziała Edyta i bez słowa schowała do torebki żyrafę.

Kenirovice, 2017

Od dnia, gdy Wojtek odbył rozmowę z Pavlem po wieczorze kawalerskim Igora, wszystko zaczęło się sypać. Rzadziej spotykał się z ukochaną, co składał na karb pracy, nie chcąc dopuścić myśli o jakichkolwiek innych przyczynach. Ostatnio rzeczywiście trochę dłużej siedział w warsztacie, a i jej przybyło obowiązków w związku ze zwiększoną liczbą zatrudnień po otwarciu nowej części firmy. Fascynacja z obu stron zdawała się tracić na intensywności. Mijały tygodnie, a oni widywali się coraz rzadziej. Z niepokojem zaczął dostrzegać, że Eliška wymigiwała się od spotkań — zawsze miała jakieś wytłumaczenie, a gdy doszło wreszcie do spotkania, myślami była gdzie indziej, rozmowa się nie kleiła, w końcu zwykle rozchodzili się do siebie. Ledwie stworzona więź nagle się urywała. Pewnego dnia, nic nie mówiąc Wojtkowi, Eliška wzięła urlop i pojechała do rodziny. Wróciła po tygodniu, chłodniejsza o kilkadziesiąt stopni. Nie rozumiał, skąd aż taka zmiana. Gdzie jest kobieta, z którą spędzał tamte dni i noce? Nie odbierała telefonu, nie odpisywała, unikała go w pracy. W końcu pojechał do niej, choć nie był pewien, czy wpuści go do mieszkania, skoro szerokim łukiem omijała go w pracy. Wpuściła.

Wewnątrz panował sterylny porządek, a właściwie pustka. Wszystko było uprzątnięte, brakowało jej rzeczy i książek. Gołe meble. Nieobecność jej wszędobylskich kotów czyniła to wnętrze martwym, niczym. Nie wiedział, że za drzwiami pokoju stoją spakowane walizki.

— Jutro zwalniam mieszkanie i wyjeżdżam — powiedziała cicho i zimno.

— Dlaczego? — Przez ściśnięte gardło zdołało wydostać się tylko jedno słowo.

Eliška podeszła do okna i stała do Wojtka tyłem przez dłuższą chwilę. Zbierała się na odwagę. Wreszcie zaczęła:

— Nie chciałam cię okłamywać... — Jej głos graniczył z szeptem. — Było tak... cudownie, że nie miałam siły tego przerwać, chociaż nigdy nie powinnam pozwolić sobie... nam... — urwała, pozwalając ciężkiej ciszy wypełnić przestrzeń. Gdyby w pokoju latała mucha, z pewnością nie dałoby się jej nie słyszeć. — Mam kogoś... od dawna. Przyjechałam tu do pracy na jakiś czas i... — Usłyszała trzask drzwi za plecami.

Szedł przed siebie. Szybko. Niemal biegł. Jakby chciał uciec jak najdalej od tego, co usłyszał, jakby odległość mogła cokolwiek zmienić. Miał przed oczami jej roześmianą twarz, głos dźwięczący w głowie, oczy wpatrzone w niego, jej zapach... „Jak to możliwe?” — rozmyślał wzburzony. „Albo sniłem przedtem, albo żyję w koszmarze teraz”.

Ulice lśniły od deszczu. Niebo zaczynało ciemnieć, a latarnie automatycznie włączały się, rozpraszając półmrok. Wojtek nie zwracał uwagi na lodowatą wodę spływającą z włosów po karku wprost pod kołnierz rozpiętej kurtki. Chociaż od jakiegoś czasu czuł i widział, że w jego relacji z Elišką coś się bezpowrotnie zmienia, coś się kończy — nie był przygotowany na tę chwilę, na to wyznanie, które uderzyło w niego z niespodziewaną siłą.

Nogi zaniósły go do domu Pavla, oddalonego ładnych kilka kilometrów od pustego już lokum Eliški. Wydawało się, że ostatnio kolega zaczął wychodzić na prostą. Wysprzątał dom, nie pił już tyle i znów bywał u fryzjera. Od tego pamiętnego dnia minęły blisko dwa miesiące. Więcej nie rozmawiali na temat gróźb tamtych ludzi. Czas zdawał się unieważniać to, co przeszłe. Może i u Wojtka zaleczy rany?

* * *

— *Dívka?6* — zapytał Pavel od progu, widząc żalospny wygląd Wojtka.

Ten tylko kiwnął głową i wszedł do środka.

Z początku omijali ten temat. Milczeli lub mówili o wszystkim innym. Tak było łatwiej. Wojtek chciał zapomnieć o Elišce jak najszybciej. Był zły, rozgoryczony i czuł się oszukany. W końcu nie wytrzymał i wylał swoje żale. Obaj zaczęli narzekać na kobiety i Pavel z kolei opowiedział o swoich zawodach miłosnych. Zrobiło się jakoś lżej, choć ciągle bolało.

— Cieszę się, że ty doszedłeś do siebie. Jeszcze niedawno sam wyglądałeś na beznadziejny przypadek, chociaż chyba z innych powodów. — Wojtek spojrział badawczo na kolegę.

— Nie ma o czym gadać — skwitował Pavel i otworzył kolejne dwie butelki piwa. Zamilkł na dłuższą chwilę, bawiąc się otwieraczem. Wahał się jeszcze. — To już zamknięty temat. Wziąłem się w garść i poszedłem na policję. Nikt nie będzie mi groził. Może i nie miałem już konkretów, ale zgłosiłem swoje podejrzenia. Anonimowo. W razie czego to nie ja. Nie przyznam się oficjalnie, że cokolwiek wiem, póki ich nie wsadzą. Potem mogę zeznawać. Glina powiedział, że to dobra strategia, sam mi tak radził. Mówił, że coś tam podejrzewają, ale mam nikomu o tym nie wspominać. Do tamtych nie może to dotrzeć, by nie zrobili się zbyt ostrożni. Kradną fury i są bardzo pewni siebie, ale już niedługo — dodał ciszej. — Tylko pamiętaj, ja nic nie mówiłem. Ty nic nie wiesz. Nikomu w firmie ani słowa.

— Możesz na mnie liczyć.

Wojtek wychodził od Pavla w znacznie lepszej kondycji psychicznej, choć teraz fizyczna miała się gorzej. Jeszcze nie był trzeźwy, a już zaczynał się kac zmieszany ze zmęczeniem. „Rozmowa z kumplem i kilka mocniejszych piw mają zbawienną moc” — pomyślał. Przeżył z Elišką kilka naprawdę wspaniałych chwil i lepiej, że skończyło się to teraz, zanim na dobre wrósł w tę relację. Wyświechtany banał: „Tego kwiatu jest pół świata” — powtórzony w czeskiej wersji kilka razy przez kolegę — o dziwo też podniósł go na duchu, chociaż nie zależało mu na tym, by być z kimkolwiek, ale właśnie z nią. Tymczasem to już przeszłość. Cóż, to nie pierwsza i nie ostatnia kobieta w jego życiu.

— Słuchaj, tak mi się przypomniało. — Pavel z zakłopotaniem potarł kark, gdy Wojtek był już w drzwiach wyjściowych. — Mógłbyś mi oddać tamtą książkę Sovy? Jeśli chcesz, pożyczę ci ją potem jeszcze raz, obiecałem komuś na cito i wiesz...

— Jasne, podrzucę ci do pracy. — Wojtek zerknął na niego. Pewnie się zmieszał, że zawraca głowę głupią książką facetowi, któremu dopiero co zaważyło się życie uczuciowe.

Katowice, sierpień 2019

Sytuacja z beznadziejnej zmieniła się w dość sprzyjającą. Teraz Wojtek musiał wprowadzić w życie znacznie zmodyfikowany plan, który niestety zależał od pewnych nie do końca legalnych posunięć, ale niczego lepszego nie wymyślił. Wsiadł do pociągu, który ruszył w kierunku Katowic. Miał półtorej godziny na uspokajanie własnego sumienia. Zrobił świństwo ludziom, którzy sobie na to nie zasłużyli, ale to jeszcze nie było najgorsze. W jego położeniu robienie sobie nowych wrogów to jak strzał w stopę. Trudno, trzeba skupić się na ważniejszych celach, tych, którym poświęcił ostatni rok i sporo zdrowia. Spłacanie długów, odzyskiwanie twarzy i zacieranie negatywnego wrażenia to kwestie drugorzędne. Na to przyjdzie czas później. Na pewno wyjaśni i odda wszystko z nawiązką.

Z dworca w Katowicach do Bogdana miał kawał drogi, którą pokonał pieszo, co nie było dobrą decyzją, gdyż jego ciało wciąż było w kiepskiej formie. Weekendowa kuracja u Lidii zdziałała cuda, lecz do dawnej kondycji było mu jeszcze daleko.

Kolega nie spodziewał się Wojtka, tym bardziej więc był zaskoczony sprawą, z jaką ten

przyszedł. Zgodził się jednak przez wzgląd na przeszłość. Bogdan za czasów szkolnych nieraz korzystał z pomocy kumpla i dzięki temu uniknął powtarzania klasy. Jak dotąd nie miał okazji, by się odwdziżyć. Od razu postanowił Wojtkowi pomóc.

— Tylko, stary, ja nie chcę nic wiedzieć. — Popatrzył na kumpla trochę dłużej niż zwykle. — Wyglądasz fatalnie.

Wojtek uśmiechnął się, przez co sprawiał jeszcze żałośniejsze wrażenie. Bogdan tylko pokręcił głową i pochylił się nad dokumentem Mateusza.

— Co tam u Karoliny? — zagadał, by przerwać ciszę.

— W porządku, jak sądzę — odparł Wojtek. — Właściwie dawno się nie widzieliśmy.

— Jak to możliwe? Byliście jak bliźnięta. Oczywiście nie pod względem wyglądu. — Zaśmiał się, ponieważ Karolina była szczupłą niewysoką dziewczyną o dużych sarnich oczach, zmysłowych ustach i uroczym uśmiechu. Wojtek z kolei był wysokim brunetem, teraz w dodatku jego włosy nie lśniły jak dawniej, a niepokojące ślady szpeciły przystojną twarz. Bogdan powstrzymał się jednak od komentarza.

Zaledwie po dwóch godzinach Wojtek kupował tani używany telefon w komisie i kartę prepaid w kiosku, którą zarejestrował od razu na swoje nowe dane, by móc z niej skorzystać. Że też dawniej, gdy można było anonimowo korzystać z telefonu na kartę, nigdy tego nie potrzebował.

Przed wszystkim musiał zadzwonić do siostry i ruszyć ze sprawą do przodu, ale najpierw powinien zapewnić sobie trochę w miarę możliwości bezpiecznego czasu.

Gliwice, 2017, Karolina

Panna Zelikówna ma wspaniały humor. Dziś zafundowała mi na deser dwie kremówki i kawę, chociaż sama jest wiecznie na diecie, i w zasadzie to pierwszy raz, gdy spotyka mnie taki zaszczyt ze strony szefowej. Dzisiaj przed południem i ogólnie w październiku sprzedawałam rekordową liczbę wycieczek. Nie spodziewałam się takiego wyniku, bo to z reguły słabszy okres. Na myśl o premii uśmiecham się do siebie. Wreszcie wychodzę na prostą. Jak tak dalej pójdzie, spłacę kredyt studencki szybciej, niż planowałam, i kupię sobie wreszcie porządny rower. Marta namawia mnie na jakiś mały tani samochód, bo rower nie jest pojazdem całorocznym, ale wiem, że tak naprawdę chodzi jej tylko o wozenie własnego tyłka na zakupy. Kto by pomyślał, że nastanie taki czas, kiedy moim jedynym problemem będzie wybór: kupić rower czy auto, poczytać wieczorem kryminał czy romans, wybrać Marcie z głowy nową sukienkę czy nowe buty.

Nawet pogoda sprzyja, jesień w tym roku jest wyjątkowo piękna i ciepła, idę więc bez pośpiechu w kierunku rynku, chłonąc zapachy, kolory, a delikatne promienie słońca muskają moją twarz. Naraz jednak z mojej torebki zaczyna płynąć łagodna melodia *Wind of change* Scorpionsów, którą muszę niestety przerwać, odbierając telefon. To oczywiście Edzia dopytuje, gdzie się podziewam, kiedy one już kończą pierwsze piwo. Chętnie okrążyłabym starówkę jeszcze z pięć razy, ale ostatecznie przyspieszam, by do nich dołączyć. Wiem, że Marta nie może się doczekać, by opowiedzieć o swoich wrażeniach z pobytu w Paryżu. Jej młodsza siostra Basia pojechała na wymianę w ramach Erasmusa, a ona zabrała się razem z nią na kilka dni. Obie mają fioła na punkcie Francji. Marta od dziecka kocha wszystko co francuskie, a zwłaszcza język, kulturę i oczywiście stolicę. W jej domu rodzinnym nigdy się nie przelewało, a skromne zarobki rodziców nie pozwalały na zagraniczne wojaże, więc odkąd pamiętam, podróżowała w wyobraźni. Kolekcjonowała zdjęcia, pocztówki, artykuły, książki i przedmioty związane z Francją, uczyła się języka, śledziła trendy i uwielbiała bagietki. Teraz w naszej lodówce zawsze po wypłacie lądują francuskie sery i crème brûlée.

— No wreszcie jesteś — wita mnie Edzia. — Ona zaraz wybuchnie. Nic mi nie chce powiedzieć, uparła się z tym czekaniem na ciebie. Siadaj. Albo nie, idź po piwo i weź nam też, a potem siadaj. Coś czuję, że to będzie news roku!

Dobry dzień, dobre wiadomości, życie jest piękne. Uśmiecham się szeroko do barmanki. Mogłaby szybciej napełniać szklanki, też już bym chciała dowiedzieć się, co jest powodem wypieków na twarzy Marty.

— Wiem, nie powinnam tak mówić, ale zazdroszczę Baśce jak cholera i chętnie bym wskoczyła na jej miejsce! — ekscytuje się Marta. — Tam jest cudownie, albo nie, jeszcze wspanialej, ten kraj ciągle rozkwita!

— To już wiemy, powiesz nam coś nowego? — Edyta się niecierpliwi. Najpierw musiała czekać na mnie, a teraz na fakty.

Marta robi tajemniczą minę. Rozmyślnie przeciąga tę chwilę. Wygląda jak zwykle ślicznie, ale coś się zmieniło. Brązowe oczy jej błyszczą i cały czas się śmieją, a zwykle blada cera jest zaróżowiona.

— Zakochałam się! — wykrzykuje Marta.

— To też już wiemy. Kochasz Paryż nie od dziś... — Edyta przewraca oczami.

— Nie, oślico, zakochałam się w kimś! Poznałam mężczyznę mojego życia!

— Aaa, to zmienia postać rzeczy. — Uśmiecham się. — Opowiadaj.

Cieszymy się z Edzią. Poprzednia miłość Marty była bardzo toksyczna, z bolesnym zakończeniem i długim dochodzeniem do siebie oraz solennym postanowieniem, że już nigdy, przenigdy nie zwiąże się z żadnym facetem, prędkiej zmieni orientację.

— Poznaliśmy się wiadomo gdzie, w mieście zakochanych! Na wystawie Egona Schielego, wiecie, tego ekspresjonisty. Baśka mnie zaciągnęła. Nawet nie wiem, jak to się stało, po prostu zaczęliśmy rozmawiać po francusku i tak od słowa do słowa poszliśmy razem do Café de la porte des Sablons.

— Poszłaś z obcym Francuzem na kawę? A Baśka?

— A nie, nie, on nie jest Francuzem, a Baśka się zmyła z koleżankami. To Polak i jest stąd! — wykrzyknęła z entuzjazmem. — Wyobrażacie sobie taki zbieg okoliczności? Niewykluczone, że już się kiedyś minęliśmy tu, na ulicy! Podobno bywał w naszej ulubionej pizzerii, czyli możliwe, że kiedyś siedzieliśmy tam w tym samym czasie! Tylko jakoś wtedy nie wpadliśmy sobie w oko, bo ani ja, ani on nie pamiętamy siebie nawzajem.

— Co robił we Francji? — Edyta chce znać szczegóły.

— No, na wystawie był. Przecież mówię.

— Na samą wystawę pojechał? — Edzia szybko zadaje pytania, nie muszę nawet nic mówić, więc spokojnie sączę swój napój i słucham zafascynowana widokiem rozpromienionej Marty.

— Nie, jasne, że nie. Ma rodzinę w Paryżu. Wyobrażacie to sobie: mieć rodzinę w Paryżu?! — Aż miło patrzeć, jak wszystko ją zachwyca. — W każdym razie był właśnie z wizytą u wujostwa. Jego matka jest rodowitą Francuzką i mieszka tam cała jej rodzina, zatrzymał się u brata mamy. Mieli rodzinną imprezę, babcia i dziadek obchodzili pięćdziesiątą rocznicę ślubu! Cała familia się zjechała! No i Ludwik na drugi dzień po tym całym świętowaniu chciał trochę odpocząć, więc wybrał się na wystawę, która bardzo go zainteresowała. Jest nauczycielem matematyki i jednocześnie koneserem sztuki! Uwielbia Gauguina, Rodina i oczywiście van Gogha. Siedzieliśmy w tej kawiarni i rozmawialiśmy kilka godzin! O Francji, sztuce, malarstwie, marzeniach. Żadne z nas nie miało ochoty zakończyć spotkania. Było cudownie. Opowiedziałam mu o swoim życiu, on mi o swoim. Potem odprowadził mnie do hotelu i powiedział, że to najsmutniejszy moment tego dnia i jeden z najsmutniejszych w jego dotychczasowym życiu. Zapytałam: dlaczego? A on odpowiedział, że bardzo nie chce się ze mną żegnać. To mu powiedziałam, że przecież mieszkamy w tym samym mieście, możemy się jeszcze spotkać. I tak znów o tym gadaliśmy i gadaliśmy, aż doszliśmy do tego, że on skróci swój pobyt we Francji o dwa dni, przebukuje bilet, jeśli się uda, i polecimy razem do Polski. Na ten sam lot nie dało rady, ale przyleciał zaraz następnym samolotem. Umówiliśmy się na jutro!

— No toś wpadła jak śliwka w kompot! — krzyknęła Edyta.

Cieszymy się we trzy jak szalone. Pijemy, Marta opowiada. Po kilku godzinach wiem już chyba o Ludwiku wszystko. W mojej głowie maluje się obraz idealnego mężczyzny i mam szczerą nadzieję, że w rzeczywistości tak jest, chociaż wiadomo, jak umysł zakochanej osoby odbiera obiekt swoich uczuć. Bardzo bym chciała, żeby to szczęście Marty trwało wiecznie. Prawdziwa miłość ma uzdrawiającą moc — Marta nawet nie wspomniała o paryskiej modzie i tym, co nowego tam nabyła. Dziś nie to jej w głowie.

Jest grubo po północy. Chwiejnym krokiem idziemy do domu. Ciekawe, czy tak intensywnie

zakochani miewają kaca.

* * *

Dochodzę do wniosku, że miłość to jednak choroba. Zdrowa Marta nigdy w życiu nie wstałaby przed ósmą rano w sobotę. Nie ma takiej możliwości. Dziś narobiła omletów, jakby za chwilę do naszych drzwi miał zapukać pułk żołnierzy, którzy nie jedli od trzech dni, a potem zabrała się do sprzątanania, czego też nigdy nie robiła z własnej woli. O jedenastej miała naszykowane cztery kreacje na wieczór i szukała kolejnych. A wybierają się po prostu do kina. Przyglądam się temu wszystkiemu z uśmiechem. Marta jest nagle jakby młodsza, piękniejsza, chociaż ciągle tak samo zwariowana. Jej wiecznie nieposkromione ogniste włosy zdają się falować jeszcze intensywniej, a oczy błyszczą jak w gorączce. Muszę zadzwonić do Wojtka i wszystko mu opowiedzieć.

Jego telefon nie odpowiada, ale po kilku minutach oddzwania.

— Cześć, nie mogłem rozmawiać. Co słyhać? — mówi Wojtek.

— Marta poznała miłość swojego życia! — krzyczę szczęśliwa i jednocześnie wyczuwam napięcie w tonie Wojtka. — Wszystko okej? Wydajesz się smutny.

— W pracy w porządku. Jak zawsze kupa roboty. Pamiętasz Pavla? Opowiadałem ci o nim.

Oczywiście, pamiętam go, pomógł Wojtkowi zaaklimatyzować się w nowym miejscu, był dla niego przewodnikiem po miejscowości, zwyczajach i wszystkim, co przydatne. Rozumieli się dzięki podobieństwu języków, ale to właśnie Pavel cierpliwie tłumaczył, co jak się nazywa i co można powiedzieć, uczył Wojtka czeskiego i pomógł mu zintegrować się z ludźmi i otoczeniem.

— Wyobraź sobie, że zniknął — kontynuuje Wojtek. — W piątek po pracy jeszcze gadaliśmy, planował kupić sobie motocykl, a w poniedziałek nie pojawił się w zakładzie i po prostu go nie ma od kilku dni. Nie mogę się z nim skontaktować. A mieliśmy się spotkać w tym tygodniu, żebyśmy mu pomogli w wyborze motoru.

— Może gdzieś wyjechał, jakaś nagła sprawa. Mówiłeś, że ma kłopoty.

— Miał. Wszystko się jednak ułożyło. Powinien dać znać, że go nie będzie. To do niego nie pasuje.

— Nie przesadzaj, to dorosły facet. A motocykl nie zajac.

Rozmawiamy o duperelach. Opowiadam mu o najnowszych wyczynach szefowej, która ostatnio była na masażach w nowym SPA w Zabrze. Odmłodziła z dnia na dzień i właśnie wciąga się w feng shui. Przemeblowała już zaplecze i zabiera się do reszty biura. Śmiejemy się. Wojtek odchorował już chyba tamtą Eliškę, jest w dużo lepszym nastroju, co bardzo mnie cieszy. Zakochiwał się nieraz i miewał dziewczyny jak każdy facet, lecz tym razem wydawało się to dużo poważniejsze. Jego niekończące się opowieści o niej, o tym, jaka jest, jak się śmieje, jak mówi, jak chodzi... Potrafił godzinami o niej rozprawiać. Miałam wrażenie, że świetnie ją znam. Zaczynałam sobie wyobrażać, że może wreszcie choć on zwiąże się z kimś na poważnie, na długo, może nawet na zawsze. Czasem coś zgrzytało. Wojtek wyczuwał u ukochanej jakiegoś dziwne napięcie, były też chwile, gdy jej nie rozumiał. Uspokajałam, że to przecież normalne, zdarza się w każdej relacji. Dzwoniłam do niego lub odbierałam telefon, oczekując nowych opowieści z krainy zakochanych. Cieszyłam się jego szczęściem i nawet po cichu, gdzieś tam w środku trochę mu zazdrościłam. Czy ja też kiedyś spotkam idealnego faceta? Niestety, okazało się, że ideały mają termin ważności, po którym cały urok znika i zostaje już tylko zawód, ból, rozpacz i lizanie ran. Szczęście w nieszczęściu, że i ten stan mija. Teraz Wojtek wybiera się na koncert do Pragi i namawia mnie, bym przyjechała, w każdej chwili może dokupić mi bilet. Pyta o dziewczyny, więc opowiadam o podłamanej Edycie, która dla odmiany właśnie zakończyła swój najkrótszy jak dotąd związek, i o szalonej Marcie. Czuję jednak, że coś go gryzie, nie daje spokoju, jakby ciągle myślał o czymś innym.

— Słuchaj, nie martw się. Pavel to dorosły facet, nie musi powiadamiać kolegów, gdy gdzieś wyjeżdża — mówię to może trochę za szorstko. — Pewnie porwała go jakaś blondyna po upojnej nocy. Sam mówiłeś, że to pies na baby — dodaję.

Śmiejemy się i Wojtek przyznaje mi rację. Tak, z pewnością już wydobrał. Umawiamy się na kolejny telefon i żegnamy jak zwykle.

Cieszyn, sierpień 2019

Nowy tydzień zaczął się normalnie, zupełnie jakby dziwne wydarzenia ostatnich trzech dni nie miały miejsca, tymczasem myśli Lidii wciąż krążyły wokół Wiktora. Dokąd pojechał? Czy zadzwonił? Czy ma skąd wziąć pieniądze? W końcu był bez grosza przy duszy, gdy opuszczał jej mieszkanie, a ona nie pomyślała o tym, by dać mu jakąś gotówkę. Trudno. I tak pomogła mu bardziej niż ktokolwiek.

Zaparkowała na podjeździe pod domem Olgi i gdy tylko otworzyła drzwi, Hektor wyskoczył i pobiegł jak szalony, radośnie szczekając. Nim Lidia wygrzebała się z samochodu ze wszystkimi rzeczami psa, Rafał, mąż Olgi, wyszedł jej naprzeciw.

— Jak wycieczka?

— Rewelacyjna — odparł. — Nie wiem, jak Ola to robi, ale zawsze trafia na świetne oferty. Szczerze powiedziawszy, wcale nie chciało mi się jechać, a teraz cieszę się, że nie oponowałem. Piękne miejsce. Olga na pewno pokaże ci zdjęcia, które zrobiła. Hektor dał popalić?

— Skąd. To najwspanialszy pies na świecie — odpowiedziała całkiem szczerze, uśmiechając się do psa, który obskakiwał swojego pana i usiłował polizać mu twarz. W piątkowy wieczór to właśnie dzięki niemu uznała, że podjęła dobrą decyzję, proponując Wiktorowi schronienie w swoim domu przez weekend. Hektor przywitał się z nim jak ze starym znajomym, po czym ułożył się na sofie, oparł łeb na kolanach gościa i uciał sobie drzemkę. — Olga już w pracy?

— Naturalnie. Od blisko dwóch godzin. — Zerknął na zegarek. — Dla niej szósta rano to sama radość. — Nic więcej nie musiał dodawać. Po zmierzwiionych włosach i wciąż zaspanych oczach widać było, że przed chwilą wstał z łóżka. Byli jak ogień i woda, ona — ranny ptaszek, on — nocny marek, ona — energiczna i żywiołowa, on — spokojny i jakby zawsze lekko rozbawiony jej gonitwą.

W drodze do pracy, jak zwykle, Lidia wstąpiła do piekarni po swoje ulubione śniadanie, czyli drożdżówkę z sezonowymi owocami. Gdy doszło do płacenia, okazało się, że w portfelu brakuje gotówki. Zapłaciła kartą, zastanawiając się, czy nie odłożyła gdzieś pieniędzy lub czy nie wziął ich Mateusz, co zdarzało mu się, gdy bardzo się spieszył. Często też zapominał ją o tym poinformować. A dzisiaj rzeczywiście wstał dużo wcześniej i nim zwlekła się z łóżka, już go nie było. „Mógł zostawić mi chociaż stówę” — pomyślała. „Albo przyczepić kartkę z informacją na lodówce”. Postanowiła, że po pracy zmyje mu za to głowę. Ile razy można odwalić ten sam numer? Kilka minut później, przekroczywszy próg firmy, myślała już o czymś innym. Wciągnął ją wir pracy.

* * *

Po przeanalizowaniu wszystkich poprawek do projektu, zmodyfikowaniu jednych, odrzuceniu innych i po długiej dyskusji z zespołem oraz menedżerami zabrała się do wprowadzania zmian, które dołożyły jej sporo pracy, chociaż według niej nie wpływały znacząco na jakość całości. Cóż, klient nasz pan. Gdy komórka zawibrowała tuż obok klawiatury, odruchowo odebrała połączenie.

— Lidia Szwed, słucham.

— Cześć, to ja, Wiktor.

Głos przez telefon zazwyczaj brzmi nieco inaczej, lecz ten poznała od razu po pierwszym słowie.

— Witaj, wszystko w porządku?

— Tak. Słuchaj, chciałbym coś wyjaśnić. Wiem, że się gniewasz, masz do tego pełne prawo, tak się po prostu nie robi.

Od razu zorientowała się, co ma na myśli. To nie Mati sprzątnął jej cztery stówy z portfela.

— Oddam ci, co wziąłem, jak tylko się uporam... z moimi sprawami. Naprawdę przepraszam. Powinienem poprosić, postąpić inaczej. Nie chciałem przy twoim bracie i...

— Dobrze, dobrze, daruj sobie — przerwała mu. Wstała, by wyjść z pokoju. Pochyliła się jeszcze nad klawiaturą komputera, by zapisać zmiany i się wylogować.

— Jeszcze raz przepraszam. Przyjdzie, mam nadzieję, taki czas, gdy wszystko ci wyjaśnię. Oddam i w ogóle, ale teraz potrzebuję jeszcze twojej pomocy.

— Masz tupet, kolego. — Czuła się wykorzystana i nie była wcale zadowolona z obrotu sprawy,

chyba jednak wolałaby, by to był Mati. — Nie będę ci więcej w niczym pomagać. Nie znam cię. Nie wiem, jakie masz zamiary, właściwie nic nie wiem i nie widzę żadnego powodu...

— Wiem — tym razem on przerwał jej. — Wiem, słuchaj, mam mało czasu. To nie wszystko. Zabrałem Mateuszowi dowód osobisty.

— Co?!

— Musiałem... czekaj. Muszę zrobić coś bardzo ważnego, to sprawa życia i śmierci, dotyczy przestępstw na wielką skalę i mam możliwość... Nie, nie mogę ci nic powiedzieć, to nie jest rozmowa na telefon ani sprawa, w którą chciałbym cię w jakikolwiek sposób mieszać. Proszę cię, nie pozwól, by Mateusz zgłosił zaginięcie tego dowodu... Nie w najbliższych dniach, okej? Tydzień, potrzebuję tylko tydzień.

— Nie, nie wierzę! Chcesz mi powiedzieć, że okradłeś mnie i mojego brata i ja mam tego nie zgłaszać, a w dodatku cię kryć?! — Była zbulwersowana. Energicznie wyszła z pokoju.

— Tak, dokładnie to mówię. Błagam. Teraz od ciebie wszystko zależy. Ci ludzie, którzy mnie wtedy pobili, to tylko opłaceni chuligani, mniej niż wierzchołek góry lodowej.

— Nie dam się w nic wciągnąć — ostrzegła. — Czułam to. Jaka ja jestem głupia! Trzeba było wezwać pogotowie i policję, zamiast odgrywać pieprzoną matkę Teresę!

— Gdyby nie ty, już bym nie żył — odparł stanowczo. — Proszę.

— I bardzo dobrze! — rzuciła pod wpływem emocji, by zaraz się zreflektować. — Przepraszam, nie chciałam... nie to miałam na myśli.

Lidia wyszła z firmy na tyły budynku i nerwowo chodziła tam i z powrotem po wąskim chodniku oddzielającym ścianę od parkingu. Kiedyś palacze z biura przychodzili tu na przerwy, lecz odkąd ustawiono popielniczki i ławki od strony bocznego placu, gdzie było dużo więcej przestrzeni, tutaj nie przychodził prawie nikt. W jej głowie trwał sztorm, jednak po chwili zaczęła zastanawiać się nad tym, co Wiktor mówi, i rozważać jego słowa, choć tak bardzo jej się nie podobały.

— Okej, założmy, że do pewnego stopnia ci wierzę. I co? Jak myślisz, gdzie jestem? Jestem w pracy, mój drogi — mówiła dalej, nie dopuszczając go do głosu. — A mój brat gdzie jest? Otóż również w pracy. Nie wiem, czy zorientował się, że nie ma dowodu. Może już to odkrył i siedzi na komisariacie? Czego właściwie ode mnie oczekujesz?

— Lidio, wiem. Jeśli zgłosi, daj mi znać, a jeśli nie zorientował się, błagam, nie mów mu nic o pieniądzech. Gdyby zaś zauważył brak dokumentu, odwiedź go od zgłaszania tego od razu, zasugeruj, że może dowód mu wypadł albo gdzieś został, może niech najpierw poszuka.

— Oszalałeś! Mam okłamywać i narażać własnego brata dla... dla kogoś, kogo nie znam?! A jeśli na ten dowód weźmiesz kredyt albo obrobisz bank, podrzucisz dokument w miejscu zbrodni albo sprzedasz gdzieś... Cholera, nawet nie chcę myśleć, co możesz z nim zrobić! Nie, to nie może się dziać naprawdę.

— Nic z nim nie zrobię. Potrzebuję na chwilę... jakby... pożyczyć, tylko na drobny użytek, jak zakup biletu tramwajowego albo coś podobnego. — Nie do końca to była prawda. — Na pewno nie zaciągnę żadnych długów ani nie wykorzystam do popełnienia przestępstwa — zapewniał.

— Tak? A tym, co im rzekomo wiesz kasę, też ten kit wciskałeś?

— Nie, nie jestem nikomu winien żadnych pieniędzy, tak tylko powiedziałem. — Chciał ją uspokoić, a tylko rozjuszył.

— No pięknie! A może teraz też „tylko tak mówisz”? Co powiesz mi potem?! Nie! Nie ma mowy!

— Proszę — powiedział cicho i czekał. Cisza przedłużała się, mijały sekundy, minuty, czekał cierpliwie, ściskając w dłoni telefon tak mocno, że zbieleły mu palce. Był zdany na jej łaskę i czuł, że ma bardzo małą szansę. Ale dopóki wciąż z nim rozmawiała, to może się jednak zastanawiała. Nagle rozmowa została przerwana. Natychmiast spróbował połączyć się ponownie, lecz nie odbierała.

Lidia stała i patrzyła przed siebie na kołyszące się nisko i leniwie pełne liści gałęzie wierzby płaczącej. Jednej z trzech rosnących tuż za parkingiem. Myślała o Wiktorze, o tym, jak zareagował na niego Hektor, analizowała zachowanie mężczyzny u niej w domu, które w jej ocenie nie wskazywało na to, że mógłby być przestępcą. Tylko jakie miała w tym doświadczenie? I czy nie jest kretynką, oceniając człowieka na podstawie tego, że zaakceptował go pies, który prawie wszystkich kocha? Zamknęła oczy

i oparła się o ścianę. Miała ochotę nakrzyczeć na siebie za naiwność, głupotę, brak wyobraźni i wszystko to, co powiedziałyby teraz o niej przyjaciółka, gdyby tylko wiedziała...

Telefon raz po raz na nowo wibrował. Aż zamilkł.

Zadzwoniła do brata.

Gliwice, sierpień 2019

To koniec — pomyślał Wojtek. Teraz będzie musiał pozbyć się dowodu Mateusza i naprawdę się pospieszyć. Już z niego nie skorzysta. Jasne, że procedury policyjne wymagają czasu i zanim dojdą do tego, gdzie dokument został użyty, minie co najmniej kilka dni albo i więcej. Można to jednak odkryć nawet w ciągu doby i nie tylko policja będzie w stanie go zidentyfikować, a to oznacza, że w bezpośrednim zagrożeniu znajdują się i on, i Mati z Lidią. Zimny dreszcz przebiegł mu wzdłuż kręgosłupa. Sytuacja wcale nie stała się ani odrobinę bardziej sprzyjająca, wręcz odwrotnie, i dopiero teraz to do niego dotarło. Działał zbyt pochopnie. Schował telefon do tylnej kieszeni spodni i ukrył twarz w dłoniach. Niemal podskoczył, gdy rozległ się irytujący dzwonek o wysokich tonach.

— Tak?

— Okej. Zrobię to.

— Serio?

— Wbrew sobie i wbrew rozsądkowi. Pewnie będę tego żałować i znenawidzę cię do końca życia, a jak jeszcze kiedykolwiek zobaczę kogoś w podobnej sytuacji do tej z tamtej nocy, to przysięgam, odwrócę się plecami i odejdę. — Mówiła tak poważnym i ostrym tonem, że nie śmiał jej przerwać. — Dzwoniłam do Matiego, chyba się nie zorientował. Tryska humorem jak zawsze. Tylko pamiętaj, Wiktorze, jeśli zauważy brak dowodu i od razu pójdzie to zgłosić, nie będę o tym nawet wiedziała. Poza tym musisz wiedzieć, że jeśli w najbliższym czasie się nie zorientuje, że jego dowód zniknął, za tydzień poproszę go o dokumenty pod jakimś pretekstem i wtedy niech się dzieje, co ma się dzieć. Masz zatem siedem dni. — Lidia zakończyła połączenie.

Stał zdezorientowany i trawił jej słowa. Właśnie zyskał szansę. Na razie jest w miarę bezpieczny, chociaż tydzień to bardzo mało czasu.

Gliwice, 2017, Karolina

Leżę w wannie i się zastanawiam... Miałam zamiar porządnie się zrelaksować i rozluźnić, ale nie potrafię przestać myśleć. Puściłam sobie nawet muzykę z odgłosami lasu i morza, jednak wyciszam ją, bo tylko mnie irytuje. Zastanawiam się nad tym, co Wojtek mówił dziś o Pavle. Wciąż wracamy do niego w rozmowach, lecz niczego nie jesteśmy w stanie ustalić. Wojtek denerwuje się, że tylko drepcze w miejscu, a jego niepokój nasila się z każdym tygodniem bez wieści od Pavła. W końcu nie wytrzymał i zaczął wypytywać znajomych, ale oczywiście nikt nic nie wie. Uważają, że ot, wyjechał, chyba się zwolnił. Igor wygląda wręcz na obrażonego, bo jak tak można bez imprezy pożegnalnej i w ogóle. Wojtek poszedł więc do kadr, a tam dowiedział się, że owszem, Pavel musiał nagle wyjechać do rodziny z powodów osobistych na dłuższy czas i złożył wypowiedzenie w trybie natychmiastowym z przyczyn losowych, cokolwiek to znaczy. Niczego więcej nie mogą powiedzieć, bo najzwyczajniej nie wiedzą, to prywatne sprawy, a Pavel nie miał przecież obowiązku im się tłumaczyć. Takie życie. Zdarza się. Oczywiście Wojtkowi to nie wystarcza, nadal chciałby się skontaktować z kolegą. Mamy dwudziesty pierwszy wiek, ale gdy ktoś nie odbiera komórki czy maila, jest się bezradnym. A to już właściwie ponad pół roku...

Na firmowej imprezie z okazji otwarcia nowego biura dystrybucji Wojtek skorzystał z okazji i zagadał do kierownika, z którym ma świetny kontakt, poza tym niejedną flaszkę już razem wypili. Wspominał Pavla, że go brakuje, że chociaż na jego miejsce zatrudniono na stałe nową osobę, to nie to samo, no i na imprezach takich jak te zawsze opowiadał najśmieszniejsze dowcipy, zwłaszcza po czwartym piwie. Porozmawiali, pośmiali się, a potem szef zamilkł, spoważniał i powiedział, nachylając się do jego ucha: „Nie wpytuj o niego ludzi, wyjechał i tyle, to wolny kraj, temat zamknięty”. A potem

uśmiechnął się szeroko i zaproponował dolewkę.

Wojtek wkrótce po tajemniczym zniknięciu Pavla zaczął analizować wszystko, co działo się w firmie i o czym rozmawiali. Pojechał do wspólnego kolegi spoza pracy, odwiedził byłą dziewczynę Pavla. Nikt niczego nie wiedział. Chłopak był jedynakiem, opiekował się matką, która zmarła na krótko przed przyjazdem Wojtka do Czech. Z innymi członkami rozproszonej po kraju rodziny utrzymywał podobno sporadyczne kontakty i nie opowiadał o nich znajomym. Jego eks nawet się nie zdziwiła, że zniknął, wrzuciła ramionami i powiedziała, że widocznie miał powód.

Wojtek swoim zachowaniem ostatnio przypomina mi tamtego nastolatka sprzed lat, który był najbardziej dociekliwym dzieciakiem, jakiego znałam. Czasem zachowywał się niczym detektyw Ture Sventon, co do tej pory czasem mu w żartach wytykam, gdy bywa za bardzo ciekawski czy drobiazgowy. Kiedyś obruszał się, twierdząc, że jak zwykle chcę mu dokuczyć. Tymczasem w czytelni bibliotecznej pochłaniał wszystkie dostępne kryminały, uwielbiał wszelkiego rodzaju zagadki, szukanie rozwiązań, dowodów i tropów. Może te dokumenty o psychiatrykach też jakoś to podsycaly. Chciał szukać, odkrywać, ujawniać. Historie oglądane w telewizji były zwykle kiepskiej jakości, naiwne i zazwyczaj kończyły się źle lub wcale, bo pani Maria nie pozwalała obejrzeć ich do końca, gdzie pewnie sprawy znajdowały finał w sądach i winni byli ukarani. Wojtek chciał być lepszy, dokładniejszy, szukać sprawiedliwości do końca. Wtedy nie wiedzieliśmy, że takie wydarzenia mogą mieć uczciwe zakończenie, rozmawialiśmy o tym i Wojtek zawsze był wzburzony, mówił, że on by to rozwiązał, obroniłby ofiary i ukarał sprawców. Ta fascynacja wiązała się w późniejszym czasie też z tym, że bardzo pragnął przeciwstawić się naszej opiekunce, zdemaskować ją przed światem i doprowadzić do jej ukarania. Męczyło go to, gryzło, lecz zdawał sobie sprawę z tego, że był tylko dzieckiem, któremu dorośli wcale nie muszą wierzyć, a za oskarżenia słono zapłaciliby nie tylko on.

Marzenia czy plany z młodości nie zawsze się spełniają, wybrał zupełnie inną ścieżkę kariery i myślę, że może to i lepiej. Po co znów żyć takimi tematami jak niesprawiedliwość, cierpienia i problemy, nawet jeśli dotyczą innych. Ma swoje samochody, które stały się w pewnym sensie substytutem skrzywdzonych ludzi. Naprawia, diagnozuje, serwisuje, zupełnie jakby dawał im szansę na dalsze spokojne życie. Śmiałam się, gdy tak mi przedstawił swoją pracę. Może wtedy oboje za dużo wypiliśmy i stąd taka metafora albo zwyczajnie jego wrażliwość, sposób patrzenia na świat nie zmieniły się, dostosował się jedynie do nowych okoliczności. Teraz odnoszę jednak wrażenie, że Wojtek, mówiąc z takim napięciem w głosie „Tu dzieje się coś złego”, obudził w sobie dawnego nastolatka, z jego dociekliwością, która wpakuje go w tarapaty. Tylko że to zastanawiające... naprawdę dziwne, że nikt nic nie wie, a szef po prostu ucina temat.

Podejrzewam, że ten uparciuch tego tak nie zostawi, będzie drażył i szukał. Opowiadał mi o rozmowie z Pavlem, który twierdził, że w każdej dużej firmie, gdzie jest duża kasa, są przekręty. W gruncie rzeczy to żadna nowość. Mówił jednak konkretnie o złodziejstwie i przemyśle. A potem wycofał się z tego, że to niby tylko takie gdybanie. Wreszcie zgłosił się na policję i wszystko właściwie się ułożyło. Tylko czy na pewno? Nagłe zniknięcie jest rzeczywiście niepokojące. „Nawet dorosły, samodzielny człowiek nie znika ot tak bez śladu, bez słowa, bez jakiegokolwiek kontaktu” — z tymi słowami Wojtka w pełni się zgadzam. Tylko jak dowiedzieć się prawdy, skoro nikt niczego nie wie albo nie chce wiedzieć? To jak obliczanie równania z samymi niewiadomymi, wynik zależy od tego, co podstawisz, a podstawić możesz wszystko. Wolałabym, żeby Wojtek nie wpakował się przez to w kłopoty, ale nie mogę oczekiwać, że najlepszego kumpla po prostu zapomni.

W zasadzie teraz, po Eliście, po wyjeździe czy zniknięciu Pavla dobrze zrobiłaby Wojtkowi jakaś odmiana. Mógłby wrócić do Polski, poprosić o przeniesienie albo zwyczajnie znaleźć sobie tutaj nową pracę. Zająłoby mu to może z tydzień. Co go tam trzyma? Powiedziałam mu o swoich przemyśleniach, udzieliłam kilku rad. Mam wrażenie, że dla niego to zbyt egoistyczny pomysł — tak po prostu zadbać o siebie, zająć się swoim życiem i nie wnikać, nie drażyć, dać sobie zwyczajnie spokój. Zamilkł, najwidoczniej nawet nie przyszło mu to do głowy, a potem powiedział, że się zastanowi. Gdy on tak mówi, to znaczy, że wcale nie ma zamiaru się nad niczym zastanawiać i nawet nie weźmie mojej propozycji pod uwagę.

Patrzę na swoje dłonie. Palce mam całkiem pomarszczone. Piana zniknęła, a woda zrobiła się

zimna. Dopuszczyć gorącej czy wyjść? Wychodzę i jest mi jeszcze zimniej. Szybko wycieram się i owijam grubym szlafrokiem. Jest wściekle różowy, na plecach ma wyszytego flaminga i drapie mnie, gdy zawiązuję ciasno pasek. Oczywiście to prezent od Marty. Postanawiam skontaktować się z Wojtkiem jak najszybciej i jeszcze raz spróbować wybić mu z głowy to całe śledztwo.

Gliwice, sierpień 2019

Do godziny siedemnastej Edyta była bardzo zadowolona z siebie, prezentowała się elegancko i tak też się czuła. Świadomość swojej atrakcyjności zawsze dodawała jej pewności siebie. Była wysoką, smukłą, niezwykle zgrabną brunetką o niemal czarnych włosach. Jej ciemne, czujne oczy niczym rentgen potrafiły wszystko przeświecić i dostrzec. Czy dawała z siebie wszystko, czy przychodziło jej to łatwo, było jej tajemnicą. Tego dnia otrzymała pochwałę od szefa, co niezwykle rzadko mu się zdarzało wobec kogokolwiek. Zadowolona energicznym krokiem wyszła z klimatyzowanego gmachu korporacji prosto w gęsty, nieruchomy upał. Idąc przez parking między samochodami, chwilami wchodziła w niewidzialną, jeszcze bardziej gorącą kulę powietrza otaczającą część pojazdów, które niczym wielkie piekarniki uwalniały swoją temperaturę uparcie podtrzymywaną przez słońce. Jej auto stało w ostatnim, najbardziej odległym od wejścia szeregu. Marzyła o cudownym, chłodnym podmuchu klimatyzacji, tymczasem w środku było jeszcze gorzej niż na nagrzanym, rozmiękłym asfalcie.

— No dawaj — poganiała silnik, ale ten tylko zarzęził kilka razy i umilkł. — Nie rób mi tego! — krzyknęła ze złością i uderzyła w kierownicę. Nie pomogło. — Cholera jasna! Szlag by to trafił!

Kilka razy podjęła próbę uruchomienia auta, które zupełnie przestało reagować na jej zabiegi.

— Nienawidzę cię, padalcu — wycedziła w kierunku deski rozdzielczej.

Wrzuciła grafitowy żakiet na tylne siedzenie, gdyż samo trzymanie go w ręce grzało, po czym trzasnęła drzwiami ze złością. Gdyby nie wymieniono nawierzchni w zeszłym roku, jej szpilki z pewnością wbijałyby się teraz w asfalt.

Pół godziny później wysiadła z taksówki nadal wściekła. Nowe buty piły ją w stopy, bluzka, choć cieniuteńka i niezwykle lekka, zdawała się grać samym kolorem. Po wejściu do mieszkania ze złością cisnęła szpilkami, które przeleciały przez cały pokój i odbiły się od ściany pod kaloryferem. Chciała jak najszybciej wskoczyć pod chłodny prysznic, zmyć z siebie pot, kurz i nastrój, tymczasem usłyszała sygnał telefonu świadczący o tym, że osoba, z którą próbowała się wcześniej połączyć, jest już dostępna. „To musi być Wojtek” — pomyślała i niemal naga pobiegła po telefon. Rzeczywiście. Jak to możliwe, że dopiero teraz włączył telefon, po tylu dniach? Szybko oddzwoniła. Nie odebrał.

* * *

Owinięta w krótki jedwabny szlafroczek dopijała trzecią lampkę wina. Nie miała w zwyczaju pić samotnie, zwłaszcza w środku tygodnia, ale tym razem okoliczności były wyjątkowe.

— Miałam tak zajebisty dzień w pracy, że zapomniałam o tych wszystkich okropnościach i spotkała mnie za to kara — powiedziała do siebie na głos, czego również nie zwykła robić. Poczucie krzywdy było irracjonalne i wiedziała o tym, a mimo to chciała tak to podsumować, trochę poużalać się nad sobą.

Właściwie zawsze wszystko przychodziło jej z łatwością. Nauka, praca, małe i trochę większe sukcesy. Z łatwością nawiązywała kontakty, poznawała ludzi, zakochiwała się i wchodziła w związki. Była lubiana, ale nic nie utrzymywało się zbyt długo, znajomości były raczej płytkie, romanse krótkie. Tylko z Karoliną przyjaźniła się dłużej niż dekadę. Z Wojtkiem w sumie też, choć nie był jej aż tak bliski. Przez pewien czas nawet myślała o nim intensywniej, podobał jej się, ale wiedziała, że i tak skończyłoby się na romansie, co pewnie zmieniłoby relacje między ich trójką. Nie chciała psuć przyjaźni, zwłaszcza że potrafiła odróżnić zauroczenie od miłości. Po prostu z doświadczenia знаła tylko to pierwsze.

Obracając w dłoni szkło z resztką rubinowego płynu, uświadomiła sobie, że nie może po prostu zadzwonić do Karoli i pożalić się, nie usłyszy jej kojących słów, które choć trochę irytowały, ostatecznie pomagały ukoić nerwy. Już nigdy, przenigdy nie będzie to możliwe. Dopiero w tym momencie dotarło to do niej z całą mocą i brutalnością. „Już nic nigdy nie będzie takie samo” — pomyślała i zaniósła się

płaczem.

Gliwice, 2018, Karolina

Nie przypuszczałam, że zostanę tu sama. W każdym razie nie tak szybko. Pokój Marty nadal w zasadzie jest jej pokojem. Zostawiła tu mnóstwo swoich rzeczy. Idę zamknąć okno. Teraz wietrzenie zajmuje góra dziesięć minut. Otulam się kocem i zwijam w kącie łóżka z książką, lecz nie mogę skupić uwagi. Myślę o nas. Edyta dostała nową pracę w dużej firmie, dosłownie rzuciła się w wir nowych wyzwań i chyba czuje się tam jak ryba w wodzie, bo nawet na naszych zwyczajowych cosobotnich spotkaniach opowiada sporo — jak na nią — o swojej pracy. Marta, zakochana, myśli tylko o Ludwiku. Właściwie wcale się nie dziwię, są świetnie dobraną parą. Ludwik jest zupełnie inny niż jej poprzedni partnerzy. Dużo łagodniejszy, spokojny i jakby pozytywnie zdystansowany od całego świata. I co najważniejsze, inteligentny, w przeciwieństwie na przykład do Alana nazywanego przez Edkę, a potem i przez samą Martę gogusiem, który był zakochany głównie w sobie, a na rzekomo jedyną ukochaną „kicię” patrzył z góry nie tylko z powodu imponującego wzrostu. Ludwik jest... normalny. Nie wiem, co mogłoby wyprowadzić go z równowagi. Podejrzewam, że nawet gdy Marta zwiezie do niego kolekcję wszystkich swoich rzeczy, zachowa stoicki spokój.

Będzie mi jej brakowało na co dzień. Jest zabawna, roztrzepana i teraz widzę, że to ona ożywiała to miejsce. Wstaję i włączam muzykę, żeby nie było tak nieznośnie cicho. Zastanawiam się, czy i ja gdzieś wyruszę ze swoim życiem. W tej chwili myślę, że to niemożliwe, że już zawsze będę w tym samym miejscu. Bo niby gdzie indziej? Mam stabilną pracę i ją lubię. Może sprawię sobie psa? Najpierw musiałabym jednak zmienić mieszkanie. Właścicielka tego lokum kategorycznie zaznaczyła i zresztą wpisała też w umowie najmu, że żadnych zwierząt sobie nie życzy. Właściwie dobrze by było znaleźć własny kąt. Tylko to znowu będzie kredyt. Cóż... Zaczynam marzyć. Otwieram laptop i przeglądam oferty. Czemu nie? To nic nie kosztuje. Mogłabym kupić jakiś niewielki apartament albo kawalerkę. A może loft w centrum miasta. Znajduję jedną zachwycającą ofertę, piękne zdjęcia, odnowione wnętrza, przestrzeń, taras i... cena, która zwała z nóg. Chyba musiałabym zacząć kraść albo od razu obrobić ze dwa banki. Jak to jest, że człowiek wie, na co go stać i czego ma szukać, a gdy zaczyna oglądać zdjęcia, czytać ogłoszenia, szybko przeskakuje na luksusowe i absurdalnie drogie oferty? Może poszukam zwykłej kawalerki do remontu. Mogłabym sobie sama podłubać, poremontować. Lubię takie rzeczy. Małe mieszkanko, pies i ja. Chodziłabym na długie spacery, miałabym towarzysza do biegania. No tak, praca. Siedziałyby po osiem godzin sam w domu. Nie, to nie jest dobry pomysł. Zaczynam się zniechęcać. Nie ma sensu.

Na razie jest dobrze, jak jest. Gdybym jeszcze tylko wiedziała, co się dzieje z Wojtkiem. Zwykle co kilka dni gadamy, ja opowiadam mu o dziewczynach, o szalonych pomysłach mojej szefowej, on czasem chwali się, w jakim stopniu opanował czeski i jakie w związku z tym zdarzają mu się zabawne sytuacje, gdy coś przekręci albo źle zrozumie, mówi też o pracy, o kolegach albo dziewczynach. Bywa, choć coraz rzadziej, że powspominamy stare czasy... Ostatnio rozmawialiśmy tylko przez chwilę, jakoś inaczej... Miałam zamiar podrażnić kwestię jego powrotu do Polski. Może jak zasieję w nim ten pomysł, wkrótce przyzna mi rację. Tymczasem on znów się w coś pakuje. Powiedział, że mam się nie niepokoić, ale może tak być, że nie zadzwoni przez dłuższy czas. I ja też mam nie dzwonić. Odezwie się. Więc czekam. Siedemnaście dni. To musi mieć związek z tymi nocnymi wyjazdami z fabryki, ze zniknięciem kolegi, który wciąż nie dał znaku życia. Wojtek nic nie mówi, bo wie, co może ode mnie na ten temat usłyszeć, a jak to on — wcale nie ma zamiaru słuchać.

Rozważam spacer do sklepu po coś mocniejszego, ale okropnie nie chce mi się ubierać i wychodzić na mróz. Jestem coraz bardziej śpiąca. Sięgam po telefon, który zawibrował. SMS o tej porze to na dziewięćdziesiąt dziewięć procent Edyta albo Marta. A nie — Wojtek.

Zaraz u Ciebie będę. Otwórz.

Natychmiast się rozbudzam i zrywam. Biegnę do drzwi, chociaż jeszcze nie usłyszałam brzęczka domofonu informującego, że ktoś otworzył drzwi kodem. No tak. Idę do kuchni, by nastawić wodę na kawę. Wojtek tu, o tej porze? Coś musiało się stać. Cieszę się z niespodzianki, a jednocześnie mam

przecucie, że dzieje się coś niedobrego. To zupełnie nie w jego stylu.

Wreszcie słyszę domofon, więc otwieram zamek w drzwiach i czekam. Po dłuższej chwili obejmujemy się mocno na powitanie. Wojtek zawsze pachnie tak samo. Bardzo się cieszę, że przyjechał. Witamy się bez słów. Przytula mnie mocniej niż zwykle.

— Co cię tu tak nagle przygnało? — pytam po jakimś czasie, czując jego wzrok na plecach, gdy zalewam kawę wrzątkiem.

— Stęskniłem się za moją jedyną rodziną. — Czuję, że sili się na lekki ton. — Zajebisty szlafrok.

— Pożyczę ci na randkę — żartuję. — Nie ściemniaj, znam cię na wylot.

— Muszę z tobą pogadać. Jesteś jedyną osobą, której mogę zaufać.

Oho, robi się poważnie. Słodzę kawę, tak jak lubi, dolewam mleka do obu kubków i stawiam na kuchennym stole. Siadamy naprzeciwko siebie. To jest nietypowa sytuacja pod każdym względem. Atmosfera staje się gęsta, Wojtek waha się, ale wie, że cokolwiek się dzieje, jestem jedyną osobą, której może powiedzieć naprawdę wszystko.

Gdy zaczynał pracę w czeskim serwisie samochodowym, planował zdobyć trochę doświadczenia i postarać się o przeniesienie do oddziału w Polsce za rok lub najdalej dwa, czekałam więc na okazję, by mu o tym przypomnieć. Tymczasem on mówi, że dzieje się tam coś niepokojącego i musi najpierw dowiedzieć się więcej. Po co? Bo inaczej nigdy to mu nie da spokoju. No tak, argument nie do obalenia. W sumie jestem trochę ciekawa, o co może chodzić.

Obok serwisu naprawczo-diagnostycznego jego firma ma salon, komis i kawałek dalej fabrykę oraz biura. Cały kompleks. Nie jest to największy oddział, ale w tej małej miejscowości zatrudnia najwięcej ludzi i właściwie każdy stamtąd ma w rodzinie lub zna kogoś, kto tam pracuje. Wojtek postanowił przenieść się do działu produkcji i zająć montażem, chociaż jest to niższy szczebel. Zupełnie nie rozumiem dlaczego. W warsztacie zdążył już awansować, ma pod sobą kilku młodych, ale wymyślił sobie, że chciałby pracować przy końcowym etapie montażu nowych samochodów. Zwolniło się niedawno stanowisko, a on w zasadzie ma wiedzę oraz uprawnienia do wykonywania testów sprawności, sprawdzałby podzespoły elektroniki, współpracował z programistami. Mógłby się też podszkolić, zna się przecież na samochodowych systemach komputerowych. Tłumaczy, że to ciekawsza praca, czystsza, z czasem bardziej opłacalna, dająca możliwości rozwoju, a wtedy... i tak dalej. Nie wiem, po co tak mi to przedstawia i tłumaczy, skoro nie oczekuje rady czy opinii, bo przecież już zdecydował. Sam siebie chyba chce utwierdzić w przekonaniu, że robi dobrze. Złożył papiery i teraz czeka. Mówi o tym z powagą — nie z entuzjazmem, ale właśnie z powagą. Od razu się orientuję, że coś tutaj nie gra, może główny cel tych zmian jest zupełnie inny? Zastanawiam się, czy ma to jakiś związek ze zniknięciem Pavla. Dawno o nim nie rozmawialiśmy i myślałam, że to już temat zamknięty. Czekam, aż Wojtek dojdzie do sedna. Jest spięty. Mam wrażenie, że czegoś się boi. Długo się nie widzieliśmy. Zeszczupłał, spowaźniał, a kilkudniowy zarost wyostrza mu rysy. Wygląda jak ktoś, kto żyje w stresie.

Kilka miesięcy temu Wojtek wziął zmianę za chorego kolegę. Było mnóstwo pracy i chociaż w firmie nie siedzi się po godzinach, zwłaszcza w soboty, został trochę dłużej. Chciał skończyć, co zaczął. Cały on. Kiedy wsiadł do samochodu, zauważył, że na terenie przedsiębiorstwa coś się dzieje. Zaciekawilo go to, bo przecież o tej porze zwykle było cicho i pusto. Podjechał bliżej. Transport osobówek czekał na opuszczenie firmy. Pomyślał, że mają opóźnienie, ale nie wszystko wyglądało typowo. Zwłaszcza pora. Z biura wyszli ludzie, których wcześniej nie widział, do szoferki autotransporterka wsiadł kierowca z plikiem papierów w ręce. Kwadrans później nikogo nie było, jakby nic się nie wydarzyło. Wrócił do domu i rozmyślał, nie dawało mu to spokoju. Skąd o tej porze transport? Może opóźniony, może dodatkowe zamówienie? Kiedyś coś podobnego już widział, gdy znacznie po godzinach wrócił, bo zapomniał telefonu.

Wszystkie wyjazdy do dilerów muszą spełnić szczegółowe procedury i są rejestrowane. Wojtek postanowił z ciekawości sprawdzić, dokąd wyruszył ów transport. Zwyczajnie zapytał wprost kolegę technika, z którym czasem popijali piwo w miejscowym barze. Ten jednak powiedział, że nic nie wie i nic nie widział. Potem szybko zmienił temat. Wojtek zrozumiał, że nie ma sensu drążyć, kumpel nic mu nie powie. Zostawił więc tę kwestię do momentu, gdy znalazł się w biurze fabryki, ponieważ miał przekazać informacje od swojego szefa na temat partii nowych uszczelek, które okazały się wadliwe,

i należało sporządzić protokół. Części używane w serwisie były w znacznej części również produkowane w fabryce obok lub przez nią zamawiane. Załatwił sprawę i już miał wychodzić, gdy zauważył, że drzwi do działu logistyki są niedomknięte. W pokoju nikogo nie było, wszyscy poszli na lunch. Skorzystał z okazji i poszukał rejestrów. Znalazł dane transportów z ostatnich trzech miesięcy. Wszystkie miały podbite daty wyjazdu, ale żaden tej, której szukał. Chociaż wcześniej postanowił już nie ruszać tej sprawy i nie wnikać głębiej, to teraz znowu nie mógł przestać o tym myśleć.

Zaczął regularnie uprawiać jogging. Wcześniej biegał sporadycznie, ale tym razem miał motywację. Za przedsiębiorstwem znajdował się las, a właściwie lasek. Codziennie wieczorem robił sobie przebieżkę leśnymi ścieżkami, okrążał fabrykę i wracał częściowo wzdłuż lasu i głównej drogi. Mijały tygodnie, miesiące i nic się nie działo.

— No ale czegoś się dowiedziałeś, prawda? — Wiem przecież, że nie opowiada mi tego ot tak sobie. To wszystko wcale mi się nie podoba. Wojtek nie jest typem szukającym kłopotów, ale jednocześnie nigdy nie zostawia niczego niedokończonego i zawsze draży do końca.

— Ostatnio znowu byli. Widziałem zaparkowane przy bocznym wejściu SUV-y. Gdybym nie biegł lasem, nie zobaczyłbym ich. Podbiegłem tak blisko, jak tylko się dało, i obserwowałem. Dwóch karków wносиło jakieś paczki do środka. Wyglądały na ciężkie. W jednym samochodzie ktoś siedział. Z naszych był tylko jeden z menedżerów, który w ogóle rzadko bywa w pracy. Rozmawiał z tym w aucie. Potem wszyscy weszli do środka. Siedzieli tam dość długo. Gdy już wyszli, znowu rozmawiali, ale byłem zbyt daleko, by cokolwiek usłyszeć. Hangar do tego czasu stał zamknięty, po czym go otworzyli, wyjechała z niego na plac załadowana i dopięta lora, a potem natychmiast go zamknęli.

— Myślisz, że wywożą nielegalnie samochody?

— Nie wiem. Ale słuchaj dalej, to nie koniec. Zaczekałem, aż wszyscy odjadą, i poszedłem do strażnika. Wiesz, mamy takiego stróża. Emeryt, były polski policjant, zdaje się. Taki typ, chyba został zdegradowany, wyleciał. W każdym razie sporo popija i jest tylko dla ozdoby, bo nie wyobrażam sobie, by cokolwiek zauważył, nawet gdyby wpadła tam banda rewolwerowców. Ma swoją budkę z drugiej strony, przy głównej bramie. Niby są tam monitory i widzi obraz z każdej kamery na zewnątrz i na głównych korytarzach, ale częściej przysypia znieczulony — przyłożył dłoń do szyi w charakterystycznym geście — niż tego pilnuje. Poszedłem do niego i oczywiście go obudziłem. Powiedziałem, że zostawiłem przez przypadek dokumenty w biurze, więc mnie wpuścił. Nawet dał mi dyżurnego badge'a do otwierania drzwi, uniwersalną kartę, bo nie był w stanie się połapać, jakiego klucza potrzebuję tam, gdzie niby coś zostawiłem. Mówię ci, nieprzytomny. Obszedłem wszystko, co się dało. Nigdzie nie było śladu tamtych pudeł, nie znalazłem też niczego, co mogłoby stanowić ich zawartość. Ani w hali, ani w biurze nie było również żadnych papierów z nowego transportu. Porobiłem więc zdjęcia dokumentów tych zwykłych transportów, które były w ostatnich tygodniach, i tyle.

— Możliwe, że coś wywożą z tym lewym ładunkiem, może nie tylko samochody. — Jestem coraz bardziej zaniepokojona. — Co planujesz?

— Muszę to dokładniej sprawdzić. Z oddali nic nie słyszę i w zasadzie niczego konkretnego nie widzę. Przeanalizuję dokładnie to, co mam, chcę też kupić trochę sprzętu. Zainstalować im tam w środku jakiś podsłuch, najlepiej kamery i...

— Hej, nie przesadzasz? A jak cię złapią? Może po prostu od czasu do czasu sprzedają na lewo kilka samochodów? Warto ryzykować? — Muszę to powiedzieć, chociaż wiem, że nie odwiodę go od jego zamiarów. Nie spocznie, póki się nie dowie, co jest grane.

— Nawet jeśli, to wcale nie kilka. To była pełna dwupoziomowa laweta. Dziesięć nowiutkich limuzyn. Nie wiem, w jakich wersjach, ale choćby i w podstawowych, to jest kupa forsy.

Wpatruje się we mnie i milczy, zastanawia się nad czymś, więc unoszę brwi i czekam.

— Jest jeszcze coś. — Wstaje i zaczyna grzebać w plecaku. Wyjmuje książkę. — Zupełnie o niej zapomniałem. To książka, którą pożyczył mi Pavel. Zbiór wierszy Antonína Sovy. — Uśmiecha się. — Dał mi ją, mówiąc, że najlepiej ćwiczyć obcy język, czytając poezję, bo jeśli zrozumiem, co autor miał na myśli, to znaczy, że robię postępy. Wziąłem i postawiłem na półce, nie jestem fanem polskiej poezji, a co dopiero czeskiej. Zapomniałem o tym. Upomniał się nawet o tę książkę, ale nie zdążyłem mu jej oddać, zanim wyjechał. Zobacz, co znalazłem w środku.

Otwiera starą książkę z pośliską okładką i ze środka wyjmuje fotografię. Podaje mi ją. Bardzo słaba, ziarnista i rozmazana. Jakby ktoś ustawił aparat na największy zoom i robił zdjęcie z daleka, w dodatku z kiepskim oświetleniem. Rozmazany fragment samochodu i mężczyzna, a obok fragment innej osoby z jakąś plamą na ramieniu, zapewne tatuażem.

— Pewnie robił je swoją lustrzanką. Bez flesza, z długim czasem naświetlania i dużym przybliżeniem, dlatego taka marna jakość, ale jednak coś widać. — Wojtek marszczy brwi, wpatrując się w zdjęcie. — Ten samochód... to chyba SUV, który widziałem! I ten facet... trudno powiedzieć, ale taki sam kark jak jeden z tamtych. Wiesz, miałem zamiar odpuścić. Wciągnąłem się w bieganie, ale trasy miałem już dość. Gdybym tego wieczoru pobiegł inną, nic bym nie wiedział.

Rozmawiamy o tym do późnej nocy. Gdyby było lato, zastałby nas świt. Jestem zmęczona, skołowana, mam wrażenie, że Wojtek oderwał się od rzeczywistości i żyje jakąś niedotyczącą go zupełnie sensacją, ale nie jestem w stanie podważyć jego logiki. No i to zdjęcie. Może nic nie znaczyć, może być jakimś cholernym zbiegiem okoliczności, ale też dowodem na to, że Pawła, tak jak Wojtka, coś zaniepokoiło. Tylko że tamten zniknął jak kamfora. Nie potrafię Wojtka zniechęcić, więc proponuję, by zgłosił swoje podejrzenia na policję, niech zajmą się tym profesjonaliści, a nie amator — elektromechanik, w dodatku z innego kraju. Upiera się, że najpierw musi coś na nich mieć.

Postanawiamy zająć się jutro dokumentacją na zdjęciach, a potem pomyślimy, co dalej. Ściele mu byle jak łóżko Marty, nie mam już siły na nic. Zostawiamy brudne naczynia na stole i wreszcie idziemy spać.

Cieszyn, sierpień 2019

Słuchaj, stary, wiesz, że mogę czasem coś załatwić i nie ma problemu, ale jak robicie burdel, to sprzątajcie go sobie sami. Ja mam co robić.

— Jasne, Matiś, trochę niefajnie wyszło, ale jest git, nie? Wiesz, że jestem ci wdzięczny. Uratowałeś nam dupy i nie zapomnę o tym. — Wysoki tyczkowaty blondyn włożył do samochodowego schowka plik banknotów o wysokim nominale. Otworzył drzwiczki i wysiadł. — Jesteś najlepszy, Matiś. — Puścił oko i nie czekając na odpowiedź, spokojnie odszedł.

— Kurwa, dorosnij, typie. — Nie wiadomo, czy powiedział to do niego, czy do siebie. Ciągle był zdenerwowany. Jeszcze nigdy nie stracił kontroli do tego stopnia, by stało się to niebezpieczne.

* * *

Lidia wysiadła z taksówki roześmiana. Trafił jej się przezabawny kierowca. To był udany wieczór. Nie miała co prawda ochoty imprezować zaraz po pracy, i to w środku tygodnia, ale nie mogła odmówić, zwłaszcza że już wcześniej zadeklarowała swoją obecność, a Janek zawsze musiał obchodzić urodziny dokładnie w dniu, w którym przypadały. Punktualnie o siedemnastej prawie wszyscy z jej działu poszli do pobliskiej restauracji, by celebrować święto kolegi, najbardziej wyluzowanego analityka w firmie. Gdy on się bawił, bawili się wszyscy. Zrzucili się na ogromny, upieczony na zamówienie tort w kształcie konsoli, Janek był bowiem zapalonym graczem, oraz oczywiście gadżet w prezencie. Wszystko się udało i Lidia również świetnie się bawiła. Trochę wypiła, więc zostawiła samochód pod biurem i wróciła taksówką. W szampańskim nastroju wkroczyła do mieszkania i niemal zamarła na widok brata leżącego na sofie. W jednej chwili przypomniała sobie o kradzieży dokumentu. Przez cały dzień gnębiły ją natrętne myśli i wyrzuty sumienia wobec Matiego, silne poczucie niełojalności, ale podczas zabawy o tym zapomniała.

— O, jak miło, że wpadłeś! Już myślałam, że pochłonęła cię czarna dziura — zawołała wesoło, co zabrzmiało nieco sztucznie. — Śpisz? — Podeszła bliżej i się rozejrzała.

Mateusz spał w najlepsze. Tuż obok sofy leżała pusta butelka po whisky i równie pusta szklanka. Nie była to żadna nowość, Mati od czasu do czasu lubił opróżnić co nieco i zalec, gdzie stał, ale...

— Co tu robi ten telewizor? — zapytała, choć wiedziała, że w tej chwili nie uzyska odpowiedzi. Jej odbiornik, średniej wielkości, kilkuletni, stał wyłączony na swoim zwyczajowym miejscu, a na podłodze tuż przed nim pysznił się ogromny telewizor, który wyglądał jak najnowsze modele 8K, o czym

świadczyła niesamowita jakość obrazu. Leciał jakiś film, ale dźwięk był wyciszony. Rozejrzała się za pilotem.

* * *

Obudziły ją jęki. Godzina była zdecydowanie zbyt wczesna. Nie dało się spać przy akompaniamencie takiego stękania, więc wstała z zamiarem dołożenia bratu cierpień. Pchnęła drzwi do sypialni i uderzył ją w nozdrza odór przesyconego strawionym alkoholem powietrza. Od razu podeszła do okna i szeroko je otworzyła.

— Widzę, że bawiłeś się lepiej ode mnie. — Z rozmysłem powiedziała to dość głośno.

— Masz jakiś ibuprofen? — jęknął.

— Nie, ale możesz sobie skoczyć do apteki. Aha, po drodze zabierz stąd to pudło. — Wskazała palcem telewizor.

— Jesteś podła.

— A ty głupi. Po cholere kupiłeś taki telewizor?!

— Chciałem ci zrobić prezent.

— To teraz zabieraj go pod pachę i idź oddać do sklepu.

— Mam *déjà vu* — sapnął.

— Ja też. Odwalasz ten sam numer co z wieżą i kolumnami i liczysz, że nagle się ucieszę? Jesteś niepoważny. Zatrzymałeś się w rozwoju na etapie przedszkola, w grupie maluchów!

— Dobra, Lidka, daj spokój. Wezmę go do domu, Matylda w przeciwieństwie do ciebie się ucieszy.

— Trzeba było kupić w komplecie z ciężarówką.

— Nie męcz, mam większe problemy.

Wkurzał ją, ale nie potrafiła długo się na niego złościć. Przyniosła mu dwie tabletki i szklanek wody, po czym zajęła się sobą. Godzinę później wykąpana, umalowana i po porannej kawie spojrzała na zegarek i ze zdziwieniem stwierdziła, że wciąż ma dużo czasu. Brat nadal siedział na sofie, zgarbiony, jakby na plecach dźwigał wszystkie problemy świata. Westchnęła, przysunęła sobie krzesło i usiadła naprzeciw niego. Podjęła decyzję, że jednak powie mu prawdę o Wiktorze i jego wybryku. Co ma być, to będzie.

— Co jest? — zapytała, widząc zmartwienie malujące się na twarzy brata.

— Przerąbane jest.

— A konkretnie? — Odczekała chwilę. — Jeśli nie chcesz, nie mów. Dorosły jesteś. Przynajmniej teoretycznie. Słuchaj, Mati...

— Cholera, zgubiłem swój dowód — wydusił udręczonym głosem.

— Właśnie, bo...

— Przepraszam, moment. — Mateusz zerknął na dzwoniący telefon i poderwał się, by wyjść. Wolał pomówić z Erykiem na osobności.

Lidia była trochę zbita z tropu nagłym wyjściem brata. Dziwne, że nie mógł przy niej porozmawiać z kolegą. Wolał wyjść na ulicę. Gdy po chwili spojrzała przez okno w dół, brat wybiegł wzburzony z klatki schodowej z telefonem przy uchu. Po kilku minutach wsiadł do samochodu i odjechał.

— Mati, co się dzieje? — zapytała, gdy udało jej się trafić na wolny sygnał i brat odebrał połączenie.

— Nie mogę ci takich rzeczy opowiadać — odparł z niecierpliwością. — Nic nie zrozumiesz.

— Jeśli nie powiesz, na pewno nie zrozumiem.

— Organizowałem ostatnio trasę, to wiesz. Oni są dość rozrywkowi, to też pewnie wiesz — zaczął opowiadać niechętnie. — Po koncercie jak zwykle była impreza w hotelu i nieco wymknęła się spod kontroli. Rozumiesz, trochę za dużo wszystkiego. A potem nie zwinęli się na czas i nawet, kurwa, ten kretyn menedżer ich nie dopilnował. Podobno ktoś wlaź, zrobił zdjęcia i poszedł, ale nie wiem na pewno, bo to perkusista mówił, a on chyba najbardziej odleciał i teraz nie wiadomo, czy mu się to, kurwa, nie przyśniło. Zaczęli się zwijać, syf zostawili, a to ja załatwiałem ten hotel wcześniej i to moje nazwisko

mają, tylko teoretycznie wcale nie musiałem tam być osobiście. Podobno jakieś resztki tam zostały i kierownik zmiany się wkurwił, wezwał gliny. Umówiliśmy się z tym pajacem, że zadba o to, bo ja miałem przecież jechać do Wrocławia dograć resztę, nie umiem być w dwóch miejscach naraz i na pewno nie jestem od niańczenia muzyków.

— Aha... — Próbowała zrozumieć coś z tej chaotycznej wypowiedzi brata. — A powiedz mi tak wprost, jakbym była debilem, okej? Co to znaczy, że wymknęła się spod kontroli?

— No widzisz, właśnie o to chodzi, że nie mogę o tym gadać.

— Jestem twoją siostrą, jak pamiętasz, możesz mi zaufać, wiesz? Narkotyki?

— No.

— To chyba nie jest nic niezwykłego.

— Nie, jasne, że nie, ale zależy jakie, ile i kto je, kurwa, załatwił, tak? I jeszcze od kogo...

— Pięknie.

— W dodatku ten dowód. Gdybym tylko załatwił hotel, jakoś bym się wyłgał, że tam nie byłem.

Kto mnie widział? Recepcjonistka przez chwilę? Przy nich mogła nawet nie zapamiętać mojego ryja. Ale jak znajdują mój plastik na miejscu, żadnego alibi nie wymyślę. Wszystko spadnie na mnie.

— I tu się mylisz. Nie mogłeś go tam zgubić, bo...

— Sorry, siostra. Mam drugi telefon. Oddzwonię potem. Tylko błagam, nikomu ani słowa — dodał pospiesznie i się rozłączył.

Gliwice, sierpień 2019

Wojtek przestępował z nogi na nogę. Miał neodparte wrażenie, że coś jest nie tak. Kilka razy wyjmował telefon i rezygnował, wolał poczekać, ale zaczął się już niepokoić i niecierpliwić. Karolina powinna dawno wrócić do domu, tymczasem on wciąż stał ukryty za rogiem po drugiej stronie ulicy i obserwował wejście do budynku. Zbliżała się północ. W końcu wybrał jej numer, lecz nie odebrała. Napisał do Edyty: *Hej, czy Karolina jest u Ciebie? To ja, Wojtek Redyński.*

Edyta wpatrywała się w SMS od Wojtka wysłany z nieznanego numeru i marszczyła brwi. O czarny humor w takich okolicznościach go nie podejrzewała. Może coś mu się stało? Stracił pamięć? Przecież dobrze wie, gdzie jest Karolina. Po chwili dostała kolejną wiadomość: *Wiem, że jest późno, ale proszę, pomóż mi się z nią skontaktować. Nie ma jej w domu i nie odbiera telefonu.*

Oddzwoniła natychmiast.

— Wojtek? Wszystko w porządku?

— Niezupełnie, słuchaj, muszę złapać Karolę, wiesz, gdzie może być?

— Pisałam ci przecież... Przyjedź do mnie teraz, okej?

— W porządku, przyjdę, teraz nie złapię już autobusu, ale za pół godziny będę. Przepraszam, wiem, że jest późno.

— Czekam. — Rozłączyła się i długo wpatrywała w wygaszony ekran komórki. Nic nie wie. Jakim cudem? Niemożliwe. Przecież odpisał jej wtedy.

Całkowicie rozbudzona włożyła legginsy i bluzę, bo chociaż noc była ciepła, zmęczenie całym dniem i wyrwanie ze snu sprawiły, że zrobiło jej się chłodno. Stanęła przy oknie i wpatrywała Wojtka. Zastanawiała się, dlaczego idzie piechotą, skoro ma samochód, na pewno ma. Zawsze przyjeżdżał do Karoliny swoją skodą. Przypomniała sobie własny wóz, który teraz stał u mechanika. No tak, wszystko się może zdarzyć. Dostrzegła biegnącego Wojtka i pomachała mu, ale chyba nie zauważył, więc poszła otworzyć drzwi.

Wszedł zziębnięty i od progu zaczął wypytywać.

— Usiądź może, co? — zaproponowała. — Wody?

— Chętnie. Karolina gdzieś wyjechała? Muszę się pilnie z nią spotkać.

— A... kiedy ostatnio z nią rozmawiałeś? — Patrzyła na niego badawczo. Wyglądał fatalnie.

— Dość dawno, ale co to ma do rzeczy?

— No tak. Pokłóciliście się? — Grała na zwłokę. Nie wiedziała, jak mu to powiedzieć, i nie rozumiała, jakim cudem nic nie wiedział, dlaczego urwał kontakt.

— Nie. Tak się umówiliśmy. Że przez jakiś czas nie będę się z nią kontaktował. Miałem swoje powody.

— Aha.

— No więc...? — Coraz bardziej się denerwował.

— Bo widzisz... Ona chorowała...

— Wiem, mówiła mi coś, że jakaś grypa, wirus, ale co to ma do rzeczy, to było jeszcze przed świętami!

— To nie był wirus. Na początku rzeczywiście tak myślała, ale... hm... Zaczęła coraz gorzej się czuć, robiła badania, ale nic nie wychodziło. Dawid załatwił jej prywatnie jakieś bardziej zaawansowane, takie, których standardowo nie robią, i ostatecznie wyszła wada, która dopiero teraz się ujawniła, w efekcie jej organizm... — Przerwała i zamknęła oczy, by dodać sobie trochę sił, ale nie pomogło. — To była rzadka, bardzo rzadka choroba autoimmunologiczna, a właściwie neurologiczna spowodowana przez reakcję autoimmunologiczną. Postępowała bardzo szybko. Dawid miał załatwić jej leczenie za granicą, bardzo drogie, ale... nie zdążył. — Głos Edyty załamał się, łzy płynęły już strumieniami po policzkach.

Wojtek patrzył na nią szeroko otwartymi oczami zupełnie zaskoczony. Gdy zrozumiał to, co właśnie usłyszał, nie wierzył, nie był w stanie tego przyjąć. To niemożliwe. To po prostu niemożliwe.

Siedzieli w ciszy. Ona nie miała sił, by spojrzeć mu w oczy, spuściła więc wzrok i bezgłośnie płakała. On był w stanie zawieszenia, nie potrafił się poruszyć, nic powiedzieć, myśleć. Po prostu patrzył na nią i nie wierzył. Nie rozumiał. Sytuacja była tak irracjonalna, nieprawdopodobna i absurdalna.

— Powiedz coś — wyszeptła w końcu, przerywając ciszę.

Umysł Wojtka nie przyjmował tego, co usłyszał.

— Kim on jest?

— Kto? — nie zrozumiała od razu.

— Ten... Dawid. — Głos Wojtka był zaskakująco spokojny i Edyta spojrzała na niego jakby spłoszona.

— On... on jest... był jej chłopakiem, mieli się pobrać...

— Niemożliwe...

— Co niemożliwe?! — krzyknęła nagle, jakby nie mogła już znieść tego napięcia i bólu. — Że mieli się pobrać czy że nie żyje?!

Słowa zawisły w powietrzu jak gęsty, duszący dym. Oboje zamilkli, jakby każda następna wypowiedź miała doprowadzić do katastrofy, która już się stała. Wojtek pochylił się i ścisnął oburącz głowę, chcąc zgnieść ją niczym orzech. Cały świat mu się naraz rozsypał.

Tej nocy żadne z nich nie poszło spać. Edyta wysłała SMS do pracy, że nie przyjdzie tego dnia. Gdy przełamali już milczenie, długo opowiadała o tym, co działo się podczas ostatnich miesięcy. Wojtek słuchał i płakał.

* * *

Karolina pewnego dnia poczuła się słabo w pracy i jej szefowa, panna Zelikówna, mająca obsesję na punkcie zdrowia, narobiła okropnej paniki. Wezwała swojego lekarza, który był też jej przyjacielem, dlatego zjawił się prawie natychmiast. Karolina śmiała się z tego później razem z dziewczynami, które uważały „pannę szefową” za lekko szurniętą. Wysłała Karolinę na przymusowy tygodniowy urlop i obdarowała torbą ziołowych herbatek, witamin i preparatów wzmacniających. Karolina poczuła się lepiej, ale nim minęło siedem dni, zemdląła w domu. Zaniepokojony Dawid zawiózł ją do przychodni, zrobiła komplet badań, których wyniki niczego nie wyjaśniały. Pewna, że to chwilowa niedyspozycja, wróciła do pracy, lecz na krótko. Zaczęły się zawroty i silne bóle głowy, problemy z oddychaniem. Badania powtórzono i poszerzono, ale nic z nich nie wynikało. Po kilku tygodniach nawracających i zanikających na zmianę objawów Dawid załatwił wizyty w prywatnej klinice, woził Karolinę na badania do Katowic, potem do Warszawy, namawiał, by została w stolicy na czas leczenia, ale nie chciała się zgodzić. Było coraz gorzej. Nie mogła skupić myśli, traciła chwilami pamięć, wpadała w nietypowe dla niej nastroje. W końcu, dzięki wnikliwym badaniom, postawiono diagnozę. Wszystko wskazywało

na rzadką chorobę autoimmunologiczną, która siała spustoszenie w jej wnętrzu i nie można było jej powstrzymać. Przyjaciółki były pewne, że Karolina jest jak zawsze w stałym kontakcie z Wojtkiem, który o wszystkim wie.

— Zaczęła unikać ludzi, zamykała się w sobie, bała się i zachowywała tak, jakby wszystkich o coś podejrzewała, po czym nagle znów była sobą. Niszczyło ją to psychicznie. Niecałe dwa tygodnie przed jej śmiercią Dawid zawiózł ją do Warszawy. Miała zostać poddana jakiejś terapii wzmacniającej, był w trakcie załatwiania leczenia w klinice w Austrii i ta terapia miała ją do tego przygotować. Mówili coś o obciążeniu genetycznym, więc Dawid zaczął szukać informacji o jej rodzinie. Znalazł akt urodzenia matki i tą drogą doszedł do tego, że siostra babki Karoliny prawdopodobnie również zmarła na tę chorobę. Wszyscy wierzyliśmy, że teraz, gdy są tak zaawansowane metody leczenia, uda się Karolinę z tego wyprowadzić... Dzwoniłam wtedy do ciebie. Miałaś wyłączony telefon. Nawet nie mogłam się nagrać, SMS-y nie dochodziły. Pisałam do ciebie przez Skype, WhatsApp, wysyłałam maile. Co się z tobą działo? — zapytała bez pretensji i wyrzutu, nie miała już na to sił.

Minęła noc i słabe, rozproszone światło lampki zastąpił jasny świt. Edyta przyglądała się Wojtkowi badawczo.

— Długa historia. Rzeczywiście byłem poza zasięgiem.

— Składałaś śluby milczenia w klasztorze? — „Tak, w innych okolicznościach to byłoby nawet zabawne” — pomyślała.

— Wolałbym. To trochę skomplikowane. Nie miałem możliwości się skontaktować w żaden sposób. Mogłabyś pożyczyć mi klucz do jej mieszkania?

— Przecież masz swój.

— Nie mam go przy sobie.

— Zbiorę się i pojedziemy razem. Czy mi się wydaje, czy nie przyjechałeś samochodem? — Spojrzała na niego badawczo.

— Pociągiem. Chciałbym najpierw pojechać na... cmentarz, jeśli...

— Wojtek, ty nie jeździsz pociągami od lat, co się z tobą dzieje? — przerwała mu, patrząc prosto w oczy. — Pojawiasz się nagle, niczego nie wiesz i wyglądasz jak... Co się stało?

— Miałem, a właściwie mam trochę kłopotów. — Wiedział, że zwykle „nic” jako odpowiedź nie wchodzi w grę. Czuł wzrok zaniepokojonej Edyty na swojej oszpeconej zmieniającymi kolor siniakami twarzy, nie miał jednak zamiaru mówić jej prawdy, o której teraz nawet nie był w stanie myśleć. — Nieważne. Czy moglibyśmy...

— Z pewnością to jest ważne. — Ponownie weszła mu w słowo, ale jego żaloszny wygląd sprawił, że zrezygnowała z naciskania. Chwilowo. — Potem mi wyjaśnisz. Chodźmy. — Sięgnęła po klucze.

* * *

Wojtek czuł mrowienie w całym ciele. Jego świat rozsypywał się na miliardy kawałeczków, czuł to niemal fizycznie. W jego głowie wciąż brzmiały słowa Edyty, wyobraźnia poskładała z nich bolesne obrazy, które wirowały mu przed oczami, uświadamiając stracony czas. Nigdy nawet nie pomyślał o tym, że kiedykolwiek może nie być Karoliny. Po prostu nie być... Jak to możliwe, że już nigdy jej nie zobaczy, nie usłyszy?

Grób Karoliny był wciąż obłożony kwiatami, wieńcami. Kolorowy. Szyderczo wesoły. Wojtek nie mógł patrzeć na tabliczkę. Nie był na to gotowy. Jeszcze poprzedniego ranka żył w innym świecie, alternatywnym świecie, gdzie wszystko było z nią w porządku. Nie płakał już. Po prostu stał, wpatrywał się w tabliczkę i szeptał:

— To niemożliwe, to niemożliwe... — Wydawało się, że czeka, aż ocknie się ze złego snu.

— Chodź — powiedziała po dłuższej chwili Edyta łagodnie i pociągnęła go za rękę. — Słuchaj, a może nie idź dziś do... do tego mieszkania. Chyba trochę tego za dużo jak na jednego człowieka w jeden dzień — zasugerowała, zerkając na jego białą jak papier twarz, gdy wychodzili z cmentarza.

Wojtek rozważał jej słowa. Miał ochotę wszystko zostawić. Po co uganiał się za tymi cholernymi przemytnikami, po co się w to mieszał, po co wciągał w to Karolinę? Gdyby nie to, byłby przy niej, może by jej pomógł, może jakoś... Zawsze się wspierali, nawet z oddali. Przetrwali w domu zastępczym i na

pewno razem byli mocniejsi, dodawali sobie nawzajem sił, chronili się, opiekowali się sobą. Potem wkraczali w dorosłe życie, na nowy i niepewny grunt. To do niej dzwonił, gdy było mu ciężko, to do niego przychodziła, gdy rzeczywistość ją przytłaczała. Pomagali sobie na wszelkie sposoby i zawsze jedno wiedziało, co dzieje się u drugiego. Do czasu... A teraz wszystko runęło.

Tylko kiwnął głową, nie chciał mu się już nic.

Gliwice, 2018, Karolina

Wczoraj odebrałam przesyłkę. To szaleństwo, ale chyba zaczyna mi się podobać. Czuję dreszczyk emocji. Wojtek strasznie się w to wciągnął i chociaż sama jestem ciekawa, co uda nam się jeszcze odkryć, i podziwiam jego zaangażowanie, to jednak trochę przesadza z tym swoim „na wszelki wypadek”. Dobrze, że jest ostrożny, zwłaszcza tam na miejscu. Jednak to ja tutaj musiałam jechać na drugi koniec miasta do małego oddziałiku poczty i stamtąd ze skrytki pocztowej odbierać pendrive nadany w placówce w Pradze, ponad sto kilometrów od miejscowości, w której mieszka Wojtek.

Z pierwszych dokumentów, jakie oglądaliśmy, gdy przyjechał tamtego zimowego wieczoru, niewiele zrozumieliśmy. Było tego za mało, nie mogliśmy doliczyć się samochodów, ustalić jednoznacznych reguł. No i aby wiedzieć, czy jakieś auta wyjeżdżają bez rejestru, trzeba mieć informacje, jaka ich liczba jest przeznaczona do sprzedaży w określonym czasie, dokąd jadą transporty i tak dalej. Najlepiej byłoby jeszcze znać sumę produkowanych, tych gotowych i przygotowanych pojazdów. Tego się chyba nie da doliczyć, zawsze wyjdzie jakieś plus minus. Hm... a może właśnie o to im chodzi. Nikt się tego nie doliczy. Mimo to kopiuję dane z pendrive'a na dysk. Ciekawa jestem, co Wojtek tym razem przysłał. Teraz, dzięki nowemu stanowisku, ma lepszy dostęp do tej części firmy, ale by czegokolwiek się dowiedzieć, trzeba być bardzo cierpliwym. Podejrzane wyjazdy nie zdarzają się ani często, ani regularnie. W zasadzie ten ostatni był dopiero trzecim namierzonym. Plus tego taki, że Wojtek zdążył się przygotować. Założył podsłuch i kamerki, poznał procedury, sprawdził dokumentację, w której właściwie nie ma się do czego przyczepić. Szkoda, że ta Eliška okazała się taką podłą małpą, gdyby byli nadal razem, można by jej zaufać, Wojtek miałby jeszcze łatwiej i dowiedziałby się więcej. Działa tam sam i musi być cholernie ostrożny.

Otwieram skopiowane pliki. Znajduję trochę zdjęć i dwa nagrania. Włączam pierwsze.

— *Jakieś změny?*

— *Nie, pakujemy jak zawsze trzy razy po dwieście z przodu i w środku. Chłopaki, do roboty.*

— *Biel?*

— *Nie. Amfa następnym razem.*

— *Umówione na dzisiaj.*

— *Mecenas o tym decyduje, nie ja. Jest standard, kapujesz? Tyle proszku na blety jak zawsze i ma być równo.*

— *Jistá8. Bude9 na dziesięć?*

— *Dowiesz się. Zapinajcie, jedziemy. Tylko pilnuj, żeby nie było jak z tym siwym. Przeszło raz. A przy zmianie bazy wszystko stracisz.*

Dociskam słuchawki do uszu i krzywię się, bo ciężko wyłapać dialog z szumów i trzasków. Na koniec hałasy wzmagają się, jakby ktoś przesuwiał coś po blasze, a potem słychać stłumiony odgłos włączanego silnika i słaby warkot. Nagranie się kończy. Zdaję sobie sprawę, że to tylko fragment, pewnie najbardziej treściwy z całości, ale i tak niewiele rozumiem. Drugie nagranie jest jeszcze gorszej jakości, jakby było z zewnątrz, a jednocześnie zakłócenia są podobne. Jeden głos wydaje się należeć do tej samej osoby co na pierwszym nagraniu, a drugi jest nowy.

— *I co, słyszałeś coś?*

— *Nie, cisza. Nie zdążył nikomu powiedzieć.*

— *Frajer, kurwa, był u psów.*

— *He, he, he, nie trafił, dał się udupić. Kosztują kupę hajsu, ale oplaca się.*

— *Ubezpieczenie, kurwa. Mecenas się wkurwił?*

— *Nie, kurwa, ucieszył się jak dziecko z balona. Co się głupio pytasz? Dobra, kończq. To ostatni*

w tym roku na północ, będzie przerwa na nowy teren.

Na zakupach w Katowicach Wojtek wydał małą fortunę, trochę mu nawet dołożyłam. Kupił maleńkie kamerki, sprzęt do podsłuchu w jakimś dziwnym małym sklepie poleconym mu przez Bogdana, porządną lornetkę i dobry aparat z obiektywem 500 mm oraz statywem. Efekt? Zdjęcia wyglądają, jakby były zrobione z tej samej perspektywy co te od Pavla, ale są trochę wyraźniejsze. Widać SUV-y, dwóch napakowanych facetów rozmawiających przy na wpół otwartym wejściu. To pewnie ci z drugiego nagrania. Jest i transporter z samochodami. Liczę. Dziesięć sztuk. Tak samo jak w poprzednim. Spisuję do osobnego dokumentu datę, podstawowe dane i numer rejestracyjny lawety, polski numer. Pierwszy raz padła czyjaś ksywka. Wiem, że szanse, by coś znaleźć, są niemal żadne, ale i tak wpisuję w przeglądarce „Mecenas” plus różne określenia dotyczące samochodów i przemytów. Oczywiście dostaję mnóstwo wyników, ale nic sensownego. Nie znam się na tym, nie umiem więc szukać i zastanawiam się kolejny raz, kto mógłby nam w tym pomóc. Wojtek kategorycznie nie zgadza się na wciąganie kogokolwiek. Mam wrażenie, że czasem żałuje swojej szczerości wobec mnie. Jestem lekko przerażona. Z kopii dokumentów, jakie do tej pory zdobył, nic nie wynikało. Dialog z nagraniem rzuca jakieś światło, nie rozmawiali przecież o samochodach, może się i nie znam, lecz jestem pewna, że „proszek na blety” to nie wyposażenie dodatkowe ani rodzaj tapicerki. Możliwe nawet, że samochody jadą legalnie i legalnie dalej są przekazywane dilerom, po uprzednim wyjęciu dowiezionego bagażu dodatkowego. To on jest gwoździem programu. Jeśli Pavel wiedział tyle co my albo więcej i w dodatku miał dowody, które przekazał policji, to dlaczego następny transport spokojnie wyjechał i nic się nie stało? Bo mają „ubezpieczenie”. Muszę o tym porozmawiać z Wojtkiem.

Cieszyn — Sopot, sierpień 2019

Kilka godzin za kółkiem samochodu może być nużące, może dłużyć się i dawać niemal namacalne wrażenie utraty czasu wraz z zostawianymi za sobą kilometrami. Skakanie między stacjami radiowymi, wyszukiwanie nowych, znowu suplementy odchudzające i z magnezem, lek na hemoroidy, znowu informacje o pogodzie i o tym, kto co powiedział, zrobił lub nie. Włączanie muzyki z serwisów muzyki cyfrowej i własnych zbiorów. Zatrzymywanie się za potrzebą i rozglądanie za szybkim żarciem po drodze. Chaotyczne rozmyślenia, mrużenie oczu i szukanie jedną ręką okularów przeciwsłonecznych w schowku. Chęć zdrzemnięcia się na najbliższym parkingu, wybieranie numeru z najczęściej używanych kontaktów i rozmowy o niczym. Wypełniacze.

Nie tym razem. Podczas tej podróży Mateusz Szwed nie dzwonił, nie słuchał, nie pamiętał o przyziemnych potrzebach. Rozmyślał. Autostrada A1 na ponad pięć godzin zapewnia komfort dla rozważań, tworzenia planów, pozwala odciąć się od świata i jednocześnie daje szansę na przygotowanie się do ponownego spotkania z nim. Mati nigdzie indziej nie może tak długo być sam, jednocześnie całkowicie trzeźwy i niepogrążony we śnie. Specjalnie zostawił telefon w kieszeni kurtki rzuconej na tylne siedzenie. Nawet gdyby ktoś dzwonił, nie zauważy wibracji wyciszzonego aparatu.

Zawsze podążał za swoimi namiętnościami, liczyło się to, co najbardziej przyciągało myśli i dawało siłę do działania. Ufał instynktowi i przeważnie dostawał to, do czego dążył, chociaż czasami było trudno, trzeba było zapracować na swoje, uparcie pokonywać przeciwności losu. Pociągało go to, co efektywne, co daje wynik, który wszyscy podziwiają, sprawia, że ludzie klepią go po plecach z szacunkiem, a ci, którzy go nie mają w kręgu swoich znajomych, chcą go poznać.

Potrafił pracować z ludźmi, współorganizować eventy, koncerty, duże imprezy, bo wtedy inni polegali na nim, mogli liczyć na jego profesjonalizm i dopięcie wszystkiego na ostatni guzik. Samo dążenie do tego, by wszystko poszło zgodnie z planem, dawało mu satysfakcję. Rezultat był wisienką na torcie. Nagrodą za dobrze wykonaną pracę i pozwoleniem na zasłużone świętowanie sukcesu. Niewielkie przekraczanie granicy legalności dodawało wszystkiemu pikanterii, było niezbędne do utrzymania i zacieśniania kontaktów oraz udowadniania innym i sobie, że może wszystko, jeśli tylko zechce.

Oczywiście ważne były też pieniądze. Właściwie wszystko, co miał, zawdzięczał sobie, swojemu sprytowi i pracowitości. Tego był pewien, mówił o tym otwarcie i z dumą. Podkreślał, że teraz oddaje dług swoim wspaniałym rodzicom, którzy tyle mu poświęcili, i choć wiele nie mieli, nigdy niczego mu

nie brakowało. Rzeczywiście, może nie często, lecz w miarę regularnie ich odwiedzał. Nigdy z pustymi rękami. Matka nie przyjęłaby pieniędzy od syna, więc przywoził, co tylko uznał, że może się przydać. Wysokiej jakości sprzęt AGD, nowe komórki dla rodziców, komputer, by mieć z nimi lepszy kontakt. Elegancki płaszcz dla mamy, najlepsze narzędzia dla taty, który całe życie zarabiał jako złota rączka i na emeryturze nadal ciągle coś naprawiał i ulepszał. Tym razem rodzice trochę protestowali, gdy zobaczyli telewizor zbyt duży do ich pokoju dziennego. Mama nie chciała się zgodzić na tak drogi prezent, chociaż właściwie nie miała pojęcia, ile kosztował. Dla niej nawet z jednym zerem mniej cena była niebotyczna i nieosiągalna. Nie miała jednak wyjścia. Syn uprzedził, że kurier przyniesie dużą paczkę i należy ją odebrać. Potem przyjechał, pomógł rozpakować i powiedział, że należy im się to, by w końcu mogli oglądać telewizję na czymś porządnym. Matce popłynęły łzy i zaczęła lamentować, że przecież Mati ma dzieci, potrzeba mu pieniędzy, a tu taki wydatek. Przecież nie trzeba. Skąd miała wiedzieć, że Mateusz robi to nie tylko dla nich, ale i dla siebie, by uciszyć sumienie, poczuć się lepiej i udowodnić sobie, że to, co robi, ma sens, uszczęśliwia i jest potrzebne. Inna sprawa, że z telewizorem coś trzeba zrobić, skoro Lidia uparła się, że go nie chce. W sklepie wolał się nie pokazywać. Nie lubił takich sytuacji. No i tych konkretnych pieniędzy nie chciał już widzieć. Nie tym razem. Gdy wyjeżdżał od rodziców, było mu lżej na duszy. Mógł sobie powiedzieć: może nie powinienem tak zarabiać, ale i tak było warto.

Słońce chyliło się nad polami. Co jakiś czas teren obniżał się i wówczas górowało nad ekranami, z czasem chowało się coraz bardziej pomarańczowe, rozlewające się. Mateusz mrużył oczy, ale nie obniżył osłony, nie założył okularów, nie zwracał uwagi na słońce. Analizował.

Ostatnio coraz częściej i coraz więcej organizował prochów. Dla niektórych stało się to oczywiste. Kto jeśli nie on? Jakby to była część jego pracy zawodowej, punkt w kontrakcie, element standardu, z którego żaden szanujący się artysta nie może, a nawet nie powinien zrezygnować. Pewnie, nie zawsze tak jest, ale ostatnio często, za często. Jedni potrzebują, bo muszą być w formie i jest to jeden z podstawowych i koniecznych czynników warunkujących sukces. Inni potrzebują lepszej zabawy, nagrody, by dalej im się chciało robić swoje i przede wszystkim współpracować właśnie z Matim, a nie kimś innym. Raz to niewinna trawka lub prawie legalne leki, tylko bez recepty i w większej ilości, a czasem coś za grubszą kasę. Mateusz praktycznie w każdym większym mieście miał jakiś kontakt. Wystarczył SMS z krótką informacją i adresem, by niemal natychmiast mieć dokładnie to, co potrzebne. Cicho, czysto, bez problemu. Interes zrobiony, wszyscy zadowoleni, a on to równy gość. No i zaufany.

A jednak po ostatniej sytuacji pozostał strach. Uświadomił sobie, jak łatwo może runąć ta konstrukcja. I co wtedy? Oczywiście pewnie znowu się uda. Szmał zawsze zamyka ludziom usta, pod warunkiem że kwota jest odpowiednia. W zasadzie jechał do domu z nadzieją, że znajdzie tam swój dowód. Wyobrażał sobie sytuację: wchodzi, wita się z córką Emilią, z Matyldą, która mówi: „A wiesz, kochanie, że jeździsz bez swojego dowodu osobistego? Wypadł ci, Emilka znalazła na podłodze w salonie, chciała zjeść, odłożyłam tutaj”. Wizualizował sobie to tyle razy, że był niemal pewien, iż dokładnie tak to będzie wyglądało już wkrótce. Z pewnością.

Jedno jest pewne, trzeba bardziej uważać. Ograniczyć pośrednictwo do minimum, przerzucić na kogoś w razie potrzeby. Skoro potrzebują tyle stuffu i potem nie potrafią się ogarnąć, to niech Eryk się tym zajmie. To w końcu jego grupa. Tak, następnym razem postawi sprawę jasno: chcesz cukierki, ziolo czy białko, to masz tu kontakt i sobie załatw. Wcześniej wysłał na przykład Rady numer Eryka, żeby go nie olał. „Może stracę część kasy, ale to nie jest najważniejsze. I tak wyjdę na swoje, a przynajmniej w razie czego będę czysty” — pomyślał. W połowie drogi wszystko wydawało mu się proste. Miał plan, nieskomplikowany, konkretny, niezawodny. Uśmiechnął się do siebie i włączył cicho radio. Czas na trochę luzu. Nie można się ciągle tak spinać.

Raz rozpędzony pociąg myśli w mózgu jednak się nie zatrzymał i Mateusz znów zaczął zaciskać mocniej dłoń na kierownicy. Na pewno padnie pytanie: dlaczego. Może utracić zaufanie, jeśli będzie chciał się odsunąć lub przestanie okazjonalnie z nimi ćpać podczas imprez. Z tego zrezygnować nie może, to część pracy i element integracyjny. Poza tym dobra zabawa to też nowe kontakty i początki nowych zleceń. Zresztą Eryk może się nie zgodzić, zacząć podejrzewać, że Mati chce się wycofać albo coś jest nie tak. W myśl zasady: kto nie pije, ten kabluje. „Tylko po co miałbym coś kombinować, skoro to moja praca i sam nasrałbym sobie w papiery” — pomyślał, szukając uzasadnienia dla swojego planu.

Nie wiedział tak naprawdę, jak zareaguje menedżer i inni. Są razem na fali, mają wypracowany układ, który działa i wszystkim pasuje, czują się bezpiecznie. Oni. On już nie.

Rozważania zajęły Mateuszowi całą drogę. W kółko rozpracowywał w głowie różne scenariusze, znajdował argumenty „za”, a potem je obalał i znów szukał lepszych. Nawet jeśli, jak mu się wydaje, znajdzie swoje dokumenty w domu, to musi wyciągnąć z tego wszystkiego wniosek, musi się zabezpieczyć, mieć większą kontrolę i nie dopuścić do podobnej sytuacji. Uświadomił sobie przecież, że gdyby cokolwiek się stało, tylko jemu można udowodnić kontakt z dilerem i zakupy. Każdy będzie chronił swoją dupę.

Do zjazdu na drogę wojewódzką miał niespełna godzinę. Był coraz bliżej domu i coraz dalej od tamtego świata. Chciałby lepiej poczuć to oddalenie, lecz chociaż to jak dwa różne kraje, dwie różne rzeczywistości, to jednak są połączone siecią niewidzialnych i nierozzerwalnych nici.

Poznali się z Matyldą w pracy w Sopocie. Była choreografką. Mieli razem pracować tylko przez kilka dni. Zawróciła mu kompletnie w głowie. Tak inna od żony, tak spontaniczna i odważna. Jej włosy ciągle rozwiewane przez wiatr były w nieładzie, chciał je poczuć na swojej twarzy, nagim ciele, i to się po prostu stało. Zakochali się w sobie. Wszystko wydawało się takie proste, szczere. Beztroskie. Nie miał wyrzutów sumienia. Z Julią i tak od dawna mu się nie układało, pogodził się już z tym, że ich rodzina się rozpada. Trochę cierpiał i próbował walczyć, ale szybko zrezygnował. Nie czuł tego, nie potrafił się zmuszać, chociaż oczywiście kochał dzieci. Cięża Matyldy ułatwiła mu decyzję o rozwodzie. Zdecydował się zostawić mieszkanie Julii, spłacić je i łożyć na dzieci więcej, niż zaordynował sąd. W końcu ma z czego.

Kupił niedrogo dom za Trójmiastem i postanowił zbudować rodzinę raz jeszcze. Niczego nie żałował. A gdy przychodziły natrętne myśli obarczone wyrzutami, że się nie sprawdził, nie potrafi, zostawił przecież żonę i dzieci, nie walczył o nich, pocieszał się, że z Julią to nie było „to”, a życie nie polega na tym, by męczyć się z kimś, kogo się już nie kocha. Dzieci też to wyczuwają i lepiej będzie tak, jak jest, a Ala i Emil przynajmniej będą mieli co roku fajne wakacje nad morzem z tatusiem, Julka sobie kogoś znajdzie. Zawsze chciał widzieć tylko pozytywne strony sytuacji, by spać spokojnie i nie mieć wyrzutów sumienia. I był w tym świetny.

Wjechał wreszcie na podjazd swojego uroczonego, zadbanego domu otoczonego ogródkiem pełnym kwiatów, odgradzonych płotkiem, i dziecięcych zabawek. Pomyślał, że zmieści się jeszcze jakaś mała huśtawka. Gdy wysiadł z samochodu, poczuł, jak zeszywniałe ma ciało, pełny pęcherz i pusty żołądek. Głowa pulsowała mu bólem. Był jednak pewien, że za chwilę upora się z tym, co go gryzie, odetchnie z ulgą i choć na trochę będzie mógł żyć zwyczajnym życiem męża i taty.

Gliwice, sierpień 2019

Po długiej bezsennej nocy nastąpił długi bezsenny dzień. Wojtek wrócił z Edytą do jej mieszkania i siedział beczynn timer, próbując zebrać myśli. Nie wiedział, co teraz, gdzie pójść, jak postąpić. Edyta, zwykle pewna siebie, bardzo chciała mu pomóc, lecz również popadła w osobliwą niemoc. Siedziała w fotelu przy oknie, wpatrując się w dal. Na zewnątrz życie biegło swoim torem, jakby nigdy nic, a tuż obok za murem świat się zatrzymał. Zamówiła pizzę, która teraz stygła zapomniana na stole.

Dzwonek do drzwi wyrwał oboje z odrętwienia. Edyta poderwała się na równe nogi i rozejrzała, jakby nie wiedziała, gdzie jest i co się z nią dzieje. Pobiegnęła do drzwi.

— Hej, jesteś jednak! Czemu nie odbierasz telefonu? Co się dzieje? Czemu jesteś taka jakaś... wymięta i potargana? — Beztroskie słowa Marty wdarły się do grobowej atmosfery panującej wewnątrz. Edyta, nic nie mówiąc, wycofała się w głąb mieszkania.

— O, cześć — powiedziała zaskoczona widokiem Wojtka Marta. — Wieki cię nie widziałam. Co właściwie...

— Nic nie wiedział — przerwała Edyta, nim Marta zdążyła się rozkręcić. — O Karolinie.

Edyta uświadomiła sobie, że do tej pory nie rozumie, jak to możliwe, że do wczoraj nic nie wiedział, skoro odpisał jej na wiadomość o śmierci. O tym samym pomyślała również Marta i natychmiast zadała pytanie:

— Jak to? Przecież odpisałeś, że jesteś załamany, ale nie możesz przyjechać.

Podniósł wzrok na dziewczynę i myślał przez chwilę, jakby rozkodowywał sens jej słów.

— Nic nie wiedziałem. Ktoś mi zabrał telefon i widocznie odpisał. — Uciekł wzrokiem w bok.

Prawda zabrzmiała jak kiepska wymówka.

— Kto?

To pytanie nie miało na razie doczekać się odpowiedzi. Wojtek zwiesił głowę i nic więcej nie powiedział. Wolał, aby uznały go za gburę, krętacza i mówiły, że zmienił się na gorsze, niż powiedzieć zbyt dużo.

— Nie chcesz, nie mów, twoja sprawa, ale musisz wiedzieć, że...

— Daj spokój, Marta, naprawdę. Zjedzmy coś — powiedziała Edyta i wyszła do kuchni, by zaparzyć kawę.

Marta nałożyła sobie na talerz pokaźną porcję zimnej pizzy, po czym wyszła za nią. Włożyła jedzenie do mikrofalówki i włączyła urządzenie. Buczało jednostajnie.

— Co tu się dzieje? Kiedy przyjechał? Widziałas, jak on wygląda? — szeptała zaaferowana Edytye do ucha.

— Nie wiem, wczoraj wieczorem. I tak, widzę, nie jestem ślepa.

— Jak nie wiesz?

— Zwyczajnie. I na razie nie pytam. Wiadomość o jej chorobie i śmierci strasznie go dobiła. Całą noc mu opowiadałam, musiałam to wszystko jeszcze raz przejść... jestem wykończona. Rano byliśmy na cmentarzu, a teraz tak siedzisz tu od... czekaj, cholera, cały dzień minął.

— Nie byłeś w pracy?

— Jak? Miałam go samego z tym zostawić? Jeszcze by zrobił coś głupiego.

— Nie, no coś ty, to Wojtek, dumny nie jest.

— Ale sama widzisz, jak wygląda. Też nie jak Wojtek. W każdym razie nie do końca.

Skończyły szeptać, gdy wybrzmiał sygnał informujący, że danie skończyło się podgrzewać.

* * *

— Chciałbym pogadać z tym Dawidem.

— Powodzenia — odparła Marta, przełykając kawałek ciasta. — Wyparował.

— Tak, dość specyficznie przechodzi żalobę — dodała Edyta. — Zabrał wszyściutkie swoje rzeczy, dosłownie wszystko, co go dotyczyło, zdjęcia też, zostawił rozpiżdziel w mieszkaniu Karoliny i wyjechał. Marta do niego wydzwaniała, ale wyłączył telefon. A swoją drogą, twoim chyba ktoś się bawi, bo niedawno dostałam komunikat, że jesteś dostępny. Zgłosiłeś u operatora tę kradzież?

— Muszę się dostać do jej mieszkania. — Obecność Marty i jej pytania wzbudziły w Wojtku potrzebę zrobienia czegoś. Powinien tam pójść i zabrać zgromadzone materiały, dopóki ma czas. I nie może ich wtajemniczyć. Teraz już z nikim nie powinien o tym rozmawiać. Zaczął się zastanawiać nad Dawidem. — Macie jakieś zdjęcie Dawida? Jak wyglądał?

— Zwyczajnie, nic szczególnego — zaczęła powoli Marta, przywołując w wyobraźni obraz mężczyzny. — Wysoki, wyższy od ciebie, dobrze zbudowany, krótkie włosy, nawet bardzo krótkie, przyszyżone takie. Brązowe, właściwie raczej ciemny blond. No i przystojniak z niego, naprawdę jest na czym oko zawiesić.

— Miał w uszach dziurki po kolczykach, a w lewym ta dziurka była mocno rozciągnięta, prawie jak rozerwany płatek ucha — dodała Edyta.

— A tak... rzeczywiście coś tam miał takiego, ale wiesz, że ja chyba nie mam żadnego zdjęcia...

— Ja też nie — wtrąciła Edyta. — Chyba nie lubi fotografowania. Nie zastanawiałam się nad tym, ale najwyraźniej unikał zdjęć.

— Tak, unikał. Chyba że sam robił. — Zwróciła się do Edyty: — Pamiętasz, jak byliśmy razem w tamtej knajpie, tej nowej? Na zewnątrz jest piękny ogródek! Byliśmy w komplecie, no... ciebie brakowało. W każdym razie chcieliśmy sobie zrobić razem zdjęcie, wiesz, tak na spontanie. Dawid się poderwał, że niby on nam robi, ale zaprotestowałam, bo przecież zawsze mam sticka w torebce. Wtedy przyznał, że nie chce, bo nie lubi czy coś tam... Pamiętasz, dlaczego nie chciał?

— Właściwie konkretnie nie powiedział — odparła Edyta. — Karolina nawet go namawiała, więc po tym, które ty zrobiłaś, pozwolił jej zrobić zdjęcie jej telefonem.

— Ale jej telefonu nie ma — przypomniała sobie Marta.

— Jak to nie ma? — Wojtek zmarszczył brwi.

— Nie wiem, w mieszkaniu nie ma ani komórki, ani komputera. Chyba Dawid wziął. — Wzruszyła ramionami i dodała: — Mnie tam od tego pogrzebu coś w nim nie pasuje, coś śmierdzi... No i zrobił bałagan, jakby czegoś szukał. Zabrał wszystkie swoje rzeczy i śladu po sobie nie zostawił. Dziwne.

— Muszę tam pójść. — Wojtek poderwał się i zatrzymał, bo zakręciło mu się w głowie. Organizm domagał się odpoczynku. — Daj mi, proszę, klucze — zwrócił się do Edyty, która bez zastanowienia spełniła jego prośbę.

— Dokończę i lecimy — powiedziała Marta, przeżuując szybciej jedzenie.

— Nie, nie. Pójdę sam. I słuchajcie, nikomu nic nie mówcie, okej? Nikomu — powiedział poważnie.

— Co? O czym? — zdziwiła się Edyta.

— O tym, że nie ma komputera, że przyjechałem. W ogóle jakby ktoś pytał, to nie widziałyście mnie od dawna. To ważne.

— O czym ty mówisz?

— Właśnie. I co z twoją twarzą? Wyglądasz, jakby...

— Wszystko w swoim czasie — przerwał z naciskiem. — Nic, nikomu. Ludwikowi też. Dla waszego bezpieczeństwa. Proszę was. Nikomu. Nie było mnie tu.

— Zaczekaj!

— I nie dzwoń ani na ten stary numer, ani na ten, z którego pisałem wczoraj. Ja się odezwę. Obiecuję.

Były tak zaskoczone, że nim zareagowały, już go nie było.

* * *

Edyta nie miała już sił na analizowanie sytuacji, w przeciwieństwie do Marty, która z kolei nie zamierzała sobie pójść i pozwolić przyjaciółce na odpoczynek. Ta ostentacyjnie zabrała się za rozścielanie łóżka i poszła pod prysznic. Marta usiadła w fotelu Edyty i rozmyślała, machając zawzięcie stopą. „Może go tam wykorzystywali w pracy, a potem wyrzucili? Nie, nie dałby się. Prędzej sam by się zwolnił. Może coś się stało? Okradli go? Może dziewczyna? Niektóre kobiety potrafią zniszczyć każdego”. Miała wielką ochotę pojechać za Wojtkiem do Karoliny. Zaczęła się zbierać do wyjścia, gdy Edyta wyszła z łazienki.

— Idziesz wreszcie do siebie?

— A nie, muszę go złapać. Nie może tak być, że nic nie wiemy.

— Hej, hej, czekaj! Ty tak serio? — Edyta stanęła przed nią, by nie wyszła z mieszkania.

— No a jak? Widziałaś, jak on wygląda? Nie wiem jak ty, Edzia, ale ja nie spocznę, dopóki nie dowiem się, co tu się dzieje — powiedziała hardo.

— A nie pomyślałaś, że to może nie jest twoja sprawa? — nie ustępowała Edyta, chociaż naprawdę nie miała już ochoty dyskutować. — Daj mu na razie spokój. Dopiero się dowiedział o śmierci najbliższej mu osoby...

— Najbliższej? — przerwała. — Wypiął się na nią w najgorszym okresie jej życia!

— Nie wiedział. Zrozum to. Nie byli w kontakcie z jakiegoś ważnego powodu, ale to Wojtek musi zdecydować, czy nam to wyjaśnić. Nie próbuj tego robić na siłę, nie jesteś dzieckiem.

— No wiesz — obruszyła się Marta.

— Wiem właśnie. Daj spokój. I tak jak prosił, nic nie mów Ludwikowi.

— Wszystko mu mówię. Jemu nie da się nie powiedzieć.

— Powstrzymaj się więc choć raz! — Edyta wycodziła przez zęby, tracąc cierpliwość. — Idź do domu, na zakupy, zajmij się zwyczajnie życiem. Ja muszę się położyć, padam na twarz.

Marta otworzyła usta i je zamknęła. Przypomniała sobie, dlaczego wydzwaniała do przyjaciółki

i do niej przyszła. To może poczekać. Edyta rzeczywiście była zmęczona i potrzebowała spokoju. Marta wyszła więc z zamiarem odwiedzenia centrum handlowego. Tym razem wejdzie jednak do sklepu dziecięcego, nie jak zwykle między ciuchy.

1 *Sáčky* (cz.) — torby.

2 *Pod dubem* (cz.) — pod dębem.

3 *Hovory věcí* (cz.) — zbiór wierszy Antonína Sovy.

4 *Nejnovější super kávovar* (cz.) — najnowszy superekspres do kawy.

5 *Zelený proud* (cz.) — zielony potok.

6 *Dívka* (cz.) — dziewczyna.

7 *Změny* (cz.) — zmiany.

8 *Jistá* (cz.) — pewnie.

9 *Bude* (cz.) — będzie.

Cieszyn, sierpień 2019

Aby oderwać się od natrętnych myśli, które wciąż krążyły wokół Wiktora i Mateusza, Lidia umówiła się z Olgą na „dopieszczanie”. Polegało to na wycieczce do wcześniej umówionych salonów: odnowy biologicznej, kosmetycznego i fryzjerskiego, z przerwą na dogadanie podniebieniem. Zajmowało to zwykle niemal cały dzień, więc rezerwowały zazwyczaj jedną sobotę w miesiącu, chociaż Olga wiecznie narzekała, że to zdecydowanie zbyt rzadko, i za każdym razem postanawiała, że tym razem powtórka za dwa tygodnie, po czym umawiały się przed upływem czterech. Dawniej chodziły we trzy, lecz Natalia wyjechała do Londynu.

Olga miała mnóstwo energii, pomysłów i ciągle kłóciła się z Rafałem o drobiazgi, co paradoksalnie wydawało się pozytywnym aspektem ich związku, bo chociaż sprzeczali się nieustannie, kochali się równie mocno. Przyjaciółki mówiły sobie właściwie o wszystkim, doradzały w miarę możliwości albo krytykowały, co bywało irytujące, lecz ostatecznie pouczające. Tym razem Lidia postanowiła nie wtajemniczać Olgi, nie opowiadać o wydarzeniach z pamiętnego weekendu, którego głównym bohaterem był Wiktor. Miała wielką ochotę wszystko przyjaciółce zrelacjonować, zrzucić to z siebie i może zobaczyć z innej perspektywy. Czowała jednak, że to byłby błąd. Nie ma co się łudzić. Prawdopodobnie nigdy już go nie spotka. Wciąż czuła ciężar nierozwiązanej sprawy dokumentów brata. Mati wyjechał nagle, nie dając jej szansy na wyjaśnienia, co tylko wzbudziło jeszcze więcej wątpliwości. Lidia podejrzewała, że był urażony tym, iż nie przyjęła prezentu. Kiedyś po podobnej akcji też wyjechał i nie odzywał się przez kilka tygodni, nie odbierał telefonu, tylko lakonicznie odpisał na SMS. Wciąż zastanawiała się, jak wyjaśnić bratu sprawę z Wiktorem. Pewnie będzie musiała złożyć zeznania na policji i wszystko opowiedzieć. Popatrzą na nią z politowaniem, a potem pójdzie do domu i spróbuje o tym zapomnieć.

— A ty co taka skisła? — Olga badawczo się jej przyglądała znad pucharka swoich ogromnych lodów wiśniowych.

— Tak jakoś się zamyśliłam. — Lidia oblizwała łyżeczkę.

— A o czym tak rozmyślasz? Wyglądasz, jakby coś cię gryzło.

— Mati coś ostatnio znowu odwała. — W zasadzie tym też się martwiła.

— Aha?

— Wyobraź sobie, że wpakował mi do mieszkania telewizor wielkości boiska piłkarskiego. Nie wiem, skąd miał kasę, bo wierz mi, to był nabytek za sumę pięciocyfrową, i to wcale nie z jedynek na początku.

— Może jakąś premię dostał? Albo prezent od zadowolonych klientów.

— Z pewnością — powiedziała ironicznie. — Zresztą nie wnikiem, ale nawet jeśli wpada niespodziewana większa kasa, to nie kupuje się siedemdziesięciu pięciu cali do takiego mieszkania jak moje i nie chleje się przy tym do nieprzytomności w pojedynkę. Tego typu numery, choć może nie za takie pieniądze, odwała zwykle, gdy ma kłopoty.

— No a co z tym telewizorem?

— Nie wiem. Kazałam mu go zabrać w cholerę i jak wróciłam z pracy, nie było ani jego, ani Mateusza. Mam nadzieję, że poszedł po rozum do głowy i go zwrócił. Przecież ma masę zobowiązań i wydatków.

— Ile on ma lat? Trzydzieści sześć?

— Trzydzieści pięć.

— Otóż to. Jest dorosłym facetem. — Olga wzruszyła ramionami. — Ma swoje życie, jakoś sobie radzi, a że czasem robi coś głupiego... Który facet nie robi?

Gdy Olga komentowała zachowanie Mateusza i zaczęła swoje dywagacje na temat irracjonalnych postępów mężczyzn, Lidia znów odpłynęła myślami ku Wiktorowi. Nic o nim nie wiedziała i obojętnie, ile by kombinowała, ten stan rzeczy był niezmienny. Nie chciała fantazjować na jego temat, wymyślać historii, lecz robiła to wbrew rozsądkowi. Potem niecierpliwiła się, każąc sobie zejść na ziemię. Przecież najprawdopodobniej miała do czynienia z kolesiem z półświatka i powinna była natychmiast zgłosić

kradzież, a nie dać się tak wmanewrować. W końcu kto jest ważniejszy, brat czy jakiś obcy człowiek? Nie rozumiała samej siebie. Czuła do Wiktora dziwną sympatię, którą tłumaczyła sobie zwyczajną litością. Wydawał się w porządku i było jej go żal. Nie zachowywał się jak typ spod ciemnej gwiazdy, przynajmniej w jej wyobrażeniu o takich osobnikach. Raczej sprawiał wrażenie ofiary. A potem ich zwyczajnie okradł. „Nie wszystko jest takie, jakie się wydaje” — pomyślała i westchnęła.

— Już tak nie wzdychaj, nie jesteś jego matką — skomentowała Olga, a Lidia wróciła do rzeczywistości. — Kończ te lody, bo musimy zdążyć na piętnastą.

* * *

— Wstąpimy na wystawę grafiki i plakatu? — zaproponowała Olga, oglądając ulotkę po wyjściu od fryzjera. Szły Ratuszową w kierunku rynku, gdzie mieściła się galeria.

— Raczej nie dziś. Mam już chyba dość dogadzania sobie. — Lidia chciała jak najszybciej wrócić do swojego azylu.

— No dobrze, pójdziemy za tydzień. Tylko pamiętaj, bo potem już nie będzie okazji — zastrzegła Olga. — Mam straszną ochotę na drinka. Nie daj się prosić! Wyglądasz teraz jak milion dolarów, a kto wie, może twój królewicz z bajki akurat żłopie piwsko w Mokce?

— Nie zachęcasz mnie.

— Daj spokój, Lidka. Trzeba uczcić dzisiejszy efekt. Twoje nowe ombre jest tego warte. A swoją drogą co z planami dotyczącymi twojej wystawy?

— Na razie nie mam do tego głowy.

— Maruda jesteś. Chodź. — Olga wzięła Lidię pod ramię i pociągnęła ją w kierunku ulicy Głębokiej, skręcając w lewo. Tęsknie zerknęła w stronę galerii na rynku. — Obiecuj mi, że za tydzień pójdziemy na wystawę. Może popytamy o możliwość przedstawienia im twoich prac?

Rzeczywiście, Lidia wciąż odkładała realizację własnych marzeń. Jej największą pasją było tworzenie obrazów cyfrowych. Potrafiło ją to pochłonąć bez reszty i miała już pokaźny zbiór folderów podzielonych tematycznie. Niektóre prace drukowała i umieszczała w albumie lub oprawiała i dawała znajomym. Dom Olgi był przyozdobiony kilkoma okazałymi grafikami, które świetnie współgrały z otoczeniem, choć nie doбираła kolorystycznie dzieł koleżanki do wnętrza, ale odwrotnie — dopasowywała dodatki, a nawet malowała ściany na odcień godny obrazu. Olga od dawna już namawiała Lidię, by zorganizować wystawę. Było to jednak bardziej skomplikowane, niż obie początkowo myślały. Talentu Lidii — poza gronem znajomych — nikt nie znał, a ona nie była na tyle odważna, by się wypromować. „To jak pisanie wierszy do szuflady” — mawiała, lecz Olga wiedziała, że tak naprawdę Lidia marzy o tym, by pokazać innym swój świat przedstawiony na grafikach, chociaż ma wiele wątpliwości. Czy nadal będą takie same, czy uczucia i przeżycia, które przelała do swoich prac, nie stracą znaczenia dla niej samej, gdy każdy będzie mógł na nie patrzeć? Czy nie wyblakną wystawione na widok jak farba na promienie słońca? I czy udźwignie krytykę? Najwięcej satysfakcji dawało jej zawsze samo tworzenie, miało terapeutyczną, niemal uzdrawiającą moc. Przetwarzanie rzeczywistości, przemyśleń i uczuć w sztukę cyfrową pozwalało wyciszyć się, zobaczyć przeróżne sprawy w innym świetle, a czasem dostrzec rozwiązania. Naturalnie nie powiedziała Oldze co, a raczej kto jest ostatnio tematem jej nowych obrazów. Jednak tym razem tworzenie nie uspokajało, nie pomagało. To było coś nowego i zupełnie innego.

Gliwice, 2018, Karolina

Chciałabym pogadać z dziewczynami o tej historii z Pavlem, podejrzanymi transportami i całym tym bajzlem, w którym Wojtek grzebie. Na pewno inne spojrzenie na sprawę byłoby pomocne, nie mówiąc o tym, że jedna z sióstr Marty, Ula, ma męża policjanta. Poznałam go kiedyś, bardzo sympatyczny facet, mógłby coś doradzić. Jednak oboje z Wojtkiem zgadzamy się, że im mniej osób niepowołanych o wszystkim wie, tym lepiej. Gdyby nie zniknięcie Pavła, na pewno nie mielibyśmy co do tego takiej obsesji, już dawno wtajemniczyłabym dziewczyny i rozpracowałybyśmy temat, szukając kogoś, kto się na tym lepiej zna. Boję się jednak o Wojtka. Jest z tym sam i w ogóle jest sam.

Daleko. Najlepszy kumpel wyparował, a pozostali nie są już ani tak bliscy, ani wzbudzający takiego zaufania, co gorsza, nie wiadomo, kto może być w to wszystko zamieszany. No i jedno jest pewne — nie chcą się mieszać. Gdyby tylko można było dotrzeć jakoś do Pavla. Nie chciałam nawet brać tego pod uwagę, lecz coraz częściej zastanawiam się, czy zniknął z własnej woli. Może zmusili go szantażem? O gorszym scenariuszu nawet nie chcę myśleć. Wojtek powiedział, że wyłapana przez niego rozmowa, którą mi przysłał, na dziewięćdziesiąt dziewięć procent dotyczyła Pavla. To on ma włosy przetykane siwizną. No i „był u psów”.

Gapię się przez witrynę na strugi deszczu spływające po szybie, na wielką kałużę przy krawężniku, w którą co chwila wjeżdżają samochody. Każdy nieuważny przechodzień jest narażony na nagłe spotkanie z zimną wodą. Dzisiaj nic się nie dzieje, mało osób przekroczyło próg biura, więc siedzę i ziewam, nawet nie zasłaniam ust. Citroën szefowej z impetem wjeżdża w ogromną kałużę. Wygrała, krople doleciały prawie do szyby — dobrze, że akurat nikogo nie ma między jezdnią a budynkiem, bo byłby mokry od stóp do głów. Oczywiście Anna, niewiele myśląc, energicznie wysiada i pakuje swoją kremową szpilkę prosto do wody. Klnie, co świetnie słyszę mimo zamkniętych drzwi, zgiełku ulicznego i szumu deszczu, po czym, by podnieść stopę i ocenić zniszczenia, staje w drugiej szpilce, jeszcze głębiej zanurzając ją w kałuży. Zaraz wparuje tu wściekła, będzie się o wszystko czepiać i oczywiście to ja otrzymam jej buty z poleceniem „Zrób coś z tym, i tak się teraz nudzisz”. Nie mogę jednak powstrzymać się od śmiechu.

Panna Zelikówna wpada jak trąba powietrzna, i to dosłownie, bo wraz z nią wdziera się zimne, wilgotne powietrze i zaburza moje wewnętrzne poczucie zatrzymania czasu w przestrzeni biura. Klnie szpetnie, co zdarza jej się jedynie w chwilach najwyższego wzburzenia, i nie zwracając na mnie uwagi, gna na zaplecze. Słyszę, jak rzuca torebkę, torbę oraz teczkę z dokumentacją na biurko, nadal burcząc pod nosem niecenzuralne słowa. Zalega cisza. Jak przed burzą. Uświadamiam sobie, że cały czas kretyńsko uśmiecham się do siebie, jakbym była widzem w teatrze, a na scenie rozgrywała się nie dotycząca mnie komedia.

— Dzień dobry, panno Anno — mówię zbyt radośnie, gdy znów pojawia się w pokoju.

— Dobry, dobry. — Zerka na mnie z niechęcią. — Może dla ciebie. Zrób coś z tym, i tak się teraz nudzisz.

Wyciąga w moim kierunku rękę z ociekającymi szpilkami. Zabieram je, a ona zdejmuje płaszcz i otrzępuje się jak kot. Idę posłusznie z butami do łazienki i znowu uśmiecham się pod nosem na myśl o moim skojarzeniu z kotem. Panna Anna Zelikówna zachowuje się często jak rasowa kotka — przeciąga się jak zwierzę, czasem fuka, obraża się, wiecznie goni, jakby na coś polowała, i jest bardzo wybredna co do jedzenia, a przy tym, co ciekawe, nienawidzi wręcz kotów. Ma sześćdziesiąt dwa lata i niemal szczyli się tym, że jest wciąż panną. Twierdzi, że jeszcze nie pojawił się na tym świecie nikt godny jej ręki, i myślę sobie, że lepiej, aby to się nie zmieniło — dla dobra ewentualnego zainteresowanego.

Panna Anna nie jest złym człowiekiem, powiedziałabym nawet, że to wspaniała kobieta, lecz wszystko, co robi, mówi, planuje, jest zawsze absurdalnie wyolbrzymione. Wpada z euforii w rozpacz, z zadumy w nadpobudliwość, jeden maleńki impuls potrafi pchnąć ją do działania z pełnym zaangażowaniem, a inny sprawić, że w sekundę traci zainteresowanie i pędzi w inną stronę. Czasem trudno za nią nadążyć i zastanawiam się, jak to jest możliwe, że to biuro podróży tak sprawnie funkcjonuje. Na szczęście dla siebie samej jestem osobą dość uległą i nigdy z nią nie dyskutuję, nie sprzecam się, a ona doskonale o tym wie i myślę, że to docenia. Teraz wycieram jej buty do czysta papierowym ręcznikiem, nic nie mówię, bo wiem, że gdy emocje opadną, będzie mnie przepraszać za to, że zmusza do wykonywania czynności, które nie należą do moich obowiązków, samą siebie oskarży o mobbing i w poczuciu winy wypuści mnie szybciej do domu. Super, dopiero minęła pora lunchu. Skoczę na zakupy, gdy jeszcze nie ma tłumów w sklepach, i dokupię smakołyków na dzisiejszą wieczorną posiadówkę z dziewczynami.

Słyszę, jak rozmawia z kimś przez telefon, a właściwie krzyczy do kogoś i żąda naprawy jezdnii. Jeśli nic ciekawszego nie przykuje jej uwagi, najdalej za tydzień przyjedzie ekipa i będą łątać dziurę, kłaść nowy chodnik i kto wie, może z rozpędu i pod presją odnowią nawet elewację budynku. Ona już dopilnuje, żeby wszystko było równo jak od linijki.

* * *

Jest szesnasta, a ja mieszam w garnku ragoût, które z pewnością najbardziej ucieszy Martę. Powinnam siedzieć jeszcze w pracy przez godzinę, a potem uporządkować trochę biuro, ale doprowadzenie do porządku szpilek szefowej się opłaciło. Wysłałam przed czternastą. Zdażyłam poszwendać się po sklepach, zrobić zakupy na kolację, wybrać wino, a nawet zrealizować recepty i wstąpić na chwilę do Agaty z wykupionymi lekami. Kubuś przyniósł z przedszkola grypę i podzielił się wielkodusznie z mamą. Dzięki temu, że poszła na L4, ja mam wolny wieczór i nie muszę z nim siedzieć. Trochę mi głupio się cieszyć, w końcu są chorzy i cierpią, staram się więc pomóc inaczej. Lubię ją. Ma niełatwe życie. Pracuje na zmiany — od wczesnego ranka do przedpołudnia sprząta w sądzie, a popołudniami lub wieczorami dorabia na komendzie, przy czym sama wychowuje synka. W dodatku w weekendy pracuje czasem w barze do nocy i do tego wszystkiego kończy zaocznie studia. Jest starsza ode mnie o dekadę, a energii ma tyle, jakby miała dwadzieścia lat. Moje życie przy jej codzienności to bajka.

Poznałyśmy się, gdy pewnego cudownego wiosennego ranka Kubuś puścił na mnie pawia w windzie. Uparła się, że muszę wstąpić do niej, by mogła wyczyścić plamę. Zaczęłyśmy rozmawiać i przesiadaliśmy u niej dobre dwie godziny. Wprowadziła się kilka miesięcy wcześniej do mieszkania piętro niżej. Dowiedziałam się, że szuka kogoś do dziecka, bo trzy razy w tygodniu tak pracuje, że nie ma co zrobić z Kubą. Nie stać jej na nianię, więc ciągle szuka, ponieważ każda chętna osoba szybko rezygnuje z powodu niskiego wynagrodzenia, a ona zwyczajnie nie jest w stanie zapłacić więcej. Niewiele myśląc, zaproponowałam jej swoją pomoc. Wracam przecież codziennie po osiemnastej, a czasem wcześniej, i nie mam nic ciekawego do roboty. Jesteśmy sąsiadkami, toteż Kuba może posiedzieć u mnie albo ja u niego, jak będzie wygodniej. Prawie popłakała się ze szczęścia.

Potem opowiedziała mi, że odeszła od męża pijaka, który znęcał się nad nią przez całe lata od początku małżeństwa. Pokazała mi nawet paskudne blizny na ramionach i szyi. Znosiła to pokornie do momentu, kiedy pierwszy i ostatni raz skierował swoją agresję na dziecko. Sama ledwo stała na nogach, lecz poszła na policję, a tam skierowali ją i małego na obdukcję, założyli niebieską kartę, ona zaś, nie czekając na dalsze czynności, spakowała się, gdy mąż siedział na dołku. Opowiedziała mi, jak czekali w komisariacie na korytarzu, gdzie wisiała mapa Polski. Agata pokazała ją Kubie i zapytała, gdzie chciałby zamieszkać. Ku jej zadowoleniu wybrał miasto oddalone o kilkaset kilometrów. Ten spontan kosztował ją co prawda trochę czasu i pieniędzy, gdy musiała jechać, by złożyć kolejne zeznania lub wziąć udział w rozprawie, lecz nie żałuje tej przeprowadzki. Tamtejsza policjantka pomogła jej znaleźć pracę w firmie sprzątającej w komendzie, a potem już zaczęła sobie sama radzić. Jest niezwykle pogodną osobą. Pomimo tych wszystkich złych doświadczeń życiowych potrafi twierdzić, że miała fart i jest szczęśliwa. Podziwiam ją i wiem, że gdybym swego czasu miała jej siłę...

Dzwonek do drzwi.

— A cóż to za zapachy! Jadę prosto z pracy i jestem głodna jak wilk! — Edyta cmoka mnie w policzek, po czym leci prosto do kuchni, by wpakować łyżkę do garnka i skosztować gotową, ale gorącą jeszcze potrawę.

Gdy wchodzę za nią, macha ręką przed ustami, a w oczach ma łzy.

— Uważaj, gorące — mówię po czasie.

* * *

Mam już mocno w czubie, gdy doznaję olśnienia. Przecież mogę pojechać do Wojtka! Wezmę urlop i zwyczajnie pomogę mu tam na miejscu. Dorwiemy ich. Zaczynam snuć plany: może rzucę tę nudną pracę w biurze podróży i zatrudnię się w Czechach. Mogłabym tam otworzyć własną placówkę. Polskie biuro w Czechach. Oferowałabym wycieczki po Polsce, wczasy nad Bałtykiem i na Mazurach.

— O patrz, Edzia, Karola się zawiesiła — słyszę tuż obok i mrugam szybko powiekami.

— Wsale nie, słucham was.

— Jasne, właśnie ci zadałam pytanie, a ty nic.

— Niedosz-ły-szałam.

— Pytałam, czy wyskoczymy gdzieś razem na majówkę, czy masz jakieś fajne *last minute* — mówi powoli, jakbym była niesprawna intelektualnie. Irytuje mnie to i jednocześnie śmieszy, czuję, że zacynam mieć głupawkę.

— Nie mogę z wami jechać, przeprowadzam się do Czech — odpowiadam trochę wolniej, niż zamierałam, bo trudniej mi się mówi, niż myśli. Wyrzucam z siebie moje nowe postanowienie, ale o dziwo nie robi to na nich żadnego wrażenia.

— Znowu?

— Jak to snowu? — Nie rozumiem.

— Poprzednio, jak za dużo wyżłopałaś wina, też się chciałaś przeprowadzać. Marta, wezwij ubera, trzeba się zbierać, a ona musi iść spać.

Nie podoba mi się to, co mówi Edyta, jednak nie mam siły protestować. Próbuje coś powiedzieć, lecz one nie chcą słuchać. Chichrały się. No rzeczywiście, trochę się wstawiłam, ale przecież myślę trzeźwo. Marta dopija swoje wino i bezczelnie sięga po mój kieliszek, mówiąc, że poświęca się dla mnie. Jutro będę jej dziękować. Też coś.

* * *

Budzik ryczy jak byk przed bitwą. Zrywam się i dostaję obuchem w łeb. Gnam, to znaczy próbuję prędko iść, ale w rzeczywistości wlokę się do kuchni po wodę i tabletki przeciwbólowe. Muszę się pospieszyć i doprowadzić do porządku. Zastanawiam się, czy mogę jechać samochodem, i w tym samym momencie świat chwieje mi się przed oczami, jest mi słabo, więc siadam natychmiast przy stole i wypijam do końca wodę ze szklanki. Słyszę odgłos odkurzacza za ścianą, a to oznacza, że dziś musi być niedziela. W innym razie sąsiadki od świtu nie byłoby w domu. Co tydzień w niedzielę odkurza i sprząta, bo musi być błysk, gdy dzieci z wnukami przyjadą na niedzielny obiad. No tak... Czyli dziś mam wolne. Czuję ulgę i wracam do łóżka.

* * *

Wind of change. Wynurzam się ze snu i odbieram telefon. Wojtek. Słyszy moje zaspane „Halo” i daje mi czas na oprzytomnienie.

— Zabalowałam? — pyta po chwili z rozbawieniem.

— E tam, posiedziałyśmy z dziewczynami i jakoś tak...

Przypominam sobie o moim pomysle wyjazdu do Czech i teraz, na trzeźwo, już nie jestem co do tego przekonana. Mimo to powiem mu. Właściwie mogłabym go chociaż odwiedzić, co w tym złego.

— Słuchaj, przyjadę tam do ciebie — mówię prosto z mostu.

— Tak? — Jest zaskoczony.

— Wczoraj wieczorem wykombinowałam, że rzucę tutaj pracę, pojedę do ciebie i tam sobie coś znajdę. Będziemy mogli razem...

— Oszalałaś? — przerywa mi ostro.

Właściwie chciałam mu powiedzieć, że dotarło do mnie, jaki to poroniony pomysł, zostawiłabym na lodzie Agatę, pewnie wcale tak łatwo nie znalazłabym tam pracy, a bez kasy i dobrze opanowanego języka nie ma co marzyć o własnym biurze, i to gdzieś w małym miasteczku, gdzie pewnie są ze dwa i to w zupełności wystarcza. Natomiast nadal myślę, że mogłabym mu pomóc, przyjeżdżając na tydzień lub dwa.

— Nie no, żartuję, ale może przyjadę na kilka dni, wzięłabym urlop...

— Wykluczone — znów mi przerywa tonem nieznoszącym sprzeciwu. — Nie mają tu o tobie pojęcia, nikomu nie mówiłem. To znaczy tylko Pavlowi i może coś wspominałem Kubo i Igorowi, ale oni chyba zrozumieli, że jesteś moją byłą dziewczyną.

— Dlaczego? — Niby wiem o tym, ale trochę mi przykro, jakbym była wykluczona z jego obecnego życia.

— Tak jest lepiej. Lepiej, żeby nikt o tobie nie wiedział i o tym, że wiesz, co tu się dzieje. W dodatku masz zdjęcia i nagrania. To zbyt niebezpieczne. — Nie cierpię tego zdania, zawsze dotyczy innych, nie jego, dla niego nigdy nie jest zbyt niebezpieczne.

— A ty?! — krzyczę na niego. — Ty się nie narażasz? Pakujesz się w jakieś bagno, i w dodatku jesteś w tym zupełnie sam. A co, jeśli znikniesz jak Pavel?!

— Pavel był nieostrożny, chlapał ozorem, jak popił, poszedł ot tak, z partyzanta, na policję — tłumaczy cierpliwie. — Mnie nic nie grozi, ale jeśli tu przyjedziesz, zwrócisz uwagę innych na mnie. To małe miasteczko. Staram się nie rzucać w oczy.

— Może masz rację. — Wiem, że ją ma, lecz w głębi nadal się dąsam jak mała dziewczynka. — Zrozum jednak, że martwię się o ciebie.

— Wiem. Już niedługo. Na razie muszę być jak najbliżej, by zorientować się na czas, gdy podstawią kolejną lawetę. Podepnę jej nadajnik, by wiedzieć, dokąd konkretnie pojedzie, i będę ją śledził.

— Oszalałeś?! Pojedziesz za nią? — Jego pomysły są jeszcze bardziej szalone niż moje.

— Nie. Nie powiedziałem, że pojedę, tylko że będę ją śledził, jej sygnał. Potem zobaczymy. — Czuję, że nie mówi mi wszystkiego. — I muszę trochę poobserwować stróża albo się jakoś zbliżyć do niego. Miał dyżur za każdym razem, gdy był transport. Jest czterech stróżów, ale nocami w weekendy zawsze siedzi on. Może to nic nie znaczy, a może coś wie. Generalnie zna ludzi i na przykład jak ktoś jest chory i kilka dni nie przychodzi, to pyta, jeśli się go zagada. Lubi przeciągać rozmowę, tymczasem o Pavla nie zapytał ani razu.

Warszawa, sierpień 2019

Gdy wszystko wali się na głowę, trzeba się jakoś ratować i właśnie to postanowił zrobić Mateusz. Nie zabawił długo w domu i bynajmniej nie było tak, jak sobie wyobrażał. To, że nie znalazł dokumentów, tylko pogłębiło zły humor i spotęgowało zdenerwowanie. Ku niezadowoleniu Matyldy już na drugi dzień wyjechał, by złapać Eryka w Warszawie. Eryk był zdziwiony propozycją spotkania w stolicy, ale się zgodził. Zawsze sprawiał wrażenie wyluzowanego i nietykalnego, nie obawiał się wpadki i sam sugerował, że „zna ludzi”. Mateusz czuł się przez niego wykorzystywany i miał tego serdecznie dość, postanowił więc nieco odwrócić role. Chciał pozbyć się wyrzutów sumienia i stresu, kategorycznie odmówić dalszego dostarczania prochów, załatwiania terminów i czegokolwiek na lewo. Najwyżej straci finansowo, może nawet trzeba będzie zerwać współpracę z Erykiem. Teraz jednak musiał odłożyć tamte plany i postąpić dokładnie odwrotnie, bo potrzebował wsparcia wpływowych ludzi, a do takich znał tylko jedną drogę.

Jadąc na spotkanie z menedżerem, zadzwonił do siostry, która próbowała się z nim wcześniej połączyć. Ona też musi być spokojna i przypadkiem w nic się nie wtrącać. Powiedział jej więc, że znalazł swój dokument tożsamości i wszystko jest okej. Była zaskoczona i nawet nie usłyszał tego jej „A nie mówiłam?”. Na wszelki wypadek poprosił, żeby nie opowiadała o tym rodzicom ani nie rozmawiała z Matyldą, bo ta ciągle narzeka i lepiej nie dolewać oliwy do ognia. Dowód jest, tematu nie było.

Wszedł spóźniony do klubu, ale nie zastał tam Eryka. Barman nalał mu drinka i zmierzył go wzrokiem. Po dłuższej chwili usłyszał za plecami głos menedżera:

— Jesteś już, przyjacielu. Chodź, usiądziemy tam. — Eryk był nieco bardziej poważny niż zwykle. — Dobrze wyczułeś, że trzeba pogadać. Siadaj.

— Tak, przejdę od razu do rzeczy. Mogę mieć problemy, to znaczy możemy mieć i...

— Twój kontakt jest spalony — wtrącił Eryk, zupełnie ignorując to, co powiedział Mateusz. Ten spojrział na niego zaskoczony i czekał na dalsze wyjaśnienia. — Ten, od którego ostatnio brałeś. Psy mają go na oku, niemal cały czas go obserwują, mają na niego sporo i podobno czekają na grubszego klienta. Potrzebujesz nowego źródła.

— Skąd to wiesz?

— A czy to ważne? Wiem i już. Dam ci namiar i dzisiaj spotkasz się z nowym gościem, tutaj, wieczorem.

— Skoro kogoś masz, dlaczego sam od niego nie bierzesz?

— Bo cię lubię i chcę, żebyś sobie zarobił, stary, no gdzie ja bym miał świństwo ci zrobić. — Uśmiechnął się od ucha do ucha. — Mam inne obowiązki — dodał poważnie.

— Słuchaj, jest inny problem. — Mati powiedział mu pokrótce o utracie dokumentu, swoich obawach i oczekiwaniach.

Eryk słuchał z uwagą, po czym roześmiał się jak dobroduszny wujek.

— Staaary, to nie są problemy. Wszystko załatwione.

— To znaczy?

— Tobie jak dziecku, ja pierdolę. Nic nie było, jest w porządku. — Nonszalancko wzruszył ramionami, rozsiadając się wygodniej. — A plastik na razie olej, nie będziesz chyba kredytu brał. — Puścił oko. — Tak za pół roku, powiedzmy, zgłosisz, że zgubiłeś, i dostaniesz nowy. A w razie jakbyś potrzebował dokumentu ze zdjęciem, masz prawo jazdy, tak? Albo paszport. No, to jeszcze po jednym i spadam, a ty się zrelaksuj, bo widzę, że jakiś spięty jesteś, i bądź tu o dwudziestej drugiej. Podejdzie do ciebie gość i sobie pogadacie. Podziękujesz potem. Jesteśmy w kontakcie. — Uśmiechnął się szeroko wyluzowany i zadowolony z siebie jak zazwyczaj.

* * *

Gdy wieczorem Mati wrócił do klubu, było tłoczno i głośno. Wcześniej senne, przestrzenne miejsce ożyło, pulsowało i musiał przeciskać się między ludźmi, by dotrzeć do baru. O wolnym stoliku nie było mowy. Mateusz szybko zajął dopiero co zwolniony hoker i zamówił podwójną whisky. Czuł się lepiej, Eryk uspokoił go, choć w zasadzie nic konkretnego nie powiedział. Jego pewność siebie była jak obietnica dana dziecku, że nie ma potwora w szafie. Złość na menedżera do pewnego stopnia się ulotniła, a jej miejsce zajęła osobliwa wdzięczność za czujność, jaką wykazał się Eryk, odsuwając na czas Mateusza od kłopotliwego dilerka i rozwiązując poprzednią sprawę. Wbrew wcześniejszym postanowieniom czekał na nowego dilerka i nie miał pojęcia, jak znajdzie go w gęstniejącym tłumie. Kilka minut po dziesiątej ktoś położył mu rękę na ramieniu.

— Chodźmy usiąść wygodniej — powiedział nieznajomy prosto do ucha.

Ruszył posłusznie za wysokim, atletycznie zbudowanym facetem, którego tatuaże wypelzały spod rękawów i kołnierzyka na karku, jakby rozrastały się niezależnie od właściciela, aż przedarli się przez tłum na koniec sali, potem ażurowymi schodkami na obszerną antresolę, gdzie było ciszej, a luźno ustawione stoliki i sofy dawały poczucie nieoczekiwanej przestrzeni i prywatności. Mateusz nigdy wcześniej nie był w tej części lokalu, zdawał sobie sprawę, że tu nie każdy ma wstęp, i od razu zorientował się, że nie ma do czynienia ze zwykłym pośrednikiem.

— Słyszałem, że solidny z ciebie gość — odezwał się nieco chrapliwym głosem nieznajomy, rozsiadając się wygodnie.

Mateusz nie wiedział, co odpowiedzieć, nie spodziewał się takiej sytuacji. Był pewien, że diler poda mu numer do kontaktu, ewentualnie hasło lub ksywę i odejdzie, nie wypowiedziawszy prostego zdania.

— Cieszę się na naszą współpracę. Taaak. Tylko pamiętaj, najważniejsze są zasady. Zasady to bezpieczeństwo, kasa i sukces — wyliczał na palcach, nie dając dojść Matiemu do głosu.

Mateusz dowiedział się, że znalazł się we właściwym czasie, we właściwym miejscu i ma niebywałe szczęście, bo właśnie kogoś takiego jak on teraz im potrzeba. Eryk poręczył za niego, więc nie ma najmniejszego problemu, by rozpocząć współpracę.

— Widzę, że jesteś trochę zaskoczony sytuacją. — Facet uśmiechnął się, widać było, że lubi mieć przewagę i zdenerwowanie gościa sprawia mu przyjemność. — Ktoś cię polecił, bo się sprawdziłeś na małym poletku, więc dziś dostajesz szansę porządzić na nieco większym. — Zrobił pauzę, przyglądając się Mateuszowi badawczo. — Wiesz, tak między nami, skoro mamy razem pracować, powiem ci, że nie bardzo lubię Eryka, śliski jest taki... rozumiesz, nie? Generalnie jest okej, nie przypierdalam się, ale... Właśnie jakieś takie „ale” mam. On się nie nadaje, to bardziej typ odbiorcy, rozumiesz? Taki klient. Natomiast zauważyliśmy z chłopakami, że ty sobie nieźle radzisz. Ludzie ci ufają. Ostatnio był mały fakap, ale spokojnie — uniósł obie ręce nieznacznie, pokazując wnętrza dłoni — to nie była twoja wina. To ty się wkurwiałeś na brak profesjonalizmu i szacun. Masz łeb na karku i dlatego to nie ty beknąłeś i nie ty musiałeś ogarniać. Było, minęło, patrzymy w przyszłość i za tę przyszłość wypijmy. — Uniósł swoją szklanekę z bursztynowym płynem.

Mateusz zrobił to samo, zadowolony, że nie zatrzęsała mu się ręka. Mały sukces. W rzeczywistości robił w portki ze strachu, nie wiedział, co konkretnie mu zaproponują, chociaż już się domyślał, że o legalnych interesach raczej nie porozmawiają. Zdawał sobie też sprawę z tego, że nie jest to rodzaj oferty, której można nie przyjąć.

— Dobra, konkretnie, bo nie mam całego wieczoru, a i ty byś się pewnie już chciał zabawić. Nie musisz zgłaszać zapotrzebowania, SMS-ować do chłopaków, czekać i tak dalej. Masz dostęp, powiedzmy, bardziej bezpośredni dwadzieścia cztery na dobę. Bierzesz, co potrzebujesz, potem się rozliczamy, ale rozszerzasz działalność. Nie tylko twoje gwiazdeczki mają potrzeby, innym też trzeba pomóc, i tutaj wkraczasz ty. Na pamięć uczysz się, nic, kurwa, nie zapisujesz, gdzie bije źródło, i pilnujesz, by nie zastygało. Kumas? Zarabiasz, zdobywasz fejm w środowisku, ale dyskretnie i tylko tam, gdzie trzeba, masz płynność. Jesteś do tego najlepszy.

— Ile?

— Dużo. A jak się sprawdzisz, to jeszcze więcej.

— A to źródło... Nie siedzę na stałe w Warszawie.

— He, he, he, spokojnie, żołnierzu, źródłek jest sporo i wkrótce się o wielu z nich dowiesz. A teraz koniec tego gadania. Jesteś dziś tu gościem, nie płacisz — powiedział to bardziej do dziewczyny, która podeszła, by dolać im whisky. — Ta piękna dama o ciebie zadba.

Gliwice, sierpień 2019

Do tej pory Wojtek był pewien, że nie wiedzą o Karolinie, była bezpieczna, a wraz z nią wszystkie kopie. To, co miał u siebie, zostało stracone. Przetrzęsęli wszystko, znaleźli materiały i doskonale wiedzieli już, jakie informacje zgromadził w domu. Jednak nie mogli wiedzieć o niej. Teraz, kiedy wszedł do jej mieszkania, nie był tego taki pewien. Szybko zorientował się, że niczego tu nie znajdzie. Ktoś inny myszkował tu przed nim i jedyna nadzieja w tym, że Karolina była bardziej zapobiegliwa. Trzeba znaleźć klucz do skrytki, wtedy wszystko się okaże, a potem poszukać tego Dawida. Podeszedł powoli i ostrożnie do okna, zlustrował okolicę, chociaż gdyby ktoś miał go śledzić, z pewnością nie stałby z transparentem na chodniku. Musi dowiedzieć się więcej o tym narzeczonym.

Kiedy ostatnim razem rozmawiał z Karoliną, kilka miesięcy temu, byli na początku znajomości, romans niespiesznie rozkwitał, a Karolina, która dawno nikogo nie miała na poważnie, bujała w obłokach zupełnie odmieniona. Nie była osobą wylewną, która potrafi godzinami rozprawić o sobie i swoich uczuciach, ale wiedział, że się zakochała. Ustalili, że nie będzie wtajemniczała swojego nowego chłopaka w ich sprawy, choćby nawet bardzo chciała. Nie musiał na to naciskać, bo zdawała sobie sprawę, że im mniej osób wie, tym lepiej, poza tym ufał jej jak nikomu innemu. Przypadek Pawła wystarczył, by oboje byli bardzo ostrożni. Potem stracili jednak kontakt, co było po części zamierzone, chociaż nie miało trwać aż tak długo, a tym bardziej na zawsze. Karola czasem sugerowała, że Wojtek przesadza, że nie ma sensu tak obsesyjnie do tego wszystkiego podchodzić, lecz on widział sprawy zupełnie inaczej — jeden błąd i już na nic nie będzie miał wpływu. Traktowała to do pewnego stopnia jak zabawę, ryzykowną przygodę, zupełnie inaczej niż on.

Usiadł na sofie i pozwolił sobie na chwilę rozpacz. Zabrął naprawdę daleko, nie było odwrotu, wszystko się pokomplikowało i poczuł się kompletnie bezradny, samotny, bezsilny. Przyjazd tutaj miał być końcem całej tej historii, ostatecznym i kontrolowanym rozwiązaniem węzła gordyjskiego. Karolina chciała wziąć na siebie zadanie znalezienia kogoś godnego zaufania, mówiła, że ma pewien kontakt i wkrótce będzie można przekazać wszystko policji, tak by na pewno zostało uczciwie rozpracowane. Wiedział, że może jej zaufać. On miał zbliżyć się bardziej i zdobyć więcej danych, upewnić się, że Pavel nie zniknął z własnej woli, jeśli rzeczywiście tak było. Myśleli, że mają czas. Wszystko potoczyło się zupełnie inaczej. W efekcie zamiast być bliżej, był dalej, a wszystko sypało się jak domek z kart.

Znów wrócił myślami do Karoliny i przeszłości. Pamiętał jej pierwsze kroki na wolności, jak to nazywali, gdy czekał na nią na korytarzu uczelni, a ona zdawała egzaminy wstępne. Po wyjściu z sali podbiegła do niego i rzuciła mu się na szyję. Mnóstwo osób myślało, że są parą, i potem koleżanki dziwiły się, że to brat tak cierpliwie na nią czekał. Uzgodnili, że nie będą tłumaczyć ludziom swojej

przyjaźni, zostali rodzeństwem dla świata, bo tak też traktowali siebie nawzajem. Wtedy, w gmachu uniwersyteckim, była taka szczęśliwa, mimo wcześniejszych obaw zdała śpiewająco i cieszyła się jak dziecko. Wciąż miała bardzo niskie poczucie własnej wartości, ciągle mówiła, że jest zbyt słaba, za mało inteligentna, nie da sobie rady. To on bez przerwy ciągnął ją w górę, tysiące razy mówił, że jest mądrą, silną kobietą, tylko musi wreszcie to zaakceptować, uwierzyć w siebie. Tymczasem ona nadal bała się podejmować decyzje, patrzeć optymistycznie w przyszłość, żyć. Świetnie zdane egzaminy, dające gwarancję miejsca na roku, były jak pierwsze poważne pęknięcie skorupy, którą przez lata budowała i umacniała pani Maria. Z czasem Karolina stawała się coraz silniejsza, coraz bardziej pewna siebie, poznawała swoje prawdziwe ja, które wreszcie ujrzało światło dzienne i mogło się rozwijać. Z wystraszonej, zestresowanej dziewczynki z obgryzionymi paznokciami przeistaczała się powoli w silną osobę, niewahającą się sięgać po szczęście, odważnie patrzeć w przyszłość oraz uśmiechać się na co dzień do ludzi i życia. Nigdy nawet nie przeszło mu przez myśl, że może umrzeć, przestać istnieć... że on może żyć, a ona nie. Jego umysł trwał w odrętwieniu i ciągle wyrzucał na wierzch myśl „To nie może być prawda, to się nie dzieje”, a jednak... Siedział w jej mieszkaniu, wśród jej rzeczy, i wbrew wszystkiemu niemal oczekiwał, że zaraz wyjdzie z łazienki lub drugiego pokoju, a wszystko okaże się krótkotrwałym koszmarem.

Nie wiedział, co robić, miał ochotę położyć się, zamknąć oczy, zasnąć i nigdy się nie obudzić. A przede wszystkim porzucić to całe dążenie do ujawnienia prawdy. Zaczynała wzbierać w nim złość. Na tych ludzi, przez których był daleko od niej, na siebie, że wciągnął się w sprawę, która odsunęła go od tego, co ważne, na nieznanego mu Dawida za to, że był przy niej, a on nie, na okrutny, podły los. Brzęczyk domofonu informujący o otwieranych na dole drzwiach wyrwał go z odrętwienia. W pierwszej chwili chciał zostać, spodziewając się, że to Marta lub Edyta albo i obie, jednak czujność i ostrożność, które go nie opuszczały, nakazały mu szybko wyjść z mieszkania. Wcale nie musiał tu być bezpieczny — ani tu, ani nigdzie indziej. Bezszelestnie wszedł po schodach piętro wyżej i czekał, nasłuchując. Wreszcie usłyszał szelest rozsuwających się drzwi windy, kroki, chrobot klucza w zamku. Wychylił się i zobaczył plecy mężczyzny, który zniknął w mieszkaniu Karoliny. Tatuaż na karku mężczyzny był mu znajomy.

Nie ryzykował jazdy windą ani zejścia schodami, poszedł dalej korytarzem między mieszkaniami i przedostał się przewiązką do sąsiedniej klatki schodowej. Wszedł tamtędy niezauważony z budynku i tuż za rogiem niespodziewanie wpadł na Martę.

Kenirovice, styczeń 2019

Nowy rok został powitany gęstym, obficie sypiącym śniegiem, który oślepiająco rozjaśniał świat i malowniczo otulał dolinę oraz okalające ją wzniesienia. Wojtek pozdrowił gospodarza domu, który niespiesznie odśnieżał chodnik przed budynkiem, i poszedł odkopać swój samochód spod białej pierzyny. Nie spieszył się. Dziś z pewnością wszyscy przyjdą później niż zwykle, a on akurat wstał wcześniej i był w świetnym humorze.

— *Šťastný nový rok!*¹⁰ — zawołał do stróża, wjeżdżając na teren firmy. Ten odpowiedział mu, podnosząc szlaban. Wojtek zaparkował i wrócił na chwilę do niego, by pogadać.

— Szczęśliwego! — powtórzył Jan. — Jak tam sylwester? Udany?

— Jak najbardziej. Piękną mamy zimę tej... zimy.

— U nas zawsze śnieżnie i biało w styczniu. A pan to dziś chyba pierwszy na zmianie.

— Całkiem możliwe.

Zaczęli rozmawiać o wszystkim i o niczym. Widać było, że Jan, choć samotnik z wyboru, szuka kontaktu i chętnie rozmawia. Wojtka zaskoczyło, że sam zaczął mówić po polsku. Wiedział, że stróż jest jego rodakiem, lecz nigdy dotąd nie rozmawiali w ojczystym języku. Zapytał go o to i tym samym sprowokował niezamierzenie dalszą rozmowę. Dowiedział się, że Jan urodził się pod Wrocławiem, jego matka była Czeszką, a ojciec Polakiem, spędził w Polsce większość życia, lecz tak jakoś się ułożyło, że na stare lata osiadł w kraju swojej mamy. Wojtek powiedział o sobie w kilku zdaniach to, co mówił wszystkim zainteresowanym, czyli przedstawił typowy zarys życiorysu szarego człowieka, jakim

właściwie był.

— Co pan robił w Polsce, panie Janie? — zapytał z ciekawości.

Jan zmieszał się, jakby nie chciał mówić, zaczął porządkować swój niewielki stolik i milczał, więc Wojtek przeprosił za zbyt osobiste pytanie.

— A nie, nie, życie, nie mam co ukrywać, zwyczajnie, pracowało się, rodzinę miałem... — Stróż znów się zamyślił, po czym rozwinął: — W latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych byłem milicjantem, potem policjantem. Służyłem w prewencji, byłem dzielnicowym... Ech, stare dzieje — powiedział smutno, jakby z nostalgią i żalem.

Zamilkł i Wojtkowi zrobiło się trochę nieswojo. Już miał zamiar pójść, gdy Jan znowu się odezwał, nachylając się w jego stronę.

— Powiem ci jedno, gdyby nie woda, nie byłoby mnie tutaj, siedziałbym teraz tam w ciepłych kapciach na dobrej emeryturce i wnuki niańczył. Głupi byłem, ech, piłem coraz więcej, myślałem, że mam przyjaciół, którzy nie dadzą mnie utracić, ale myliłem się niestety. Póki przymykałem oko, było dobrze, potem raz powiedziałem „nie”, nie wytrzymałem. Żebyś wiedział, chłopie, co tam się pod moim nosem odpierdalało... Z jednej strony musisz pilnować prawa i porządku, oficjalnie, a z drugiej nie możesz, bo cię zniszczą. I tak było. Zniszczyli mnie. Co było robić. Człowiek głupi, myślał, że trzeba dobrze postępować, właściwie. A prawda taka, chłopie, że lepiej się było nie wychylać. Siedziałbym teraz na emeryturce...

— Tutaj ma pan spokojną pracę, nic się nie dzieje i ludzie uczciwi — powiedział Wojtek niby od niechcenia, ale przyglądał się bacznie mężczyźnie.

— Ano tak, ale powiem ci, chłopie, że wszędzie lewizna, tutaj też, ale teraz to nie to co kiedyś, na bezczelnie i arogancko. Tutaj też biznesy kręcą, że lepiej nie gadać. No! To nie moja sprawa, życie mnie nauczyło, żeby robić swoje, a ludzie lepiej, żeby nie gadali, co im ślina na język przyniesie. Po co sobie bidy napytać. Nowy rok jest, nowe idzie, lepsze. — Ożywił się nagle. — Człowiek żyje sobie swoim życiem i daje żyć innym. Ja jeszcze rok, dwa i kończę z tą robotą. Zdrowie nie to.

„Jan może wiedzieć więcej, niż się wydaje” — pomyślał Wojtek. Chętnie by go wtajemniczył w pewne sprawy, gdyby nie wiedział, jakie mogą być konsekwencje. Postanowił, że jeszcze spróbuje z nim pogadać, coś od niego wyciągnąć.

* * *

Następna okazja do rozmowy nadarzyła się niespodziewanie szybko. Kilka dni później Wojtek, wychodząc z pracy, natknął się na koleżankę, która zaparkowała obok niego w głębi placu. Tego dnia miała wyjątkowego pecha, ponieważ spieszyła się na umówioną wizytę, a rano zostawiła włączone światła i rozładował jej się akumulator. Sytuacja, która może zdarzyć się każdemu, lecz gdy już ma miejsce, to w najmniej właściwym momencie.

Koleżanka wściekła stała przy swoim aucie, gdy Wojtek podszedł. Zaproponował pomoc, którą z ulgą przyjęła, więc zawiózł ją do miasta na spotkanie, by potem wrócić razem z nią po samochód. Podziękowaniom nie było końca, umówili się nawet na kawę. Dziewczyna odjechała, a on wstąpił jeszcze na moment do biura, by skorzystać z toalety. Było już pustawo i cicho, większość ludzi skończyła pracę. Przy wyjeździe zaczepił go Jan, który był w świetnym humorze, ewidentnie wspomaganym procentami.

— Oho, widzę, że mamy nową dziewczynę. — Puścił oko do Wojtka, który otworzył szybę, gdy stanął przy budce.

— Pomagałem tylko koleżance — odruchowo usprawiedliwił się Wojtek.

— Dobra, dobra, znam to, znam. A pamiętam, jak latałeś za tą blondyneczką, co już jej nie ma. Szkoda, fajna z was była para.

— Tak pan myśli?

— No ba! Każdy widział. Sara też ma wszystko na miejscu. Bardzo sympatyczna jest i zdaje się wolna.

— A skąd pan to wie?

— Kochany, ja tu siedzę, patrzę, pilnuję i obserwuję. Wszystko wiem. Kto z kim i inne takie. —

Roześmiał się rubasznie.

— To pewnie pan wie, że nasz Igor awansował na kierownika.

— Oczywiście, słyszałem.

— Szkoda, że Pavel tak nagle wyparował, miał też duże szanse — dodał mimochodem.

— Pavel... a ten, pamiętam.

— Wie pan może, dokąd wyjechał? Mam kilka jego rzeczy i chciałbym oddać. Nie mam pojęcia, gdzie ma rodzinę.

— Chłopie, jaką rodzinę. On miał tylko matkę.

— Tak? A gdzie ją znajdzie? — Wojtek udawał, że nic nie wie.

— Na cmentarzu, kochany, umarła jakiś czas temu. Ze dwa, trzy lata, może więcej... albo rok.

Nie pamiętam, mieszkali razem, opiekował się nią, strasznie chorowała. A pamiętam, jak jeszcze czasem chodziła na targ, potem całkiem się pochorowała i już tylko w domu leżała. Pavel bardzo o nią dbał, a po jej śmierci nie mógł się pozbierać. Chłop jak dąb, a beczał jak dziecko. Tu ze mną siedział w tej klitce i płakał. Ciebie chyba jeszcze tu z nami nie było. Ech... to był dobry chłop.

— Był?

— Ano był, już go nie spotkasz, kochany. — Westchnął i odwrócił się na moment, by dyskretnie pociągnąć z piersiówki. Przyglądał dłonią resztki włosów na łysiejącej głowie. — Przepraszam, sam rozumiesz.

— W porządku. Co się stało z Pavlem? — zaryzykował pytanie wprost i pożałował, bo Jan zacisnął usta i zamilkł. Ciska zaczęła się przedłużać. — Szkoda, że go nie ma — powiedział cicho. — Dobranoc panu. — Odwrócił się do kierownicy.

— Synu, nie pytaj o niego, już i tak mu nie pomożesz. Uciszyli go, utrupili, rozumiesz? Jak każdego, kto wsadza nos w nie swoje sprawy. Ja wiem, ale siedzę cicho i tobie to samo radzę. Nie rozpytuj, a te rzeczy... zostaw sobie na pamiątkę i tyle, nie szukaj, nie ma już kogo — powiedział szybko szeptem, patrząc Wojtkowi intensywnie w oczy. W jednej chwili wyglądał na całkowicie trzeźwą i śmiertelnie poważną osobę, by zaraz przywołać luźny, dobrotliwy wyraz twarzy. — Dobranoc, miłego wieczoru.

Wojtek odjechał we wczesnowieczorny mrok. Dostał, czego chciał, ale wcale nie był zadowolony z tego, co usłyszał. „Pavel został zamordowany? Wie o tym pijący stróż, były, zdyskredytowany policjant, który w dodatku boi się własnego cienia. Wie czy podejrzewa podobnie jak ja?” — pomyślał.

Cieszyn, koniec sierpnia 2019

Podobno ciekawość to pierwszy stopień do piekła lub, jak powiedział Pierre Boulez: „Życie to ciekawość. Jeśli nie jesteś ciekawy, oznacza to, że leżysz w trumnie”. Lidia nie była martwa, chociaż leżała bez ruchu — wpatrując się w małą muchę, która leniwie krążyła pod lampą — jakby nic już nie miała w życiu do zrobienia. Wcześniej były dwa owady i po ich wspólnym tańcu dało się wywnioskować, że we dwójkę było im dużo weselej. Kiedy jedna z much nagle porzuciła zabawę i odleciała w niewiadomym kierunku, ta, która została, latała ciężko, przygnębiająco, bezcelowo. Chociaż Lidia cały czas śledziła wzrokiem owada, myślami była gdzie indziej.

Gdy Mati powiedział jej, że znalazł swój dowód, ucieszyła się i poczuła wdzięczność wobec Wiktora, który okazał się jednak uczciwym człowiekiem. Przynajmniej w tej kwestii. Musiał go wysłać pocztą na adres wpisany na odwrocie. Ciekawe, jak taką przesyłkę wytłumaczył sobie brat. Nie powiedział nic konkretnego, spieszył się i jedynie poinformował ją o tym, że... znalazł? Nie odebrał, dostał, tylko znalazł... Dziwne. Ale po co miałby kłamać? Zerwała się i podbiegła do komputera. Dokumenty, zdjęcia... Mateusz wyrabiał nowe dokumenty, kiedy to było? Znalazła zdjęcia, które zrobił specjalnie do nowego dowodu w dniu składania wniosku. Wysłał je Skype'em i Lidia zapisała je w folderze. Oboje śmiali się, że wyszedł na nich jak wystraszona żaba. Znalazła, by sprawdzić datę. Tak, z pewnością to było po zmianie — jego dokument nie ma adresu zameldowania. Wiktor nie mógł go wysłać pocztą, nie wiedział, gdzie Mati mieszka. Ten wspominał tylko, że ma dom w Sopocie, ale przecież nie podawał dokładnego adresu. Więc jak? Co jest grane? Kim, do cholery, jest Wiktor, skoro

wiedział... A może po prostu odniósł go na policję? Ktoś, kto się ukrywa i nie chciał nawet wezwać pogotowia, poszedłby na policję? Może zlecił to komuś? Nawet jeśli, tak szybko oddaliby dowód właścicielowi? Przecież Mati jest na drugim końcu kraju. To się nie trzymało kupy. Złapała za komórkę, by zadzwonić do brata i wypytać o szczegóły, a ta ożywiła się w jej ręce, aż podskoczyła. To mama. Rozmowa przebiegała podobnie jak zawsze z matką, która miała potrzebę rozmowy o wszystkim i o niczym. Dawno się nie widziały i obie tęskniły.

— Co dostaliście? Jaki? — Lidia się wyprostowała, gdy mama pochwaliła się nowym prezentem od syna. Miała trochę skrupułów, by przyjąć tak nowoczesny sprzęt, który pewnie dużo kosztował, lecz doszła do wniosku, że synkowi musi się wyjątkowo dobrze powodzić, skoro tak chętnie ich obdarował. Ech, ten Mateusz.

Rozmawiały już ponad godzinę, mama opowiadała właśnie, co słyhać u znajomych, których Lidia znała od dziecka, gdy telefon dał sygnał przychodzącego połączenia.

— Mamo, mam kogoś na linii, muszę odebrać, zaczekaj chwilkę...

Od razu rozpoznała numer Wiktora.

— Nie wiem, jak go znalazłaś, ale dziękuję, że dotrzymałaś słowa...

— Tak? — Wydawał się nie rozumieć, o czym ona mówi.

— I oddałaś mu ten cholerny dowód. Właściwie jak ci się to udało? Myślałam, że odeślesz go po prostu do mnie — powiedziała. Nie mogła widzieć miny Wojtka, który wyjął z kieszeni przerobiony dokument i patrzył na niego, nic nie rozumiejąc. — Halo?

— Tak, jestem...

— Wszystko w porządku?

— Tak, nie... Słuchaj, odezwę się do ciebie potem, mogę? Być może będę potrzebował twojej pomocy.

— Yyy... jasne, w razie potrzeby dzwoń. — Wydał jej się dziwnie rozkojarzony, ale to, że uczciwie oddał dokumenty, jak myślała, przywróciło jej wiarę w niego, choć zdrowy rozsądek podpowiadał, że byłoby lepiej, gdyby Wiktor trzymał się od niej z daleka i już niczego nie oczekiwał. Wciąż przecież nic o nim nie wiedziała. — Wiktor? — zawołała pospiesznie, nim się rozłączył. — Czy mógłbyś mi powiedzieć, choćby ogólnie, o co chodzi? Kim ty jesteś? Gliną? Jakimś tajniakiem? Czy...

— Nie — uciął. — Nie mogę. Może kiedyś wszystkiego się dowiesz. Nie rozmawiaj o mnie z bratem, dobrze? I z nikim.

— Dobrze — odpowiedziała niepewnie i bardzo chciała zapytać, kiedy zadzwoni, ale ugryzła się w język. To nie zabrzmiałoby dobrze.

— Trzymaj się.

— Ty też. Uważaj na siebie.

* * *

— Kim on jest? — tonem nieznoszącym sprzeciwu zapytała Olga, patrząc badawczo na Lidię.

— Kto? — Lidia zamrugła gwałtownie wyrwana z zamyślenia.

— No kto? To ja się pytam kto.

— Nie rozumiem cię.

— Nie udawaj, od kiedy się znamy? W tobie można czytać jak w otwartej księdze. Szybko opowiadaj, powinnam się obrazić, że nic mi nie mówisz. Przecież wszystko o sobie wiemy, tak? — Olga nachyliła się i zmarszczyła brwi.

— Ale... — Lidia była bezradna, nie wiedziała, co odpowiedzieć. Olga nie może dowiedzieć się o Wiktorze. Nic, zupełnie nic jej przecież nie powiedziała, a niemożliwe, by Hektor się wygadał.

— Wiem, jesteś ostrożna, pewnie jeszcze nie masz pewności, ale daj spokój, mnie możesz powiedzieć. Znam się na facetach i związkach jak mało kto. — Olga wyglądała, jakby się miała obrazić.

— Ale że... kto? A! No tak, ostatnio poszalał, naprawdę mnie zdenerwował, ja nie wiem, czy się w coś nie wpakował, bo jest strasznie nerwowy i do tego schlał się ostatnio w moim domu. — Lidia poczuła ulgę. Oldze musiało chodzić o Matiego. Tylko, chwila, przecież doskonale wie, kim on jest.

— Coś ty! Kim on jest? — Olga zrobiła wielkie oczy.

— No... moim bratem, nic się nie zmieniło w kwestiach rodzinnych — powiedziała powoli, grając na czas. Jeśli Oldze nie chodziło o niego, to w takim razie o kogo?

— Chwila, chwila, coś mi tu ściemniasz. — Pomachała ręką i omal nie trąciła wysokiej szklanki z kawą mrożoną. — Ja się pytam, w kim się zakochałaś, a nie co nawywijał twój durnowaty brat.

— A... a skąd pomysł, że się w kimś zakochałam?

— Przecież widzę! Nie jestem ślepa!

— Dobra, czekaj, powiedz mi z łaski swojej, co widzisz, bo ja nie widzę i chyba coś źle interpretujesz. — Sytuacja była irytująca i zabawna jednocześnie. Olga od dawna wyszukiwała Lidii chłopaka, najlepiej od razu nadającego się na męża. Nie mogła zrozumieć, jak to możliwe, by ładna, mądra, seksowna i heteroseksualna kobieta przed trzydziestką nie miała faceta i w dodatku takowego nie szukała. Przyjaciółka była jedno kliknięcie od założenia jej profilu na najpopularniejszym portalu randkowym oraz kilku innych mniej znanych. Wypatrywała interesujących, wolnych kolegów z pracy i analizowała, w jakim stopniu by do przyjaciółki pasowali. Bawiło to Lidię, która za każdym razem mówiła, że nie będzie się z nikim na siłę umawiać, nie chce jej się chodzić na randki i tracić czasu na nudnych mężczyzn. Mawiała: „Jak spotkam kogoś, kto mnie zainteresuje, na pewno dowiesz się pierwsza”.

— Chodzisz z głową w chmurach, odpływasz gdzieś myślami — zaczęła wyliczać na palcach — nie słuchasz zupełnie, co mówię. No? Jaki kolor zasłon zamówiłam?

— Zasłon? — Lidia czuła, że została pokonana. Nie miała pojęcia, o jakich zasłonach Olga mówi.

— O, właśnie! Nie słuchasz. A kochana, kto jak kto, ale ty potrafisz słuchać ludzi. Widać, że ktoś mieszka w twojej głowie. — Popukała się znacząco w czoło.

— Mówiłam ci, martwię się o Matiego. Nie jestem pewna, czy nie wpadł w jakieś kłopoty.

— Kochana, ja cię proszę, nie pierdol. Może i martwisz się o tego nieudacznika, ale to nic nowego. Wiecznie się o niego trzęsiesz, tak jak i wasza matka, i wcale się nie dziwię, ale w twoim życiu jest ktoś nowy. Ja to widzę! — Zadowolona mina Olgi świadczyła o pewności siebie i Lidia wiedziała, że przyjaciółka jej nie popuści, chociaż błędnie interpretuje jej zamyślenie.

— Aha, zobaczyłaś to chyba w szklanej kuli, wariatko. Skoczę do toalety. — Poderwała się i szybko oddaliła. Potrzebowała chwili. Właśnie pierwszy raz całkowicie realnie zaświtała jej myśl, by jednak powiedzieć Oldze o niespodziewanym gościu, który spędził u niej weekend i rzeczywiście, nadmiernie zaprzętał jej głowę, bo drażniła ją niewiedza na jego temat i cała ta zagadkowość. Była z tym sama, nie potrafiła nic wykombinować. Bardzo kusiło ją, by podzielić się tym z Olgą, która, jak trzeba było, umiała dotrzymać słowa i proszona o dyskrecję nigdy nie przekazywała innym poufnych informacji. Poza tym Lidia potrzebowała z kimś o tym wszystkim pogadać. Gdy wróciła po chwili na taras, gdzie siedziały w wygodnych fotelach przy kawie, obok napojów stały już pucharki ze świeżo nałożonymi lodami.

— Widzę, Olga, że nie odpuścisz. — Uśmiechnęła się do przyjaciółki. — Wszystko ci opowiem, ale musisz mi przyrzec, że to zostanie między nami — dodała poważnie.

— Oczywiście, znasz mnie.

— Zacznijmy od tego, że nie jestem w nikim zakochana, nikt nie zawrócił mi w głowie i zapewniam cię, że nie ma sensu, byś robiła sobie nadzieje, ale wydarzyło się coś, czego w życiu bym się nie spodziewała.

Gliwice, styczeń 2019, Karolina

Odnoszę wrażenie, że ostatnio życie nabrało tempa. Wszystko dzieje się tak szybko, i to nie tylko wokół mnie. Czuję się, jakbym wsiadła na karuzelę. Może to dlatego, że już dawno z nikim nie byłam. Odkąd Marta wyprowadziła się, wyszła za mąż i teraz stara się o dziecko, Edyta robi karierę i idzie naprzód, ja spokojnie sobie trwam, może nie wegetuję, ale trwam. Nie rozwijam się, nie zmieniam swojego życia, nie mam przygód. Jeden dzień podobny jest do drugiego, przyszły tydzień, miesiąc, rok są przewidywalne. Ten spokój, stałość, bezpieczeństwo to mój luksus, ale czasem chciałabym przeżyć coś nowego, dodać do tego mojego prostego życia szczyptę pozytywnej ekscytacji, chociaż niczego

takiego specjalnie nie szukam. Tymczasem zupełnie niespodziewanie właśnie to się dzieje — w moim poukładanym świecie. Nawet nie wiem, jak to się stało i gdzie podziła się moja ostrożność oraz dystans do nowo poznanych ludzi.

Zacząło się zaledwie cztery dni temu. Poszliśmy z Martą do galerii handlowej połączyć po sklepach i poszukać prezentu dla Edyty, która wkrótce obchodzi urodziny. Spędziłyśmy tam dobre trzy godziny. Marta kupiła sobie nową torebkę, rękawiczki i ozdobne poszewki na poduszki. Dla Edyty oczywiście nic nie znalazłyśmy i zaczęłyśmy się zastanawiać nad kartą podarunkową do księgarni. Banał. Wyszłyśmy z FORUM i podjechałyśmy do centrum. Okropnie wiało. Postanowiłyśmy się rozgrzać małą lub trochę większą czarną oraz obgadać jeszcze raz, co kupić na prezent. Ledwie zamówiłyśmy kawę, do kawiarni wbiegł zdyszany facet z moim szalem. W pierwszej chwili pomyślałam: „O, ma taki sam szal jak ja”, lecz rozejrzał się i podszedł prosto do mnie. Jak się okazało, gonił mnie, ale szłyśmy zbyt szybko, potem przebiegłyśmy na drugą stronę ulicy, a on nie zdążył, gdyż jechały samochody, więc szedł drugą stroną. Podobno wołał, ale nic nie słyszałyśmy. Wcześniej, gdy wyszedł z banku naprzeciwko Urzędu Miejskiego, widział, jak apaszka wysunęła mi się z torebki, nim porwał ją wiatr. Faktycznie, w galerii było ciepło, więc zdjęłam ją z szyi, schowałam i o niej zapomniałam. Musiała mi wypaść. Podziękowałam i zaproponowałyśmy, by usiadł, chociaż to, zdaje się, wyszło od Marty, już nie pamiętam. Zaczęliśmy rozmawiać. By się odwdzińczyć, postawiłam mu kawę, a on w rewanżu kupił nam desery, więc Marta stwierdziła, że tak nie może być, zwłaszcza że jest okropnie zimno, a niedługo trzeba będzie wyjść na ten wicher, zamówiła więc wino i dodatkową szarlotkę.

Ratownik mojej własności ma na imię Dawid, jest tu w zasadzie przejazdem, bo na stałe mieszka w Warszawie i na Śląsk przygnały go interesy. Pierwszy raz wysłano go w delegację na południe i nigdy wcześniej nie był w Gliwicach. Zatrzymał się w Royalu. Czułam na sobie jego spojrzenie, nie zaprzeczę, pochlebiali mi, jak na mnie patrzył. Marta, jak to Marta, od razu zaproponowała wycieczkę po mieście, naopowiadała mu o radiostacji, starówce i miejscach, które koniecznie musi odwiedzić, skoro zatrzymał się tu na aż trzy tygodnie. Oczywiście wrobiła mnie w to z gracją, bo przecież mam mnóstwo czasu. Wymieniliśmy się numerami telefonów i właśnie czekam na niego. Wczoraj, jak co sobotę, spędziłam z dziewczynami cały wieczór i tym razem Dawid był głównym tematem naszych rozmów. Marta namówiła go, tak mi się wydaje, na wizytę w palmiarni, gdzie koniecznie musi zobaczyć amazońskie piranie i płaszczki, ponieważ opowiadał nam o swojej fascynacji rybami i światem podwodnym, o okazałym akwarium, które ma w domu w stolicy. Fascynuje go świat ryb i dlatego bardzo zapalił się do pomysłu wycieczki, zwłaszcza że nie wiedział o istnieniu gliwickich zbiorów. Umówiliśmy się we trójkę na dzisiejsze popołudnie, Marta zadzwoniła jednak, że nie da rady, bo nie wyrobiła się jeszcze ze sprawdzianami, które musi na jutro sprawdzić. Akurat.

Zaparkowałam i siedzę w samochodzie. Jest jeszcze trochę czasu. Umówiliśmy się przy bramie parku. Mam, do cholery, prawie trzydzieści lat, a serce wali mi, jakbym była podlotkiem. Jak to możliwe? Zwłaszcza że nic się nie dzieje. Ot, pomagam nowemu znajomemu poznać w wolnym czasie okolicę. Sprawdzam makijaż w lusterku — lepiej nie będzie.

Podeszłam w umówione miejsce przed czasem, a on już tu jest. Wydaje się uszczęśliwiony z tego powodu, że tylko ja będę mu towarzyszyć. Idziemy, rozmawiamy, żartujemy. Czuję się z nim naprawdę dobrze i cały mój stres znika. Wewnątrz nie ma zbyt wielu osób. Jest chłodny, deszczowy styczeń, a my przekraczamy próg ciepłych krajów, bujnej zieleni, feerii kolorów i zapachów. Akwaria zostawiam na koniec, niech trochę sobie poczeka. Jest zachwycony. Mówi, że chętnie by się tu wprowadził i przezimował. Ma minę szczęśliwego chłopca, gdy wchodzimy do pawilonu tropikalnego. Ekscytują go okazałe paprocie, pnącza, atakująca nas zewsząd zieleń, której tak brakuje na zewnątrz. Uwielbiam to miejsce, choć tak rzadko tu zaglądam, więc jak zwykle w takich sytuacjach obiecuję sobie w duchu, że będę odwiedzać je częściej. Można nasycić się aromatem roślin, wkroczyć do krainy zupełnie oderwanej od rzeczywistości i po prostu napawać się jej niewzruszonym pięknem. Wędrujemy między palmami, gęstwiną roślin i kwiatów, podziwiamy kaskadę i piranie w wodzie pod nami. Dawid nie może oderwać oczu od niesamowitych, półtorawiecznych palm kanaryjskich, a gdy trafiamy między kaktusy, śmieje się, że nie wiedział o tym, jak wiele przeróżnych i przedziwnych sukulentów istnieje na świecie.

Wreszcie zabieram go na dół, gdzie jego zachwyty sięga zenitu. Właśnie jest dostępna wystawa niezwykle kolorowych paetek. Dawid opowiada o nich — wie naprawdę dużo i z przyjemnością go słucham. Dyskowce żyją w głębinach Amazonki w dużych grupach, nawet po kilkaset sztuk, są też hodowane w akwariach. Dowiaduję się o odmianach, zwyczajach i warunkach, jakie lubią, wprost od niego, jakby był przewodnikiem. Opowiada z pasją i niezwykle ciekawie. Gdy mówi, oczy mu błyszczą, a uśmiech nie schodzi z twarzy. Zachwyca się podwodnym światem stworzonym w wielkich, mieszczących kilkanaście i kilkadziesiąt tysięcy litrów wody akwariach. Oglądamy niesamowite, wielkie arapaimy, których mięso stanowi przysmak nie tylko ludzi, ale też jaguarów. Kto by pomyślał, że tak trafię z wizytą w palmiarni. Dawid jest zachwycony i jego nastrój udziela się mnie. To miejsce, które lubię i cenię, lecz nigdy dotąd nie podobało mi się tu tak jak dziś.

— Dziękuję — mówi z zapałem i szczerością w głosie, patrząc mi w oczy. — Nie spodziewałem się, że tak wspaniale spędzę popołudnie. Nie miałem pojęcia o istnieniu tego magicznego miejsca.

Jego niski, basowy głos zmysłowo wibruje mi w uszach. Nie wiem sama, czy właśnie to miejsce, czy może ten człowiek sprawiają, że rozpływam się ze szczęścia i chciałabym, by ta chwila trwała wiecznie.

— Cieszę się. — Nie wiem, co jeszcze powiedzieć, czuję się, jakbym miała piętnaście lat.

— Założę się, że zgłodniałaś. Pozwól, że teraz ja cię gdzieś zabiorę.

Mówi to w taki sposób, że nie jestem w stanie odmówić. Nie wiem, czy dzisiaj bardziej oczarowała mnie palmiarnia, czy on. Bez mrugnięcia okiem wsiadam do jego samochodu i daję się wieźć. Powiedziałabym, że gdzie tylko zechce, ale to nie do końca prawda, bo ja wskazuję mu drogę do restauracji, o której słyszał wiele dobrego i koniecznie pragnie mnie tam zabrać. Co się ze mną dzieje? Próbuje przywołać rozsądek. To urzekający facet, ale przecież nic o nim nie wiem. Powinnam była pojechać własnym autem. Czuję jego zapach i przyłapuję się na tym, że rozkoszuję się nim. Nie ma pojęcia, gdzie jest ulica Górnych Wałów, ale chce jechać właśnie do Plado. Słyszał od kogoś, że warto, więc nawiguję z przyjemnością, również tam jeszcze nie jadłam, a jestem niemiłosiernie głodna. Śmiejemy się, żartujemy. Czuję się dobrze. Dawno nie czułam się aż tak dobrze.

Wnętrze restauracji jest bardzo gustowne. Przy kieliszku białego wina czekamy na zamówiony posiłek i rozmawiamy. Niemal cały czas patrzy mi z fascynacją w oczy, lecz, o dziwo, nie czuję skrepowania. Wygląda na to, że nadajemy na tych samych falach. Ciekawe, czy Marta podobnie się czuła podczas pierwszego spotkania z Ludwikiem. Mam wrażenie, że przeniosłam się do jakiejś innej rzeczywistości, nieznannej, fascynującej krainy i w duchu śmieję się z samej siebie. Wreszcie dostajemy swoje dania. Jak wszystko tego dnia jedzenie jest wyśmienite. Zupełnie nie czuję upływu czasu, zapominam o bożym świecie.

Dawid mówi, że bardzo podoba mu się moje miasto i to ja jestem za ten fakt odpowiedzialna. Przyjechał tu na kilka tygodni i z początku nie był zadowolony, bo zazwyczaj podróże służbowe nie trwają tak długo. Firma, w której pracuje, przejęła tutejsze małe przedsiębiorstwo i jego zadaniem jest dopilnowanie wszystkiego, co związane z fuzją, wdrożenie nowych procedur, ujednoczenie pracy i integracja, a to musi zająć trochę czasu. Teraz jednak postrzega to jako zaletę, ponieważ poznał mnie i bardzo chciałby kontynuować tę znajomość. Rozmawiamy o wielu rzeczach, ważniejszych i tych całkiem trywialnych. Jest tak przyjemnie, że lada chwila będę gotowa opowiedzieć mu wszystko o sobie. Robi się późno, co wreszcie dostrzegamy. Przesiedzieliśmy tu dobre kilka godzin i chociaż nikt nas nie wyrzuca, zrobiło się pusto, a my jesteśmy ostatnimi gośćmi. Prócz rozpływającej się w ustach kaczki w sosie śliwkowym zaliczyłam deser czekoladowy, a potem jeszcze krem kataloński. W zasadzie powinnam mieć problem z poruszaniem się, jednak czuję się tak lekka, że mogłabym fruwać. Dawid proponuje odwiezienie mnie do domu, ale muszę jeszcze zabrać mój samochód spod parku, więc zawozi mnie tam, a potem proponuje kolejne spotkanie. Wymieniamy się numerami telefonów i jeszcze trochę rozmawiamy, ociągając się z rozstaniem. Gęsta para leci nam z ust i rozpływa się w świetle latarni. Nie ma już wiatru, lecz musi być zimno. Nie odczuwam chłodu, ciepło rozgrzewa mnie od wewnątrz.

Gdy wreszcie wracam do siebie, uśmiech nie schodzi mi z twarzy. To był najcudowniejszy dzień od wieków! Mam ochotę tańczyć, skakać, opowiedzieć dziewczynom i Wojtkowi o tym, jak wypełnia mnie radość. Może nie spotykałam się z wieloma mężczyznami, lecz trochę ich się i tak nazbierało.

Byłam już zakochana i zachwycona, zauroczona i szczęśliwa, ale nigdy tak jak dziś. Naturalnie wiem, że ten zachwyty może być chwilowy, jutro minąć i nie wrócić, lecz w tym momencie jest mi cudownie wszystko jedno. Żyję tu i teraz.

Nie zważam na późną porę i dzwonię do Edyty.

* * *

Dni płyną lekko i przyjemnie, nie przeszkadza mi szarość za oknem i deszcze przeplatane wiatrem, na które ciągle wszyscy narzekają. Nie jestem już taką pesymistką jak kiedyś, ba, nawet nie jestem podobna do siebie sprzed lat, a gdy Dawid jest blisko, staję się wręcz niepoprawną optymistką. Jakby moja codzienność wreszcie wskoczyła na odpowiedni tor i nabierała tempa. Czuję się świetnie, bezpiecznie, nie odczuwam potrzeby wymyślania negatywnych scenariuszy, co było kiedyś niemal moim hobby. Spotykamy się prawie codziennie. Kolacja w mieście, kolacja u mnie, teatr, kino, kawiarnie. Ostatnio nawet przyniósł pełną siatkę artykułów i ugotował nam w mojej małej kuchni risotto na czerwonym winie. Było pyszne. Czy to możliwe, że spotkałam człowieka bez wad?

Edyta i Marta, naturalnie, wszystko wiedzą, cieszą się ze mną, choć patrzą na mnie badawczo, jakbym się zmieniała w kogoś zupełnie innego. Cóż, może tak jest. Jeśli nawet, to dobrze. Wojtek powiedział ostatnio, że słyszy szczęście w moim głosie. Usłyszawszy skróconą wersję o Dawidzie, chciał zrezygnować z przekazania mi informacji dotyczących naszego śledztwa. Bez przesady, nie stałam się gatunkiem chronionym ani nie wyłączył mi się mózg.

— Dobrze, więc posłuchaj. Mam pewne, hm, podejrzenia, że ktoś pomógł Pawłowi zniknąć. Nie wiem, może go zaszantażowano, przekupiono, ale najpewniej stąd usunięto — powiedział. — Znalazłem punkt zaczepienia. Pamiętasz tego stróża, o którym ci opowiadałem?

— Tego starszego, co pije, pamiętam.

— Trochę go pociągnąłem za język i to on mi zasugerował, że prawdopodobnie pozbyli się Pavła, bo coś wiedział i chętnie się tym dzielił — mówił dalej. — W dodatku okazuje się, że staruszek wcale nie był taki nieuważny i wiedział więcej, niż się można było spodziewać, tylko siedział cicho, nauczony doświadczeniem.

— Chwila, mówisz „był”?

— No tak. Zmarł przedwczoraj w pracy. Znaleźli go rano. Mówią, że zapił się na śmierć.

— Kurczę...

— On od dawna wyglądał, jakby jedną nogą stał w grobie, ponoć już przeszedł i zawał, i wylew, ale i tak pił regularnie. Rozmawialiśmy o tym z kolegami. Wszyscy wiedzieli, nikt nic nie zrobił... ja też nie... Tylko wiesz, on nie chłwał tak, by zaliczać beton, po prostu popijał jak Anglik herbatkę. Igor twierdzi, że gdyby go za to wywalili z roboty, umarłby dużo wcześniej.

— Okropnie to przykre. — Czuję autentyczny żal, to nie był człowiek z historią lekkiego życia.

— Najpierw Pavel, teraz on, sam nie wiem, co mam o tym myśleć. Ale słuchaj — zmienia temat — skończyłem już kurs i od lutego zaczynam dodatkową robotę, będę bliżej, wiesz, o czym mówię. W warsztacie porobię troszkę krócej, przynajmniej według umowy: trzy czwarte etatu i po trzy, cztery godziny dziennie. W zależności od zapotrzebowania będę wdrażał się w synchronizację i ustawianie systemów komputerowych w nowych sztukach. Jak się uda, z czasem tam przejdę. Świetna robota, lepsza kasa, a i więcej się dowiem.

— Bądź ostrożny.

— Zawsze. Na razie nie mam nic nowego. Sprawdzam podsłuchy na wszelki wypadek, ale ewidentnie jak nie ma tamtych ludzi i transportu, nikt niczego na ten temat nie mówi, jakby rzeczywiście nikt niczego nie wiedział. Pozostaje mieć rękę na pulsie i czekać. Gdybym dłużej nie dzwonił, nie martw się, ale pisz przez Skype albo mailem, jak się rozwija miłość w wielkim mieście, okej?

— Jasna sprawa, braciszku, będziesz na bieżąco. — Śmieję się. — Odcinkowa telenowela z życia wzięta.

Gliwice, sierpień 2019

Co się z nim, do cholery, dzieje — wymamrotała pod nosem wzburzona Marta wkrótce po tym, jak Wojtek niemal siłą wpełznął ją do jej samochodu i kazał natychmiast jechać do domu. Zmierzała właśnie do mieszkania Karoliny, by z nim porozmawiać, wydusić prawdę o tym, dlaczego się nie odzywał, co znaczą te ślady jak po solidnym pobiciu i w ogóle co się z nim dzieje. Karolina byłaby bardzo zaniepokojona jego stanem i z pewnością by tego tak nie zostawiła. Zaparkowała na jedynym wolnym miejscu przy budynku obok i nim dotarła do bloku, Wojtek wypadł zza rogu zdyszany, jakby kogoś gonił. Omal się nie zderzyli. Był wyraźnie wściekły, gdy powiedziała, że właśnie do niego idzie. Złapał ją za ramię i pociągnął za ścianę. Kategorycznie zabronił zbliżać się do klatki.

Nigdy go takim nie widziała. Zabrakło jej języka w gębie jak rzadko kiedy i po prostu zrobiła, co kazał.

* * *

— Kochanie, coś się stało? — Ludwik wstał z fotela i podszedł do żony. — Jesteś blada. Usiądź. Co się dzieje? — Był bardzo zaniepokojony.

— Nie uwierzysz! — Zrobiła pauzę, by zebrać słowa, które za chwilę miała wypuścić rwącym potokiem. — Wojtek! On się zmienił! Nie wiem, oszalał chyba, w każdym razie najwyraźniej coś złego się z nim dzieje. Ja go zupełnie nie poznaję.

— Co...

— Wyobraź sobie — nie dała dojść mężowi do słowa, co go nieco uspokoiło, była sobą — poszedł do mieszkania, uparł się jak wół, że musi sam, ale wiesz, coś jest nie tak. A! Bo ty nie wiesz. Pojechałam do Edyty, ponieważ nie odbierała, a chciałam się pochwalić naszym sukcesem. — Cmoknęła pospiesznie męża w usta i kontynuowała: — I on tam był! U Edyty był Wojtek! Wyglądali oboje okropnie, ale on gorzej, naprawdę, gdyby mnie minął na ulicy, pewnie bym go nie poznała. Okazało się, że przyjechał i nic, kompletnie nic nie wiedział o Karolinie, wyobrażasz to sobie? Dowiedział się dopiero od Edyty i rano byli na cmentarzu. Załamał się. Serio nie wiedział. Słuchaj, jak on wygląda! Chyba z dziesięć kilo mniej, poobijany jakiś, w dresach. Nigdy go takim nie widziałam, nigdy! Nie służą mu te Czechy za cholerę. W każdym razie, słuchaj, nie przerywaj — wtrąciła przewencyjnie, widząc, że mąż otwiera usta, by coś powiedzieć. — Więc wziął od Edyty klucze i poleciał tam, zakazując nam iść z nim. Niczego nie chciał powiedzieć, no mówię ci, zachowywał się, jakby był niespełna rozumu. Nie wiem, czy to przez ten szok. No, ale sam rozumiesz, nie można tak człowieka z tym zostawić! Edyta tego najwyraźniej nie rozumie, spać sobie poszła! Więc wsiadłam w auto i pojechałam. Wpadłam na niego na ulicy, a on — szaleństwo w oczach! Jak mnie zobaczył, to się wściekł, że niby mówił, że mam wracać do domu, że natychmiast! Wziął mnie za ramię, tak, o — złapała Ludwika boleśnie za rękę — i zaciągnął do samochodu. Warczał coś o niebezpieczeństwie, jeśli mi życie miłe i takie tam. No, ja teraz nie wiem, szantażował mnie? O co mu mogło chodzić? W każdym razie nigdy przenigdy się tak nie zachowywał, strzelał oczami wokół, nie dał mi dojść do słowa. Co o tym myślisz? Bo ja ci powiem, że jestem przerażona. Dawid wydawał mi się podejrzany, ale to, co robi Wojtek, zakrawa na jakąś paranoję! — Spojrzała wyczekująco na reakcję męża, który nic nie mówił, tylko marszczył brwi. — No, dlaczego nic nie mówisz?!

— Nie znam go tak dobrze jak ty, tak że... no, ale faktycznie to niepokojące.

— Niepokojące?! Toż to jakieś szaleństwo! Dlaczego ja nie mogę iść do mieszkania Karoli?! Co on w ogóle odpieprza?

— Kochanie, spokojnie. Na pewno istnieje jakieś wytłumaczenie, ale może lepiej będzie, jeśli rzeczywiście dasz mu teraz spokój i nie będziesz się wtrącać. Pewnie musi przeżyć to po swojemu. A jak Edyta zareagowała na newsa? — dodał szybko, próbując zmienić temat.

— Nijak! Nawet jej nie powiedziałam. SMS jej napiszę albo i nie. Co ją to obchodzi. — Marta gotowa była obrazić się na wszystkich. — I ja się wcale nie wtrącam.

— Wszystko w swoim czasie, kochanie. Odgrzej sobie gulasz, dobry wyszedł.

— A co mnie gulasz? — burknęła, wychodząc do kuchni, by podgrzać posiłek.

Ludwik westchnął, po czym nasunął z powrotem okulary na nos i otworzył książkę. Nie potrafił się jednak skupić.

* * *

Edyta wparowała do domu przyjaciółki z pluszowym misiem i bezalkoholowym winem musującym.

— Czyś ty zmysły postradała, żeby mi takie wieści SMS-em przysyłać? Gratulacje! Kochani! — Uściskała Martę i Ludwika, po czym odsunęła się, by zlustrować przyjaciółkę od stóp do głów. — Nic po tobie nie widać.

— Drugi tydzień, co ma być widać, głupku — śmiała się Marta, której już nieco przeszły wzburzenie, foch i negatywne emocje. Z pomocą męża, jego spokoju i cierpliwości doszła do wniosku, że właściwie można to na chwilę zostawić, z pewnością prędzej czy później wszystko się z Wojtkiem wyjaśni. Teraz mieli ważniejsze sprawy.

— Cudowne wieści! Mów mi tu zaraz dokładnie. Potwierdziłaś test u lekarza?

— Oczywiście. Słuchaj, co się dzieje z Wojtkiem? — Marta jednak nie wytrzymała. Wciąż potrzebowała wyjaśnień i ze szczegółami opowiedziała przyjaciółce, co ją spotkało. Przecież Wojtek był u niej wcześniej, rozmawiali, a to oznacza, że Edyta miała jakieś informacje.

— Nie mam pojęcia, o co mogło chodzić. — Edyta grała na zwłokę. Wiedziała, że z czasem trzeba będzie wtajemniczyć Martę choćby po to, by nie wróciła do mieszkania Karoliny i nie narobiła zamieszania.

Gliwice, marzec 2019, Karolina

Mam wrażenie, że Dawid niczym puzzle wypełnił puste miejsca w układance mojego życia, choć wcześniej nie zdawałam sobie sprawy z pustki i mojego pragnienia uzupełnienia jej. Byłam przecież pewna, że nikogo nie potrzeba mi do szczęścia. Tymczasem odżyłam. Jakbym ocknęła się z odrętwienia, jakiegoś snu. Miewam oczywiście wątpliwości. To wszystko tak szybko się dzieje. Nigdy nie przypuszczałabym, że kiedykolwiek zaproponuję mężczyźnie, by zamieszkał u mnie po zaledwie kilku tygodniach znajomości! Nawet Edyta zapytała mnie, czy jestem pewna i czy wiem, co robię. Jak to możliwe, że Karolina Świtoń kieruje się głosem serca? Sama nie wiem. Nie jestem jednak pewna, czy w ogóle chcę wiedzieć. Zawsze byłam przekonana, że moje szczęście polega na tym, że mam Wojtkę, dziewczyny i czuję się bezpieczna. Nie potrzebuję niczego więcej. Jasne, czasem mogę z kimś być, zakochać się, ale to zawsze mija i nigdy nie jest na sto procent. Teraz wiem już na pewno: nigdy wcześniej nie byłam tak naprawdę zakochana. Przeżywałam co najwyżej większe lub mniejsze zauroczenia, związki z okresem przydatności, okrojone z pełnego zaufania. W życiu nie czułam się tak kochana jak teraz. To musi być właśnie to.

Wczoraj byłam bliska tego, by opowiedzieć Dawidowi o sobie absolutnie wszystko. O mnie, o Wojtku, nawet o tym, co dzieje się u niego w pracy. Nie był to żaden impuls, myślałam o tym sporo, rozważałam i doszłam do wniosku, że oto jest człowiek mojego życia, prawdziwie godna zaufania osoba. Co powiedziałyby na to Wojtek? Uznałam, że zgodziłby się ze mną. Nie można mieć tajemnic przed kimś, kogo się kocha, komu się ufa i kto sam otworzył się przed tobą całkowicie. Od pewnego czasu czuję, jak rozwija się we mnie coś wspaniałego, we mnie, między nami i w nas. Każdego ranka budzę się, myśląc o nim, i zasypiam z jego twarzą, zapachem, tembrem głosu w wyobraźni. Zaczynamy się stapiać ze sobą, razem oddychać.

Odkąd mieszkam ze mną, spędzamy razem każdą wolną chwilę, wieczory i wspaniałe noce, podczas których odkrywam takie obszary siebie, o jakich nawet nie miałam pojęcia. Jest kochankiem idealnym. Zawsze wie, czego pragnę, drobny gest wystarczy, by zrozumiał i podążył tam, gdzie chcę, rozumie mnie właściwie bez słów, a ja uczę się jego. Niesamowite. Do tej pory nie wiedziałam, że to jest w ogóle możliwe.

Dawid dorastał w trudnych dla dziecka warunkach. Jest jedynakiem i jako wyczekane dziecko

miał mieć szczęśliwe dzieciństwo. Niestety jego rodzice rozstali się, choć długo próbowali być razem, dla dziecka chcieli utrzymać związek. Dawid pamięta kłótnie, po których jakby nigdy nic rodzice obsypywali go prezentami, całusami, uśmiechami i zapewnieniami, że wszystko jest w porządku. W końcu ojciec się wyniósł, a jego miejsce zajął po pewnym czasie inny mężczyzna. Mama zmieniła się, zaczęła więcej czasu poświęcać sobie, nowemu partnerowi i Dawid czuł, że coraz bardziej im przeszkadza. Opowiadał mi o swoich uczuciach, lękach, dziecięcych staraniach, by mama znów kochała go jak dawniej. Mimo braku odpowiednich warunków i pomocy ze strony rodziców uczył się świetnie. Wychodził do szkoły bez śniadania, o obiedzie dla niego też często zapominano, lecz nie narzekał, by nie smucić matki. Brał udział w konkursach, przedstawieniach z nadzieją, że go doceni, lecz nigdy nie przyszła do szkoły, by zobaczyć swoje dziecko i je pochwalić. Jakby stał się niewidzialny, a jeśli już zwrócono na niego uwagę, to dlatego, że przeszkadzał, ale — jak mówi — to go wzmocniło. Potem kochanek odszedł i mama znów była dla niego, chociaż bardziej to on dla niej, ponieważ potrzebowała wsparcia, kogoś, komu się wypłaczę, opowie o swoich rozterkach, których jako dziecko do końca nie rozumiał. Najważniejsze, że znów patrzyła na niego, zauważała go i przypominała sobie, że jest mamą, a on jej wymarzonym niegdyś dzieckiem. Jak to w życiu bywa, sielanka nie trwała zbyt długo, a następny mężczyzna matki był gorszy od poprzedniego.

Trudno mi było tego słuchać, serce bolało, ale doceniam, że Dawid opowiedział mi to wszystko, otworzył się przede mną i mi zaufał. To nas niezwykle zbliżyło i czuję, że gdzieś tam w głębi jesteśmy do siebie bardzo podobni. Nie naciska, nie wypytuje o mnie i moje życie. Wiem, że bardzo chce wiedzieć o mnie wszystko, ale to moja decyzja, nie wywiera na mnie żadnej presji. To niesamowite. Polubią się z Wojtkiem, jestem tego pewna.

Cieszę się, że praca wymusza na nim dłuższy pobyt tutaj. Specjalnie zaangażował się w dalszą część projektu związaną z regionem, by móc zostać. Wspólnie uznaliśmy, że skoro i tak ciągle u mnie bywa, nocuje, nie potrzebuje już hotelu, może się wymeldować. To była świetna decyzja pod wieloma względami. Nie muszę tęsknić, czekać, liczyć godzin, minut. Często, gdy wracam z pracy, on już jest, pichci coś w kuchni, witają mnie smakowite zapachy i rozplýwam się wprost ze szczęścia. Budzę się przy nim i zasypiam. Pragnę, by tak zostało na zawsze, choć wiem, że to niemożliwe. Wkrótce wróci do Warszawy i nasz związek zmieni się, pewnie będzie musiał przejść próbę wytrzymałości. Pamiętam, jak Edyta poznała chłopaka z Krakowa. Non stop siedzieli na wideoczacie, przyjeżdżał na weekendy do niej lub ona jechała do niego. O nikim innym nie mówiła, była bardzo zakochana. Wszystko trwało niespełna trzy miesiące. Potem z goryczą mówiła, że związki na odległość są skazane na porażkę. Wiem, że nie zawsze tak musi być, wszystko zależy od nas samych i tego, czy to, co nas łączy, jest dość silne.

Dawid zapewnia mnie, że zrobi wszystko, by jak najszybciej wrócić, dostać następny kontrakt znów blisko mnie, a jeśli się nie uda, gotów jest przeprowadzić się na stałe, zmienić pracę — zrobi wszystko, byśmy mogli być razem. Głupio mi, że ja nie złożyłam podobnej deklaracji, lecz gdy powiedziałam mu o tym, odpowiedział, że nigdy nie chciałby mnie zmuszać do takiej zmiany, bym zostawiła dla niego wszystko, ale jeżeli zechcę, możemy wyprowadzić się nawet na koniec świata, gdziekolwiek bym chciała. Jest ideałem. Nawet dziewczyny tak to podsumowały. Są nim zachwycone i czasem się zastanawiam, czy on w ogóle jest realny, bo czy ktoś może być taki dobry? Edyta stwierdziła, że tak mówię, bo za dużo w życiu doświadczyłam zła. Może ma rację.

Nie mogłam skonsultować z przyjaciółkami tego, czy wszystko Dawidowi wyznać, bo przecież nawet one nie wszystko wiedzą. Mamy z Wojtkiem sekrety, które są tylko nasze. Może nie powinnam nikogo wciągać w to, co dzieje się w Kenirovicach. Wojtek nie powiedział tego wprost, ale myślę, że tak jak ja podejrzewa, iż Pavel mógł zostać skutecznie uciszony, zamordowany. Jego wizyta w czeskim komisariacie była błędem i nagraniem świadczy o tym, że trafił na skorumpowanego funkcjonariusza, a to z kolei oznacza, że nie jest to jakaś drobna przestępczość, tylko przemyt na większą skalę. Kto wie, może to jakiś kartel narkotykowy lub mafia, w końcu nie każdego stać na przekupowanie policji.

Śmierć tego stróża też wydaje się podejrzana. Akurat teraz zapił się na śmierć? Po tym, jak rozmawiał z Wojtkiem? Może to zbieg okoliczności, może popadam w paranoję, ale jakoś nie daje mi to spokoju. Naprawdę mam ochotę pojechać tam, spakować Wojtka i siłą go stamtąd zabrać. Kim jesteśmy, by się w to angażować? Czy zdołamy w tej sprawie coś zrobić? Najlepiej byłoby powierzyć to wszystko

przedstawicielowi władzy, który byłby naprawdę czysty i chciałby się tym zająć. Dalibyśmy mu to, co mamy, i niech działa dalej. Szkopuł w tym, że nikogo takiego nie znam. Według Wojtka nie ma znaczenia gdzie, czy w Czechach, czy w Polsce, jak ot tak pójdzie się na policję, to zawsze będzie to jak rosyjska ruletka. Ma rację, nie zaryzykuję, gdy on tam jest. Muszę mieć pewność, że nie sprowadzę na niego kłopotów, nie narażę go bardziej, niż robi to on sam. Myślę, kombinuję, rozważam wszystkie za i przeciw. Ufam Dawidowi, nie chcę mieć przed nim sekretów, w dodatku uważam, że mógłby pomóc. Jest ze stolicy, zna mnóstwo ludzi, może akurat... Dlatego zdecydowałam się wczoraj w pracy, że to zrobię. Nie będę prosić Wojtka o pozwolenie. Nie zna Dawida, nie wie, jak cudowną jest osobą. Co innego słyszeć o kimś, a co innego go poznać. Nie zgodziłby się, a ja czuję, że coś może się wydarzyć. Dawno nie było transportu. Pavel się nie odnalazł, Jan nie żyje, a Wojtek coraz bardziej ryzykuje. A co, jeśli w końcu nastąpi nowy transport, a on będzie tam, na miejscu? Boję się o tym myśleć. Okej, założmy, że wszystko się uda. Wojtek podłoży nadajniki, dowie się, dokąd jadą, może wyłapie nowe rozmowy. Będą mocniejsze dowody. Sami nic z tym nie zrobimy, potrzebujemy kontaktów. Im szybciej, tym lepiej. Komu zaufać, jeśli nie Dawidowi?

* * *

Okoliczności zdawały się mi sprzyjać. Panna Zelikówna dorwała ostatnio jakiś poradnik dotyczący samodoskonalenia. Obawiałam się, że mi nie przepuści i będę musiała go przeczytać. W każdym razie zaordynowała, że mam jej mówić po imieniu, bo zgodnie z myślą autora wiek i pozycja nie mają znaczenia, wszyscy jesteśmy dziećmi matki natury. Jej dusza ponadto jest bardzo młoda, co odkryła, robiąc sobie jakiś skomplikowany test zaczerpnięty z owej lektury, i właściwie jesteśmy obie dwiema drobinkami dobra we wszechświecie. Pod wpływem tego wszystkiego Anna postanowiła zająć się resztą obowiązków w tym dniu i poleciła mi wyjść wcześniej, by się zrelaksować, co ona sama uczyniła już rano, i — naturalnie — zapoznać się z książką, która jest odpowiedzią na wszystkie pytania i zbiorem wskazówek do tego, by swoje życie uczynić szczęśliwym i harmonijnym. Jako jej naturalna siostra nie mogłam odmówić, wzięłam więc książkę i postanowiłam zrobić Dawidowi niespodziankę, czyli tym razem przywitać go w domu z jakimś ekstraobiadkiem. Myślę, że mogę taki plan podciągnąć pod całkiem godny relaks, skoro daje mi tyle frajdy.

Zrobiłam po drodze zakupy i zabrałam się do gotowania. Nie jestem najlepszą kucharką i tak naprawdę umiem dobrze przyrządzić kilka prostszych potraw, lecz na moje szczęście Dawid uwielbia kuchnię włoską i wprost przepada za spaghetti milanese z szynką parmeńską, które jest potrawą nieskomplikowaną i szybką do wykonania. Trochę za bardzo się pospieszyłam. Jedzenie jest właściwie gotowe, wino chłodzi się w lodówce, stół nakryty, a Dawid przyjdzie zapewne nie wcześniej niż za pół godziny, może godzinę.

Włączam komputer, sprawdzam pocztę i zastanawiam się, czy pokazać mu pliki z nagraniami od Wojtka. W końcu skoro mam go wtajemniczyć, to całkowicie. Otwieram folder i zastanawiam się. Coś mi tu nie pasuje. Zwykle mam pliki posegregowane alfabetycznie, a tu są według dat. Dziwne. Jestem pewna, że nic nie zmieniałam. W głowie zapala mi się czerwona lampka. Co, do cholery? Wchodzę do ustawień, statystyk, sprawdzam, kiedy ostatnio i co było otwierane i wyświetlane. Pliki z tego folderu. Przedwczoraj. To niemożliwe. Nie przeglądałam ich od kilku dobrych tygodni. Może źle spojrzałam... Nie. Może ktoś włamał się do mojego komputera? Kto i po co? Sprawdzam dokładniej. Nagranie zostało odtworzone, gdy byłam w poniedziałek w pracy. Komputer był wyłączony. Mam program monitorujący aktywność. W ogóle nie włączałam komputera od zeszłego tygodnia. Gdy wróciłam do domu, Dawid już był. Oglądał serial, ale na swoim komputerze. Dawid? Siedzę jak zamrożona i patrzę w ekran. Nic nie rozumiem. Przecież jest hasło. Już dawno Wojtek powiedział mi, że jeśli mam to trzymać w swoim komputerze, to musi być zabezpieczony. Śmiałam się, że nawet nie mam chomika, który mógłby cokolwiek uruchomić. Dla świętego spokoju ustawiłam to hasło i zabezpieczenia. Nie podawałam ich Dawidowi, ale mógł zobaczyć, jak wpisywałam. Tylko chyba nigdy nie stał nade mną, gdy się logowałam. Nie był taki... W ogóle nie interesował się moim komputerem, ma swój. Hm... Kopie plików są na pendrivie w szufladzie. Sprawdzam. Istotnie są. Nic się nie zmieniło. Na wszelki wypadek robię jeszcze jedną zrzutkę plików na inny i wszystko wyłączam. Trzeba będzie zaktualizować

zabezpieczenia. Zastanawiam się, gdzie to schować, gdy słyszę, że otwierają się drzwi. Wrzucam nośnik pospiesznie do torebki i wychodzę do kuchni, by podgrzać sos. Mam chaos w głowie, lecz przywołuję na twarz delikatny uśmiech.

Dawid jest zdziwiony, jakby spięty, ale zaraz mówi, że nie spodziewał się mnie tak szybko i jest głodny jak wilk. Jemy, rozmawiamy, staram się nie myśleć o swoich obawach, patrzę w jego oczy i w końcu dochodzę do wniosku, że musiałam się pomylić, coś źle odczytać, on na pewno nie grzebałby w moim komputerze. Zapytałby o hasło, powiedziałby, gdyby musiał skorzystać z niego pod moją nieobecność. Na pewno. Tonę w jego orzechowych oczach, a potem w ramionach. Nie mówię nic, nie wtajemniczam go jednak — nie dlatego, że postanowiłam nic nie ujawniać, tylko po prostu tracę głowę i nie mam najmniejszego zamiaru poruszać żadnych poważnych tematów.

* * *

Dziś chyba spóźnię się do pracy. Pierwszy raz w życiu! Jak to możliwe? Nie słyszałam budzika, zerwałam się w ostatniej chwili. Dawid też spał. Lekko kręci mi się w głowie, pewnie z powodu tego pośpiechu. Miałam tylko tyle czasu, by się ubrać. Bez prysznica, makijażu, kawy i śniadania pędzę na parking. Dziwnie się czuję... może to początki grypy? Wypiłam do kolacji tylko jeden kieliszek wina, potem kochaliśmy się... To z pewnością nie jest kac. No dobra, pewnie za krótko spałam. Szukam kluczyka w torebce i trafiam dłonią na pendrive. Gdzie go ukryć? Może zostawić w pracy? A co, jeśli szefowa znajdzie? Ona wszędzie pcha swój nos. Po prostu schowam go w domu w moim „plecaczku z życiem”. Uśmieciam się. Dawid jeszcze o nim nie wie. Mam taką ochotę pokazać mu ten mały zbiór moich wspomnień. Opowiedzieć o domu, Wojtku, tamtych wakacjach, historii żyrafy... Wiem, że wszystko zrozumie. Tylko czy powinnam? Ufam mu, ale może zostawię to na kiedy indziej. Zaczynam się zastanawiać nad wczorajszym odkryciem. Kto mógł mi grzebać w komputerze? Może Marta wpadła po coś swojego, jak nas nie było? Ciągle ma klucze do mieszkania, a w szafie na górze jest pudło z jej szpargałami. Może po coś przyszła, chciała coś sprawdzić w necie i... Tylko znając ją, albo poczekałaby na mnie, żądając wyjaśnień, albo by po prostu zadzwoniła. Zapytam.

Los mi sprzyja. Zero korków, wszędzie zielone, docieram na czas. Całe szczęście, bo szefowa już jest. Niedawno zatrudniła nową osobę na miejsce Ewy, która się zwolniła. Wreszcie, półtora etatu to dla mnie trochę za dużo.

— Co się stało? — Zelikówna wita mnie, wychodząc z zaplecza, gdy już siedzę na swoim miejscu.

Z popłochem zerkam na zegar, może i jestem na ostatnią chwilę, ale jednak na czas.

— Dzień dobry, Anno. Nic, a dlaczego pytasz?

— Dziecko! Jak ty wyglądasz?! — Dziwi się teatralnie.

Czego ona, do cholery, chce? Gapię się na nią, ona na mnie. Nie, to nie będzie dobry dzień.

— Jesteś chora? Wiem, za bardzo cię wykorzystuję. To ze zmęczenia, pewnie w dodatku się przeziębiałaś. Siedź, siedź! Zrobię ci herbaty z cytryną. Mam wspaniały lek homeopatyczny. Sprawdzony, najlepszy! Postawi cię na nogi w góra trzy dni. Zaraz przyniosę. — Wybiegła do swojego biura.

Ja pierdzielę, o co chodzi? Wygrzebuję telefon i przełączam widok na kamerę z przodu. No tak, wyglądam beznadziejnie: jestem rozczochrana, trochę zapuchnięta i bez make-upu. Śmierć na chorągwi, ale za to na czas.

— Nic mi nie jest, panno... znaczy... Aniu. Troszkę zasnęłam i nie zdążyłam się pomalować. Zaraz się ogarnę, tylko... — Szukam w torebce kosmetyków. Powinnam mieć tu jakiś puder, przynajmniej szminkę.

— Dobrze, dobrze. Mimo to wypij herbatę i połknij to. — Patrzy na mnie badawczo. — Gdy cię przyjmowałam, nie nosiłaś makijażu, w ogóle go nie potrzebujesz, jesteś ładna i bez tego. To nie to. — Marszczy brwi i przygląda mi się badawczo, a ja czuję się nieswojo, gdy tak lustruje mnie spojrzeniem. — Jesteś pewna, że dobrze się czujesz? Czeka! — Pobiegła na zaplecze.

Już się boję, co nowego wymyśliła. Cholera, mam tylko krem do rąk. Słabo. Przeczesuję włosy i ściągam je gumką. Zerkam ponownie w kamerkę. Takich sińców pod oczami dawno nie miałam. Czuję na sobie wzrok nowej.

— Soniu, masz może korektor albo róż?

— Niestety. — Kręci przecząco głową. — Dobrze wyglądasz. Szefowa panikuje — pociesza mnie ściszym głosem, po czym odwraca wzrok w stronę monitora, gdy tylko słyszemy pospieszne kroki Zelikówny.

— Pokaż czoło! — Anna celuje we mnie termometrem niczym bronią. — Trzydzieści sześć i sześć. Hm... To może nic nie znaczyć. Ciśnienie! — Znow zniknęła.

Mam jej czasami naprawdę dość. Wiem, że zaraz wróci z ciśnieniomierzem, i nie myślę się. Wcieliła się w lekarza. Mam nadzieję, że nie zechce osobiście pobierać mi krwi. Ciśnienie mam trochę zbyt wysokie, ale w tych okolicznościach to chyba zupełnie normalne. Teraz z pewnością nie pozwoli mi na poranną kawę.

To będzie ciężki dzień. Udaje mi się jakoś wyprosić, by nie wysyłała mnie do lekarza i nie wzywała pogotowia. Obiecuję, że umówię się na najbliższą możliwą wizytę i jak najszybciej skonsultuję z internistą. Pozwala mi skorzystać ze swojej kosmetyczki, która jest naprawdę imponująca. Idę z tą torbą do łazienki. Z dużego, dobrze oświetlonego lustra spogląda na mnie jedna z gorszych wersji mnie. Mam ziemistą cerę i chyba zaraz wyklują mi się wypryski na czole. Szybko liczę. Do okresu jeszcze ponad tydzień. Może to jest przyczyną? Trochę nieudolnie przykrywam cienie korektorem, ożywiam twarz podkładem i rozświetlaczem. Nie jest najgorzej. Ten tusz do rzęs jest świetny, muszę sobie taki kupić. Wychodzę akurat wtedy, gdy w salonie rozbrzmiewa odgłos otwieranych drzwi. Klienci nie powinni uciec na mój widok. Ubieram uśmiech numer sto dwadzieścia pięć i witam nowo przybyłych. Anna zerka na mnie i po wyrazie jej twarzy wnioskuję, że jest dobrze.

Warszawa–Sosnowiec, wrzesień 2019

Życie zaczynało nabierać zawrotnego tempa. Mateusz zdawał sobie sprawę z tego, że jest tylko płótką, narzędziem w rękach innych, ale i tak czuł się jak król. W ogóle nie myślał już o tym, co wcześniej sobie postanowił. Zaskakująco szybko wdrożył się w nową, dodatkową rolę, która okazała się niezwykle opłacalna i przyjemna. Może nie był aniołem — z Julią, pierwszą żoną różnie bywało — ale Matyldy nie zdradzał. Teraz tłumaczył sobie, że to część pracy, nie zdrada. Bez przesady, w tym środowisku to normalne. Trzeba być w porządku, wyluzować i nie zgrywać świętoszka. Pamiętnego wieczoru w warszawskim klubie wiele się działo. Poznał kilka osób, które z pewnością będą dla niego ważne w przyszłości. Facet, który go zaskoczył propozycją, Rudi, okazał się spoko gościem. Typowy kark, który pół życia spędza na siłowni i pewnie sterydy rozpuszcza w koktajlach proteinowych w proporcji jeden do jednego, w markowych ciuchach, epatujący bogactwem i władzą. Mati miał przed takimi respekt, bo ich reakcje bywają nieadekwatnie gwałtowne, a jednocześnie po cichu oceniał ich jako mało inteligentnych szpanerów, którzy nadrabiają wyglądem. Zorientował się jednak szybko, że Rudi nie jest głupi i nawet gdy się bawi, pije i ćpa, to kontroluje sytuację i w razie potrzeby szybko i rozsądnie reaguje.

Potem jeszcze pili razem z innymi, balowali. Mati chętnie imprezował, ale rzadko dawał namówić się na coś więcej, jednak czuł na sobie wzrok Rudiego, więc wciągnął kreskę lub dwie. Klub miał imponujące, rozbudowane zaplecze, gdzie wylądowali z dziewczynami, które wcześniej nosiły drinki. Zabawa była jeszcze lepsza niż w części ogólnodostępnej, ekskluzywny towar i wszystko, czego dusza zapagnie. Mateusz, choć bawił się coraz lepiej i był bardzo zadowolony z takiego obrotu sprawy, wciąż czuł, że Rudi go obserwuje, ocenia i kalkuluje. Był tu nowy. Wchodził do gry, o której prawdopodobnie miał pojęcie raczej szcątkowe, ale z upływem czasu był gotowy na wszystko. Nie pamiętał zbyt dokładnie, o czym potem rozmawiali. Na pewno zgodził się na współpracę, która — jak powiedział Rudi — jest jasna i czysta, a on zapewnia całkowite bezpieczeństwo.

Impreza imprezą, życie toczyło się dalej. Mateusz wiedział, że stawki są wysokie. Na drugi dzień miał jechać do domu, co nie do końca mu się uśmiechało, ponieważ jeszcze nie wyszedł z lekkiego szoku i nie miał ochoty patrzeć Matyldzie w oczy. Czuł wyrzuty sumienia. Był zwykłym człowiekiem, nie skurwysynem. Telefon od Eryka odroczył to spotkanie.

— Słyszałem, że dobrze się bawiłeś! Tak trzymaj, stary, jesteś w formie. Dostałem cynk, że

będziesz potrzebny.

Tym razem rola była trochę inna, niewielki koncert, o którym mówił Eryk, miał już w pełni skompletowaną ekipę i wszystko było w toku przygotowań, ale Mati był potrzebny ze względu na swoją nową funkcję. Miał po prostu być na miejscu, pokazać się ludziom i czekać na sygnał. Wszystko to było dla niego nowe i trochę niezrozumiałe, wiedział jednak, że „nie” nie wchodzi w rachubę. I dobrze, bo nie miał zamiaru się wycofywać. Znowu czekała go podróż na Śląsk. Doszedł do wniosku, że wszystko dobrze się potoczyło. Przyszły trudniejsze czasy dla artystów, coraz częściej odwoływano większe imprezy, koncerty, czyli to, z czego żył. Zespoły zawieszały trasy, miasta odmawiały ich organizowania i finansowania. Posucha i zastój wisiały w powietrzu.

Dzwonek telefonu wyrwał Mateusza z zadumy.

— Cześć, jak ci się podoba miasto? — usłyszał znajomy głos Rudiego. — Dotarłeś?

— Właśnie wjeżdżam.

— Świetnie, zrób sobie spacer po galerii na Orląt. Ktoś niebawem cię tam znajdzie.

— Okej. — Pospiesznie wklepał do GPS-u adres, nie znał tego miasta. Poczł dreszcz podniecenia.

„Wchodzę do gry” — pomyślał.

Cieszyn, sierpień 2019

Olga zaniemówiła. Patrzyła się na Lidię okrągłymi oczyma i mrugała zawzięcie. „Warto było jej powiedzieć, choćby dla tej miny” — pomyślała Lidia. Czekwała na reakcję i huragan krytyki.

— Wiesz... no... nie spodziewałabym się tego po tobie — zaczęła wreszcie. — Bożenka z księgowości mogłaby tak postąpić. Ona wszystko do domu znosi. Bezpańskie psy, koty, prawie oswoiła stado srok i wyhodowała sobie w domu rodzinę piwnicznych pajaków. Takiego żula pewnie też by wzięła.

— Czekaj, źle zrozumiałaś, Wiktor nie jest jakimś żulem, on...

— Tak, tak, ale jak go brałaś, to tego nie wiedziałaś! — przerwała jej. — A po drugie podejrzewam, że jak się żula umyje, to każdy wygląda normalnie!

— Wiedziałam, że nic nie zrozumiesz... — Lidia zaczynała żałować, że się wygadała.

— I kto powiedział, że wszyscy żule to debile?! — kontynuowała. — Może trafił ci się rozgarnięty egzemplarz albo taki, co umie udawać inteligenta? Pamiętasz tego dziadka spod biedronki, co deklamuje Mickiewicza, żeby dostać parę groszy? Ten cały Wiktor siedział u ciebie przez weekend, tak? Czyli jakieś czterdzieści osiem godzin, tak? Da się poznać człowieka w czterdzieści osiem godzin, he? Nie da się! — krzyknęła triumfalnie.

— No tak, ale...

— Nie ma żadnego „ale”! — Olga nie dała dojść do głosu przyjaciółce i zaczęła wyliczać na palcach. — *Primo*: nic o nim nie wiesz, nie znasz ani nazwiska, ani skąd się wziął, co robi, nic! *Secundo*: ktoś mu wpięprzył i go szuka, czyli półświatek, ewidentnie! *Tertio*: zapierdzielił ci kasę, a Matiemu dokumenty, czyli złodziej! *Quarto*: utrzymuje kontakt, więc ma zamiar dalej cię wykorzystywać, bo zorientował się, że ma do czynienia z dobrą, szlachetną i naiwną babą! Natychmiast dzwoń na policję!

Lidia spuściła wzrok, rzeczywiście to wygląda nieciekawie, a ona w tym wszystkim wychodzi na łatwowierną kretynkę.

— Muszę się z nim skontaktować.

— Oszalałaś?!

— Nie, pomyśl sama. Oddał przecież Mateuszowi dokumenty. Gdyby był taki, jak go przedstawiasz, po co miałby to robić?

— Jak to po co? Jak to? Właśnie po to! Po to, żebyś mu wierzyła! — wrzasnęła. — O nie, nie, nie! Ja bym chciała, żebyś ty w końcu kogoś poznała, pokochała, chcę być świadkiem na twoim ślubie, ale to już jest lekka przesada.

— Przestań, dobrze?! — Lidia w końcu się uniosła. — Zachowujesz się tak, jakbym zakochała się w seryjnym mordercy. *A primo*: nie żywię do niego żadnych uczuć, *secundo*: nie jest mordercą!

Rozumiesz?!

— No dobrze, w porządku. — Olga zdawała się odpuszczać. — Co planujesz? Bo co się stało, to się nie odstanie, to przeszłość, ale co dalej? Masz zamiar olać go i tyle, chcesz odzyskać kasę i szukać sprawiedliwości czy...

— Chciałabym wiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi. — Tym razem Lidia przerwała dywagacje przyjaciółki. — Nie mogę przestać o tym myśleć — dodała.

— O nim — sprecyzowała Olga, przypatrując się jej badawczo.

Zaległa cisza, obie się zastanawiały. Słysząc było zwykle dyskretne, teraz nieco bardziej nachalne tykanie ściennego zegara. Olga przyglądała się Lidii. Zmieniła się. Zwykle była oazą spokoju i równowagi, teraz niepokój i emocje sprawiły, że miała lekko zaróżowione policzki, błyszczące, bardziej błękitne oczy i nawet włosy, zwykle proste, zdawały się falować. Zaangażowała się i tego raczej nie da się cofnąć. Przyglądała się przyjaciółce okiem znawczyni tematu.

— Słuchaj, a może go poszukamy.

— Co? Ale jak? — Lidia podniosła wzrok i zobaczyła wyraz przebiegłej satysfakcji na twarzy rozmówczyni. — Sama powiedziałaś, że nic nie wiem, nie znam nawet nazwiska ani... niczego.

— Pamiętasz Cygana? Tego kumpla Rafała. — Lidia uniosła brwi, więc Olga przewróciła oczami i wyjaśniła: — No tego, co był na naszej rocznicy, na przyjęciu, taki rudawy, wiecznie chodzi w dżinsowej kurtce. Jest prywatnym detektywem lub pracuje w biurze detektywistycznym, nie pamiętam, oni się zajmują głównie tropieniem zdradzających mężów i niesłownych współników, ale może poszukaliby tego twojego Wiktorka? Powinni sobie poradzić. — Uśmiechnęła się przebiegle.

— Nie jestem pewna...

— Ale ja jestem. Czekaj, zaraz Rafi wróci, to go wypytamy o Cygana.

* * *

Kolejnego dnia po pracy obie pojechały do Lidii. Nie musiały się spieszyć, Cygan miał się tam zjawić dopiero za dwie godziny.

— Cały czas mam wątpliwości. — Lidia skrzyła w swoją ulicę.

— Daj spokój. Próbowalaś dzwonić, ale nie odbiera, więc jakoś inaczej trzeba do niego dotrzeć.

— Tak, ale mówił, że to on w razie czego będzie się kontaktował.

— Proszę cię! Tu stań, miejsce masz — rzuciła. — I chodźmy jeszcze do tej cukierni za rogiem. Rzadko mam okazję tu być, a mają najlepsze napoleonki, który których nie przepuszczę.

— A twoja dieta?

— Dietę trzymam w domu i w pracy, u ciebie się nie liczy — odparła Olga tonem nieznoszącym sprzeciwu. — Poza tym będzie miło, jeśli ugościsz go czymś świeżym i smacznym do kawy.

— Przepraszam? Uważasz, że w domu mam nieświeże jedzenie? — udała oburzenie.

* * *

— Pokaż te jego rzeczy — rozkazała Olga chwilę po tym, jak pierwsze ciastko zniknęło w jej ustach.

Lidia chciała już zapytać po co, lecz zrezygnowała, wiedząc, że ciekawość Olgi jest nieuleczalna i nie potrzebuje uzasadnień. Poszła do swojej szafy w sypialni, gdzie ukryła ubrania Wiktor przed oczami Mateusza. Oczywiście nie umknęło to przyjaciółce, która natychmiast zinterpretowała ów fakt. Opuściła dalsze komentarze, kiedy łup znalazł się w jej rękach.

— Całkiem porządne, tylko zniszczone, i to chyba nie jest styl vintage. Z tej koszulki nie sprąła się tu plama. To krew? Hm... musiała być stara, mocno zaschnięta, gdy to włożyłaś do prania... Gdyby była świeża, z pobicia pod twoją klatką, to...

— Daj już spokój, głowa mnie zaczyna boleć. Przyjdzie ten detektyw, to sam oceni, chociaż nie wierzę, że nam cokolwiek zaoferuje. Co wiemy? Nic. Mamy stare ciuchy, w dodatku uprane. Imię i ogólnie rysopis mogę podać. Był tu trzy dni i właściwie nic o sobie nie powiedział. Zupełnie nic.

— Widzisz? Mogłaś z niego coś wyciągnąć. O czym ty myślałaś? — Olga z dezaprobatą pokręciła głową i napiła się kawy. — Szkoda, że nie dałaś mi znać od razu.

— Lubi dobrą literaturę. Nie ruszył kryminałów, wziął coś ambitniejszego, o, zobacz — podała jej książki, które zainteresowały Wiktora. — Wiedział, co czyta, rozmawialiśmy o tym przez chwilę.

— Taaak, może to psychopata filozof? — Olga nie mogła darować sobie sarkazmu.

Dialog został przerwany przez dzwonek.

— Jest wcześniej. To się chwali — oceniła Olga i poleciła: — No, otwórz wreszcie.

Chociaż Cygan, a właściwie Jeremi Cygan, był bardzo sympatyczny, Lidia czuła się głupio, opowiadając to wszystko, co wcześniej zrelacjonowała koleżance, a jego badawcze spojrzenie nie pomagało. Gdy skończyła, była pewna, że zaleje ją kolejna fala krytyki.

— Będę potrzebował dokładnego rysopisu, wszystko, co pamiętasz. Jakies znaki szczególne? Miejmy nadzieję, że użył dowodu twojego brata. Oczywiście, gdybyś zgłosiła sprawę na policji, byłoby im łatwiej, mnie ogranicza w pracy ochrona danych osobowych, ale zobaczę, co da się zrobić. — Jeremi nie miał najmniejszego zamiaru niczego oceniać. Zapisał numer telefonu, z którego kontaktował się Wiktor, i obiecał odezwać się, jak tylko czegoś się dowie.

* * *

— Wiesz, Ola, wydaje mi się, że przesadzamy — stwierdziła Lidia, gdy Jeremi wyszedł. — To w sumie obcy facet, po co nam go szukać przy pomocy detektywa?

— Daj spokój. Jeremi jest kolegą Rafała, przyda mu się takie zlecenie. Pewnie odbębni w przerwie między jakimiś poważniejszymi, a przypominam ci, że ten żul gwizdnął ci pieniądze i powinnaś iść na policję. — Olga pogroziła Lidii palcem. — Tymczasem darzysz go jakimś dziwnym sentymentem, więc musimy się dowiedzieć, z kim mamy do czynienia.

— My?

— Tak, kochana, teraz to już my.

Kenirovice, marzec 2019

Jan nie miał rodziny czy przyjaciół w okolicy, lecz wszyscy pracownicy przedsiębiorstwa znali go przynajmniej z widzenia. Na pogrzeb przyszła garstka ludzi — jeden kolega ze zmiany, bezpośredni przełożony, kilku pracowników, którzy najwidoczniej częściej z nim rozmawiali, i Wojtek. Ceremonia była krótka i skromna. Przepisowe minimum.

Wojtek wrócił do domu przygnębiony. Cały czas nie dawało mu spokoju to, że rozmawiał z Janem tak jak wcześniej z Pavlem. „Zbieg okoliczności czy jednak działanie osób trzecich? Może nie tylko ja zakładam podsłuchy?” — pomyślał, choć wydało mu się to jednak trochę paranoidalne. Jan nie miał w swojej budce kamery, zawsze gadał o pierdołach typu pogoda, po co ktoś miałby go o cokolwiek podejrzewać? A Pavel? Miałby podsłuch w domu? Wojtek postanowił następnego dnia pójść do domu Pavla i dyskretnie się rozejrzeć.

* * *

Dostanie się do środka okazało się niemożliwe. Wstawione zostały nowe zamki, co było widać po tym, że wyglądem nie pasowały do starych drzwi. Zresztą Wojtek pamiętał, że wcześniej nie lśniły nowością. Dyskretnie się rozejrzał, lecz nikogo nie było w pobliżu. Podszedł do okna salonu i osłonił oczy, by zobaczyć wewnątrz. W środku było pusto. Żadnych mebli, rozłożystej sofy, ławy, regałów. Obszedł domek dookoła i zajrzał, gdzie się dało. Wszędzie same ściany. W kuchni nie było nawet mebli czy lodówki.

* * *

Samochody wyjeżdżały za każdym razem wedle tej samej procedury. Poszczególne egzemplarze były sprawdzane i zatwierdzane oraz odstawiane na osobny pas, następnie zabezpieczano je i przygotowywano do załadunku. Autotransportery podstawiano wcześniej na osobny parking i tam czekały na swoją kolej. Komplet papierów wędrował, a uzyskawszy ostatnią potrzebną pieczętkę i podpis, ładował na biurku w biurze załadunkowym. Zwykle nikomu się nie spieszyło, ale trzeba było

się zmieścić w ramach czasowych i zdążyć z ostatnim odjazdem przed siedemnastą, więc wszystko musiało iść dość sprawnie.

Wojtek był teraz w ekipie ostatniego etapu kontroli komputerowej pojazdów i cały proces widział jak na dłoni. Pracownicy tej fazy znali ów powtarzalny schemat na pamięć. Ot, zwykły rytm dnia. Wojtek zwracał jednak uwagę na szczegóły, by na czas zorientować się, która z lawet będzie tą podejrzaną. Przez to, że oprócz niego nikt nie wydawał się czymkolwiek zaniepokojony czy zainteresowany, czasem czuł się jak paranoik, który spreparował sobie w głowie spiskową teorię dziejów i tylko on w nią wierzy. Wielokrotnie miał ochotę dać sobie spokój, dyskretnie zdjąć niemal niewidoczne kamery i podsłuchy, wyrzucić to wszystko gdzieś do śmietnika i zwyczajnie zająć się swoim życiem. Myślał o zmianie pracy, powrocie do kraju. Czuł, że wariuje. Jedyne dzięki wciąż nierozwiązanej zagadce zniknięcia kolegi i materiałom, które przekazał Karolinie, wciąż trzymał się planu. Zdecydował jednak, że jeśli do wiosny nic nowego się nie stanie, złoży wypowiedzenie i wyjedzie. Dotychczas podjęte decyzje zaowocowały jedynie tym, że teoretycznie pracował na półtora etatu, a praktycznie na dwa, więc szedł do pracy rano, a wracał późnym wieczorem i na myślenie pozostawały mu tylko weekendy. W dodatku zakochana Karolina sprawiała wrażenie oderwanej od rzeczywistości — w pozytywnym znaczeniu — czego nie chciał zakłócać swoimi rozterkami. Poprosił jedynie, by nic nikomu nie mówiła, najlepiej niech żyje swoim życiem, a nowej miłości o nim nie opowiada. Na wszelki wypadek, by nie powiedzieć za dużo. „W końcu jestem tylko starym kumplem z dzieciństwa, czasem rozmawiamy, to wszystko” — tak myślał i mówił Karoli.

W tygodniu nie miał już sił biegać. Jednak wysiłek bardzo późnym wieczorem w każdą sobotę wszedł mu w krew. Był od tego niemal uzależniony. Poza tym czuł czasem znużenie i niechęć, zwłaszcza gdy mijały kolejne jałowe obserwacje. Pewnego razu poczuł, że bardzo potrzebuje rozmowy, obecności drugiego człowieka. Wahał się, chciał zadzwonić do Karoliny, lecz było już grubo po północy i chociaż zwykle nie stanowiło to większej przeszkody, gdyż jak on była typowym nocnym markiem, zrezygnował. Może nie była sama? Wysłał tylko SMS z krótkim pytaniem: *Masz teraz czas?*

Zwykle odpowiadała błyskawicznie, czasem po kilku minutach. Tym razem telefon Wojtka milczał jak zaklęty, natomiast jego ciało dało znać, że jest przemęczone i wymaga łagodniejszego traktowania.

* * *

W piątek po południu uwinął się szybciej z pracą i umówił z chłopakami na wspólne oglądanie meczu w barze. Ludzie powoli zbierali się do wyjścia, w warsztacie już nikogo nie było. Zajrzał jeszcze do biura transportu, gdzie zaskoczył go widok Mirka, kolegi, który był jednym z obsługujących wyjazdy.

— Hej, zbieramy się na mecz. Idziesz?

— Tak, dojadę później, muszę tu jeszcze dokończyć papierologię — odparł zapytany, nie podnosząc głowy znad komputera.

Wojtek wyszedł i słuchał niekończących się opowieści Igora, jednocześnie zastanawiając się nad tym, dlaczego Mirek został w pracy, raczej nigdy nie zajmował się robotą papierkową, nie dbał o dane, ale bardzo mocno o to, by jak najszybciej opuścić firmę, zwłaszcza w piątkowe popołudnie.

— Igor, idźcie, muszę się wrócić, zapomniałem czegoś, ale zaraz was dogonię — przerwał wreszcie monolog o prawdopodobieństwie wygranej kolejki i pobiegł z powrotem do hali.

Minął wejście i obszedł budynek, by sprawdzić parkingi. Wszystko wyglądało jak zwykle. Parking pracowników był pusty, na drugim stało kilkanaście osobówek należących do tych z trzeciej zmiany, którzy obsługiwali roboty na produkcji, na końcu placu stały trzy lawety, które miały ruszyć w poniedziałek. Nie trzy, lecz cztery. Ostatnia była cofnięta i zasłonięta przez pozostałe. Obszedł plac dookoła, by nie rzucać się w oczy i sprawdzić z tyłu. Wóz miał polskie tablice. Nie było to nietypowe, jednak zwróciło jego uwagę, bo nie przypominał sobie, by widział go w ciągu dnia. Rozejrzał się i oddalił, teraz musiał obejść wszystko jeszcze większym łukiem, by nie znaleźć się w zasięgu kamer i podejść do swojego samochodu, zaparkowanego po drugiej stronie, jakby wychodził z budynku. „Jutro na pewno sobie pobiegam” — pomyślał z bijącym szybciej sercem.

* * *

Nie potrafił skupić się na meczu i dobrze bawić. Zamówił jedno piwo, a potem pił już tylko bezalkoholowe, po które podchodził do baru i od razu przelewał do kufla. Koledzy byli coraz bardziej wstawieni i głośni, więc on też próbował udawać, że świetnie się bawi, by nie narazić się na pytania, ale nie było to łatwe — cały czas myślał o tym, co zrobi jeszcze tej i jutrzejszej nocy.

— Stary, co jesteś taki markotny? — Igor, choć wzrok miał już dość błędny, zauważył nastrój Wojtka.

— Ja? A nic... — Naprawdę wymyślił powód. — Gniecie mnie w brzuchu od popołudnia. Chyba coś zjadłem, ale spoko, bywa. Wygraliśmy, co? — Nawiązanie do meczu, który skończył się już godzinę temu, było strzałem w dziesiątkę. Igor skupił się na tym, rozprawiając, że mogli wygrać wyżej, i przestał interesować się nastrojem kolegi.

Trochę wcześniej niż inni, lecz tylko nieznacznie Wojtek wyszedł z pubu i pojechał w kierunku swojego domu. Na skrzyżowaniu skręcił jednak w prawo i objechawszy centrum miasteczka, wrócił w okolice przedsiębiorstwa. Zaparkował za lasem. Nałożył bluzę i kaptur, do kieszeni włożył urządzenie, które miał zamiar przypiąć pod wóz, i truchtem pobiegł leśną ścieżką. Było cicho, ciemno i pusto. Doskonale znał rozkład i zasięg kamer, które obejmowały częściowo plac, lecz z pewnością nic za transporterami. Przyczepił GPS pod kabinę najbardziej podejrzanego. Rozważył wcześniej, czy nie zrobić tego samego z pozostałymi, ale to byłoby już za bardzo ryzykowne. Przeskoczył ogrodzenie i oddalił się w kierunku swojego samochodu.

Gliwice, marzec 2019, Karolina

Mogłabym przysiąc, że wczoraj w nocy słyszałam dźwięk przychodzącego SMS-a. Sprawdzam komórkę trzeci raz, lecz nic nowego nie ma. Okropnie się czułam cały dzień, a wieczorem doszły dziwne mdłości, więc zadzwoniłam do Edyty, że nie przyjdę na umówione spotkanie, idę od razu do łóżka. Żle się z tym czuję, bo to już nie pierwszy raz, ale jeszcze większe poczucie winy mam wobec Dawida. Od niedawna mieszkamy razem, a ja jestem w coraz gorszej formie i zamiast spędzać czas z ukochanym, padam na twarz, jakbym pracowała w kamieniołomie, a nie zwykłym biurze podróży. W pracy nie mogłam nic jeść, kręciło mi się w głowie i z trudem uśmiechałam się do klientów. Jest naprawdę kiepsko, bo pomyliłam się i zamiast pokazać katalog z ofertami z północno-wschodniej Afryki, o co prosiła mnie pewna para, która planowała zwiedzić Egipt, wciskałam im oferty z Chorwacji i Słowenii. Dobrze, że Anny nie było. Gdy wróciła z tymi swoimi ciastkami, zimny pot wystąpił mi na czoło i naprawdę myślałam, że zaraz zwymiotuję na klawiaturę przy klientce. Zerknęła na mnie z niepokojem. Nowa dziewczyna była tak zaaferowana ogarnianiem komputera i ofert, że nie zwracała na mnie uwagi. Miałam szczęście.

Nie wiem, co się ze mną dzieje. Zrobiłam test ciążowy, ale oczywiście wyszedł negatywny, zabezpieczamy się przecież podwójnie, więc byłby to więcej niż cud. Zaczynam się zastanawiać, czy nie nadciąga jakaś megagrypa. Lecę z nóg i nie wiem, jak długo dam radę. Muszę się wybrać do lekarza, to nie jest normalne. Dziś sobota, jest po dziesiątej, a ja nie mam siły wstać z łóżka. Czuję, że serce bije mi szybciej niż kiedykolwiek, a przecież leżę, nic nie robię. Może powinnam kupić ciśnieniomierz? Dawid już wstał, pewnie siedzi z nosem w komputerze. Zawsze tak zaczyna dzień pracy, a sobota to u niego właściwie taki sam dzień roboczy jak inne.

Zmuszam się, by wstać, jest okropnie duszno i gorąco, więc ruszam w stronę okna. Jestem pewna, że zimne, orzeźwiające powietrze postawi mnie na nogi. Po dwóch krokach zatykają mi się uszy, słyszę coś, jakby wewnętrzne buczenie, a od zewnętrznych dźwięków oddziela mnie wata, ciało robi się potwornie ciężkie i czuję, że nie jestem w stanie nad nim panować, nie wygram z grawitacją. Natychmiast kucam, siadam na podłodze i ostatkiem siły przesuwam się z powrotem w stronę łóżka. To tylko metr, a wysiłek jest dla mnie nadludzki. Szum w uszach nasila się, zimny pot kłuje czoło, a przed oczami zaczynają tańczyć czarne plamy. Obok mnie stoi nocna szafka, na niej kubek z wodą. Tak bardzo pragnę się napić, zwilżyć suchy język w ustach. Jestem pewna, że to mi pomoże, lecz nie mogę unieść ręki. Boję się, że tylko strącę ten przeklęty kubek, narobię hałasu, wystraszę Dawida... Nie. Dam sobie

radę. Kulę się i czekam. Trwa to wieki, ale w końcu jest lepiej. Biorę kubek do trzęsącej się dłoni i upijam łyk, woda spływa mi po brodzie, po ręce. Odstawiam ją i wdrapuję się na łóżko. Muszę odpocząć. Sufit i lampa wirują mi przed oczami. Czekam. Powinnam jednak zawołać Dawida. Otwieram usta, lecz nie mam sił krzyknąć, jedynie szepczę jego imię. Zamykam oczy, muszę jeszcze chwilę odpocząć, zaraz nabiorę sił.

* * *

Nie mogę się wyrwać, wiem, że śpię i śnię. Zorientowałam się, bo choć pokój wygląda jak zawsze, budzę się, podnoszę, wstaję, a zamiast podłogi jest woda, faluje jak morze, obserwuję spienione fale, słyszę ich szum. Spuszczam nogę z łóżka, lecz nie czuję chłodu wody. Natychmiast się orientuję, że nadal leżę, otwieram oczy, widzę sufit, ściany, półkę z książkami i moją żyrafą, bok szafy... Odwracam głowę, jest woda, fale, szum, podnoszę się, spuszczam nogi z łóżka... Ile razy to się jeszcze powtórzy? Wiem, że to sen, muszę się ocknąć. Co chwila otwieram oczy, czuję, wierzę, że tym razem naprawdę się budzę i... znów morze wokół mnie. Przymykam powieki, zapadam się. Szum przybiera na sile, po chwili wyłaniają się z niego krzyki mew, śmiech, czyj to śmiech? Otwieram oczy, promienie słońca oślepiają mnie. Przesłaniam oczy dłonią. Dzieciaki grają w piłkę plażową. Jest i Wojtek. Tak. Przecież to wakacje w Ustce. Kolonie. Wojtek woła mnie, ale wolę posiedzieć na kocu i patrzeć, jak grają. Dopiero co usiadłam i mam dość. Czuję gorące słońce na moich plecach. Pożyczę od Wiolki krem i poproszę Wojtka, by mnie posmarował, ale jeszcze nie teraz, jak skończą. Tylko te plecy... zaczynają boleć, okropnie boleć, jakby ktoś wylewał na nie wrzątek. Trudno, muszę im przerwać. Wołam Wojtka, niech podejdzie, zajmie mu to minutę, tylko czemu nie reaguje? Wołam, krzyczę, wysilam się, jak tylko mogę, jestem tym wykończona, odkrywam, że głos się ze mnie nie wydobywa, choćbym nie wiem jak bardzo się starała.

Plaża wydłuża się i poszerza, Wojtek staje się coraz mniejszy, oddala się, nie słyszę już śmiechu, głosów, lecz sam szum, który wraz z ogromną przestrzenią wokół mnie zdaje się wszystko pochłaniać. Nie widzę już ludzi, kolorowej piłki, plaży. Nie, nie siedzę, leżę na plecach. Mrugam intensywnie, próbuję złapać ostrość. Nie ma plaży, morza, błękitu nieba. Jestem w domu. Próbuję machać głową, szamocę się, wszystko na próżno, wszystko dzieje się wewnątrz, w mojej głowie. Gdyby tylko udało mi się krzyknąć, choć raz, Dawid przyszedłby, obudziłby mnie. Wiem, że jest za ścianą. Pracuje i nie ma pojęcia, co się ze mną dzieje. Okej, jeszcze raz, jeszcze jedna próba. Szczypię się po rękach, ramionach, ale nic, zupełnie nic nie czuję, jakby otaczała mnie powietrzna opona, wata, dźwiękoszczelna, czułoszczelna, wszystkoszczelna.

Wpadam w panikę. A jeśli nie obudzę się teraz? A jeśli nie obudzę się nigdy? Jeżeli jestem uwięziona w tym śnie? Sparaliżowana? Nie, nie, nie, trzeba się uspokoić. Przecież w końcu Dawid do mnie przyjdzie, będzie próbował mnie zbudzić na śniadanie, ocknę się wreszcie. Nie jestem przecież żadną pierdoloną śpiącą królowną! Zaciskam oczy i pięści, czuję, że to robię, tak, na pewno to robię. Zaraz, za momencik się uwolnię. Zmuszam się do uspokojenia oddechu. Tak, jest lepiej, obudź się. Otwieram oczy. Sufit. Rozglądam się, czuję, jak obracam głowę, ruszam się tak, jak tego chcę, mam kontrolę nad ciałem. Tym razem na pewno. Czuję niewysłowioną ulgę, radość, szczęście, podnoszę się i z niepokojem patrzę w dół. Jest. Podłoga. Zwykłe panele, stare, wytarte, kochane panele. Chcę krzyknąć z radości, pobiec do pokoju obok. Zrywam się, lecz tylko siedzę, nie mogę dalej ruszyć, rozglądam się. Wszystko jest jak zawsze, z tym wyjątkiem, że ściany nieznacznie, bardzo, bardzo powoli zbliżają się do mnie. Nie! To niemożliwe, przecież się obudziłam! Czuję ucisk w piersi, nie mogę odдыchać, ściany nadal się zbliżają. Powietrze gęstnieje, jest coraz goręcej. Plecy wciąż mnie pieką, palą coraz bardziej. Widzę już z bliska fakturę farby, zastygłe na zawsze pociągnięcia pędzla na ścianach... Zaraz mnie zgniotą. Otwieram usta, krzyczę z całych sił! Wokół mnie znowu narasta szum. Pochłania mnie. A jeśli zostanę tu na zawsze? Minęły już godziny, dni, jestem wykończona... Dlaczego Dawid mnie nie budzi? Dawid! Dawid! Wrzeszczę, lecz nic się nie dzieje. Ściany wciąż się przybliżają, zaraz mnie sprasują, nie mogę odдыchać. Nie! Budzę się. Wiem, że śpię i budzę się we śnie. Znowu. Tym razem nie dam się nabrać. Patrzę w sufit. Boję się drgnąć. Zaciskam oczy i znowu je otwieram. Nie mogę na powrót ich zamknąć, nie mam władzy nad powiekami, nie mam władzy nad moim ciałem. Czy to śmierć? Czy tak

wygląda umieranie? Wszystko zaczyna się trząść, zaraz ten cholerny sufit spadnie i mnie pochłonie. Szarpie mną, nie, nie chcę, poddaję się, niech to się skończy. Słyszę głosy, jak z zaświatów, z daleka, ktoś mnie woła, nie rozumiem, nie rozróżniam słów, o ile to w ogóle są słowa. Czy to Dawid, jego głos? Nabieram powietrza do obolałych płuc i jeszcze raz, ostatni raz próbuję się wynurzyć.

— Karolina!

— Karola, obudź się!

Dawid i Edyta, nie wierzę! A jednak to oni! Zrywam się resztką sił, tak, to oni, oni! Wiotczeję, nie dam rady więcej, Dawid trzyma mnie, czuję jego ramię, ciepło ciała, tak, udało się! Nade mną przerażona twarz Edyty. Coś mówi, nie rozumiem jej, patrzę na jej usta, by wychwycić sens, ale chyba obraz rozjeżdża się z głosem, bo nic nie pasuje. Czuję ucisk, to Dawid mnie tuli. Okropnie się trzęsę. Już po wszystkim. Mam nadzieję.

* * *

Siedzimy w kuchni, uparłam się, by pomogli mi wyjść z tej przeklętej sypialni. Bałam się, że wszystko może zacząć się od nowa. Opieram się o blat stołu i koncentruję na tym wszystkie moje siły, raczej resztki sił. Jestem jak przekłuty balon, flak, wydmuszka, rozładowana prawie do zera bateria. Dawid widzi, że nie dam rady podnieść szklanki z wodą, więc pomaga mi się napić. Moje gardło to Sahara, tak strasznie chce mi się pić, ale mam problem z przełknięciem choćby łyka. Woda spływa mi po brodzie. W końcu udaje mi się wessać kilka kropel. Edyta coś mówi, ale jej nie rozumiem. Wokół mnie, we mnie wciąż panuje chaos. Nie wiem, ile to trwa, mam wrażenie, że mijają lata, a ja coraz bardziej niedołącznięję i znikam. Chyba straciłam na chwilę przytomność. A może nie? Nie umiem sklecić myśli, wszystko się rwie. Nie mam sił, chce mi się spać. Boję się. Nie mogę znów zasnąć. Nie mogę tam wrócić. O, jest i Marta. A gdzie Edyta? Słyszę jej głos. Co się tu dzieje? Nie mam siły, zostawcie mnie. Nie zostawiajcie mnie. Boję się. TO na mnie czeka. Chce mnie wchłonąć. Tylko co? Co to jest? Dawid? Gdzie jest Dawid? Opieram się o niego? Czuję ciepło, ciepło ciała. I jego zapach... Nie mogę odwrócić głowy. Nie mam sił. Muszę coś powiedzieć. Koncentruję się. Edyta... jej twarz... Patrzy na mnie wyczekująco. O coś pytała? Muszę się dowiedzieć. Koncentruję się na tym, by ich zapytać, co się właściwie dzieje. W mojej głowie rozbrzmiewają słowa, ale słyszę, że z ust wydobywa się jedynie cichy bełkot. Denerwuje mnie to. Co, do cholery, się ze mną dzieje? Dawid mówi prosto do mojego ucha. Bardziej to czuję, niż słyszę. Jego ciepły oddech. Skupiam wszystkie siły, by zidentyfikować słowa: „Dobrze... przyjadą... będę... spokojnie... zaraz...”. Nie rozumiem, dlaczego nie rozumiem?

Ktoś dzwoni, wchodzi ludzie, czerwone ruchome plamy, robi się tłoczno, głośno. Podchodzi do mnie ktoś, o coś pyta, dotyka mnie... Dlaczego mnie dotyka? Czego chce? Otwiera mi szerzej oko i świeci, oślepia mnie, chcę protestować, ale chyba znów odpływam... Czuję szarpanie, ktoś mnie podnosi? Co się dzieje? Próbuję się rozejrzeć, widzę rozmazane, smutne twarze Dawida, Marty i Edyty. Coś mówią, ale wciąż niczego nie mogę zrozumieć. Chce mi się płakać, lecz i na to nie mam siły. A może to kolejny sen? Zapadam się w ciemność. Jeszcze czuję kołysanie, dudnienie, dochodzą mnie czyjeś głosy...

* * *

Słyszę jednostajne pikanie, czysty dźwięk, uspokajający. Rytmiczny. Otwieram oczy. To było łatwe. Jasność wdiera się do mózgu, przymykam więc powieki i próbuję jednocześnie patrzeć. To nie jest mój pokój, mój dom. Od razu orientuję się, że jestem w szpitalu. Ten zapach, kroplówka, odgłosy. Ostrożnie poruszam głową, czekając na opór, ale jest to łatwe. Jestem jak nowa. Mam siły, może niewielkie, ale są. Dawid siedzi obok i zrywa się, widząc, że na niego patrzę. Uśmiecha się.

— Jak się czujesz? — Jego głos jest czysty, mocny, nieco szorstki.

— Dobrze — słyszę siebie. Jestem zachrypnięta, ale nie mam problemu z mówieniem. — Co się stało?

— Źle się poczułaś, mdlałaś i... jesteś już bezpieczna, czekamy na wyniki. Myślę, że po prostu jesteś przemęczona. — Gładzi mnie po głowie.

Gliwice, wrzesień 2019

Żołądek już dawno dał za wygraną i przestał wydawać swoje irytujące odgłosy niezadowolenia z powodu przedłużającej się pustki. Za to ucisk w skroniach narastał. Wojtek wciąż obserwował mieszkanie Karoliny i okolicę z budynku naprzeciwko. Znalazł do tego świetne miejsce. Na ostatnim piętrze klatki schodowej przy oknie była wnęka. Niżej w pionie w tym miejscu znajdowały się zamknięte komórki lokatorskie, lecz tu na szczęście nie było zabudowy, tylko zsuwana i obecnie zabezpieczona drabina prowadząca do wyjścia na dach. Gdy Wojtek słyszał kroki, chował się po prostu głębiej i czekał. Pozostały czas spędzał, stojąc przy oknie tak, by nie było go widać, ale sam doskonale mógł obserwować spory fragment ulicy, wejście do klatki i okna mieszkania.

W niewielkiej odległości wypatrzył zaparkowany za śmietnikami samochód, częściowo przysłonięty przez rachityczne drzewko z poobcinanymi krótko gałęziami. Ktoś tam siedział. Wojtek nie musiał długo czekać, by dowiedzieć się kto. Dwóch mężczyzn, z których jednego rozpoznał, gdy ten wysiadł i przeszedł wzdłuż ulicą, by po półgodzinie wrócić z papierową torbą oznaczoną logo najbliższej taniej restauracji z fast foodem. Potem długo siedzieli, nie ruszali się z miejsca i w zasadzie Wojtek chciał już pójść, bo nic nie wskazywało na to, że poza obserwowaniem i czekaniem najprawdopodobniej na niego nie mają innych zadań, gdy podjechał drugi wóz, ktoś z niego wysiadł i wszedł do tego za śmietnikiem. W końcu mężczyzna opuścił tamtych i poszedł prosto do klatki schodowej naprzeciwko. Wysoki barczysty facet w skórzanej kurtce po niedługiej chwili włączył światło w pokoju Karoliny. Wojtek odruchowo cofnął się, gdy zobaczył go blisko okna. Żałował, że nie ma lornetki. W kuchni również została zapalona lampa. Mężczyzna ewidentnie czegoś szukał, szybko się przemieszczał, jakby znał to mieszkanie, wiedział, co gdzie się znajduje. Przesunął krzesło i na nie wszedł. Coś majstrował przy roście. Wojtkowi żołądek podszedł do gardła. Facet coś wykręcił i schował do kieszeni. „Jeśli to kamera, to wie, że tam byłem” — pomyślał. „Dlatego pilnują mieszkania... Czekają”. Zbiegł schodami na niższe piętro i wszedł do windy. Wyszedł tylnym wyjściem z klatki schodowej i szybko zaczął się oddalać, zastanawiając się, gdzie pójść. Telefon znowu zawibrował, znowu Edyta, nie chce dać mu spokoju, więc pójdzcie do niej, zanim kolejny raz wpadnie im do głowy inteligentny pomysł wizyty w mieszkaniu.

Jedno wiedział na pewno. Szukają go i nie spoczną. Musi uważać i nikomu nie ufać, znaleźć sposób na odzyskanie materiałów i ich ujawnienie. Cały czas są krok z tyłu, skoro ponownie przeszukują mieszkanie. To oznacza, że nie mają wszystkiego. Teraz pytanie, kto znajdzie to pierwszy.

* * *

Nie uprzedził Edyty. Obszedł okolicę, swoim sposobem sprawdził, czy mieszkanie nie jest obserwowane, i choć nie miał pewności, czy jego naprędce wymyślone metody są pewne, musiał zaryzykować.

— Nie wierzę! — Edyta nie kryła podszytego fochem zdziwienia na jego widok.

— Jesteś sama? Słuchaj, to ważne. Pamiętasz plecak Karoli, ten mały, stary, z plecionki?

— Oczywiście. A co?

— Trzymała w nim różne ważne dla niej przedmioty i podejrzewam, że mogła być w nim rzecz, która teraz jest mi cholernie potrzebna. — Miał nadzieję na prostą odpowiedź, ale tak jak przypuszczał, Edyta zapytała:

— Czyli jaka?

— Klucz, mały kluczyk jak do skrzynki na listy. — Wahał się jedynie sekundę, choć wiedział, że uchylenie choćby rąbka tajemnicy spowoduje dalsze pytania. Nie znał osoby bardziej ciekawszej od Edyty, no może Marta mogłaby z nią konkurować.

— Obawiam się, że Dawid wziął ten plecak. Wiesz, bo my z Martą zastanawialiśmy się... — Opowiedziała mu o ich podejrzeniach i szybkiej wyprowadzce Dawida wraz ze wszystkimi jego rzeczami i zdjęciami.

— Jak on wygląda?

— Dawid? Karola nie wysłała ci żadnego zdjęcia?

— Nie, tylko o nim opowiadała, ale niewiele. Potem... Słuchaj, jesteś... byłaś jej najlepszą przyjaciółką, może dała ci coś, powiedziała, nie wiem, coś cię zaniepokoiło?

— Owszem, zaniepokoiło mnie, że nie kontaktowaliście się i nie wiedziałeś o tym... — przerwała i złapała się za głowę. — Nie, to nie w porządku. Nie wiem, co się, do diabła, z tobą działo, ale Karolina też nic nie mówiła. Zresztą... czasem chyba sama nie wiedziała, kim jest, ta choroba ją kompletnie zdominowała.

Po tych słowach Edyty zaległa cisza, której żadne z nich nie miało odwagi przerwać.

— Musimy się z nim skontaktować, jakoś go znaleźć. Posłuchaj mnie uważnie i nikomu nie mów tego, co teraz ode mnie usłyszysz. — Wojtek podjął decyzję, która wcale mu się nie podobała, ale wiedział, że utknął w miejscu i sam nic nie wskóra. — W Kenirovicach odkryłem pewne nieprawidłowości. Zdobyłem kilka dowodów i podzieliłem się tą wiedzą z Karoliną. To było nierozsądne, teraz to dostrzegam, ale wiesz, my przecież zawsze o wszystkim sobie mówiliśmy... nie mieliśmy przed sobą tajemnic. Wysłałem kopię tego, co zdobyłem, Karoli, ale taką trochę okrężną drogą. Miała nikomu nic nie mówić i widzę po twojej minie, że dotrzymała słowa.

— Co to za „nieprawidłowości”? — Edyta zaznaczyła palcami cudzysłów w powietrzu.

Wojtek omijał ją wzrokiem, zastanawiał się, ile może powiedzieć, i zdał sobie sprawę, że przecież Edycie z pewnością nie wystarczą takie ogólniki.

— Wojtek? Nieprawidłowości to na przykład jakieś pomyłki w rachunkach albo zaniżanie norm, może jak ktoś wynosi śrubokręty.

— Tylnymi drzwiami pod osłoną nocy wywożono nowe samochody. — Zrobił pauzę, po czym stwierdził, że musi powiedzieć więcej. — Nafaszerowane narkotykami, ogólnie mówiąc.

— Czyli kradzież plus przemyt — podsumowała po chwili zastanowienia. — I ty to zdemaskowałeś?

— Nie do końca. I nie tylko ja. Problem w tym, że chłopak, który dowiedział się tego przede mną, poszedł na policję, a potem zniknął. Zapadł się pod ziemię, a oni wciąż działają w najlepsze, policja nie robi nic.

— No, a jakie miał dowody? Może nie wzięli go serio?

— Z tego, co wiem, miał zdjęcia, swoje obserwacje, nie wiem dokładnie, co to było, bo mi tego nie pokazał. Wygadał się, potem się bał, a jak już wydawało się, że sprawą zajmą się profesjonaliści, i odzyskał jako tako kontrolę nad swoim życiem, przynajmniej tak to wyglądało, nagle zniknął. Podobno złożył wypowiedzenie, wyjechał gdzieś pilnie i tyle go widziałem. Byliśmy dobrymi kumplami, takie zniknięcie bez słowa jest bardzo dziwne.

— Myślisz, że go złapali i zabili? — zapytała wprost.

— Nie mam pojęcia, ale bardzo prawdopodobne, że został zmuszony do wyjazdu albo... uciszony. Tak, myślę, że wszystko jest możliwe — odpowiedział. — Wiesz, nie jestem w stanie tego rozwikłać, ale udało mi się trochę dowiedzieć o tej grupie. To praktycznie ci sami ludzie. Od czasu do czasu organizują nocny transport. Ostatnim razem udało mi się w miarę wcześniej zorientować, że przygotowali sobie lawetę. Podczepiłem więc do niej nadajnik, miałem też założony podsłuch i kamery wewnątrz hali, w której następuje załadunek. Wiem, kto od nas z nimi współpracuje, to znaczy pomaga im, nie wiem, w jakim stopniu jest zaangażowany, bo w czasie samej operacji go nie było. W każdym razie pokrótce: mam nagrania, powtarzalne, bo za każdym razem podobnie to wygląda. Dość szybka, przygotowana akcja. Z ostatniego razu mam też trasę. Transporter pojechał do Polski, na trochę dłużej zatrzymał się pod Poznaniem, potem objechał Mazowsze, by wrócić na Śląsk, tam znów stał, aż wyruszył na wschód i przekroczył granicę z Rosją. Dalej nie wiem. Albo znaleźli nadajnik, albo coś się zepsuło, ale po tym, co wydarzyło się później, wnioskuję, że raczej to pierwsze. Kosztował kupę forsy i działa jak GPS w telefonie, miał solidną baterię, która spokojnie wytrzymała dziesięć dni ciągłej pracy. Sprawdzałem też, które samochody mogły zostać wywiezione, by dowiedzieć się, dokąd dotarły. To żmudna robota, ale mam ich dane, teraz dzięki nim będzie można je wyszukać, jeśli zostaną sprzedane i zarejestrowane — zakończył zmęczonym głosem.

— Chcesz powiedzieć, że to wszystko jest... było u Karoliny, a ty nic nie masz?

— Dokładnie.

Teraz nadszedł czas na ciąg dalszy. Opowiedział więc Edycie wszystko, co było potem, i choć myślał, że wyrzucenie tego z siebie, rozmowa z kimś zaufanym sprawi, że poczuje się lepiej, wcale tak się nie stało.

To było latem, gdy po długich, gorących dniach niewielkie czeskie miasteczko pustoszało i zapadało w spokojny, cichy sen. W trakcie jednego z takich wieczorów Wojtek obejrzał i przesłuchał nagrania z piątkowego popołudnia oraz sobotniej nocy. To pierwsze było bezużyteczne. Mężczyzna, który został dłużej w pracy, by przygotować samochody do nadplanowego transportu, nie wchodził nawet na teren załadunku. Natomiast pojawił się w oku kamery na drugi dzień, gdy wieczorem wraz z kolegą wprowadził lawetę, którą szybko i sprawnie załadowali nowiutkimi limuzynami. Rozmawiali niewiele, toteż Wojtek niczego wartościowego nie usłyszał. Ich dodatkowa praca musiała być wcześniej wystarczająco obgadana i ustalona. Potem zwyczajnie wyszli, zgasili światła i zaległa cisza. Wojtek przyspieszył odtwarzanie, a po przewinięciu kilku godzin zatrzymał.

Była dwudziesta trzecia trzydzieści osiem. Włączono skąpe światło, tylko dwie z bocznych lamp. Dwóch mężczyzn weszło do środka. Bez słów obeszlili autotransporter, sprawdzili, czy wszystko się zgadza, zniknęli na chwilę za samochodami. Jeden z nich wyszedł i wrócił w towarzystwie pozostałych, wnieśli pudła. Znowu zaszli za lawetę, oko kamery nie mogło wszystkiego objąć, lecz z pewnością wypakowywali i chowali towar w transporcie. Tym razem trwało to dłużej niż poprzednio. Było więcej paczek? Mężczyźni kilka razy wychodzili i wnosili nowe kartony. Wreszcie wymienili kilka słów. Ewidentnie byli bardziej ostrożni i milczący. Można było zauważyć przekazanie gotówki, lecz nikt nie rzucił żadnej sumy. Drzwi podjechały do góry. Załadowana ciężarówka powoli wytoczyła się na zewnątrz. Kierowca już nie wysiadał, miał wszystko, czego potrzebował, więc bez włączania światła odjechał w ciemność. Pozostałe osoby również opuściły teren.

Wojtek postanowił przy najbliższej okazji zlikwidować swoje urządzenia. Nie zostały znalezione, więc nie byli pewni ich istnienia, ale ostrożne zachowanie i brak luźnych dialogów wskazywały, że podejrzewali możliwość podsłuchu. To, na co czekał i z czym wiązał większe nadzieje, wyjechało razem z samochodami. Zajął się więc śledzeniem trasy i zabezpieczał nagranie z GPS-u. Po utracie sygnału skompletował kopie, wziął pół dnia urlopu w piątek i wyruszył w stronę Pragi. Tym razem nie miał zamiaru wjeżdżać do stolicy, wybrał ten kierunek z powodu wygodnej trasy, którą znał i lubił, lecz chciał dotrzeć do placówki pocztowej w mniejszym miasteczku na uboczu. Wszystko szło gładko i bezproblemowo. Zwykła przesyłka, niewzbudzająca żadnych podejrzeń, wkrótce miała wyruszyć do skrytki pocztowej w Polsce. Nie musiał kontaktować się w tej sprawie z Karoliną. Gdy przesyłka dotrze na miejsce, Karolina dostanie powiadomienie SMS-em.

Wracając tą samą trasą do Kenirovic, myślał o Eliście, gdzieś w tych rejonach pewnie mieszka, może już o nim zapomniała? On często przypominał sobie jej głos, spojrzenia, sytuacje i chwile, które spędzili razem, chociaż sama twarz zacierała się w pamięci, jakby posiadała coraz mniej szczegółów, upodabniała się do mnóstwa innych kobiet, obcych, nic dla niego nieznaczących. Jak zwykle odgonił od siebie wspomnienia i skupił się na planie, który zaczynał układać sobie w głowie. Wiedział, że trzeba przedsięwziąć konkretne kroki, przestać ich podglądać i zacząć działać.

Droga powrotna minęła zaskakująco szybko, ale to, co zastał na miejscu, zmroziło mu krew w żyłach. Mieszkanie było wywrócone do góry nogami, jakby przeszedł przez nie huragan. Wśród porzucanych ubrań i domowych dokumentów odnalazł otwarty komputer stacjonarny bez dysku. Sprzęt był zniszczony, a pozostałych nośników, na których przechowywał kopie, nie mógł znaleźć. Wydawało mu się, że ukrył je dość sprytnie, lecz wszystko zostało dokładnie rozprute, rozwalone i zabrane. Uświadomił sobie, że jedyna kopia ostatnich nagrań właśnie leży na małej poczcie na zadupiu, gdzie za cały personel służą dwie starsze panie. Jeśli go śledzili... Zaczęła ogarniać go panika. Co teraz miał zrobić? Jedyna myśl, jaka świtała mu w głowie, to „Natychmiast uciekać”. Wybiegł z mieszkania i pojechał przed siebie. Wiedział jedno — musi przyspieszyć swoje działania, musi ich wyprzedzić. Wiedzą o nim, wiedzą prawdopodobnie wszystko. Nie zdążył zdjąć podsłuchów w pracy, ciągle ktoś się tam kręcił, wciąż nie był sam, co też właściwie było nietypowe, bo na lunch zazwyczaj wszyscy z tego działu wychodzili razem, a popołudniami, gdy zostawał dłużej w warsztacie, też zwykle szli szybciej do

domu niż on. Chwilami czuł się pilnowany, lecz zdrowy rozsądek podpowiadał, że to niemożliwe. Po co mieliby go pilnować? Gdyby wiedzieli, bez zbędnych wstępów by się za niego wzięli. Nie miał zamiaru popadać w paranoję i bać się własnego cienia. Teraz wiedział, że nie docenił wroga.

Jechał szybko, zbyt szybko, i co chwila zerkał w tylne lusterko, gdyż każdy pojazd wydawał mu się podejrzany. W końcu znalazł się poza terenem zabudowanym. Było już ciemno i pusto. Od dobrej godziny nikt nie jechał za nim dłużej niż chwilę, więc spróbował się nieco rozluźnić, zebrać myśli oraz ustalić, co teraz najlepiej byłoby zrobić. Minał bokiem Ołomuniec, do granicy w Cieszynie miał jeszcze około półtorej godziny. Nagle z ciemności z przodu wyłonił się samochód, jechał bardzo powoli, więc Wojtek instynktownie zaczął zwalniać, zwłaszcza że auto sunęło dokładnie środkiem niezbyt szerokiej drogi, więc wyprzedzenie go byłoby trudne. Zwolnił jeszcze bardziej i zorientował się, że tamten również zwalnia, a w zasadzie staje. Skupiony na tym, nie zauważył, że za nim pojawił się inny samochód. Znajdował się więc między nimi dwoma i zrozumiał, że jest w potrzasku. Próbował jeszcze wyprzedzić osobówkę z przodu, lecz zajeżdżała mu drogę i w końcu stanęła w poprzek. Wyminięcie jej równało się wjechaniu do jednego z rowów biegnących wzdłuż drogi po obu stronach. Gdy wszyscy się zatrzymali, z obu samochodów wyskoczyli ludzie. Był gotowy na walkę, choć wiedział, że szanse ma zerowe. Nie doszło jednak do tego — otworzył drzwi i nim zdążył wykonać jakikolwiek ruch czy odezwać się, został powalony taserem i stracił przytomność.

Gdy się ocknął, wokół niego panowała ciemność, leżał na boku ze skrępowanymi rękami i nogami oraz zaklejonymi taśmą ustami w ciasnym pomieszczeniu. Był zeszywniały z zimna. Po chwili dotarło do niego, że znajduje się w bagażniku jadącego samochodu. Nagle auto zatrzymało się, bagażnik otworzono i został wywleczony na zewnątrz.

— Widzę, że się obudziliśmy. To dobrze — usłyszał polski język. — Weźcie go szybko.

Dwóch dryblasów zaciągnęło go przez podjazd do parterowego domku. Wokół panowała cisza i ciemność, więc sztuczne światło wewnątrz natychmiast go oślepiło. Został rzucony na podłogę. Mężczyźni stanęli nad nim, a gdy próbował odwrócić się, by na nich spojrzeć, jeden z nich kopnął go w brzuch, nakazując nie wiercić się i leżeć twarzą do podłogi. Najwyraźniej czekali na kogoś, ponieważ sytuacja się przedłużała, i gdy tylko Wojtek poruszył się, otrzymał ostrzegawczego kopniaka. Usłyszeli odgłos podjeżdżającego samochodu i warkot silnika, który zaraz zgasł, następnie ciężkie kroki na żwirowej ścieżce. Powiew chłodnego powietrza omiótł podłogę, gdy otwarto drzwi.

— Tak, to ten. — Niski głos należał do nowo przybyłego.

Wojtek nie potrafił go zidentyfikować, ale z pewnością skądś go znał.

— Słyszałem, frajerze, że się coś za bardzo interesujesz nie swoimi sprawami — kontynuował spokojnie, niemal przyjaźnie, by za chwilę ryknąć Wojtkowi prosto do ucha: — Wpychasz swój nos w cudze biznesy! To kurewsko nierozsądne, wiesz?

Szarpnął Wojtka niespodziewanie i odwrócił twarzą ku sobie. To był jeden z dwóch, którzy dostarczali SUV-ami towar do transportów.

— Były już takie kozaki jak ty i zawsze marnie kończyli. Takie mendy, co się wpierdalają i wężą nie wiadomo po co, lądują w piachu! — krzyczał. — Zanim zdechniesz, opowiesz mi tu ładnie o sobie, co lubisz, czym się interesujesz... He, he, żartowałem, śmieciu! Opowiesz mi, z kim, kurwa, się dzielisz swoimi jebanymi spostrzeżeniami, komu kabłujesz, gdzie masz rodzinę i kogo chciałbyś powiadomić o swoim chujowym położeniu!

Ostatnie słowa wyrzeszczał Wojtkowi w twarz, plując mu niemiłosiernie po oczach. Rozkręcał się i Wojtek już wiedział, że choć znalazł się w ciężkim położeniu, to jeszcze nie koniec dla niego.

Postawny mężczyzna z wielkimi bicepsami i łapami jak łopaty złapał go za ubranie i posadził jak szmaccianą lalkę na podsuniętym przez drugiego krześle. Zerwał mu plaster z ust.

— No, ja się już nagadałem, teraz twoja kolej.

Wojtek nic nie mówił, więc facet znów zaczął się nakręcać.

— Nie wiem, czy wiesz, śmieciu, może cię, kurwa, źle wychowali, ale rozmowa dwóch osób polega na tym, że raz mówi jedna, a raz druga. Więc, kurwa, bądź łaskaw zacząć gadać i odpowiedz mi najpierw na jedno proste, kurwa, pytanie: z kim rozmawiałeś o tym, co tam sobie wyszpiegowałeś?!

— Z nikim.

— O, i to jest, kurwa, zła odpowiedź! Gdzie biegales, gdy moi koledzy zlozyli ci wizyte? Dluugo cie nie bylo, wiec sie sami rozgościli, he, he, he, pewnie zauwazyles. Wszystko, kurwa, znalezi, szpiegu pierdolony. Wszystko. Jeszcze sie upewnimy, czy czegoś tam w majtach nie chowasz. Prędezej czy pózniej cie odjebie, w twoim interesie jest, zeby bylo szybcituko i jak pod narkozą, he, he.

Męczyzna wyprostował się, obszedł Wojtka dookoła jak drapieznik swojā ofiarę, po czym wymierzyl mocny cios pięciā w twarz. To był dopiero pierwszy z wielu, jakie tej nocy przyjął Wojtek. Był gotów opowiedziec, jak zdobywał informacje, czego sie dowiedzial, ale nie tego oczekiwali. Nie wiedzieli jednak, ze nie ma takich tortur, które zmusilyby go do zdradzenia Karoliny. Wolalyby umrzeć.

To była dluga noc. Wiedzieli, ze rozmawiał o transportach z Pavlem i strózem, wiec nie zaprzeczył, uznal, ze dla tamtych to juz i tak bez znaczenia. Bandzior chełpil sie nawet, ze śmierć Jana nie była przypadkowa. Nad ranem Wojtek zaczął tracic przytomność, był cały we krwi, wszystko go bolalo i doszedł do wniosku, ze zabijā go tutaj, w jakiejś chacie na ubocz, i nikt nigdy sie o tym nie dowie. Było mu juz jednak wszystko jedno i trzymal sie tylko cały czas myśli, ze tak, jest sam, nikomu nic nie mówil, nikt nic nie wie. Skupiał sie na tym, by zapomniec o Karolinie, by wmówic sobie, ze swymi odkryciami z nikim sie nie podzielim. Oczywiście nie wierzyli mu i wciąż, w kółko zadawali te same pytania i ciosy. W końcu dali mu spokój. Wyszli. Odpływał, nie wiedzial, ile czasu minęło, gdy wrócili, zanieśli go do samochodu i znowu wrzucili do bagażnika jak worek ziemniaków. Odzyskiwał i tracic przytomność co jakiś czas, wydawalo mu sie, ze jadā od wielu godzin. Potwornie chialo mu sie pic, ciało drętwialo, a gdy wracalo czucie, odzywał sie potworny ból. Był pewien, ze lada chwila wyzionie ducha.

Kolejny raz ocknął sie w nowym miejscu. Ciemnym, zimnym i wilgotnym. Był sam. Nie wiedzial, czy cieszyć sie z tego, czy nie. Nikt go juz nie bil, lecz od nikogo też nie mógł oczekiwac pomocy. Najważniejsze jednak, ze żył. Wcześniej był niemal pewien, ze wiozā go gdzieś w głąb gęstego lasu, by zabiec i zakopac. Panika zwiāzana z tą myślā powoli ustępowala, bo i na niā nie miał juz sił. Tymczasem znowu mijały minuty, może godziny, dni, tygodnie? Potwornie chialo mu sie pic. Ciało pulsowało z bólu, a umysł zaczął płacac mu figle i chwilami snuł myśli o tym, ze leży tu od tygodni i jest tak dobrze schowany, ze nawet śmierć nie może go znalezc, wiec piekło dosięgło go za życia. Wspomnienia, lęki, uczucia, wszystko mieszało sie, zlewało i mózg wyrzucal do świadomości przedziwne treści, którym chwilami wierzył, których był pewien. Myślał nawet, ze pani Maria nie zmarła, ze jest z nimi i sie mści, a może mści sie z zaświatów? Może Eliška też jest z nimi w zмовie i chce go zniszczyć, bo nie wszystko jej powiedzial? Może Pavel też był w to zamieszany? Teorie były przerywane wewnętrznymi atakami paniki, utratā przytomności i czasem sensownymi myślami. Sen mieszał sie z jawā, a myśli z koszmarami. Jednocześnie było mu zimno i gorāco.

Po upływie, wydawalo mu sie, wieków w końcu ktoś wszedł do środka. Wojtek nie był w stanie rozpoznać, czy to któryś z tamtych, czy może ktoś nowy. Przybysz zapalił słabā żarówkę i piwnicę zalalo mętne światło.

— O ja pierdolę, co za smród.

To był chyba jednak nowy głos. Jego właściciel chwilę stal, jakby sie wahał, po czym podszedł bliżej i rozciął plastikowe zaciski na rękach i stopach Wojtka.

— Masz tu ręcznik i coś do żarcia. Umyj sie, boś sie zaszczal, ja pierdolę, tam jest woda. Tylko bez numerów.

Drzwi zamknęły sie cicho, zamki trochę głośniej. Wojtek usiadł, głowa bolala bardziej niż po największym balowaniu w jego dotychczasowym życiu. Rozejrzal sie. Pomieszczenie było całkiem spore, niemal zupełnie puste, nie licząc wciśniętej w róg malej połamanej umywalki i rurki z kurkiem sterczącej wprost ze ściany oraz wiadra. Była ukryta za fragmentem ścianki dzielącej pomieszczenie na dwie części. Na podłodze przy drzwiach leżało kartonowe pudełko i stary ręcznik. Nie był w stanie wstać. Przeczolgal sie w kierunku wskazanym przez mężczyznę i zamarł na krótkā chwilę, jakby nie mógł uwierzyć w absurdalność własnej sytuacji. Umarłby z pragnienia, podczas gdy zaledwie kilka metrów obok była woda. Szybko sięgnął do kurka. Płyn cienkim strumykiem wylecial, spływajac po szczątkowej umywalce do wiadra niżej. Szybko zagarnął trochę do ust, by ugasic wewnętrzny ogień. Smakował okropnie, metalicznie i lał sie wszędzie wokół, ale i tak był wybawieniem. Po dłuższej chwili

Wojtek zakręcił kurek. Mokra bluza kleiła się do piersi, a zimny dreszcz przypominał, że wcale nie jest ciepło. Po chwili odpoczynku poczuł się nieco lepiej, na czworakach podszedł do pudełka i odkrył niemal z radością, że jest w nim bułka, baton i kartonik mleka. Rzucił się na to, lecz ostatkiem woli powstrzymał się przed błyskawicznym pochłonięciem wszystkiego. Wiedział, że pewnie zaraz by to zwrócił. Odkrył ponadto, że zęby z lewej strony niepokojąco się kiwają, co utrudni jedzenie. Trochę to trwało, w końcu jednak coś zjadł i czuł, jak woda i energia zaczynają powoli krążyć w jego ciele, zmuszać komórki do regeneracji i produkować odrobiny sił. Dobrze, że nie zjadł wszystkiego naraz, bo potem długo nikt nie przychodził. Odkrył, że przy jednej ze ścian jest rura ciepłownicza, która rzeczywiście wydziela ciepło, siedział więc przy niej prawie cały czas. Nie miał zegarka, a w piwnicy nie było okna, nie wiedział więc, czy mijają tylko godziny, czy może dni. Zasnął kilka razy. Nawet udało mu się załatwić do wiadra. Zimno dawało się we znaki. Czekał. Po pewnym czasie głód znów przywołał koszmary, a wtedy ktoś wszedł i wymienił karton. Szkoda, że wiadro było już pełne wody i ekskrementów.

„Po co mnie tu trzymają?” — zastanawiał się. W końcu zaczął przyglądać się drzwiom i zamkom. Nie, nie było możliwości, by je sforsować. Musiał się jednak wydostać, czuł, że czas się kurczy i lepiej już nie będzie, jeśli nic nie zrobi. Wylał zawartość wiadra na podłogę, stanął przy drzwiach i czekał. Wiedział, że osoba, która przynosi pudła z jedzeniem, jest pewna jego słabości, chociaż bacznie go obserwuje, gdy za każdym razem leży po prostu na podłodze. Bez sił. Bez jakiegokolwiek chęci do walki. Tym razem się zdziwi.

Gdy usłyszał kroki i chrobot kluczy w zamkach, zebrał wszystkie swoje siły, wstał i podniósł wiadro. Drzwi się uchyliły. Bez chwili wahania, z całych sił uderzył człowieka w głowę. Gdy ten upadł zaskoczony, uderzył ponownie i znowu. Zabrał klucze, które wypadły tamtemu z ręki. Szybko wyskoczył i zamknął drzwi od zewnątrz. Po tym wysiłku oczekiwał kryzysu sił, lecz adrenalina zadziałała, wdzierając się z impetem do każdej komórki ciała, choć wciąż kręciło mu się w głowie. Wiedział, że czasu ma niewiele. Wybiegł po schodkach na górę i znalazł się w garażu. Nie było całkiem ciemno, zobaczył drzwi i teraz już wolniej, by nie narobić hałasu, podszedł do wyjścia. Gdy wydostał się na ulicę, zobaczył, że jest ciemno — wieczór lub noc, kropi deszcz i nikogo nie ma w pobliżu. Na zewnątrz było dużo cieplej niż w piwnicy. Nie miał pojęcia, gdzie się znajduje. Idąc uliczką, przy której w dość dużych odległościach stały okazałe jednorodzinne domy z rozległymi ogródkami, rozglądał się za tabliczką z nazwą ulicy. Doszedł do rozwidlenia dróg i odkrył, że nazwa ulicy na znaku jest polska. Skręcił i szedł dalej, najszybciej jak mógł, biec nie był w stanie mimo wciąż niewyczerpanej energii. Nieważne dokąd, byle jak najdalej stąd. Jeśli on się zgubi, oni również go zgubią. Pomimo słabej kondycji czuł euforię i nadzieję, z cieniem niedowierzania, że jednak uda mu się uratować skórę. Nie myślał, co dalej, na to potrzebował jeszcze trochę czasu. Nadal nie wiedział, gdzie jest. Co to za miejscowość? Pora musiała być późna, bo nigdzie nie widział ludzi. Przed nim zaczęło majaczyć osiedle niższych oraz wyższych bloków. Przeszedł przez ulicę i skierował się w jego stronę. Na takim osiedlu może znajdować się sklep całonocny albo apteka całodobowa. Pewnie wezmą go za wariata i przegonią, ale może uda mu się dowiedzieć, w jakim mieście się, do cholery, znalazł. Usłyszawszy narastający odgłos uderzających o chodnik stóp, skoczył za żywopłot, by przebiec na drugą stronę między blokami, lecz było za późno. Trzech osiłek rzuciło się na niego i upadł na ziemię pod ich naporem, jakby był z papieru. Spadły na niego ciosy. Najbardziej bolały uderzenia we wcześniej obite miejsca, a było ich sporo. Próbował walczyć, strącić z siebie grad pięści, lecz wiedział, że przegrał, po dłuższej chwili czekał już tylko na utratę przytomności, co było w tym momencie największym jego pragnieniem. Był pewien, że nagła oślepiająca jasność jest tym, na co czekał. Atak ustał tak samo gwałtownie, jak się zaczął. Nie utracił jednak zmysłów. Nadal czuł i był świadomy. Znieruchomiał, czekając na *blackout*, i nie rozumiał, co się dzieje, póki nie usłyszał pytania: „Czy wszystko w porządku?”.

Cieszyn, wrzesień 2019

Ale co mi daje ta wiedza? — Irytacja w głosie Lidii była wyraźnie wyczuwalna. — Fajnie, że Jeremi znalazł informację, że na dowód Matiego został zarejestrowany numer prepaid, tylko co z tego? — zapytała. — Oznacza to, że Wiktor jest fajny, bo nie obciąży go kosztami? No super! W końcu i tak

mi wisi kilka stów. Daj spokój, ta wiadomość nic mi nie daje.

— Jak to nic? — Olga również była wzburzona, lecz jej punkt widzenia był inny. — Wiesz, że użył dowodu! Czyli że Mateusz kłamie!

— Nie wiem, nie jestem tego taka pewna. Znasz się na tym? Może skopiował tylko dane, spreparował fałszywy dowód, a ten oryginalny jakoś podrzucił albo zwyczajnie użył i oddał? — zastanawiała się. — Przecież w takiej kwestii Mati by mnie nie okłamał. Wyraźnie powiedział, że ma swoje dokumenty i jest okej. A tak w ogóle po co miałby kłamać?

— No nie wiem, nie wiem... — Olga się zamyśliła. — A gdzie ten telefon zarejestrował?

— W salonie w Katowicach, ale to wszystko, co wiem. Nic więcej Jeremi nie wysłedził. Nie znajdę go w ten sposób...

— No tak, to szukanie igły w stogu siana, ale nie zwolniłaś Jeremiego? Szuka dalej? — Olga wydawała się bardziej zdesperowana niż Lidia.

— Tak. Jak coś będę wiedziała, dam ci znać.

Jednego Lidia nie powiedziała koleżance. Jeremi odkrył przy okazji, że jej bratem interesuje się policja, a konkretnie wydział narkotykowy. W pierwszej chwili uznała, wręcz była pewna, że to pomyłka, Jeremi musiał coś pokręcić. Może Mati nie uregulował jakichś mandatów, zapomniał o alimentach, w końcu żyje tak szybko, że czasem sam gubi się w tym swoim świecie, ale narkotyki? Owszem, istniały w jego życiu, ale na pewno nie był dilerem ani nie miewał przy sobie tyle, by wzbudzać podejrzenia. Niemożliwe. Nie dawało jej to jednak spokoju. Właściwie co wie o życiu własnego brata? Czasem wpada do niej przenocować, wiecznie jeździ po kraju, Europie, nigdy nie rozmawiają o niczym ważnym, zawsze tylko żarty, luźna gadka i jego pajacowanie.

Wiedziała, że tej nocy nie zaśnie szybko. Chciała zadzwonić do Mateusza, lecz zrezygnowała. Co mu powie? Zacznie go wypytywać? Obracała telefon w dłoni. Niewiele myśląc, wybrała numer Wiktora. Miała tego nie robić, owszem, lecz jakie to ma w tej sytuacji znaczenie? Pewnie i tak nie odbierze. Wykorzystał ją i ruszył w swoją stronę, może nawet nie pamięta już, kto uratował mu tyłek.

— Lidio? — Podskoczyła, nie spodziewając się jego głosu. Myśli rozsypały się i nie mogła wydobyć głosu. — Halo?

— Wiktor? Ja... chciałam zapytać... yyy... czy wszystko w porządku? — Zacisnęła mocno powieki, jej słowa zabrzmiały nie mniej głupio niż pamiętnej nocy, gdy go znalazła pod swoim domem. Choć cisza trwała tylko chwilę, ciążyła obojgu.

— Lidio, czy coś się stało? Ktoś pytał o mnie? Coś ci grozi?

Niepokój w jego głosie sprawił, że poczuła się winna. Szybko odegnęła bezpodstawne wrażenie i choć czuła, że to nie w porządku i wbrew niej, postanowiła to wykorzystać.

— Użyłeś danych Mateusza, teraz może... ma pewne... problemy i...

— Powiedziałaś mu. Rozumiem, że mnie krył. Posłuchaj. Wyrzucę kartę, ten numer jest spalony. Proszę cię, niech Mateusz zgłosi zniszczenie dokumentu i wyrobi sobie nowy. Nie użyję go już. To w ogóle był głupi pomysł. Niebawem prześlę ci pieniądze przekazem pocztowym na twój adres. Daj mi jeszcze trochę czasu, proszę.

— Nic nie rozumiem. Nie powiedziałam niczego Matiemu, to on mnie poinformował, że odzyskał dowód. Oddałeś mu go w końcu czy nie? — Nie mogła zrozumieć, dlaczego brat miałby powiedzieć nieprawdę.

— Nie. Nie wiem, czemu tak ci powiedział. Może nie chce, byś się martwiła...

— Dlaczego nie naprostowałeś tego, gdy ostatnio rozmawialiśmy? — przerwała mu wyraźnie poirytowana. — Spotkałeś się z nim? Znacie się? Dlaczego, do cholery, mam wrażenie, że wszyscy mnie okłamują?!

— Lidio, nie znam twojego brata, przysięgam, że pierwszy raz widziałem go u ciebie. Nie wiem, dlaczego tak powiedział. Ja... ja nie wiedziałem, jak zareagować, pomyślałem, że — nie wiem — może zyskam na czasie. Też byłem zaskoczony tą wiadomością, ale wierz mi, jestem uwikłany w taką sytuację, że nawet się ucieszyłem... — powiedział ściszym głosem.

— Spotkajmy się — wypaliła, nie zastanawiając się wiele.

— Co? To niemożliwe. Jestem...

— Gdzie? Gdzie jesteś?

— Posłuchaj. Jak powiedziałem, nie użyję danych Mateusza i zlikwiduję ten numer telefonu. Jak będzie po wszystkim, skontaktuję się z tobą i wszystko ci opowiem. Do tego czasu... zapomnij o mnie i z nikim nie rozmawiaj, proszę, to mogłoby mi bardzo zaszkodzić. Proszę.

— Nie, zaczekaj! — krzyknęła, lecz było już za późno. Połączenie zostało przerwane.

Nie wiedziała, co o tym wszystkim myśleć, nie rozumiała już nic. Zastygła z komórką przy uchu. Wiktor nie oddał Matiemu dowodu, ten twierdził inaczej, ale jeśli istotnie kryłby jakimś cudem Wiktora, ten by wiedział lub ona by wiedziała, przecież Mateusz nie miał w tym żadnego interesu, nie znał Wiktora ani trochę lepiej niż ona. Odosiła paranoidalne wrażenie, że wszyscy wokół niej kłamią. W końcu postanowiła jeszcze raz zadzwonić do Wiktora i powiedzieć mu, że wynajęła Jeremiego. Wystraszyła się po tym, co usłyszała na końcu rozmowy. Nie udało się. Wiktor wyłączył telefon, zapewne wyjął kartę i już jej nie użyje, jak zapowiedział. Co teraz? Przerwać wszelkie poszukiwania, kazać Jeremiemu to zostawić czy wręcz przeciwnie? Jednocześnie była zła na siebie, że wygadała wszystko Oldze i zatrudniła detektywa, na Mateusza, że ją okłamał i najwyraźniej sam się w coś wpakował, a także na Wiktora, bo namieszał w jej spokojnym życiu, zasiał niepokój, niepewność i niczego nie chce jej wyjaśnić. Zawahała się między spełnieniem prośby Wiktora a tym, co podpowiadała jej intuicja. Podjęła decyzję. Zadzwoniła do Jeremiego i ponagliła go, by podwoił wysiłki i wysledził numer Wiktora za wszelką cenę, bo wkrótce może to być już niemożliwe. Musi go znaleźć.

Tak jak myślała — nie potrafiła zaznać spokoju. Od razu po rozmowie z Wiktorem, a potem z Jeremim chciała zadzwonić do brata i zażądać wyjaśnień. Powstrzymała się jednak, wiedząc, że w ten sposób nie tylko nie uzyska żadnej odpowiedzi, lecz także straci szansę na jakąkolwiek szczerość z jego strony. Poczucie się zagrożony, zaatakowany i nie będzie jej już ufał. Zwłaszcza jeśli rzeczywiście ma coś większego do ukrycia. Może niewiele wiedziała o jego poczynaniach, ale charakter swojego brata doskonale znała. Postanowiła przemyśleć to i przygotować się do rozmowy. Trudno, jeśli trzeba będzie, perfidnie go podejdzie, uspi jego czujność, wzmocni zaufanie i wyciągnie z niego wszystko.

Cały czas o tym myślała, roztrząsała w głowie słowa Wiktora, próbując wyczytać z nich coś więcej, zastanawiała się nad tym, co powinna zrobić w sprawie Matiego, jak to rozegrać. Nawet gdy była pochłonięta pracą, rozmową z kimś, w tyle głowy cały czas myśl gonila myśl.

Gliwice, wrzesień 2019

Gruba warstwa smogu otuliła miasto niczym wszechobecny płaszcz, który wygląda tak, jakby miał już na zawsze pozostać bez ruchu i wpływu czasu. Przenikliwy chłód nieruchomego szarego powietrza gryzł w oczy i drapał w gardle. Wczesny niedzielny poranek był jak zatrzymany kadr, zamrożony w bezruchu świat z baśni pełnej grozy, w którym nic się nie wydarzy, nic nie zmieni, i nie ma takiej siły, która mogłaby mieć na to wpływ.

Edyta stała na balkonie owinięta długim pikowanym płaszczem i paliła papierosa. Jego dym był jedyną oznaką życia w tym martwym, uduszonym świecie. Czy palenie miało sens? Wystarczyło głębiej odetchnąć, by dostarczyć sobie tyle substancji, które dadzą zajęcie uwięzionym w klatce piersiowej płucem. Zdusiła niedopałek w popielniczce. Miała ochotę zmyć suchość i nieprzyjemny smak wodą, lecz zawieszenie rzeczywistości między pyłami a mgłą wpływało i na nią. Stała więc wciąż, jak zahipnotyzowana wpatrywała się w gęstą przestrzeń i czekała na jakikolwiek sygnał do przebudzenia — nowy dźwięk, obecność przechodnia, myśl. Nic się nie zmieniało, a ona tkwiła zamyślona i niewrażliwa na wdzierające się każdą szparą zimno. Miasto wciąż spało. Błady, nieśmiały i leniwy świt bardzo powoli wypierał mrok, nie naruszając mlecznoszarawobeżowej zasłony. Żaden ptak nie miał śmiałości zakłócić tego stanu, żaden pojazd nie odważył się przejechać ulicą. Świat wyglądał tak, jakby umarł i pogodził się z tym zupełnie.

Edyta w końcu wycofała się do środka, zamknęła szklane drzwi i dopiero wtedy poczuła, jak zimno musiało być na zewnątrz. Zachowując ciągłość sennego nastroju ciszy, stąpała niemal na palcach. Ostatnio rzadko gościła kogoś w swoim domu. Jeśli nie były to jak dawniej koleżanki, które po wieczorno-nocnej nasiadówce zostawały na noc, to tymczasowy kochanek. Tym razem gościła kogoś

zupełnie innego, kogo nie mogła przypisać do żadnej z tych dwóch kategorii. Wojtek — choć myślała o nim jak o przyjacielu, a jednocześnie gdzieś tam skrycie może i chciałyby myśleć jak o kochanku — spał głęboko niczym miasto, wszystko oraz wszyscy wokół. Edyta usiadła bezszelestnie w swoim wielkim, miękkim fotelu obitym grubym welurem. Czekwała. Wiedziała, że nie wygra z bezsennością, lecz może ją zaakceptować, ujarzmić i przyjąć bez nerwów i wyrzutów. Zbyt często walczyła i zbyt często przegrywała. Nauczyła się więc ulegać, choć wielu ludzi uznałoby, że to zupełnie do niej niepodobne. Wyczytała gdzieś, że bestię lepiej oswoić, niż walczyć z nią i za każdym razem ponosić klęskę.

Świdrujący dzwonek wyrwał ją ze snu i nie wiadomo, czy bardziej zszokował ją ten odgłos, czy to, że jednak zasnęła. Dzień był już w pełni sił, choć nadal osnuty nieruchomą mgłą i coraz bardziej duszny. Telefon wciąż dzwonił. Zerwała się z fotela i niemal zderzyła z Wojtkiem, który w tym momencie wyszedł z pokoju.

— Nie, dziękuję! — krzyknęła po chwili do aparatu, który odłożyła nieco zbyt energicznie na stół. Na szczęście miał gumową, grubą osłonę na takie ewentualności. — Nie pytaj. Kawy? — rzuciła zrezygnowana.

— Chętnie. — Poszedł za nią do kuchni, przez dłuższą chwilę obserwował, jak krząta się przy ekspresie, aż wreszcie podjął temat: — Edzia, słuchaj, musimy znaleźć Dawida, nie chcę wyciągać żadnych pochopnych wniosków, lecz myślę, że on może coś wiedzieć, może być jakoś zamieszany, sam nie wiem. Trzeba go znaleźć, skontaktować się z nim, tak żeby nie nabrał podejrzeń.

— A jeśli jest jednym z tych kolesi, którzy cię wtedy przetrzymywali, albo należy do tej grupy? Bo logicznie rzecz biorąc, nie mógł być jednocześnie w Cieszynie i tu z Karolą. Chociaż... w zasadzie cały czas z nią nie siedział i nie mam zielonego pojęcia, kiedy był tutaj, a kiedy „pracował”.

— Dlatego nie może wiedzieć, że go szukam. Jeśli jest w to zamieszany, wierz mi, ty też nie będziesz bezpieczna. Nie wiem, co i ile wie o mnie i o tym całym bałaganie. Mogę zakładać, że Karola zgodnie z umową nic mu nie powiedziała, lecz jeśli rzeczywiście była tak bardzo zakochana, nie jestem pewien, czy powinienem — niepewnie skończył zdanie. To było trochę nie fair wobec zmarłej przyjaciółki, nigdy nie złamała danego słowa, nigdy go nie zdradziła, więc dopuszczanie takiej możliwości, nawet jeśli zrobiłaby to nieświadomie, wywoływało nieprzyjemne uczucie, jakby robił czy myślał coś niewłaściwego.

— Więc znajdziemy go bez twojego ujawniania się. — Wzruszyła ramionami, jakby to było oczywiste, po czym zmarszczyła brwi. — O ile w ogóle to się uda. Nie mam pojęcia, gdzie gnojka szukać. Niczego nie zostawił, nie mówił, gdzie mieszka, tylko tyle, że w Warszawie. I nie mogę sobie przypomnieć, jak nazywała się ta jego firma... a na pewno wiedziałam. Muszę zapytać Martę.

— Na razie może nie, wolałbym jej w to nie wciągać, póki się da. Znasz imię i nazwisko, od tego trzeba zacząć.

— O ile jest prawdziwe, w co w tych okolicznościach wątpię. Szukałam w necie, na portalach społecznościowych. Niczego nie znalazłam.

— Niektórzy dbają o prywatność aż do przesady. Spróbuj sobie przypomnieć, gdzie pracuje.

— Myślisz, że nie próbowałam? Czekaj... coś z nieruchomościami. Agencja, tak, z pewnością. Nazwa złożona z nazwisk. — Z całych sił próbowała przywołać z pamięci cokolwiek. — Cholera, masa agencji ma nazwiska w nazwie!

— To już coś. Możemy poszukać. Gdzie masz laptop?

Okazało się, że warszawskich agencji znaleźli mnóstwo i wiele z nich spełniało kryteria podane przez Edytę, lecz przy każdej potrzasała przecząco głową i niecierpliwiła się coraz bardziej. Podawała w wątpliwość, czy owa firma w ogóle istnieje, skoro nie potrafią jej znaleźć, a Dawid mógł zwyczajnie kłamać. Był taki przekonujący, czarujący i wzbudzający zaufanie, że do głowy nikomu nie przyszło, by cokolwiek sprawdzać.

— To bez sensu... Czekaj! Przewiń kawalek, jeszcze... O! Nieruchomości Parker & Matela. To jest to! — Podskoczyła z radości.

— Całkiem spora firma. — Wojtek po chwili przeglądał ich skromną, ale w każdym calu profesjonalną stronę. — Jest i kontakt.

— Dzwonimy? — rzuciła pytanie, które było retoryczne, bo zamiast czekać na decyzję, sięgnęła po telefon i szybko wpisała numer. Nie musiała długo czekać na połączenie. Miła pani konsultantka zdawała się gotowa do udzielenia wszelkich informacji, jakie zadowolą klienta. Edyta zaimprovizowała i poinformowała, że jest przedstawicielką klienta, który zlecił jej pilny kontakt z panem Dawidem Nosińskim. Najlepiej osobisty.

— Przykro mi, ale nie jestem upoważniona do przekazywania takich informacji — odpowiedziała konsultantka przeproszającym tonem.

— Ale to bardzo ważna sprawa! Pan Nosiński zajmuje się, hm... interesami mojego pracodawcy i...

— Poproszę o nazwisko, przepraszam, nie dosłyszałam, jak się pani przedstawiała. Z pewnością się skontaktujemy.

— Nie, nie. Widzi pani, nie mamy czasu. Pan Nosiński...

— Jeśli pan Nosiński współpracował z państwem — weszła Edycie w słowo — z pewnością się skontaktujemy i poinformujemy, kto będzie nowym agentem. Proszę o...

— Jak to? Dlaczego?

— Nie jestem upoważniona do przekazywania informacji, zwłaszcza gdy nie wiem, z kim mam przyjemność.

Edyta przerwała połączenie.

— Cholera, a tak dobrze mi szło. Nic mała nie chciała powiedzieć. Ale skoro mielibyśmy dostać nowego agenta, to może go zwolnili? Albo wyjechał gdzieś? Ukrył się! To dowodzi, że musi być w coś zamieszany.

— Tym bardziej trzeba go znaleźć. — Wojtek przygryzł dolną wargę, która już się zagoiła. — Myślę, że wiem, kto może nam w tym pomóc. Kiedy odbierasz samochód?

— O matko, dzisiaj! — krzyknęła. — Jest sobota, muszę zdążyć przed trzynastą! Zbieraj się. — Złapała za telefon, by zadzwonić po taksówkę.

Czterdzieści minut później siedzieli w aucie Edyty i zmierzali do Katowic. Bogdan był jedyną osobą, która przychodziła Wojtkowi na myśl. Nie wiedział, czy będzie umiał kogoś znaleźć równie sprawnie, jak podrabia wszelkie dokumenty, ale ma mnóstwo znajomych i przy odrobinie szczęścia może znajdzie się wśród nich ktoś odpowiedni do takiego zadania.

* * *

Bogdan nie był wyluzowany jak zwykle, towarzyska kumpla wzbudzała w nim podejrzliwość. Wpuścił ich do swojego mieszkania, w którym nie było oczywiście śladu jego działalności.

— To Edyta, moja i Karoliny długoletnia przyjaciółka. Całkowicie zaufana.

— Bogdan, cześć. No spoko, a co was do mnie sprowadza? — Jak zawsze od razu przechodził do rzeczy.

— Potrzebujemy kogoś znaleźć. Jednego faceta, który...

— Stary, ja się takimi rzeczami nie zajmuję — przerwał mu.

— Wiem, ale na pewno mógłbyś pomóc, nie? Muszę go znaleźć, to jest niezwykle ważne, on...

— Stop, stary, nie chcę wiedzieć — ponownie przerwał i zamyślił się, przesuwając powoli spojrzenie z kolegi na dziewczynę i z powrotem. — Podaj mi swój numer, zadzwoni do ciebie ktoś, kto może da radę pomóc, ale podkreślam: może. Niczego nie obiecuję.

Edyta nie dała po sobie poznać zaskoczenia, gdy usłyszała, jak Wojtek dyktuje koledze numer jej komórki.

— To była szybka akcja — skomentowała, gdy wyszli. — Teraz kupimy ci jakiś telefon.

— Mam telefon.

— Tak, na jakiegoś barana z Cieszyna, w dodatku go wyłączyłeś i w razie potrzeby nie ma z tobą kontaktu. Poza tym... co to w ogóle jest? Jakiś stary złom, który nawet doby nie trzyma. — Byli już w Gliwicach, lecz Edyta nie skręciła w ulicę prowadzącą w kierunku jej domu, lecz do centrum handlowego.

Wojtek wyjął telefon z kieszeni i go uruchomił. Wykasował z pamięci numery Lidii i Edyty,

tylko tyle tam miał. Oba zdążył zapamiętać. Wysunął kartę SIM. Czas pozbyć się i tego, i dowodu Mateusza.

Edyta postawiła go w sytuacji, w jakiej nigdy nie spodziewał się znaleźć. Oto kupowała mu nową komórkę za ponad tysiąc złotych i rejestrowała na siebie abonament w salonie. Nawet nie za bardzo interesowało ją jego zdanie na ten temat. Potem tonem nieznoszącym sprzeciwu zarządziła, że muszą uzupełnić jego garderobę, i zaprowadziła jak małe dziecko do sklepu z odzieżą. Nie była to może najwyższa półka, lecz niezbędny według niej komplet i tak kosztował sporo. Wojtek uświadomił sobie swoją sytuację materialną, o której ostatnio w zasadzie nie myślał. Nie miał nic. Kasy, żadnych rzeczy, domu, pracy. Nie mógł wrócić do Kenirovic. Nie wiedział, czy kiedykolwiek odzyska coś z tego, co tam miał. Co się teraz dzieje z jego mieszkaniem? Co wiedzą o nim w pracy? Czy ktoś odpowiednio wszystko załatwił i wyczyścił jak po Pavle? Czy to możliwe, by nikt się tym nie zainteresował, skoro zniknął jak on? A może wymyślili coś zupełnie innego... Teraz przyjaciółka jego jedynej, najbliższej i jednocześnie nieżyjącej osoby kupowała mu wszystko, a on bez grosza, bez niczego swojego czuł się z tym fatalnie.

— Wiesz, nie powinienem być nigdy wyjeżdżać do tych Czech, a jeśli nawet, nie powinienem się w tę sprawę mieszać. Trzeba było patrzeć na siebie i nie wpychać nosa w nie swoje sprawy — powiedział z goryczą w głosie, gdy wracali do domu Edyty.

— Potrafiłbyś tak? Być obojętny i dbać tylko o siebie? — Nie musiał odpowiadać, to były pytania retoryczne.

— Dlatego trzeba było siedzieć na dupie w kraju.

— A co za różnica? Myślisz, że tu wszyscy uczciwi, nikt nic nie kradnie, nie przemyca? — zapytała. — Daj spokój. Odzyskamy jakoś to wszystko. Nawet jeśli Dawid zabrał twoje materiały, dobierzemy mu się do dupy i doprowadzisz to do końca. Jeśli Karolina... — Ugryzła się w język. Była zdesperowana, lecz nie chciała głośno mówić tego, co przychodziło jej na myśl. Jeśli choroba Karoliny nie była do końca naturalna i Dawid za tym stoi, jeśli jest powiązany z tamtymi ludźmi i zrobił to, by zabrać wszystko, co ich obciążało, to Wojtek będzie siebie obwiniał za ten cały łańcuch wydarzeń. Lepiej później niż teraz, gdy nie mają pewności. Choć wszystko wskazywało na to, że to najbardziej prawdopodobny scenariusz, wołała nie wypowiadać jeszcze na głos wniosków.

Ciężka cisza, jaka zaległa między nimi, wskazywała, że on myśli o tym samym.

Cieszyn, Sebastian

Ojciec od zawsze był skończonym skurwysynem. Nawet gdy się zestarzał, popadł w chorobę i zniedołężniał, skurwysynem pozostał. Od zawsze pił, bił matkę i synów, potem zaczął chorować, przestał chlać i zadbał o to, by nie dosięgła go sprawiedliwość. Wodził wszystkich za nos, manipulował i koniec końców ustawił wszystko tak, jak chciał. Sebastian nienawidził go szczerze od dziecka, lecz tatuś go utrzymywał, kupował wszystko, obiecywał więcej za odpowiednie zachowanie i nawet czasem dotrzymywał słowa. Wśród domowników wytworzył się swoisty syndrom sztokholmski — nienawidzili go, a jednocześnie kochali, chcieli od niego być jak najdalej, ale trwali zawsze blisko. Jednym słowem byli uzależnieni. Materialnie i mentalnie. Gdy przestał upijać się codziennie po pracy, zaniechał bicia, matka nabrała nadziei na lepszy czas, jednak trzeźwy jeszcze bardziej patrzył wszystkim na ręce, chorobliwie kontrolował i do wszystkiego się wtrącał, żądając, by żyli pod jego dyktando. Sebastian był przekonany, że to jego tyrania była bezpośrednią przyczyną śmierci matki, jej zawałów, które zamiast przestraszyć go i złagodzić, wywołały jeszcze większą, choć innego rodzaju agresję. Znęcał się nad nią psychicznie, poniżał i krytykował wszystko, co robiła, jakby jej płacz sprawiał mu sadystyczną przyjemność.

Sebastian i Alan byli późnymi dziećmi. Gdy chodzili do przedszkola, ich mama była czasem brana za babcię. Cicha i wiecznie wystraszona nie miała nawet śmiałości tego prostować. Gdy zmarła, obaj byli dziećmi, lecz Sebastian poprzysiął sobie zemstę na ojcu. Nie podejrzewał jednak, że ten jest dużo sprytniejszy od niego, a z braku żony chętnie i w podobny sposób zajmie się synami. Pewnego dnia, gdy starszy syn skończył osiemnaście lat, ojciec pokazał mu prezent — akt notarialny, w którym

wszystko, co posiada, po jego śmierci stanie się własnością synów: dom z ogrodem będzie należał do Sebastiana, a wynajmowane wówczas mieszkanie w centrum otrzyma Alan, o ile będzie już pełnoletni. Zgromadzone na kontach pieniądze miały zostać podzielone sprawiedliwie. Naturalnie Seba został poinformowany, że ów testament zostanie natychmiast zmieniony, jeśli ojciec nie będzie zadowolony ze swoich dzieci. Zadaniem starszego syna było więc dbanie o jego przyszły dom, generalny remont według wskazówek taty i odpowiednie zarobki. Ojca nie interesowało, gdzie i jak syn będzie pracował, miał przynosić odpowiednią ilość pieniędzy do domu i część oddawać ojcu, który nawet na emeryturze wciąż myślał jak bankier.

Sebastian wielokrotnie zastanawiał się, jak mógł na to przystać. Dlaczego po prostu nie wyjechał i nie zaczął żyć na własny rachunek? Czy miał w sobie zbyt wiele z charakteru matki, że pozwolił ojcu zorganizować sobie życie? Wciąż wierzył, że się zemści — będzie przy nim, będzie inwestował w dom, w jego konto, a gdy ojca osłabi starość, wszystko mu zabierze i umieści w najgorszym możliwym domu opieki. Ojciec z czasem zaczął tracić pamięć, gubił się w mieście, w którym spędził całe życie, coś robił i nie kończył, w dodatku stał się jeszcze bardziej opryskliwy i nieznośny. Nie było łatwo namówić go na wizytę lekarską, lecz koniec końców postawiono diagnozę: choroba Alzheimer'a w pierwszej fazie. Jednego dnia ojciec był sobą, spostrzegawczym tyranem z manią kontroli, a drugiego zagubionym staruszkiem, który nie wie, że zmarła mu żona, i czeka na nią, by dostać śniadanie, przy czym czasem zachowywał się bezradnie jak dziecko, a czasem agresywnie jak wtedy, gdy tyle pił. Sebastian z początku nawet się ucieszył. Dobrze mu tak. Teraz to on będzie uzależniony od dobrej woli swych dzieci. Z upływem miesięcy i lat okazało się jednak, że i na synach odbija się choroba ojca. W dodatku pewnego dnia, gdy Seba wrócił z klubu zadowolony, bo sprzedał cały towar praktycznie przed czasem, ojciec powitał go małpimi podskokami radości, oznajmiając mu, że był u notariusza i zmienił testament. Jego kolega — lekarz potwierdził uprzednio pełną zdolność do podejmowania decyzji, wypisując zaświadczenie o remisji choroby. Dom, mieszkanie i zawartość kont oszczędnościowych miał otrzymać zakon bonifratrów. Dlaczego? Bo tak.

Choroba postępowała coraz bardziej, ale Sebastian wciąż miał nadzieję, że ojciec się opamięta. Mimo dziur w pamięci i innych zaburzeń zdarzały się chwile, gdy siedzieli razem na przykład przy kolacji i syn słyszał słowa, których zawsze był głodny: pochwały pod swoim adresem, przeprosiny za twarde wychowanie, planowanie zmiany ostatniej woli. W inne dni jednak wyzywał i lżył synów, chciał wygonić ich z domu, niszczył przedmioty, którymi rzucał na oślep i we własne dzieci.

Sebastian wiedział, że ma pewne cechy znienawidzonego rodziciela, widział je w sobie, gdy pomiatał bratem, gdy krzywdził obcych ludzi czy oszukiwał. Przydawały się jednak we współpracy ze światkiem przestępczym, dzięki któremu zarabiał więcej niż w jakiegokolwiek dostępnej mu uczciwej pracy w mieście. Mógłby uwolnić się od ojca i jego majątku, postawił sobie jednak za punkt honoru odebrać wszystko, co mu się należy, dlatego wciąż inwestował w dom, który stał się luksusową willą, i znosił ojca pod dachem.

* * *

Rudi polubił dom Seby. Spory teren zwany ogrodem idealnie nadawał się na wieczorne spotkania i robienie interesów. Kto interesowałby się domem starego bankiera i jego zarośniętym ogrodem? Za wysokimi drzewami i gęstym, okazałym żywopłotem, zabezpieczonym dodatkowo ogrodzeniem, krył się niewielki, lecz perfekcyjnie utrzymany basen, duży teren zawsze idealnie przystrzyżonej trawy oraz patio okolone pachnącymi tujami, które nie tylko pachną latem, ale też osłaniają i tłumią dźwięki. Jedynie elewacja domu widoczna z ulicy wyglądała zwyczajnie i typowo jak mnóstwo innych podobnych domów.

Rudi zawsze zapowiadał swój przyjazd, tu nic nie działo się przypadkiem. Wówczas ojciec dostawał odpowiednią dawkę leków nasennych, rozpuszczonych w soku lub herbacie. Nie miał pojęcia, co dzieje się tuż pod jego nosem, tymczasem to właśnie w jego domostwie pieniądze zmieniały się w narkotyki lub narkotyki w pieniądze. Czasem w garażu parkował samochód, który dopiero czekał na legalne papiery, przechowywane były dzieła sztuki niekoniecznie uczciwie kupione, a piwnica była przygotowana do ewentualnego przetrzymania kogoś, kto zagrażał interesom.

Sąsiedzi wiedzieli, że stary Jerzy zdziwaczał, ale opiekuje się nim starszy syn, przemiły chłopak, który dba też o swojego młodszego brata. Zdolny, dobrze zarabiający młodzieniec ma ładne auto i jest bardzo troskliwy. Rudi podczas pierwszej wizyty u Bareckich, gdy jeszcze ogród był zarośniętym podwórkiem bez basenu, pochwalił Sebastiana za ów wizerunek i przepowiadał mu świetlaną przyszłość, która czeka tuż za rogiem. Rudi wzbudzał respekt, potrafił manipulować strachem podwładnych tak, by byli mu wdzięczni za rzekomą wspaniałomyślność. Nie szczędził pochwał, gdy ktoś wart był docenienia. Kreował się na prawą rękę Mecenasa, a może istotnie nią był. Sebastian wiedział, że to dzięki Rudiemu nie poniósł srogich konsekwencji za ucieczkę Redyńskiego. Miał wciąż szansę, chociaż Rudi zacisnął pętlę wymagań, jak niegdyś zrobił to Jerzy matce Seby i Alana. Sebastian chciał udowodnić, że jest sporo wart pomimo tamtej wpadki. Nie pomyślał nawet, że rozpaczliwie chcąc uwolnić się od wpływu ojca, ulegał nowym, dużo bardziej bezwzględny manipulatorom.

Gliwice, marzec 2019, Karolina

Dobrze być znów w domu. Moje samopoczucie jest znacznie lepsze i zastanawiam się, czy to możliwe, by tak się załatwić niedostatecznym nawodnieniem organizmu. Badania niczego konkretnego nie wykazały. Jestem przemęczona, mam minimalne niedobory żelaza i magnezu, dopatrzili się też prawdopodobnych początków nadciśnienia. Ciekawe. Dostałam dwa tygodnie wolnego, całą masę zaleceń oraz nakaz wypoczynku i niemartwienia się. Super. Dawid skacze wokół mnie, jakbym była ciężko chora, ciągle coś jem, piję hektolitry wody i wyciskanych na bieżący przez niego soków. Dziewczyny bez przerwy wydzwanają i pytają, jak się czuję. Agata przyniosła mi rosół, Marta poradnik gwarantujący zdrowie oraz życie pełne energii, lecz najbardziej zaskoczyła mnie wizyta Soni. Na pewno Anna ją nasłała. Sonia pracuje w biurze od niedawna i świetnie się składa, bo dzięki niej mogę spokojnie chorować, a Anna nie została sama z interesem.

Ciężko było z zatrudnieniem drugiego pracownika po odejściu Ewy. Annie wciąż coś nie pasowało: „zbyt flegmatyczny”, „niewyrazista”, „zbyt pewna siebie”, „chyba nie wie, czego chce”, „nie ma żadnego doświadczenia”, „za cicho mówi”, „za dużo rechocze”, „co taki nerwowy?”. Miałam wrażenie, że na rozmowie kwalifikacyjnej było pół miasta. Obawiałam się, że Anna nikogo nie zatrudni i wiecznie będę przeładowana obowiązkami. Tymczasem biuro prosperowało coraz lepiej, miałyśmy coraz więcej klientów i brak drugiej osoby dawał się we znaki. Bywało, że klienci rezygnowali, by nie stać w kolejce, a ja nie mogłam popędzać tych, którzy siedzieli przy moim biurku. Robiło się naprawdę nerwowo. Wreszcie przyszła Sonia. Gdy ją zobaczyłam, od razu uznałam, że szkoda na nią czasu. Skromna, drobniutka, szczupła dziewczyna o wielkich wystraszonych oczach, bez charyzmy, a do tego bardzo nieśmiała. Coś jednak ujęło w niej Annę, a może po prostu miała lepszy dzień i dała jej szansę. Sonia została przyjęta na okres próbny i naprawdę bardzo się stara. Jest miła, sympatyczna i troskliwa. Być może wzbudza w Annie wyparte uczucia macierzyńskie, bo wzięła ją pod swe skrzydła niczym matka kwoka. A może po prostu ma nosa? Dziewczyna w miarę szybko się uczy i jest dokładna, skrupulatna, umie słuchać klienta i dopasować ofertę. Daje sobie radę. Na szczęście. Zaskoczyła mnie, zjawiając się. W zasadzie nigdy nie rozmawialiśmy o prywatnym życiu, nie zaprzyjaźniłyśmy się. Może to dlatego, że jej pojawienie się w firmie niemal zbiegło się z moim poznanie Dawida i nie zwracałam uwagi na nikogo innego...

Dawid, który naturalnie wziął urlop, by mi dogadzać, akurat poszedł na zakupy. Sonia przyniosła kremówki od Anny i moją ulubioną białą herbatę. Nie mogę uwierzyć, że zapamiętała, jak mówiłam niedawno, że muszę podjechać do herbaciarni, bo skończyła mi się nie tylko w biurze, ale także w domu. Czuję się lepiej i myślę, że najgorsze mam już za sobą. Pytanie tylko, co to była za cholera. Wciążam w nozdrza delikatny aromat świeżej herbaty, za którą tęskniłam, i przeglądam newsy w internecie. Powinnam zadzwonić do Wojtka, powiedzieć mu o wszystkim, ale teraz, gdy jest znacznie lepiej, zastanawiam się, czy jest sens go niepokoić. „Hej, wiesz, byłam w szpitalu, ale już jest okej, nic się nie martw”. Przeglądam folder z jego materiałami, nie otwieram nagrań i plików. Powinnam osobno to zahasłować. Nie dlatego, że nie ufam Dawidowi, tylko obiecałam Wojtkowi, że to będzie u mnie bezpieczne. Robię kopię. Muszę wyciągnąć z szafy drabinkę i wdrapać się na nią, by zdjąć z górnej półki

pod samym sufitem mój wiekowy plecak. Lekko kręci mi się w głowie. Za dużo siedzę w domu, za bardzo daję się rozpieszczać, to mi wcale nie służy, choć jest takie przyjemne. Wkładam pendrive do mojego plecaka. Korci mnie, by wyjąć zawartość, powspominać... ale na to zawsze będzie czas. Nie chcę ryzykować ponownego wchodzenia pod sufit, więc składam drabinkę i ją chowam. Plecak włożę po prostu do szuflady komody w starym pokoju Marty. Idę się położyć, bo uczucie bujania jak na statku nie przechodzi. Dziwne, byłam na tej drabince może kilkanaście sekund — czuję się dobrze, tak przynajmniej mi się wydawało, więc skąd te zawroty. Idąc do sypialni, uderzam się boleśnie w biodro o kant komody, bo nie wyrabiam na zakręcie. Po chwili słyszę klucz w zamku. Dawid. Jak to dobrze, że zdążyłam się położyć. Dopijam herbatę i poprawiam na wszelki wypadek wodą, którą zostawił mi przy łóżku. Muszę więcej pić.

* * *

Siedzę na sofie i czytam. A w każdym razie chciałabym, ale nie potrafię się skupić. Wzrok przesuwa się po literach, słowach, zdaniach, a sens jest jak za grubą wyciszającą szybą. Co chwila wracam kilka akapitów i nadal nie rozumiem tekstu. Nie zmieniam pozycji, podnoszę tylko wzrok i przyglądam mu się. Odkąd pojawił się w moim życiu, wszystko się zmienia. Ja się zmieniam. Jesteśmy ze sobą krótko, a mimo to mieszka u mnie, śpimy razem, zachowujemy się tak, jakbyśmy znali się od dawna. To dziwne, nigdy z nikim nie miałam takiej relacji, tak bezpośredniej, szczerzej, prostej i zwyczajnej. Jestem szczęśliwa, lecz i to wydaje mi się podejrzane. Jak to możliwe, że tak po prostu jestem z kimś szczęśliwa? Ja? Siedzę rozczochrana, byle jaka na sofie, słaba i mizerna, a on tak zwyczajnie mnie kocha i się mną opiekuje. Taki facet. Przystojny, wykształcony, mądry, człowiek sukcesu. Niczego ode mnie nie oczekuje, niczego nie wymaga, skacze wokół mnie, przygotowuje mi posiłki, nawet gdy wraca z pracy późnym popołudniem, od drzwi pyta, jak się czuję, czy jestem głodna i czy mam ochotę na to lub tamto. Potem myje ręce i znika w kuchni, by przygotować kolację. Dogadza mi, wspiera, mimo że jesteśmy tak „świeżą” parą. Poznaliśmy się, gdy Sonia rozpoczynała pracę w biurze, a przecież ona nie skończyła jeszcze swojego okresu próbnego. Nawet Wojtek jeszcze o nim niewiele wie. Inna rzecz, że wieczorami, gdy mogłabym zadzwonić i pogadać, Dawid jest w domu i byłoby głupio tak o nim... Ech, spadł mi jak gwiazdka z nieba. Muszę wziąć się w garść, inaczej znudzi mu się taka cherlawa księżniczka. Chyba wyczuł, że o nim myślę, bo popatrzył na zegar i zamknął laptop. Za każdym razem go chowa do swojej walizeczki. Urzeka mnie ten pedantyzm. Wstaje i podchodzi do szafki. Czyżby czas na moje leki? Na pewno nie brałabym ich z taką punktualnością, gdyby nie on. Wyciska na rękę kapsułki z blistra i wysypuje jedną maleńką z pojemniczka. Podchodzi do mnie z uśmiechem i podaje mi ten zestaw razem ze szklanką wody, która stała na stolyczku. Od niego z przyjemnością mogłabym wziąć i truciznę. Ta myśl wydaje mi się irracjonalna, a zarazem zabawna. Widzę uśmiech na jego twarzy, więc pewnie i mój się uzewnętrzniał.

— Proszę, kochanie, popij. Dziś wyglądasz znacznie lepiej. — Troska w jego głosie i oczach rozbraja mnie. — Masz na coś ochotę?

— Mmmm... nie, no może napiłabym się filiżanki herbaty, ale sama zrobię. — Wstaję odrobinę za szybko, nieoczekiwanie świat wiruje wokół mnie i muszę usiąść, by nie upaść.

— Kochanie?

— Nie, nic. Za szybko wstałam. Muszę zrobić restart. — Mój kiepski żart nie zmazuje z jego twarzy wyrazu niepokoju.

— Siedź, zaparzę.

* * *

Jestem jak kula u nogi. Może to te leki? Zawsze byłam zdrowa, nigdy nie chorowałam na nic poważniejszego i nie brałam lekarstw. Nawet nie stosuję żadnych suplementów ani witamin w tabletkach. Anna nie może tego zrozumieć, łyka codziennie pół apteki, bo, jak twierdzi, trzeba wspierać organizm i działać profilaktycznie. Też nie jest chorowita, lecz przekonana, że zawdzięcza to właśnie tym wszystkim specyfikom. Muszę poczytać ulotki. Wstaję, a zapomniana książka zsuwa się na podłogę. Cholera, zamknęła się i teraz nie będę wiedziała, gdzie czytałam. Co za różnica, skoro i tak nie

wiem, o czym jest. Muszę zacząć od początku. Odkładam ją na stolik i stwierdzam z satysfakcją, że po zawrotach głowy nie ma śladu. Poszłabym na spacer.

— Proszę, tylko zaczekaj, aż przestygnie. — Dawid mija mnie z filiżanką w jednej i swoim wielkim kubkiem w drugiej dłoni. — Pooglądamy coś razem? Od wczoraj jest już dostępny ten kryminał, o którym mówiłaś. — Stawia naczynia na stoliku i odwraca się do mnie. Obejmuje mnie, muska ustami i zagląda w oczy. Jest zniewalający. Tak, mam ochotę obejrzyć z nim film.

Znowu to samo co z książką — nie nadążam za akcją. Niby oglądam, wszystko śledzę, a tu nagle jakiś przeskok i nic nie rozumiem. Czegoś chciałam? Coś mnie męczy, jakaś myśl mi uciekła... Usiłuję się skoncentrować. Dawid zerka na mnie. Czuje moje napięcie? Odwzajemniam uśmiech i patrzę na ekran. Co to jest za film? Ten aktor kojarzy mi się z serialem... hm... to z pewnością nowy sezon. Tytuły zawsze mi wypadają z głowy, zaraz sobie przypomnę. Dawno nie widziałam się z dziewczynami, trzeba by wyskoczyć w miasto. Ach, właśnie, miałam kupić... Co to było?

— Dawid, muszę skoczyć do sklepu.

— Teraz? — Wygląda na zdziwionego. — Może po filmie? Co potrzebujesz?

— Tak, tak, może być po. Muszę zdążyć do herbaciarni. — Wzrok wędruje jakby sam ku mojej filiżance. Nagle przypominam sobie Sonię... Kurczę, jak to możliwe, że zapomniałam o przyniesionej przez nią paczce i moim chorobowym? — Chociaż wiesz, nawet nie... W zasadzie to nie muszę iść. Oglądajmy. Albo zatrzymaj, pójdę do toalety. — Muszę ochłonać, przemyć twarz. Co się ze mną dzieje? Zerkam na pasek, gdy Dawid zatrzymuje film. Ma prawie dwie godziny, czyli to nie odcinek serialu. Dawid patrzy na mnie z niepokojem. Znowu.

Siadam na sedesie i zauważam ze zdziwieniem, że sikam chyba przez dobry kwadrans, a nawet nie bardzo mi się chciało. Myję ręce, twarz. Na pewno coś jest nie tak z tymi lekami. Może dawka za duża? Czuję się dziwnie, inaczej, nigdy tak się nie czułam. Zaraz to sprawdzę na kartce z zaleceniami i w ulotkach. Co ja właściwie biorę? Mam sucho w ustach, więc najpierw podchodzę do stolika, by dopić resztkę chłodnej herbaty. Dawid krząta się w kuchni, film jest zatrzymany. Odnoszę filiżankę i nalewam sobie szklankę wody. Jest zimna, daje ukojenie, lecz nalewam drugą, bo nadal chce mi się pić. Dawid znowu zerka na mnie tym swoim zatroskanym wzrokiem. Niepotrzebnie, czuję się świetnie.

— Hej, a może poszlibyśmy na spacer? — Wpadam na pomysł i uświadamiam sobie, że na chwilę o nim zapomniałam. Tak, przecież mam na to ochotę.

— Teraz? Jest dość późno i pada.

— No tak... rzeczywiście. — Dopiero teraz widzę czerń za oknem i krople wody na szybie od zewnątrz. Dziwne. Gdzieś uciekł mi dzień.

— To co, dokończymy film? — Mija mnie z miseczką pokrojonej w słupki marchewki.

Nie wiem, o co mu chodzi, lecz idę za nim do salonu. A, no tak. Serial.

* * *

Budzi mnie szczekanie psa. To Senator. Zawsze tak głośno się cieszy, gdy jego pan wraca do domu. Wstaję i sprawdzam godzinę na telefonie. Czternasta? Jak to możliwe? Szybko myślę... wracam do rzeczywistości. No tak, zamieniam się w zombie. Głowa pulsuje mi bólem. Nauczona doświadczeniem powoli siadam i czekam na efekty specjalne. Nic się nie dzieje, więc spuszczam nogi z łóżka. Wstaję i stoję. Prócz rąbanki w czaszce — nic. Można iść.

Dawida nie ma. Jest kartka na stole w kuchni.

Najdroższa.

Jeśli nie zauważyłaś notki przy łóżku, to przeczytaj.

Musiałem skoczyć do klienta, ale niedługo wrócę. W lodówce masz kanapki.

Na szafce są twoje leki. Weź je po jedzeniu.

Kocham Cię! D.

Rzeczywiście. Są i kanapki, i leki, i nawet pełna szklanka wody obok. Nie mam ochoty ani jeść, ani się nimi faszerować. Czuję niepokój, silną potrzebę zrobienia czegoś. Dziwne uczucie — jakbym miała na coś wielką ochotę, a jednocześnie nie, i nie wiem na co, i odrzuca mnie od wszystkiego.

Dlaczego Dawidowi tak zależy? Nikt nigdy tak mi nie nadszakiwał, nie pilnował mnie, nie

przygotowywał tabletek. Biorę pigułki do ręki i odkładam z powrotem. Muszę się dowiedzieć, co biorę. Jeszcze nigdy nie straciłam kontroli nad moim życiem tak bardzo jak teraz. W pokoju na półce powinny być opakowania. Nie ma. Szukam gorączkowo między książkami, w szufladzie, może spadły na podłogę? Biegnę do kuchni. Nigdzie ich nie ma. Schował? Po co? Nie chce, bym wiedziała, co zażywam? Do cholery, co ja łykam?! Muszę zadzwonić do Edyty, pomoże mi. Gdzie mój telefon? Był tu. Chyba wpadam w lekką panikę. Nigdy nie miałam problemu ze znajdowaniem rzeczy, zawsze wiem, co i gdzie odkładam. Gdzie, do cholery, jest ta komórka?! Dźwięk domofonu mnie paraliżuje. Dawid. Szybko. Otwieram lodówkę i wywalam do kosza te cholerne kanapki, na szczęście były w nim i inne śmieci, więc ręką je mieszam. Chyba są tam jakieś pudełka, może po lekach? Nie ma czasu na sprawdzanie. Dorzucam tabletki. Wodę ze szklanki wylewam. Myję ręce, które lepią się od brudu. Spokojnie... wyrównaj oddech. Oplukuję szklankę i nalewam lodowatą wodę z kranu. Wypijam duszkiem. Jestem gotowa.

* * *

Zaskoczył mnie. Wręczył mi kwiaty, powiedział, że wyglądam pięknie, i zaproponował, byśmy zaprosili Martę i Edytę do domu, bo dawno ich nie widziałam, a on zdaje sobie sprawę z tego, że musi mi ich brakować. Miło. Nawet dobrze. Pod jakimś pretekstem gdzieś go wyślę, a jeśli się nie uda, coś wymyślę, by być z Edytą choć na chwilę na osobności, i wszystko jej powiem.

Wciąż nie wiem, co się ze mną dzieje, ale podejrzewam, że Dawid mnie czymś szpikuje. Może zamienił mi leki? Nie wiem po co, jaki to ma cel, ale to się z pewnością dzieje. Jestem rozedrgana od wewnątrz, dziwnie pobudzona, choć wciąż się zdarza, że myśli rwą mi się jak pajęczki nici. Nie biorę żadnych pigułek od kilku dni, wyrzucam je, wypluwam. On nadal troskliwie je przygotowuje i gdzieś chowa opakowania. Staram się jeść to co on, a gdy wychodzi, nie jem niczego, co mi przyszykował. Może wpadam w paranoję, ale truciznę mógł dorzucić wszędzie. Piję tylko wodę z kranu, jem to, co odpakuję ze świeżo otwartego przeze mnie opakowania. Problem w tym, że on czasem zostaje na cały dzień w domu albo szybko wraca. Jutro przyjdą Edyta z Martą. Muszę to wykorzystać. Za kilka dni kończy mi się L4 i powinnam wrócić do pracy, lecz Dawid namawia mnie, bym poprosiła lekarza na wizycie kontrolnej o przedłużenie zwolnienia. Chce mnie odizolować? Dlaczego? Po co to wszystko robi?

* * *

Doszłam do wniosku, że nic nie powiem dziewczynom. Przyglądałam się sobie dziś w lustrze i niestety muszę stwierdzić, że nie wyglądam dobrze. Nie czuję się sobą. Obawiam się ich reakcji, zaprzeczenia. Przecież Dawid to ideał. A ja zapewne świruję. Nie, jeszcze nie. Muszę się upewnić.

Podczas wizyty Edyty i Marty Dawid nie odstępował mnie na krok. Nawet gdybym chciała, nie miałam szans nic powiedzieć. Czy zauważyły, że nie jest tak, jak być powinno? Że mnie pilnuje? Próbowalam. Chciałam, by wyskoczył do sklepu po coś do kawy, ale okazało się, że już wcześniej o to zadbał i mamy w lodówce jabłecznik i jakieś inne ciasto, nie pamiętam już jakie. Bardzo szybko uwinął się z pokrojeniem go i przyniesieniem do pokoju, gdzie siedziałyśmy. Dziewczyny też zdawały się nie zauważać jego ciągłej obecności i mojego milczenia, które miało być wymowne, miało dać im do myślenia, tymczasem chyba uznały to za objaw choroby. Z jednej strony wiem, że muszę walczyć, wyrwać się, szukać pomocy, z drugiej nie mam sił ani pomysłu, jak to zrobić.

Wieczorem dzwoniła Anna. Martwi się, naturalnie ma tysiąc rad i niezawodnych sposobów powrotu do zdrowia. Ponoć stara się o szybki termin u swojej terapeutki, która jest rozchwytywana i grafik ma wypełniony do końca roku, lecz może uda się mnie wcisnąć, jako osobę w wyjątkowo pilnej potrzebie. Jutro chce mnie odwiedzić, ale nie wie, czy da radę, więc może wyśle Sonię. Przyniesie mi wzmacniające leki homeopatyczne, oczywiście sprawdzone, najlepsze i niezawodne oraz specjalną wodę mineralną ze źródła, którego nazwy nie jestem w stanie zapamiętać. Energia Anny pulsowała w moim telefonie, lecz niestety nie udzieliła mi się, wręcz przeciwnie, po rozmowie z nią mam ochotę się położyć, jestem wykończona.

* * *

Dawid wyszedł. Pojechał do biura w Katowicach, ale — jak mówił — wróci szybko, jak najszybciej i mam się nie martwić. Muszę wykorzystać ten czas. Zadzwoń do Edyty. Opowiem jej o wszystkim. Albo do Wojtka. On wciąż nic nie wie. Przedwczoraj rozmawialiśmy, lecz Dawid był w domu. Niby czytał, ale wiem, że słuchał. Dlaczego to mieszkanie jest tak cholernie małe? Dlaczego zgodziłam się, by się tu zatrzymał? Mam potwornie mieszane uczucia. Gdy widzę jego troskę, czuję spójrzenia i gesty, poświęcenie... mam ochotę spoliczkować się za te wszystkie podejrzenia. Muszą być przecież wytworem mojej wyobraźni. Nie mają żadnego sensu. Jednak czuję, że coś jest nie tak, że tracę kontrolę nad moim życiem, jestem coraz bardziej osaczona, zamieniam się w więźnia i nie umiem się z tego wyrwać, co więcej, nikt, zupełnie nikt tego nie widzi. Wczoraj po południu zasnąłam po lekach, które, jak radzi Dawid, popiłam dużą ilością herbaty. Nie piję już z filiżanki, lecz z dużego kubka. Mam dość wody, a kawa nie jest zalecana. Wstałam na siusiu. Dawid jakby nigdy nic siedział w kuchni z moim laptopem. Po cichu poszłam do łazienki. Po co mu mój komputer? Czego w nim szukał? Nie spuściłam wody, nie umyłam rąk, starałam się zachowywać jak najciszej, by mnie nie zauważył. Nie wiem, co miał na ekranie, lecz nie chciałam ryzykować, więc szybko i bezszelestnie wróciłam do łóżka. Długo nie spałam. Głowa pulsowała mi z bólu.

* * *

Dźwięk nadchodzącego SMS-a wyrywa mnie z zamyślenia. To tylko alert o tym, że będzie wiało. Tak! Muszę zadzwonić do Edyty! Albo pójść do Agaty! Ten pomysł wydaje się lepszy. Biedna Agata, teraz pewnie nikogo nie ma do pomocy. Nagle robi mi się wstyd. Cholera, zostawiłam ją na lodzie. Tym bardziej muszę do niej iść, wytłumaczyć wszystko, powiedzieć jej o Dawidzie. Ona zrozumie. Poza tym pracuje w sądzie, na policji, może będzie wiedziała, do kogo mam to zgłosić. Zrywam się i znów za szybko. Zapomniałam. Pokój wiruje. Siadam. Zamykam oczy. Muszę chwilę odczekać. Zaraz pójść, jak tylko odzyskam kontrolę. Oddycham miarowo, nie za głęboko, nie za szybko, spokojnie...

— Cześć, kochanie. Już jestem i kupiłem sushi. — Radosny głos Dawida wyrywa mnie z dziwnego stanu zawieszenia. — Wybacz, że tak długo, ale trochę się przeciągnęło spotkanie, to nie jest łatwy klient, ciągle coś wymyśla. No i z sushi też mi zeszło, bo wpadłem na ten pomysł, gdy byłem już w mieście. Gdybym wcześniej zamówił... A jak ty się czujesz? — Wchodzi do pokoju i patrzy na mnie, siada obok, obejmuje czule.

Okropnie bolą mnie plecy i zdrętwiała mi noga. Jak to możliwe, że już wrócił? Miałam... miałam iść do Agaty. Dopiero wczesne popołudnie. Sięgam po telefon, który leży na łóżku obok. Dwudziesta trzydzieści sześć. Gdzie podziało się te sześć, siedem godzin? Nie mogę się pozbierać... jest mi za ciepło, za duszno... Dawid zrywa się i otwiera szeroko okno. Biegnie do kuchni i wraca z chłodną wodą. Pyta o coś, ale nie umiem się skupić na tym, co mówi.

Cieszyn, wrzesień 2019

Szczerze powiedziawszy, nie mam pojęcia. Coraz rzadziej rozmawiamy. Dawno nie odwiedzał dzieciaków i już nawet przestały pytać, kiedy przyjedzie. Były u niego w lipcu, ale w zasadzie więcej przebywały z Matyldą niż z nim. Dobrze, że mają z nią taki fajny kontakt, bo z tatusia żadnego pożytku... Przepraszam cię, że tak mówię, to twój brat, ale nie chcę cię okłamywać i chwalić go, gdy naprawdę nie ma za co. — Julia, była żona Mateusza zwykle mówiła niewiele, więc musiała mieć w sobie wiele gorczy, skoro Lidii trudno było wejść jej w słowo.

— Hm... Wiesz, trochę się o niego niepokoję... Może zauważyłaś coś ty albo dzieci, nie wiem, coś nietypowego?

— Nie, raczej nie. Rozmawiałaś z Matyldą?

— Tak, ona wciąż jest w bezkrytycznej fazie, uważa, że wszystko jest okej, rozumie jego pracę i wie, że tak musi być. Brak faceta w domu całymi tygodniami to według niej normalna sprawa.

— Cóż, lepiej się dobrali, może i dobrze. Ale wiesz, Mateusz kiedyś taki nie był, a przecież od dawna robi to samo. — Julia zamilkła i rozmowa zawisła w powietrzu.

Lidia nie wiedziała co dalej, chciała się czegoś dowiedzieć, nie mogła tak zakończyć.

— Słuchaj, nigdy nic nie mówiłam, nie chciałam... wiesz, to jest inny świat... — Głos Julii był pełen napięcia, jakby się bała lub robiła coś wbrew sobie.

— Mów dalej.

— Nie wiem, czy powinnam, właściwie nie mam żadnych dowodów i... ty wiesz, że wiele przeszliśmy, od szalonej miłości po nienawiść, wiele złych słów padło, cóż, kurz opadł. Są jednak sprawy, o których nie mówiłam nikomu, nawet w sądzie przy sprawie, bo mimo że załatwił mi za skórę, nie chciałam go wpakować do więzienia. Ja się na tym nie znam, to dla mnie obcy grunt, ale... Nie wiem, może nie powinnam... — Wyraźnie przeciągała, by zebrać się na odwagę lub może wycofać się z tego, o czym zaczęła mówić.

Lidia żałowała, że to tylko telefoniczna rozmowa, na żywo pewnie już by ją złapała za ramiona i kazała natychmiast gadać. Tak przynajmniej czuła. Teraz bała się, że ponaganie mogłoby przerwać rozmowę. Tak łatwo po prostu odłożyć słuchawkę, udawać, że nic się nie powiedziało. Czekala więc na dalszy ciąg, a Julia zbierała się, by wyznać więcej.

— Dobra, jesteś jego siostrą, martwisz się, i słusznie, nie mogę dłużej milczeć, choć to pewnie nic takiego. Mateusz zawsze mówił, że przesadzam, wyobrażam sobie nie wiadomo co. Cholera, oby miał rację. Tylko wiesz, mnie się jednak wydaje, że on za bardzo się zaangażował, za dużo ryzykuje. Jeśli oczywiście mam rację i nie wymyślam, jak to zwykle mi zarzucał.

Lidia cierpliwie czekała, lecz dłoń na telefonie zacisnęła tak mocno, że zbieleły jej końcówki palców. Bezwiednie przygryzała wargę i przestępowała z nogi na nogę. Mogła sobie na to pozwolić tylko dlatego, że rozmówczyni jej nie widziała.

— On od jakiegoś czasu pośredniczy w dostarczaniu narkotyków — w końcu wyrzuciła z siebie Julia i to pierwsze zdanie było jak odblokowany, wcześniej zbyt mocno wkręcony wentyl. — Nie wszyscy, ale wielu artystów korzysta z różnych specyfików i Mati im je załatwia od dawna, tylko że najpierw to były jakieś lekkie, w małych ilościach, sporadycznie, a od pewnego czasu to się stało jak dilerka, rozumiesz? Był albo nadal jest jakby stałym dostawcą, zawsze, o każdej porze, a po koncertach praktycznie zawsze. Co więcej, chyba miewa trochę za dużo przy sobie i krąg jego znajomych też, moim zdaniem, stał się bardziej niepokojący. Byliśmy jeszcze razem, gdy znalazłam... Wiesz, jakby to była trawka, nawet bym nie pytała, znasz mnie, święta nie jestem, ale... To był jeden z powodów naszych kłótni, wtedy. To było dawno temu. Nowe życie, nowa kobieta i dziecko najwidoczniej tego nie zmieniły, skoro wciąż tak rzadko bywa w domu, a tak jest, bo jak Emil i Ala byli w Sopocie, mówili, że tata tylko wpadał i wypadał. No i jak dzwoni albo my dzwonic, bo to w zasadzie ostatnio tylko my, jakoś inaczej się zachowuje, jakbyśmy mu wiecznie w czymś przeszkadzali. On żyje w innym świecie i jeśli to nie jest świat z Matyldą i ich dzieckiem, to ja bym się... hm... to jednak jest trochę niepokojące.

— Dziękuję ci, Julio, za szczerość — powiedziała, bo Julia nagle przerwała. Niepokój spowodował, że nie bardzo wiedziała, jak zareagować.

— Ty też zauważyłaś, że coś jest z nim nie tak — stwierdziła Julia.

— Tak, dlatego szukam... powodów.

— Lidko, wiesz, ja nie lubię Matyldy, to żadna tajemnica. Gówniara zadziera nosa, uważa się za lepszą, ale prawda jest taka, że i bez niej to małżeństwo by nie przetrwało. Źle jej nie życzę. Ty... ty powinnaś wiedzieć, co się dzieje. Małżonka można zmienić, brata lub siostry nie. Może masz na niego jakiś wpływ, którego ja nie miałam, i szczerze powiedziawszy, uważam, że Matylda z tymi wszystkimi swoimi wdziękami też nie ma, a... a jednak mają małe dziecko. Dzieci potem cierpią najbardziej.

— Tak... masz rację. Dziękuję. To ważne, żebym wiedziała, bo... nie wiem, co z tym zrobić, to dorosły człowiek, jego życie, jego sprawa, ale wciąż... Na pewno z nim porozmawiam. Dziękuję.

— Tylko nie mów, że ja ci coś powiedziałam. Wiesz, jak to jest. Była żona chce zemsty, pewnie wymyśla niestworzone historie, bla, bla, bla. Sprawdź to po prostu. Długo o tym myślałam, ale jestem pewna, że on już nie tylko działa na granicy prawa.

* * *

Właściwie Lidia nie przepadała nigdy za Julią, nie zaprzyjaźniły się. Była skrajnie różna od Mateusza i zdawali się zupełnie do siebie nie pasować. On bardzo towarzyski, rozrywkowy, wesoły, ona

wiecznie skrzywiona, spłoszona i cicha. Stracił dla niej głowę. Lidia nie mogła rozumieć, jak jej brat mógł wytrzymać z kimś tak spokojnym i zrównoważonym. Tymczasem pobrali się, kupili duże mieszkanie, spłodzili dwójkę dzieci i jakoś funkcjonowali. Ona między domem, dziećmi a uczelnią, gdzie robiła doktorat i prowadziła zajęcia z literatury, on wiecznie w rozjazdach. Czy dawała mu ukojenie, a on jej energię? Uzupełniali się, równoważyli? Czasem Lidia zastanawiała się nad tym i już prawie w to uwierzyła, gdy Mati rzucił pewnego dnia, że się rozwodzi, że nie mogą już ze sobą wytrzymać. Nigdy nie zwierzał się siostrze, nie opowiadał o sobie, swoich uczuciach, planach. Był typem pajaca, jak mawiała. Ze wszystkiego żartował, nie dało się z nim szczerze i poważnie porozmawiać, bo zawsze błaznował i wszystko zmieniał w komedię, czasem trochę czarną, lecz wciąż komedię. Teraz pewnie też by zbagatelizował sprawę, roześmiałby się i żartował na temat zdrowia psychicznego Julii lub przewrażliwienia Lidii, gdyby tylko poruszyła ten temat. Niczego by się nie dowiedziała. Choć pierwszym odruchem było zadzwonić do Matiego lub spotkać się z nim i zmusić do rozmowy, wiedziała, że nic to nie da. Im większy niepokój wyczuje w jej głosie, tym bardziej absurdalnie będzie się zachowywał.

Lidię kusiło, by poszerzyć zlecenie Jeremiego o brata, dowiedzieć się, czym naprawdę się zajmuje, w co się wplątał i czy jest to rzeczywiście niebezpieczne. Decyzja jednak nie była łatwa. To wciąż jest jej brat. Czy ma prawo ingerować w jego życie? Śledzić go? Płacić komuś, by go obserwował? Z rozmyślań wyrwał ją dzwonek telefonu, który wciąż ścisnęła w ręce.

— Nie mam zbyt wiele czasu. Jeśli jesteś już w domu, to optymalnie będzie spotkać się w połowie drogi. Jestem na „esce” z Bielska, najwygodniej by było w macu przy Katowickiej, będę tam za jakieś dwadzieścia, trzydzieści minut.

— Okej, będę. — Od razu rozłączyła rozmowę z Jeremim, wrzuciła komórkę do torebki i wybiegła z mieszkania.

Pomimo weekendu w mieście panował spory ruch. Wydawałoby się, że przy tak pięknej pogodzie ludzie raczej porzucą miasto. Przed rondem na Kolejowej utworzył się niemały korek. Była pewna spóźnienia, lecz gdy dojechała na umówione miejsce, Jeremiego jeszcze nie było. Weszła do klimatyzowanego wnętrza i zamówiła mrożoną kawę, z którą usiadła na zewnątrz. Wystawiła twarz do przyjemnie grzejącego słońca. Lato miało się ku końcowi, warto więc skorzystać z ostatnich ciepłych promieni, nim nadejdzie jesienna słońca. Po kilku minutach, nie wiadomo skąd, przy stoliku zmaterializował się detektyw. Nie zauważyła, by wjeżdżał na parking, chociaż obserwowała zjazd z szosy. Usiadł naprzeciw niej przy małym stolczku i rozejrzał się, po czym od razu przeszedł do rzeczy.

— Twój kolega zarejestrował na dowód Mateusza telefon w Katowicach — zaczął. — Ostatnie logowanie było w Gliwicach i najprawdopodobniej tam przebywa, najwięcej sygnałów z tego numeru było stamtąd. Niestety nie ma śladu na portalach społecznościowych ani nigdzie indziej. Albo nie korzysta, albo to stary model aparatu i zwyczajnie nie ma dostępu. Do tego nie doszedłem, ale użył dowodu i sfałszował go, zobacz. — Podsunął Lidii zdjęcie na swojej komórce. — Poznajesz?

— Tak, to on i... dane Matiego.

— Podejrzałem, że go rozpoznasz, więc od razu zleciłem poszukiwanie na podstawie zdjęcia. To chwilę potrwa, bo wszystko jest świeże, ale jeśli żył normalnie w społeczeństwie, to wkrótce go znajdę. Dane, które ci podał, są na sto procent fałszywe. Jutro powinienem go mieć. Nie dzwoń do mnie, jak będę coś wiedział, dam ci znać. — Wstał, wypowiadając ostatnie dwa zdania, i szybko oddalił się do samochodu zaparkowanego za jej plecami.

Lód w kawie nie zdążył się rozpuścić, a Lidia wciąż miała przed oczami widok fotografii dowodu osobistego brata ze zdjęciem mężczyzny, któremu niedawno zmywała krew z twarzy.

* * *

To była ciężka noc. Obserwacja przeskakujących cyfr na zegarze była nużąca i denerwująca. Dopiero o świcie Lidia straciła kontrolę nad czasem i zasnęła pomimo nasilających się odgłosów poranka, świergotu ptaków i ruchu ludzi za oknem. Budzik wyrwał ją ze snu, który wydawał się trwać nie więcej niż pięć minut. Zdecydowała, że tego dnia popracuje online, nie miała siły na nic więcej, a w dodatku nie mogła tym razem zbyt wiele uwagi poświęcić projektom i współpracownikom. Jej myśli

krążyły wokół innego tematu.

Sprawdziła stan baterii w telefonie, nawet zabrała go do łazienki, by niczego nie przegapić podczas porannego prysznica. Jeremi nie miał jednak zamiaru dzwonić z samego rana ani wczesnym przedpołudniem czy w porze lunchu. Poświęciła minimum uwagi rozmowie z kolegą z pracy, spotkaniu na Skype z zespołem oraz przeglądaniu dokumentacji projektu. W pracę kreatywną wołała się nie angażować, by nie popełnić jakichś kompromitujących błędów. SMS-em uprzedziła Olgę, żeby ta pod żadnym pozorem do niej nie dzwoniła, by wypytywać o cokolwiek, co tylko spotęgowało ciekawość przyjaciółki, która zaczęła wysyłać swoje pytania Messengerem.

Olga: *Już po 4. Zadzwon do niego*

Lidia: *Nie, powiedział wyraźnie, że mam czekać*

Olga: *Ile można czekać? Ja bym zadzwoniła*

Olga: *Nie wiem skąd ty bierzesz te pokłady cierpliwości i spokoju*

Lidia: *Nie denerwuj mnie*

Olga: *Zastanawia mnie jak on to robi. Jeśli rzeczywiście dowie się kim jest ten Wiktor i to tylko dzięki temu zdjęciu, będę w szoku!*

Lidia: *Sama mówiłaś, że jest dobry. Musze sie skupić i cos dokończyć. Na razie*

Miała już serdecznie dość tej jałowej wymiany zdań. Rzeczywiście siedziała w środku rozgrzebanej pracy, ale nie było prawdą, że ją tego dnia dokończy. Wstała od komputera i podeszła do okna. Chłodny powiew omiół jej twarz i delikatnie odsunął włosy na boki. Ile to już razy tak patrzyła w tę dal, zastanawiając się i zadając sobie wciąż te same pytania. Podskoczyła na dźwięk komórki. Bolesnie uderzyła się w stopę o bok biurka i prawie natychmiast złapała telefon.

— Jeremi? Masz go? — Tym razem nie bawiła się w kulturalne wstępy.

— To Wojciech Redyński. Ostatnio był zameldowany w Gliwicach, potem wyjechał do Czech, gdzie mieszka od kilku lat. Jedyna bliska mu osoba niedawno zmarła.

— Gdzie on teraz jest?

— Mogę ci podać adres tej zmarłej dziewczyny. Nie ma pewności, że on tam jest.

— Dawaj — rzuciła niecierpliwie, odsuwając telefon od ucha, by włączyć tryb głośnomówiący i uruchomić notatnik.

— Jasne. Tylko odradzałbym podróż, nie wiadomo...

— Rozumiem — przerwała. — Podaj, proszę, ten adres.

Gliwice, kwiecień 2019, Karolina

Dawid jest temu przeciwny. Uważa, że takie eksperymenty mogą mieć zupełnie odwrotne skutki, lecz uparłam się, delikatnie mówiąc. Po długiej rozmowie telefonicznej z Anną postanowiłam jej posłuchać i wypróbować to, co tak zachwała. Może i nie da się jej i teorii, w które wierzy, traktować zupełnie serio, trzeba jednak przyznać, że mimo tych wszystkich szalonych pomysłów, szarlatańskich skłonności i uleganiu różnym modom Zelikówna nie wygląda na swoje lata, jest wulkanem energii i wręcz tryska zdrowiem. Oczywiście bardzo przejęła się moim losem i skonsultowała się w mojej sprawie z każdym znanym sobie terapeutą, dietetykiem, zielarzem oraz homeopatą, o czym z pasją mi opowiedziała. Ostatecznie zdecydowała się namówić mnie na „delikatne podejście” do sprawy na początek, a mianowicie na całkowitą zmianę diety i trybu życia. Najpierw mam zrobić sobie detoks, czyli głodówkę, a potem trzymać się ściśle rygorystycznych zaleceń co do diety, której szczegóły dla mnie spisała i wysłała mailem. Prosiła o potraktowanie tego jak powierzonego zadania w ramach pracy. Obiecałam, że to rozważę, i z ulgą zakończyłam rozmowę. Nie miałam zamiaru podchodzić do tych porad serio, lecz gdy zobaczyłam to, co mi przysłała, w co musiała włożyć naprawdę sporo pracy, bo niezwykle dokładnie spisała zalecenia i z pewnością było to jej opracowanie, poznałam jej styl od razu — zaczęłam się zastanawiać. I tak sama siebie powoli przekonałam, że to może mieć sens. Zwłaszcza że badania i wizyty u lekarza nie dają odpowiedzi, a leki, które biorę, nie powodują żadnych postępów w leczeniu.

Kilka dni temu rozpoczęłam swój wielki eksperyment uzdrawiający. Zrobiłam sobie tę

nieszczęsną głodówkę, od której jeszcze bardziej kręciło mi się w głowie i leciałam z nóg, potem wprowadziłam ściśle zgodnie z instrukcją zalecone produkty oraz lekkie ćwiczenia z muzyką relaksacyjną. No i piję wyłącznie wodę. Dużo wody wysoko zmineralizowanej. Dawid jest nieustępliwy, więc obiecałam, że leki będę przyjmować nadal, jak zalecił lekarz. Czuję, naprawdę czuję, że wcale mi nie służą, otepiają mnie, wywołują mdłości, więc w tajemnicy je wyrzucam. Nie wiem, czy to brak tych tabletek, dieta, ćwiczenia, czy wszystko razem sprawia, że odczuwam poprawę. Jest lepiej, mam więcej energii, choć nadal jestem słabsza niż kiedyś. Nie mam już takich zawrotów głowy, myśli nie urywają się, chaos ustępuje. Wracam do siebie. Jeszcze kilka dni i mam zamiar wrócić do pracy. Nie będę więcej przedłużać zwolnienia. Przede mną pół tygodnia i weekend. Powinno wystarczyć. Dziś po pracy przyjdą dziewczyny, zobaczą, jak będą mnie odbierać i jak dam sobie radę. Dawid ucieszył się, gdy zobaczył mnie dzisiaj rano. Powiedział, że wyglądam lepiej. Widziałam ulgę i nadzieję na jego twarzy. Myślę, że były szczerze, musiały być szczerze. Ta... choroba czy dziwna niedyspozycja sprawiała, że wariowałam, zaczynałam podejrzewać go nie wiadomo o co, lecz myślę już coraz jaśniej i wierzę, że najgorsze mam za sobą.

Pierwszy dzień względnej normalności po chorobie jest jak w ogóle pierwszy dzień w pracy. Stresuję się. Mam nadzieję, że dam radę i Anna nie będzie traktować mnie jak inwalidki. Nic mi nie dolega. No dobrze, może nie czuję się jeszcze całkiem dobrze, normalnie, jak wcześniej, ale jest naprawdę dużo lepiej. Przekonuję tak wszystkich wokół oraz siebie samą. Muszę, inaczej zwariuję. Nie mogę dłużej siedzieć w domu, cały czas czuję się nadzorowana, obserwowana przez Dawida.

Zadzwoiłam wieczorem do Wojtka, chciałam porozmawiać. Zdecydowałam się wszystko mu powiedzieć. Dawid siedział w pokoju Marty i pisał jakiś raport ze słuchawkami w uszach, więc po cichu zamknęłam drzwi swojego pokoju i wybrałam numer. Ledwie Wojtek odebrał, usłyszałam kroki w przedpokoju. To Dawid stanął pod drzwiami, po chwili odszedł w kierunku kuchni. Kręcił się po mieszkaniu. Nie miałam wyjścia, powiedziałam, że wszystko w porządku, co słyszać i tak dalej, jakbym gawędziła na przykład z Edytą. Nawet zajrzał do pokoju i udawał, że dopiero zauważył, iż rozmawiam przez telefon, więc wycofał się, lecz drzwi zostawił niedomknięte. Nie mówiłam mu wiele o Wojtku. Owszem, coś tam pokrótce, bo jego śladu w moim życiu jednak nie sposób ukryć. Ot, przyjaciel z dzieciństwa, który wyjechał za granicę i czasem ze sobą gadamy. Niespecjalnie to Dawida interesowało. Nie było okazji opowiedzieć więcej, a potem pojawiły się te myśli... Nie, zdecydowanie nie chcę, by Dawid dowiedział się czegokolwiek o Wojtku.

Analizuję jego zachowanie, przywołuję w pamięci dzień, kiedy pojawił się w moim życiu. To nie może być przypadek... Pilnuje mnie, szpera w komputerze, gdy nie widzę, może w rzeczach, lecz jest ostrożny i myśli, że nic nie zauważam. Zaczęłam chorować... Dlaczego teraz? Dlaczego to nie jest normalna choroba, której leczenie przebiega według schematu: idziesz do lekarza, robisz badania, odbierasz wyniki, wiesz, co ci dolega, leczysz się, zdrowiejesz. Proste. To powinno być proste. Dlatego muszę jakoś się z tego wyrwać, ale najpierw zdystansować się, ochłonać. Kiedy analizuję, rozkładam na części pierwsze, racjonalizuję i zbieram wszystko w logiczną całość, zapala mi się czerwona lampka — muszę się upewnić i dowiedzieć, czego on chce, kim naprawdę jest, wyrzucić go z mojego życia, lecz najpierw zdemaskować i odsunąć na bezpieczną odległość, zanim zamienię się w zombie. Jednak gdy jestem z nim, słyszę tembr jego głosu, słowa, zdania, zawartą w nich czułość i troskę, widzę, jak stara się pomóc, angażuje się, pełen miłości, poświęcenia, chcę mu wierzyć, chcę dać się kochać i kochać jego. Jest taki wspaniały, łagodny, dobry... Pytanie, która wersja jest prawdziwa. Doprowadza mnie to do białej gorączki. Żeby tylko Wojtek tu był. Wiedziałby. Tymczasem nawet nie mogę z nim porozmawiać, tak prawdziwie, szczerze... Ciągle czuję się podsłuchiwana, kontrolowana.

Wiem, że jedynym ratunkiem jest powrót do pracy. Jeśli Dawid jest niewinny, działa bezinteresownie i kocha mnie tak po prostu, wyluzuje, widząc, że wracam do zdrowia, da mi przestrzeń. Zwłaszcza że niedawno mówił o konieczności dłuższej wizyty w stolicy. Jeśli ze mną będzie okej, pojedzie. Jeśli natomiast nie jest szczerzy, nie kocha mnie, udaje, kontroluje, obserwuje i pilnuje, bo albo jest świrem, albo kimś od tych gangsterów, których śledzi Wojtek — chociaż ta myśl jest naprawdę niedorzeczna — nadal będzie naciskał, bym siedziała w domu, nadal będzie grzebał w moich rzeczach i próbował ograniczyć mi wolność. Zobaczymy.

* * *

Tymczasem jestem w biurze. Sonia jest teraz znacznie bardziej pewna siebie. Biedna, musiała tyle wziąć na siebie. Widzę troskę w jej oczach, choć niejedna osoba zobaczyłaby raczej ulgę i niewypowiedziane „No wreszcie jesteś, mam dość ogarniania wszystkiego sama”. Anna również nie mogła przegapić mojego powrotu.

— Jak się cieszę, kochana, że wróciłaś do nas! Tak się martwiłyśmy! Wyglądasz bledziutko, ale znacznie lepiej, siadaj. Spokojnie, nie musisz dziś wiele robić, Sonia doskonale sobie radzi, choć oczywiście bez ciebie było ciężko, chwilami nawet bardzo ciężko. — Paplanina szefowej wylała się strumieniem, nim zamknęły się za mną drzwi. — Siadaj. Zaraz naleję ci kawy, świeżo parzona. Albo nie! Nie, nie, kawa nie jest wskazana, pewnie bierzesz leki, mogą kolidować. Yyy... może herbaty, tak! Zielonej! Soniu, zrób jej, tej mojej, ekologicznej, nikogo jeszcze nie ma. Jak się czujesz, kochana? Pamiętaj, w razie zmęczenia możesz dziś wyjść wcześniej, nie ma problemu, tylko nie zgrywaj twardzielki. Wiesz, że ze mną zawsze możesz, powinnaś być szczerą. Więc jak się czujesz?

— Dziękuję. Znacznie lepiej. — Uśmiecham się i nie wiem, czy zdążę coś jeszcze powiedzieć, ponieważ widzę, jak nabiera powietrza, by kontynuować.

— Dobrze, świetnie. Nawet nie wiesz, jak to dobrze, że dziś jesteś. Już dwa razy przekładałam spotkanie. Rozumiesz, nie chciałam nowej zostawiać zbyt długo samej. — Ścisza wymownie głos i nachyla się do mnie, strzelając oczami w kierunku zaplecza. — Złota dziewczyna, uczy się błyskawicznie, ale jednak to wciąż jej początek, a klientów chwilami było sporo. Nigdy nie wiadomo, jaki dzień się trafi. No. Skoro jesteś, to ja się zbieram. Na pewno dacie sobie we dwie radę, ale gdyby cokolwiek się działo, dzwoń. Będę przed siedemnastą, jeśli się wyrobię, gdyby jednak było trzeba, coś wymyślę, tak że śmiało możesz dzwonić. No, to pa, kochanie, pa.

— Poszła? — Sonia wyłania się zza drzwi, gdy te od ulicy zamknęły się z charakterystycznym zgrzytem. Stawia na moim biurku kubek i siada na swoim miejscu naprzeciw mnie. Uśmiecha się niepewnie.

— Dziękuję. — Wskazuję parujący napój. — Pewnie nie było ci samej łatwo z szefową. — Odwzajemniam uśmiech.

— To dobra kobieta, ale trochę... męcząca. Dobrze, że już jesteś.

Warszawa–Wybrzeże, wrzesień 2019

Najnowszy model z potężnym silnikiem, sześcioma setkami koni mechanicznych i przyspieszeniem w trzy sekundy do setki pysznił się przed łakomymi oczyma Mateusza. Jeszcze tydzień wcześniej taką propozycję uznałby za dobry, choć trochę drażniący żart, a teraz trzymał w ręku kluczyki do tego cacka i słuchał o jego rozlicznych zaletach. Czy go stać na taki wóz? Nie, oczywiście, że nie. Jeszcze długo nie. Jednak to okazja, która może się więcej nie zdarzyć. Wiedział, że nie jest to bezinteresowny gest, uczciwa premia czy wynik dbałości o sumiennego pracownika. Głupi nie był i doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że ten samochód zwiąże go z nimi jeszcze bardziej, będzie im dłużny i od nich zależny, lecz czy miał inne wyjście? Odmowa to negatywny sygnał — dowód na to, że nie jest gotów na pełną współpracę, nie jest godzien zaufania. Zresztą kto odmówiłby takiej fury w okazyjnej cenie, nawet jeśli nie posiada nawet dwudziestu procent jej wartości w gotówce ani na koncie.

— Sporo jeździsz, Mati. Zauważyłem, że lubisz dłuższe trasy. — Rudi kilka dni wcześniej ugościł Mateusza w swym przestrzennym, nowoczesnym apartamencie zlokalizowanym na ostatnim piętrze wieżowca, z zapierającym dech widokiem na centrum Warszawy. — Znam to, najgorzej utknąć gdzieś w miejscu, podczas gdy świat jest taki wielki. Podoba mi się to. Nie boisz się ruszyć kilkaset kilometrów na jedną noc i wiesz co? Też tak lubię. Jeździłem tak, czasem i dalej, czasem bywało naprawdę gorąco. Dlatego jestem, gdzie jestem. — Rozparł się wygodnie w jednym z foteli, niby niedbale ustawionym na obszernym, górującym nad miastem tarasie wyłożonym białym marmurem. Patrzył w dal. Być może na czubek Pałacu Kultury.

— Masz jakąś nową propozycję?

— Widzisz, jak ty dobrze wszystko rozumiesz. I to mi się właśnie podoba. Miałem do ciebie nosa, stary. Szef też jest zadowolony, a musisz widzieć, że jak on jest zadowolony, to wszyscy zyskują — pochwalił Mateusza, odwracając się w jego stronę. — Podbiłeś ładnie obroty, wykonałeś swoją robotę dokładnie tak, jak oczekiwałem, i myślę, że czas na awans. — Uśmiechnął się i zrobił pauzę dla lepszego efektu.

Mateusz czekał cierpliwie, popijając swojego drinka z lodem. Nie wiedział, co to za burbon, ale tak dobrego jeszcze nie pił.

— Musiałem go przekonać, bo jesteś z nami jednak dość krótko, a on nie ufa tak łatwo ludziom.

— Jeszcze nie miałem przyjemności poznać — wtrącił Mati.

— Ty jego nie, ale on ciebie i owszem. W naszej pracy tak to wygląda, szef najpierw obserwuje pracownika, potem mu się przedstawia, gdy uzna, że już czas. Twój czas... hm... niedługo cię do niego zawiozę, ale nie o tym mieliśmy mówić. Generalnie zrobiłeś wrażenie, nadajesz się znakomicie i trochę doświadczenia masz. Jesteś ostrożny, nie ufasz każdemu, nie kłapiesz ozorem. To się ceni. Zdecydowaliśmy, że będziesz... hm... jak by to powiedzieć... przedstawicielem na zachodnią Polskę i może troszkę poza granicą też, jeśli zajdzie potrzeba oczywiście. Imprezy okej, celebryci okej, ale rynek jest szerszy i potrzebuje takich ludzi jak ty. Mam dla ciebie zadanko na za trzy, cztery dni, jeszcze nie znam szczegółów. Dostaniesz trochę więcej i rozwieszysz kilku nieznanym, ale bardzo, bardzo wysoko postawionym klientom. To takie *top of the top*, rozumiesz? Szef chce cię zachęcić i pokazać swoją hojność oraz szacunek, jakim darzy wybranych ludzi. Pojedziesz więc do naszego salonu, daj telefon, wklepię ci współrzędne, po swoją niespodziankę.

Mati próbował dowiedzieć się czegoś więcej, lecz Rudi jedynie zapewniał, że będzie zachwycony, że to wspaniały gest szefa i że trzeba zaufać. W końcu dał mu do zrozumienia, że nie ma innego wyjścia, inaczej mogłoby się zrobić nieprzyjemnie. Po czym odprowadził gościa do drzwi, mówiąc, że czas nagli i trzeba odebrać towar z umówionego miejsca w centrum, więc Mati musi się zbierać i ruszać, gdyż korki na pewno nie są jego sprzymierzeńcem.

Mateusz z niepokojem spojrzał na swoją pustą, a wcześniej napełnianą nie raz szklanekę.

— Nie przejmuj się, jesteś trzeźwy jak niemowlę. — Rudi się roześmiał. — A gdyby się tak niefortunnie zdarzyło i zatrzymałyby cię psy, dmuchaj grzecznie, przyjmij mandat, a potem mi go oddaj. Wszystko będzie dobrze. Szerokiej drogi.

Mateusz dużo mniej pewny siebie od Rudiego ruszył w kierunku miasta. W ślimaczym tempie pokonywał ulice i uliczki, minął Pole Mokotowskie, Park Morskie Oko i trochę przyspieszył Puławską. Skręciwszy tuż za Komendą Główną Policji, dotarł do celu. Odebrał towar praktycznie tuż pod nosem glin. Tym razem nie mieścił się w kieszeniach czy schowku na rękawiczki. Zlecenie było bardziej skomplikowane niż zazwyczaj. Realizacja miała zająć aż dwa dni, toteż Mati nie spał dobrze, wiedząc, co posiada i ile mógłby za to dostać odsiadki, nawet jeśli wcześniej nie był karany. W końcu jednak dostał cynk od Rudiego, że ma jechać po swoją nagrodę.

* * *

Teraz siedział w pachnącym nowością samochodzie, o jakim nawet nie śmiał marzyć. Na siedzeniu obok leżał plik dokumentów potrzebnych do rejestracji w Urzędzie Miejskim, gdzie miał się udać po nowe tablice. Wszystko było całkowicie legalne, tak w każdym razie wyglądało. No może tylko kwota na umowie kupna-sprzedaży nie została wpłacona sprzedawcy przez Mateusza, ale on sam zapewniał, że wszystko jest uregulowane i nie ma o czym mówić. Stary samochód Matiego miał pozostać w salonie. Niepokój, który ten warunek obudził, na widok nowej fury prysł i został zakwalifikowany przez mózg Mateusza jako ryzyko konieczne. A zresztą przy najbliższej okazji porozmawia o tym z Rudim, żeby w coś go nie wpakowali. Ostatecznie komplet kluczyków i dokumenty do swojego samochodu nadal miał, mógł więc zgłosić na przykład kradzież. Zaskoczyło go, gdy sprzedawca bez mówienia wprost pokazał mu dwie skrytki w samochodzie, w których bezpiecznie mógł ukryć towar.

W zaistniałej sytuacji Mati cieszył się, że jednak wcześniej zgłosił utratę dokumentu tożsamości i niedawno odebrał nowy dowód osobisty. Po załatwieniu formalności, opłaceniu podatku, który

w zasadzie był jedynym jego wydatkiem związanym z nowym samochodem, ruszył w kierunku autostrady, nie mogąc się doczekać prawdziwej rozkoszy jazdy z pedałem gazu wgniecionym w podłogę. Nie zdążył się jednak porządnie rozpedzić, gdy jego telefon poinformował o nowych wiadomościach z instrukcjami dotyczącymi kolejnych zleceń.

Tym razem trasa wiodła na zachodnie wybrzeże. Dotarłszy późnym wieczorem na wyznaczone miejsce, zgodnie z umową wszedł bocznym wejściem do budynku, omijając kolejkę, i kłębiący się od frontu tłum. Nic nie musiał mówić, nie było tajnego hasła, żadnego powoływania się na kogoś. Po prostu podszedł do drzwi, zadzwonił i został wpuszczony. Wąski, dobrze oświetlony korytarz wyściełany jasnobieżowym dywanem zaprowadził go do drzwi, które otworzyły się przed nim, gdy tylko się zbliżył. Wszedł do przestronnego, minimalistycznie, a zarazem drogo urządzonego salonu, gdzie powitał go milczący człowiek. Spodziewał się kogoś zupełnie innego — rozpoznawalnego, może jakiegoś celebryty, kogoś znanego na przykład z telewizji, może artysty, tymczasem wysoki, szczupły mężczyzna w świetnie skrojonym garniturze uściśnął mu dłoń i bez słów przekazał gotówkę, odebrał ważącą około kilograma paczkę z narkotykami i zaprosił dalej do przejścia, łączącego ten pokój z innym pokojem, następnie szedł schodami, korytarzykiem, tym razem jeszcze węższym i ciemniejszym, gdzie wreszcie dało się usłyszeć muzykę i nasilający się hałas z lokalu, w którym bawili się ludzie.

Nigdy tu nie był, rozejrzał się więc, by zlokalizować bar i wyjście. Choć kasę dobrze schował, nie czuł się pewnie z taką ilością pieniędzy w tym miejscu. Miał zamiar jak najszybciej je opuścić. Zawahał się, czy w ogóle podchodzić na jednego szybkiego, czy może od razu wyjść. Nim podjął decyzję, ktoś dotknął jego ramienia i bardziej poczuł, niż usłyszał głos kobiety płynący wprost do jego ucha.

— Witaj, Mati. Miło cię gościć. — Delikatnie, acz stanowczo poprowadziła go do baru, który minęli, i przeszli kawałek dalej, gdzie nadal można było zamówić napoje przy wyspie, lecz było nieco luźniej i trochę ciszej. Usiedli w jednej z wnek, które zapewne miały dawać złudzenie intymności. — Nie mam zamiaru cię zatrzymywać na długo — powiedziała blondynka, której w świetle dnia nawet z połową makijażu, jaki miała na twarzy, by nie rozpoznał. — Nie mogę jednak ot tak puścić człowieka Mecenasu bez choćby małego toastu za tę nową znajomość. Jestem Elwira, dla przyjaciół Elfi, ładnie, prawda? — Zaśmiała się perliście, jakby dopiero teraz odkryła, że podoba jej się własna ksywka.

Na pewno nie miał zamiaru spędzać z nią czasu. Po chwili skąpo ubrana dziewczyna przyniosła szampana w lodzie i dwa kieliszki. Dowiedział się, że Elfi jest bardzo zadowolona z usług Mecenasu — „Kimkolwiek ona jest”, pomyślał Mati — i wdzięczna za jakość i cenę oraz prosi o przekazanie informacji o zmianie zapotrzebowania na dodatkowe działki, a także konieczności opłacenia ubezpieczenia w wersji premium dla „tych tam z głównej, zwłaszcza starej gwardii, Mecenas będzie wiedział, o kogo chodzi”. Uznał, że przekaże to po prostu Rudiemu i tyle. Czym prędzej pożegnał się i wyszedł. Czuł się trochę jak chłopiec na posyłki, który nie bardzo wie, o co chodzi, ale musi przekazywać fanty, wiadomości, pieniądze, i jak wszystko dobrze zrobi, poklepią go po plecach, dadzą wódki, kasy i prezencik. Cóż, póki wódka dobra, kasa duża i prezenciki takie jak ten, który stoi na tyłach, można być i gońcem.

W hotelu wyjął pieniądze, które dostał od szczupłego mężczyzny. Sporo. Schował zgodnie z ustaloną procedurą i poszedł spać. Był potwornie zmęczony, a rano trzeba było ruszać z drugą przesyłką i jeszcze zdążyć na koncert w południowej części kraju, którego sam co prawda nie organizował, lecz w pewnym sensie obsługiwał. Nim zasnął, przypomniał sobie, że miał zadzwonić do Matyldy, obiecał jej to przecież, ale jest już tak późno, na pewno dawno śpi. Wypadałoby też dowiedzieć się, czego chce Lidka. Dobijała się, dzwoniąc i SMS-ując cały wieczór. Jutro. Jutro wszystko ogarnie.

Gliwice, wrzesień 2019

Nie chciał ryzykować wizyty tam, gdzie mieszkała Karolina, więc wybrał się do baru, w którym pracowała Agata. Właściwie jej nie znał, raz czy dwa zamienili kilka słów, gdy był akurat u Karoli, lecz nawet nie za bardzo pamiętał, o czym rozmawiali. Bardziej zwrócił uwagę na jej wygląd — garbiąca się, bardzo szczupła, z kręconymi ognistomiedzianymi włosami, które swym beztroskim nieujarzmieniem

kontrastowały z bladą, niemal ziemistą twarzą, naznaczoną zmęczeniem. Miał nadzieję znaleźć ją w pracy. Agata nie była typem towarzyskim, Edyta wiedziała o niej niewiele więcej. W jej wyobraźni to przytłoczona prozą życia kobieta, która ufa tylko wybranym osobom i raczej stroni od ludzi. Karolina zapraszała ją nieraz, a to na urodziny, a to tak po prostu, by pogadać, przedstawić jej przyjaciółki, by oderwała się na chwilę od codzienności, jednak Agata zawsze odmawiała, znajdując jakąś wymówkę.

Nie był to modny czy stylowy pub oblegany przez wesołą klientelę. W typowym dla piwiarni brudnawym wnętrzu kilku smętnych facetów kiwało się nad kufłami. Podszedł do baru i zamówił piwo. Równie tanie, co słabe, za to świetnie pasujące do wnętrza lokalu. Dziewczyna za barem, młoda, anorektycznie szczupła z pofarbowanymi na różowo włosami, nawet nie zaszczyciła go uśmiechem.

— Hej, wiesz może, kiedy będzie Agata? — zapytał i czekał, popijając blade napój, na który nie miał najmniejszej ochoty.

Już chciał ponowić pytanie, pewien, że albo nie usłyszała, albo nie zrozumiała, bo nie zdobyła się na żadną reakcję, gdy beznamiętnie, nie podnosząc wzroku znad wycieranej szklanki, cicho się odezwała:

— Nie ma Agaty. Już tu nie pracuje.

— Od kiedy?

— Od zeszłego miesiąca.

— Dlaczego? — W zasadzie to go nie interesowało, ale tak był pewien, że łatwo ją znajdzie, iż zbity z tropu sam nie wiedział, co powinien teraz powiedzieć.

— Zwolniła się. — Dziewczyna wzruszyła ramionami. — Straciła opiekunkę do dziecka czy coś i nie może na razie pracować na wieczory. A ty to kto? — Uniosła na chwilę kotarę jasnych, niezwykle długich rzęs, by spojrzeć na klienta.

— Kolega. Z dawnych lat.

— Aha. — Straciła zainteresowanie.

Wyszedł, nie dopiwszy paskudnego piwa, i postanowił zaryzykować jednak wizytę w domu. Ostatecznie przecież nie będą non stop pilnować mieszkania Karoliny. Obszedł okolicę i wszedł do bloku naprzeciwko, by zlustrować ulicę. Niestety mrok i niedziałająca co druga latarnia to uniemożliwiły. Zauważył jednak, że w mieszkaniu piętro niżej, więc tam, gdzie mieszka Agata, było całkiem ciemno. Okna z pewnością wychodziły tylko na jedną stronę, jak we wszystkich małych mieszkankach w tym pionie, więc albo już spała, albo nie było jej w środku. W obu sytuacjach lepiej będzie poczekać z wizytą. Zszedł na dół i ruszył przez podwórze, by wyjść okrężną drogą.

* * *

— To proste. — Edyta oczywiście od razu wszystko załapała. — Agata nie pracuje w knajpie, bo nie ma z kim zostawić dziecka. Wierz mi, tak szybko kogoś nie znajdzie. Nikt nie będzie gnił z gówniarzem wieczorami za darmo czy za marne grosze. Tylko Karola była tak bezinteresowna. A skoro Agata nie pracuje w barze, może wzięła więcej pracy jako sprzątaczką, więc chodzi wcześniej spać, bo ekipy sprząające zasuwiają po godzinach urzędowania albo przed. Obstawiam, że w sądzie zaczyna o szóstej, może nawet o piątej. Pewnie leci ogarnąć wszystko, gdy dzieciak śpi, potem wraca, wyprawia go do przedszkola i dalej do roboty.

— Czyli muszę ją złapać raczej rano, jak idzie do pracy.

— No nie wiem, czy poświęci ci wtedy dużo czasu.

— Nie musi. To co? Idę spać, bo muszę wstać o czwartej. — Wrzucił pospiesznie ostatni wielki kęs kanapki, którą dostał na kolację, i wstał.

— Powodzenia, na mnie nie licz. Tak świetnie ostatnio sypiam, że o czwartej czy piątej mogę być nieprzytomna. Biorę od tygodnia leki na sen, po których zwiedzam dno krainy Hadesa i przez te kilka godzin nie mam dostępu do świata żywych.

* * *

Pomysł, by pożyczyć od Edyty samochód, okazał się na tyle genialny, że choć nie udało mu się złapać Agaty, Wojtek chwalił samego siebie za błyskotliwość. Początkowo chciał po prostu przyjść

wcześnie i zaczekać, jednak nie wiedział, o której godzinie zjawi się Agata. Mógłby zwracać na siebie niepotrzebną uwagę, stercząc tak na ulicy czy za drzewem. Obserwacja z samochodu była mniej oczywista i znacznie wygodniejsza, zwłaszcza że okazała się bezowocna i po ponad dwóch godzinach znużony włączył silnik. Ulice były coraz bardziej zatłoczone. Cichy, senny świt zbudził się i rozkręcał w coraz bardziej ruchliwy, jazgotliwy i pobudzony nadmiernie dzień. Jedni odjeżdżali, zostawiając puste miejsca, by dosłownie po minucie lub dwóch ktoś zaparkował na zwolnionej przestrzeni swoje auto. Ruch gęstniał na chodnikach i jezdniach. Temperatura powietrza wzrastała, zapowiadając gorączkę dnia.

Wojtek przytłoczony porażką włączył się w strumień innych pojazdów, by po chwili stanąć w kolejce do świateł. Zrezygnowany patrzył na ludzi spieszących do pracy, do jasno określonych zadań, zwyczajnych obowiązków, i poczuł się wyalienowany, zupełnie nieprzystosowany do tego świata. Jak to możliwe, że akurat jego życie tak się poplątało, skomplikowało i teraz, zamiast na przykład odwozić dzieci do szkoły, realizować zadania na ten dzień i jutrzejszy, czekać jak inni na wieczór, na weekend i ten uwielbiany przez większość ludzi piątek — po prostu żyć przez siebie ułożoną, przynajmniej po części, codziennością — szuka odpowiedzi, miota się, nie ma nic i w dodatku nie wie, co zrobić, by ruszyć do przodu i rozwikłać ten węzeł, w który się zaplątał. Czuł, jak pętla bezsilności, topniejącej i zanikającej pewności siebie zaciska się wokół jego szyi, a los drwi z niego, gdyż zamiast ograniczyć się do zwykłej egzystencji szarego człowieka mu przeznaczonej, wychylił się i zagubił. Pomyślał, że chyba teraz dopiero w pełni rozumie Karolinę, która zawsze potrzebowała wsparcia, zawsze obawiała się, iż nie poradzi sobie, nie jest dość dobra, nie ma szans, a każdy sukces witała z zaskoczeniem, zabawnym niedowierzaniem i dziecięcą radością. Tej ostatniej brakowało mu teraz rozpaczliwie. Był coraz bardziej zmęczony brakiem postępów, własną słabością, zależnością od Edyty, która przecież mogła zwyczajnie zamknąć mu drzwi przed nosem, lecz nie zrobiła tego tylko przez wzgląd na ich wspólną nieżyjącą przyjaciółkę, która teraz jak inni powinna właśnie zbierać się do pracy, jechać w tych korkach i narzekać na tłok, roboty drogowe i pogodę.

Dojechał powoli do przejścia dla pieszych, zatrzymał się, by przepuścić ludzi, i zamarł na ułamek sekundy. Oto przed maską jego samochodu, a ściślej samochodu Edyty, pospiesznie przechodził nie kto inny, lecz Agata. Nie zastanawiając się, wyskoczył z auta i podbiegł do niej. Gwałtownie zatrzymała się i podskoczyła ze strachu.

— Agata! Wszędzie cię szukam! — wykrzyknął. Sam nie mógł uwierzyć w ten przypadek.

— Ach, to ty! Aleś mnie wystraszył!

Stali na środku ulicy i już włączył się akompaniament klaksonu któregoś z kierowców.

— Musimy porozmawiać!

— Masz rację, musimy. O szesnastej odbieram Kubę. Z przedszkola przy Kozielskiej, spotkajmy się tam. Dobrze cię widzieć. — Wyraźnie się ucieszyła, choć była też zdenerwowana. Ponagliana klaksonami aut pospieszyła dalej.

Nie mógł uwierzyć, że to się wydarzyło. Taki zbieg okoliczności. Taka sytuacja! Ludzie potrafią latami mieszkać w tym samym mieście i się nie spotkać. Dodał gazu, chciał jak najszybciej wrócić do Edyty i podzielić się małym i jednocześnie dużym szczęściem, które się do niego uśmiechnęło. Zaparkował po kilku minutach i pobiegł do drzwi, które okazały się zamknięte. No tak. Ona, jak inni normalni ludzie, wyszła do pracy. Wyjął z kieszeni iPhone'a, by zadzwonić, i zauważył nagromadzone SMS-y. Odczytał ostatni z nich: *Klucze masz w donicy z różami. Obyś się pokłul. Zabiję cię potem.*

No tak, miał wrócić szybciej i oddać auto, by mogła pojechać do firmy. Rozejrzał się po starej, stylowo urządzonej i zadbanej klatce schodowej. Pod dużym oknem tłoczyły się donice z kwiatami, lecz żadna z nich nie służyła różom. Czyżby mała złośliwość? Wyszedł przed budynek. Tu w ogóle nie było kwiatów. Stał bezradny i czuł, jak rozbawienie powoli przeradza się w irytację. Rozglądał się i zastanawiał. Klucz odnalazł się po drugiej stronie ulicy, gdzie przed restauracją stały dwie donice z okazałymi różami, których kolce rzeczywiście były wszędobylskie i bezkompromisowe.

Po wzięciu szybkiego prysznicza zadzwonił do Bogdana. Dowiedział się jedynie, że ktoś się tym zajmie i jeśli będą jakieś informacje o Dawidzie, da znać. Cierpliwość to cnota. Usiadł w fotelu Edyty, rozejrzał się po obszernym salonie, który nie zmieniał się istotnie od lat, a jednocześnie nigdy nie wydawał się przestarzały, nieaktualny czy wymagający zmian. Tu czas się zatrzymał — w pozytywnym

tego słowa znaczeniu. Wojtek pamiętał, jak pierwszy raz był tutaj, lata temu. Edyta odziedziczyła stare przestronne mieszkanie w przedwojennej kamienicy po babci. Odnowiła je, uwspółcześniła, a jednak wciąż w tym miejscu można było doświadczyć spokoju, oderwać się od problemów teraźniejszości, jakby grube mury miały zdolność całkowitej izolacji i zapewniały drogę do zapomnienia. Można było ulec złudzeniu, że wszystko, co się dzieje, jest z tej perspektywy odległe, nierealne i zupełnie nieważne. W końcu duży przedwojenny stół trwał mimo wszystko i nic nie robił sobie z problemów ludzkości, a liczący sobie dziesiątki lat dębowy kredens pysznił się, jakby wyrósł razem z okalającymi go ścianami wprost z ziemi i zapuścił korzenie tak silne, że nic nie jest w stanie naruszyć jego ponadczasowości. Bibeloty za nieskazitelnie czystą szybą. Zastygła w tańcu porcelanowa baletnica o niemal przezroczystych nogach — delikatna, ulotna, wiotka, a jednak wieczna. Drewniana chatka, tak maleńka, precyzyjnie wykonana, z okiennicami pełnymi najdrobniejszych szczegółów. Rzeźbiona misternie szkatułka z wiśniowego drewna. Smukła żyrafa... „Żyrafa Karoliny!” Chwilę zajęło Wojtkowi uświadomienie sobie, że patrzy na TĘ żyrafę. Poderwał się i podszedł do witryny. Czuł nieodpartą ochotę dotknięcia drobiazgu, jakby w ten sposób mógł znowu zbliżyć się do najdroższej przyjaciółki, siostry niedoli i życia. Tak, to z pewnością była jej żyrafa. Dlaczego tutaj? Dlaczego Edyta nic nie powiedziała o tym, jak weszła w posiadanie tak ważnej dla Karoliny pamiątki? To będzie pierwsze pytanie, jakie zada, gdy dziś się zobaczą, i pal ichto, że musiała jechać do pracy taksówką, a on pokłął się przekłętymi różniami przez jej cholerną potrzebę zemsty. Jakże małe i niewarte uwagi to szczegóły. Zawahał się chwilę z dłonią w powietrzu, jakby miał przekroczyć niewidzialną barierę. Opuszkami palców pogładził hebanowe drewno, które tyle razy trzymała w ręku Karolina. Czy nie żartowała, że zabierze je kiedyś do grobu? Uniósł nieznacznie pamiątkę, po czym delikatnie odstawił na miejsce.

* * *

Dziwnie się czuł, czając się pod przedszkolem w samochodzie po drugiej stronie ulicy. Wreszcie zobaczył Agatę, która szybkim, nerwowym krokiem weszła na teren placówki. Czy go zauważyła? Mało prawdopodobne. Gdy po chwili wyszła z dzieckiem, wysiadł, by podejść, lecz nieznacznym gestem dłoni kazała mu zostać na miejscu. Bez słowa wskoczyła do auta na tylne siedzenie razem z dzieckiem.

— Cześć. Jedźmy do domu.

— Wszystko w porządku? — Zerknął do wstecznego lusterka na wyraźnie zestresowaną kobietę.
— Do twojego domu?

— No a dokąd? — zapytała. — Tylko nie pod samą klatkę. Powiem ci. Jedź.

Wojtek posłusznie ruszył, ale nie mógł się oprzeć temu, by nie zaglądać do tyłu. Agata była spięta i milcząca. Może nie chce mówić przy dziecku, może nie czuje się bezpiecznie. Kilka razy odwróciła się, jakby sprawdzała, czy ktoś za nimi jedzie. Nabrał pewności, że ona coś wie i to będzie dobry trop.

— Tutaj stań, za tym srebrnym. Przejdziemy przez klatkę obok — zdecydowała.

— A czemu, mamusi?

— To taka zabawa, wiesz? — odezwała się do synka. — Chodź, będzie fajnie. Pojedziemy sobie dwiema windami. Wyjątkowo, tylko dziś.

Po wejściu do mieszkania Agata wręczyła synowi telefon, podłączywszy do niego słuchawki, i pozwoliła mu pograć w ulubioną grę. Chłopiec zaskoczony nieoczekiwaną rozrywką zniknął za drzwiami maleńkiego pokoju, a ona pospieszyła do kuchni. Nie zwracała uwagi na Wojtkę, więc poszedł za nią. Musiał powstrzymać się, by nie zasypać jej pytaniami. Tymczasem bez słowa wyjęła z lodówki jogurt, nałala do dużej szklanki soku i poszła do dziecięcego pokoju.

— Za dwie godziny muszę lecieć do pracy, więc mam mało czasu — ostrzegła po powrocie.

— Zamieniam się w słuch. — Zamiast zadać własne pytania, postanowił najpierw jej wysłuchać.

Usiadł, a ona podeszła do brzegu okna i ostrożnie, jakby nie chciała zostać zauważona, wyjrzała na ulicę.

— Nie ma ich od wczoraj. Chyba dali sobie spokój — powiedziała.

— Kogo?

— Karolina — zaczęła, ignorując jego pytanie — bardzo się zmieniła. Pod koniec, rozumiesz. Ja byłam pewna, że ta choroba, nie wiem, co to było, ale wyglądało to tak, jakby przy tym coś miała z głową.

Wybacz, że tak mówię, nie powinnam. Słuchaj, ona tak mówiła, że nie wiedziałam, o co jej chodzi. Raz, że Dawida ktoś na nią nasłał, że on ją kontroluje, czegoś szuka, lecz ona nie pozwoli, by znalazł, że podaje jej leki, które wywołują te objawy. Dała mi nawet kilka różnych tabletek, bym znalazła w policji kogoś, kto by to sprawdził, wiesz, co to są za substancje. Tylko że ja nie mam tam aż takich znajomości, nikt mi ot tak za darmo i na lewo tego nie sprawdzi. Innym razem twierdziła, że się pomyliła, że to nie Dawid, tylko ktoś inny, albo że jej się wydawało, bo choroba robi jej sieczkę z mózgu. Jednego tylko była cały czas pewna — spojrzała Wojtkowi prosto w oczy — że ty jesteś godny zaufania. I w razie czego mam rozmawiać tylko z tobą, bo pewnie przyjedziesz i będziesz szukał odpowiedzi. Zostawiła mi notatkę. Obiecałam, że dam ją tylko tobie, nieważne kiedy. — Poszperała między gazetami leżącymi w stosiku na parapecie i wyjęła złożony na pół stary paragon. — Specjalnie na tym napisała, by nie rzucało się w oczy. Miała obsesję, by nikt się tym nie zainteresował. Dlatego to taki świstek wśród innych starych papierów. Nie mówiła, że mam nie czytać czy coś, ale spójrz, to i tak kompletny bezsens. Nie wiem, może ty coś z tego zrozumiesz. Karola przykładała do tego wielką wagę. Chciałam do ciebie zadzwonić, lecz mi zabroniła. Powiedziała, że choćby nie wiem co, mam nie dzwonić, nie kontaktować się, nawet jakby umarła... Wtedy to się wydawało takie niedorzeczne... Powiedziała: „Choćby nie wiem co, nawet gdybym z tego nie wyszła”. Pamiętam, jak to mówiła. To, to było ostatnie, co... — Spuściła wzrok, jej broda zaczęła się trząść, a głos się urwał.

— Mamo! A mogę to? — Głos Kuby sprawił, że oboje podskoczyli. Podbiegł do niej i podsunął jej telefon tuż pod nos. — Mogę?

— Nie, Kuba, nie ruszaj innych aplikacji. Masz swoją grę. Jeśli nie chcesz już grać, oddaj. — Wyciągnęła rękę.

— Ale ja jeszcze chcę! Mamo!

— To idź do siebie i pamiętaj, tylko to, na co ci pozwoliłam. Jeszcze dziesięć minut.

Gdy kończyła zdanie, chłopiec już biegł do siebie.

— Dobrze!

— Wojtku, ja nie wiem... — podjęła, gdy drzwi pokoju trzasnęły. — Cały czas myślałam, że ona zwyczajnie zwariowała. Przepraszam, ale naprawdę tak to wyglądało. Zaczęła podejrzewać nawet swoje koleżanki, szefową... Chwilami zachowywała się jak obłąkana. Mówiła o czymś, potem jakby nigdy tego nie było, mówiła coś zupełnie sprzecznego z wcześniejszym. Tylko mnie jakoś zaufała, ale też nie do końca, bo nic nie zdradziła, dlaczego niby ktoś miałby chcieć się jej pozbyć, zrobić jej krzywdę. Nawet ten świstek... — wskazała kawałek papieru — wygląda jak kompletny bezsens. Potem, po jej śmierci — ściszyła głos — wiesz, ja wychodzę i wracam o różnych porach, zwykle nie natykam się na tych samych ludzi. Zauważyłam, że ktoś obserwował mieszkanie, pilnował je. I słyszałam — wskazała palcem sufit — ktoś tam chodził, coś przesuwiał, jakby szukał. Myślałam, że to Dawid, ale potem widziałam takich dwóch, co wychodzili z klatki, i potem też ich widziałam. Siedzieli w samochodzie, jakby czekali na kogoś. Długo tak siedzieli. Na mnie zupełnie nie zwracali uwagi, ale i tak się boję. Nie wiem, w co wdepnęła Karolina, ale uważaj.

— A ten Dawid? Był z nimi? — Zerkał na trzymany w ręku papier.

— Nie widziałam. On wydawał się naprawdę w porządku. Tak się nią opiekował... Zanim zrobiło się z nią źle, ciągle pomagała mi z Kubą, kilka razy oboje się nim opiekowali i Kuba potem wciąż mówił, jaki to wujek Dawid fajny. Nie podejrzewałam niczego. Był bardzo serdeczny. Po pogrzebie nie rozmawialiśmy więcej. Nie pożegnał się, po prostu wyjechał. Czasem tak jest, że zupełnie nie znasz człowieka, nie wiesz, jaki jest tak naprawdę... — zakończyła ścisłym głosem i spuściła wzrok.

— A co z tymi tabletkami? Udało ci się je sprawdzić?

— Nie. — Zmieszała się. — Wiesz, myślałam, że to niemożliwe, bo jak... dlaczego? No i ona też w pewnym momencie, jak poruszyłam temat, że nie mam komu tego zlecić, zdziwiła się, nie pamiętała, że mi je dała. To było bardzo dziwne. Mam je nadal. — Wyszła szybko, nim zdążył poprosić o pigułki, i równie szybko wróciła z małym woreczkiem. — Proszę. To już pewnie nie ma znaczenia.

— Zobaczmy. Czy mówiła coś jeszcze? O Dawidzie albo żebyś mi przekazała?

— Nie. W zasadzie to wszystko. Ach! Muszę się zbierać do pracy. Kuba! — Zerwała się.

— Teraz?

— Tak. Nie mam nikogo, muszę kombinować, dlatego rano później niż zwykle idę na zmianę i załatwiłam sobie drugą, wieczorną, a Kuba chodzi razem ze mną. To cud, że mi na to pozwalają, ale to dlatego, że o tej porze już właściwie nikogo nie ma i stróż pożycza mi laptop, żeby go zająć. Wiem, to fatalne rozwiązanie, ale niczego lepszego nie udało mi się jak dotąd zorganizować. Czasowo musiałam zrezygnować z baru i komendy, ale... cóż, życie. Zbieraj się, Kuba! — zawołała do synka. — Muszę jeszcze zrobić kanapki. Jak wrócimy, idziesz od razu spać. — Agata znów zwróciła się do Wojtka: — Podwieziesz nas?

* * *

Lidia nigdy wcześniej tu nie była. Uświadomiła sobie, że w porównaniu ze swoim bratem właściwie nie wyściubia nosa ze swego rodzinnego miasta. No może z małymi wyjątkami i w czasie urlopu. Postanowiła to zmienić i uśmiechnęła się do siebie na myśl, że zaczęła to robić, nim uświadomiła sobie, że warto. Miasto zaskoczyło ją swym urokiem, zielenią, która dojrzewała i przybierała coraz cieplejsze, jesienne barwy. Zgodnie ze wskazówkami GPS-u dojechała na miejsce i zaparkowała dokładnie pod podanym przez Jeremiego numerem. Dziwnie się czuła, mając świadomość, że być może wkrótce stanie twarzą w twarz z Wiktorem, czyli Wojtkiem. Miała w sobie odrobinę strachu wymieszaną z podnieceniem i niepewnością. Co mu powie? Dlaczego się uparła go szukać? Czemu musi być upierdliwa i wsadzać nos w nie swoje sprawy? A może jest tak pazerna na kasę, że postanowiła go znaleźć, by ją odzyskać? Potrzeba tłumaczenia się z własnych decyzji wprowadzała ją dodatkowo w zdenerwowanie. Wcześniej sama sobie tłumaczyła, że robi to ze względu na Mateusza, lecz teraz wydawało się to absurdalne. Za późno było na krok wstecz, w końcu już przyjechała na miejsce.

Wysiadła i podeszła do domofonu. Przełknęła nerwowo ślinę i nacisnęła odpowiedni numer. Po chwili niepewnie powtórzyła. Nikt nie odpowiadał, nic się nie działo. Poczucie bezradności oraz absurdu nieoczekiwanie zaczęło wypierać niepewność. Czego oczekiwała? Przyjechała pod adres, który wskazał jej detektyw. Adres przyjaciółki, nie Wiktora. W dodatku nieżyjącej przyjaciółki. Mógł tu mieszkać już ktoś zupełnie inny. Ten ktoś wcale nie musiał znać Wiktora, a tym bardziej orientować się w tym, co on robi lub gdzie jest. I co teraz? Będzie tu koczować? Czekać? Liczyć na łut szczęścia?

Zazwyczaj była rozsądna, nie podejmowała pochopnych decyzji, lecz czasem, tak jak dziś lub wtedy nocą, decydowała się na spontaniczny krok, który pociągał za sobą łańcuch zdarzeń i wymagał kolejnych działań. Nie знаła miasta, nie wiedziała, co zrobić. Wsiadła z powrotem do samochodu i zaczęła się zastanawiać. Bezradnie się rozejrzała. Sznur równo zaparkowanych samochodów trwał w milczeniu. To była jedna z bocznych ulic przy osiedlu, gdzie stały wysokie, dumne bloki, których świeżo odnowiona elewacja i zadbana okolica wskazywały na to, że nie jest to smutne blokowisko, lecz przyjazne mieszkańcom miejsce. Tu było raczej zacisznie, chociaż co chwila przejeżdżał samochód, chodzili ludzie i dzielnica żyła swoim życiem. Przez jakiś czas obserwowała otoczenie, po czym uświadomiła sobie, że sama jest obserwowana. W samochodzie po drugiej stronie ulicy, kawałek przed nią, siedziało dwóch facetów, którzy beznamiętnym wzrokiem patrzyli wprost na nią. Gdy tylko to zauważyła, jeden, nie zmieniając znużonego wyrazu twarzy, odwrócił głowę w bok, a drugi spuścił wzrok na ekran komórki. Może na kogoś czekają. Włączyła silnik i nie bardzo wiedząc, dokąd się udać, powoli ruszyła. Mężczyźni zdawali się nie zwracać na nią więcej uwagi.

Jechała powoli, trochę zbyt wolno, skręciła za budynki. Nie wiedziała, dokąd zmierza. Nagle przyhamowała pod szkołą. Nie wierzyła własnym oczom. Oto Wiktor — na razie nie potrafiła inaczej o nim myśleć — wsiadał do samochodu z jakąś kobietą i dzieckiem. Nie zastanawiała się nad tym, po prostu ruszyła za nimi. Wkrótce zatrzymali się pod okazałym budynkiem, którego tabliczka oznajmiała, że jest to sąd rejonowy. Kobieta z dzieckiem wysiadła, a on ruszył dalej. Ulice stawały się coraz węższe i krótsze, ale wytrwale go śledziła. Po zabudowaniach i fragmentach starej kostki brukowej wynioskowała, że wjeżdżają na starówkę. Stylowe kamienice, przeważnie świetnie odrestaurowane, coraz węższe uliczki. Zaparkował na jedynym wolnym na pierwszy rzut oka miejscu. Pojechała za nim, lecz gdy podszedł do bramy, zatrzymała się na środku ulicy i niewiele myśląc, wysiadła.

— Wiktor! — zawołała, by zaraz się poprawić. — Wojciech!

Już miał otworzyć drzwi, gdy zerknął przez ramię i odwrócił się z powrotem. Zastygł. Nie

wiedziała, czy teraz po prostu wejdzie do środka, odwróci się ponownie, czy może zacznie uciekać. Był kompletnie zaskoczony. Po prostu stał i patrzył się na nią, jakby była przybyszem z innej planety. Ktoś zatrąbił z tyłu. Blokowała przejazd. Powinna zostawić auto na środku i podejść do niego? Wsiąść i odjechać kawalek? Bała się, że utrata kontaktu wzrokowego zniweczy cały wysiłek. Klakson powtórzył się dłużej i natarczywiej, a ona trwała w bezruchu. W końcu Wojtek oprzytomniał pierwszy i ruszył w jej kierunku. Obszedł pospiesznie samochód i bezceremonialnie wsiadł z prawej strony. Gdy tylko znalazła się wewnątrz, po prostu powiedział „Jedź”. Ruszyła posłusznie wciąż oniemiała.

— Skręć tu w lewo. Jeszcze raz tutaj. Jest miejsce, zaparkuj za tym Citroënem.

Wjechała w ciasną lukę i zgasiła silnik. Siedzieli bez ruchu i słowa, jakby jedno czekało na ruch drugiego. W końcu Lidia uznała, że teraz jej kolej. Odwróciła się do niego i spojrzała na znajomy profil. Wojtek wyglądał znacznie lepiej niż wtedy, gdy widziała go ostatnio. Teraz emanowała z niego siła, pewność siebie oraz coś, czego nie potrafiła określić. Powoli oderwał wzrok od widoku przed sobą i popatrzył na nią. Jego twarz bez zniekształceń, zapuchnięć, tuż przed nią, tak rzeczywista, że mogłaby jej dotknąć, błyszczące brązowe oczy, uważnie się w nią wpatrujące. Zmusiła się, by pozbierać myśli.

— Co tutaj robisz?

— A wiesz, przejeżdżałam akurat i cię zobaczyłam — wypaliła zirytowana pytaniem, które przecież musiał zadać. — Postanowiłam cię znaleźć — powiedziała po chwili, nim przemyślała swoją kwestię. Zabrzmiało to tak, jakby się tłumaczyła. — Wojciech Redyński. Nie będę pytać, dlaczego mnie okłamałeś co do...

— Tak, masz rację — przerwał jej dość szorstko. — Po co mnie szukałaś? Nie powinnaś była tego robić.

— Nie dawało mi to spokoju. Znalazłam tego faceta. Tego policjanta, który o ciebie pytał.

— Tak?

— Mieszka niedaleko mnie, w dzielnicy willowej. — Uważnie przyglądała się reakcji Wojtka, który na chwilę spuścił wzrok i przymknął oczy, jakby przypominał sobie coś, o czym chciałby zapomnieć. Tak jak on nie mogła zapomnieć tej postaci i nie dawało jej to spokoju. To był ostatni bodziec do działania. — Kiedyś ćwiczyłam lekkoatletykę. Dawno, wydaje się wieki temu. Poważna kontuzja skutecznie mnie zniechęciła, lecz potem brakowało mi ruchu, więc zwyczajnie, dla siebie biegałam codziennie rano po kilkanaście kilometrów. Potem znów odezwało się kolano. Ostatnio... Nie wiem, po co ci to mówię. — Pokręciła głową. — W każdym razie chodzi o to... — Miała zamiar przejść do sedna, gdy coś zauważyła.

— Tak?

— Nie ruszaj się, nie rozglądaj. Po lewej, kilka samochodów dalej... siedzą ci sami faceci, co pod tamtym domem.

— Jakim domem? — zaniepokoił się, lecz nie ruszył.

— Tym, gdzie mieszkała twoja przyjaciółka.

Wojtek zerknął na nią. Ile o nim wiedziała? Skąd mogła mieć wiadomości o Karolinie? Skąd wiedziała o nich? Sytuacja robiła się coraz bardziej niepokojąca.

— Kim oni są? — zapytał.

— Nie wiem, skąd mam to wiedzieć? Gdy byłam tam... swoją drogą moje kondolencje, jakkolwiek to głupio teraz brzmi. — Spojrzała na niego, lecz wyraz twarzy mu się nie zmienił. — Zauważyłam, że siedzieli w samochodzie, gapili się na mnie. Potem... nie zwróciłam uwagi, ale najwyraźniej mnie śledzili.

— Najwyraźniej. Słuchaj, spokojnie wycofaj i jedź. Pokieruję cię i spróbuję im się przyjrzeć, a potem ich zgubimy.

Lidia wyjechała z ciasnego parkingu, a Wojtek starał się dyskretnie znaleźć wzrokiem mężczyzn. Nie chciał, by zorientowali się, że ich zauważył. Nie wiedział, co zrobią. Niestety miał szansę widzieć tylko bok i tył ich głów przez bardzo krótką chwilę. Gdy byli u wylotu ulicy, spojrzał za siebie i zobaczył, że również ruszyli.

— Teraz będziesz musiała trochę przyspieszyć i wmieszać się między inne samochody — zarządził. — Skręć w prawo, teraz w lewo i wymiń tego busa. Dobrze, tu jeszcze raz w prawo,

w Krupniczą, i szybko!

— Jak szybko?! Pusto nie jest!

— Dobra, w lewo, jedź do końca! — mówił, wyrzucając z siebie słowa. — Okej, tu w prawo.

Nie zatrzymuj się!

— Nie mam pierwszeństwa! Mam się pchać?!

— Tak, na litość boską! Zbliżają się!

Lidia skręciła, wymuszając pierwszeństwo, i wpadła z impetem na przejście dla pieszych. Na szczęście nikt nie przechodził na drugą stronę.

— Prosto?

— Nie, zjedź na pas do skrzyżowania w prawo.

W ostatniej chwili skorzystali z zielonego światła, a w zasadzie z pomarańczowego, odcinając ogon, który utknął między innymi samochodami. Niestety zaraz i oni stanęli w następnej kolejce do skrzyżowania, a śledzący ich ludzie spokojnie dołączyli dwa pojazdy za nimi.

— Cholera! Wiem, co zrobimy. Stań na skrócie w lewo, a jak się tylko zrobi zielone, jedź prosto. Musisz się zmieścić, zanim inni ruszą — rzucił, myśląc gorączkowo nad kolejnym krokiem.

Lidia, wykonawszy bezbłędnie polecenie, zerknęła w lusterko, pogoń została zablokowana w tyle. Już prawie odetchnęła z ulgą, gdy Wojtek krzyknął:

— Tu, w prawo! Jedź! Zaraz nas dogonią. Śmiało w podwórko, wyjedziesz drugą stroną! Miejmy nadzieję, że nie znają dobrze każdej dziury w tym mieście.

Manewrując między ciasno zaparkowanymi samochodami, omal się nie zaklinowała. Teraz była chwila na oddech. Lidia wytarła spocone dłonie o dżinsy. Po pewnym czasie powoli wyjechała na ulicę i włączyła się do ruchu.

— Gdzie teraz? Widzisz ich? — zapytała nerwowo.

— Są gdzieś z przodu. Jedź na deteeskę, okrążymy miasto i wjedziemy z drugiej strony.

— Co? Nie wiem...

— Spokojnie, pokieruję cię — przerwał jej. — Zjedź na prawy pas i za światłami w lewo, na końcu ulicy pojedziemy w Orlickiego i potem już będzie zjazd. Wolniej. Nie zwracajmy na siebie uwagi. Chyba ich zgubiliśmy. — Cały czas się rozglądał.

* * *

— Jak to śledzili was? — Edyta była zła z kilku powodów, a brak własnego auta tego dnia był już najmniej istotnym z nich. Wojtek i Lidia wrócili do domu Edyty, zostawiając samochód na podwórku kilka przecznic dalej. Gdy weszli do mieszkania, była w domu. Wojtek przedstawił Lidie, którą skojarzyła z relacji, jaką usłyszała niedawno od Wojtka. Nie była zbyt zaskoczona jej wizytą.

— Zdajesz sobie sprawę, że skoro jechałeś moim autem, namierzają mnie i nie będziesz tu bezpieczny? Już nie jesteś.

— Spokojnie. Nie jechałem twoim, tylko jej.

— A gdzie jest moje?

— Prawie przy rynku. Jechali za Lidie prawdopodobnie od Gagarina. Niekoniecznie musieli wiedzieć, z jakiego samochodu wysiadłem. Przyjechałem z Lidie i zgubiliśmy ich, jak mówiłem, tak?

— Dobrze, dobrze, rozumiem. Gdzie zaparkowaliście? Trzeba schować jej auto!

— Na razie stoi na podwórku, spokojnie, wieczorem coś się wymyśli. — Wojtek był nadal zdenerwowany, lecz starał się nie podgrzewać atmosfery, Edyta sama dawała świetnie radę. Tylko Lidia siedziała, milcząc. Nadal nie wiedział, co ona wie i co chciała mu powiedzieć.

— Potem przejdę się na Powstańców po swój wóz, którego nie będziesz więcej ruszał — powiedziała Edyta z naciskiem. — A ty odstawisz jej auto do garażu moich rodziców w Łabędach. To kawałek, tam raczej szukać nie będą.

— A twoi rodzice? Będą pytać.

— Nie, nie korzystają z tego garażu. Mam swoje klucze. Koniec tematu. Natomiast — zwróciła się ku Lidie — jestem ciekawa, co ty tutaj robisz.

Lidia czuła się całkowicie zdominowana, zagubiona i zaczynała się zastanawiać, czy nie lepiej

było posłuchać Jeremiego, spokojnie czekać na informacje we własnym domu. Albo w ogóle nie zaczynać poszukiwań i skupić się na swoim życiu, które mimo że wydawało się nudne, przynajmniej było bezpieczne. W kieszeni kurtki znowu rozdzwonił się telefon tłumiony przez materiał ekoskóry. Zerknęła na wyświetlacz, gdzie kolejny raz widniało imię Olgi, która dobijała się do niej od dobrych dwóch godzin. Wyciszyła telefon.

— Lidia ma dla mnie jakieś istotne informacje, prawda? — Wojtek również wlepił w nią wzrok, oczekując odpowiedzi.

Lidia przeniosła wzrok z Edyty na niego i znów na Edytę, która ze zniecierpliwieniem uniosła brwi.

— Tak... zobaczyłam... ten facet, który udawał policjanta i cię szukał, to Sebastian Barecki, mieszka w domu jednorodzinym niedaleko mojego osiedla. To dom jego ojca, schorowanego staruszka, syn się nim opiekuje, przynajmniej teoretycznie. — Uznała, że im krócej, tym lepiej. Nie było sensu rozwlekać i opowiadać, jak to zaczęła znów troszkę biegać, rozszerzała swoją trasę, zobaczyła znajomą twarz w samochodzie wyjeżdżającym akurat z garażu, wyjęła potem ze skrzynki na listy wystającą korespondencję adresowaną do Jerzego Bareckiego i zleciła Jeremiemu, który chyba wkrótce rzuci inne zlecenia, by pracować tylko dla niej, aby sprawdził to nazwisko.

— Czy... czy ty nie mówiłaś, że przetrzymywali cię w piwnicy jakiejś willi? — wtrąciła Edyta, odrywając wzrok od Lidii.

— Przetrzymywali? — Lidia zapytała odruchowo. Natychmiast skojarzyła warstwę piasku, która była widoczna zza furtki i pokrywała kawałek chodnika tuż przy ścianie budynku. Piaskiem sypie się zimą, by nie było ślisko, gdy mróz ściśnie mokrą nawierzchnię, a jest dopiero początek września. Po co więc ten piach? By coś przysypać? Ukryć? Jakiś smar, bród... krew? Przypomniała sobie, w jakim stanie był Wojtek, gdy go znalazła. — Byłeś tam? — zapytała nieswoim głosem.

— To tam? — niemal jednocześnie zadała pytanie Edyta.

Wojtek przeniósł spojrzenie z Lidii na Edytę i z powrotem. Podszedł do okna i spojrzał w górę na chmury, które przesuwają się po błękicie, jakby były wagonami jadącego pociągu. Równomiernie, dość szybko i nieskończenie. Zupełnie jak jego życie, chociaż inaczej, gdyż ono pozbawione było tego hipnotyzującego spokoju, regularności i ciszy. Przypomniał sobie tamten dom. Dom, do którego nigdy nie chciałby wrócić, ludzi, których nigdy więcej nie chciałby spotkać. Sebastian Barecki. Więc tak nazywa się ten zwalasty, wyrosnięty ponad miarę i brutalny facet. Nie docenił Lidii. Znalazła go, wysłedziła tamtego i poznała jego personalia. W zasadzie ich obu. Dlaczego i przede wszystkim jak?

— Z kim współpracujesz? — zadał pytanie i odwrócił się do Lidii, przyglądając ją wzrokiem.

— Słucham?

— Kim jesteś? Z kim albo dla kogo pracujesz? Jak mnie znalazłaś? — Wyrzucał pytania jedno za drugim i miał minę człowieka, który nie spocznie, póki nie otrzyma odpowiedzi. Gdy wybrzmiały, zaległa cisza.

Lidię paliło spojrzenie dwóch par oczu i poczuła się, jakby była czemuś winna. Sama chciałaby wiedzieć, kim oni są oraz o co w tym wszystkim chodzi. Powoli narastały w niej złość i frustracja. To ona przyjechała tu po odpowiedzi, ona miała zamiar wyjaśnić, kim jest Wojtek, który był Wiktorem, tymczasem odniosła wrażenie, że jest na przesłuchaniu.

— Znalazłam cię — zaczęła w końcu powoli mówić, cedząc słowa — bo wywróciłeś mi życie do góry nogami. Mój brat kłamie albo ty kłamiesz, ewentualnie obaj łżecie. Muszę się dowiedzieć, kim jesteś i w co władował się Mateusz, rozumiesz? A to, dla kogo pracuję, albo raczej kto pracuje dla mnie, to moja pieprzona sprawa!

Mierzyli się wzrokiem i wyglądało na to, że żadne nie ma zamiaru przestać, co mogłoby przedłużyć się w nieskończoność, więc Edyta, która obserwowała ten pojedynek, postanowiła interweniować, zwracając się do dziewczyny:

— Hej, nie ma co się unosić. Słuchaj, nie znamy cię, tak? Wiesz sporo i trochę mnie zatkało, bo z tego, co on mi mówił — wskazała ręką na Wojtkę — tylko zgarnełaś go z ulicy i nie miałaś o niczym pojęcia.

— To „tylko” jest już nieaktualne. — Lidia odpowiedziała Edycie, niechętnie przenosząc na nią

wzrok. — Tak się składa, że byłoby „tylko”, gdyby nie zaczęły się dziać niepokojące rzeczy. A on, od niego się zaczęło. — Wskazała oskarżycielskim palcem na Wojtka.

— Dobrze, bądźmy dorośli. — Edyta uniosła obie dłonie, pokazując ich wnętrza. — Ustalmy i wyjaśnijmy konkretnie, co wiemy. Dzięki tobie — wskazała na Lidię — wiemy, że typ, który cię trzymał w piwnicy — teraz spojrzęła na Wojtka — to prawdopodobnie Sebastian Barecki. Mamy jego adres, dane, możemy dowiedzieć się, dla kogo pracuje. W ten sposób po nitce... Możesz dowiedzieć się o nim coś więcej?

— Mogę spróbować. Tylko ja bezpośrednio się tym nie zajmuję.

— A kto? — Wojtek musiał wiedzieć, czuł, że wszystko zaczyna się rozrastać i traci nad tym kontrolę.

— Detektyw, który ciebie znalazł. Dobry jest, jak widać — powiedziała. — Teraz ja chciałabym się dowiedzieć wreszcie, chociaż to pewnie zupełnie nie moja sprawa, po co tu się fatygowałam. Dlaczego ten Barecki trzymał cię w piwnicy? Kto cię potem dopadł pod moją klatką i w jakim celu? A i jeszcze jedno: czy ma to związek z narkotykami?

Wojtek i Edyta wymienili zaniepokojone spojrzenia, które potwierdziły obawy Lidii co do tego, że wszystko jest jakoś powiązane i Mateusz naprawdę może być wplątany w coś, co wiąże się i z Wojtkiem, i z narkotykami.

— I tak się dowiem, więc może jednak mnie oświecicie — dodała, gdy nie padła żadna odpowiedź, a chwila ciszy niemal namacalnie gęstniała w powietrzu.

Dzwonek do drzwi sprawił, że wszyscy podskoczyli. Edyta zerwała się w panice, uderzyła się otwartą dłonią w czoło i teatralnym szeptem powiedziała:

— Ja pierdziele, to Marta. Umówiliśmy się, że po mnie podjedzie.

— Spław ją jakoś — podpowiedział cicho Wojtek.

Gdyby nie cała ta konspiracja, Edyta roześmiałaby się w głos.

— Martę? Prędzej złodzieje przestaną kraść i komary kąsać, niż ktokolwiek ją spławi. Wyjdę z nią, tak jak pierwotnie planowałyśmy, a wy bądźcie cicho. Nie ma was tu. Jak wrócę, wszystko mi powiesz albo najlepiej ją nagraj. — Zawahała się na chwilę. Nie chciała opuszczać tej rozmowy, ale natarczywy dzwonek ją ponaglił. Złapała kurtkę, torebkę i już jej nie było.

* * *

— Tamtej nocy uciekłem z piwnicy domu, o którym mówiłaś. A znalazłem się w niej, ponieważ odkryłem punkt przerzutowy narkotyków w firmie, gdzie pracowałem. Zbierałem dowody od jakiegoś czasu, zabezpieczałem kopie tu, u mojej przyjaciółki, która jako jedyna była w to bagno wtajemniczona. Nie doceniłem ich. Wszystko, co zebrałem u siebie w domu, prawdopodobnie szlag trafił. Ja oberwałem, a Karolina nie żyje i nie ma też śladu po tym, co miała. Wszystko wskazuje na to...

— Że została zamordowana — weszła mu w słowo Lidia. — No, a co na to policja? Prowadzą śledztwo?

— Jaka policja? — Roześmiał się gorzko. — Teraz nie mam co pokazywać się policji.

— A to morderstwo?

— Nie było morderstwa. Karola zachorowała, a potem... potem zmarła — powiedział, po czym odwrócił się, by nie zobaczyła napływających mu do oczu łez. Czuł, jak niewidzialna obręcz zaciska się na jego gardle. Zamilkł na moment. — Niewykluczone, że jej facet truł ją czymś z tragicznym skutkiem, a potem się zwinął i śladu po nim nie ma.

— To trzeba go znaleźć.

— A wiesz, że nie wpadłem na to? — ironizował.

— Mam dobrego detektywa, mogę ci polecić — spróbowała trochę rozładować sytuację.

— To nie jest śmieszne — burknął. — Chociaż pomysł dobry — powiedział po zastanowieniu.

— Mam imię i nazwisko, no i to, że mieszka i pracuje w Warszawie, albo tylko tak mówił. Żadnych zdjęć. Może Edyta będzie umiała go szczegółowo opisać.

— To już coś.

10 *Šťastný nový rok!* (cz.) — Szczęśliwego nowego roku!

Gliwice, maj 2019, Karolina

Jak dobrze wrócić do świata żywych. Powoli odzyskuję kontrolę nad moim życiem i nigdy bym nie przypuszczała, że akurat taka sytuacja mnie spotka, z czegoś takiego będę cieszyć się jak dziecko. To, że Dawid pojechał do Warszawy, jest mi teraz bardzo na rękę. Przy nim nie potrafię się zdecydować, miotam się, szukam usprawiedliwień, nie chcę go obwiniać i z pewnością nie chcę, by był winny. Jego głos, oczy, dotyk wciąż działają na mnie jak afrodyzjak. Obawiam się tylko, że jest wysoce trującym eliksirem, choć smakuje niebiańsko i tak trudno jest się mu oprzeć. Potrzebuję dystansu. Teraz mam szansę.

Z każdym dniem czuję się silniejsza. Nie jest to jakiś wielki postęp, ale z pewnością zauważam zmianę. Wyrzuciłam z domu wszystko, dosłownie wszystko, co było do jedzenia. Nawet cukier, kawę i płatki, które jadam bardzo rzadko. Marta pomogła mi w zakupach, dziwiąc się, że tak nagle różne produkty mi się pokończyły. Nie mówiłam jej o moich podejrzeniach — nie chcę, by zaczęła to roztrząsać, dawać mi tony rad. Nie jestem gotowa wyrzucić Dawida ze swego życia. Pomimo wszystko. Za bardzo się zaangażowałam, może to jakaś odmiana syndromu sztokholmskiego? Zastanawiam się nad psychoterapią. A co, jeśli zaczynam wariować, wpadam w psychozę, wymyślam misternie utkany spisek, który istnieje tylko w mojej głowie? W każdym razie mam jeszcze prawie trzy tygodnie, by ochłonąć, skierować moje życie na właściwy tor i zdecydować, co dalej. Muszę to przemyśleć, przetrwać, zrozumieć, nim wtajemniczę dziewczyny i zaczniesz się wspólne analizowanie. Elementem normalności jest praca. Jednym z małych celów do zrealizowania — udowodnienie Annie, że nie jestem już chora, wracam do formy i znów można na mnie polegać, natomiast wcale nie trzeba trzysta razy dziennie pytać, czy dobrze się czuję, czy nie chciałabym wcześniej wyjść oraz czy na pewno nie potrzebuję podwózki do domu. Przynajmniej Sonia nie męczy mnie jak szefowa. Robi swoje, czasem tylko przewróci oczami lub uśmiechnie się porozumiewawczo, gdy Zelikówna rzuci jakiś głupi tekst. Jedyne, co dla mnie robi, to kawę lub herbatę, gdy i dla siebie zaparza.

* * *

Dziś odebrałam Kubę z przedszkola i trochę się przestraszyłam, kiedy byliśmy w sklepie. Uprosił mnie, by wstąpić po lizaka, bo pani ze świetlicy bardzo go pochwaliła i powiedziała, że należy mu się nagroda. Pomyślałam, że przy okazji kupię sok i lody. Przy lodówce tak zakręciło mi się w głowie, że omal nie zwałam puszek z piwem, które stały na regale obok. Zimny pot wystąpił mi na czoło, a koszyk z dwoma litrami soku nagle stał się potwornie ciężki, nie do utrzymania. Szybko postawiłam go na podłodze i pochyliłam się nad otwartą zamrażarką. Chłód pomógł mi odzyskać równowagę. Zapłaciłam za soki i lizaka, po czym wyszłam na chwiejnych nogach, ściskając dłoń Kuby, który jak nakręcony mówił coś, czego sens do mnie zupełnie nie docierał. Boję się, okropnie się boję. Nie mogę jednak ufać swojemu organizmowi. Mam pod opieką dziecko, a sama jestem nieobliczalna. Męczą mnie wyrzuty sumienia wobec Agaty. Zapewniłam ją, że ze mną już wszystko w porządku, wyzdrowiałam i z całą pewnością mogę zająć się Kubusiem. Żeby tylko Dawid był w pobliżu... Siedzę i myślę, podczas gdy chłopiec z wysuniętym językiem rysuje kolejnego dinozaura. A gdyby Kuba dostał coś z trucizną? Czuję narastającą panikę. Spokojnie, przecież nic mu nie dolega. Dałam mu tylko sok i owoce, które wczoraj kupiłam. A może to nie żadna trucizna, żadne zabiegi Dawida, może to po prostu... ja. Tyłu ludzi zdrowych, silnych czasem nagle zapada na choroby, walczy o życie. Pani Maria też nigdy nie chorowała. Zmarła zupełnie niespodziewanie, jakby chciała uniknąć kary. A może zachorowała? Nie interesowałam się tym przecież aż tak. Umarła to umarła. Przynajmniej nikogo więcej nie skrzywdziła. Siedzę i patrzę na jasne włosy dziecka. Wciąż czuję się niepewnie. Agata byłaby przerażona, gdyby wiedziała, że jej syn jest pod opieką kogoś, kto w każdej chwili może zemdleć.

* * *

Nic jej nie powiedziałam. Agata późno wróciła, przeproszała za obsuwę. Mam jej klucze, więc po kolacji przenieśliśmy się do mieszkania piętro niżej. Poczytałam Kubie bajki po kąpielii i położyłam

go spać. Ich mieszkanie jest zupełnie inaczej urządzone, co sprawiało wrażenie, jakby było inne niż moje, chociaż ma identyczny układ i wielkość. Próbowałam się zmusić do myślenia o remoncie, wprowadzeniu konkretnych zmian, może przeniesieniu się ze spaniem do byłego pokoju Marty i przerobieniu mojego na mały salon, mogłabym zburzyć ściankę dzielącą go od kuchni i uzyskać przestrzeń podobną do tej u Agaty. O ile właścicielka by się zgodziła. Ciągle jednak moje myśli uciekały do wizyty w sklepie, Dawida, strachu... Myślałam, by porozmawiać o tym właśnie z Agatą, lecz doszłam do wniosku, że to zły pomysł, by zrzucić na nią kolejny ciężar. Miałam ją odciążyć, pomóc jej, a nie dodawać trosk. Martwiłaby się nieustannie, czy Kuba jest bezpieczny, co ze mną będzie, może wzięłaby mnie za wariatkę. Gdy wróciła ze zmęczeniem malującym się na twarzy, tym bardziej byłam pewna, że lepiej nic nie mówić. Porozmawiam z dziewczynami. Edyta i Marta zaczną panikować, analizować, ale im mogę się zwierzyć. I zadzwonię do Wojtka. Zaraz z rana. Najpierw muszę się położyć. Wysłałam od Agaty, czując się względnie dobrze, ruszyłam schodami, bo to tylko jedno piętro. W połowie schodów znów poczułam mrowienie. Resztę drogi pokonałam na czworakach. Gdyby ktoś mnie oglądał, byłby pewien, że jestem pijana w sztok. Najważniejsze, że dotarłam, po kilku próbach wsunęłam klucz w dziurkę, która troiła mi się w oczach, i oto jestem. Siedzę na własnym łóżku, we własnym domu i jestem sama, bezpieczna. Mam plan. O wszystkim im opowiem, niech zdecydują, czy oszalałam, czy może jednak nie. Teraz nie dam rady, świat wiruje coraz szybciej, zaciskam powieki i czuję mdłości, kładę się, czekam, jest lepiej, ale muszę, muszę spać. Wyśpię się. Rano wszystko zrobię, rano...

Wieś pod Bydgoszczą — Sopot, wrzesień 2019

To zupełnie nie było mu po drodze. Rozwiózł, co miał rozwieźć, a że nie dostał następnych zleceń, miał nadzieję na wolny dzień. Rudi wyraźnie powiedział o kilku dniach odpoczynku po zaspokojeniu potrzeb blondyny, jak to ujął, rechocząc ze swego dwuznacznego tekstu. Mati właśnie był w drodze do domu, dokąd miał tym razem dość blisko. Nie żeby Matylda robiła mu wyrzuty. Co to, to nie. Nie była taka jak Julia. Miała dystans, rozumiała jego pracę i nie chciała wiedzieć za dużo. To była jedna z cech, które tak bardzo mu się w niej podobały. Zwyczajnie tęsknił. Chciał ją zobaczyć, poczuć choćby na chwilę stabilizację, bezpieczeństwo własnego domu, znowu utulić córeczkę, być z rodziną. Tak po prostu. Wiedział, że tym razem nie może wszystkiego popsuć, a tolerancyjne podejście jego nowej żony nie zwalnia go z bycia mężem i ojcem. Tymczasem Rudi wydał krótkie polecenie: „Wstąpisz po drodze z autem do warsztatu we wsi pod Bydgoszczą, to po drugiej stronie Wisły. Kieruj się na razie na miasto. Jak będziesz na miejscu, wyślę ci współrzędne”. Nim Mati zdążył zaprotestować, rozłączył się. Po co do warsztatu z nowym samochodem, z takim nowym samochodem? Próbował oddzwonić, lecz Rudi nie odbierał. Wysłał SMS, nie dostał odpowiedzi. Chcąc nie chcąc, zjechał z drogi S6 na jedenastkę. Miał tylko nadzieję, że to opóźni powrót do domu najwyżej o kilka godzin, nie dni. Prawdopodobnie miał stamtąd coś odebrać i potem komuś dostarczyć. Nie uśmiechało mu się wozić towaru do Sopotu, mieć w swoim garażu... Wolał jednak to, niż znowu zostać wysłanym gdzieś na drugi koniec kraju, gdy był już całkiem blisko rodziny i naprawdę miał nadzieję na kilka dni wytchnienia. Jasne, nie narzekał. Zarabiał dobrze, mieszkał w luksusowych hotelach i jadał w świetnych lokalach. W dodatku miał furę marzeń, na którą nie byłoby go stać nawet za dziesięć lat.

Ledwo wjechał na peryferie miasta, gdy otrzymał SMS-em adres. Wprowadził nowy cel w nawigacji. Wkrótce minął sklep IKEA i mostem Fordońskim przekroczył Wisłę w kierunku Strzyżawy. Warsztat znalazł na kompletnym zadupiu, gdzie według nawigacji nie ma zupełnie nic. Skręcił z wąskiej drogi w jeszcze węższą żwirową. Jego oczom ukazał się nędzny barak, przed którym piętrzyły się stare opony, części i pospolity złom. Jego nowy samochód wyglądał na tym tle jak z zupełnie innej bajki. Z wnętrza otwartej, ciemnej jamy budynku wyłonił się mężczyzna w sztywnych od brudu i smarów ogrodniczkach, których koloru nie można było się domyślić. Machnął ręką na Mateusza i odwrócił się, by pójść za barak. Mati powoli ruszył za nim. Nic się nie działo, więc po chwili czekania wysiadł i rozejrzał się. Niewielki plac za warsztatem pasował do frontu. Po lewej stronie stał szkielec półciężarówki, której pozbawione powietrza koła zarastała bujna trawa. Obok leżały porzuczone części karoserii. Z drugiej strony parkowały leciwe, lecz prawdopodobnie jeżdżące dwa auta. Mężczyzna

stał i patrzył na Matiego, czekał cierpliwie, aż ten znów uraczy go spojrzeniem. Wtedy znowu machnął ręką, odwrócił się i poszedł w kierunku samochodów, które wyminął. Za gęstymi krzakami wydeptana ścieżka skręcała w prawo. Szli chwilę między drzewami i krzewami zasłaniającymi jakikolwiek widok. W końcu doszli do sporej jak na takie domki dachy. Tutejsze otoczenie było już dużo ładniejsze, zadbane, trawnik gęsty i ładnie przystrzyżony, a całość otaczały krzewy i gęsty las.

— Pan wchodzi — mruknął przewodnik i pospiesznie odszedł z powrotem, mijając Matiego.

Mati wszedł więc do środka. Drewniane wnętrze, w całości wyłożone lakierowaną na wysoki połysk boazerią, zdawało się przenosić go w lata osiemdziesiąte zeszłego wieku. Podobnie obrazki, wyposażenie, meble. Wszystko pasowało do minionej epoki.

— Halo? — Miał wrażenie, że nikogo tam nie ma.

— A jesteś! Bardzo się cieszę! — Niski, basowy głos niemal wprawił w drganie powietrze wokół, wypełniając ciche wnętrze. — Wejdz dalej. Rozgość się. Taaak. — Mężczyzna lekko pchnął go przed sobą i poklepał po plecach jak dobroduszny wuj, którego dawno nikt nie odwiedzał. — Nie bój się, nie bój. No, siadaj, pogadamy.

Mateusz usiadł posłusznie w paskudnym fotelu obitym grubym, sztywnym materiałem w brązowo-beżowe kwiaty. Dopiero teraz mógł spojrzeć na gospodarza. Starszy, siwy mężczyzna niskiego wzrostu wyraźnie się garbił, co sprawiało, że wyglądał na jeszcze drobniejszego i bardziej niepozornego. Poniżej szczupłych, wątlých ramion okrąglił się spory brzusek, rozpychający się pod połami wytartej skórzanej kamizelki narzuconej na spłowiałą kraciastą koszulę. Mati miał ochotę wstać i wyjść, pewien, że zaszła jakaś pomyłka, źle skręcił, źle trafił, pewnie pomylił drogę. Wzrok mężczyzny jednak przywoździł go do fotela.

Starszy pan, podpierając się jedną ręką, powoli zajął miejsce naprzeciw. Gdy usiadł, wydawał się jeszcze mniejszy i groteskowy. Tylko oczy badawczo wwiercały się w gościa, wyrażając coś pomiędzy zadowoleniem, rozbawieniem a drapieżnym skupieniem na ofierze.

— Mateusz Szwed. Cieszę się, że mogę cię poznać, młody człowieku. Słyszałem wiele dobrego. Taaak. Istotnie. — Przerwał na chwilę, jakby dawał szansę na odpowiedź, lecz Mati skonsternowany milczał. — Basiu, Basiuniu! Przynieś nam nalewkę i to swoje ciasto! — zawołał bez wysiłku, a jego głos zawibrował z siłą, jakiej Mati nigdy nie spodziewałby się u takiego niepozornego człowieka. Człowieka, który nie spuszczał go z oka. — Jak ci się jeździ nowym samochodem?

— Bardzo dobrze — wydukał Mati, starając się z całych sił, by głos mu nie drżał. — Czy...

— Oj tam, drobiazg. — Mężczyzna machnął ręką. — Doceniam dobrych pracowników. Rudi miał co do ciebie nosa. Sprytny jesteś. To się chwali. Taaak. O, dziękuję, Basiu. To nalewka własnej produkcji. Lepszej nie wypijesz nigdzie. Można powiedzieć, moje dziecko.

Nalał do kieliszków rubinowy napój przyniesiony przez kobietę, która cicho i szybko wykonała swoje zadanie, po czym zniknęła, nie pozostawiając po sobie właściwie żadnego wrażenia, i gdyby nie taca z alkoholem, szkłem, ciastem oraz talerzykami, nie byłoby po niej najmniejszego śladu, a Mati nie zauważyłby, że w ogóle tu była. Patrzył na mężczyznę coraz większymi oczami i nie wiedział, jak się zachować. Domyślał się teraz, że to ten sławny Mecenas, lecz nie tak go sobie wyobrażał. Jakim cudem ten leśny dziadek... Chciałby się upewnić, zapytać, tylko jak? „Przepraszam, a jak pana godność?” albo „Czy pan to Mecenas?”. Jego rozterki musiały się uwidocznic na twarzy, ponieważ gospodarz był coraz bardziej rozbawiony.

— Sekretem jest odpowiednia odmiana śliwy i proporcja... Ale nie, nie, nie zdradzę receptury! Ha, ha, na zdrowie, Mateuszu! — Uniósł kieliszek i czekał.

Mati również wziął swój kieliszek, pospiesznie wypił odrobinę, by zaraz wlać więcej do ust, gdyż smak i aromat trunku od razu zachwyciły podniebienie.

— Ha! Nie ma osoby, której by nie urzekła moja nalewka. Zastanawiasz się pewnie, co tu robisz. Co to za ramol cię tu zagaduje! — Nadal dobrze się bawił, lecz w jednej chwili niespodziewanie spowaźniał, wwiercając się wzrokiem w gościa. — Pochodzisz z Cieszyna i to się świetnie składa. Odbierzesz w przyszłym tygodniu stamtąd kilka garniturów, grubsza sprawa, ale spokojnie, chłopaki szybko się tym zajmą i podzielą, Rudi poda ci szczegóły. Co, gdzie, komu, takie tam...

Mateusz bardzo starał się nie pokazać, jak się denerwuje, kilka garniturów oznaczało kilka

kilogramów narkotyków, czyli ilość, za jaką można pójść siedzieć na naprawdę długo, tymczasem facet mówił o tym, jakby to były zwyczajne drobiazgi, ot, codzienne zakupy w spożywczym.

— Czym sobie zasłużyłem na takie zaufanie? — sklecił w końcu sensowne zdanie.

— Rzetelny jesteś, obserwuję cię i widzę. A ja zawsze doceniam. Oddzielam ziarna od plew. No i jak naleweczka, dolejemy? Częstuj się. — Znowu się uśmiechnął dobrotliwie, uzupełnił kieliszki i wskazał ciasto. — Baśka świetnie piecze. To nie jest jakaś tam szarlotka, tylko ciasto z jabłkami, które rosną w sadzie obok. Sto procent ekologiczne! Jak nalewka! Sama natura. Jak nasz towar. — Wzniósł kieliszek i wypił. — Tak że no, jedź sobie dziś spokojnie do żonki i dziecka nad morze, odpocznij ze trzy, cztery dni, a zawiń przy okazji do klubu w Gdańsku. Dasz tam chłopakom trochę bitów, niech się bawią, powiesz, że wracasz ode mnie, to będziesz gość i żaden ci nie podskoczy. W razie czego, bo wiesz, u nas zawsze zgoda i spokój. Chociaż trzeba trzymać rękę na pulsie. Tam w Trójmieście jest kilku kozaków, co mi za bardzo szpanują. No, a potem Rudi ci powie, co i jak — powiedział i zamilkł, jakby dawał rozmówcy czas na przyswojenie informacji. Sięgnął po kawałek ciasta i wpakował cały do ust, zachęcając gestem do częstowania się.

Rozluźniony nieco alkoholem Mateusz zaczął jeść.

— Rzeczywiście bardzo smaczne, choć nalewki nie przebija. — Pochwała zabrzmiała nazbyt przymilnie.

— Schlebiasz mi. A i jeszcze taki drobiazg. Szukam jednego faceta. Jakbyś się tam rozpytał znajomych w Cieszynie o niego. — Podał zdjęcie Matiemu. — Może ktoś zna, widział.

Mateusz wziął do ręki fotografię marnej jakości i od razu skojarzył, że gdzieś widział tę twarz. Zmarszczył brwi, próbując sobie przypomnieć.

— A może wiesz, kto to jest? — Mecenaz przyglądał mu się badawczo. — To gnida, może popsuć nam interesy, a przynajmniej ma taki zamiar.

— Nie kojarzę, ale spróbuję się czegoś dowiedzieć, gdy będę w Cieszynie.

— Świetnie. Wypocznij, bo tam ze dwa tygodnie zabawisz. Pewnie odwiedzisz siostrę. — Chytry uśmiezek sugerował, że wzmianka o Lidii była po to, by Mati był pewien, że szef wie naprawdę wszystko o swoich ludziach. — To co, napijmy się.

— Powinienem już...

— Wykluczone! Późno się zrobiło, nie będziesz po nocy jechał. Prześpisz się u mnie, a rano ruszysz. Skoro martwisz się o czas, to niech będzie. Masz pięć dni z żoną od godziny przyjazdu do Sopotu. Jakby Rudi cię popędzał, powiesz mu, że ma nie dyskutować i już. No, to po maluchu!

* * *

Świt wdarł się przez okno ostrymi promieniami wschodzącego słońca, które zalało pokój. Mati zbudził się i w pierwszej chwili nie wiedział, gdzie się znajduje. Mrużąc oczy, rozejrzał się dookoła. Niewielki, skromnie urządzonej pokój na poddaszu miał dość duże okno i cały był w drewnie. To ostatnie przypomniało mu poprzednie popołudnie i wieczór. Mecenaz spił go okropnie tą swoją nalewką. W końcu Mati się rozluźnił, pamiętał, że śmiali się, opowiadał mu coś, nie pamiętał już co, ale samo wrażenie, że dał się podejść, wywołało nieprzyjemny dreszcz. Nie ufał mu, choć w stanie upojenia wszystko wydawało się takie proste i... fajne, a Mecenaz był jak kumpel. Nawet jeśli to ten wielki nadszef, ten, co trzęsie całym interesem, baron narkotykowy, od którego zależy teraz jego los, Mati nie czuł przed nim respektu, lecz po prostu strach, tylko strach i nieufność. Człowiek o takim spojrzeniu nie był godny zaufania, lecz Mati nie mógł dopuścić do tego, by mu się narazić, nie spełnić jego oczekiwań, czuł presję. Może i został doceniony, lecz takich jak on tacy jak oni równie łatwo doceniają, co niszczą i pozbywają się w razie potrzeby. Tego zaproszenia, ujawnienia się bossa, którego mało kto podobno miał zaszczyt spotkać osobiście, Mati nie odebrał jako awansu, docenienia, kredytu zaufania. Czuł się tylko bardziej zagrożony, bardziej dociśnięty do muru. Teraz już z pewnością nie ma odwrotu. Tu nie da się złożyć wypowiedzenia.

Podniósł z podłogi zdjęcie i zmroziło go. Przecież to ten facet, który był u Lidii. Ten sam. Matko boska...

Gliwice, maj 2019, Karolina

Budzę się i natychmiast przypominam sobie wczorajszy wieczór. Widzę normalnie, czuję się normalnie, więc siadam i czekam. Nic się nie dzieje, żadnego wirowania, mroczków przed oczami. Wstaję — nadal jest dobrze. Może to był tylko sen? Biorę prysznic i idę do kuchni, by przyrządzić sobie porządne śniadanie — jestem potwornie głodna. Kroję chleb, ręka ani drgnie, rozbijam jajka i wrzucam skorupki do kosza. Co to? Ze śmietnika na odpadki wystaje szyjka butelki. Wyjmuję ją i oglądam ze zdziwieniem. Przecież wyniosłam śmieci przedwczoraj i na pewno nie piłam wina. Zresztą nawet gdybym piła, nie włożyłabym szkła do resztek. Ze względu na chorobę i leki, które teoretycznie łykam, nie ruszam alkoholu od kilku dobrych tygodni. Co, do cholery? Czy to możliwe, że kupiłam, wypiłam flaszkę wina (notabene butelka jest po moim ulubionym czerwonym merlocie) i kompletnie tego nie pamiętam? Owszem, wczoraj czułam się podle, ledwo doszłam do mieszkania, rozjeżdżał mi się obraz, ale przecież nie miałam ze sobą wina. Na pewno. Na pewno?

O cholera! Moje śniadanie właśnie spaliło się na patelni. Niedoszłą jajecznicę wyrzucam do kosza, gdzie jeszcze przed chwilą była ta nieszczęsna butelka. Straciłam apetyt. Otwieram okno, by pozbyć się swądu, i idę do pokoju. Przeglądam zawartość szafy, gdzie Dawid zwykł kłaść swoją walizkę i rzeczy, rozglądam się, idę do pokoju Marty, który chyba już na zawsze będzie po prostu pokojem Marty. Nigdzie nie ma jego śladu. Spakował się i wyjechał jak z hotelu. Kieruję się do łazienki. Jedyne ślad to dwa T-shirty, dżinsy i gacie w koszu na pranie. Sprawdzam kieszenie, nic nie ma. Może to mi się śniło, a może nie, ale chyba pamiętam, jak siedział przy moim komputerze, więc pędzę, by go włączyć i przejrzeć. Na pierwszy rzut oka wszystko jest w porządku. Zasłaniam twarz rękoma, czuję, że zaczynają drżeć. Staram się to przezwyciężyć. Muszę sprawdzić moje foldery, pliki, mój sposób sortowania, historię przeglądarki, programy... W koszu znajduję jakiś plik. To instalka? Nie rozpoznaję jej. Co to może być? Nie da się tego przywrócić ani uruchomić. Skrót nazwy nic mi nie mówi, więc szukam w internecie. Wskazuje na oprogramowanie szpiegowskie. Robi mi się gorąco ze zdenerwowania. Przeglądam, co się da, ale nic więcej niepokojącego nie widzę. Chcę włączyć antywirusa, ale go nie ma. Nie ma? Jestem przekonana, że powinien być. Może i go nie używałam, blokowałam, by nie przeszkadzał, lecz z pewnością gdzieś tu jest. Trudno, instaluję na nowo.

Dzwoni telefon.

— Hejka, jak tam? Radzisz sobie? — To Edyta.

— No cześć, a jak myślisz?

— Nie wiem, rycerz wybył na bitwę, ty sama...

— Umieć sobie sama zmieniać pampersy. — Wiem, że to było złośliwe, ale wkurza mnie już ta nadopiekuńczość.

— Dobra, nie unosić się tak. Skoro siedzisz sama, to mamy z Martą propozycję, żeby wpaść do ciebie wieczorem i poplotkować. Co ty na to?

— Zwykle chodzimy do miasta — stwierdzam kwaśno.

— No tak, ale wiesz... może raz lepiej u ciebie. Przyniosę coś dobrego. Marta mówiła, że upiekła tartę i jak nie pomożemy jej, to pożre ją sama, spuchnie, potem mąż ją rzuci, bo będzie gruba, i odpowiedzialność za jej samobójstwo spadnie na nas.

— To zmienia postać rzeczy. Dobra. Niech wam będzie. W sumie... no, okej. To czekam.

Może i lepiej, muszę z nimi porozmawiać, odkryć karty, szczerze powiedzieć, co mi leży na sercu, już sama nie dam sobie z tym rady. Wracam do komputera, ekran jest wygaszony i nic nie działa. Restartuję i jest jak było, tylko gdzie ten antywirus. Uruchamiam ponownie i czekam. Startuje i się wyłącza. Dziwne. Znowu uruchamiam — to samo. Może potrzebuję nowej wersji. Ściągam ją. Telefon. Sonia?

— Cześć, przepraszam, że dzwonię w wolny dzień, ale potrzebuję twojej pomocy.

— Tak?

— Słuchaj, wzięłam zestawienia do domu. Za zeszły miesiąc. Coś się nie zgadza i Anna kazała mi, no wiesz, sprawdzić to. Przeszukałam dwa razy, rzeczywiście się nie zgadza, ale nie mam pojęcia

dlaczego. Wszystko jest, wszystko podliczone i suma wychodzi inna. Mogłabyś mi pomóc?

— Prześlij mi mailem.

— Co? E... nie, nie, za dużo tego. Ja bym wpadła może, będzie szybciej, jeśli mogę. Tobie to pewnie zajmie chwilkę, a ja się boję — powiedziała zmartwiona. — Wiesz, to moje transakcje, jak wyjdzie, że źle podliczyłam jakiegoś klienta, Anna mnie wywali. — Jest zdenerwowana, muszę jej pomóc.

— Nie wywali, nie przejmuj się tak, ale dobrze, przyjedź do mnie, adres masz. Zobaczymy, o co chodzi.

Idę pościelić łóżko i jakoś się ogarnąć. Znowu burczy mi w brzuchu.

* * *

Jeszcze nie ma północy, a ja jestem wykończona. O tej porze zwykle się rozkręcam jak każda sowa. Ale nie dzisiaj. Powiedziałam Edycie i Marcie, że nie biorę już leków, zatem pozwoliły mi łaskawie na wino, które przyniosły dla siebie. Bezalkoholowe piwo, którego nie cierpię, stoi więc gdzieś nieotwarte w kuchni. Muszę z nimi o tym porozmawiać. A co, jeśli powiedzą Dawidowi, choćby przypadkowo, że cieszą się z zakończonego leczenia i fajnie było się spotkać? Marta jest gotowa z czymś takim wyskoczyć. Trochę mi niedobrze, ale to pewnie wina alkoholu. Dawno nie piłam.

Idę do kuchni, by zrobić sobie herbatę i jakąś kanapkę. Pakuję na chleb podwójną ilość szynki i żółtego sera, dodaję sałatę i majonez. Wgryzam się, gdy czajnik pstryka. Wrzątek gotowy. Zalewam fusy i patrzę, jak wirują w wodzie, pęcznieją i osiadają na dnie, wypuszczając kolor wokół siebie. To nie jest zła pora na telefon do Wojtka, on też lubi posiedzieć do nocy. Jutro niedziela, tym bardziej nie mam wyrzutów sumienia. Jutro o tej porze byłoby już za późno. Dojadam kanapkę i mieszam herbatę. Gdzie mój telefon? Znajduję go przy komputerze, który nadal jest włączony. Zostawiłam go tu, gdy przyszła Sonia. Na myśl o niej uśmiecham się. Było miło w końcu komuś pomóc, a nie tylko być potrzebującą. Faktycznie pogubiła się w obliczeniach. Robiła je ręcznie na kartce, co niezmiennie mnie u niej rozbija. Kto teraz tak liczy? A to młoda dziewczyna. Okazało się, że raz źle odczytała własne pismo, co mnie nie dziwi, bo u niej jedynka i siódemka wyglądają niemal identycznie, i potem za każdym razem powieliła ten sam błąd, polegając na kwotach, które początkowo zapisała. Drobiazg, który był przyczyną dalszych błędów. Cieszyła się jak dziecko, gdy to zauważyłam. Może zacznie wreszcie wykorzystywać narzędzia do podliczania.

Zostawiam komputer włączony. Najpierw napiszę do Wojtka, by się upewnić, że nie śpi. No tak... zwłaszcza że telefon się rozładował. Podłączam go i uruchamiam Skype. Szlag. Nie ma internetu. Co, do cholery? Irytuje mnie to. Czyżby urządzenia elektroniczne sprzysięgły się przeciwko mnie? Dobrze, że jest prąd. Zaczekam chwilę i napiszę z telefonu. Dopijam herbatę i idę umyć naczynia. Kubek wypada mi z ręki dosłownie kilka centymetrów od zlewu. Głośno roztrzaskuje się na kawałki. Widzę je, jak lecą w różne strony w zwolnionym tempie. Co? Czuję ciężar. Klękam szybko, zbyt szybko, uderzam kolanami o terakotę i po dłuższej chwili czuję ból w jednym z nich. Wypełzający z mojej nogi tak, jakby też zwolnił tempo. Co się dzieje? Co znowu? Muszę się położyć. Tu. Natychmiast.

Leżę, czekam. Nie tracę przytomności, nic nie wiruje, nie zasypiam. Nic się nie dzieje, jednak boję się poruszyć. Kolano boli tępo. Podłoga jest twarda. Poruszam się, jakbym chciała oszukać samą siebie. Może mój mózg nie zauważy i nie zacznie się znów wyzłośliwiać. Czy to błąd, że nie biorę leków? Siadam powoli. Wokół mnie kawałki rozbitego naczynia, rozmazana krew i resztki herbaty na szafce. Zaciskam szczęki i zbieram się na nogi. Sprzątam bałagan i oczyszczam kolano. Jest lepiej.

Spoglądam na zegarek: trzecia dwadzieścia trzy. Serio? Myślałam, że minęło góra pół godziny.

* * *

Telefon wrywa mnie z drzemki. Siedzę i jednocześnie leżę w kuchni przy stole. Musiałam w końcu zasnąć. To Dawid.

— Cześć, słońce, mam nadzieję, że cię nie obudziłem.

— Nieee... to znaczy właściwie tak — przyznaję. Zaspany głos mnie zdradza, więc nie ma sensu kłamać. — Nie mogłam spać w nocy i jakoś tak teraz...

— Ciężka noc? Jak się czujesz? Co się działo? — Wyczuwam napięcie w jego głosie.

Jaką odpowiedź wołałby usłyszeć? Gryzę się w język, by nie zadać tego pytania głośno.

— Nic, zwyczajnie nie mogłam usnąć. Może to dlatego, że... po południu oglądałam film i przysnęłam. Widocznie się wyspałam.

— Ale czujesz się dobrze?

— Tak, całkiem dobrze. A ty? Co u ciebie? — Muszę odwrócić jego uwagę od mojego samopoczucia.

— W porządku. Miałem nadzieję, że uda mi się jakoś przyspieszyć, ale obawiam się, że jest odwrotnie. Klient miał się spotkać ze mną w sobotę, ale coś mu wypadło i przełożył to na czwartek. Jest kluczowym kontrahentem, więc muszę tu być. Wpadłbym choćby na dwa dni, lecz na jutro rano umówili mi inne zlecenie. Zły jestem, bo...

— Kochanie, nic się nie przejmuj, zleci szybko. — Wołałabym inaczej. Jestem podła.

— Wiesz, że jesteś przekochana? Powiedz mi, naprawdę dobrze się czujesz? Bierzesz leki?

— Tak, oczywiście, biorę. Trochę było mi wczoraj słabo, przyznaję, ale nie jest źle. Daję radę. — Jeśli on tak właściwie chce, by było mi gorzej, i te tabletki mają to zapewnić, nie mogę mówić, że jest świetnie, bo szybciej wróci. Cały czas jest przecież podejrzany. — Nie martw się. O, chyba Edyta dzwoni. Obiecałam jej, że pogadamy, muszę kończyć. Trzymaj się, kochanie, i jak tylko będziesz wiedział, kiedy wrócisz, daj znać! Pa!

Uff... Szybko dzwonię do Edyty, by w razie czego było zajęte. Żeby tylko odebrała. Nic z tego. Wybieram więc Wojtkę.

— Hej, siostra, co tam?

Stęskniłam się za tym głosem okropnie.

— No cześć, sama chciałabym wiedzieć, co tam?

Idę do pokoju, rozmawiając. Zauważam włączony komputer. Czy go wczoraj nie wyłączyłam? Otwieram okno i uświadamiam sobie, że przed chwilą widziałam włączoną diodę kamery. Paraliżuje mnie. Nie słyszę, co mówi Wojtek, gwałtownie odwracam się do laptopa. Nie, nic się nie świeci. Wydawało mi się. Jednak coś ze mną nie tak. Wojtek coś mówi, lecz nie mogę się na tym skoncentrować.

— Wojtek, słuchaj. Coś mnie rozkłada. Sama nie wiem... Może, może jestem przemęczona. Nie mogłam w nocy spać i... w każdym razie... chyba wezmę wolne. Zadzwoń do ciebie jeszcze.

— Nie, zaczekaj. Słuchałaś mnie? — Wydaje się zaskoczony. — Mniejsza z tym, ale nie dzwoń do mnie w najbliższym czasie, okej? Mam pewne... obawy. Gdy się upewnię, że jest czysto, odezwę się. Może wkrótce coś ci podeślę. Zdrowiej, to pewnie grypa, teraz jest sezon na takie świństwa. W razie czego napisz, ale wiesz... jakbyś czegoś bardzo potrzebowała albo coś by się działo.

— Uważaj na siebie.

Pospiesznie ubieram się i wychodzę. Jest niedziela. Gdzie mam iść? Spacer to kiepski pomysł, wieje jak cholera i chłód przenika na wskroś, ale nic innego nie przychodzi mi do głowy. Nie mogłam Wojtkowi powiedzieć. Boję się, że mam podsłuch. Ta kamera... dałabym głowę, że była włączona... O naiwności! Myślałam, że jeśli Dawida przy mnie nie ma, jestem bezpieczna. Ktoś grzebał w moim komputerze, dziś widziałam diodę. Internet! Muszę sprawdzić, czy działa internet! Od wieków nie było żadnej awarii, a w nocy nie działał. Od razu zadzwonię do dostawcy i zapytam. Dziwne, nikt nie odbiera. Dlaczego akurat wtedy, gdy... No tak! Weekend! Śmieję się sama z siebie i chowam komórkę.

Muszę coś wykombinować. Czuję się szpiegowana, obserwowana, nie wiem, komu ufać i czy nie oszalałam. Wkładam ręce do kieszeni stanowczo zbyt cienkiej kurtki. Kapryśna ta wiosna. Wojtek był bardzo spięty, najwyraźniej nie mógł rozmawiać albo się bał. Jeśli to oni są bliżej niego niż on bliżej nich? Jeśli wiedzą więcej, niż sądzi? Lepiej ukryć to wszystko, zwłaszcza teraz, gdy nie jestem pewna ani siebie, ani nikogo z otoczenia. Co za przekłety wiatr. Czuję się, jakbym była naga. Wpycham ręce głębiej do kieszeni i znajduję karteczkę. Stara, wymięta lista zakupów. To nasuwa mi pewien pomysł...

Cieszyn, wrzesień 2019

Oczywiście Julia była wściekła na byłego męża, który pomimo obietnic nie miał zamiaru pojawić się na urodzinach swojego syna. W dodatku nie raczył ich uprzedzić odpowiednio wcześniej, tylko oznajmił, że coś mu wypadło. To się nigdy dotąd nie zdarzyło. Według niej był kawałem gnoja, ale o dzieciach zawsze pamiętał i jak coś im obiecał, słowa dotrzymywał. Na dzień przed planowaną imprezą rodzinną zadzwoniła, by dopytać, o której ma zamiar się zjawić i czy zostanie na noc, a on najzwyczajniej w świecie powiedział: „Sorry, coś mi wypadło, nie dam rady tym razem”. Ze złością przerwała połączenie, wbijając palec w ekran, jakby chciała go przebić na wylot. Jeśli o nią chodzi, to lepiej, nie tęskni za nim wcale, ale syn będzie niepokieszony i całe urodziny szlag trafi.

Mateusz miał wyrzuty sumienia. Zawsze pamiętał o Emilu i Ali. Kiedyś przysiągł sobie, że bez względu na wszystko dzieci będą mogły na niego liczyć. Wszystko może przeminąć, stracić znaczenie, zmienić się, ale one zawsze będą najważniejsze. To dla nich pracuje, ryzykuje, zarabia. Będzie przy nich w ważnych chwilach, przyjedzie, gdy wyrażą taką potrzebę. Zawsze. A dziś? Dziś siedział obok niego Rudi, który nieustannie zachwycał się samochodem i głądził o tym bez końca. Był ewidentnie zazdrosny. Po kilku dniach udawania zwykłego obywatela we własnym domu, z żoną, dzieckiem i przyziemnymi sprawami Mati znów był w trasie. Nie dostał konkretnych instrukcji. Mecenas dał mu jedynie kilka działek, które przekazał komu trzeba w gdańskim klubie, gdzie wstąpił zaraz po przyjeździe do Trójmiasta, więc mógł się odprężyć, wiedząc, że parkuje na swoim podwórku czysty. Matyldzie opadła szczeka na widok nowego auta, ale o nic nie pytała. Powiedział, że to służbowe, i tyle.

— Kiedy dostanę jakieś konkrety? — przerwał paplaninę Rudiego.

— Co? A, spokojnie, wszystko w swoim czasie. Dojedźmy najpierw na miejsce.

— Ale wiesz coś? Ile mam tam siedzieć?

— Mati, to, że spędziłeś noc w dziupli Mecenas, nie oznacza, że możesz się rządzić. Jak powiedziałem, wszystko w swoim czasie — odpowiedział Rudi poważnym tonem, po czym zawahał się na moment. — No dobra, słuchaj. To będzie tym razem wymiana. Dla ciebie żadna różnica. Tyle że za towar dostaniesz inny towar, kumasz? I potem będą informacje, co dalej. Najpierw dojedziemy, odpoczniemy, zabawimy się, poczekamy na kontakt, a ty się dowiesz w międzyczasie, co to za typ, którego szuka Mecenas. Jak to rozkminisz i jeszcze wszystko dobrze przeprowadzisz, to, o kurwa, chyba zamienimy się miejscami w hierarchii, he, he, he!

— Zajebicie — wymamrotał pod nosem Mati.

Gdyby był sam w samochodzie, zadzwoniłby do Lidii. Droga dłużyła się, a obecność Rudiego tylko mu przeszkadzała. Wkurzał go, irytował i kompletnie nie zdawał sobie z tego sprawy. Żeby chociaż uciszył się, nie opowiadał tych swoich słabych, wyspanych z palca anegdot i niekończących się historyjek o podbojach, imprezach, pseudowyczynach macho. Rudi już przestał mu imponować, a zaczął drażnić. Gdy minęli bokiem Jastrzębie-Zdrój, Mati docisnął gaz, korzystając z pustej drogi, by skrócić ostatnie pół godziny jazdy do możliwego minimum.

Pozbył się Rudiego w centrum Cieszyna i ruszył do siostry. Rudi namawiał go na hotel, w którym sam miał zamiar się zatrzymać, ale to oznaczałoby wspólny wieczór w knajpach, czego Mati chciał uniknąć. Ostatecznie umówili się na drugi dzień i wtedy Mati miał dostać więcej szczegółów.

Mieszkanie Lidii było puste. Nie przejął się tym zupełnie. Nie pierwszy raz wbijał tu pod jej nieobecność. Najważniejsze, że w lodówce znalazł piwo i kabanosy. Rozsiadł się na sofie, ale zaraz zerwał się i ruszył do jej komputera. Ten Wiktor z nią pracował, może znajdzie jakieś namiary na niego. W zasadzie powinna go mieć na Skypie. Było tam mnóstwo ludzi od niej z pracy, również klientów, ich przedstawicieli. Nie spieszył się. W każdej chwili mogła wrócić, ale co z tego? Nieraz korzystał z jej komputera. Przejrzał kontakty, konta, komunikatory, foldery z projektami, firmy, z którymi pracowała, maile i historię przeglądarki. Po Wiktorze nie było śladu. Jakby nie istniał. Dziwne. Skoro tak blisko współpracowali, że siedział tu w jego dresach, nocował, to dlaczego, do cholery, nigdzie go nie ma? Wyprostował się i poczuł, jak zdrętwiał mu kark. Za oknem zrobiło się ciemno.

— Cześć, siostrzyczko, gdzie się podziewasz? — zapytał, gdy tylko odebrała telefon.

— Hej, a czemu pytasz?

— Bo siedzę u ciebie w domu i dopijam piwo. Zastanawiam się, gdzie się szlajasz i czy po drodze nie dokupiłabyś jakiegoś sześciopaczka dla swego ukochanego braciszka.

— Oj, źle trafiłeś, mój drogi. Dzisiaj nie wracam na noc.

— O! Nie poznaję cię! Czyżbyś postanowiła zerwać ze staropanieńskim życiem i ruszyła na podbój? — Roześmiał się.

— Coś w tym stylu. Na długo zostajesz?

— Nie wiem, kilka dni, może dłużej... a co? Mogę u ciebie, czy... no wiesz...

— A siedź, na razie mnie nie będzie, tylko bądź grzeczny! I żadnych nowych sprzętów!

— Jasne. A gdzie jesteś?

— Co?

— Gdzie teraz jesteś?

— Długa historia, kiedy indziej ci opowiem. Muszę lecieć, pa! I pamiętaj, to nadal moje mieszkanie, więc bez szaleństw! — Rozłączyła się, nie czekając na odpowiedź.

Może i lepiej. Był padnięty. Droga znad morza do Cieszyna z Rudim na karku dała mu w kość. Zdecydował, że jutro poszuka jeszcze jakichś śladów Wiktora w mieszkaniu, zadzwoni znowu do Lidii i ją o niego zapyta, ale najpierw przemyśli, jak to zrobić, by mu powiedziała wszystko, co o nim wie. Teraz jednak koniecznie musi się wyspać. Wyłączył komputer.

* * *

Tym razem Mateusz spędzał wieczór na imprezie zamkniętej. Zdążył się wyspać do południa, przeszukać mieszkanie siostry i dojść do wniosku, że nadal nic nie wie oraz nie ma żadnego sensownego planu, gdy dostał telefon z informacją o miejscu kolejnego spotkania.

Willa wyglądała wewnątrz bardzo okazale, inaczej niż od frontu. Owszem, krzewy i trawnik przed wejściem były wypielęgnowane i równiutko przystrzyżone, lecz budynek był zwyczajny, nawet niepozorny. Tymczasem w środku królował styl na bogato i nieoczekiwana przestrzeń, a na tyłach pysznił się duży ogród z obszernym patio i idealnie dobranym oświetleniem, które nie zwracało uwagi z zewnątrz, w ogrodzie zaś roztaczało przyjemną ciepłą jasność pomimo późnej pory i niewielu gwiazd na granatowym niebie. Niezbyt liczne towarzystwo jak na tę porę wyglądało dość trzeźwo.

— Mati, zgadza się? — Facet wyrósł mu dosłownie przed nosem. — Seba jestem. — Wyciągnął rękę na powitanie, miał mocny uścisk. — Rudi mówił mi o tobie. Zaraz powinien się zjawić. Czego się napijesz? Ty zdaje się nie stąd? Nad morzem mieszkasz? Jaka tam pogoda? Pewnie wieje teraz jak skurwysyn!

— Żebyś wiedział. Aż tu mnie przywiało.

— Dobrze, dobrze! O, jest i Rudi. Świetnie.

Sebastian zaproponował drinka w swoim biurze, by mogli spokojnie porozmawiać o „wiadomościach”. Nie tracił czasu na jałowe rozmowy i lepsze poznanie swojego nowego gościa. Najwyraźniej dowiedział się już wszystkiego, co było mu potrzebne. Pomieszczenie bynajmniej nie przypominało biura. Na środku średniej wielkości pokoju stał szeroki okrągły stolik z grubym szklanym blatem, wokół którego ustawiono dwie wielkie, obite białą skórą półokrągłe kanapy. Ciemnozielone ściany były obwieszane reprodukcjami reprezentującymi różne style i epoki, jakby był to magazyn dzieł, które ktoś zupełnie przypadkowo umieścił tak, by po prostu się zmieściły. Całkiem udana, jak na oko laika, klasycystyczna *Śmierć Marata* tkwiła w sąsiedztwie nieco zbyt pomarańczowych *Panien z Awinionu*, a tuż obok wisiał obraz niemal identyczny z *Aniołem Pańskim* Milleta. Mateusz rozpoznał wiele dzieł w reprodukcjach, których liczba go zaskoczyła.

Seba zamknęła drzwi od wewnątrz na zatrask, mówiąc, że biuro to nie miejsce dla każdego. Była to informacja przeznaczona z pewnością dla nowego współpracownika.

— Widzę, że podobają ci się moje obrazy — zauważył dumnie Sebastian.

— Niezła kolekcja.

— To tak naprawdę należy do Mecenasu. Taki, jak by to powiedzieć, mały kapitał — dodał Rudi.

— Ale to kopie. — Mati musiał to powiedzieć.

— Jasne, że kopie. A coś ty myślał? Takie kopie też są sporo warte. — Seba wydawał się trochę urażony. — Siadajcie, rozgośćcie się. — Ewidentnie chciał zmienić temat. Podszedł do niewielkiego barku przy ścianie, tuż pod secesyjnym, niewielkim obrazem przypominającym dzieło Lemmena. — Szkockiej?

Mateusz ciągle rozglądał się po wnętrzu urzeczony ilością dzieł. Sebastian podał mu szklaneczkę i usiadł, więc i on zrobił to samo. Rudi przyglądał mu się z rozbawieniem.

— Towar się zgadza, ilość i jakość. W zamian dostajesz świeżynki prosto z Czech. — Seba szybko przeszedł do rzeczy.

— Towar?

— Z twojego wozu.

— Tak? — Mati zamrugał oczami szybciej niż zwykle. Rudi i Seba zaczęli się śmiać, ale on nie rozumiał dowcipu. — O czym rozmawiamy?

— Byłeś u Mecenas, tak? Czyli wszystko jasne — ryczał ze śmiechu Sebastian.

— Zawsze, kurwa, tak samo — wtórował mu Rudi.

— Dobra. Już ci mówię. — Seba próbował powstrzymać wesołość, widząc śmiertelnie poważną minę Mateusza, który spokojnie popijał swój trunek, chociaż wyglądał, jakby miał ochotę zabić kogoś szklanką, ale jeszcze nie zdecydował, którego z nich. — Mecenas... Mecenas ci zaufał oczywiście, tak że naprawdę szacun, stary, jesteś w grze i co do tego nie ma wątpliwości. Dostałeś furę, masz misję. Dobra, okej. Już mówię.

— No dawaj, bo on zaraz się wkurwi. — Rudi płakał ze śmiechu.

— Przywoziłeś w tej swojej bryce pięćdziesiąt kilo czystej jak łza koki. Załadował ją pewnie ten przydupas, gdy popijałeś słynną naleweczkę, he, he, he, Mecenas. No. Zgodnie z zaleceniem lekarza i farmaceuty zaparkowałeś autko w moim garażu i teraz chłopaki przepakowują towar. Twoja świadoma rola polega na dalszej dystrybucji. Proste. Jesteś wewnątrz. Gratuluję. — Wzniósł swoją whisky i czekał na reakcję.

Rudi też się opanował. Zaległa cisza.

— Myślałeś, że dostałeś tę beemkę, bo Mecenas to dobry wujcio i cię lubi? — odezwał się wreszcie Rudi.

— Nie. Co mam teraz? I gdzie konkretnie? — Pytania Mateusza były pozbawione emocji.

— Dowiesz się. — Seba był równie poważny. — To działa tak: dostajesz info o transakcji, czyli miejsce dostawy oraz co i gdzie to masz, w odpowiednim momencie bezpośrednio przed transakcją, kumasz? Nic więcej nie musisz wiedzieć. Jesteś jak kurier. Nie wiesz, co jest w paczkach, które dostajesz, masz jedynie adresy dostawy, tylko... nie tak od razu. Tak jest bezpieczniej i dla ciebie, i dla klienta, i dla Mecenas. A skoro on zdecydował, że dostaniesz tę robotę, to znaczy, żeś, kurwa, awansował.

— Tylko wozu pilnuj — wtrącił Rudi. — Najlepiej w nim śpij. — Znowu zaczął się śmiać.

— Dobra. Wyluzuj. Normalnie się zachowuj i o brykę się nie martw. Jest przystosowana. Nikt nie ruszy.

— Skąd ta pewność? — wycedził Mateusz.

— Zaufaj mi, stary. I tak nie masz innego wyjścia. — Seba nagle spowaźniał. W milczeniu uzupełnił szklanki. Atmosfera zrobiła się ciężka, a obrazy na ścianach zdawały się jeszcze bardziej przytłaczać. — Jest jeszcze jedna kwestia. Jak już wiesz, szukamy kogoś.

— Tak, dostałem zdjęcie tego faceta.

— Co o nim wiesz? — Sebastian nachylił się w stronę Matiego i natarczywie wlepił w niego oczy.

— Jeszcze nic.

— Aha. Może powinieneś wysilić pamięć, bo coś mi się wydaje, że możesz jednak coś więcej wiedzieć niż nic.

— Dlaczego tak uważasz? — Wytrzymał spojrzenie mężczyzny, uświadamiając sobie, że jednocześnie zaczyna się pocić, chociaż pomieszczenie było klimatyzowane.

— Jak by to powiedzieć... istnieją różne zbiegi okoliczności.

— Na przykład?

— Na przykład taki, że facet zarejestrował numer telefonu na twoje dane.

Teraz obaj wpatrywali się w Matiego, czekając na jego reakcję. Mateusz zbladł, a pot już nie tylko łaskotał go w plecy i nieprzyjemnie przyklejał koszulę do ciała, ale też skropił się niedyskretnie na czole. Kompletne zaskoczenie odebrało mu mowę na długą chwilę. Seba czekał, chociaż cierpliwość, jaką okazywał, była pozorna i Mati doskonale o tym wiedział.

— Zgubiłem dowód osobisty. Najwyraźniej został skradziony. — Z całych sił starał się, by jego głos brzmiał normalnie.

— Zgłosiłeś to?

— Nie. To znaczy tak, niedawno.

— To błąd.

— Byłem pewien, że się zawieruszył podczas jednej imprezy, gdy... Nieważne. Nie chciałem się wychylać. Tego typu tam nie było, nie przypominam sobie.

— Mówi prawdę — wtrącił nagle Rudi. — Eryk mi opowiadał, jak się spietrał, że się podłożył w hotelu. Faceta tam nie było, wtedy w ogóle nie było go jeszcze w kraju.

— Racja, racja... Nie zmienia to faktu, że akurat twój dowód jakimś, kurwa, cudem wpadł w ręce tego gnojka. A my go szukamy i wierz mi, musimy znaleźć skurwysyna.

— Kim on jest?

— Myślałem, że ty nam powiesz. Choćby jak się nazywa.

— Nie mam pojęcia. — Imię „Wiktor” tłukło mu się pod czaszką, jakby za wszelką cenę chciało się wydostać.

— To ci powiem, może coś ci zaświta — wycedził Seba. — To Wojciech Redyński. I był tutaj. Bardzo blisko, a ty też tu bywasz. Zdaje się, że zatrzymałeś się u siostry, prawda?

— Tak. Możliwe, że mi podpierzolił dokumenty gdzieś w okolicy, nie siedzę tylko w domu. — Wzruszył nonszalancko ramionami, ale wyszło dość nerwowo. — Nazwiska nie znam. Wiecie, jak się nazywa, to jaki problem go znaleźć? Widzę, że macie spore możliwości. — Był niemiło zaskoczony tym, jak wiele o nim wiedzieli. Zdawał sobie jednak sprawę, że nie zostałyby dopuszczony do takich prochów, miejsc i przede wszystkim do Mecenasa bez dokładnego prześwietlenia.

— No to podsumujmy. Akurat tobie zajebał papiery, gdy akurat byłeś u siostrzyczki, akurat wtedy, kiedy on tu był, a my akurat go szukaliśmy po całym pieprzonym mieście. I na dodatek akurat tak się dziwnie składa, że rozprawdzałeś dragi, które brałeś od chłopaków, co pracują dla nas. A, i bym zapomniał, Redyński ostatni raz był widziany właśnie w okolicy domu twojej siostry. Cały, kurwa, wachlarz zbiegów okoliczności.

— Masz błędne założenia, dlatego twoje „akurat” tak cudownie się zbiegają. — Nie mógł pozwolić się zakrzyczeć, wmanewrować w coś i dać się zastraszyć. To, że spotkał tego typu, nie ma znaczenia. Nikt nie mógł go z nim widzieć. I wygląda na to, że jego siostra rzeczywiście niczego o nim nie wie, bo historyjka z kolegą z pracy najwyraźniej była zmyślona. Tylko pytanie, dlaczego Lidia go kryła. — Równie dobrze wasz poszukiwany mógłby się pojawić w Krakowie, Poznaniu, Radomiu albo gdziekolwiek i zajebać mi dokumenty, bo bywam w wielu miejscach i potencjalnie wszędzie ktoś może mnie okraść, chociaż pilnuję swoich rzeczy i jak dotąd nigdy się to nie zdarzyło. Ale wiesz, cieszę się. Naprawdę cieszę się, że mi o nim mówicie. Jeśli rzeczywiście używa sobie tak swobodnie moich danych, to sam chętnie bym go dorwał.

— No to będziesz miał okazję. — Sebastian postanowił zmienić taktykę. — Wierzę ci. Wyglądasz na klawego gościa. Masz teraz nie tylko zdjęcie, ale też nazwisko gnoja.

— Niewiele, nie jestem detektywem ani psem. Nie zajmuję się tropieniem ludzi.

— No to masz nowe hobby. — Wyszczrzył zęby w nieprzyjemnym uśmiechu.

— Kim on jest? Ma gdzie rodzinę?

— No i tu pojawia się problem. Jeśli wiesz więcej, niż mówisz, to nie muszę ci tego mówić, a jeśli nie, to sam się dowiesz. My tu, stary — Seba rozparł się wygodnie na kanapie i zrobił nieokreślony gest dłonią, jakby wskazywał otaczające ich osoby — jesteśmy jak bracia, łączy nas wspólny biznes, coś jak rodzinna firma, ale wyznajemy zasadę ograniczonego zaufania. A ty jesteś nowy. Już i tak dostałeś

wielki kredyt, więc tego nie spierdol.

— To co, chłopaki? Czas na zabawę? — Rudi radośnie zmienił temat, uznawszy, że kwestia jest wyjaśniona i nie ma już o czym gadać. — Późno się robi, a towar nieprzetestowany.

Gliwice, wrzesień 2019

Częste próby kontaktu brata były najpierw zaskakujące — nie miał w zwyczaju wydzwaniać — potem irytujące, a następnie niepokojące. Dlaczego tak nagle zainteresował się tym, gdzie jest Lidia, co robi i kiedy wróci? Nawet gdyby postanowił zostać w Cieszynie na dłużej, nie był małym chłopcem, nie potrzebował niani. Wyjechała kiedyś zimą ze swoim ówczesnym chłopakiem na narty. Nie było jej ponad tydzień. Mati akurat zjawił się w jej mieszkaniu w drugim dniu jej urlopu. Nie wiedział, gdzie się podziała, i nic go to nie obchodziło. Dostała wtedy tylko krótki SMS o tym, że wpadł na kilka nocy i ubolewa, że w domu nie ma nawet piwa. Skąd teraz to nagle zainteresowanie? Odłożyła telefon, pozostawiając nieodebrane połączenia i SMS-y z prośbą o kontakt bez odpowiedzi. Nie miała ochoty teraz na jego wygłupy i ogólnie zwracanie głowy. Podczas ostatniej rozmowy dziwnie się zachowywał. Powiedział, że wszystko w porządku, jest u niej, ma jakieś sprawy w Cieszynie i kilka dni posiedzi. Czyli norma. Jednak czegoś nie mówił, coś ukrywał i tak natarczywie wypytywał ją, gdzie jest, z kim, dokąd pojechała... Był nietypowo poważny. Będzie musiała z nim porozmawiać i wyciągnąć, o co mu chodzi, lecz nie teraz. To nie jest dobry moment.

Właściwie sama chwilami zastanawiała się, co tu robi, dlaczego przyjechała i wtrąca się w sprawy obcych ludzi. Intuicja podpowiadała jej jednak, że mogą dotyczyć jej bardziej, niż myśli. Oczywiście Jeremi nie omieszkiał wyrazić swojego zdania o tym, jak lekkomyślnie postąpiła, aczkolwiek zaangażował się na tyle, że postanowił szukać dalej. A ponieważ doszło nowe nazwisko — Dawid Nosiński — Jeremi zażądał dokładnego wtajemniczenia w sprawy, o których mówi Wojtek. W tym celu przyjechał do Gliwic i wybrał miejsce spotkania, jak to miał w zwyczaju, na peryferiach, tam gdzie przestrzeń zdecydowanie góruje nad liczbą ludzi, szczególnie w deszczowy dzień.

Wjechali na potwornie nierówną nawierzchnię, więc Edyta mocno zwołniła. Po prawej stronie ciągnął się betonowy płot, a za nim niskie budynki i tereny mniejszych przedsiębiorstw. Po lewej rozpościerała się wciąż zielona połać trawy. Zgodnie ze wskazówkami dojechali prawie do końca drogi, skręcili w lewo na wstęgę gołej, upstrzonej wypełnionymi deszczówką dziurami ziemi i dojechawszy do wysokiego, na wpół zdziczałego żywopłotu, który ciągnął się równolegle wzdłuż drogi w sporej odległości, zaparkowali tak, że samochód nie był widoczny z miejsca, w którym przed chwilą się znajdowali. Astra Jeremiego już tam czekała. Wysiadł, jak tylko się pojawili.

Lidia się rozejrzała. Po tej stronie krzewów teren był o wiele bardziej rozległy i kompletnie pusty. Znajdowali się na skraju lotniska aeroklubu, gdzie tego dnia nic się nie działo. Nawet na obrzeżach i ścieżce ciągnącej się w poprzek końca zielonej połaci nie było żywej duszy. W oddali majaczył rozmazany wilgotnym powietrzem pas drzew, a nad wszystkim wisały ołowiane chmury, które zapewniały, że żaden, nawet najbardziej zamiłowany spacerowicz nie zdecyduje się tego popołudnia na przechadzkę. Trawa wciąż była mokra, a ziemia miękka, lecz chwilowo w powietrzu unosiła się jedynie zimna wilgoć po deszczu.

— To lotnisko — powiedział Wojtek do Lidii, gdy tylko wysiadł z samochodu. — Dobre miejsce wybrał ten twój detektyw. Gdyby ktoś nas śledził, od razu byśmy go zobaczyli. Tylko zimno jak cholera.

— Cześć, Jeremi. To Edyta...

— Edyta Jankowska. — Edyta wyciągnęła dłoń do detektywa.

— Witam, Jeremi Cygan. — Detektyw uściśnił jej rękę i spojrzał na Wojtkę, którego przedstawianie było zbyteczne.

— Pogoda nie sprzyja, więc może od razu przejdźmy do rzeczy — powiedziała Lidia, obejmując się ramionami, by zatrzymać uciekające ciepło. — Sytuacja się zmieniła i będziemy potrzebowali twojej pomocy. Wiem, wiem, miałam tu nie przyjeżdżać. Doskonale pamiętam twoje rady. W każdym razie myślę, że musisz przede wszystkim wysłuchać Wojtkę.

* * *

Być może ich ciała przyzwyczyły się do chłodu albo wiatr ustał i niezauważalnie podniosła się temperatura powietrza lub po prostu to, o czym rozmawiali, sprawiło, że przestali zwracać uwagę na chłód. Wojtek postanowił wtajemniczyć Jeremiego w całą historię i opowiedział wszystko, co według niego było najważniejsze o transportach, zebranych dowodach, Pavle i Janie, o roli Karoliny i jej śmierci oraz oczywiście o Dawidzie, chociaż tu więcej miała do powiedzenia Edyta. Jeremi cierpliwie wysłuchał wszystkiego, czasem tylko zadawał krótkie pytania, by doprecyzować to, co uznał za istotniejsze.

— Już wiecie, że nie możecie zbliżyć się do domu Karoliny, ale obawiam się, że niebawem dotrą i do ciebie. — Jeremi spojrział na Edytę. — Właściwie nie zdziwiłbym się, gdyby już kręcili się w pobliżu. Jeśli Dawid jest w to zamieszany, dlaczego nie polecił, by się tobą zainteresowano? Trzeba go sprawdzić. Jeśli rzeczywiście przyczynił się do śmierci Karoliny... Trzeba zdobyć historię choroby i skontaktować się z lekarzami, którzy się nią opiekowali.

— Kiepska ze mnie przyjaciółka, skoro nawet nie wiem, u kogo się leczyła. Może i wymieniła jakieś nazwisko, ale... Dawid woził ją, gdzie się dało, po jakichś prywatnych klinikach... Wiem, że byli w Katowicach u jakiegoś specjalisty, we Wrocławiu też. Że też nie zwróciłam na to uwagi! Wszystkie dokumenty, badania, wypisy zniknęły. Jestem pewna, że Dawid je zabrał.

— Nie obwiniaj się. Może właśnie to zaangażowanie i mnożenie specjalistów miało na celu wzbudzenie zaufania wśród znajomych Karoliny — zastanawiał się głośno Jeremi, patrząc w dal na unoszące się ponad linią drzew mgły. — Albo rzeczywiście chciał ją wyleczyć.

— To by było głupie, skoro...

— Na razie nic nie zakładajmy — przerwał Edycie. — Niczego nie wiemy o Nosińskim. Poszukam go najpierw i dowiem się czegoś więcej.

— Myślę, że dobrze by było poszukać tego Pavla. — Lidia zatrzymała detektywa, który już chciał wsiąść do swojego auta. — Może też im uciekł jak Wojtek i albo gdzieś się zaszył, albo działa na własną rękę.

— Mam kontakty w Czechach, mogę podpytać. Nie robiłbym sobie jednak wielkich nadziei. — Zerknął na Wojtkę. — Jeśli mamy do czynienia z grupą przestępczą, która obraca milionami i trzyma w garści choćby część narkotykowego podziemia, to istnieje prawdopodobieństwo, że mają doświadczenie i w mokrej robocie. Skupmy się najpierw na tym, kto może nam dać konkretne odpowiedzi lub do nich doprowadzić. Pomału.

— Jasne. W takim razie czekamy na kontakt.

* * *

— Dlaczego nie powiedziałaś mu, że szukamy już Dawida przez Bogdana? — zapytała Edyta, gdy wrócili do domu. Tym razem, zanim zaparkowała na swojej ulicy, przejechała ją powoli dwa razy, szukając nie tylko wolnego miejsca, którego nawiasem mówiąc, nie było, ale także ewentualnych obserwatorów. W efekcie zostawiła samochód dwie przecznice dalej i poszła przodem, by jeszcze raz sprawdzić, czy nie zobaczy czegoś niepokojącego w okolicy.

— A jakie to ma znaczenie?

— Słuchajcie, mogłabym już wracać do siebie, raczej wiele nie pomogę, ale zostało mi jeszcze kilka dni, więc zdecydowałam, że spędzę je tu. Polecicie jakiś hotel? — wtrąciła Lidia.

— Oszalałaś? — Edyta podeszła do niej, jakby chciała ją zaatakować. — Hotel? Widzieli cię z nim. Na pewno spisali tablice i sprawdzili, kim jesteś. Przynajmniej ja bym tak zrobiła. Jestem przekonana, że chętnie by sobie pogawędzili z tobą o tym i owym. Meldowanie się w hotelu to nie jest zbyt mądre posunięcie. Zostajesz tutaj i nie ma dyskusji. Jeszcze nikt mnie o nic nie podejrzewa. Mam nadzieję.

— Dziękuję za troskę, ale...

— Bez żadnego „ale”. Telefon ci dzwoni. — Wskazała na podrygującą torebkę, przewieszoną przez oparcie krzesła.

— Znowu Mati. — Lidia powiedziała pod nosem i odłożyła aparat bez odbierania.

— Unikasz go. Dzwoni nie pierwszy raz. — Edyta badawczo się jej przyglądała.

— Wysłał mi nawet prośbę o udostępnienie lokalizacji. Chce koniecznie wiedzieć, gdzie jestem. Nie mam zamiaru z niczego mu się tłumaczyć. Też ma swoje za uszami i jak się z tym tu uporamy, będę musiała go ustawić do pionu.

— My? — odezwał się milczący dotąd Wojtek.

— Siedzi w tym tak samo jak ja, jakbyś nie zauważył — odpowiedziała za nią Edyta.

Gliwice, czerwiec 2019, Karolina

Im bardziej koncentruję się na tym, by pozostać nieruchoma, tym mocniej zupełnie mimowolnie drzę. A może tak mi się tylko wydaje? Dudnienie jest jednostajne, a zarazem zdaje się narastać. Nigdy nie miałam klaustrofobii ani nadwrażliwości słuchowej, jednak teraz ten uporczywy, tępy hałas i ograniczona przestrzeń sprawiają, że czuję się coraz gorzej. Nie mam odwagi otworzyć oczu, nie chcę się poruszyć. Koncentruję się na oddechu, ale jest jakby jałowy, kompletnie bezproduktywny, choć przecież cały czas oddycham. Zaraz się uduszę. Czuję, jak wilgotnieje mi skóra. Całe ciało robi się mokre. Chyba się ruszam. Tak, z pewnością się poruszyłam. Ile to jeszcze potrwa? Zapomnieli o mnie? Poszli na przerwę? Może ktoś zadzwonił z ważną sprawą? Jakiś nagły przypadek niecierpiący zwłoki? Jestem tu sama i nikt nie pilnuje czasu? Czy ruszam się i trzeba będzie powtórzyć badanie? Zostanę w tej tubie do skutku? Coraz bardziej idiotyczne myśli bombardują mój umysł. Zaraz oszaleję. Już. Już wystarczy. Muszę otworzyć oczy, by się upewnić, że nadal leżę w tym samym miejscu, bo czuję, że wiruję. Coraz szybciej i szybciej, w rytm dudnienia tej przeklętej maszyny. Robi mi się niedobrze. Leżę na plecach, bez ruchu, więc jeśli zwymiotuję, uduszę się. Gdzie oni są? Niech zatrzymają tę karuzelę!

— Dziękuję, może pani usiąść — słyszę głos w sekundę przed tym, gdy miałam otworzyć oczy. Jestem poza maszyną. Nie wiem, kiedy mnie wysunęli, wciąż dudni mi w głowie, ale przynajmniej nic nie wiruje. Wokół mnie ludzie w białych fartuchach. Idealna jasność bez cieni. Ktoś pomaga mi usiąść. Coś tłumaczy. Trudno mi się skupić.

* * *

Dawid cały czas coś mówi, prowadząc samochód. Nie dociera to do mnie, jakbym nie słyszała, jakbym była za dźwiękoszczelną szybą. Zerka na mnie, widzę to kątem oka. Nie chce mi się udawać, że go słucham. Mam to gdzieś. Wszystko mi jedno. Chcę znaleźć się w swoim domu, w łóżku. Chcę spać i jednocześnie boję się tego, co może mi się przyśnić. Sny, choć pełne męczących scen, bywają ostatnio bardzo realne, a rzeczywistość wydaje mi się irracjonalnie niepojęta i już sama nie wiem, kiedy jedno się kończy, a drugie zaczyna. Ciągła walka o rozróżnienie tego, oddzielenie jawy od snu mnie wykańcza. Chcę się poddać. Nie chce mi się walczyć. Właściwie o co? O jakąś prawdę? Nie mam pojęcia, kim są ludzie wokół mnie. Dawid jest jedyną osobą, która stoi przy mnie naprawdę. Martwi się, troszczy. Słyszałam, jak wczoraj rozmawiał z kimś zamknięty w pokoju Marty. O mnie rozmawiał. O tym rezonansie i jeszcze jakichś badaniach, które chyba mają się odbyć w Warszawie. Mam na nie pojechać czy wysłać próbki? Nie słyszałam dokładnie, nie mogłam się skupić. Nawet nie wiem, czy sobie tego aby nie wymyśliłam.

Niespodziewanie samochód się zatrzymuje. Jak to, przecież mieliśmy jechać do domu? Otwieram usta, by zaprotestować, ale widzę wokół siebie znajomą okolicę. Przysięgłabym, że przed ułamkiem sekundy byliśmy w Bielsku, a może w Katowicach. Czy byłam na rezonansie magnetycznym? Czy może jeszcze nie? Muszę, muszę się skoncentrować, przypomnieć sobie, co, do cholery, dziś robiłam.

— Karola, chodź. — Łagodnie chwyta mnie za rękę. Wsiadam. Przytula mnie. Tak czule. Patrzy mi w oczy. — Chodź do domu, odpoczniesz.

* * *

— Spóźnisz się do pracy. Już prawie dziesiąta. — Obudziłam się wypoczęta i głodna jak wilk. Do kuchni ściągnęły mnie niesamowite aromaty. Według mojego telefonu dziś jest wtorek.

— Dzień dobry, kochanie, wyspana?

— Jak nigdy. Co tam pichcisz? — Oczywiście wiem, że naleśniki.

— Z pewnością nie dorównam tobie, ale liczę na to, że jesteś bardzo głodna i pochłoniesz nawet to.

— Zdaje się, że uczeń przerósł mistrza. Poproszę podwójną porcję. Wzięłeś wolne?

— Tak jakby.

— Mam nadzieję, że nie ze względu na mnie.

Jego wzrok nie potrafi ukryć, że jest dokładnie tak, jak myślę.

— Po prostu luźniejszy dzień, akurat do południa nie mam co robić — kłamię.

— Wiesz, kiedy będą wyniki? — Udaję, że mu wierzę, i zmieniam temat.

— Zadzwoń. Proszę. Zaraz zrobię kakao. — Kładzie przede mną talerz z idealnie usmażonymi naleśnikami.

Wgryzam się w gorące ciasto i czuję niebiański smak aksamitnego waniliowego sera z rodzynkami. Nie przypominam sobie, bym dała mu przepis, a tym bardziej bym go nauczyła przyrządzać mój specjał.

— Pycha — mówię z pełnymi ustami zupełnie szczerze, a on wydaje się pękać z dumy.

Życie może być takie proste i dobre. A może takie właśnie jest? Zjadam swoją porcję błyskawicznie i sięgam po przygotowane przez Dawida leki. Łykam je z rozmysłem i popijam dużą ilością wody. Czuję, jak narasta we mnie siła do tego, by zwalczyć tę cholerną chorobę, która niszczy mi życie, wdziera się do głowy i zatruwa myśli. Chcę, by życie było proste i dobre. Chcę kochać i być kochaną, ufać i być godną zaufania. To będzie dobry dzień.

— Kiedy nauczyłeś się robić takie pyszne nadzienie? — pytam właściwie po to, by go pochwalić, a on zerka na mnie, po czym zatrzymuje wzrok na dłużej, jakby był zaskoczony.

— Pamiętasz tamtą sobotę, kiedy tak lało bez przerwy i siedzieliśmy przez cały weekend w domu? Była awaria prądu.

Marszczę brwi pod jego badawczym spojrzeniem, nic mi to nie mówi, więc kręcę przecząco głową.

— Deszcz tak uderzał w okna, że obudziliśmy się bardzo wcześnie. Było jeszcze dość ciemno i rozmawialiśmy, a potem się kochaliśmy — mówi powoli i przerywa, dając mi szansę, lecz nadal niczego takiego sobie nie przypominam. — Opowiadałaś mi o swoich czasach studenckich i o tych naleśnikach na wodzie, które robiłaś z serem w weekendy, i że potem wszyscy się schodzili za zapachem, a one były takie cienkie... Pamiętasz?

— Pamiętam te czasy, oczywiście, ale... opowiadałam ci o tym?

— Śmiałyśmy się i chciałem, byś takie zrobiła, a wtedy powiedziałaś, że nie masz najmniejszego zamiaru znów jeść tamtego paskudztwa, i zaproponowałaś, że nauczysz mnie robić najlepsze naleśniki świata.

Znów czeka na moją reakcję, ale cóż mam rzec? Że owszem, Marta tak je nazywała: najlepszymi naleśnikami świata, gdy już pracowałyśmy i udoskonaliłam recepturę. Wówczas biedanaleśniki zastąpiła nowa, bogatsza wersja. Skoro o tym wie, musiałam mu opowiedzieć, ale... nie pamiętam.

— Tamej soboty namęczyliśmy się, bo nie było prądu — mówi dalej, wlewając gorące mleko do kubków. — I trzeba było utrzc ten ser ręcznie... Nieważne. To szczególnie, każdemu mogą wylecieć z głowy. — Uśmiecha się trochę na siłę.

* * *

Dawid wyraźnie ociąga się z wyjściem. Po śniadaniu wylegiwaliśmy się, słuchaliśmy muzyki, całowaliśmy się jak nastolatki. Rozmawialiśmy o wszystkim i niczym. Uwielbiam tak spędzać z nim czas. Minęło południe, więc najwyższa pora, by wyruszył, nie spóźnił się na spotkanie. To przedpołudnie było potrzebne nam obojgu. Widzę w jego oczach nadzieję, optymizm i tę niezwykłą łagodność. Zapewniam, że gdy wróci, będę tu czekać i nic się nie zmieni. Mam zamiar poczytać książkę, ugotować coś, wziąć długą kąpiel. Dawid zapewnia mnie, że za trzy, góra cztery godziny wróci. Przypomina, bym o trzeciej zjadła obiad i wzięła tabletki. Szykuje je dla mnie jak dla dziecka, co jedynie mnie rozczula.

Wychodzi, a ja nalewam wody do wanny. Poczytam w kąpeli. Nigdy nie miałam aż tyle czasu na leniuchowanie, więc wykorzystam go należycie. Zakręcą wodę. Na powierzchni piętury się

aromatyczna piana. Idę jeszcze po lekturę, gdy dzwoni telefon. To Marta. Ma okienko i postanowiła wypełnić je pogawędką ze mną. Czasem tak robi we wtorki o tej porze, lecz gdy jestem w pracy, nie zawsze mogę rozmawiać. Idę do kuchni, by przy okazji zrobić sobie kawy.

— Jak tam badanie? Przeżyłaś? Kiedy wyniki?

— Spokojnie, to nie morfologia, trzeba trochę poczekać. — Bawi mnie ta niecierpliwość.

— No tak. Przynajmniej możesz odpocząć. U mnie dziś istny kociokwik! Dobrze, że mam choć tę jedną godzinkę. No ale jak się czujesz?

— Bardzo dobrze. Właściwie zastanawiam się, po co brałam wolne do końca tygodnia. Czuję się świetnie.

— O, to szybko mi mów, jakie leki bierzesz, bo też takie chcę. Padam na twarz.

Marta jak zwykle jest zabawna. Przegadałyśmy godzinę, aż musiała wracać na zajęcia, a mnie zaczęło burczeć w brzuchu. Mam ochotę na coś włoskiego. Może spaghetti? W szafce widzę penne, łazanki i ryż, ale spaghetti nie ma, zatem naturalną koleją rzeczy są zakupy. Przy okazji zauważam, że kończą się ser, jajka i kawa. Ubieram się więc i wychodzę. Jest ciepło, lecz wiatr gna ciemne chmury po niebie. Po chwili zaczyna kropić, robi mi się chłodniej. Wkładam ręce do kieszeni i dziarsko maszeruję do sklepu. Palce prawej dłoni napotykają jakiś papierek. Wyjmuję go, by ocenić, czy nadaje się do wyrzucenia. Stara lista zakupów...

Jakże mogłam zapomnieć! Co się ze mną dzieje? Dawid, Agata... Ona wie, dałam jej te przekłete tabletki, a nawet się nie zająknęła, wzięła je i nic. Ile to minęło? Nieważne. Nic nie powiedziała. Pewnie wyrzuciła i tyle. Dawid rozmawiał z nią w progu kilka dni temu. Gdy tylko mnie zobaczył, zamknął drzwi i powiedział, że to jakiś domokrażca, ale jestem pewna, że to była Agata. Tylko ona ma taki płaszcz. W kolorze spranej śliwki. Coś knują? Jeśli powiedziała mu o tabletkach, wie, że go podejrzewam. Może są w zмовie, znają się od dawna i odstawiają przede mną cały ten teatr. Tylko po co? Może jej groził i nie ma wyjścia? Muszę porozmawiać z dziewczynami, wszystko im opowiedzieć. One na pewno pomogą. Powinam też ostrzec Wojtka. Muszę coś wymyślić. Szybko.

Nogi same zaniósły mnie do marketu i teraz stoję między regałami z koszykiem w ręku. Co ja tu robię? Powinam jak najszybciej znaleźć się u Edyty. Tak, tylko jest zbyt wcześnie, z pewnością nie wróciła jeszcze z pracy. To nic, zaczekam pod domem. Wychodzę szybkim krokiem.

— Halo! Halo! Proszę pani! — Słyszę wołanie za plecami, ale ignoruję je. Nie moja sprawa. Mam ważniejsze. — Proszę pani, proszę się zatrzymać! — To już niemal za mną.

Zatrzymuję się i odwracam.

— O co chodzi? — warczę do faceta, który prawie na mnie wpada.

— Pani nie zapłaciła i wyszła. — Wskazuje w dół.

Spoglądam na swoją rękę. O matko. Trzymam koszyk z makaronem. Jak to możliwe?

— O, przepraszam... Tak się zamyśliłam, że... — bąkam i czuję ogień wstydu na policzkach. Zerkam na niego i dopiero teraz zauważam, że to ochroniarz. Starszy facet w charakterystycznym uniformie próbuje patrzeć na mnie groźnie, lecz widzę, że też jest zmieszany, choć z pewnością nie aż tak jak ja. Nie musi nic mówić. Zawracam do sklepu, czując na sobie spojrzenia przechodniów. W drzwiach podaję mu koszyk.

— Przepraszam bardzo, nie miałam zamiaru... Ja... rezygnuję z zakupów. Przypomniałam sobie... i bardzo się spieszę, dlatego jakoś tak...

— W porządku — ucina i odbiera kosz. — Niech pani idzie.

Bardzo staram się nie biec, ale nogi same zamieniają szybki marsz w trucht. Co za absurdalna sytuacja. Zrobiłam z siebie kompletną idiotkę. Złodziejka jednej paczki makaronu. Zimny wiatr owiewa mi rozpaloną twarz. Wiem, że jest chłodno, ale teraz czuję tylko gorąco, które chce się uwolnić z mojego ciała. Rozpinam kurtkę, lecz zamek się zacina, więc przystaję i w tym momencie ryk klaksonu boleśnie przeszywa mi uszy. Podnoszę wzrok. No tak, jestem na środku ulicy, nawet nie spojrzałam. Kierowca wściekle mnie omija, wygrażając coś, czego nie słyhać zza zamkniętych szyb, ale jego usta układają się w charakterystyczne słowa, których nie sposób nie odgadnąć. Już jest pusto, więc przebiegam ulicę i wpadam do parku. Nogi trzęsą mi się jak galareta, toteż wypatruję najbliższej ławki i opadam na nią, płosząc gołębie. Jest mi jeszcze goręcej, czuję pragnienie i tak bardzo chciałabym być w domu... Co ja

właściwie tu robię? Tak daleko od mojej dzielnicy? Nie mogę pozbierać myśli. Wyciągam telefon i odruchowo wybieram numer Dawida, lecz w ostatniej chwili rezygnuję. Znowu narobię mu zmartwień albo... albo może to by go ucieszyło? Czy to możliwe, że jest tak dobrym aktorem?

Muszę porozmawiać z Wojtkiem. Szukam go na liście ulubionych i czuję ciarki ze strachu, jednak nim wpadnę w panikę, przypominam sobie, że przecież sama go z niej usunęłam, by nie rzucał się w oczy. To właściwie był jego pomysł. Odnajduję kontakt. Od razu włącza się poczta głosowa. Czekam. Po kilku minutach próbuję znowu z tym samym efektem. O tej porze powinien mieć włączony telefon. W pracy raczej ma go zawsze przy sobie. Postanawiam poczekać jeszcze trochę. Może oddzwoni. Zaczynam odczuwać chłód, więc wstaję z zamiarem pospacerowania, skoro już tu jestem. Telefon milczy jak zaklęty, nie wytrzymuję i znów próbuję, choć wiem doskonale, że gdyby się zalogował do sieci, od razu dostałabym powiadomienie. A może już się do niego dobrali? Jak do Pavła? Może nie dodzwonię się już nigdy? Nogi odmawiają współpracy, muszę gdzieś usiąść. Nie widzę żadnej ławki, właściwie nic nie widzę, bo ciemne plamy tańczą mi przed oczami. Serce zaraz wyskoczy mi z piersi. Oddycham głęboko, ale coraz bardziej kręci mi się w głowie. A co, jeśli Wojtek zniknął tak jak Pavel? Zamordowali go. Nie. Nie! To niemożliwe! Może uciekł. Muszę się z nim jakoś skontaktować. Na pewno wróci. On zawsze wraca. Zawsze... Siadam na chodniku. Jest lepiej. Odrobinę. Muszę się zebrać do kupy. Działać, nim sama zniknę. Nim mnie uciszą na zawsze. Czuję, że wariuję. Ten rezonans chyba tylko mi zaszkodził. Kryśka opowiadała kiedyś o swojej ciotce, która trafiła do psychiatryka. Normalna, sympatyczna kobieta, której nagle zaczęło odbijać i zrobiła się nieobliczalna. Poszła tylko na badania i została do końca życia. A może to nie Kryśka, tylko Sonia opowiadała. Krycha pracowała w biurze podróży wcześniej, jeszcze przed wakacjami, przed Ewą. Nie wiem już... Pocieram skronie i wstaję. Jest lepiej. „Lista zakupów” wyświetla mi się pod czaszką jak kadr z filmu na ekranie. No tak! Muszę lepiej ukryć nagrania. I sprawdzić skrytkę. Jeśli Wojtek się nie odzywa z ważnych powodów, może i powiadomienia nie dostanę, kiedy coś przyśle? A może dostanę, lecz zapomnę... Lepiej to sprawdzić. Jak tylko ochłonę i wrócę do domu, zabiorę się do tego, co mam, potem pojedę. Nie. Dawid może być już na miejscu. Albo znów wyleci mi z głowy. Grzebię w torebce i na szczęście znajduję długopis. Nie mam notesu ani żadnej czystej kartki. Z dna wygrzebuję stare paragony i wybieram najdłuższy.

Cieszyn, wrzesień 2019

Dawno nie był tak wkurwiony. Wszystko waliło mu się na łeb. Na każdym kroku spotykała go porażka. I jeszcze to. Siedział osowiały i w milczeniu przełykał wódkę.

— Nianczysz starego, młodego, to i nowego możesz. — Rudi tryskał humorem.

Sebastian zmierzył go wzrokiem i to było wszystko, na co mógł sobie pozwolić. Dolał wódki do obu kieliszków i błyskawicznie opróżnił swój. Ojciec spał po zwyczajowej już, solidnej dawce leków, a brat szwendał się gdzieś po mieście. Wieczór, w przeciwieństwie do poprzedniego, gdy ostro poimprezowali, był spokojny. Nadszedł czas na zaplanowanie działań i zrobienie wszystkiego, by wreszcie mieć jakiś sukces.

Mecenas mógł wszystko. Wszystko bez wyjątku. Przynajmniej tak twierdził Rudi i tak myślał Seba, który miał ogromną nadzieję na zmianę testamentu ojca. Nie było sensu skakać wokół niego, prosić, przymilać się. Ojciec świetnie się tym bawił, wykorzystywał synów, ale wcale mu się nie spieszyło do lekarza ani notariusza. Czasem Sebastian nie wiedział, czy jego zachowanie jest efektem postępującej choroby, czy gry. Chwilami stary był niezwykle bystry, zdawał się wszystko rozumieć i wiedzieć. Mimo ostrożności i pilnowania, by nie miał dostępu do tego, do czego nie powinien, mimo trzymania go na piętze, faszzerowania lekami, nie tylko tymi zakupionymi w aptece na receptę, Sebastiana nieraz ogarniał strach przed tym, co tak naprawdę ojciec wie. Tymczasem staruszek stawał się coraz bardziej uciążliwy i wymagający. Ostatnio zażądał zainstalowania windy w domu, jakby było to równie proste co zakup bułek na śniadanie. Syn liczył na luki w pamięci, gdyż przeważnie wymysły i życzenia raz wypowiedziane zupełnie ulatywały ojcu z głowy, a ich miejsce zajmowały kolejne, jeszcze bardziej wymyślnie. On zaś miał tylko jedno życzenie — pozbyć się tego człowieka ze swojego życia na

zawsze, ale tak, by nikt nie przejął domu. Miał gdzieś pozostałe oszczędności. Ojciec z pewnością nadal myślał, że syn niedorajda nic nie robi, nie zarabia, bo nic nie potrafi, i tylko spotyka się z podejrzanymi typami po to, by trwonić jego pieniądze. Zapomniał już, że dawno odciął syna od pieniędzy, i nie wiedział, że licha emerytura nawet jemu samemu nie wystarczyłaby na życie, rachunki i leki. Uważał synów za pasożyty i nie było sensu wyprowadzać go z błędu.

Gdyby tylko udało się dotrzeć do Mecenasa, porozmawiać z nim, dostać szansę... Jak to możliwe, że ten cholerny Szwed był u niego, a Sebastian do tej pory, pomimo upłynięcia setek działek, zdobywania i przechowywania obrazów dla szefa, załatwienia tylu przerzutów i przygotowanych przesylek, które zawsze trafiały do celu bez najmniejszej wpadki, zapewniały zyski, jakich nawet nie próbował się doliczyć, nie dostąpił zaszczytu poznania bossa. Własny dom przerobił i przystosował do tego całego biznesu. Rudi, ostatnio częsty gość w domu Bareckich, powiedział, że Seba mógłby dostać nowy, poświęcony i czyściutki testament, gdyby tylko Mecenas pociągnął za odpowiednie sznurki. Na to jednak trzeba sobie zasłużyć, zwrócić jego uwagę na siebie czymś pozytywnym i zachęcić szefa do odwzajemnienia się, co tamten podobno uwielbiał. Szkoda, że zamiast zabłysnąć, Sebastian zgubił Redyńskiego, wokół którego robił się coraz większy smród. Seba musi znaleźć go pierwszy i dokończyć robotę, nim zrobi to Mati, cholerny „złoty chłopiec”.

— Trzeba zawieźć gotówkę do Warszawy — powiedział Rudi, wrywając tym samym Sebę z zamyślenia.

— Co ty powiesz? Przedwczoraj miał tu być fagas Angeli i jakoś się nie pokazał — prychnął.

— Ta... Musiał zniknąć na jakiś czas, podobno. Nie moja sprawa.

— I co? Nie ma komu hajsu brać? Może niech nowy zawiezie.

— Ty zawieziesz.

— Popierdoliło cię. Mam swoją robotę. — Sebastian zamierzał odwiedzić Matiego i trochę za nim połączyć, a nie jeździć po kraju, zwłaszcza że nowy długo na miejscu nie zabawi.

— Jutro masz być, kurwa, z kasą i nie ma dyskusji, stary. Lepiej nie kombinuj, to ci się opłaci — rzucił Rudi, wstając nieco chwiejnie. — Koło południa się zbierz.

Gliwice, wrzesień 2019

Przez pewien czas udało się ukryć, że Wojtek mieszka u Edyty, lecz odkąd Marta się zorientowała, Edyta wcale dobrze się z tym nie czuła. Nie była przyzwyczajona do tego, by unikać Marty czy ukrywać przed nią ważne wydarzenia. Brnięcie zaś w tajemnice zaczęło wymagać uciekania się do kłamstw, których Edyta zwyczajnie się brzydziła. Nie mogła dłużej zwodzić przyjaciółki. Była zdecydowana wszystko uczciwie jej powiedzieć, o czym poinformowała Wojtka. Był już późny wieczór, gdy rozgorzała dyskusja, która nie przerodziła się w kłótnię tylko dzięki Lidii.

— Ciszej, słyhać was na klatce schodowej — przywitała ich, wchodząc do mieszkania. Miała całkiem dobre wieści i bardzo chciała się nimi podzielić, lecz w obecnej sytuacji uznała, że nikogo nie będą interesowały.

— Właśnie, nie drzyj się w moim domu! Zrozum, do cholery, ona ma prawo wiedzieć, bo może to i jej dotyczyć! Jeśli grzebią w życiorysie Karoli, dowiedzą się, że mieszkali razem, o ile już tego nie wiedzą i nie kręcą się...

— Co ty opowiadasz! To było dawno. Nie ma nic do rzeczy. Ty powiesz Marcie, Marta Ludwikowi, czy ty sobie zdajesz sprawę z...

— Tak! Zdaję sobie sprawę z tego, że Marta nie może żyć w nieświadomości! Poza tym one też się przyjaźniły i Karola mogła przekazać Marcie coś ważnego. Nie pomyślałeś o tym?

— Ciszej — wtrąciła znów Lidia, czym zwróciła na siebie ich uwagę.

Edyta spojrzała na nią, jakby dopiero teraz ją zauważyła.

— A ty, jak sądzisz? Czy najbliższa przyjaciółka zmarłej, być może zamordowanej dziewczyny ma prawo wiedzieć, że ta była wmieszana w zbieranie dowodów przeciw gangsterom, którzy kręcą się właśnie po mieście i cholera wie, co wymyślą?

— Ja...

— Po co ją pytasz? Co ona ma do tego? — Gdy tylko wybrzmiały te słowa, Wojtek zorientował się, że to był błąd.

— Raczej sporo, skoro wie wszystko, przyjechała tu i jej detektyw ugania się po kraju za chłopakiem Karoli. Ona wie, a Marta nie! — argumentowała Edyta. — No, Lidko? Co sądzisz? — ponowiła pytanie, uniosła brwi i zaplotła ręce na piersi.

Dwie pary oczu przestały ciskać w siebie błyskawice i zgodnie zatrzymały się na przybyłej.

— Cóż, myślę, że warto rozważyć...

— Co rozważyć? Rozważamy tu już od godziny. Twoje zdanie. — Edyta się niecierpliwiła.

— Wszystkie za i przeciw. — Lidia wytrzymała wzrok obojga. — Marta jest w ciąży, nie powinna więc angażować się w takie sprawy.

Edyta przewróciła oczami.

— Jednak może faktycznie pomóc, skoro tak dobrze się znały — kontynuowała Lidia. — Pewnie nie przysłoby jej nawet do głowy mówić na przykład o jakimś schowku w tamtym mieszkaniu. Przecież nie wie nic o ukrywaniu czegokolwiek.

— No właśnie! I to mu próbuję powiedzieć, ale nie rozumie!

— Okej, spokojnie — powiedziała Lidia ściszym głosem. — Myślę, że z dwojga złego lepiej z nią o tym porozmawiać, niż czekać, aż ktoś zacznie deptać jej po piętach albo sama w końcu zacznie zadawać pytania o mnie czy o Wojtka.

— Dobra, może macie rację. — Wojtek podniósł ręce w poddańczym geście i usiadł. Nie miał siły się już sprzeczać, zwłaszcza że było dwa do jednego.

— No patrz. — Zaskoczona Edyta rozłożyła ręce. — Ja się z nim użeram cały wieczór i zdarłam już gardło, a ty powiedziałaś dwa zdania i uległ. Cud! — zawołała. — Jutro ją tu ściągnę.

* * *

— I oczywiście ja dowiaduję się o wszystkim ostatnia — skwitowała cierpko Marta po tym, jak Edyta, pochylając się konspiracyjnie nad stolikiem w kawiarni, skończyła swój wywód.

— Nie, reszta miasta jeszcze nie wie. — Wojtek nie mógł sobie darować.

— Nie powinnaś się stresować w tym stanie, dlatego... — Edyta podjęła próbę usprawiedliwienia. — A zresztą. To on nalegał, by siedzieć cicho.

— Bo?

— Bo mu się wydaje, że każdy, kto się dowie, zostanie zamordowany, nie wiem, nie rozumiem irracjonalnych ludzi.

— Dziękuję. — Wojtek miał już dość przepychanek, ale nie mógł się powstrzymać od odrobiny sarkazmu.

— Może wróćmy do sedna — odezwała się Lidia, która do tej pory milczała.

Przez resztę popołudnia Marta zadawała pytania, analizowała, głośno myślała i okazało się, że nawet ta jedna rozmowa wiele wniosła. Przy okazji Lidia uznała za stosowne poinformować, że opowiedziała o Wojtku Oldze, chociaż dalszego ciągu i szczegółów koleżanka jeszcze nie zna, lecz również jest żywo zainteresowana tym, co ustalił Jeremi, i wizytą Lidii w Gliwicach. Właściwie to dzięki niej sprawa posuwa się do przodu i mają detektywa. Wspólnie uznali, że jedyną w miarę profesjonalną osobą jest Jeremi i sami niczego nie wykombinują. Teraz muszą czekać na informacje i mieć oczy dookoła głowy. Niestety, Marta nie wiedziała niczego, co mogłoby się przydać, nie przypominała sobie żadnych sekretów Karoli czy możliwych skrytek. Zwróciła natomiast uwagę na tekst na paragonie, który przekazała Wojtkowi Agata. Owszem, był niezrozumiały. Mógł nic nie znaczyć, jeśli Karolina pod koniec postradała zmysły, albo był ważnym kluczem. Wojtek wyjął stary świstek zapisany na odwrocie i rozprostował go na stoliku. Cztery pary oczu skupiły się na literach skreślonych drżącą ręką. Cisza się przedłużała.

— Przepraszam, czy podać coś jeszcze? — Dźwięczny głos kelnerki poderwał głowy do góry.

Wojtek pospiesznie schował papier. Rzeczywiście, od dawna siedzieli przy pustych naczyniach, pora była już późna i wkrótce kawiarnia, która nie serwuje alkoholu i nie jest nastawiona na wieczornych klientów, miała zostać zamknięta.

— Nie, dziękujemy. Zaraz się zbieramy. Prosimy o rachunek. — Wojtek oprzytomniał pierwszy.

— Oczywiście.

— To co robimy? — zapytała Lidia ściszym głosem, gdy kelnerka się oddaliła.

— Cóż, teraz już chyba nic nie wymyślimy. Marta, zrób sobie zdjęcie tego paragonu i myśl w domu — poleciła Edyta.

— Ale o czym ja mam myśleć? To jest lista zakupów? Może pomyliły jej się karteczki i oddała Agacie nie tę, co trzeba? — Pokręciła głową z dezaprobatą, ale posłuchała przyjaciółki.

* * *

Mieszkanie Edyty miało blisko sto metrów kwadratowych i trzy duże pokoje. Pierwotnie były cztery, lecz właścicielka zdecydowała się na wyburzenie jednej ze ścian, by zyskać przestrzeń. Największe pomieszczenie stanowiła ogromna sypialnia z wydzieloną garderobą, średnim pokojem był salon, do którego przynależał niewielki balkon, najmniejszy zaś, w zasadzie nieużywany pokój był zapasową sypialnią dla gości, która przypadła Lidii.

Gdy tamtego wieczoru wrócili, Edyta nie miała już ochoty na rozmowy, była zmęczona, zwłaszcza że rano musiała wstać do pracy, szybko zniknęła więc w swojej sypialni. Lidia również poszła się położyć, lecz nie mogła zasnąć. Wojtek nie skomentował w kawiarni tego, że wtajemniczyła Olgę. Spojrzał tylko na nią jak ktoś, kto zawiódł się na drugiej osobie i nie ma już siły walczyć. W końcu prosił ją o dochowanie tajemnicy, a ona po prostu wszystko wygadała koleżance z pracy. Wreszcie Lidia dała za wygraną i zamiast czekać na sen, wstała i po cichu, na bosaka, poszła w kierunku salonu, by sprawdzić, czy Wojtek już śpi. Panowała cisza, lecz cienka, biała kreska światła pod drzwiami zachęciła ją do sprawdzenia. Zapukała i po chwili wahania nacisnęła klamkę.

— Śpisz? — szepnęła.

— Nie. Nie mogę zasnąć. — Wojtek podniósł głowę znad dobrze znanego kawałka papieru. — Próbuję to jakoś rozszyfrować. Męczy mnie.

— Mogę?

— Jasne, wejdz.

Lidia usiadła na brzegu sofy. Mebel był tak duży, że Wojtek nie rozkładał go do spania. Lampka stojąca na stoliku obok, zapewne odziedziczona po babci, stylowa, mieniąca się kolorami dzięki abażurowi wykonanemu z maleńkich kolorowych szkiełek, dawała miękkie, delikatne światło, które rozpraszało mrok i zapewniało wewnątrz przyjemny, ciepły klimat. Obraz przedstawiający pejzaż z dżokejem na koniu był tak oświetlony, że trawy lizane promieniami słońca zdawały się falować, liście drzew na wietrze, a sam jeździec sprawiał wrażenie, jakby miał zaraz wydostać się na zewnątrz. Decyzja Lidii była spontaniczna i teraz ona sama nie wiedziała, co chciała powiedzieć Wojtkowi. Zaległa więc między nimi cisza, którą przerwał Wojtek, wskazując na obraz.

— Niesamowity, prawda? Dziś mam wrażenie, że utknąłem bardziej niż ten koń, który nigdy nie zrobi kroku do przodu. On przynajmniej wygląda, jakby próbował i był pewien, że mu się uda.

Z trudem oderwała wzrok od dzieła i spojrzała na Wojtkę. Nie ukrywał swojego smutku, bezradności, żałoby... Chociaż podczas ich pierwszego spotkania wyglądał nędznie, nie był tak przepełniony goryczą jak teraz.

— Bardzo dużo dla ciebie znaczyła — podjęła, a on spojrzał na nią, nic nie mówiąc. — Karolina — dodała, choć doskonale wiedział, o kim mówiła.

Milczał, jakby bał się odezwać i zaryzykować załamanie głosu. Milczeli więc razem przez dłuższy czas. Lidia jednak miała potrzebę usprawiedliwienia się, wytłumaczenia, mimo że nikt tego od niej nie oczekiwał.

— Nie chciałam mówić nic Oldze. Wiem, że to głupie tłumaczenie, ale ona jest cholernie spostrzegawcza. Zastanawiałam się... Ona zauważyła... Nieważne. Musiałam z kimś pogadać, powiedzieć o tobie. Rozumiesz?

— Myślę, że tak — powiedział po chwili bardzo cicho, patrząc jej prosto w oczy.

— Czulałam, że muszę cię znaleźć. Olga mi w tym pomogła.

— Wiem.

— Znajdziemy to, czego szukasz. I dowiemy się, czy ktoś stoi za śmiercią Karoliny — powiedziała stanowczo po kolejnej dłuższej chwili wspólnego milczenia. — To, że tu jestem... Wcale nie muszę tu być z twojego powodu, to znaczy z powodu twojej sprawy — poprawiła się szybko i spojrzała na niego badawczo. — Pojawił się pewien pomysł i to znowu zasługa Olgi, która zawsze ma głowę na karku i niezłe pomysły. Być może uda mi się załatwić wystawę moich grafik. To takie moje małe hobby, wiesz, mój świat. Ola wiele razy się oburzała, że kiszę swoje prace, jak mawia, i nie próbuję z nimi wyjść do ludzi. W ogóle uważa, że mogłabym rzucić pracę i... nieważne, czasem naprawdę przesadza. W każdym razie mam po co tu być i tak łatwo się mnie nie pozbędziesz — zakończyła i uśmiechnęła się.

— Miałem nadzieję, że wyjedziesz w najbliższym czasie.

— Cóż, mogę się przenieść...

— Żartuję. — Choć uśmiechał się tylko nieznacznie, błysk w oczach wyraźnie oznaczał rozbawienie. Znowu spoważniał. — Prawdę mówiąc, powinienem ci podziękować za to, że mnie nie posłuchałaś. Dzięki tobie to wszystko jakoś idzie do przodu. Kiedy dowiedziałem się o tym, że nie ma Karoliny, mojej Karoliny, która zawsze była... — zawiesił głos. — Za mną spalone mosty, przede mną wielka niewiadoma — zamilkł i spuścił wzrok.

Lidia bardzo chciała coś powiedzieć, pocieszyć go, cokolwiek zrobić, lecz czuła, jak gardło ścisną się jej boleśnie, a umysł nie potrafi skonstruować niczego sensownego.

— Dla mnie wszystko przestało istnieć — podjął cicho. — Zacząłem się zastanawiać, po co robię to, co robię. Po co zaangażowałem się w sprawę, która mnie nie dotyczy? Dlaczego nie mogłem jak inni po prostu pracować, robić swoje, zarabiać, cieszyć się życiem? Tam było naprawdę fajnie, wiesz, ludzie tacy przyjaźni, życzliwi. Przez chwilę... nawet myślałem, że mógłbym tam zostać na zawsze, założyć rodzinę... może. Ale ta ciekawość z czasem mnie zatruła i nie pozwalała mi odpuścić, rozumiesz? Niby wiedziałem, że mogą mnie przyłapać, nic nie zmienię, w niczym nie przeszkodzę, tylko dużo ryzykuję, a mimo to nie potrafiłem przestać. Przecież byłem ostrożny, nie rozmawiałem o tym z kolegami, sprawdzałem wszystko tyle razy, jeździłem jak głupi daleko, by wysłać dowody, a mogłem przesłać je przez internet, ba, zamieścić to, upublicznić anonimowo. Nie, byłem ostrożny jak cholera, chciałem zebrać niezbite dowody, by potem ujawnić cały proceder. Zdaję sobie sprawę z tego, że to, co miałem na początku, najwyżej utraciłoby jakieś płatki i nic więcej bym nie zdziałał. Karola mówiła mi to, ostrzegała. Chciała to wszystko komuś przekazać, a ja prosiłem, by jeszcze zaczekała, by nie ryzykowała. Tymczasem okazało się, że to ona ryzykowała najbardziej...

— Tego nie wiesz. Nie mamy pewności, że...

— Jestem przekonany, że Dawid doprowadził do jej śmierci. Zobaczysz, jak przyjdzie ekspertyza w sprawie tych pigulek. Dlaczego miałyby uciekać? Robić kipsisz w mieszkaniu? Zabrać jej komputer? Pewnie ukryła pendrive w swoim plecaku, który ten... — Zacisnął zęby i potrząsnął głową w poczuciu bezradności. — Jestem taki głupi, taki tępy... To ja do tego doprowadziłem.

— Nieprawda.

— Nie? Ciebie też naraziłem. Powiedz sama.

— Myślisz, że obwinianie siebie coś zmieni?

— Nie mam już na to wszystko siły...

— Dlatego nie jesteś sam, rozumiesz? — Przysunęła się i wzięła go za rękę, która była zimna jak lód. Pamiętnej nocy, pobity, głodny i skonany, nie był bardziej potrzebujący niż teraz. Usiadła więc bliżej i objęła go, jakby ten gest mógł jakoś ukoić jego ból i podnieść go na duchu. Trwali tak w ciszy, nie potrzebując już więcej żadnych słów ani gestów.

* * *

Tym razem Jeremi wybrał na spotkanie park w Chorzowie, o czym poinformował Lidie wczesnym rankiem, kiedy wszyscy jeszcze spali. Zerwała się, słysząc, że mają się tam zjawić równo za godzinę.

— Czy on oszalał? Nie może normalnie się spotkać w normalnym miejscu o normalnej porze?! — irytowała się Edyta, wciągając z wściekłością spodnie. — On w ogóle sypia?!

— Musi coś mieć — mruknął Wojtek z kuchni, zalewając kawę wrzątkiem.

O tak wczesnej porze pomimo środka tygodnia na ulicach nie było jeszcze zbyt wielu samochodów ani przechodniów i dotarli na miejsce przed czasem. Mgła unosiła się leniwie nad zielenią, a krople rosy perliły się malowniczo.

— Nawet się nie waży otwierać drzwi — zaprotestowała Edyta, gdy Lidia chciała wysiąść z samochodu. — Piżdzi jak cholera. Jeśli to jest to miejsce, poczekamy na niego w środku. Co za idiotyczny pomysł!

— Przynajmniej masz szansę nie spóźnić się do pracy — zauważył Wojtek.

— Dziękuję. Co bym zrobiła, gdybyś mnie teraz nie pocieszył.

Jeremi przybył punktualnie i wsiadł do samochodu Edyty, widząc, że nie mają najmniejszego zamiaru go opuścić. Na szczęście tylna kanapa była dość szeroka. Jak zwykle od razu przeszedł do rzeczy. Dotarł do chłopaka Karoliny, który istotnie nazywał się Dawid Nosiński, na stałe mieszkał w Warszawie i pracował w agencji nieruchomości Parker & Matela. Po powrocie z Gliwic niemal od razu wziął urlop. Nim dotarł do stolicy, na jego nazwisko wykupiono tam bilet na najbliższy lot do Barcelony.

— Bardzo mu się spieszyło — skwitowała Edyta.

— Tak. To nie wszystko — kontynuował Jeremi. — Nosiński ma żonę.

— Co za skurwysyn! — wyrwało się Edycie.

— To niejaka Angelika Kabas. Pewnie nic wam to nazwisko nie mówi, ale w środowisku branżowym jest znane. To współwłaścicielka firmy Parker & Matela, można powiedzieć rekin biznesu. Bardzo konkretna babka, wiecznie w pracy, wiecznie na wysokich obrotach, nie jest łatwo do niej dotrzeć, ale udało mi się umówić spotkanie na przyszły tydzień. Spróbuję ją jakoś wybadać. Niewykluczone, że jej interesy nie zawsze są legalne, ale nie mam żadnych informacji, które mogłyby wskazywać na jakieś związki ze środowiskiem przestępczym zajmującym się przemytem narkotyków.

— A co z tym gościem z Cieszyna?

— Nic. Barecki jest zatrudniony w pubie. Jego ojciec zajmuje się inwestycjami i nieźle na tym wychodzi. Syn z nim mieszka. Ma wśród znajomych wielu typków spod ciemnej gwiazdy, ale żaden trop nie wydaje się istotny. Muszę go jeszcze poobserwować. Mój człowiek ma go na oku.

— To ciekawe — wtrąciła Lidia. — Widziałam tego ojca. Staruszek, wyglądał mi na dotkniętego demencją. Nie przypuszczałabym, że może być czynny zawodowo.

— No właśnie. Dlatego obserwujemy ten dom. Sebastian Barecki też niekoniecznie robi to, co oficjalnie wiadomo, bo w tym barze raczej rzadko pojawia się jako pracownik — dodał Jeremi. — Do Barcelony za Dawidem nie będę jechał, ale jeszcze powęszę w Warszawie i poczekam na niego. Zobaczymy, co wyniknie ze spotkania z jego żoną. Na razie wciąż nie wiem, czy Dawid po prostu postanowił urozmaicić sobie życie, czy miał jakiś inny powód. Chciałbym jeszcze porozmawiać z sąsiadką, która przekazała wam pigułki — mówił dalej, zmieniając temat. — Wyobraźcie sobie, że to zwyczajne leki. Przeciwdepresyjny inhibitor, który miał prawdopodobnie działać przeciwlękowo, drugi to łagodny lek psychotropowy, często podawany razem z tym pierwszym, ponadto jeden nasenny na bazie ziół i dwa suplementy. Nic nadzwyczajnego.

— Karolina leczyła się na depresję? — zapytała Lidia.

— Nie miała wcześniej depresji. — Edyta zmarszczyła brwi. — Nawet gdy rozmawialiśmy w ostatnich czasach, nie powiedziałabym, że może ją mieć. Była bardziej... jakby rozbita, rozkojarzona i osłabiona, ale depresja? Przecież się zakochała! To raczej skutkuje zupełnie odwrotnym stanem.

— Trzeba znaleźć historię choroby, wyniki. Muszę jakoś do nich dotrzeć — stwierdził Jeremi. — Nie chcę niczego zakładać, ale teraz najbardziej prawdopodobne jest to, że Dawid jest w ich posiadaniu. Poczekamy, aż wróci, a tymczasem sprawdzę jego żonę — dodał i złapał za klamkę. — To tyle na razie. Odezwę się.

Cieszyn, wrzesień 2019

Mówiłem ci już, że dzwonię do niego codziennie od co najmniej dwóch tygodni. — Eryk

nerwowo przeciągnął ręką po włosach, które uparcie spadały mu na czoło. — Chłopaki nie wiedzą, żona nie wie, była żona też, kurwa, nie wie.

— Siostra?

— Nie odbiera.

— I co teraz robimy? Zdajesz sobie sprawę, ile zainwestowałem i ile mamy czasu? — Niski, noszący drogie ubrania mężczyzna z wściekłością na twarzy wbijał wzrok w Eryka, który wił się i kręcił, próbując uniknąć jego spojrzenia.

— Wiem, kurwa. Mati nigdy mnie tak nie zawiódł. Naprawdę zawsze dbał o swoją robotę, był obowiązkowy i godny zaufania. Zawsze wszystko było na czas i nigdy nie mieliśmy kłapy.

— Musisz zaangażować kogoś innego. Natychmiast. A jak Szwed się pojawi, poinformuj go, że nie chcę go nigdy więcej widzieć.

— Kogo ja teraz znajdę? Nie ma czasu! — Eryk spojrział na rozmówcę błagalnym wzrokiem. — Czekaj, może uda mi się go jeszcze złapać w...

— Nie. On już skończył — przerwał. — Nie wiem kogo, nie wiem jak, ale masz znaleźć odpowiednią osobę na jego miejsce najlepiej dzisiaj i niech zapierdala, żebyśmy zdążyli, albo sam się tym zajmij, a jak spierdolisz imprezę za kilka baniek, to sam je potem w zębach przyniesiesz, rozumiesz?! — Nie było to pytanie wymagające odpowiedzi, mężczyzna natychmiast wyszedł z biura, trzaskając drzwiami. Żarty się skończyły.

* * *

Poszukiwanie ludzi to nie to samo co znajdowanie przydatnych kontaktów w branży. Mateusz nie miał pojęcia, gdzie szukać, jak szukać, ale wiedział, że musi dowiedzieć się jak najszybciej, kim jest facet, którego spotkał w mieszkaniu własnej siostry. W pierwszym odruchu chciał przycisnąć właśnie ją, wyciągnąć od niej informacje prośbą, może jakimś blefem, lecz wymykała mu się zupełnie jak nie ona. Niby powiedziała, dokąd pojechała, ale zamiast konkretnie — w jakim celu i gdzie dokładnie — rzuciła tylko, że to na razie tajemnica, nie chce zapeszać i wszystko w odpowiednim czasie mu opowie. Musiał więc poradzić sobie inaczej. Wpadł niby przypadkiem na kolegów Lidii z pracy, którzy jak co dzień wychodzili po trzynastej na przerwę obiadową do pobliskiego lokalu. Na szczęście jednym z nich był Rafał, który pamiętał Mateusza z organizowanej przez niego kiedyś lokalnej imprezy charytatywnej współsponsorowanej przez firmę. Mati zręcznie wkręcił się na lunch, by dowiedzieć się czegokolwiek o projekcie wymagającym tego, by architekt klienta współpracował z Lidią. Niestety nie udało mu się uzyskać żadnych informacji o Wojtku, jednak dostał kontakt do dewelopera, który mniej więcej pasował do opisywanej inwestycji — domków za miastem.

W drodze do siedziby dewelopera Mati obmyślił genialny w swym mniemaniu plan. Postanowił wcielić się w przedstawiciela inwestora, który jest zainteresowany najbardziej luksusowym i wciąż niesprzedanym z powodu wygórowanej ceny lokalem z tamtej realizacji. Oczywiście chciałby porozmawiać z głównym projektantem i tak dalej. Przewidział, że wówczas skierują go do Merankomu, gdzie pracuje Lidia, ale będzie naciskał, by na miejscu rozmawiać z osobą bezpośrednio współpracującą z tamtymi. Był zadowolony z siebie i pewny sukcesu, jednak mina mu zrzędnęła, gdy dowiedział się, że osobą, która współpracowała z Merankodem, była tylko menedżer projektu. Kobieta. O Wojciechu Redyńskim nikt tam nie słyszał.

* * *

Mateusz był wściekły. Myślał, że przechytrzy wszystkich. Znajdzie faceta, bo przecież jego zawsze prawa, akuratna i właściwie postępująca siostra mówiła prawdę. Tym razem jednak albo nazmyślała, albo to nie ta inwestycja. Teraz będzie musiał prześwietlić wszystkie projekty Merankomu albo dorwać wreszcie Lidię i wycisnąć z niej, kim był ten facet, który nosił jego ciuchy i pił z nim piwo. Wsiadł do swojego luksusowego auta i ruszył z piskiem opon. Pał sześć jej prywatność. Miał zamiar przetrząsnąć mieszkanie siostry i znaleźć coś, co doprowadzi go albo do Redyńskiego, albo przynajmniej do Lidii, która musi mu powiedzieć prawdę.

Gliwice, czerwiec 2019, Karolina

Może przesadzam? Dlaczego po prostu nie dam tego Edycie do przechowania? Pies z kulawą nogą by u niej nie szukał. Albo tej młodej. Soni. Dawid wie, że przyjaźnię się z Edytą, mógłby się wkręcić jakoś, podejść ją... wszystko jest możliwe. Mój komputer bez wątplenia przeorał i udaje, że nic się nie dzieje. Muszę się go pozbyć, ale łatwiej zabezpieczyć dane niż... Soni by nie sprawdził.

— Przepraszam pana, może jednak wrócilibyśmy do centrum...

— Teraz? — Kierowca taksówki patrzy na mnie przez wsteczne lusterko jak na wariatkę. Rzeczywiście, jesteście już bliżej niż dalej.

— Ach, nie, niech pan jedzie. Tak tylko pomyślałam, by potem mnie pan odwiózł. Z powrotem...

— Oczywiście, tylko jak czekam, to też będzie się naliczać. — Zerka na mnie znowu.

Okolica staje się niepokojąco znajoma, coraz bardziej bliska, choć chciałabym o niej zapomnieć. Szkoła. Przesuwa się coraz wolniej po lewej stronie, stajemy w kolejce do świateł. Mam możliwość przyjrzeć się jej dokładniej. Ma nową elewację, inaczej wygląda dziedziniec i boisko jest odnowione, bardziej nowoczesne z białymi bramkami, gładkim, bordowym, matowym tartanem zamiast łysawej ziemi między kępkami zdeptanej trawy. Pod bramkami zawsze zbierały się kałuże, a potem błoto. Najgorzej było w ciepłe jesienne albo wiosenne dni, gdy po wcześniejszych deszczach ziemia zostawała w rowkach butów, na skarpetkach, a czasem i spodniach od dresu podczas WF-u. Pani Maria nie znosiła, gdy wracaliśmy w tym stanie, więc po lekcjach szłam do szkolnej łazienki i myłam buty, prałam nogawki i skarpety w zimnej wodzie w umywalce. Właściwie dlaczego tam nigdy nie było ciepłej wody? Ciekawe, czy teraz jest. Ruszamy, przeszłość mozolnie odsuwa się wraz z widokiem starej-nowej szkoły. Zamykam oczy. Zbyt wiele wspomnień. Otwieram, bo robi mi się niedobrze. Zamykanie oczu podczas jazdy, nawet jeśli jest się tylko pasażerem, to nie najlepszy pomysł.

— Proszę się tu zatrzymać. Ile płacę? — Lepiej niech nie podjeżdża zbyt blisko.

— Mam zaczekać?

— Nie, nie.

— Mówiła pani...

— Tak, wiem, co mówiłam. Jednak zdecydowałam, że zostanę dłużej, nie będę teraz wracać. — Nie podoba mi się to jego ciekawskie spojrzenie. Niech lepiej już jedzie, wozi innych klientów, a o mnie zapomni. Płacę i wysiadam. Nagła zmiana pozycji ciała sprawia, że znów wiruje mi świat. Chłodny wiatr osusza moje spocone czoło i mnie orzeźwia. Muszę za wszelką cenę iść równo pewnym krokiem. Niechże on już odjedzie...

Przedemną jakieś dwa kilometry spaceru. Nic takiego, a jednak... Jak to możliwe, że taka odległość stanowi dla mnie wyzwanie? Czuję się, jakby przybyło mi kilkadziesiąt lat. Skrótami będzie półtora, tylko czy dam radę przez las, wertepy i strumień? Dawno nie padało, chyba się uda. W sumie lepiej, niech mnie nikt tu na drodze nie spotka. Skręcam w lewo, w dawną ścieżkę. Tutaj nic się nie zmieniło. Może tylko drzewa są nieco wyższe, bujniejsze... Wchodzę głębiej między dęby, krzaki, gałęzie, które nachylają się nade mną. Ten zapach... wilgotny, zielony aromat ziemi. Przenoszę się w czasie. Najbardziej lubiłam powroty do domu, jeśli w ogóle mogę tak to nazwać, w czasie, gdy razem chodziliśmy do tej samej szkoły i zdarzało się, że kończyliśmy o tej samej godzinie.

To było wiosną, dni stawały się coraz dłuższe, każdy był niespodzianką pogodową, ale wtedy, w tamten piątek, było pięknie. Ciepło. Rano padał deszcz, a potem wyszło słońce i w lesie tak niezwykle intensywnie pachniało. Zachwyciłam się jak mała dziewczynka. W sumie byłam małą dziewczynką, no może trochę już większą... Chciałam biegać i skakać, a jednocześnie iść najwolniej, jak to tylko możliwe, by przedłużyć tamte chwile. Wojtek śmiał się i ze mnie, i do mnie. To był jeden z tych nielicznych momentów, gdy mogliśmy śmiać się w głos, wygłupiać, rozmawiać o byle czym i udawać, że jesteśmy normalnymi, beztrojskimi dziećmi. Wojtek zaczął opowiadać swoją wersję *Jasia i Małgosi*, która była tak komiczna, że co chwila łapałam się za brzuch ze śmiechu i ocierałam łzy. On zgrywał się, że płacę ze strachu przed złą wiedźmą i że mnie pociesza, a potem łapał mnie, udając czarownicę. Wplątał w tę swoją parodię przeróżnych bohaterów, którzy nie mieli z tą bajką nic

wspólnego, i ganialiśmy się po ścieżkach, krzakach, zaśmiewając się do rozpuku. Gdzieś w tyle głowy ciągle pojawiała mi się natrętna myśl: „Pożałujemy, jeśli się spóźnimy”. Ze wszystkich sił starałam się ją zagłuszyć, przedłużyć ten czas bez troski, pomimo wszelkich konsekwencji, jakie na nas spadną. Wojtek też o tym myślał. Nagle spoważniał, popatrzył na mnie i poczekał, aż się uspokoję, przestanę się wygłupiać. Podszedł blisko, złapał delikatnie, lecz stanowczo za ramiona i spojrzał mi prosto w oczy. Czar prysł. Czułam ciepło jego dłoni, łagodność i zapach przeplatający się z aromatem wilgotnej zieleni oraz świeżego jaśminu, który rósł co prawda kawałek dalej, ale wydzielał tak intensywną woń, że długo jeszcze było ją czuć i nigdy nie można było jej zapomnieć. Wojtek cicho, spokojnie, z powagą, a jednocześnie z pełną łagodności troską mówił do mnie. Nie chciał mi zabierać tej chwili zapomnienia, lecz nie mógł na nią dłużej pozwolić ze względu na konsekwencje, które z każdym kwadransiem, albo i nawet minutą, rosły. Nasze wygłupy trwały z pewnością co najmniej pół godziny, a przecież już powinniśmy być w domu.

Baliśmy się kłamstwa. Pani Maria, jakby miała rentgen w oczach, w mig odkrywała najdrobniejsze oszustwo, a jeśli nie udawało jej się to od razu, niewielka wątpliwość sprawiała, że drażyła, karała i szantażowała tak długo, że w końcu wyciągała z każdego prawdę. Ale czy mogliśmy tak po prostu powiedzieć, że biegaliśmy po lesie dla zabawy? Wojtek chciał wziąć to na siebie. Powiedzieć, że zgubił coś w szkole, kurtkę lub zeszyt, i szukaliśmy tego razem. Wiedziałam jednak, że to marne usprawiedliwienie, bo nawet jeśli znalazłby zgubę, dostałby karę za to, że nie pilnuje swoich rzeczy. Nie mogłam się na to zgodzić. Może byłam tylko dzieckiem, ale rozumiałam coraz więcej i za każdym razem przysięgałam sobie, że nigdy, przenigdy nie pozwolę, by Wojtek dostawał przeze mnie kary. Zaczęliśmy się sprzeczać, co tylko zabierało cenny czas. W końcu stanęło na zrzuceniu winy na kogoś innego. To było ryzykowne, mogło łatwo się wydać, ale uparłam się jak osioł. Nie widziałam innego wyjścia. Gdy wróciliśmy, czekała już na nas. Jej mina mówiła więcej niż tysiąc słów. Modliłam się, by tylko dała nam szansę na usprawiedliwienie. Miała lepszy dzień, toteż zamiast od razu nawarczeć i narzucić nam ograniczenia lub dodatkowe obowiązki jako karę, zapytała tylko ostro, gdzie się podziewaliśmy. Dowiedziała się, że zatrzymał nas pan od matematyki, który robił tego dnia porządki w pracowni i poprosił o pomoc. Przed nim czuła respekt. Był starszym belfrem cieszącym się powszechnym szacunkiem, zarówno u rodziców, jak i u dzieci. Nigdy nie krzyczał, nie wywyższał się, zawsze był opanowany i rzeczowy, roztaczał wokół siebie jakąś taką aurę, że chyba nawet pani Maria nie miałaby śmiałości mu się sprzeciwić. Nie mogliśmy mu przecież odmówić, choć oczywiście powiedzieliśmy, że spieszymy się do domu. Mierzyła nas wzrokiem przez chwilę, która wydawała się wiecznością. Udało się. Nasze wyrwane życiu chwile szczęścia i radości tym razem nie zostały doprawione gorzkim smakiem pokuty. Wiedzieliśmy jednak, że to nie może się powtórzyć. Tydzień później znowu las pachniał, słońce muskało nas delikatnie, lecz szliśmy w milczeniu, tylko trzymając się za ręce. Zamknęłam oczy, dałam się przez chwilę prowadzić jedynej osobie na świecie, której ufałam, i próbowałam w głowie przywrócić tamten nastrój wypełniony poczuciem szczęścia.

Teraz, by pozwolić wspomnieniu ożyć, też zamykam oczy. Znowu jestem tamtą dziewczynką, słyszę te same ptaki, serie silnych uderzeń dzięcioła w korę drzewa gdzieś wysoko nade mną, wciągam w nozdrza wilgotne atłasowe powietrze przesycone niemal dokładnie tymi samymi woniami. Tylko opieram się o drzewo, zamiast ścisnąć dłoń przyjaciela. Zaczynam czuć nieprzyjemne wirowanie, powinnam otworzyć oczy, nim mój błędnik zwariuje do reszty i upadnę, lecz tak jak wtedy nie chciałam kończyć świetnej zabawy, teraz próbuję zignorować te objawy, by jeszcze przez kilka chwil utrzymać przy sobie wspomnienia.

— Dobrze się pani czuje?

Tego się nie spodziewałam. Otwieram oczy i gwałtownie wciągam powietrze. Przedemną stoi kobieta i z niepokojem mi się przygląda.

— Tak, tak, nic mi nie jest. Ja tylko... chciałam chwilę odpocząć. Przepraszam. — Ruszam dalej, przecież nie muszę się tłumaczyć. Zauważam psa, który podbiega do mnie z radością, po czym zawraca wołany przez właścicielkę. Ta obrzuca mnie jeszcze jednym nieufnym spojrzeniem i idzie dalej.

Dom wygląda koszmarnie. Nikt tu niczego nie zmienił, może z wyjątkiem czasu. Wszystko zarosło krzewami, chwastami i wysoką trawą, która teraz jest nawet tam, gdzie wcześniej jej nie było.

Ogrodzenie, już wtedy stare, częściowo się rozpadło, a częściowo zarosło. Obawiałam się, że ktoś to kupił, mieszka tu i mój plan okaże się bezsensowny, ale nie. Miejsce wygląda na zapomniane przez świat i ludzi, powoli wchłaniane przez naturę jak wstydlivy wybryk, który trzeba ukryć. Właściwie nie dziwi mnie to. Kto chciałby tutaj mieszkać po ujawnieniu tego, co tu się latami działo... Ja byłam już daleko, ale wyobrażam sobie, że ta spokojna miejscowość przez dłuższy czas żyła sensacją. Ludzie pewnie mówili: „Kto by pomyślał, taka pobożna i dobra kobieta, nigdy się nie spodziewałam, że...”, „Jak to możliwe...” albo „Ona zawsze wydawała mi się podejrzana, wiedziałem, że coś tu musiało być nie tak...”. Co za różnica. Sprawa przycichła, dom został zapomniany, ludzie zajęli się swoim życiem. Rozglądałam się, choć przecież od razu widać, że nikogo od dawna tu nie było. Metalowej furtki nie ma. Może ktoś ją zabrał na złom. Podchodzę do drzwi i opuszcza mnie odwaga. Nie chcę tu wchodzić. Nie chcę budzić duchów, ożywiać koszmarów. Obchodzę budynek niemal na palcach. Nie wiem czemu, ale muszę zachowywać się cicho. Czuję się jak włamywacz, złodziej. Budynek gospodarczy wygląda jeszcze gorzej, lecz psia buda nadal stoi tam, gdzie zawsze. Wpatruję się w jej czarny, martwy otwór i czekam, aż wychyli się z niego pocziwa siwa mordka. Zaczynam płakać, nie umiem tego powstrzymać. Czuję, jak wszystko we mnie puszcza i ostatnia tama zostaje przerwana. Mam ogromną potrzebę usłyszeć głos Wojtka, porozmawiać z nim, właśnie teraz, powiedzieć, po co tu przyszłam, i poprosić, by przyjechał, zabrał mnie stąd. Uciec od tego miejsca, wspomnień, mojego domu, Dawida, tej przeklętej choroby. Sięgam do kieszeni. No tak, nie wzięłam telefonu, by Dawid nie mógł mnie namierzyć.

* * *

— Wreszcie! Karola! Gdzie byłaś? — Dawid łapie mnie w ramiona, nim przekroczę próg. Jest zdenerwowany, ale nie wściekły. — Kochanie! Odchodziłem od zmysłów! Nie mogłem się do ciebie dodzwonić, nigdy mi tego więcej nie rób!

Ścisła mnie i drży. Chyba rzeczywiście nie na żarty przejął się moją nieobecnością.

— Hej, jestem przecież. Nic się nie stało. — Odwzajemniam uścisk i całuję go w policzek. — Dasz mi wejść?

Śmieję się sztucznie, lecz on zdaje się tego nie zauważać. Wprowadza mnie do środka jak inwalidkę, zdejmując kurtkę, schyla się do butów.

— Gdzie byłaś? Jesteś głodna?

— Jak wilk. — Uczepiam się drugiego pytania. — Czyżbym przyszła w sam raz na kolację?

— Zaraz ci odgrzeję. Musisz zjeść i wziąć leki, pewnie nie brałaś po południu.

— A właśnie że wzięłam, byłam na pizzy z koleżanką ze studiów. Ale... trochę czasu już minęło, więc chętnie coś przekąszę. Co dobrego upichciłeś?

Jestem zdziwiona, że nie wziął mnie w krzyżowy ogień pytań, tylko siedzi, cieszy się, że już jestem i nic złego się nie stało. Pewnie będzie próbował subtelniej. Zabieram się do jedzenia, czekając na rozwój sytuacji.

Gliwice, wrzesień 2019

Pierwszy raz zdarzyło się, że Marta przyszła do biura Edyty bez uprzedzenia. Jednak aby dostać się dalej niż do recepcji, trzeba być pracownikiem i mieć kartę. Czekala zatem, siedząc przy maleńkim stoliku dla gości, i poruszała zawzięcie nogą założoną na drugą nogę. Wpatrywała się w drzwi windy. Gdy tylko się otworzyły i wyszła z nich Edyta, Marta poderwała się, zaczęła machać niecierpliwie ręką, choć dzieliło je zaledwie kilka metrów i nie dało się nie zauważyć gościa.

— Musisz to zobaczyć. Tu mogą być istotne informacje. — Popukała palcem wskazującym w tekturową teczkę.

— Ale co się stało? — Edyta kątem oka zauważyła zaciekawione spojrzenie Wery z recepcji. Ruszyła do drzwi, zanim Marta głośnym, niemal teatralnym szeptem zaczęła wyjaśniać cel swojej wizyty. — Tam. Chodźmy na parking.

Ledwie wyszły, Edyta pożałowała, że nie wzięła płaszcza. Silny, lodowaty wiatr szarpał bezlitośnie cienki żakiet. Mogłyby wsiąść do jej samochodu, który był zaparkowany tym razem bardzo

blisko, lecz wyszła bez torebki, a więc i bez kluczy.

— Przyjechałaś autem? — Rozejrzała się po parkingu.

— Tak. Tam od frontu. Chodź.

Niemal biegły, by jak najszybciej znaleźć się w zamkniętej przestrzeni.

— Słuchaj, musisz to zobaczyć — kontynuowała Marta. — Była u mnie Anna Zelikówna. Co za baba! Myślałam, że już nie wyjdzie. Zapuści korzenie i zostanie na zawsze. Cały czas nawijała, a w większości o takich pierdołach, że nie masz pojęcia. Przyszła zostawić te papiery, a potem jakby o tym zupełnie zapomniała i...

— Dobra, odpał auto, bo zamarznę — przerwała jej Edyta. — Do rzeczy. Czego chciała?

— Już... — Marta włączyła wciąż ciepły silnik, by uzyskać nieco bardziej komfortową temperaturę wewnątrz samochodu. — Przyniosła notatki Karoliny. Przez dłuższy czas jej biurko czekało na nowego pracownika, wreszcie został zatrudniony jakiś chłopak, więc Zelikówna zabrała się do przygotowania mu stanowiska pracy. W ogóle ma przegwizdane, bo wyobraź sobie, ta nowa, to znaczy ta, co była nowa jeszcze niedawno, Sonia, złożyła wypowiedzenie. Ponoć chciała już wcześniej, ma jakieś problemy rodzinne. Anna opowiadała mi o chorym ojcu i że Sonia chciała odejść niemal z dnia na dzień, ale zostawiłaby ją przecież na lodzie.

— Dobra, daruj sobie szczegóły. O co chodzi z tymi notatkami?

— No właśnie, jak wyjmowała te wszystkie papiery, to zauważyła, że coś jest pod szufladą. Rozumiesz, jakby tam wpadły jakieś dokumenty tyłem i się zaklinowały. Trochę pogniecione, ale zorientowała się, że to nie są firmowe materiały, tylko jakieś gryzmoły Karoli. Zaczęła to przeglądać, ale nic z tego nie rozumiała i pomyślała, że komuś to odda.

— A czemu tobie? — Edyta już wertowała zapisane drobnym maczkiem i w różnych kierunkach, pokreślone i chaotyczne zapiski zajmujące kilka wygniecionych i naddartych kartek.

— Ha! Całe szczęście, że sobie o mnie przypomniała, bo na początku chciała odesłać to do Wojtka do Czech! Szukała nawet jego adresu w tych notatkach, ale na szczęście nie znalazła. Tylko mój była w stanie zdobyć. Wiesz, Ludwik uczy jej bratanka, syna Elki.

— Tej od biologii? Ona jest jej siostrą?

— Nie, od geografii. Zdaje się przyszywaną — odpowiedziała. — W każdym razie Anna mnie jakoś zapamiętała i zadzwoniła do Elki... zresztą to nie jest ważne, do cholery — zirytowała się. — To jest istotne. — Wskazała na notatki.

— Najpierw trzeba je będzie odczytać i przeanalizować. Karola zawsze miała fatalne pismo, ale to... to jakiś dramat. Popatrz. Napisane coś jedno na drugim. Zabazgrane. A tu ołówkiem — mówiła Edyta, próbując się skupić. — Wezmę je do domu, może razem z Wojtkiem jakoś to rozszyfrujemy. W każdym razie nie ma wątpliwości, że to pisała Karolina. Może to być naprawdę ważne albo zupełnie nic niewarte. — Zmarszczyła brwi, wpatrując się w kartki. — Zwykle nie pisała tak chaotycznie. Gdybym nie znała charakteru jej pisma, to w życiu bym nie powiedziała, że mogła coś takiego nabazgrać. A ty? Nie powinnaś mieć teraz lekcji?

— Nie, dopiero o czternastej dwadzieścia. Mam jeszcze pół godziny, zdążę. Może zobaczymy, bo tutaj... — Nachyliła się nad papierami, by pokazać coś przyjaciółce, gdy ktoś zapukał w szybę od strony kierowcy. Obie podskoczyły. Marta gwałtownie się odwróciła, a Edyta zmiała papiery, by je schować. Obok samochodu stał zgięty wpół policjant i zaglądał do środka.

— Słucham! — Marta opuściła szybę ze złością i wciąż z mocno bijącym sercem. Była gotowa nakrzyczeć na intruza. — Źle stoję?!

— Dzień dobry. Aspirant Janusz Nacoń. Pani ma włączony silnik.

— I?

— I nie wolno, proszę pani. Pani dymi, a to...

— Ja dymię?! — Kompletnie nie rozumiała, o co chodzi policjantowi.

— Zgodnie z artykułem sześćdziesiątym ustawy o ruchu drogowym zabrania się pozostawiania pracującego silnika podczas postoju na obszarze zabudowanym. — Funkcjonariusz się wyprostował.

— Ale ja dopiero wsiadłam i już jadę — szybko usprawiedliwiła się Marta.

— Proszę o dokumenty.

— Już, już, ale ja naprawdę nie rozumiem, dopiero wsiadłam i muszę...

— Droga pani. My tu stoimy od ponad pół godziny. — Wskazał na zaparkowany naprzeciw radiowóz. — Panie wsiadły i siedzą, a samochód smrodzi. Ja, proszę pani, wszystko rozumiem, ale skoro widzi pani, że radiowóz stoi i mimo to ostentacyjnie puszcza pani silnik i siedzi w samochodzie od ponad dziesięciu minut. — Pokręcił głową, przeglądając dokumenty. — Pani wybaczy, pani Marto, ale my nie możemy ignorować takich zachowań.

* * *

Po wizycie Marty Edyta nie potrafiła już skupić się na pracy i liczyła minuty do wyjścia. Punkt siedemnasta opuściła biuro. Ledwie dotarła do domu, rozległ się sygnał przychodzącego SMS-a: *Zaraz u ciebie będę. Otwórz.* Zostawiła więc uchylone drzwi do mieszkania i poszła przebrać się w coś wygodniejszego. Czółenka lub szpilki, spódnice i żakiet tolerowała jedynie w pracy, a po przekroczeniu progu mieszkania od razu miała ogromną potrzebę zrzucenia ciuchów, które nagle robiły się niewygodne i nie do zniesienia. Ledwie włożyła ulubione legginsy i wciągnęła przez głowę stary T-shirt, usłyszała zamykające się drzwi i dobrze znane kroki w przedpokoju.

— Co za dzień! — Zdyszana Marta wpadła wprost do pokoju i opadła na kanapę, gubiąc po drodze buty. — Ile ja bym teraz dała za jakiegoś drinka! Choćby małą wódkę z colą! — Westchnęła. — Patrzyłaś na to?

— Niby kiedy? W robocie? Zaraz się tym zajmiemy. Tylko ochłoń. Sama dopiero weszłam do domu. Swoją drogą, śledzisz mnie czy co?

— Wojtek! — zawołała Marta, ignorując pytanie koleżanki.

— Nie drzyj się, nie ma go jeszcze. Pojechał do Katowic. Do tego Bogdana. Spokojnie. Zrobić ci herbaty? Rumianku? Co ciężarne piją oprócz wody? Może mleka?

— Bardzo śmieszne. Ciężarna to taki sam obywatel jak każdy. Nie słyszałaś pana, pies mu mordę lizał, policjanta? Tobie to dobrze, zmyłaś się i już.

— Telefon miałam, musiałam wracać do biura. — Edyta rozłożyła ręce. — Ile dostałaś?

— Stówę. Standardowo. Ciekawe, czy jak oni tak się czają na parkingach, to siedzą bez grzania. Zapomniałam zapytać. Jak masz sok z porzeczeki, to mi nalej.

— Mam pomarańczowy.

— Faj. A jakies jogurty? Jestem okropnie głodna. Przyjechałam tu od razu po lekcjach i nic w ustach nie miałam od... przed lekcjami. Ludwik poszedł na zebranie.

— A co to ma do rzeczy?

— Jak to co? Jakby był, toby zapytał, czy chcę coś zjeść, i by mi zrobił, a tak...

— Za dobrze ci. — Edyta przewróciła oczami, uśmiechając się. — A tak w ogóle, jak ty się czujesz?

— Błagam, tylko nie to — jęknęła Marta, rozsiadając się na kanapie. — Tego pytania i odpowiadania na nie mam już po kokardy! Przynajmniej ty mnie nie męcz. Widzisz, że jeszcze żyję, to chyba nie najgorzej.

* * *

Sam przed sobą nie chciał się przyznać, bo nadal nie akceptował tego, co przyniósł mu los, lecz zaczął powoli przyzwyczajać się do nowej rzeczywistości i dostrzegać świat wokół. Jako pasażer mógł spokojnie oglądać zza szyby samochodu mijane ulice, miejsca, które kiedyś były tłem jego codzienności. Wiele się zmieniło. Odnowione elewacje, nowe lokale, chodniki, wystawy zdawały się unieważniać przeszłość, rozpychać i podkreślać, że to, co brzydkie i przestarzałe, minęło, a miasto już nigdy nie będzie takie jak dawniej. Pamiętał zaniedbane kamienice przy ulicy Karola, teraz nie mógł oderwać wzroku od pyszniącego się nowością budynku. Gdyby nie te, które zatrzymały się w czasie i nadal trwały tak samo albo jeszcze bardziej przygniecione wpływem lat, skazane na zapomnienie, miasto byłoby jak zupełnie inna, lepsza wersja z alternatywnej rzeczywistości. Ogólny klimat, styl pozostawały mimo wszystko niezmiennie i przywoływały mnóstwo wspomnień, myśli wciągających w przestrzeń dawnych chwil, ludzi i czasu, który jak żywy stawał przed oczami.

Lidia nic nie mówiła, dzięki nawigacji nie potrzebowała wsparcia, więc pozwoliła Wojtkowi zanurzyć się w przeszłość. Jak przypuszczała, była ona zapewne mniej przygnębiająca i zagmatwana od terażniejszości, zwłaszcza widziana z perspektywy czasu. W końcu wjechali na autostradę w kierunku Gliwic i Wojtek powoli wybudził się ze swoich snów na jawie.

— Może jedź od razu do galerii. W sumie wieki tam nie byłem. — Poprawił się na siedzeniu.

— Okej. Tylko pamiętaj, że muszę jeszcze wstąpić do drukarni. Trochę tam zejdzie.

— W porządku. Mam już dość gonienia własnego ogona. Może tym razem tobie się przydam — odparł. — Dzięki za to, co powiedziałaś u Bogdana. Przekonałaś go. Mam nadzieję, że ta dodatkowa współpraca z Jeremim przyniesie jakieś postępy.

— Powinna. Ten jego kumpel jest strasznie skryty. Rozumiem ostrożność, ale to już... No nieważne. Grunt, by się dogadali. A co z tą listą? Wymyśliłaś coś?

— Szczerze mówiąc, nie potrafię się nad tym skupić. Nie wiem, czy to cokolwiek znaczy. Słyszałaś, co mówiła Agata. — Rozpiął wewnętrzną kieszeń kurtki i wyjął paragon, którego oryginalny nadruk był już blady. — Sześć bułek, mleko dwa procent, śliwki duże RPA, dolna półka, sałata, ser biały, majonez, ketchup, szampon, skreślone kasztanki, pawelek — odczytał. — Nic nadzwyczajnego.

— Czyli to taka jej zwyczajowa lista zakupów?

— Szczerze? Nie wiem, co kupowała w ostatnich... Może zmieniły jej się preferencje — odpowiedział. — Kiedyś nie cierpiała śliwek. I majonezu. No, ale nie była sama, prawda? Nie, nie wiem, czy to ma sens. — Był gotów zmiąć karteluszek i cisnąć nim za okno, mimo to znowu na niego spojrział. — Sprowadza się śliwki z RPA?

— Nie mam bladego pojęcia. Może.

— Dlaczego akurat to napisała? I dolna półka, podkreślone dolna... Pisziesz sobie na liście zakupów. skąd coś ma pochodzić, na której półce w sklepie leżeć?

— Trochę to nietypowe, przyznaję.

— Nie, to zdecydowanie nie jest podobne do Karoliny. Po pierwsze, nie przypominam sobie, by kiedykolwiek robiła listy zakupów, miała świetną pamięć...

— Weź pod uwagę jej problemy ze zdrowiem — przypomniała Lidia.

— No tak, ale śliwki? I szampon między ketchupem a słodyczami? Czekaj...

— Jeśli chciała coś zaszyfrować, mogła to ukryć pomiędzy, rozumiesz? Przecież nie napisałyby wprost.

— Co ty powiesz? Daj spokój, Jeremi pewnie ma rację i to tylko zwykły paragon. — Zmiął karteczkę i włożył do zewnętrznej kieszeni.

* * *

Z notatek Karoliny niewiele dało się zrozumieć. Teraz wiedzieli jednak, że i ona podejrzewała Dawida, chociaż chaos skrótów myśli wskazywał na przeróżne scenariusze. Wiele słów zdawało się nie mieć sensu, wiele zdań stało w sprzeczności z innymi. Wojtek ze zmarszczonym czołem czytał notatki, które wydawały się próbką obrazu tego, co działo się w głowie Karoliny w ostatnich tygodniach jej życia. Drżały mu ręce, ból ścisnął skronie, a natrętne myśli typu „Gdybym tylko wtedy...” nie chciały odpuścić.

Nie były to kartki z pamiętnika, Karolina nie opisywała swoich przeżyć, uczuć, niepokojów wprost. Chciała raczej jakoś zatrzymać na papierze galopujące, splątane i szybko ulatujące myśli, by zrozumieć, co się dzieje. Wyglądało to jak bełkot osoby popadającej w paranoję, szukającej spisków, prześladowców i ulegającej coraz większej panice. Nikt nie wypowiedział tego głośno, ale cała czwórka pomyślała o szaleństwie trawiącym umysł autorki.

— Tu było chyba nazwisko. — Marta podsunęła kartkę pod lampę i przybliżyła ją do oczu. — Tak, zobaczcie. Zmazała to, co było ołówkiem, i pisała na tym, ale... zobaczcie, jest „Wu”, kawałek nic i „wicz”. Trzeba to jakoś odczytać. Niżej jakby cyfry? Szesnaście? Piętnaście? I zero trzy albo zero osiem? Może zapisywała sobie jakieś wizyty u lekarzy?

— To by było coś. — Edyta niemal dotykała policzkiem twarzy przyjaciółki. — Jeremi musi to poddać analizie. Mają chyba od takich rzeczy specjalistów.

— Policja pewnie ma.

— Jeśli policja ma, to i on też. Musi to zobaczyć. Gdyby udało się dotrzeć do jakiegoś lekarza, może nawet do badań.

— Tu jest coś o lekach — wtrącił Wojtek. — Nazwa zgadza się z tym, co dała Agacie. I pisze o „dr”, szkoda, że bez nazwiska.

— A to chyba kawałek listy „za i przeciw”. Próbowała usprawiedliwiać Dawida — zauważyła smutno Lidia.

— Kochała go. — Edyta podniosła wzrok znad kartek. — Naprawdę go kochała... Nie wiem, co bym zrobiła, gdybym odkryła, że facet, którego darzę miłością, jest jakimś cholernym psychopata, chce mnie zabić, ma żonę... Co za... — Próbowała znaleźć odpowiednio dosadne określenie, lecz żadne nie było dostatecznie mocne.

— Mamy coś, co może się przydać. — Wojtek już telefonował do Jeremiego. — Tak. Kiedy? Dobrze. Wyślę ci zdjęcia.

— To ja wracam. Ludwik już mnie bombarduje SMS-ami. Właśnie jedzie do domu.

— Długo coś to zebranie trwało — zauważyła Edyta. Była już noc.

— Normalnie. Po zebraniu są jeszcze konsultacje. Pracowałabyś w szkole, to byś wiedziała, czym to pachnie. No nic, zbieram się. Jutro zadzwonię, a jakby co, to do mnie o każdej porze dnia i nocy. — Zamknęła dłoń, wystawiając kciuk i mały palec, i przyłożyła do ucha.

Po wyjściu Marty Wojtek starannie poskładał notatki Karoliny i włożył do foliowej koszulki. W pokoju zaległa cisza. Edyta siedziała na krześle z podciągniętymi pod brodę kolanami, Lidia wpatrywała się niewidzącym wzrokiem w blat, a Wojtek odpłynął we wspomnienia. Czas jakby się zatrzymał i tylko bardzo ciche, równomierne tykanie zegara wypełniało przestrzeń. Nikt nie spieszył się spać. Kartki otulone plastikiem na środku stołu wywoływały fale wspomnień u Wojtka i Edyty. Lidia, choć nigdy nie poznała Karoliny, czuła się tak, jakby i ona była jej przyjaciółką, współodczuwała stratę, pragnęła wyjaśnień, też chciałaby cofnąć czas, by zapobiec tej śmierci, jeśli tylko byłoby to możliwe.

— Czy ona jadła śliwki?

Nagłe pytanie zawisło w powietrzu.

— Co? — Edyta była zdziwiona.

— A Dawid?

— Nie wiem, nie rozumiem, dlaczego pytasz?

— Bo na tę listę zakupów wpisała śliwki. Z RPA.

— Śliwki z RPA? — Patrzyła na niego ze zdumieniem. — Nie wiem... kurczę... z RPA i Karolą to mi się tylko żyrafa kojarzy, ale... śliwki?

— Jaka żyrafa? — zainteresowała się Lidia, której już tego wieczoru nic nie było w stanie zdziwić.

— No ta przecież. — Edyta poderwała się, szybko podeszła do kredensu i wyjęła zza szyby drewnianą figurkę.

— Dlaczego jest tutaj? — Wojtek już dawno miał o to zapytać.

— Zabrałam ją po... — urwała — wtedy, gdy Dawid wyjechał i poszliśmy tam z Martą.

— Pokaż. — Wziął w obie ręce żyrafę delikatnie jak kruchy klejnot.

— Co tam było dalej? Półka? Dolna półka? — ożywiła się Lidia.

— Ale tam nie było żadnej dolnej, po prostu... — Edyta myślała o meblu, na którym znalazła pamiątkę w domu Karoliny, tymczasem Wojtek odwrócił figurkę do góry nogami. W drewnie była niewielka szczelinka, a w niej tkwił kawałek czegoś białego. Odwrócił przedmiot tak, by Edyta zobaczyła spód.

— Czekał, dam ci szpilkę. — Ponownie zerwała się i wybiegła z pokoju. Chwilę później wróciła i wydobyli kawałeczek złożonego papieru.

— „Zima, Tuto, my”. — Wojtek przeczytał napisane maleńkimi literami słowa. Spojrzał na Edytę szeroko otwartymi oczami.

— No? Co to znaczy? — niecierpliwiła się Lidia, nic nie rozumiejąc, podczas gdy puzzle układały się w głowie Wojtka.

— Jedziemy do Orzesza.

Mateusz, wrzesień 2019

Tym razem trasa w stronę wschodniej granicy dłużyła się i przeciągała z powodu licznych robót drogowych. Mati wyjechał wcześniej, by jak najszybciej mieć z głowy to zlecenie. Planował dotrzeć na noc do Chełma, lecz postanowił zjechać z trasy i przenocować w Zamościu. Był zmęczony i zrezygnowany. Wjechał do centrum miasta, chwilę pokręcił się w poszukiwaniu miejsca do zaparkowania. Uliczki wokół rynku stanowiły wyzwanie, jednak szybko udało mu się znaleźć lukę. Wybrał pierwszy znajdujący się w pobliżu hotel, jaki podpowiedziała mu nawigacja, i zadzwonił, aby zapytać o wolny pokój. Gdy wysiadł, przejechała obok niego powoli biała honda. Spojrzał za samochodem, który po chwili zniknął za zakrętem. Był niemal pewien, że taki sam widział na stacji po drodze. Właściwie od jakiegoś czasu narastało w nim wrażenie, że ma ogon. „Prawdopodobnie mnie pilnują. W końcu jestem nowy, wciąż mi nie ufają, chociaż sam nie wiem, kiedy wciągnęli mnie w interesy” — myślał. „Kto inny miałby mnie obserwować?” Myśl o policji odrzucił od razu. Gdyby wiedzieli, co i ile wiezie, zatrzymaliby go od razu. Polskie służby wołą wróbla w garści.

* * *

Z każdą misją, jak nazywał swoje zlecenia Mati, było łatwiej. Oswajał się z sytuacją, coraz mniej stresował, a wszelkie obawy były coraz bardziej nierealne. W końcu nic się nie działo. Łatwo, gładko, szybko, bez komplikacji. Poczucie strachu z czasem słabło, aż prawie zupełnie zniknęło. A praca była taka banalna. Jedź pod wskazany adres, dostarcz towar i — w zależności od umowy oraz klienta — albo sam rozładuj i weź kasę, albo nie rób nic, inni się zajmą formalnościami.

W Chełmie akurat trzeba było poczekać do zmroku, o umówionej porze pojechać kawalek za miasto i zaparkować cicho za budynkiem. W niemal całkowitej ciemności, którą zapewniła ponura tego dnia pogoda i brak jakiegokolwiek oświetlenia w okolicy, Mateusz wyjął ze skrytek towar, który w sumie ważył około pięciu kilogramów. Nie wiedział dokładnie, co to jest, lecz mógł się domyślać mniej więcej po kwocie, jaką miał zainkasować od faceta, który wyszedł z domu na taras, by zapalić papierosa, i zupełnie bez słowa, jakby przy okazji, wymienił gotówkę na pakunek. Mati wrzucił kasę do schowka, po czym powoli ruszył w stronę miasta, włączając światła dopiero po chwili jazdy, między jednorodzinnymi domami. Nie miał zamiaru zatrzymywać się w Chełmie, ale mały przystanek na kolację z pewnością był wskazany.

Za kilka godzin powinien pojawić się z gotówką w Piasecznie. Umówili się po północy, gdy impreza będzie już dobrze rozkręcona, a większość gości znacznie przekroczy próg promili pozwalający na trzeźwe myślenie. Niespiesznie wsiadł do samochodu, ruszył i uznawszy, że godzina jest wciąż w miarę młoda, zadzwonił do siostry. Nie spodziewał się, że uda mu się z nią porozmawiać, lecz i tak postanowił spróbować. Owca

— Jak miło, że wreszcie odebrałaś. Wróciłaś już do domu?

— Nie, ogarniam wystawę. Jeszcze trochę to potrwa.

— O, wreszcie zdecydowałaś się pokazać swój talent światu! — Szczerze się ucieszył.

— Eryk do mnie dzwonił — powiedziała poważnym tonem. — Jest mocno zaniepokojony, bo podobno coś zawałił i nie może się z tobą skontaktować.

— Co? A, on. Daj spokój, coś mu się chyba popierdoliło. Wszystko mam ogarnięte.

— Ale podobno...

— Nie, nie, serio, siostra, on ostatnio ma chyba jakiś problem ze sobą. Zrezygnowałem z prowadzenia jednej małej imprezy, bo mam inną ważniejszą i mi kolidowały terminy, a on chyba nie potrafi się z tym pogodzić. Nieważne, mówiłem mu. Nie przejmuj się i najlepiej zignoruj jego telefony. Przepracowany jest i zapomina, co się do niego mówi.

— Ale...

— W kontraktach wszystko jest. Sam do tego dojdzie.

— A gdzie jesteś?

— Jadę właśnie do Warszawy, jutro z rana mam spotkanie z menedżerem zespołu. No, ale

powiedz, co tam u ciebie? Długo coś ci schodzi z tą wystawą. Może potrzebujesz pomocy, bo wiesz, jakbyś chciała to jakoś nagłośnić, służyć pomocą. A może spotkałaś tam jakiegoś przystojnego artystę?

— No i po co się wygłupiasz? — zapytała, przewracając oczami.

— Ja? Bardziej się zastanawiam, co na to Wiktor — spróbował wprowadzić rozmowę na interesujący go tor.

— Kto?

— Nie udawaj. Wiem, że coś między wami było. Koleś patrzył na ciebie jak pies na kość.

— Głupi jesteś. To był współpracownik. W dodatku chwilowy i dawno zakończyliśmy interesy.

— Szkoda. Nie powinnaś tak łatwo odpuszczać dobrym partiom. A w ogóle skąd on był?

— Nie wiem, nie rozmawialiśmy o prywatnych sprawach.

— Z jakiej firmy, pytam.

— Mati, daj mi teraz spokój z pracą. — Nie dała się łatwo podejść. — Nawet nie chcę o tym myśleć. Przedłużyłam urlop, bo okazuje się, że jednak to trochę bardziej skomplikowane, niż myślałam. Wiesz... trochę się stresuję. Chciałabym, żeby wszystko było dopięte. A co, jeśli nikogo nie zainteresują moje prace albo zblądnię się, bo co to za sztuka?

— To by znaczyło, że wyprzedzasz epokę, ale nie licz na to, nawet ja wiem, że aż taka ponadczasowa nie jesteś. Spokojnie, będzie dobrze. Może bym wpadł? Prawdopodobnie będę w pobliżu przejazdem. Gdzie się zatrzymałaś?

— U koleżanki — powiedziała trochę zbyt szybko.

— O, to daj mi adres, odwiedzę cię i razem pojedziemy na otwarcie. Wsparcie brata jest nieocenione, zobaczysz.

— Okej, jak już na sto procent ustalę termin. Będziemy w kontakcie.

— Lidka...

— Muszę kończyć, zaraz mi telefon padnie, a kabel zostawiłam w aucie. Trzymaj się i uważaj na siebie, Mati. I dzieciaki pozdrów. Pa!

Cholera, znowu nic konkretnego. Po oddaniu kasy postanowił ruszyć prosto na Śląsk. Lidia z pewnością wiedziała o Redyńskim dużo więcej. Gdyby tak udało mu się go znaleźć, kimkolwiek jest, mógłby wiele zyskać.

Mateusz przekroczył Wisłę w Ostrówku, gdy telefon znowu ożył. Miał przez chwilę nadzieję, że to Lidia, lecz jedno spojrzenie ją rozwiąło. Odebrał połączenie z nieznanym numerem.

— Klub spalony. Jedź na Rzeszów i czekaj. — Znajomy mężczyzna, który miał odebrać pieniądze, natychmiast się rozłączył.

Mati otworzył usta, lecz nic nie powiedział. W Górze Kalwarii zjechał na siedemdziesiątkę dziewiątkę w kierunku Rzeszowa. Był już tak blisko, że niemal czuł smak schłodzonej whisky z pewnością serwowanej w klubie. Jeśli następny przystanek jest w Rzeszowie, czekają go prawie cztery godziny jazdy. Nagle poczuł się kompletnie wyczerpany. Po co to robi? Jest chłopcem na posyłki i cieszy się, bo dostał fajne auto? Docisnął gaz do deski, lecz zaraz poluzował. To nie była szosa na taką prędkość. I tak jechał zbyt szybko, mógłby stracić prawo jazdy. Reflektory oświetlały krajową drogę, która poza nimi tonęła w ciemności. O tej porze nie było tu nikogo innego. Chwilami niemal przelatywał przez śpiące wsie między przycupniętymi po obu stronach domami, gdzie z rzadka świeciło się światło. Pomyślał, że gdyby teraz na drogę wyszedł kot lub inne zwierzę, nad ranem miejscowi oglądaliby co najwyżej jego rozmazane na drodze flaki. Noc była ciemna. Czarne jak heban niebo ciążyło niczym pokrywa nad ziemią. Gdy mijał rozległe pola, miał wrażenie, że szybuje nad nicością. Reflektory pozwalały widzieć tyle, by rejestrował krzywiznę drogi i mieścił się w niej. Czasem dwa punkty z naprzeciwka kazały mu trzymać się prawej, lecz przeważnie cała szerokość należała do niego.

Za Sandomierzem, gdy znów zbliżał się do przekroczenia Wisły, telefon zabłysnął, oznajmiając przyjście nowej wiadomości. Mateusz mocno zwolnił. SMS z kolejnego obcego numeru zawierał tylko współrzędne. Zwolnił więc jeszcze bardziej, by skopiować dane do mapy, gdy nagle coś uderzyło mocno w maskę. Mati oślepiony wyświetlaczem komórki spojrzął w ciemność przed sobą. Instynktownie wcisnął mocniej hamulec i skręcił w lewo, skontrował w prawo, choć nie potrafił ocenić, w którym miejscu drogi się znajduje. Oblał go zimny pot paniki. Nie panował nad samochodem i nie był już

pewien, czy nadal jedzie wzdłuż drogi. Zdążył tylko pomyśleć, że zwolnił za mało, kiedy ciemność wypełniła także jego umysł.

Barcelona, wrzesień 2019

Początkowo wszystko wydawało się proste, ot, zlecenie na kilka dni. Jeremi nie przypuszczał, że znalezienie jednej osoby przerodzi się w poszukiwania innej, tropienie dowodów na spowodowanie śmierci i deptanie po piętach przemytnikom narkotyków. Takiej sprawy nie miał nigdy dotąd. Zwykle szybko przechodził do współpracy z organami ścigania i to oni przejmowali pałeczkę, on zaś mógł wrócić do drobnych, szybkich, satysfakcjonujących zleceń.

Tajemniczym kolegą Bogdana okazał się kumpel Jeremiego z dawnych lat, Olaf. Jeremi był przekonany, że zostałby policjantem, gdyby nie narkotyki, które pokrzyżowały mu wszelkie plany. Olaf wszedł na ścieżkę, która powiodła go nad przepaść. Stoczył się na samo dno, by po kilku bolesnych próbach i powrotach wreszcie nabrać sił, odbić się i zacząć nowe życie. Wciąż był w pewnym sensie związany z narkotykowym światkiem, lecz teraz w zupełnie innej roli. Niczym mściciel robił wszystko, co w jego mocy, by zmieść z powierzchni ziemi to, co odebrało mu bezpowrotnie kilka lat życia. Był skryty, cichy, mało kto wiedział, czym się zajmuje po godzinach pracy zawodowej. Bogdan uważał się za jego dobrego kolegę, nic jednak nie wiedział o jego przeszłości i specyficznym hobby. Olaf nie przeszedł żadnych szkoleń czy specjalnego przygotowania, ale miał kontakty, motywację i nosa.

Gdy wreszcie Bogdan zdecydował się go przestawić Jeremiu, obaj byli kompletnie zaskoczeni. Współpraca nadała bieg wydarzeniom i okazała się najlepszym wyjściem. Szukając Dawida, odkryli, że niewidzialna siatka powiązań jest dużo większa, niż mogli się spodziewać. Żona Dawida też nie była kryształowa i wiele wskazywało na to, że przez jej firmę przechodzi dużo więcej gotówki, niż powinno, i choć w papierach wszystko się zgadzało, po bardziej wnikliwych analizach nie było to już takie oczywiste. Postanowili jednak na razie trzymać się tropu Dawida. Wiedzieli, gdzie pojechał, i choć Jeremi uważał, że należy po prostu poczekać na jego powrót, dużo mniej cierpliwy Olaf przekonał go do szybszej reakcji. W efekcie to właśnie on wsiadł do samolotu w celu złożenia niespodziewanej wizyty w stolicy Katalonii. Jeremi zdawał sobie sprawę z tego, że Olaf zapewne nieraz działał na granicy prawa, choć ten nigdy niczego takiego nie przyznał i nie posunął się na tyle daleko, by stało się to dla niego niebezpieczne. Dlatego postanowił nie oponować. Jeśli Dawid rzeczywiście stał za śmiercią Karoliny i współpracował z ludźmi Mecenasa, Olaf to z niego wyciągnie. Ważne, by potwierdzić trop i wreszcie dowiedzieć się czegoś więcej.

Oczywiście Jeremi nie mógł wiedzieć wszystkiego. Miał świadomość, że Olaf nie lubi, gdy mówią na niego „Olo”, łatwo wtapia się w każde tło i nieoficjalnie pomaga czasem policji w śledzeniu dilerów narkotyków czy rozpracowywaniu melin, za co dawni kumple od kreski szczerze go nienawidzą. Zwłaszcza że niektórzy dzięki jego bezpośrednim działaniom zamienili swoje mniejsze lub większe „M” na duszne pomieszczenia z kratami i współlokatorami. Nie wiedział jednak, że marzeniem byłego ćpuna jest zobaczyć starszego zgarbionego mężczyznę — który zdawał się niegroźny, skromny i bardziej wzbudzający litość niż chęć zemsty — zakutego w kajdanki. Nieraz wyobrażał sobie ten moment, kiedy na sali sądowej odczytają wyrok skazujący Mecenasa o władczym głosie na taką liczbę lat, by nigdy już nie zasmakował wolności. Choć tego nie okazywał, wręcz starał się sugerować dużo mniejsze zaangażowanie, nie mógł się doczekać spotkania z Dawidem i wyciśnięcia z niego za wszelką cenę wszystkich informacji, nawet jeśli miałyby go to tylko nieznacznie przybliżyć do realizacji skrytego marzenia.

Barcelona powitała go błękitem nieba, a port lotniczy w El Prat uraczył go reklamami i ulotkami obiecującymi niezwykle wrażenia, jakie oferuje to wyjątkowe miasto. Olafa zupełnie to nie interesowało, chociaż był tu pierwszy raz w życiu. Szybko udał się w kierunku wyjścia i postoju taksówek, by jak najszybciej ruszyć do pięciogwiazdkowego hotelu ABaC, który zwykłych zjadaczy chleba raczej odstraszał cenami. Jego również nie było stać na takie luksusy, lecz gra była warta świeczki, toteż był gotów zdobyć i wydać tam każde pieniądze. Gdy tylko kierowca poznał adres, zaczął rozplływać się w zachwytach nad okolicą ekskluzywnej dzielnicy Sarrià-Sant Gervasi, ogrodu, jakim dysponuje hotel,

oraz nalegać, by klient, nawet jeśli jest tu tylko w interesach i nie w głowie mu zwiedzanie, koniecznie odwiedził park Güell, który znajduje się zaledwie dwadzieścia minut spacerkiem od hotelu. Olaf udawał, że niewiele rozumie, choć jego hiszpański był na całkiem przyzwoitym poziomie. Przy dobrych wiatrach nie spędzi w tym kraju więcej niż czterdzieści osiem godzin.

Najtańszy pokój okazał się drogim apartamentem. Gdyby nie okoliczności, Olaf doceniłby jego wygodę. Nie uzyskałby informacji o innym gościu od recepcjonisty, więc zaraz po zamknięciu drzwi swojego salonu włączył laptop i korzystając z wi-fi, włamał się do hotelowego systemu, zabezpieczonego standardowymi, prostymi metodami z hasłem administratora tak oczywistym jak słońce nad Barceloną nie tylko o tej porze roku. Chwilę później wiedział już, w którym apartamencie zatrzymał się Dawid, i wyruszył na poszukiwania.

Plan był prosty. Miał przeszukać pokój, dostać się do dokumentów i laptopa oraz przy odrobinie szczęścia zdobyć choćby na chwilę telefon Dawida. Najlepiej bez jakiegokolwiek kontaktu i wzbudzania podejrzeń.

* * *

Dawid zjadał niespiesznie obiad w hotelowej restauracji, gdy ktoś, przechodząc za jego plecami, upuścił swą kartę na podłogę, schylił się, podniósł ją i spokojnie ruszył dalej, w kierunku schodów. Nikt nie zauważył, że przy okazji jednym płynnym ruchem wyjął coś z kieszeni marynarki przewieszanej przez oparcie krzesła. Dwie minuty później Olaf wszedł do nie swojego apartamentu. Nie miał zbyt wiele czasu. Zawsze istniała możliwość, że ktoś, kto akurat obserwował obraz z kamery w korytarzu, był na tyle spostrzegawczy, by skojarzyć, że gość wszedł nie tam, gdzie został zakwaterowany. Neseser Dawida stał obok szafki nocnej. Oczywiście był zamknięty na zamek. To nie zraziło Olafa, który metodycznie i dokładnie zaczął przeszukiwać sypialnię, salon i łazienkę. Niestety nie był usatysfakcjonowany, choć udało mu się zalogować do laptopa i skopiować kilka folderów zawierających pliki być może warte przejrzenia, przeszedł ostatnią pocztę i kontakty oraz historię przeglądarki. Ta ostatnia okazała się zupełnie nieprzydatna. Zamiast zgodnie z planem wyjść z tym, co miał, podrzucił kartę na miejsce, zając się dyskretnym śledzeniem podejrzanego, poszedł prosto do restauracji, usiadł przy stoliku Dawida i bezceremonialnie położył klucz do jego pokoju na stole tuż przy talerzu z na wpół zjedzoną paellą. Zgodnie z oczekiwaniem zobaczył wyraz głębokiego zdumienia malujący się na twarzy mężczyzny.

Olaf wiedział, że wkracza na grząski grunt. Dawid w każdej chwili mógłby wstać, wezwać ochronę i pewnie tak by zrobił, gdyby był obywatelem, który nigdy nie przekracza granic prawa i nie chce zwracać na siebie uwagi. Po chwili wahania z udawanym spokojem kontynuował posiłek, a Olaf wezwał kelnera. Zamówił to samo, co jadł drugi gość, i znowu wwiercił spojrzenie w jedzącego.

— Miło pana poznać, panie Nosiński. Oczywiście, by już nie komplikować, pan dziś stawia obiad.

— Czego pan chce?

— Ach, niczego wielkiego. — Machnął ręką nonszalancko. — Chciałem tylko przekazać pozdrowienia z Gliwic. Od pana doktora — zablefował.

— Tak, a konkretnie?

— Pan doskonale wie. Doktor... ma wątpliwości co do pewnego zgonu.

— Nie wiem, o czym pan mówi. Proszę się przesiąść do innego stolika.

— Niewykłuczone, że prokurator zażąda ekshumacji i autopsji.

— Ale po co? O czym pan mówi? Co ja mam z tym wspólnego? — Dawid wyraźnie zbłądł i zdawał się zapomnieć o swoim posiłku.

— Myślę, że pan dobrze wie po co. Zrobi się szum. Będzie się działo. Może przy okazji...

— Człowieku, czego ode mnie chcesz?

— Może na początek odda pan dokumentację medyczną. Jeśli nie jest pan w nic zamieszany, nie ma powodów jej ukrywać.

— Ale ja nie mam żadnej dokumentacji... — Dawid chciał coś jeszcze powiedzieć, lecz właśnie przyniesiono posiłek dla Olafa, więc zamilkł i tylko łypnął okiem na kelnera, jakby rozważał, czy ma jakieś szanse wyrwać się z tej sytuacji.

— Och, jestem przekonany, że wszystko pan ma. Może schował pan przed żoną? W końcu żadnej żony nie cieszą kochanki męża, nawet te martwe.

— Moja żona nie ma z tym nic wspólnego — wycedził Dawid, nachylając się w stronę rozmówcy. — A moje życie prywatne nie powinno nikogo interesować. Jeśli to szantaż...

— Dopóki nie pojawi się trup — stwierdził Olaf lekkim tonem, choć mierzył poważnym wzrokiem pojącego się Dawida.

— Jeśli chcecie mnie wrobić, to się nie uda. Nikt nic na mnie nie ma. Owszem, przebywałem dłuższy czas na Śląsku. W interesach. Poznałem dziewczynę, byliśmy razem. Zaczęła chorować i Bóg mi świadkiem, że robiłem wszystko, by jej pomóc! Ryzykowałem, jeżdżąc z nią na badania, angażując specjalistów, którzy mogli skojarzyć moje nazwisko... Nie, nie, nie wrobiecie mnie w to. Karolina była leczona rzetelnie i prawidłowo. Dotarłem do informacji o jej rodzinie, a to nie było łatwe. Miała wrodzoną wadę i...

— Tak, tak... Może ma pan na to jakieś dowody, nie wiem, papiery, zaświadczenia?

— Wszystko zostało w jej mieszkaniu. Tam szukajcie — odpowiedział. Wiedział jednak, że gdyby znaleźli gromadzoną przez niego dokumentację, nie fatygowałiby się po nią aż do Barcelony. Myślał, że jest tu bezpieczny i nikt nie będzie rzucał na niego podejrzeń.

— Tak. — Olaf uśmiechnął się sardonicznie. — Jak mogliśmy zapomnieć o mieszkaniu denatki. Czy pan ma mnie za idiotę? Wyjechał pan pośpiesznie po pogrzebie, zabierając wszystkie obciążające siebie dowody. Jej badania, dokumenty, zdjęcia, nawet pamiętki.

— Co? Nie, oczywiście, że nie! — zaprzeczył. — Owszem, wziąłem mały plecak z... chciałem mieć coś po niej... To nie było tak, jak pan myśli. Nie jestem cynicznym skurwysynem, który na każdym kroku zdradza żonę. Z Karoliną było inaczej. Ja...

— Niech pan sobie daruje takie teksty. Nie biorą mnie mydlane opery w wersji reality show. — Olaf zabrał się za swoje danie. — Mmm... pyszne. Pan nie je? Zdaje się, że już wystygło. — Wskazał na talerz Dawida.

Widząc, jak mężczyzna zajada, Dawid spojrzał na swój talerz. Zdecydowanie nie był już głodny. Po chwili wstał, przeprosił i podszedł do baru, by powiedzieć, aby należność za posiłek ich obu zapisać na jego rachunek. Obawiał się, że nieznajomy pójdzie za nim, lecz ten nadal spokojnie jadł, więc szybko ruszył do swego apartamentu, zerkając co chwila do tyłu. Stracił głowę i nie zorientował się, że nieproszony gość zręcznie i niezauważenie zabrał ze stołu jego telefon, dlatego wcale nie spieszy się, by go gonić. Dawid postanowił natychmiast spakować się i opuścić hotel. Problem pojawił się wtedy, gdy sięgnął do kieszeni po telefon, by zarezerwować najbliższy lot.

* * *

Gdy tylko Dawid zniknął mu z oczu, Olaf wytarł kąciaki ust serwetką i poszedł do recepcji. Uregulował rachunek za dobę, choć nie miał zamiaru spędzić tam nocy. Oddał kartę do pokoju i spokojnie opuścił teren obiektu. Do najbliższej stacji metra dotarł w minutę, a niespełna pół godziny później wysiadł na przystanku przy placu Katalońskim. Za nim była ta łatwiejsza część. Nadszedł czas, by dobrać się do telefonu.

Na szczęście w Farggi Café było dostępne całkiem przyzwoite wi-fi, więc Olaf usiadł przy najbardziej oddalonym stoliku i pośpiesznie wyjął laptop. Był przygotowany na poszukiwanie hasła, ewentualnie zhakowanie komórki, jeśli była inaczej zabezpieczona. Jakże się zdziwił, widząc, że telefon odblokował się bez żadnego kodu. Powinien się ucieszyć, jednak zdawał sobie sprawę, że Dawid nie jest kompletnym idiotą. Z pewnością ma drugi aparat, a ten jest akurat mniej ważny. Od razu pomyślał o neserze. Cóż, tak się składało, że opuściwszy nie swój pokój, zabrał go ze sobą i ukrył za donicą przy wyjściu z hotelu. Szybko otworzył ustawienia telefonu, by zablokować możliwość namierzenia, choć zdawał sobie sprawę, że w ten sposób jedynie zapewnia sobie najwyżej godzinę lub dwie. Rzeczywiście, zawartość telefonu nie była imponująca. Wyjął kartę i baterię, po czym schował je do kieszeni. Teraz byłoby najlepiej zabrać do kraju neser i tam dostać się do jego wnętrza. Ryzyko pokazania się na lotnisku ze zdobyczą było jednak zbyt wielkie. Dawid z pewnością nie udał się do apartamentu na poobiednią drzemkę.

Gliwice, wrzesień 2019

Wystawa miała być tylko pretekstem, usprawiedliwieniem obecności Lidii w Gliwicach. Dlatego teraz, choć wiedziała, że to absurdalne, towarzyszyły jej mieszane uczucia, czuła się trochę winna, jakby przy okazji realizowała swój kaprys. Grafiki spotkały się z bardzo pozytywnym odbiorem właściciela galerii. Otwarcie wystawy miało być bardziej nagłośnione, niż się spodziewała. Lokalne media, wywiad dla portalu, konieczna obecność artystki. Nie pomyślała o tym.

— Jaki by to miało sens, gdyby nikt się nie dowiedział? Czego ty się boisz? — Edyta nie rozumiała jej wątpliwości.

— Nie boję się, tylko nie chciałam robić wokół tego zamieszania i aż tak zwracać na siebie uwagę. A jeśli...

— Daj spokój. Nagłośnią w pierwszym dniu i dadzą ci spokój. To niszowe. Bez urazy. Tak to działa.

Rozmowę przerwał dzwonek telefonu. Tym razem nie Mati ani Olga, którzy telefonowali najczęściej, lecz Matylda. Z nową żoną brata rozmawiała jak dotąd może ze trzy razy. Po krótkim „Dzień dobry, Matyldo” i przerwie na wysłuchanie rozmówczyni zbladła. Edyta już wiedziała, że coś się stało.

— Gdzie on jest? — Wstała i zaraz usiadła z powrotem. — Dlaczego?... Dobrze, ale... no dobrze. Informuj mnie. Tak... — Odsunęła aparat od ucha.

— Co się stało?

— Mateusz miał wypadek.

Dzień otwarcia wystawy był dla Lidii koszmarem. Cały czas myślała o Matim, miała wyrzuty sumienia, że zamiast jechać do szpitala, uśmiecha się do obcych ludzi i udaje entuzjizm, mówiąc o swojej pasji i jej owocach. Kiedy indziej byłaby zapewne szczęśliwa, wszak realizowała swoje wieloletnie, wiecznie odkładane na nieokreśloną przyszłość marzenie. Nawet Olga wzięła dwa dni urlopu, by przy niej być. Inna sprawa, że dla niej to również był sukces. Tyle razy przecież namawiała Lidie, która wciąż mówiła, że nie jest gotowa na „artystyczny ekshibicjonizm”. Podczas gdy autorka prac co chwila wycierała pocące się z nerwów dłonie, jej przyjaciółka rozplęwała się w uśmiechach, konwersowała z kim popadnie i czuła się jak ryba w wodzie. Lidia była jej za to wdzięczna. Po godzinie miała serdecznie dość odpowiadania na te same pytania i udawania radości. Tego dnia nie towarzyszyli jej nowi gliwiczycy znajomi. Marta najbardziej chciała przyjść, lecz nawet Edyta uznała, że to głupi pomysł, zwłaszcza po tym, jak włamano się do jej mieszkania.

* * *

To było w dniu, gdy dosłownie rzucili się na notatki Karoliny znalezione przez szefową przy jej biurku. Pod nieobecność domowników ktoś dokonał włamania do domu Marty. Pokoje wyglądały tak, jakby przeszło przez nie tornado. Marta nie była w stanie jednoznacznie powiedzieć, czy coś zginęło, musiałyby najpierw wszystko posprzątać. Na wypadek awarii banku albo bankomatów lub kart płatniczych trzymała nieco gotówki w starej, nieużywanej srebrnej cukiernicy. Rzeczywiście pieniądze zniknęły, lecz wartościowe naczynie leżało na podłodze. Podobnie biżuteria, zarówno ta tańsza, jak i złota, została rozsypana w sypialni, płątała się wśród bielizny wywalonej z szuflad. Policjant od razu powiedział, że to wątpliwe, by motywem sprawców była kradzież.

Po upływie kilku dni i przed zbliżającym się debiutem Lidii Marta zdawała się zupełnie nie pamiętać o tym, jak była roztrzęsiona, wystraszona, jak dyskutowali o tym przez cały weekend i — po odrzuceniu wszystkich innych powodów zdarzenia — doszli do wniosku, że najprawdopodobniej była śledzona i ktoś chciał ukraść notatki. Nawet Jeremi przyznał, że to bardzo prawdopodobny scenariusz, zwłaszcza że powód rabunkowy nie wchodził w grę, szczeniacki wybryk też nie — sprawcy nie pozostawili po sobie śladu, nie licząc, rzecz jasna, potwornego bałaganu, i dostali się do środka przez drzwi, jakby mieli klucze.

* * *

Lidia zerknęła po raz tysięczny tego wieczoru na zegarek. Wkrótce dzień premiery miał się zakończyć. Pomimo zapewnień Matyldy, że to nie jest konieczne, podjęła decyzję o tym, by pojechać do szpitala. Na własne oczy musi się przekonać, że brat z tego wyjdzie. Rozejrzała się po niewielkiej sali, by dyskretnie ocenić, ile osób mniej więcej już wyszło, gdy jej wzrok zatrzymał się na profilu mężczyzny, którego nie tylko się tu nie spodziewała, ale za nic w świecie nie chciała go spotkać ani tu, ani gdziekolwiek indziej. Poczowała, jak krew odpływa jej z głowy, a w ustach nagle zupełnie jej zaschło. Na domiar złego obserwowany, jakby wyczuł jej spojrzenie, odwrócił się i uśmiechnął do niej ponad głowami innych gości. Niespiesznie, jakby namierzał ofiarę, choć pogodny wyraz twarzy wcale na to nie wskazywał, ruszył w jej kierunku. Chciała uciec, znaleźć do tego szybko jakiś pretekst, rozejrzała się więc za Olgą, która jak na złość stała pod przeciwległą ścianą i rozprawiała o czymś z zapalem. Tymczasem Sebastian Barecki zmaterializował się przed Lidia, zasłaniając sobą innych.

Cieszyn — Gliwice, wrzesień 2019

Wszystko byłoby dużo łatwiejsze, gdyby złapał Nosińskiego, zanim ten wyjechał z kraju. To, że dziewczyna nie żyje — obciążające dane zostały zlikwidowane i sytuacja jest opanowana — nie oznacza definitywnego końca przecieków. Sebastian ponuro stwierdził, że oto przyłapał Mecenasa na błędzie. Tylko co mu po tym? I tak zawsze inni muszą sprzątać i chronić dupę szefa, by w razie czego nie pójść z nim na dno. Rudi twierdził, że koleżankami tej martwej nie trzeba się przejmować — nic nie wiedzą, nic nie mogą i zupełnie nic nie znaczą. Mieszkanie pod obserwacją, sytuacja pod kontrolą, przecież i tak tylko dmuchamy na zimne. A jednak... To Sebastian zaczął naciskać Rudiego, by sprawdzić te psiapsiółki, zwłaszcza tę, która mieszkała wcześniej z Karoliną Świtoń. Coś mogła wiedzieć. Albo mieć. Z pewnych źródeł dowiadawali się, że gliny węższą, może i na ślepo, nieoficjalnie, niekoniecznie na Śląsku, ale uparcie, więc trzeba się mieć na baczności, zwłaszcza że wciąż nie wiadomo, gdzie podziewa się i co porabia ten wrzód na dupie, Redyński. W końcu dostali zielone światło i chłopaki Rudiego przeszukali dom Marty i Ludwika Dobrowolskich. To był błąd. W nudnym mieszkanku nudnych nauczycieli niczego nie znaleźli, tak jak przewidział wściekły teraz Rudi, który nigdy nie robił niepotrzebnie zamieszania, jeśli nie był na sto procent pewien, że warto.

Pech zdawał się nie opuszczać Sebastiana, gdy wreszcie los łaskawie dał mu szansę. Zaczął sprawdzać Mateusza Szweda. Jego życie, styl działania, rodzinę, kontakty. Coraz wyraźniej widział w nim rywala o względy szefa. Jak to możliwe, że ten żółtodziób pnie się w karierze zwykłego dostawcy niczym pracownik korporacji, a on, Sebastian, wierny i gotowy nadstawić karku, drepcze w miejscu, wciąż pozostaje niezauważony? Czy to możliwe, żeby jedyna wpadka — utrata Redyńskiego — przesądziła o jego losie? Kiedyś Rudi zasugerował Sebie, że Mecenas ma co do niego poważne plany. W końcu to jemu zlecił przechowywanie dzieł sztuki wartych krocie. Sebastian wiedział, że wśród reprodukcji znajduje się kilka oryginałów. Mecenas musiał mu ufać. A może z tym Szwedem to test? Seba czuł podświadomie, że stary wyga manipuluje nim i go wykorzystuje, zupełnie jak ojciec, jednak nie chciał dopuścić do siebie takich myśli, jakby rozpaczliwie potrzebował silnego przewodnika, któremu kiedyś wreszcie udowodni, ile jest wart.

Ustalił, że osobą, która zwraca na siebie uwagę, jest siostra Mateusza, Lidia. Brał też pod uwagę Eryka, lecz szybko wyeliminował go z kręgu podejrzanych. To ona, mieszkanka Podgórze w Cieszynie, u której osobiście szukał Redyńskiego, właśnie otwiera wystawę w Gliwicach. Dlaczego tam? I dlaczego była widziana przez ludzi Rudiego z facetem, który mógł być Redyńskim? Mógł, nie musiał. Nie byli tego pewni, w dodatku zgubili ją. Amatorzy. Sebie wydawało się podejrzane już samo to, że uciekała.

Chociaż interesy w Cieszynie wymagały obecności Sebastiana na miejscu, postanowił pojawić się na otwarciu wystawy tajemniczej Lidii. Miał silne przeczucie, że to właśnie ona jest kluczem do zagadki. Jadąc do Gliwic, obmyślał, jak podejść siostrę Mateusza. Wyobrażał sobie, że dzięki niej nie tylko odkryje jego słabe punkty, ale również odnajdzie Redyńskiego. Takie zasługi będą musiały zostać zauważone przez Mecenasa. Kto wie, może awansuje go na współnika? Sebastian uśmiechnął się pod nosem na tę myśl. Tak, z pewnością jego czas jeszcze nadejdzie.

Gliwice, lipiec 2019, Karolina

Nie wytrzymam tego dłużej. Dlaczego on, do cholery, nie odbiera? Telefon, mail, komunikatory. Wszystko głuche. Zero odpowiedzi. Gdzieś miałam zapisany telefon do pracy, do warsztatu... Tylko gdzie? Niczego nie mogę ostatnio znaleźć. Nie mam przecież wielu rzeczy, staram się utrzymywać porządek, a kiedy trzeba, zwłaszcza teraz... Oszaleję. Albo już oszalałam. Ręce mi ciągle drżą, wszystko spada na podłogę. Gdzieś tu miałam zapisane... Nagle doznaję olśnienia. No tak, jestem kompletną idiotką. Przecież wpisałam ten numer do książki adresowej. Z pewnością. Pamiętam nawet. Wygrzebuje spod papierów telefon. Wojtek, praca, Czechy... może nazwa fabryki? Jak ja to zapisałam? Nie rozumiem, dlaczego nie mogę tego znaleźć? Do cholery, może usunęłam przez przypadek. Albo Dawid... Internet, znajdę ten pieprzony kontakt. Ktoś dzwoni do drzwi. Akurat teraz.

— Masz wypieki. Pokaż czoło. — Agata od progu sprawdza moją spoconą głowę. — Teraz takie grypska panują, trzeba uważać, a ty ostatnio wszystko łapiesz. W przedszkolu jedna trzecia grupy chora, a te dzieciaki, które chodzą, też albo kaszlą, albo smarkają. Dramat.

— A jak Kuba?

— Jakoś się trzyma. Syrop z cebuli mu podaję, może to dzięki temu.

— Raczej zdrowy jak byk i odporny po mamie — mówię i próbuję się uśmiechać. Chciałabym, żeby teraz dała mi spokój. Niech powie, z czym przychodzi, i idzie. — W razie czego pomogę w miarę możliwości. I tak znów jestem na zwolnieniu lekarskim.

— Dawid mnie prosił, bym zajrzała, jak będę wracać z roboty — przyznała. — Co tam u ciebie? Zaraz jeszcze muszę skoczyć do sklepu. Nie trzeba ci czegoś?

— Dzięki, wszystko mam i, jak widzisz, ze mną całkiem dobrze. Dawid dzwoni do mnie co jakiś czas. Strasznie jest przewrażliwiony. — Przewracam oczami.

— Zakochany i troskliwy. Nie narzekaj. — Uśmiecha się. — Ja bym takiego po stopach całowała.

— No właśnie, rozpuściłabyś go jak dziadowski bicz i koniec bajki byłby szybki — żartuję.

— Może i masz rację. No, to spokojnej nocy. W razie czego dzwoń.

— Ty też i tobie też, kochana. Pa.

Dawid faktycznie dzwoni co dwie godziny i wypytuje. Czy wzięłam leki, czy zjadłam, czy kręci mi się w głowie, co robię, jak się czuję... Ale żeby Agatę nasyłać? Myśli, że go okłamuję przez telefon? Może sprawdza, czy jestem w domu. Cholera, mogłam powiedzieć jej, że skończył mi się szampon, skoro idzie do sklepu. Nieważne, muszę szybko... Pędzę do pokoju, do kuchni... coś miałam zrobić. To było pilne. Nienawidzę tego, nienawidzę! Umyka mi coś, coś ważnego i nic nie mogę na to poradzić. Na podłodze leżą wyrzucone z szafki papiery. Dokumenty, wyniki badań, rachunki, zapiski, luźne kartki, wszystko się wymieszało... Może miałam to posprzątać? Zabieram się do segregowania papierów. Nie, to było coś ważniejszego... Może jak będę składać, to mi się przypomni. Muszę odtworzyć, co robiłam, zanim przyszła Agata. Wydedukować... Dlaczego to jest tak denerwująco trudne? Mam to na wyciągnięcie ręki, prawie wiem... a jednak nie mogę tego uchwycić. Strącam na wół poukładane papiery z powrotem na ziemię, patrzę na nie. Nic. Zbieram znowu i kładę już byle jak na blacie. Poddaję się, nie mam siły walczyć z dziurawą pamięcią.

A jeśli tylko chciałam zrobić sobie herbaty? Nie wiem, czemu chce mi się śmiać. Może z własnej bezradności, absurdalności sytuacji. Śmieję się w głos. Do oczu napływają mi łzy, mięśnie brzucha zaczynają boleć, a ja wciąż, coraz bardziej histerycznie rżę. Mam dość, muszę się uspokoić, ale to wydaje się tak cholernie trudne. W końcu łzy śmiechu płynnie, jakby zupełnie naturalnie zamieniają się w łzy goryczy i smutku. Nie mogę ufać innym, cóż, bywa. Gorsze jest to, że nie mogę ufać sobie. Gdzie zgubiłam samą siebie? Gdzie ja jestem? Co, do cholery, się ze mną stało? Nie mam już siły, więc zsuwam się na podłogę i siadam pod ścianą. Dostrzegam telefon pod biurkiem i automatycznie sięgam po niego, a właściwie najpierw podchodzę na czworakach, a potem biorę go do ręki. Olśnienie! No tak! Chciałam zadzwonić do Wojtka! Rzucam się na komputer, znowu zwalając dokumenty na podłogę. Muszę znaleźć numer do warsztatu, zanim kolejny raz zapomnę, co robię. Przedzieram się przez nawał informacji, nietrafionych podpowiedzi i stron. Jest! Docieram do kontaktów z różnymi działami przedsiębiorstwa,

pomijam formularz kontaktowy i odnajduję odpowiedni numer. Przepisuję go do telefonu. Spis numerów go nie rozpoznaje, a powinien. Sam nie zniknął. Ale o tym potem, grunt, że jest. Natychmiast dzwonię. Automat informuje mnie po czesku o godzinach otwarcia warsztatu i zaprasza do kontaktu w najbliższym dniu roboczym. Zerkam zdumiona na zegarek. Gdzieś zgubiłam kilka godzin. Nawet się nie dziwię. To nie pierwszy raz. Wybieram więc znowu numer do Wojtka, choć wiem, że nic mi to nie da. Już mam się rozłączyć, gdy słyszę jakiś odgłos, sygnał ustaje, jestem na linii.

— Wojtek! Wreszcie! Wojtek?! Halo! — Wyraźnie słyszę oddech, ale dłaczego nic nie mówi. — Wojtku, przestań się wydurniać, to wcale nie jest śmieszne... — Nadal tylko oddech, cichy, zwykły, jakby czekał. Zamieram. Połączenie zostaje przerwane.

Strużka zimnego potu spływa mi przez sam środek pleców. Dociera do mnie, że to wcale nie musiał być Wojtek. On by nigdy... Takie żarty nie były i z pewnością nie są w jego stylu. Chcę znów zadzwonić, ale się boję. Strach paraliżuje mi ręce. I nagle telefon ożywa mi w dłoni, rozdzwania się tak niespodziewanie, że podskakuję i upuszczam go na podłogę. Wyłącza się. Próbuję go podnieść trzęsącymi się rękami, lecz znowu mi wypada. W końcu się udaje. Gorączkowo sprawdzam ostatnie połączenie. Mam rozpaczliwą nadzieję, że to Wojtek. Zaraz powie, że coś było na linii, że mnie nie słyszał, ale już jest, słucha... To Dawid. Zawód boli jak cios w brzuch. Odkładam aparat na chwilę, zgarniam włosy do tyłu i mocniej wiążę gumką, zamykam oczy i liczę oddechy, by się uspokoić. Zaraz zadzwoni ponownie i musi usłyszeć mój spokojny, beztroski głos. Tym razem sięgam już po telefon spokojniej i powoli odbieram. Uśmiecham się, jakby mógł mnie widzieć. Może to pomaga być bardziej autentyczną? Jak gestykulowanie podczas rozmów telefonicznych.

— Cześć, kochanie — mówię lekko. — A nic. Po prostu układałam swoje badania w kolejności i telefon mi się schował pod papiery. Straciłam go przez przypadek, zamiast odebrać. — Kłamstwo musi być jak najbliższe prawdy. — Właśnie chciałam oddzwonić, ale byłeś szybszy. Mam nadzieję, że jesteś w drodze do domu. Grzać kolację? — A w duchu myślę: „Błagam, powiedz, że niestety nie”.

— Właśnie jest mały problem — odpowiada. — Umówili mi spotkanie na ósmą rano tu na miejscu. Nie ma sensu jeździć tam i z powrotem, zwłaszcza że padam na twarz. Nie będziesz miała nic przeciwko, jeśli zostanę w hotelu? — Jego słowa są jak balsam na moje uszy. Z całych sił staram się, by mój głos brzmiał odpowiednio.

— Och, szkoda. Myślałam, że wieczór spędzimy razem. Hm... ale masz rację, jechać ponad dwieście kilometrów, by rano znów tam wracać, to by było nierozsądne.

— Wiedziałem, że zrozumiesz. To ważna rozmowa, muszę się wyspać, przygotować. Tak będzie lepiej. Zjedz kolację i też połóż się wcześniej, ostatnio znów kiepsko sypiasz.

— Tak zrobię. Zwłaszcza że znużyły mnie te papiery. Już tyle tych badań zrobiłam, nie do wiary.

— Pamiętaj o lekach — przypomina. — Idę się zameldować w hotelu. Trzymaj się, kochanie, i pamiętaj, jakby cokolwiek się działo, cokolwiek, to dzwoń, dobrze?

— Oczywiście, kocham cię.

— Ja ciebie też, kwiatuszku, dobranoc.

Ciepłe słowa wciąż brzmią mi w uszach i czuję narastające wyrzuty sumienia. Jak mogę tak łąć i go podejrzewać? Zaraz nachodzi mnie jednak inna myśl: kto mógł wykasować z mojego telefonu numer do warsztatu, no kto? I od razu przypomina mi to ten oddech w słuchawce... Co mam teraz zrobić? Wojtek może być w niebezpieczeństwie. Sprawdzam skrzynkę mailową, Skype, WhatsApp, Messenger, Facebook. Nic. Powinnam skorzystać z okazji, że Dawida nie ma, i po prostu tam pojechać. Przecież mam adres. Nie biorę tych cholernych leków, więc mnie nie otumaniają, mogę prowadzić. Wstaję ostrożnie. Jest okej. Nie kręci mi się w głowie, nic się nie dzieje. Może powinnam poprosić Edytę, by pojechała ze mną? Tylko uprze się, by powiedzieć Dawidowi. Albo w ogóle mi nie pozwoli. Ostatnio widziała mnie w takim stanie... Nie ma co kombinować. Biorę większą torebkę, wrzucam do niej zapasową bluzkę i jedną zmianę bielizny, to może mi zająć dzień czy dwa. Mam klucze, kurtkę, dokumenty. Porcję leków wyrzucam do toalety, a pozostałe biorę ze sobą. Chwilę się waham, czy nie zostawić Dawidowi notatki, lecz rezygnuję. I tak będzie dzwonił i wypytywał. Do cholery, jestem dorosła i nie muszę się nikomu tłumaczyć z moich decyzji, z tego dokąd i kiedy jadę. A jeśli wróci z Wałbrzycha dopiero jutro wieczorem, to może nawet będę szybsza. Chociaż nie, to raczej niemożliwe.

Gdy ruszam spod domu, mam wątpliwości, jednak z każdym kilometrem czuję coraz większą pewność siebie. Jakbym odzyskiwała panowanie nad swoim życiem. Jestem coraz silniejsza. Wiem, że podjęłam dobrą decyzję. Wojtek tyle razy mi pomagał, a teraz przyszła kolej na mnie i żadna choroba czy paranoja, czy po prostu inni ludzie nie mogą mi w tym przeszkodzić. Wjeżdżam na autostradę i dodaję gazu. Włączam radio i po chwili śpiewam razem z Sandrą Nasić.

Już jestem blisko granicy, więc zjeżdżam na stację, by zatankować. Nie wiem, czy taniej tu, czy tam, ale z pewnością tu czuję się pewniej. No i muszę coś zjeść. W domu zostawiłam nietkniętą kolację i żołądek zaczyna się domagać swojej doli. Tankuję, płacę, zamawiam hot doga, kawę i nim wszystko przygotowują, idę do toalety. Czuję się bardzo dobrze. Zero zawrotów głowy, mętnych myśli, bólu, rozbicia. W łazience jest czysto i schludnie, ale uderza mnie silny zapach detergentu. Nieprzyjemny, wwiercający się w nozdrza. Smród. Pospiesznie korzystam z toalety, chcę stąd wyjść jak najszybciej, zwłaszcza że odór wydaje się coraz bardziej intensywny. Zagęszcza się, namnaża, z każdym oddechem wypełniam nim płuca i niemal czuję, jak przenika każdą komórkę mojego ciała, zaczyna krążyć w żyłach. Dopadam umywalki i ochlapuję twarz zimną wodą. Woda też jakby... nie no, ewidentnie śmierdzi. Serce zaczyna mi walić. Wiem, że narasta we mnie panika. Muszę stąd uciec. Stop. Najpierw powinnam się uspokoić. Nie mogę tak stąd wyskoczyć. Nabieram wody w dłonie, wstrzymuję oddech i zanurzam twarz w lodowatej cieczy. Raz za razem, raz za razem. Zamykam oczy i liczę oddechy. Mrowienie rozchodzi się promieniście po plecach. Pod zaciśniętymi powiekami zmieniają się obrazy... „Zużyłaś za dużo płynu. Co ty sobie wyobrażasz?! Miałaś tylko umyć ubikację. Bezmyślne dziewczusko. Oddaj mi to i siedź tu. Jak sobie posiedzisz, to zapamiętasz. I nie waż się uchylać okna!” Nie mam zegarka, za oknem ciemno. Może jest osiemnasta, a może dwudziesta druga? Ktoś chciał wejść, ale powiedziała im, że przeze mnie muszą się dziś załatwić na dworze. Nieważne, że mróz. Tu też jest zimno. Zdrętwiały mi pośladki od siedzenia na podłodze, więc znów wstaję i robię przysiady. Chce mi się pić. Faktycznie dużo użyłam tego płynu, aż szczypał w oczy. Tak bardzo chce mi się pić... Jedyne woda jest w toalecie. Położę się tu, co mam robić. Ktoś wchodzi. Gwałtownie prostuję się i otwieram oczy. To tylko jakaś inna klientka. Mija mnie bez spojrzenia i wchodzi do kabiny.

Spoglądam w lustro. Chwilę temu byłam znów małą dziewczynką. To było tak wyraziste, niemal namacalne, że teraz patrzę na swoje odbicie i mam ochotę zapytać: „To jestem ja? Taka stara?”. Mrowienie skoncentrowało się w dłoniach. Mam białe, a nawet niebieskawe jak trup palce. Pewnie dlatego, że opieram się nimi wciąż o umywalkę. Zakręcam wodę i jeszcze raz zerkam w lustro. Serce nadal łomocze mi w piersi. Wychodzę. Pracownik stacji zerka na mnie badawczo.

— Pani zamówienie... — Pokazuje na tacę i obserwuje, jak próbuję kawy. Wystygła. Chcę mu powiedzieć, że jest w porządku, ale nie mogę, jakby ciało nie nadażało za myślą. Nagle czuję się, jakby ktoś gwałtownie wysysał ze mnie energię, nogi się gną, łapię za brzeg blatu, próbuję uratować kawę, rozlewam ją, muszę przeprosić. Za rozlaną kawę będzie duża kara. Pani Maria przecież patrzy... Nic nie mówi, tylko patrzy... To zły znak...

Gliwice, wrzesień 2019

Układanie kartonowych puzzli w powietrzu na plaży podczas sztormu byłoby łatwiejsze — pomyślał Wojtek. Skojarzenie wydało mu się równie zabawne co absurdalne. Zaśmiał się gorzko pod nosem, po czym podniósł pustą butelkę i badawczo spojrzął na jej dno w poszukiwaniu leku na zapomnienie.

— Z czego się śmiesz? — Lidia podobnie jak on była w minorowym nastroju. Jej brat leżał połamany i nieprzytomny w szpitalu, dzień otwarcia wystawy zakończył się osobliwą rozmową z facetem, który przetrzymywał niedawno w swojej piwnicy Wojtka i z pewnością był przestępcą nie tylko z tego powodu. Ponadto w sprawie Karoliny i dowodów stali w miejscu, ponieważ skrytka w Orzeszu okazała się pusta. Nie pytając, poszła do kuchni po drugą butelkę alkoholu.

Tym razem noc była zaskakująco ciepła. Gorący halny wiatr przyjemnie wprawiał powietrze w ruch. Lidia, dzierżąc świeżo odkorkowane wino, usiadła na podłodze balkonu obok Wojtka i bez słowa podała mu butelkę, która po chwili, nieco lżejsza, wróciła do niej. Niebo było czarne, poznaczone

nielicznymi smugami pędzących, porozdzieranych chmur, nakrapiane błyszczącymi punktami gwiazd. Jednocześnie statyczne i dynamiczne. Spokojne i szalone. Trwałe i ulotne. Wiedziała, że jeszcze trochę wina, a białe punkty zdublują się, będą rozjeżdżać przed oczami, jakby brały udział w hipnotyzującym pokazie magika. Oboje kontemplowali daleki wszechświat, uwięzieni na małym balkonie z ozdobną żeliwną balustradą. Mogli mówić wiele lub milczeć. W obliczu ogromu niewzruszonej przestrzeni nie miało to najmniejszego znaczenia.

W którymś z samochodów zaparkowanych przy ulicy włączył się alarm. Prawdopodobnie zbyt czuły, zareagował na silne poddmuchy wiatru kołyszące wszystkim. Okolica pogrążona we śnie zdawała się nie reagować na przeszywający powietrze w równych odstępach sygnał.

— Nie wytrzymam tego dłużej — powiedział powoli Wojtek zrezygnowanym tonem.

— Zaraz się wyłączy. Albo ktoś wyjdzie.

— Nie, nie to. Ja już po prostu nie mam siły. — Westchnął. — Nigdy nie udowodnimy, że Dawid stoi za śmiercią Karoli, nie znajdziemy tych nagrań i nie pozostaje mi nic innego, jak czekać, aż mnie dorwą i wybebeszą. Pewnie jak Pavla.

— Nie wiesz...

— Dlaczego miałbym myśleć inaczej? — przerwał. — Robimy mozolnie krok w przód, by zaraz polecieć w tył sto metrów.

Istotnie, wcześniej jechali do Orzesza pełni nadziei. Wojtek cały czas mówił o tym, że z takimi dowodami w garści już z pewnością wszystko ruszy do przodu. Jeremi wiedział, w czyje ręce znalezione materiały powinny się dostać, by zostały należycie wykorzystane. Policja nieraz trafiała na różne tropy, wydział narkotyków w Warszawie zgromadził już trochę danych, lecz to, co najważniejsze, wciąż się wymykało. Operacje zwykle kończyły się na zamknięciu pomniejszych dilerów, którzy nigdy nie mówili prawdy, wiedząc, że skazaliby się na wyrok śmierci przed sprawą. Dostawali więc wyroki za to, co posiadali sami, i w zależności od swych historii siedzieli krócej lub dłużej albo dostawali tylko zawiasy i przez jakiś czas byli „na urlopie”. Ci, co siedzieli, pilnowali się nawzajem i czekali, aż któryś z nich się rozpruje, by wykonać egzekucję, która jako dowód lojalności, przynajmniej w ich przekonaniu, zapewniłaby im awans u Mecenasa po odsiadce.

Lidia zauważyła, jakie wrażenie wywarła na Wojtku znajoma okolica. Opuszczony dom dawał nadzieję na to, że ich założenia były słuszne. Tymczasem w skrytce za budą nie było nic prócz pajęczyn. Ktoś najwyraźniej dawno już zabrał to, co zostawiła Karolina. Lidia od razu pomyślała, że dziewczyna musiała być śledzona. Tylko dlaczego w takiej sytuacji — jeśli była tu sama, na całkowitym odludziu — nie wykorzystali sytuacji i nie uciszyli jej od razu? Nie wypowiedziała swych wątpliwości na głos, widząc, jak bardzo zawiedziony jest Wojtek. Dopiero później poruszyła ten temat z Edytą, gdy opowiedziała jej, co znaleźli, a raczej czego nie znaleźli.

— Ten, kto ją śledził, musiał wiedzieć, w jakim jest stanie i że lada dzień umrze... — wywnioskowała smutno Edyta.

Wojtek był przekonany, że wszystko przepadło i już niczego nie uda im się dowieść. Mecenasa i jego grupa pozostaną bezkarni, niewinna Karolina jest martwa, a sprawiedliwość jak zwykle będzie można między bajki włożyć. Siedzieli więc, sącząc w milczeniu wino, zrezygnowani i przygnębieni.

Sukces, jakim było otwarcie wystawy, miał gorzki posmak. Gdy Lidia zobaczyła Bareckiego, który przyglądał się jej z zainteresowaniem, wiedziała, że to był błąd. Przedstawił się jako koneser sztuki nowoczesnej. Zachwycił się jej pracami, pytał o możliwość zakupu, ale cały czas patrzył na nią jak drapieżnik na ofiarę, jakby wszystko o niej wiedział, bawił się nią, gotował na wolnym ogniu, by na końcu pożreć. Mówiła, że to wystawa artystyczna, prace w zasadzie nie są na sprzedaż. Doskonale jednak wiedziała, że upieranie się przy tym może zostać nie tylko źle odebrane, ale i podejrzone. Bo czy autorzy dzieł nie pragną sprzedać swych prac za godziwą cenę? Czy nie chcą, by wędrowały w świat i rozślawiały ich nazwiska? Zostawił jej swój numer telefonu i prosił o kontakt, gdy namyśli się co do ceny grafiki, która tak bardzo „chwyciła go za serce”, że postanowił ją zdobyć. Wziął wizytówkę galerii, sugerując, że jeśli ona nie zadzwoni, sam będzie się kontaktował. Oczywiście przeczytał uważnie notatkę o artystce i nie omieszkał pochwalić się, że mieszka w tym samym mieście, czym czuje się zaszczycony. Nic nie wspominał o swojej wizycie, gdy udając policjanta, szukał Wojtka. Liczył, że go nie rozpozna

lub zwyczajnie to on nie skojarzył jej. Tamtego dnia pewnie odwiedził wiele mieszkań. Przynajmniej taką miała nadzieję.

— Słuchaj, jeśli Karolina zdawała sobie sprawę z tego, jakie to jest ważne, i zrobiła tę listę, notkę w żyrafie, i tyle się nakombinowała, to może przygotowała też jakieś wyjście B, jakąś drugą kopię... — Czuła, że być może na siłę próbuje dodać Wojtkowi nadziei, ale nie mogła się powstrzymać. Wino skracało drogę między myślą a jej wypowiedzeniem. Słowa zawisły w powietrzu, jakby nie podlegały otaczającej ich aurze, jakby żaden wiatr nie był w stanie ich rozwiać.

Długo milczeli oboje. Lidia nie miała już śmiałości się odezwać.

— A wiesz... mieliśmy jeszcze jedną taką naszą kryjówkę — powiedział Wojtek powoli i cicho. — Wcześniej, i właściwie o niej zapomniałem. To była raczej zabawa... Nie, ona by o tym nie pomyślała, to by było bez sensu.

— Dlaczego?

— Sam nie wiem... po prostu. To głupie.

— Opowiedz — zachęciła i czekała.

— To było nasze pierwsze wspólne lato — zaczął po chwili szeptem, jakby na wszelki wypadek, gdyby głos miał mu się załamać. — Weszliśmy na strych, gdy pani Marii nie było w domu. Nie wiedzieliśmy, że to surowo zabronione. Oczywiście strych był zamknięty na kłódkę, ale znaleźliśmy miejsce, w którym ta jędra trzymała wszystkie klucze. Nie wiem, czemu to zrobiliśmy, może z ciekawości, chęci przeżycia przygody, w każdym razie zakradliśmy się po te klucze i weszliśmy na strych. To w zasadzie była taka niska antresola. Składowano tam resztki starych materiałów z czasów budowy domu. Kawalki terakoty, listwy boazerii, jakby ktoś odłożył tam nadwyżki, które zostały zapomniane na lata. Oczywiście były też tony kurzu i pajęczyn. Karolina była oczarowana, wieczna marzycielka... Plotła po swojemu o tajemniczym miejscu, przejściu do innego świata. To było takie zabawne... Wleźliśmy tam, siedzieliśmy i snuliśmy niestworzone historie. Wymyśliła nawet znak, który miał być naszym tajemnym kodem. Nie chciała, aby był zbyt oczywisty, więc wykombinowała liczbę. Właściwie sumę liczb: daty naszych urodzin oraz ulubione liczby. Pamiętam to, bo w przeciwieństwie do niej nie miałem żadnej ulubionej liczby, ale ona nalegała, że muszę taką wytypować i już zawsze o niej pamiętać. W każdym razie dodawaliśmy liczby, potem cyfry do siebie tak długo, aż wyszła jedna. Wtedy Karolina wzięła kawałek kafelka ze stosu i wyrzyła nim w desce szóstkę, którą otoczyła liniami. Wyszło sześć w prostokącie. To miał być ten nasz tajemny znak. Fantazjowała, że tam, gdzie ten znak, są nasze skarby, ukryte przed innymi, najlepiej wysoko, pod dachem, gdzie nikt nie zagląda prócz pajaków.

— Może powinniśmy wrócić i sprawdzić ten strych? Albo... najpierw ten tutaj.

— Może... — zgodził się, lecz nie ruszył się z miejsca. Pomysł wydawał mu się kompletnie absurdalny. W dodatku w tym momencie żadne z nich nie byłoby w stanie jechać. — Gdyby miała zamiar ukryć to cholerstwo na strychu, toby tę pieprzoną szóstkę gdzieś napisała. Mam już dość kombinowania. Wymyśliła skrytkę, ktoś to zabrał, wszystko na nic.

— Te notatki Karoliny... które przekazałeś Jeremiemu... — Słowa Lidii zmąciły przedłużającą się ciszę.

— No? Co z nimi? Sfotografowałem telefonem każdą stronę. Chcesz coś sprawdzić?

— Dawaj. — Przysunęła się gwałtownie i niemal wyrwała mu telefon z ręki. — Nie, tu nic nie widać, nie będę tego przecież przesuwac. Chodź, zrzucimy je. — Szybko wstała i zniknęła w mieszkaniu.

Wojtek bez entuzjazmu podniósł się, a świat wokół niego zachwiał się nieprzyjemnie. Z jednej strony był ciekaw, o co może jej chodzić, a z drugiej czuł się już tak zrezygnowany i znieczulony, że było mu wszystko jedno. Dowody przepadły i tyle. Nim na zdrętwiałych od siedzenia w jednej pozycji na twardej podłodze nogach dotarł do sypialni Lidii, zdążyła włączyć laptop i podpiąć do niego telefon. Przygryzając wargę, czekała, aż zdjęcia skopiują się na dysk.

— Czego szukasz? — zapytał od niechcienia i opadł na łóżko.

— Zaraz się dowiemy. Ależ to się powoli ściąga. — Lidia nagle otrzeźwiała i z uwagą wpatrywała się w monitor.

Wojtek przymknął oczy. Wzdłuż nóg czuł mrowienie, jakby porażały go tysiące maleńkich

igiełek. Nie znosił tego uczucia, lecz teraz było mu wszystko jedno. Jeszcze tylko chwila dzieliła go od snu. Słowa Lidii traciły znaczenie, oddalały się, rozplywały w powietrzu i zwyczajnie przestawały istnieć.

— Gdzieś tu widziałam taką szóstkę. Jestem pewna. — Powiększała każdą stronę i ze zmarszczonymi brwiami badała wzrokiem zdjęcia w poszukiwaniu symbolu. — To było ołówkiem i jakby trochę zamazane, na tym były zapiski długopisem. Pamiętam właściwie dziewiątkę, ale... O! Jest! Zobacz! Jak odwrócisz do góry nogami tę notatkę, pod spodem ewidentnie jest szóstka w ramce! Ryla to chyba tym ołówkiem, dlatego nie dało się całkiem zetrzeć. Wojtek. Wojtek? — Podniosła wzrok znad monitora i przez chwilę patrzyła w ciemność, nim wzrok się wyostrzył i zobaczyła pogrążonego we śnie mężczyznę, leżącego w poprzek jej łóżka.

Westchnęła i wróciła do ekranu. Otworzyła dokument w programie graficznym, by zwiększyć kontrast i wyłapać jak najwięcej. Jak w wielu miejscach zapiski nachodziły na siebie lub było widać słabsze ślady ołówka pod mniej lub gęściej zapisanymi fragmentami długopisem. Obok szóstki również były ślady tekstu napisanego rozedrganym, drobnym pismem, a spod nich przebijały większe, zamazane litery. Wyteżyła wzrok, by skupić się na tym, co najwyraźniej pojawiło się tu pierwsze, niewiele jednak była w stanie z tego zrozumieć. Słowa nie tyle urywały się, ile były skrótami. Odczytała je między nieczytelnymi fragmentami: *bezp.*, *smtp.*, *...ina.*, *873.11...*, *5*. Korciło ją, by zadzwonić do Jeremiego i zapytać o postępy w rozszyfrowywaniu notatek, ale dochodziła już trzecia nad ranem. Wiedziała, że teraz nie ma szans na sen, toteż cicho zamknęła laptop i wyszła do kuchni, by zaparzyć kawę.

Gliwice, Lublin, wrzesień 2019

Nie jesteś specjalnie zaskoczona tym, że policja interesuje się twoim bratem — stwierdziła Matylda z wyrzutem.

— A ty jesteś? Ten samochód, nowa, bliżej nieokreślona praca, wyjazdy na zawołanie. Zawsze lubił się pakować w kłopoty, ale teraz chyba przegiął.

— Nie mów tak. Leży w śpiączce, po operacji, nie wiadomo, czy z tego wyjdzie. — Głos Matyldy załamał się i zaczęła płakać.

— Wyjdzie z tego. On przecież jest w czepku urodzony, prawda? — Lidia próbowała ją pocieszyć, choć i jej drżał głos. Była daleko, nie widziała Mateusza i czuła, że powinna przy nim być, jednak dystans w jakimś sensie pozwalał jej spojrzeć na wszystko z innej perspektywy. — Przyjadę do Lublina. Razem...

— Nie, bardzo cię proszę, nie. Nic tu nie działasz — zaprotestowała gwałtownie Matylda.

— Nie rozumiem, dlaczego aż tak nalegasz... Rodzicom też powiedziałaś...

— Tak, wiem — przerwała jej. — Tak będzie lepiej. On jest nieprzytomny, Lidka, nie pozwalają go odwiedzać. Nie ma sensu, by cała rodzina jechała taki kawał, siedziała tu i się zamartwiała. Wystarczy, że ja... Jak tylko będzie można... Słuchaj, muszę kończyć.

Upór Matyldy był zaskakujący, lecz Lidia wiedziała, że rodzice i tak wkrótce tam pojadą. Wciąż niewiele było wiadomo na temat wypadku. Żadnych świadków, śladów. Najbardziej prawdopodobna wersja wydarzeń to zjechanie z drogi z powodu zwierzęcia, które mogło wyskoczyć spomiędzy drzew i wystraszyć Mateusza, lub zaśnięcie za kierownicą. Rozbity samochód został przewieziony do ekspertyzy, ale o jej wynikach policja nie informowała. Matyldę niepokoiło to, że funkcjonariusze cały czas kręcili się w szpitalu, jakby pilnowali Mateusza, czekali, aż się wybudzi, by go przesłuchać. Jej również zadali mnóstwo niepokojących pytań, jednocześnie nie wyjaśniając niczego. Tyle przynajmniej powiedziała Lidii.

* * *

— Dlaczego nie powiedziałaś, że twój brat jest umoczony? — bez wstępów zapytał Jeremi, gdy tylko odebrała telefon.

— Słucham?

— Handluje prochami.

— Mati?

— A masz jakiegoś innego brata? Jadę teraz do tego szpitala zobaczyć, jak to rzeczywiście wygląda. Dostałem, oczywiście zupełnie nieoficjalnie, informację, że w jego samochodzie znaleziono narkotyki, sporo narkotyków. Jeśli ja się dowiedziałem, właściciele towaru też już wiedzą albo wkrótce będą wiedzieli i...

— Zabiją go, żeby ich nie wsypał... — nieswoim głosem dokończyła zdanie Lidia.

— Nie, spokojnie. Jest pilnowany. A ty nie waż się tam pokazywać, rozumiesz?

— Wszyscy mi to mówią...

— Zatem posłuchaj i siedź na miejscu. Rozejrzę się.

Jeremi rozłączył się i w tym momencie Lidia przypomniała sobie o symbolu znalezionym w notatkach. Czy to jednak teraz ma jakiegokolwiek znaczenie? Może lepiej niech się zajmie Mateuszem. Jeśli rzeczywiście sprzedawał narkotyki i stąd to nagłe wzbogacenie się, to albo robił to od dawna i właśnie awansował, czyli sprzedawał więcej i w bardziej ekskluzywnych kręgach, albo dał się rzucić na głęboką wodę i nie zdawał sobie sprawy z tego, w co się wpakował. Lidia nie chciała dopuścić do siebie myśli, że mógłby mieć coś wspólnego z typami, przed którymi teraz musiał ukrywać się Wojtek.

* * *

Jeremi wciąż czekał na wiadomości od Olafa, a ten jakby zapadł się pod ziemię. Dotąd nie pracowali razem, nie stanowili więc zgranego zespołu i na dobrą sprawę Jeremi nie miał stuprocentowej pewności, że może ufać staremu koledze. Nieoczekiwanie jednak priorytetem stała się kwestia Mateusza i jego powiązań. Skoro znaleziono narkotyki, sprawą nie będzie zajmowała się tylko lokalna policja, wkroczą narkotykowi z CBŚP, a to oznacza, że będzie szansa na uzyskanie informacji dzięki znajomościom Olafa. Żeby tylko był łaskaw się odezwać. Oczywiście Jeremi też miał pewne możliwości, wolał z nich jednak nie korzystać i pewien rozdział pozostawić zamknięty.

Mateusz nadal był utrzymywany w śpiączce farmakologicznej, a jego stan poprawiał się bardzo powoli. Oczywiście wszelkie odwiedziny były wykluczone. Oficjalnie nikt go nie pilnował, jednak w samochodzie pod szpitalem siedziało dwóch znudzonych facetów, którzy z pewnością kontrolowali sytuację. Jeremi wszedł do budynku szpitala i zapytał o chorego w okienku informacji. Rejestratorka wyraźnie się spięła, usłyszawszy nazwisko, i zamiast odpowiedzieć na pytanie, poleciła, by usiadł w poczekalni i chwilę zaczekał, po czym podniosła słuchawkę, nie spuszczając z niego wzroku. Jeremi wykonał polecenie i spojrzał za okno. Tak jak się spodziewał, jeden z mężczyzn już zmierzał w stronę wejścia.

— Jeremi Cygan — przedstawił się, nim policjant w cywilu zdążył otworzyć usta, oraz pokazał mu swoją licencję. Spodziewał się niechęci i szybkiej próby pozbycia się go z terenu szpitala.

— Wyjdźmy na zewnątrz — polecił tamten i po chwili znaleźli się w uliczce nieopodal wejścia, gdzie nie było już ciekawskich oczu i uszu. — Podkomisarz Dariusz Gockowski. Co pana sprowadza do Mateusza Szweda, detektywie?

— Nie będę owijał w bawełnę. Mam pewne podejrzenia co do Szweda oraz dane, które chciałbym zweryfikować — zaczął ostrożnie.

— Niestety nie możemy udzielać żadnych informacji. Jeśli chciałby pan wnieść coś istotnego do sprawy, proszę się skontaktować z komisarz Rybawską.

— Czyli w wozie rzeczywiście były narkotyki — spróbował podjąć temat.

— Jak powiedziałem... hm, ale widzę, że pan się orientuje, czym zajmuje się komisarz. Znajdzie ją pan teraz w komendzie głównej.

— Dzięki. Szczerze powiedziawszy, byłem przygotowany na to, że tylko mnie pogonicie. — Jeremi się uśmiechnął.

— Mam w rodzinie prywatnego detektywa, to trochę inaczej reaguję. Tutaj tylko pilnujemy, bo jak pan zapewne wie, wypadek samochodowy to jedno, a to, co przy okazji wyszło, to zupełnie inna sprawa. — Policjant jakby chciał, by pociągnąć go za język.

— Dużo tego było?

— Na tyle, by Rybawska jeszcze tego samego dnia się tu zjawiała. Grubsza sprawa.

Pani komisarz nie była już tak chętna do rozmowy, toteż musiał trochę dłużej poczekać. Zastanawiał się, czy to dobra decyzja. Samo to, że potwierdziła się wiadomość o sporej ilości narkotyków w samochodzie, na tyle sporej, by ściągnąć natychmiast CBŚP, powinno mu wystarczyć, jednak czuł, że może dowiedzieć się więcej, a współpraca z organami ścigania tym razem będzie nie do uniknięcia.

Kto by pomyślał, że proste zlecenie dotyczące znalezienia jednego człowieka tak się rozwinie. Teraz klientka, współpracując z tym odnalezionym, nie tylko chciała, aby namierzył i poznał sekrety innego, który w dodatku jest podejrzany o umyślne spowodowanie śmierci przyjaciółki tamtego, ale i motywem mogły być istotne dane o przemyśle narkotyków, w który w dodatku prawdopodobnie, jak się okazuje, może być wmieszany nieprzytomny brat klientki. Jeremi w drodze do siedziby policji zastanawiał się, jak to rozegrać, by podczas rozmowy nie wykazać zbyt dużego zaangażowania i jednocześnie dowiedzieć się jak najwięcej. Szkoda, że Olaf nie dzwoni. Jeremi martwił się tą ciszą. Zgodnie z planem Olaf powinien być już w drodze powrotnej. Albo niczego nie znalazł i nadal próbuje, albo olał plan, działając po swojemu. Jeśli tak, to tym bardziej oznacza, że drągi mają tu istotne znaczenie, bo na tę dziedzinę Olaf jest najbardziej cięty i nie ma mowy, by odpuścił. Uliczny korek zatrzymał Jeremiego w momencie, gdy wzywany myślami Olaf się odezwał.

— Wysyłam ci pliki i zdjęcia dokumentów. Nie mam czasu tego przeglądać — powiedział bez wstępu. — Nosiński nie jest w ciemną bity. Ma dwa telefony. Ten ważniejszy chowa w swoim superstrzeżonym neseserku zabezpieczonym supertajnym kodem. Mam i jedno, i drugie otwarte, ale jestem pewien, że już mnie, skurwysyn, namierzył, więc muszę to zostawić i spierdalać. Wszystko będzie tam, gdzie się umawialiśmy. Znikam na kilka dni, więc nie dzwoń. — Olaf rozłączył się, nie czekając na odpowiedź.

„Szkoda” — pomyślał Jeremi. „Mogło go zainteresować, co się wydarzyło i kto się tym zajmuje”. Teraz jest dobry moment, by Wojtek znalazł te nagrania, których tak usilnie szuka, chociaż one są raczej nie do odzyskania tam na miejscu. Nadzieja w Olafie i tym, co udało mu się wyciągnąć z walizki Dawida. Raczej nie jeździłby za granicę z takimi danymi, ale kto wie. Jeremi nie takie rzeczy widział podczas swojej pracy. Ludzie czasem robią takie głupoty, jakby wręcz prosili się o zamknięcie w pierdlu na długie lata. I to niekoniecznie amatorzy.

Pokonawszy wreszcie zatłoczoną kolejkę do świąteł, Jeremi skręcił w prawo, zamiast jechać prosto w kierunku komendy. Ciekawość wzięła górę. Postanowił najpierw sprawdzić, co znalazł Olaf.

Parking przy sklepie sportowym był na tyle duży, że udało mu się zaparkować w znacznej odległości od innych samochodów. Detektyw wyłączył silnik i odsunął siedzenie maksymalnie do tyłu, by wygodnie otworzyć laptop na kolanach. Udostępnił internet z telefonu drugiemu urządzeniu, potwierdził uwierzytelnienie, zalogował się i wszedł na zdalny dysk, gdzie Olaf miał przesłać zdjęcia. Sporo tego było. Choć kolega bez wątplenia się spieszył, starannie sfotografował dokumenty Dawida. Jeremiemu wystarczyło pobieżnie przejrzeć treść, by zorientować się, że nie dotyczy ona jedynie legalnych transakcji i zleceń. Oczywiście nigdzie nie było śladu informacji o nielegalnych substancjach, jednak sumy widniejące na niektórych dokumentach ewidentnie wskazywały na to, że celem umów było przepchnięcie nielegalnej gotówki lub sfalszowanie nieoficjalnych wpływów.

Jeremi wybrał numer telefonu. „Sprawdźmy sobie losowo” — powiedział do siebie pod nosem, czekając na połączenie z pracownikiem swojego biura.

— Cześć, masz chwilę? Sprawdź mi, proszę, kilka firm. To będzie... sklep komputerowy, salon masażu z Warszawy i... klub fitness z Poznania. O, i jeszcze może sprawdź status prawny, kto jest właścicielem nieruchomości i tak dalej. Jeśli zdołasz, zweryfikuj, jak ona wygląda w rzeczywistości, w sensie teraz, i ile jest warta. Adresy zaraz ci prześlę SMS-em.

Rozłączył się i przeglądał dalej. Olaf porobił zdjęcia wszystkiemu jak leci, bez segregowania, po czym wrzucił foldery i pliki ściągnięte z laptopa oraz telefonu, które również znajdowały się w neseserze. „To będzie to” — pomyślał, zmarszczył brwi i szybko otworzył folder *Prywatne*, po czym kliknął kolejny, ukryty w tamtym jak mniejsza matryoszka w większej. Był zatytułowany po prostu *Karolina*. Zobaczył kilka skanów dokumentów medycznych, wyników badań, takich, które najwyraźniej placówki medyczne przesłały online, oraz zdjęcia dziewczyny. Tych było więcej. Zwyczajne fotografie,

które najwyraźniej Dawid robił Karolinie telefonem i nie chcąc się ich pozbyć, ukrył je w prywatnym, zapewne zahasłowanym wcześniej folderze. Roześmiana pod parasolką w deszczowy dzień, patrząca prosto w obiektyw znad parującej filiżanki w jakiejś kawiarni, razem z przyjaciółkami, przytulona ufnie do Dawida, który robił im wspólne selfie... Niewiele z tego wynikało. Jeremi zabrał się do sprawdzania kolejnych plików. Doskonale wiedział, że i tak będzie musiał to wszystko jeszcze raz przeanalizować, a obecnie powinien się zająć sprawą Mateusza, o którym niczego nie wyczyta z tych materiałów. Jeśli nawet Dawid był w jakiś sposób zamieszany w narkotykowe interesy, to dopilnował, by nie było o tym śladu w jego drogocennej walizce. Wstępnie można było przypuszczać, że pracuje na zupełnie innym etapie brudnych interesów, tam, gdzie stają się one coraz bardziej czyste, przynajmniej z wierzchu, i nie ma bezpośrednio żadnych związków ani z przemytem, ani z rozprowadzaniem towaru. Choć Jeremi nie miał ochoty na spotkanie z panią komisarz, nie mógł dalej marnować czasu. Wylogował się więc i schował komputer, po czym westchnął i ruszył dalej.

* * *

— Dzień dobry, chciałbym rozmawiać z komisarz Jolantą Rybawską. Jestem...

— A pan był umówiony? — przerwał mu oficer dyżurny.

— Tak. Proszę przekazać, że przyszedł Jeremi Cygan. — Nie miał ochoty dyskutować z policjantem.

— Chwileczkę. Proszę tam...

— Zaczekam tutaj, to pilne, komisarz nie będzie zadowolona, jeśli będzie dłużej na mnie czekać.

Oficer niechętnie wybrał numer i przekazał wiadomość. Musiał usłyszeć zdziwienie w głosie Rybawskiej, która najwyraźniej kazała mu wysłać gościa niezwłocznie do siebie, chociaż zazwyczaj nikt spoza funkcjonariuszy placówki nie mógł sam poruszać się po korytarzach komendy. Spojrzał badawczo na Jeremiego i w kilku słowach oschle poinformował go, do którego gabinetu ma pójść. Jeremi czuł jego wzrok na plecach.

Podejrzał, że prędzej czy później znów się spotkają, lecz nie przypuszczał, że służbowo. Choć czas właściwie tu nie miał znaczenia. Ostatni raz widział się z Jolą po ich rozwodzie. To było ponad siedem lat temu, jednak teraz czuł się tak, jakby to wydarzyło się wczoraj, a on nie jest gotowy spojrzeć jej w twarz. Przez ostatnie lata robił wszystko, by o niej nie myśleć, nie wracać tam, gdzie cokolwiek przypominałoby mu ją lub miejsca, które mogłyby przywołać wspomnienia. Zmienił pracę, dom, miasto, rzucił się w wir nowych spraw, poznawał ludzi, angażował się w ich życie, by uciec od własnego, tymczasem los znowu zmusił go do mentalnego powrotu. I oto wchodził po schodach na piętro, gdzie w drugim pokoju po prawej miał znowu ją spotkać. Poczł nagłą chęć ucieczki. Odwrócić się, odjechać, porzucić tę sprawę, oddać pieniądze i udawać, że nic się nie wydarzyło. Mimowolnie uśmiechnął się do siebie z powodu tej absurdalnej myśli. Stał przed drzwiami i już podnosił rękę, by zapukać, gdy te stanęły przed nim otworem. Jola wyglądała dokładnie tak, jak ją zapamiętał. Nie zmieniła stylu, fryzury, niczego. Może tylko czas nieco wyostrzył jej rysy.

— Witaj, Jeremi. Domyślałem się, co cię sprowadza. Co wiesz na temat Szweda?

„Jak zwykle od razu przechodzi do rzeczy” — pomyślał.

— Cześć, kopę lat — powiedział i uznał, że kiepsko udaje luzaka. Chciał jeszcze dodać coś nieistotnego, typu „Ładnie wyglądasz, nic się nie zmieniłaś”, ale szybko się zreflektował i uznał, że to byłoby nie na miejscu. — Pracuję dla jego siostry — przeszedł do rzeczy — mówiąc ogólnie. Szwed jest umoczony. Ile tego wiozł?

— Czego? — zapytała, patrząc mu prosto w oczy. Była świadoma, że wiedział o narkotykach w samochodzie, jednak nie miała zamiaru tak po prostu wszystkiego ujawniać.

— Słuchaj, być może uda mi się dowiedzieć czegoś więcej, na przykład dla kogo pracuje, komu zawoził towar i tak dalej, ale też muszę mieć trochę informacji, przynajmniej podstawowych.

— Nie potrzebuję, by prywatny detektyw się czegokolwiek dowiadywał w sprawie. Mam swoich ludzi i nie wzywałam posiłków. Nie ma możliwości, bym ci powiedziała cokolwiek. Powinieneś pozostać przy tych swoich zdradach, szpiegowaniu niań złodziejek i tym podobnych sprawach, a łapanie prawdziwych przestępców zostaw prawdziwej policji — powiedziała poważnie, a jednocześnie lekko,

jakby od niechcienia.

— Jola, prawdopodobnie wkrótce wejdę w posiadanie twardej dowodów przeciwko niejakiemu Mecenasowi, zapewne o nim słyszałaś. — Nie mógł sobie darować odrobiny złośliwości. — Chciałbym wiedzieć, czy Mateusz Szwed pracuje dla niego, czy dla kogoś innego. Jeśli jest choćby pośrednio z nim związany, muszę wiedzieć, by upewnić się...

— Czekaj, czekaj. Może przejdziemy się gdzieś — nie dała mu dokończyć. Złapała za telefon, by powiadomić, że wychodzi.

Jeremi podążył za nią zadowolony, że udało mu się zdobyć jej uwagę.

Gliwice–Cieszyn–Lublin, wrzesień 2019

Lidii nie było spieszno ani do pracy, ani do pustego mieszkania, zwłaszcza teraz, gdy czuła się potrzebna, a niezrozumiała dla niej siła przyciągała ją do Wojtka jak magnes. Wbrew uczuciom, zgodnie z rozsądkiem osoby dorosłej i odpowiedzialnej pozwałała, by jej samochód połykał kilometry, zwiększając dystans. Urlop się skończył, wystawa nie wymagała jej fizycznej obecności na co dzień, więc siłą rzeczy czas było wrócić do siebie. Wolałaby oczywiście pojechać do brata, tymczasem zmierzała w kierunku, który najmniej jej się podobał. Jadąc, cały czas myślami była jednak tam, gdzie jeszcze niedawno ciałem. Nie mogła prowadzić i jednocześnie siedzieć z nosem w komputerze, toteż próbowała z pamięci analizować notatki Karoliny, które nie dawały jej spokoju. Przegapiła w efekcie zjazd na Żory, co wydłużyło trasę o niemal pół godziny. Przed nią było co prawda więcej wygodnej, szybkiej autostrady, lecz potem będzie się wlec po wiejskich drogach.

Zazwyczaj lubiła wycieczki „po zadupiach”, jak zwykła mawiać Olga. Dawniej każdego lata przynajmniej parokrotnie robili wypadki za miasto. Zbierali się w kilka osób i w zależności od pogody rowerami lub samochodami jechali, gdzie oczy poniosą. Spontaniczne wyjazdy z trasą ustalaną, gdy już praktycznie byli w drodze, pozwoliły jej dobrze poznać bliższe i dalsze okolice południowej Polski. Kochała te tereny i uwielbiała je przemierzać nawet samochodem, jednak teraz była wściekła na siebie za gapiostwo. Skoro musi wrócić do domu, chciałaby już tam być. Może dystans pozwoli jej spojrzeć na wszystko w inny sposób. Następny weekend i tak planowała spędzić ponownie w Gliwicach. Obiecała, że dostarczy do galerii jeszcze kilka prac przechowywanych na zapasowym dysku, które mogłyby urozmaicić wystawę. Oczywiście był to zwyczajny pretekst, ale czy to ważne?

Zastanawiała się, czy nadłożyć jeszcze trochę drogi, by jechać dalej wygodniejszą trasą, czy zjechać z autostrady w Mszanie, gdy zadzwonił telefon. Odruchowo odebrała i przełączyła na głośnomówiący, nie spojrzawszy nawet na ekran.

— Dzień dobry, pani Lidio — powitał ją głos, którego w pierwszej chwili nie rozpoznała. — Sebastian Barecki z tej strony. Poznaliśmy się na pani olśniewającej wystawie. Pamięta pani?

— Dzień dobry, oczywiście. — Spięła się i mocniej zacisnęła dłonie na kierownicy. — W czym mogę panu pomóc? — Starła się, by jej głos brzmiał uprzejmie i spokojnie.

— Jeśli ma pani chwilkę, bardzo chciałbym jeszcze raz wyrazić mój zachwyt nad pani pracami. Naprawdę jestem pod ogromnym wrażeniem i moja oferta jest wciąż aktualna. Nie chciałbym się narzucać, jednak gdybyśmy mogli się spotkać, może udałoby mi się panią przekonać do mojej propozycji.

Gdyby nie wiedziała, kim jest Sebastian, byłaby zachwycona. Oto znawca sztuki namawia ją do sprzedaży grafiki za kwotę, której nie odmówiliby twórcy dużo bardziej znamienitych dzieł.

— Uważam, że niezwykła wrażliwość w pani pracach owocuje zupełnie nową jakością, niepowtarzalną u nikogo, niepodrabialną...

— Bardzo przepraszam, ale właśnie jadę samochodem przez dość odludne tereny i coraz gorzej pana słyszę — przerwała mu Lidia. Chciała jak najszybciej się go pozbyć. Odmowa wyglądałaby źle, jeśli nie podejrzanie, nie miała jednak najmniejszej ochoty spotykać się z tym człowiekiem. — Oddzwonię do pana, gdy tylko będę miała możliwość.

— Pozwolę sobie w takim razie skontaktować się z panią później. Czy pasuje pani godzina osiemnasta? — Nie dał się zbyć, to on musiał kontrolować sytuację.

— Tak, po osiemnastej będzie dobrze. Do usłyszenia — szybko zakończyła rozmowę. Jej myśli nie zaprzętały już zapiski Karoliny czy niepokój o brata. Natychmiast wybrała numer do Jeremiego, musiała ustalić jakąś strategię, lecz ten nie odebrał połączenia.

* * *

Tego dnia sporo się działo i pewnie właśnie dzięki temu spotkanie Jeremiego z byłą żoną przebiegło lepiej, niż się tego spodziewał. Gang Mecenasa był obecnie priorytetem dla pani komisarz. Naciski z góry i ciągła presja robiły swoje, a wiadomo było, że im szybciej i w bardziej spektakularny sposób rozpracuje przemytników i posadzi ich głównego bossa za kratkami, tym większy dostanie awans. Jolanta sama powiedziała, że musi to doprowadzić do końca, i to szybko, bo taka sprawa nie zdarza się często, a jest jak przepustka do wyższych sfer. Tego właśnie u niej nie lubił. Kariera zawsze była dla niej najważniejsza. Ważniejsza niż ich małżeństwo, normalność, ważniejsza niż sprawiedliwość, która miała się stawać niejako przy okazji, a jeśli trzeba było zagrać nieczysto lub zwyczajnie zrobić coś dla statystyk, Jolka nigdy się nie wahała. „Tym razem jej zawziętość może się przydać” — pomyślał Jeremi, wchodząc do przesadnie klimatyzowanej restauracji. Ważne tylko, by zachować balans w tej współpracy, nie dać się wyssać i nie zostać z niczym, zdobyć potrzebne informacje od policji, choć to nie do końca legalne, i wreszcie mieć satysfakcję z dobrze wykonanej roboty.

Jeremi nie chciał przyznać sam przed sobą, że ta sprawa była wiatrem w żagle jego życia. Dla żony odszedł z policji, bo myślał, że zakończenie niezdrowej rywalizacji jakoś ich uratuje, tymczasem stało się odwrotnie. Jola nie traktowała jego pracy poważnie, choć to też nie był lekki kawałek chleba, za to bardziej opłacalny. Ironią losu było to, że gdy trafiło mu się interesujące śledztwo, w którym musiał dawać z siebie więcej niż przy pomniejszych zleceniach, jakie dostawał w ostatnich latach, trzeba było znów razem pracować. Miał wrażenie, że zatoczył życiowe koło.

* * *

Ledwie przekroczyła próg głównego wejścia, gdy w jej torebce znowu rozdzwonił się telefon.

— Niech zgadnę... — Lidia spojrzała na numer. — No jasne.

Już chciała wyciszyć dzwonek i schować komórkę, gdy zatrzymała się zaniepokojona. A jeśli wie, że już dojechała? Jeśli ją śledzi? Nie sprawdziła, czy ktoś za nią jedzie, ani nie rozejrzała się, czy jest obserwowana pod domem. Wzięła głęboki oddech i dotknęła zielonej słuchawki na wyświetlaczu.

Chwilę później zamknęła za sobą starannie drzwi mieszkania na wszystkie zamki i otworzyła okno, by przewietrzyć duszne wnętrza. Tym razem na widok pozostawionych przez brata pod jej nieobecność pustych butelek po piwie i skotłowanej pościeli nie zezłościła się, lecz rozpląkała. Powinna była do niego pojechać, być przy nim. Dlaczego musiał się wmieszać w te cholerne narkotyki? Policja nie chciała do niego dopuścić nawet Matyldy i dzieci. Mogła tylko porozmawiać z lekarzem lub pielęgniarką. Policjanci jak sępy pilnowali sali, w której Mati leżał otoczony sprzętem monitorującym każdy jego oddech. Rodzice odchodzili od zmysłów, nie potrafili zrozumieć, dlaczego komisarz Rybawska tak kategorycznie zabroniła im przyjechać do syna. W zasadzie nie zabroniła, tylko zaleciła nieznoszącym sprzeciwu tonem, co brzmiało jak zakaz.

Wszyscy zdawali się wstrzymywać oddech w oczekiwaniu na wybudzenie się Matiego ze śpiączki. Jedni czekali na poprawę stanu zdrowia z troski i miłości, a inni, by móc go przesłuchać, wydobyć jak najwięcej informacji, oskarżyć o posiadanie narkotyków i handel nimi. Lidia nie wiedziała dokładnie, ile i co konkretnie miał, lecz znała swego brata i w przeciwieństwie do matki, która nie chciała dopuścić do siebie takiej możliwości, wiedziała, że musiał być w coś świadomie i poważnie zamieszany. Jeremi nie chciał powiedzieć więcej, choć sprawa wystarczająco go zainteresowała, by pojechać i osobiście dowiedzieć się, co jest grane. Lidia była świadoma, iż jej brat pracował dla ludzi, którzy są najprawdopodobniej winni śmierci nieszczęsnej Karoliny i wywrócenia do góry nogami życia Wojtka. W dodatku teraz była umówiona z Sebastianem na spotkanie w galerii. To i tak nieźle, gdyż nalegał na kawę w Cieszynie. Ponoć w galerii mu powiedziano, że artystka wróciła do siebie, a on, jakże wspomniały zbieg okoliczności, również był w domu, bo przecież nie może zostawiać swego schorowanego ojca samego na dłużej niż kilka godzin, jak twierdził. Lidia wykręcała się brakiem czasu oraz pracą, ale

musiała grać swoją rolę i umówić się z potencjalnym klientem. Wybrała galerię jako w miarę neutralne miejsce. Obawiała się, że Sebastian będzie naciskał na spotkanie w Gliwicach, skoro oboje są teraz w tym mieście, zgodził się jednak bez cienia niezadowolenia w głosie, a ona zyskała trochę czasu.

Pomimo zmęczenia i perspektywy powrotu do rzeczywistości oraz pracy wyjęła i uruchomiła laptop, by jeszcze raz przyjrzeć się zagadkowym notatkom, które tak często zaprzętały jej głowę.

* * *

— Co za okropna jędba — stwierdziła Marta. — Zero zrozumienia.

— Dba o swoje, jej jest wszystko jedno, kto płaci, byle płacił. — Edyta wzruszyła ramionami. — Dobrze, że nie kazała natychmiast wszystkiego zabrać i się wynosić.

— Ale podwyżka? W takiej sytuacji? I słyszałaś, co powiedziała. „Jak się nie podoba, to do widzenia!” Wredne babsko — piekliła się wciąż Marta.

— Dobra, daj już spokój, co ty się taka nerwowa zrobiłaś? Skoro lokatorka, na którą była umowa najmu, zmarła, właścicielka mogła przejąć lokal i tyle. Pozwoliła nam go dalej wynajmować, chociaż nie podpisałyśmy umowy.

— Bo bulimy! I jeszcze ma czelność żądać trzech stów więcej za ostatni miesiąc! A kaucji nie zwróci, bo przecież lokatorki z umowy nie ma. Za to ona w tym czasie poszuka nowych do dojenia.

— Przestań już i zabierz się do książek, a ja zdejmę rzeczy z góry — zarządziła przyjaciółka.

Obie dojrzały do tego, by wreszcie posprzątać mieszkanie Karoliny, zabrać jej rzeczy i zwolnić lokal. Nie liczyły na to, że cokolwiek istotnego tu znajdą, jednak nie chciały, by to, co zostało po Karoli, wylądowało w śmietniku. Wojtek dostał od Jeremiego zakaz zbliżania się do mieszkania i w ogóle pojawiania się w najbliższej okolicy. I tak miał sporo szczęścia, że go nie złapali. Raczej nikt już nie obserwował budynku, ale kto wie...

— Trzeba odsunąć tę szafkę.

— Po co? Ustaliłyśmy, że tych mebli nie wynosimy. — Edyta spojrzała w dół na Martę, stojąc na drabinie.

— Coś tam jest, zobacz. Zawsze coś tam wpadało, a to długopis, a to jakieś ulotki. To przez ten blat. Jest wadliwy. No spójrz, krzywy jak cholera. — Marta wsunęła dłoń za mebel, by go odsunąć od ściany.

— Zostaw! — krzyknęła Edyta pośpiesznie, schodząc na podłogę. — Tobie nie wolno!

— Oj, przestań — jęknęła Marta i przewróciła oczami. — Cięża to nie choroba.

— Ale ciężarne nie mogą dźwigać.

— Bardzo śmieszne. Przecież wyjęłyśmy już rzeczy ze środka, komoda nie jest ciężka.

Edyta jednym ruchem odsunęła mebel od ściany i obie spojrzały na to, co było za szafką.

— Miałaś rację. Trzy zakurzone długopisy, błyszczyc i kabel do ładowarki. Same skarby.

— Ciekawe, czy piszą.

— Jeden wylał. Jak chcesz, to sprawdź. Mówiłam ci, już niczego tu nie znajdziemy. — Ej, a co to jest, to na ścianie? Takie nadrapane? — Marta schyliła się, by lepiej zobaczyć. — Zapal lepsze światło, bo nic tu nie widzę.

— Co ty chcesz tam zobaczyć? — mruknęła Edyta, ale włączyła lampę.

Tymczasem Marta uklękła z wrażenia i przysunęła nos jeszcze bliżej ściany.

— Zobacz! To jest jakby sześć w ramce! Jak w notatkach!

— Odsuń się, przecież zasłaniasz... No, coś jest nabazgrane — potwierdziła z powątpiewaniem.

— Nie, to jest raczej wydrapane. — Marta była wyraźnie podekscytowana znaleziskiem. — A to jakby strzałka i... zobacz, znów cyfry? Czy litery? Jakiś skrót?

— Strzałka jest w dół, a to jakby obok... Jeden albo siedem, albo może to miał być iks... — Obie próbowały odczytać ledwo widoczne, wydrapane czymś niezbyt ostrym znaki.

— Jakby ktoś to paznokciem zrobił.

— Nie ktoś, tylko Karolina. Skup się. To może być ważne. To jest jednak jeden, a to chyba miała być dziewiątka.

— Jeśli dziewiętnaście i jest strzałka, to może chodzi o Agatę. Mieszka niżej i pod

dziewiętnastką. — Marta zerwała się na nogi. — Dzwon do tego detektywa! Przecież to może oznaczać, że Agata jest w to zamieszana. Może to nie Dawid, tylko ona? — Zakryła usta ze zdenerwowania.

— Spokojnie, zaraz zadzwonię. Nie ekscytuj się, bo urodzisz.

— Musisz być wredna? Dzwon.

Jeremi polecił zrobić zdjęcie znalezisku i wysłać mu SMS-em, a następnie czekać i nie podejmować żadnych działań prócz dalszego porządkowania.

Gliwice, wrzesień 2019

A, dzień dobry, coś się stało? — Zaniepokojona Agata otworzyła Edycie i Marcie, które chwilę wcześniej łomotały w jej drzwi, jakby się paliło.

— Dzień dobry, pani Agato, jesteśmy przyjaciółkami...

— Tak, tak, pamiętam, panie Edyta i Marta, poznałyśmy się kiedyś. — Cofnęła się w głąb mieszkania, by wpuścić nachalnych gości.

— Przepraszam, że tak się dobijamy, ale nie otwierała pani, a zauważyliśmy światło. Mamy ważną sprawę.

— Dobrze panie zrobiły, dzwonek zepsuł mi się w zeszłym miesiącu. Rzadko mnie ktoś odwiedza... Proszę do pokoju. Co panie sprowadza?

Edyta wyciągnęła rękę.

— Mówmy sobie po imieniu, będzie łatwiej. Edyta.

Wymieniły uprzejmości w kilka sekund, nim usiadły na wskazanej przez Agatę sofie.

— Czy ma pani, czy masz może coś, co należało do Karoliny? Coś takiego, o czym wcześniej nie pomyślałaś, bo w zasadzie wydaje się bez znaczenia. — Marta przeszła od razu do rzeczy.

— Hm... ale w jakim sensie, jakąś rzecz? — Agata zmarszczyła brwi.

— Tak, cokolwiek.

— Mam zapewne kilka przedmiotów. Karola była cudownym człowiekiem, ciągle coś podrzucała dla Kuby. Dostał od niej śliczną kurtkę i wielki komplet kredek, których do tej pory używa i bardzo sobie ceni. Z kurtki wyrósł zeszłej jesieni.

— Nie, nie — wtrąciła Edyta. — Coś takiego, co nadaje się do schowania czegoś, zastanów się, może coś, co byłoby oznaczone cyfrą sześć.

— Cyfrą? Nie mam pojęcia... Niczego takiego sobie nie przypominam. Dostałam trzy lata temu na urodziny komplet sześciu filiżanek do herbaty z cukiernicą i dzbaneczkiem na mleko, ale szkoda mi go używać na co dzień, taki jest piękny, z porcelany, delikatny, rozumiecie. Ale cyfra... — Pokręciła głową. — Pokazać?

— Nie zaszkodzi, ale raczej nie tego szukamy — stwierdziła Edyta.

— Sprawdźmy, jeśli rzadko używany, Karolina mogła tam schować pendrive! Przecież jest sześć filiżanek! — Marta, choć dopiero usiadła, wstała błyskawicznie.

— Tak, sześć filiżanek w komplecie, bardzo nietypowe. — Edyta wyróciła oczami.

— Siedź, siedź, zaraz przyniosę.

— Tak, nie, bo ja... Toaleta tak jak na górze? — Marta, nie czekając na odpowiedź, ruszyła do łazienki.

Porcelanowe filiżanki rzeczywiście były urocze i delikatne, ale ani w naczyniach nic nie zostało schowane, ani na pudełku nie było śladu żadnej wskazówki. Agata włożyła je więc starannie do opakowania i odniosła na miejsce. Przy okazji zaproponowała herbatę, czując, że to będzie dłuższa wizyta. Przez te wszystkie lata sąsiadka podarowała jej wiele różnych drobiazgów. Przyjaciółki obejrzały więc z uwagą rzeźbiony przyborek krawiecki, skarbonkę dziecięcą w kształcie domku, kilka zabawek, w których można by coś ukryć, i mały plecaczek, który Kuba zabierał na wycieczki. W końcu Agata nie wytrzymała i zażądała wyjaśnienia, czego właściwie ma szukać.

— Karolina przechowywała dość istotne... informacje w swoim komputerze i być może, tak na wszelki wypadek, skopiowała je i ukryła gdzie indziej. Obawiała się, że mogą trafić w niepowołane ręce. — Edyta zerknęła na Martę, jakby się bała, że powie za dużo. — Mamy, to znaczy znalazłyśmy pewną

wskazówkę i szukamy po prostu, gdzie się da.

— Te dane mają się znajdować na jakimś nośniku oznaczonym szóstką, tak? — upewniła się Agata.

— Tak podejrzewamy.

— Pewnie chciała to schować przed Dawidem. Przyszła do mnie pewnego razu wieczorem, niedługo przed śmiercią — przypomniała sobie Agata. — Była bardzo pobudzona, mówiła dziwne rzeczy, ale nie wiedziałam, jak to potraktować. Ona chwilami wpadała w jakąś taką...

— Paranoję — odpowiedziała Marta.

— Tak, chociaż to chyba za mocne słowo. Zawsze przecież była taka rozsądna, odpowiedzialna. Twardo stąpała po ziemi. Pod koniec jednak... Właściwie nie wiedziałam, czego się spodziewać. Trochę mi wstyd, bo tyle dobrego dla nas zrobiła i komu jak komu, ale jej można było ufać. Jednak zaczęłam się niepokoić, bałam się zostawiać Kubę pod jej opieką. Ta choroba... ona ją tak bardzo zmieniła... — Agata zgarbiła się pod ciężarem wspomnień i na chwilę przerwała, by zaraz kontynuować: — O Dawidzie mi wtedy naopowiadała. Mówiła, że się boi, ale nie potrafiła sprecyzować czego. Zarzekała się, że nie bije jej ani nic takiego. Na to jestem najbardziej uwrażliwiona. Oni się nawet nie kłócili, usłyszałabym... W każdym razie mówiła strasznie chaotycznie, zaprzeczała sobie dosłownie w jednym zdaniu. Zrozumiałam z tego tylko tyle, że się boi, że podejrzewa Dawida o coś i że on ma nad nią kontrolę. No ale była chora, chwilami w takim stanie, że trzeba było jej pilnować, a przecież on pomieszkiwał z nią, prawda?

— Nie wszystko nam mówiła — stwierdziła Marta.

— Mnie też nie. To był jakiś taki... zryw. Na drugi dzień poszłam do niej sprawdzić, czy wszystko okej, i zachowywała się zupełnie inaczej. Jakby poprzedniego wieczoru w ogóle nie było. Chciałam wiedzieć, czy wszystko w porządku, to zdziwiła się, że w ogóle pytam. Zagaiłam o Dawida, który jeszcze był w pracy, a ona błogo się uśmiechała i mówiła, jak to go kocha, jaki jest wspaniały i opiekuńczy. Zupełnie nie pamiętała naszej poprzedniej rozmowy. Była taka jak dawna Karolina, zdrowa Karolina. Taka radosna, trzeźwa. Przerwałam jej wtedy, zdaje się, pracę, przygotowywała jakieś oferty na komputerze i cieszyła się, że wraca do biura. Potem się jednak okazało, że znów jest gorzej i przedłużyła chorobowe... A, właśnie, *à propos* komputera. Gdy kupowała sobie nowy sprzęt, stary sprezentowała mojemu Kubie. Oponowałam, bo jednak to też był porządny laptop, po co taki dzieciakowi, ale nalegała. Kuba był wniebowzięty, bo okazuje się, że teraz wszystkie dzieciaki mają komputer i tylko ten mój... ale to było dawniej. Jeszcze zanim pojawił się Dawid i te kłopoty...

— Masz go nadal, Kuba go używa? — Edyta się wyprostowała.

— Tak, oczywiście. Razem na nim bajki oglądali. Korzystaliśmy z jej wi-fi. Oczywiście nawet grosza nie chciała za to przyjąć. Taka była ta nasza Karolinka — dokończyła smutno, wstając, by pójść po sprzęt.

Edyta musiała mocno się opanować, by nie wyrwać laptopa z rąk Agaty. Na pulpicie znalazła mnóstwo skrótów, folderów, które w większości nie miały nawet sensowych nazw. Podobny rozgardiasz panował wszędzie, gdzie dziecko mogło coś zapisać. Edyta zaczęła po kolei otwierać foldery, w których tkwiły inne, a w nich kolejne. Niekiedy w ostatnim nie było nic.

— Taki gąszcz mogło stworzyć tylko dziecko — mruknęła pod nosem Marta, która nachylała się tuż nad ramieniem Edyty i wpatrywała w ekran.

— Nie zaglądałam do tego, szczerze powiedziawszy, nie znam się. Odkąd nie ma Karoliny, Kuba właściwie nie używa komputera. Chyba też za nią tęskni, choć nic nie mówi.

— Szukajmy po kolei. Mogę przy okazji to trochę posprzątać, jeśli chcesz. Na przykład obrazki z Painta można wrzucić do jednego folderu. Kuba chyba nie będzie miał nic przeciwko.

— Na pewno nie. To ja dorobię herbaty i przygotowuję kanapki — powiedziała Agata i poszła do kuchni.

— Może to po prostu zabierzemy do ciebie. Przecież zejdzie nam do rana! — zaproponowała Marta Edycie.

— Nie przesadzaj, ogarniemy w dwie, góra trzy godziny, może w tym śmietniku coś znajdziemy. Jak chcesz, to jedź do domu, tobie by się przydało położyć i odpocząć, dam ci znać, jeśli...

— Nie ma mowy — oburzyła się Marta. — To, że akurat ty trzymasz myszkę, nie oznacza, że ja nie patrzę, a co dwie pary oczu, to nie jedna. Poza tym przypominam ci, że ciąża to nie choroba.

— Ciągłe to mówisz. Patrz, osobny folder z linkiem do YouTube'a. To już lekka przesada. I jeszcze musimy to sprawdzić, bo cholera wie, co to. — Edyta skopiowała link do przeglądarki, bo nie dało się go aktywować. Z głośników ryknęła muzyczka z czołówki bajki o śwince Peppie wraz z donośnym chrumknięciem, które zdążyło wybrzmieć, nim Edyta kliknęła pauzę.

— Przysięgam, że moje dziecko dostanie pozwolenie na dostęp do komputera w wieku osiemnastu lat albo gdy sobie kupi z własnej wypłaty — skwitowała Marta.

— Już to widzę. Lecimy dalej.

Agata zostawiła dziewczyny i poszła odebrać syna, a one nawet nie zauważyły jej nieobecności, toteż widok Kuby blisko godzinę później, gdy wrócił z mamą do domu, niezmiernie je zdziwił. Naturalnie zapytały i jego o tajemniczą szóstkę, ale niczego nie wiedział. Przyznał za to, że ciocia Karolcia czasem oglądała z nim bajki na laptopie, a czasem coś w nim robiła.

Kubki po kolejnej herbacie i talerz po kanapkach stały dawno zapomniane przy brzegu stołu, gdy okrzyk Edyty przeciął ciszę skromnego mieszkania Agaty.

— Jest!

— Jest?! Aleś mnie przestraszyła, chyba tu zaraz urodzę! — Marta zerwała się na równe nogi. Od dłuższego czasu siedziała zadumana, bo znudziło ją gapienie się w ekran.

— Co?! — Radość Edyty zmieszała się z przerażeniem.

— Nic, żartuję, po prostu mnie przestraszyłaś. Co masz?

Obie z powrotem usiadły, a z pokoju obok wybiegł zaciekawiony Kuba. Nie zważając na zaglądnące przez ramię dziecko, zaaferowana Edyta otworzyła folder gorączkowo wygrzebany z wielu folderów zamieszczonych w Obrazy/Rysunki/Grafiki/Folder/Folder(1)/Folder(2) i tak dalej i oznaczony /6#. W nim był jeden dokument txt z adresem do zewnętrznego dysku. Edyta bez zastanowienia wpisała ścieżkę do przeglądarki.

— No jasne, teraz hasło...

— Co to? — zapytał Kuba.

— Najprawdopodobniej wszystko jest w chmurze, tylko musimy się tam dostać — odpowiedziała odruchowo Marta, a Kuba rozdziawił buzię ze zdziwienia. Podszedł do okna i spojrzał w niebo.

Cieszyn, październik 2019

Cierpliwość, Alan, cierpliwość jest najważniejsza — pouczał Sebastian brata, który domagał się swojej doli, a jemu nie było teraz w głowie sięganie do portfela. — Przypilnuj starego, odgrzej mu zupę, jak się zbudzi, i zajmij się nim. Siedzisz w domu, rozumiesz?

— Co?! Wychodzę wieczorem, zapomnij, że będę tu gnił z...

— Zamknij się. Mam zajebiście ważne sprawy na głowie i będziesz tu, kurwa, siedział ze starym tyle, ile trzeba! — ryknął Seba. — Jak się z tym uporam, dam ci kasę i sam będę tu chętnie tkwił, jeszcze sobie pobiegasz — dodał łagodniej. — Pilnuj go.

Był pewien, że już niedługo odetchnie z ulgą. Wszystko szło jak po maśle. No może nie do końca wszystko, bo nie spodziewał się, że Mati będzie nadal miał przy sobie kilka kłoców prochów, które trafią w łapy psów. Liczył na niewielką, zwyczajową ilość, jaka z pewnością zaszkodziłaby reputacji ofiary wypadku, lecz nie wzbudziłaby większego zainteresowania policji. Tymczasem to, co znaleźli w samochodzie, obudziło ich czujność i natychmiast przyciągnęło wydział narkotykowy, któremu zdarzało się już prawie deptać im po piętach. Znaleźli z pewnością stanowiło realne zagrożenie dla Mecenasa, więc tym bardziej dla Sebastiana. Trudno. Kto nie ryzykuje, ten nie pije szampana. Oczywiście bardziej bał się szefa niż glin, wiedział bowiem, że ten i tak uratuje swój tyłek i interes, jak zawsze, skontaktuje się, z kim trzeba, rozda prezenty; najważniejsze więc, by mu nie podpaść. Szwed i tak od początku jest ofiarą i niech tak zostanie do końca.

Sebastian miał prosty plan: spowodować wypadek tak, by wyeliminować z gry Mateusza bez

żadnych innych strat. Nie nad wszystkim da się panować, więc na wszelki wypadek wziął samochód jednego ze swoich mniej rozbawionych kumpi, gdy ten niczego nieświadom spał nafaszerowany lekami ojca w sypialni Seby po imprezie. Może trochę przesadził z dawką, ale potrzebował pewności i zapasu czasu. Śledzenie Matiego było proste, gdyż wszystkie samochody rozwożące grubszy towar mieli pod obserwacją. Nawet jeśli ktoś widział białą hondę i jakimś cudem skojarzył z wypadkiem albo wytopią ją niespodziewanie, kumpel będzie się tłumaczył, nie on. A komu prędzej Rudi uwierzy? Staremu koledze, z którym wyszedł z niejednej opresji, czy początkującemu ćpunowi, który żyje z dnia na dzień? Jeśli Rudi będzie po jego stronie, to i Mecenasa.

Akcja udała się dokładnie tak, jak ją sobie zaplanował. Noc, ciemność, pustka i żywej duszy. Zaczekał, przyczaił się i w odpowiednim momencie po prostu wyjechał, zaświecił długie i zjechał w bok, by uniknąć kolizji. Mati odruchowo wcisnął hamulec, skręcił kierownicą i już nie miał zbyt wiele do gadania. Sebastian spokojnie odjechał w czarną, niezakłóconą niczym innym noc.

Ciesząc się, że ma to już z głowy i uwaga wszystkich została od niego odwrócona, postanowił zająć się panną Lidią. Ją również będzie teraz łatwiej rozbroić, z pewnością martwi się stanem brata i nie będzie tak ostrożna jak dotąd. Wcześniej miał zamiar zbliżyć się do niej, może nawet zaprzyjaźnić, lecz w porę uznał, że to, po pierwsze, niemożliwe, bo głupia nie jest i go skojarzyła, więc trzyma dystans. Po drugie, byłaby to tylko strata czasu, może przyjemna, ale strata. Dużo prościej będzie ją po prostu poobserwować tak, by niczego nie podejrzewała. Niech się czuje bezpieczna. By uspić jej czujność, zadzwonił z przeprosinami, że nie może niestety w najbliższym czasie negocjować kupna, ponieważ został zmuszony do pilnego wyjazdu w interesach i gdy tylko wróci za kilka tygodni, pozwoli sobie przypomnieć jej o swojej skromnej osobie.

Szkoda, że tak mało ludzi korzysta w tych czasach z telefonów stacjonarnych. O ile łatwiej byłoby po prostu wejść do mieszkania pod nieobecność właścicielki, założyć pluskwę i spokojnie posłuchać, co w trawie piszczy. Na szczęście teraz każdy, kto ma samochód, nigdzie dalej nie rusza się bez niego. Sebastian był pewny, że gdy Lidia pojedzie do Gliwic, by doglądać swojej małej wystawki, spotka się z Wojtkiem lub kimś, kto może go do niego doprowadzić. To zbyt duży zbieg okoliczności — pod domem Lidii widzieli Redyńskiego ostatni raz, akurat ta dziewczyna teraz jeździ do miasta, gdzie mieszkała jego współniczka, zanim ją ucisz yli, gdzie teoretycznie i on powinien się kręcić, a w dodatku jest siostrą tego tępaka Matiego. To, że kręciła się obok domu Karoliny Świtoń i potem świadomie zgubiła ogon, jadąc z kimś, kto mógł być nawet samym Redyńskim, jest kropką nad i. Sebastian był pewny, że Lidia jest we wszystko zamieszana, więc gdy tylko dostał automatyczne powiadomienie o zmianie położenia celu, wskoczył do samochodu i ruszył. Miał nosa — Lidia kierowała się na północ i właśnie opuściła miasto.

Zdenerwował się, gdy przed nim wyrósł korek, sprawdził jednak aktualności z dróg i się uspokoił. To długi zator, ona też musi w nim tkwić. Zaczął jeszcze raz analizować sytuację. Musiał rozegrać to precyzyjnie, gdyż od niego teraz zależało życie i przyszłość jego, brata, córki i jej matki. O tych dwóch ostatnich mało kto wiedział, co było ich wspólną decyzją. Podyktowaną względami bezpieczeństwa. Marzenie o uwolnieniu się kiedyś od tego wszystkiego, wyjeździe we trójkę gdzieś bardzo daleko z ilością gotówki pozwalającą na godne życie przez dłuższy czas dopingowało go do działania, skutecznie trzymając na wodzy ewentualne wyrzuty sumienia. Nie mógł dopuścić najmniejszej wątpliwości, zawahać się czy zatrzymać choćby na chwilę. Zdany praktycznie tylko na siebie, uległ złudzeniu posiadania kontroli nad wszystkim. Nie wiedział, że gdy on spokojnie i powoli poruszał się w strumieniu samochodów, Jeremi, Olaf i komisarz Rybawska, czekając na zdjęcie hasła z pewnego folderu przechowywanego na wirtualnym dysku, byli coraz bliżej skompletowania kluczowych danych. Owe informacje mogły całkowicie zdemaskować Mecenasa.

Gliwice, październik 2019

Wojtek miał nadzieję, że odnalezienie nagrań z Kenirovic i zapisu trasy transportera, w którym udało mu się zamontować nadajnik, będzie momentem przełomowym — wszystko się już rozwiąże, rozpląće i zakończy, tymczasem zdawało się jeszcze bardziej komplikować. Jeremi z jednej strony był

zły na dziewczyny za podjęcie inicjatywy, bo przecież wyraźnie kazał poczekać z wszelkimi działaniami, a z drugiej nie potrafił ukryć zadowolenia ze znaleziska. Przekazał dane komórce CBŚP, które wkroczyło do mieszkania Karoliny, robiąc jeszcze więcej zamieszania i bałaganu.

Wojtek nadal nie zbliżył się do prawdy o śmierci Karoliny. Nie pozwolono mu nawet zweryfikować, czy materiały zapisane w chmurze są kompletne. Ani jemu, ani przyjaciółkom Karoliny nie udało się ustalić hasła, chociaż Wojtek był pewien, że to jedynie kwestia czasu. Detektyw niezwłocznie przekazał dane policji, twierdząc, że odblokowanie zawartości nie stanowi żadnego problemu dla specjalistów i nawet lepiej, by to oni pierwsi zobaczyli pliki.

Jeremi ze swoimi współpracownikami ustalił, że w całej sprawie jest jeszcze więcej min, które co rusz wybuchają, ujawniając skalę i zasięg przestępstw. Teraz wszyscy czekali, kiedy wreszcie wybudzi się Mateusz, który był jak brakujący puzzel w układance.

* * *

— Twoja sprawa zmierza do pozytywnego końca. — powiedział Jeremi do Wojtka podczas połączenia na Skype. — Wkrótce cię wezwą do złożenia wyjaśnień.

— Mecenasa nie macie — stwierdził Wojtek.

— Jeszcze nie, przyznaję, ale nigdy nie byliśmy bliżej niż dziś.

— Nadal nie wiem, czy Karolina została zamordowana.

— Dowiemy się tego, dowiemy — zapewnił detektyw.

Gliwice, lipiec 2019, Karolina

Podjęłam złą decyzję, ale nie potrafiłam inaczej. Nie mogę dalej kłamać, nie mam na to sił, trudno, niech się dzieje, co chce. Nie mogę tak żyć. Dawid zasnął. Przyglądam się jego nieruchomej, nieobecnej twarzy i bardzo chcę mu wierzyć. Przecież ani razu nie dał mi powodu do podejrzeń, nie przyłapałam go na kłamstwie, a jednak ciągle podejrzewałam go o najgorsze. Przecież gdyby chciał się mnie pozbyć, zrobiłby to już dawno temu. Po co miałby mnie truć i doprowadzać do szaleństwa, a potem rzucać wszystko i jechać mi na ratunek, sponsorować tony badań i konsultacji lekarskich? Właśnie on, najszybciej jak mógł, dotarł do mnie, gdy zemdląłam na stacji benzynowej. Jasne, dochodziłam już do siebie i próbowałam wytłumaczyć tym ludziom, że nie ma potrzeby wzywać pogotowia, ale byli tak przerażeni, że zanim się ocknęłam, karetka była już w drodze, podobnie jak Dawid, do którego zadzwonili z mojego telefonu, gdyż jego numer widniał jako ostatni na liście połączeń. Szybko odnalazł mnie na SOR-ze i niczym troskliwy mąż rozmawiał z lekarzami o moim zdrowiu. Zrezygnował z ważnego spotkania, wziął urlop na żądanie i poprosił o wyjaśnienie całej tej sytuacji z wyjazdem, kiedy tylko poczułam się na tyle dobrze, by móc rozmawiać. W mojej głowie krążyły spanikowane myśli, lecz każde potencjalne kłamstewko wydawało się absurdalne, więc odważyłam się wszystko wyjaśnić tak, by jak najmniej zmyślać. Opowiedziałam mu tyle, ile było konieczne: o przyjacielu, który się nie odzywa, o moich obawach, że coś mu się stało, i o tym, żeby osobiście to sprawdzić. Łagodnie, bez pośpiechu czy nacisku, a jednak zdecydowanie Dawid dopytywał mnie o Wojtka, o to, dlaczego nigdy nic o nim nie wspominałam, dlaczego miałoby mu się coś stać i tak dalej. Nie mogłam powiedzieć o transportach, przemyśle, dowodach i kopiach, ale musiałam wyjaśnić, że Wojtek ma kłopoty w pracy, gdyż odkrył pewne nieprawidłowości oraz naraził się silniejszym od siebie. Słuchał, patrzył mi w oczy, pytał i... nie wyglądał na zdziwionego, przejętego, jakby wiedział... A może znów nadinterpretuję... To, że nie komentował, nie oznacza, że wie cokolwiek o tym wszystkim, że ma coś z tym wspólnego. Teraz jego regularny, spokojny oddech mnie uspokaja. Przecież mi ufa, pomaga, jest przy mnie. Właśnie on. Przytulam się do niego i zamykam oczy.

* * *

Wizyta trwała niespodziewanie krótko, bo okazało się, że brakuje części wyników i lekarz nie miał czego analizować. To się podobno zdarza, czasem czegoś nie doślą albo próbka jest zanieczyszczona i nie można jej zbadać. Muszę jeszcze raz oddać krew na badania toksykologiczne

i kilka innych. Doktor zmodyfikował mi leki, a następnie jak zwykle życzył dużo zdrowia. Nie mam zamiaru jak mała dziewczynka czekać na Dawida w poczekalni, więc podchodzę do wind, by zjechać na parter. Cyferki pięter wyświetlają się jakby z ociąganiem. Lewa winda już zmierzała w moją stronę, po czym utknęła na dłuższą chwilę na trzecim i z powrotem pojechała do góry, druga minęła moje piętro, zjeżdżając w dół bez zatrzymywania się. Ile można czekać? Niby nigdzie mi się nie spieszy, ale decyduje się zejść po schodach. Ledwie otwieram ciężkie drzwi, słyszę jego głos niosący się wyraźnie na klatce schodowej. Mówi cicho i szybko, nerwowo:

— Przełożyłem, nie zleciłem... — Przerwa. — Nie martw się, kochanie, na pewno nie będzie żadnych strat, przecież wiesz, że bym do tego nie dopuścił. — Przerwa. — Słyszałem, tak... To nie jest nasza sprawa, to już ich rozgrywki i sami sobie posprzątają, zawsze to robią. — Znowu milknie, kogoś słucha. — Jasne, całkowicie czysto, nie masz się o co martwić. Za kilka dni wracam i... Oczywiście, kochana, pamiętam o naszej rocznicy, czy kiedykolwiek zapomniałem? — Stłumiony śmiech, łagodny ton, który tak dobrze znam. — Niespodziankę, powiadasz? Też mam coś dla ciebie. — Przerwa. — Najdroższa, tylko ją sprawdzałem, a potem musiałem tak działać, by nie wzbudzać podejrzeń. Tylko pilnowałem sytuacji... Dobrze, muszę kończyć...

Do słów dołączyły kroki, wraca tu. Szybko i bezszelestnie wycofuję się i zatrzymuję przed windami. Jestem jak ogłuszona, słyszę szum własnej krwi, bicie serca chyba widać przez bluzkę. Co to było? Z kim on rozmawiał? Co ja najlepszego narobiłam? Co teraz?

* * *

To najtrudniejsza rola, jaką przyszło mi w życiu odgrywać. Drżące dłonie, bladość i pocenie się rzucam na chorobę, by nie dać mu powodów do podejrzeń. Podaje mi tabletki, kładzie do łóżka, a ja poddam się temu, błagając go w duszy, by sobie gdzieś poszedł. Jakby mnie słyszał, mówi, że musi coś załatwić, ale wróci najdalej za godzinę. Całuje mnie w czoło i wychodzi. Biegnę do drzwi, by zamknąć wszystkie zamki od wewnątrz. Bez sensu. I tak ma klucze do każdego z nich. Co mam robić? Zadzwoń do Marty. Nie, pojedę do Edyty. Od razu, po co tracić czas. Tylko żeby Agata nie była w to zamieszana... Czuję, że źle zrobiłam, narażam ją i Kubę, ale teraz już tego nie odkręcę.

Panikuję, znowu panikuję i biegam bezproduktywnie po mieszkaniu. Muszę wziąć się w garść, niedługo wróci, nie mogę tak tracić czasu. Ubrać się, muszę coś na siebie włożyć, przecież dałam mu się przebrać w tę idiotyczną piżamę. Pojadę do Edyty. A może on po prostu ma kogoś innego, w nic nie jest zamieszany, tylko zwyczajnie ma inną babę. Rocznicą. Może to żona? Jak to możliwe, że tak patrzył mi w oczy, mówił o miłości... Siadam na chwilę, bo zaczyna mi się kręcić w głowie. Muszę wezwać taksówkę. Albo nie, pobiegnę na postój. Nie będę czekać. Żona? Serio? Kurczę, chyba wołałabym, by to była po prostu żona...

Podskakuję na dźwięk dzwonka. To Dawid! Co teraz?! Nie, przecież by nie dzwonił, otworzyłby sobie kluczem. Dobra, tylko bez paniki. Wstaję i biorę głęboki oddech, przyglądam dłońmi włosy, wciąż mam na sobie piżamę. Skradam się najciszej, jak potrafię, do drzwi i zerkam przez wizjer. Sonia?

— Cześć, Soniu. — Otwieram z ulgą.

Gliwice, Lublin, październik 2019

Wojtku, spokojnie, nic się nie dzieje. Barecki chwilowo się odczepił, sam powiedział, że wyjeżdża na kilka tygodni. Zresztą mam zamiar pojechać do Mateusza. Muszę sprawdzić, co się z nim dzieje, i wesprzeć trochę Matyldę. W życiu nie przypuszczałabym, że będę to robić. — Pokiwała z niedowierzaniem głową, choć Wojtek tego nie widział. — Rodzice już tam są.

— Uważaj na siebie, mam złe przeczucia — odparł.

— To ty powinieneś dostać ochronę. Ja w pewnym sensie mam, Edyta pojedzie ze mną — zażartowała Lidia.

— No ja w pewnym sensie też mam. Uważajcie na siebie — powtórzył.

* * *

— Lekarze rozkładają ręce, powinno mu się poprawiać, tymczasem jest tylko gorzej. — Głos Matyldy się załamywał. — Na razie nie ma nawet szans na wybudzenie. Pozwolili mi kilka razy wejść w towarzystwie policjanta. Dosłownie na pięć minut. — Nie ocierała łez, które i tak bez przerwy znaczyły jej policzki mokrymi ścieżkami.

W ostatnich dniach szpitalny przedsiomek i korytarz przed zamkniętymi drzwiami oddziału żona Mateusza odwiedzała najczęściej. Bliżej męża nie mogła przebywać. Siedziała skulona na krześle pod ścianą obok Lidii i Edyty, wyrzucając z siebie serie zdań łamiącym się głosem. Nie miała ostatnio zbyt wiele okazji, by z kimś porozmawiać — uzewnętrznić swój żal, ból i strach. Tak zagubiona, zrozpaczona nie była nigdy dotąd. Złożyła zeznania z nadzieją na uzyskanie jakichkolwiek informacji, lecz niczego się nie dowiedziała, tylko w kółko słyszała: „Prowadzimy czynności”. Owszem, wiedziała, że to przez ostatnią pracę Mateusz wpadł w kłopoty, do niej również dotarła informacja o narkotykach w samochodzie, lecz była pewna, albo mocno chciała w to wierzyć, że nie mógł mieć z tym nic wspólnego, został wrobiony. I do tego ten wypadek. Czy to był istotnie tylko wypadek? Czy ktoś mu rzeczywiście aż tak zagraża, że musi być pilnowany? Te same pytania zadawała Lidii i Edycie, lecz one również mogły tylko spekulować, a to, o czym wiedziały, z pewnością nie nadawało się do przekazania zrozpaczonej kobiecie.

W końcu Matylda zgodziła się pojechać do hotelu i odpocząć trochę dłużej niż kilka godzin. Lidia obiecała, że będzie trzymać rękę na pulsie i spróbuje się czegoś dowiedzieć. Zostały więc we dwie na szpitalnym dziedzińcu. Usiadły na ławeczce w pobliżu bocznego wyjścia. Edyta, by nieco odciągnąć koleżankę od trosk, opowiadała o tym, jak znalazły z Martą wszystkie zgromadzone przez Karolinę dane w chmurze.

— Musiałyśmy zaryzykować, chociaż Agata mogła przecież okazać się wrogiem. Teraz widzę, że to śmieszne, by podejrzewać tak dobrą osobę, ale wtedy... Lidka, patrz, co ona tu robi?! — Edyta wyprostowała się gwałtownie i trąciła koleżankę w ramię.

— Aua! — krzyknęła Lidia. — To chyba pielęgniarka. Znasz ją?

— Przecież to ta dziewczyna z biura podróży. Niemożliwe...

— Jaka dziewczyna? O czym ty mówisz?

— No, koleżanka Karoli!

— Może tylko podobna. To by zakrawało na niesamowity zbieg okoliczności, gdyby też tu kogoś odwiedzała. Była w fartuchu, to na bank pielęgniarka.

— Jaka pielęgniarka, co ty gadasz? Przecież ona pracowała z Karoliną. To na sto procent ona! Dzwonię do Jeremiego! — Wypieki wystąpiły na twarz zaaferowanej Edyty.

— No i co niby...

— Leć za nią! Mnie może skojarzyć.

Lidia poderwała się, by szybkim krokiem, niemal biegiem przebyć niewielką odległość dzielącą ją od bocznego wejścia do szpitala. Kobieta właśnie otwierała wejście za pomocą karty magnetycznej. Dzięki samozamykającemu mechanizmowi w drzwiach, który spowolnił ich domknięcie, Lidia w ostatniej chwili wsunęła palce w szczelinę. Znalazła się na terenie bocznego, pustego korytarza. Podejrzana zniknęła za zakrętem, toteż i ona, nie tracąc czasu, pobiegła za nią, stąpając na palcach, by nie zdradzić swej obecności żadnym odgłosem. Tamta przystanęła, więc Lidia cofnęła się, by skryć się za ścianą, niemal bezgłośnie zdjęła czólenka, żałując, że nie włożyła tego dnia sportowych butów. Usłyszawszy kroki, po chwili ponownie odważyła się zajrzeć w głąb korytarza. Dziewczyna zdecydowanie maszerowała dalej, po czym zniknęła za ostatnimi drzwiami. „Brudownik” — Lidia odczytała napis i rozejrzała się, by znaleźć miejsce do schowania się, zapewniające równocześnie widok na drzwi.

Korytarz rozwidlał się w trzech kierunkach: na poczekalnię SOR-u od strony głównego wejścia, oddział radiologii i windę wraz z przejściem na klatkę schodową. Szybko oceniła swoje położenie, po czym schowała się za automatem z napojami, skąd było ją widać z części poczekalni, ale na jej szczęście chwilowo nikogo tam nie było. Usłyszała cichy odgłos otwieranych drzwi oraz trochę inny niż poprzednio stukot obuwia po twardej posadzce. Gdy się wychyliła ponownie, zobaczyła plecy tej samej drobnej kobiety, tym razem ubranej w biały fartuszek i szpitalne klapki. To, że kobieta przebrała się

w pomieszczeniu gospodarczym, a nie dyżurce pielęgniarskiej, która znajdowała się w tym samym korytarzu, było z pewnością podejrzane. Zmierzała w kierunku windy, jednak skręciła ku schodom. Lidia zerknęła nerwowo w stronę SOR-u, po czym na bosaka pomknęła za śledzoną. Kierując się słuchem, poszła za nią na drugie piętro, gdzie wyraźnie echo kroków się urwało. Oddział intensywnej terapii. To tu leżał Mateusz.

— W czymś pani pomóc? — Podskoczyła na dźwięk uprzejmego, acz zdecydowanego głosu policjanta. Prawie udało się jej dotrzeć do szklanych drzwi oddziału, za którymi zniknęła tamta. W pierwszym momencie poczuła się jak w potrzasku, zaraz jednak uznała, że obecność mundurowego to najlepsze, co mogło ją spotkać.

— Widział pan tę pielęgniarkę? — zapytała konspiracyjnym szeptem. — Otóż to nie jest pielęgniarka! Trzeba ją zatrzymać! Do kogo ona poszła? Jestem siostrą Mateusza Szweda i...

Funkcjonariusz spojrzął za tamtą i nie czekając ani chwili, puścił się biegiem w kierunku oddziału, gdzie w tym samym momencie za drzwiami sali o numerze dwadzieścia dziewięć zniknęła kobieta w białym kitlu. Oczywiście Lidia pobiegła tuż za nim. Policjant, otwierając kartą kolejne szklane drzwi, jednocześnie wydał krótki komunikat do swojej krótkofalówki, a drugą ręką zatrzymał siostrę pacjenta, którego miał obowiązek pilnować.

— Proszę tu zaczekać — rzucił i czym prędzej ruszył ku sali.

Lidia zawahała się, lecz i tu drzwi zamykały się powoli, toteż skorzystała z okazji i wślizgnęła się na teren części oddziału, gdzie znajdowały się sale chorych. Nim dogoniła policjanta, ktoś zaszedł jej drogę.

— Co pani tutaj robi? Tu nie wolno wchodzić!

— Przepraszam. — Wyminęła zwinnie mężczyznę, prawdopodobnie lekarza, i pobiegła w kierunku sali, nie bacząc na jego protesty. Z głębi korytarza w tyle dobiegały odgłosy szybko zbliżających się osób. Wpadła jak burza do otwartej na oścież sali brata, który nieświadom tego, co działo się wokół, podłączony płataniną rurek i kabli do rozstawionego po bokach sprzętu, leżał bez ruchu. Widok równomiernych zapisów funkcji życiowych widniejących na monitorze oraz leżącej na podłodze obezwładnionej kobiety sprawił, że pod Lidia z ulgi ugięły się nogi.

* * *

Edyta, pouczona przez Jeremiego, miała zostać na zewnątrz, nie wytrzymała jednak i próbowała dostać się do szpitala głównym wejściem, które jako jedyne było obecnie otwarte dla osób spoza personelu. Utknęła jednak przed izbą przyjęć, skąd wkrótce sanitariusz wyprowadził ją z powrotem na chłostany wiatrem dziedziniec, tłumacząc oględnie, że dostał takie polecenie. W tym samym czasie kilku policjantów, którzy nie wiadomo skąd się tam wzięli, wpadło z impetem do szpitala. Oniemiała Edyta stała na chodniku w towarzystwie młodego pielęgniarskiego, który najwyraźniej dostał nietypowe polecenie pilnowania jej. Wiedziała, na co czeka, i nie myliła się. Kilka minut później zakuta w kajdanki Sonia została wyprowadzona z budynku i pospiesznie wpakowana na tylne siedzenie radiowozu. Ich oczy spotkały się na ułamek sekundy.

* * *

— Dobra robota, Jeremi. — Nie przypuszczała, że kiedykolwiek jeszcze mu to powie. Odkąd pojawił się przy sprawie, wszystko ruszyło z kopyta. — Latami to rozpracowywaliśmy.

— Ja tylko sprawdzałem faceta na zlecenie klientki. — Uśmiechnął się.

— Nie wiedziałam, że współpracujesz z Olafem.

— A ja nie wiedziałem, że jest waszym informatorem. Podejrzewałem Nosińskiego o artykuł sto czterdziesty ósmy, a tymczasem wyszedł mu dwieście dziewięćdziesiąty dziewięć.

— Zdarza się. Od lat prał brudne pieniądze i był praktycznie nieuchwytny. Jego żona, Angelika Kabas, opracowała niemal idealne strategie, dlatego ciągle nam się wymykali, a Mecenasa siedział sobie jak za solidnym firewallem i śmiał nam się w nos.

— Macie go?

— Ten szczególnie psuje ogólny sukces. Przejęliśmy kokę, amfetaminę, MDMA, mefedron i kilka

innych półproduktów w czystej postaci i sporej ilości. Mamy pełen areszt jego ludzi, ale on... jakby zapadł się pod ziemię. Miał kilka domów, dacz i mniejszych domeczków ukrytych w całym kraju zarówno w samych centrach miast, jak i w totalnych dziurach. Wszystko przetrzasnęliśmy, ale jego nie znaleźliśmy.

— A w Czechach?

— Nic.

— Ma mnóstwo powiązań.

— Obawiam się, że ten spektakularny sukces to i tak wierzchołek góry lodowej.

— Całkiem spory wierzchołek.

Warszawa–Lublin, październik 2019 i później

Wiadomość uderzyła go swą brutalnością. Gdzieś w głębi miał jednak nadzieję, że śmierć Karoliny była po prostu nieunikniona i wynikała z choroby, a nie udziału osób trzecich. Dawid Nosiński, choć kawał skurwysyna, wcale nie chciał zrobić jej krzywdy, rzeczywiście próbował pomóc w leczeniu, nie przyznając się do tego ani żonie, ani współpracownikom. Miał tylko poobserwować ją, przekazać informacje o niej i poszukać niewygodnych danych. To nie była jego zwyczajowa robota, tymczasem przerodziła się w coś zupełnie innego. Były momenty, gdy naprawdę rozważał życiową zmianę o sto osiemdziesiąt stopni. Okłamując żonę, kochankę, żyjąc w ciągłym napięciu i poczuciu, że nic właściwie nie jest do końca szczerze i prawdziwe, marzył, by rzucić wszystko, ulec uczuciom. Wyobrażał sobie, jak z Karoliną i jedną walizką najpotrzebniejszych rzeczy po prostu wyjeżdża daleko, na drugi koniec świata, by zacząć normalne, spokojne, szczęśliwe życie. Uleganie marzeniom kłóciło się jednak z jego pragmatycznym charakterem. Doskonale wiedział, że daleko by nie uciekł, zawsze oglądałby się za siebie z obawą i brakowałoby mu obecnego poziomu oraz stylu życia, poczucia władzy, interesów z przekraczaniem granicy prawa i charakterystycznym dla nich dreszczykiem emocji. Kochanka musiała zatem pozostać kochanką, odskocznią i małą, osobistą, alternatywną dla codzienności rzeczywistością. W niej miał być bohaterem zdolnym poruszyć niebo i ziemię, aby jego dziewczyna odzyskała zdrowie. Nie miał pojęcia o przyczynie choroby oraz o tym, że jego starania są skazane na porażkę.

Sonia jednak wiedziała, że Karolinę czeka rychła śmierć, dlatego zawsze była krok przed Dawidem. Doskonale podrobione dyplomy, pozwolenia, przepustki i niewinny wygląd młodej intelektualistki o wielkich szczerych oczach umożliwiły jej dostęp do przeróżnych instytucji, a nikomu nie przyszło do głowy, że ta niepozorna dziewczyna może podmieniać dokumenty, kraść oraz fałszować dane, a nawet dosypywać tu i ówdzie śmiertelnie trujące substancje ludziom, do których tak troskliwie się uśmiecha. Z Karoliną wszystko poszło zgodnie z planem, chociaż było to zadanie długotrwałe i trudne. Nie sztuką byłoby po prostu ją otruć. Sonia działała tak, by wszystko wskazywało na chorobę, włącznie ze zgromadzoną dokumentacją medyczną, spreparowaną i podrzuconą informacją o wadzie genetycznej. Jej zadaniem było doprowadzić ofiarę do śmierci tak, by nikomu nie przyszło do głowy szukać winnych. W przypadku Karoliny osiągnęła sukces. Po stwierdzeniu zgonu i przejrzeniu historii choroby lekarz nie miał żadnych wątpliwości, więc nie zlecił badań toksykologicznych ani autopsji. Rola pielęgniarki nieprzytomnej ofiary wydawała się przy tym banalnie prosta. Sonia zupełnie nie spodziewała się wpadki w odległym szpitalu, gdzie nikt jej nie znał. Prawdopodobieństwo, że ktoś ją zdemaskuje, co pociągnie za sobą lawinę, nie dając możliwości uniku, wydawało się mniej niż znikome. Gdy ją zatrzymali, trzymała na wpół opróżnioną strzykawkę z igłą wbity w rurkę doprowadzającą kroplówkę do żyły Mateusza i była tak zaskoczona, że nawet nie próbowała jej schować. Milcząca i wystraszona dała się wyprowadzić policjantom na dziedziniec szpitala. Zdarzało jej się śnić o wpadce, aresztowaniu, nawet o tym, że wymierzają jej karę śmierci, jednak nigdy aż tak realistycznie i logicznie. Nauczyła się we śnie dostrzegać elementy nonsensu, które pomagały jej zrozumieć, że to tylko urojenia, i obudzić się. Gdy rześkie powietrze na zewnątrz uderzyło ją w twarz, dostrzegła przyjaciółkę swej poprzedniej ofiary w towarzystwie sanitariusza. Spojrzała Edycie prosto w twarz i zobaczyła w jej oczach mieszaninę wściekłości i bólu, nienawiść w czystej postaci. Siostra Mateusza podeszła do niej, a ta bez słów ją objęła, nie spuszczać oka z aresztowanej. Tych kilka sekund wystarczyło, by Sonia

zrozumiała, że tym razem to nie był sen.

W samochodzie zaparkowanym za szpitalnym parkingiem policja odkryła cały arsenał prochów, które mogłyby zważyć z nóg stado słoń. Sonia potrafiła doskonale dobierać substancje i dawki, by uzyskać na tyle subtelne efekty, żeby nikomu nie przyszło do głowy sprawdzać, a jednocześnie skuteczne i do złudzenia podobne do naturalnych, acz bardzo niefortunnych reakcji organizmu.

Podczas gdy zimny metal kajdanek objął nadgarstki zaskoczonyj Soni, nieświadom tej sytuacji Dawid siedział ze szklaneczką whisky w ręku na rozległym tarasie swego domu na warszawskim Mokotowie. Był spokojny. Już nie myślał o tym, co wydarzyło się w Barcelonie. Zrobił, co mógł, by jego wizerunek pozostał bez skazy, a z niepokojącymi przeczuciami i dręczącymi myślami skutecznie rozprawiał się alkohol. Owszem, mógł postąpić rozważniej, nie zaangażować się i zakończyć przygodę z Karoliną dużo wcześniej. Tak z pewnością byłoby bezpieczniej, jednak w życiu czasem trzeba zaryzykować, dać się ponieść, coś przeżyć. A on nigdy nie żałował swoich wyborów. Był niczym kot, który zawsze ląduje bez szwanku. Rozkoszując się ciepłym, leniwym popołudniem, otoczony luksusem spoglądał na wszystko z dystansu i w duchu sam sobie gratulował siły charakteru. Gdyby w tym momencie usłyszał, że wkrótce zmieni otoczenie, będzie pocił się w nieklimatyzowanym pomieszczeniu, odpowiadając na dziesiątki niewygodnych pytań, że pożałuje powrotu z Barcelony do Warszawy i tego, że nie uciekł w przeciwnym kierunku, gdy jeszcze miał na to szansę, roześmiałyby się szczerze. Przecież on nikogo nie zabił, nic złego nie zrobił, a w pracy był zawsze niezwykle ostrożny i nigdy nie dałby się na niczym nielegalnym przyłapać. A jeśli nawet, to od czego są adwokaci i pieniądze?

* * *

W dniu aresztowania Soni nie było już żadnych śladów tego, że przyczyniła się do śmierci Karoliny. Wyniki badań zniszczyła, dokładnie po sobie posprzątała, a autopsji nie przeprowadzono. Odizolowana uparcie milczała, aż wreszcie zdecydowała się złożyć obszernie wyjaśnienia. Oficjalnie był to sukces śledczych, ich taktyki i tego, że wzięli ją w krzyżowy ogień pytań, jednak komisarz Rybawska wiedziała, że musiał na tym zaważyć wpływ osób trzecich. Sonia przyznała się i wszystko albo prawie wszystko opowiedziała.

Od ponad trzech lat pracowała dla Mecenas, pilnując lojalności dilerów, sprawdzając jakość towaru i dbając o szczelność interesów, jak to określiła. Na polecenie szefa zatrudniła się w biurze podróży i systematycznie podtruwała dziewczynę w pracy. Podczas odwiedzin w domu oraz wtedy, gdy zaglądała tam pod nieobecność Karoliny, dzięki dorobionym kluczom, które dyskretnie pożyczyła sobie podczas dnia pracy, dosypywała coraz więcej szarawych, niepozornych granulek do ulubionej białej herbaty Karoliny. I to ona przetrząsnęła jej komputer. Gdy już zaczęła opowiadać, rozkręciła się, jakby była dumna ze swoich dokonań, jakby nie zdawała sobie sprawy, że nikt nie doceni jej już więcej za spryt i skrupulatność, nie zapłaci w gotówce i ecstasy. Komisarz Rybawska daleka jednak była od dokonywania ocen. Wiedziała, że Sonia pewnie i jest próżna jak każdy, ale przede wszystkim jest inteligentna.

— Może adwokat ją namówił albo po prostu poszła po rozum do głowy — stwierdził Jeremi podczas rozmowy z byłą żoną. Spędzał w jej towarzystwie sporo czasu, ponieważ został dopuszczony do sprawy.

— To nie to. — Jolanta pokręciła przecząco głową. — Nie wzięła swojego adwokata, ma papugę z urzędu, a ten pojawił się dopiero dziś i jeszcze nawet nie ogarnia, o co tu chodzi.

— Myślisz, że się z nią kontaktowali? Ludzie Mecenas?

— Możliwe, ale to się kupy nie trzyma. Gdyby jej grozili czy naciskali, przyjęłaby inną strategię, może wzięłaby winę na siebie lub wskazałaby kogoś, ale nie wsypałaby Mecenas. To samobójstwo. Jest odizolowana i dodatkowo zleciłam, by mieli ją na oku dwadzieścia cztery godziny na dobę z pełną wizją. Nie chcę tu mieć wieszaka. — Przygryzła wargę, patrząc w dal przez brudną szybę na opustoszałym wieczorową porą korytarzu. — Przeczytaj sobie jej dzisiejsze opowieści. — Wskazała teczkę leżącą na parapecie.

Jeremi wziął do ręki papiery i zaczął je przeglądać.

— Obciąża Rudiego, trochę Nosińskiego i Kabas, ale rzeczywiście o Mecenasie jest najwięcej.

Hm... osobiste szczegóły. Albo była bardzo blisko niego, albo ma taką wyobraźnię. Jeśli to prawda... — Uniósł ze zdziwienia brwi, pochłaniając tekst wzrokiem. — Zupełnie inaczej wyobrażałem sobie wszechmocnego Mecenasa. Kto by pomyślał, że ten wrzód na dupie tak zniedołężniał.

— Ma godnego następcę. Właściwie jakby nic się nie zmieniło — skwitowała Rybawska, po czym wyjęła teczkę z rąk Jeremiego.

— Jeszcze nie skończyłem — zaprotestował.

— Najważniejsze wiesz. A może chciałbyś skserować? — zażartowała złośliwie.

* * *

Mateusz w końcu wrócił do żywych. Po wykonaniu odpowiednich badań lekarz prowadzący z zakłopotaniem, ale i z wielką ulgą przyznał, że naprawdę niewiele brakowało do zgonu. Stężenie trucizny okazało się tak duże, że jeszcze jeden miligram i byłoby po nim. Kto jednak mógłby przypuszczać, że pomiędzy zmianami prawdziwych pielęgniarek Matiego regularnie odwiedzała sympatyczna siostrzyczka z podbitym uprawnieniem do opieki nad chorym pod specjalnym nadzorem, a policjant na warcie pod drzwiami nie wiedział, że za każdym razem patrzy na perfekcyjną fałszywkę.

Brat Lidii z czasem czuł się coraz lepiej i zaczął współpracować z policją, przekazał wszystko, co wiedział, włącznie z informacjami o miejscu, gdzie odwiedził Mecenasa. Liczył się z tym, że i on odpowie za swoje, jednak potężna dziura w życiorysie, którą wywołała śpiączka, i świadomość realnego otarcia się o śmierć spowodowały, że Mateusz postanowił już na zawsze trzymać się z dala od narkotyków i tych, którzy mają z nimi cokolwiek wspólnego, choćby miał zostać bezrobotnym i wszystko zaczynać od nowa. Nawet Lidia, chociaż wiedziała, że obietnice i kajanie się Matiego zawsze mają krótki termin ważności, tym razem mu wierzyła. Gotowa była go wspierać.

— Zrozumiał, że może stracić wszystko — powiedziała cicho do Wojtka, siedząc z nim w samochodzie. Chwilę wcześniej oboje wyszli z komendy policji. Rozmawiali o Matim, który w pewnym sensie stał się bohaterem. — Wciągnął się w bagno, próbowano go zabić, otruć, a on i tak miał szczęście! Cały Mati. — Zaśmiała się przez łzy i natychmiast spoważniała, myśląc o Karolinie, której nie dane było przeżyć.

— Pewnie gdyby Karolina żyła, czułbym satysfakcję — stwierdził po chwili milczenia Wojtek, jakby wiedział, o czym pomyślała.

— Podobno w Kenirovicach zamknęli czasowo całe przedsiębiorstwo. Wszystko wyszło na jaw, włącznie ze skorumpowanymi policjantami. Edyta wyczytała — dodała.

— Powinienem się cieszyć — rzekł bez entuzjazmu.

— Wiele cię to kosztowało, Karolinę życie, ale nie mogłeś wiedzieć, jaka jest droga do prawdy.

— Gdyby nie ty, nie dotarłbym do niej. — Wojtek spojrzał jej w oczy. Myślał o nocy, która przesądziła o jego losie. — Gdybyś wtedy nie spłoszyła Sebastiana i jego ludzi, nie przygarnęła mnie, byłbym...

— Ale żyjesz — weszła mu w słowo, wiedząc, co chciał powiedzieć. — A dzięki twojemu uporowi i dociekliwości Mecenas nikogo więcej nie zabije ani nikomu nie zniszczy życia.

Wojtek uśmiechnął się nieznacznie. Uświadomił sobie, że los zetknął go z tą dziewczyną nie tylko po to, by uratować mu skórę i rozbić mafię Mecenasa.

EPILOG

Do świtu brakowało jedynie kilkunastu minut, gdy seria gwałtownych huków przeszła ciszę, a dom zatrzęsł się w posadach. Sebastian wyskoczył z łóżka, by chwilę potem leżeć przygwożdżony do podłogi. Nie bał się. Wiedział zbyt wiele, by Mecenas zostawił go w takiej sytuacji. Nawet uśmiechnął się pod nosem, słysząc krzyki i płacz swojego brata, który najpewniej narobił w gacie. „Spokojnie, młody, nic nam nie zrobią” — pomyślał.

Po wielogodzinnym przesłuchaniu wreszcie to do niego dotarło. Trzeba przyznać, że Mecenas rzeczywiście potrafił uratować skórę. Własną skórę. Policja weszła w posiadanie szeregu dowodów wskazujących na to, że Jerzy Barecki o pseudonimie Mecenas od pewnego czasu niezdolny jest do prowadzenia dotychczasowego procederu z powodu postępującej choroby neurodegeneracyjnej. Narkobiznes przejął po nim syn Sebastian, który wykorzystując autorytet ojca w środowisku, w jego imieniu kierował gangiem narkotykowym, zlecał przemyt, kradzieże, porwania i morderstwa oraz współpracował z Angeliką Kabas. Jej firma, a także liczne mniejsze działalności gospodarcze były wykorzystywane do transferowania pieniędzy pochodzących z nielegalnych źródeł. Młody Barecki jednocześnie ukrywał chorobę ojca i trzymał go w ryzach za pomocą często podawanych silnych środków nasennych, leków i narkotyków.

Sebastian nie mógł uwierzyć w perfidię Mecenas, zaczął więc mówić wszystko: sypał kolegów, ujawniał kryjówki, podawał szczegóły, by pograżyć starego wyjadacza, a im więcej składał wyjaśnień obciążających Mecenas, tym ciaśniej pętla winy zaciskała się na jego szyi. Ze szczegółami opisywał operacje, procedury, sposoby działania bossa, nawet jego zamiłowanie do sztuki, czego dowodem był okazały zbiór dzieł w domu Sebastiana. Jego histerycznie wykrzyczane wyjaśnienia, okraszone przysięganiem na wszelkie świętości i biciem się w pierś, nie robiły jednak na nikim oczekiwanego wrażenia. W oczach policji, prokuratora, a nawet adwokata, który w końcu zaprzestał prób uciszania go, jego wersja była zupełnie nieprawdopodobna i nie do przyjęcia. Gdy wreszcie zrozumiał, iż sam przedstawił szereg dowodów przeciwko sobie, było za późno. Nie wiedział przecież, że obciążające go zeznania złożyła także Sonia, której nawet nigdy nie poznał, oraz kilka innych osób ratujących własną skórę i równie zmanipulowanych przez Mecenas, jak nie tak dawno on sam.

Podziw, jakim Sebastian darzył szefa, który przez lata był mu bardziej ojcem niż ten rodzony, przeradzała się z każdym dniem w bardziej zajadłą, a jednocześnie zupełnie bezsilną nienawiść. Czekając na wyrok, pielęgnował ją i każdego wieczoru, gdy w celi robiło się cicho, Sebastian obmyślał plan, który stał się jego jedynym celem. Życzył Mecenasowi długiego życia w zdrowiu, aby doczekał zemsty.